

ROBERT SILVERBERG

KRÓL SNÓW

The King of Dreas

Przełożyli
Agnieszka Modzelewska
Krzysztof Sokołowski

SOLARIS
Stawiguda 2010



Dla Jennifer i Petera – tyle przeżyliśmy niespodzianek!

I Lord Stiamot zapłakał, gdy usłyszał balladę o wielkim zwycięstwie przy Głowie Weygan, albowiem Stiamot, o którym śpiewali nie był Stiamotem, którego on sam znał. Nie był już sobą. Przekuto go w legendę. Był niegdyś człowiekiem, teraz stał się baśnią.

Aithin Furvain: „Księga Zmian”

SPIS TREŚCI

Spis treści.....	3
CZĘŚĆ PIERWSZA KSIĘGA OCZEKIWANIA.....	5
1.....	6
2.....	11
3.....	17
4.....	24
5.....	32
6.....	36
7.....	47
8.....	52
9.....	61
10.....	68
11.....	77
12.....	81
13.....	88
14.....	97
15.....	112
CZĘŚĆ DRUGA KSIĘGA LORDÓW	119
1.....	120
2.....	125
3.....	134
4.....	146
5.....	151
6.....	161
7.....	171
8.....	178
9.....	187

10.....	192
11.....	200
12.....	211
13.....	218
14.....	228
CZEŚĆ TRZECIA KSIĘGA POTĘG	235
1.....	236
2.....	247
3.....	256
4.....	268
5.....	275
6.....	285
7.....	292
8.....	298
9.....	303
10.....	314
11.....	321
12.....	329
13.....	339
14.....	346
15.....	354
16.....	366
17.....	374
18.....	385
19.....	391

CZEŚĆ PIERWSZA

KSIĘGA OCZEKIWANIA

1

– To musi być to, czego szukamy – powiedział Skandar, Sudvik Gorn, stojąc na krawędzi urwiska i wskazując w dół ostrymi ruchami lewej dolnej ręki. Dotarli na szczyt wzgórza. Skaliste podłoże było tu bardzo pokruszone, tak że szlak, którym podążali, kończył się łąką ostrego, zielonkawego żwiru. Dalej był tylko ostry spadek w gęsto zarośniętą dolinę. – Warownia Vorthinar, tuż pod nami! Co to może być, jeśli nie kryjówka rebeliantów? A o tej porze roku łatwo ją będzie podpalić.

– Niech no popatrzę – powiedział młody Thastain. – Mam lepsze oczy niż ty. – Ochoczo sięgnął po lunetę, którą Sudvik Gorn trzymał w drugiej dolnej ręce.

To był błąd. Sudvik Gorn lubił podpuszczać Thastaina, a teraz chłopak dał mu kolejną okazję. Wielki Skandar, wyższy od niego o dobre dwie stopy, wyszarpnął lunetę z jego zasięgu, przełożył do górnej ręki i wesoło machał mu nią nad głową. Uśmiechał się nieładnie, odsłaniając krzywe zęby.

– Skacz! Dalej, skacz!

Thastain poczuł, że rumieni się z wściekłości.

– Niech cię! Po prostu mi ją daj, ty skretyniały, czwororeki bękarcie!

– Coś powiedział? Bękart? Jestem bękartem? Nuże, powtórz! – kudłata twarz Skandara pociemniała. Trzymał teraz lunetę, jakby była bronią i groźnie kiwał nią na boki. – Tak. Powtórz to, a wtedy walnę cię tak, że dolecisz aż do Ni-moya.

Thastain spojrzał na niego wściekle.

– Bękart! Bękart! No dalej, walnij mnie, jeśli potrafisz!

Miał szesnaście lat, ten smukły chłopiec o jasnej skórze, tak szybki, że pieszo prześcigał bilantoona. To była jego pierwsza ważna misja w służbie Pięciu Lordów Zimroelu i z jakiegoś powodu Skandar wybrał go sobie na ofiarę. Nieustające, doprowadzające do szału kpiny Sudvika Gorna sprawiały, że raz za razem dostawał ataków furii. Thastain dławił w sobie emocje przez trzy ostatnie dni, niemal od początku podróży z ziem Pięciu Lordów, leżących daleko na południowym wschodzie, do terytorium rebeliantów, ale teraz już nie mógł się powstrzymać.

– Musiałbyś mnie najpierw złapać, a przecież mógłbym biegać wokół ciebie w kółko i dobrze o tym wiesz, Sudviku Gornie, ty kupo zapchlonego futra!

Skandar zawarczał i ruszył naprzód. Thastain, zamiast uciekać, zręcznie uskoczył kilka jardów w tył i, obracając się szybko, porwał z ziemi garść kamyków. Zamachnął się, jakby zamierzał rzucić je Sudvikowi w twarz. Zacisnął dłoń tak mocno, że ostre krawędzie kamyków wbiły mu się w skórę. Takimi kamieniami można kogoś oślepić, pomyślał.

Sudvik Gorn najwyraźniej myślał o tym samym. Zatrzymał się w pół kroku, zdezorientowany i wściekły. Obaj stali naprzeciw siebie bez ruchu. Pat.

– No dalej – powiedział Thastain, skinął ręką na Skandara i spojrzał kpiąco. – Jeszcze jeden krok. – Zataczał ramieniem kręgi, jakby na próbę, jakby zbierał siły do rzutu.

Czerwonawe oczy Skandara zapłonęły gniewem. Z jego szerokiej piersi dobiegł dźwięk, jaki może wydawać wulkan na chwilę przed erupcją. Cztery potężne ramiona zadrżały groźnie. Nie poruszył się jednak.

Pozostali członkowie grupy zwiadowczej zorientowali się już, co się dzieje. Kątem oka Thastain zauważył, jak zbliżali się z lewej i z prawej, jak ustawiali się luźnym półkolem wokół szczytu i patrzyli, i chichotali. Nikt nie lubił Skandara, lecz Thastain nie sądził, żeby i jego ktokolwiek darzył ciepłymi uczuciami. Był za młody, za mało doświadczony, za przystojny. Zapewne myśleli, że trochę poniewierania dobrze mu zrobi, że życie powinno doświadczyć go tak samo, jak ich.

– No, chłopcze – to był głos pochodzącego z Piliploku Gambrunda o puciołowatej twarzy, której lewą stronę przecinała jasnofioletowa blizna. Niektórzy mówili, że była to pamiątka po tym, jak na polowaniu na gihorny zepsuł strzał hrabiemu Mandralisce, inni, że po spotkaniu z jego lordowską mością Gaviniusem, gdy ten akurat był pijany. Zresztą jego lordowska mość Gavinius nieczęsto znajdował się w innym stanie. – Co tak stoisz? Rzucaj! Rzuć je w ten włochaty pysk!

– Tak jest, rzucaj – zawołał ktoś inny. – Pokaż tej włochatej małpie! Wyłup mu ślepią!

To bardzo głupie, pomyślał Thastain. Jeśli miałby rzucać kamieniami, musiałby od razu oślepić Sudvika Gorna, w przeciwnym razie Skandar najpewniej go zabije. Jeśli zaś go oślepi, spotka go surowa kara ze strony hrabiego, może nawet wyłupienie oczu. Mógłby po prostu upuścić kamienie i uciec, i musiałby biec naprawdę szybko, bo jeśli Sudvik Gorn go dopadnie, to stłucze go na krwawą miazgę – tyle że jeśli to zrobi, uznają go za tchórza. Nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji. Jakim cudem się w nią wpakował? I jakim cudem się wygrzebie?

Całym sercem pragnął, by ktoś go uratował. Chwilę później to właśnie się stało.

– Wy dwaj, przestańcie – powiedział nowy głos, dobiegający z odległości paru stóp za Thastainem. To był Criscantoi Vaz, żyłasty, szeroki w ramionach, siwobrody mąż z Ni-moya,

najstarszy w grupie, bo o rok czy dwa przekroczył czterdziestkę. Był jednym z niewielu, którzy na swój sposób polubili Thastaina. To Criscantoi Vaz wybrał go do swojego oddziału w Horvenar nad Zimrem, gdzie rozpoczęła się ta ekspedycja. Teraz wyszedł z tłumu i stanął pomiędzy Thastainem i Skandarem. Miał kwaśną minę, jak ktoś, kto wdepnął w kupę odchodów. Bezceremonialnie skinął na Thastaina. – Wyrzuć kamienie, chłopcze. – Thastain natychmiast rozwarł palce i pozwolił kamykom upaść na ziemię. – Gdyby hrabia Mandralisca widział, co tu się dzieje, kazałby przybić was do drzewa i wychłostać. Marnujecie cenny czas. Zapomnieliście, idioci, że mamy zadanie do wykonania?

– Ja tylko chciałem, żeby pożyczył mi lunetę – powiedział ponuro Thastain. – Nie widzę w tym nic idiotycznego.

– Daj mu ją – powiedział Criscantoi Vaz do Sudvika Gorna. – Te gierki są głupie, więcej, są niebezpieczne. Nie przyszło wam do głowy, że pan na Vorthinar rozstawił po tych wzgórzach strażę? Przez cały czas jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo.

Krzywiąc się, gigantyczny Skandar podał Thastainowi lunetę. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło, że zamierza dokończyć tę sprawę innym razem.

Thastain starał się nie zwracać na to uwagi. Odwrócił się do Sudvika Gorna plecami, podszedł do samej krawędzi zbocza, wbił buty w żwir i wychylił się tak daleko, jak tylko się odważył. Przyłożył lunetę do oka. Zbocze przed nim i leżąca niżej dolina nagle nabrały szczegółów.

Panowała tu jesień, a dzień był upalny. Długa pora sucha, która w tej części centralnego Zimroelu uchodziła za lato, jeszcze się nie skończyła i wzgórze porośnięte było gęstym dywanem płowej trawy z gatunku, który wyróżniał się jasnym, szklanym połyskiem i sprawiał wrażenie sztucznej roślinności, wytworzonej przez mistrza rzemieślniczego dla ozdoby zboczy. Wysokie, lśniące źdźbła były ciężkie od kłosów, więc ciepły, południowy wiatr pochylał je łatwo. Wyglądały jak fale na rzece złota, spływającej ze wzgórza.

Zbocze opadało stromo w kilku ostrych odcinkach i tylko gdzieś tam nakrapiane było poszarpanymi, czarnymi głazami, wyrastającymi jak smocze zęby. Thastain dostrzegł jak zwinny, krótkonogi helgibor przemyka w trawie sto stóp niżej, podnosi do ataku włochatą, zieloną głowę i obnaża krzywe kły. Tłusty, niebieski, niczego niepodejrzewający vrimmet pasł się spokojnie niedaleko. Za parę chwil będzie w poważnych tarapatach.

Po chwili przesunął lunetę nieco na zachód i ujrzał warownię, zbudowaną w bezpiecznym załamaniu doliny. Była to niska, szara, obła budowla, niczym ciemna blizna na płowej trawie. Zdawało się, że podmurówka zamku zrobiona była z kamienia, sięgającego może na wysokość ud dorosłego mężczyzny, wyżej zaś wszystko było drewniane, aż do

krytego strzechą dachu.

– Nie ma wątpliwości, że to warownia – powiedział Thastain, nie oddając lunety.

Sudvik Gorn miał rację. Teraz, w porze suchej, podpalenie budynku nie sprawi najmniejszych trudności. Wystarczy zrzucić z góry trzy czy cztery główne, a dach zapłonie. Iskry spadną na suchą, nieskoszoną trawę, która rośnie wokół warowni, a od niej zajmą się skręcone, powykrzywiane krzaki, wyglądające, jakby były pokryte olejem. Wszędzie wokół rozpęta się ogniste piekło. W kilka chwil pan na Vorthinar i jego ludzie upieką się żywcem.

– Widzisz strażników? – zapytał Criscantoi Vaz.

– Nie. Ani żywej duszy. Wszyscy pewnie są w środku. Nie... chwila... tak, ktoś tam jest!

Zza rogu budynku wyszła dziwaczna postać, bardzo chuda i dziwnie wydłużona. Zatrzymała się i spojrzała w górę, jakby wprost na Thastaina. Chłopak błyskawicznie upadł na brzuch i wściekłym machnięciem lewej ręki nakazał stojącym za nim ludziom, by odsunęli się od krawędzi. Później wychylił się znowu. Ostrożnie wysunął lunetę. Człowiek na dole szedł w swoją stronę. Może niczego nie zauważył.

W jego sposobie poruszania było coś wyjątkowo dziwnego. Krok miał chwiejny, ruchy dziwnie sprężyste. Zdawało się, że człowiek ów ma jakby za luźne stawy, było w nim coś, rzec by można, gumowego. I ta twarz, niepodobna do żadnej, jaką Thastain dotychczas widział. Jakby... czy to możliwe?

Thastain zamknął jedno oko, a drugim patrzył najuważniej, jak umiał.

Tak. Po plecach chłopaka przebiegł dreszcz. Metamorf. Bez wątpienia Metamorf. Był to dla Thastaina nowy widok. Całe swoje krótkie życie spędził tutaj, w północnym Zimroelu, gdzie Metamorfów spotykało się sporadycznie, gdzie właściwie byli postaciami na poły legendarnymi.

Dobrze się przyjrzał. Poprawił ostrość w lunecie i teraz wyraźnie dostrzegł zielonkawy odcień skóry tamtego, jego wąskie usta, wydatne kości policzkowe, maleńki nos. Długi łuk, który to stworzenie nosiło przerzucony przez plecy, bez wątpienia był dziełem Metamorfów, wykonanym z lekkiej plecionki i na oko piekielnie giętkim. Idealna broń dla kogoś, kto ma elastyczny szkielet, umożliwiający prawie dowolne transformacje.

Niewiarygodne. Było tak, jakby teren wokół warowni patrolował demon. Kto sprzymierza się z Metamorfami, nawet jeśli buntuje się przeciwko swym prawowitym panom? Jakiekolwiek kontakty z tajemniczymi autochtonami tej planety sprzeciwiały się prawu. Thastain pomyślał, że to nie tylko nielegalne, lecz zwyczajnie potworne.

– Tam jest Zmiennokształtny – wyszeptał za siebie. – Widzę, jak chodzi przed

budynkiem. Tak więc prawdą są historie, które słyszeliśmy: pan na Vorthinar sprzymierzył się z nimi!

– Myślisz, że cię widział? – zapytał Criscantoi Vaz.

– Wątpię.

– W porządku. Odsuń się od krawędzi, zanim cię zobaczy.

Thastain, nie wstając, popęztał do tyłu i dźwignął się na nogi dopiero w bezpiecznej odległości od zbocza. Gdy podniósł głowę, zdał sobie sprawę, że wciąż ciąży na nim pełne lodowatej nienawiści spojrzenie Sudvika Gorna, ale teraz on i jego wrogość mało go interesowały. Mieli zadanie do wykonania.

2

Poranek na Zamku. Jasne, złotozielone światło wpadało do wspianego apartamentu na szczycie Wieży Lorda Thrayma, rezydencji Koronala i jego małżonki. Lśniącym strumieniem zalewało okazałą sypialnię o ścianach z granitu w ciepłym kolorze, przybranych arrasami ze złotogłowi, w której budziła się lady Varaile.

Zamek.

Kiedy mówiło się „Zamek”, wszyscy na świecie wiedzieli, o który dokładnie zamek chodzi: żaden inny, jak tylko Zamek Lorda Prestimiona, nazywany tak przez mieszkańców Majipooru przez ostatnie dwadzieścia lat. Wcześniej zwali go Zamkiem Lorda Confalume'a, wcześniej Lorda Prankipina, i tak dalej, aż do czasów skrytych we mgle przeszłości: Zamek Lorda Guadelooma, Zamek Lorda Pinitora, Zamek Lorda Kryphona, Zamek Lorda Thrayma, Zamek Lorda Dizimaule'a... Kolejni Koronale nieskończonych stuleci długiej historii Majipooru, wielcy i przeciętni, a także tacy, których imiona i osiągnięcia zostały niemal całkiem zapomniane. Król za królem, aż do na wpół mitycznego budowniczego Zamku, Lorda Stiamota sprzed siedemdziesięciu wieków. Wszyscy na czas swego panowania nadawali Zamkowi swoje imię. A teraz był to Zamek Lorda Koronala Prestimiona i jego żony, lady Varaile.

Każde rządy mają swój koniec. Pewnego dnia, to miejsce prawie na pewno będzie Zamkiem Lorda Dekkereta i Varaile o tym wiedziała.

Niech jednak ten dzień nie nadejdzie prędko. Modliła się o to.

Kochała Zamek. Przez pół życia mieszkała w tej niepojętej budowli, składającej się z trzydziestu tysięcy pokoi, położonej na szczycie zadziwiającej, wysokiej na trzydzieści mil Góry Zamkowej, wystającej z powierzchni planety jak gigantyczny kolec. To był jej dom. Nie chciała go opuszczać, a musiało to nastąpić z dniem, gdy Prestimion zostanie Pontifexem, a Dekkeret zastąpi go na stanowisku Koronala.

Tego ranka, gdy Prestimion przebywał w jednym z miast położonych niżej na Górze i otwierał nową tamę, przewodniczył nadaniu tytułu diuka czy też wykonywał jedną z miliona innych czynności, przypisanych Koronalowi – Varaile nie pamiętała, z jakiego powodu

wyruszył w podróż tym razem – ona obudziła się samotna w wielkim łóżu w królewskim apartamencie, tak jak działo się to ostatnio zbyt często. Nie mogła towarzyszyć Koronalowi w jego niekończących się pielgrzymkach. Wrzał w nim niepokój, z powodu którego wciąż musiał podróżować.

Chętnie widziałaby ją u swego boku w czasie tych wypraw, gdyby tylko mogła z nim wyruszyć. Oboje jednak wiedzieli, że zazwyczaj było to niemożliwe. Dawno temu, kiedy byli nowożeńcami, zawsze podróżowała z Prestimionem, potem jednak pojawiły się dzieci i jej własne obowiązki, ceremonie, działalność społeczna i audyencje, które trzymały ją na Zamku. Teraz tylko z rzadka Koronal i jego małżonka podróżowali razem.

Chociaż momenty rozłąki były konieczne, Varaile wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że zdarzały się tak często. Po szesnastu latach małżeństwa kochała Prestimiona nie mniej, niż kiedy się poznali. Kiedy pierwsze, jaśniejące promienie słońca wpadły do królewskiej sypialni przez wielkie, kryształowe okno, odruchowo spojrzała w bok, by dostrzec złotozielony błysk światła na żółtych włosach Prestimiona na poduszce obok.

Ale była w łóżku sama. Jak zawsze, potrzebowała chwili, by to zrozumieć, by przypomnieć sobie, że Prestimion wyjechał, cztery czy pięć dni temu, dokąd? Do Bombifale? Hoikmar? Doliny Deepenhow? Tego też nie pamiętała. Gdzieś był, w jednym z Miast Zbocza, albo może w pierścieniu Miast Strażniczych. Na zboczach Góry było pięćdziesiąt miast. Koronal pozostawał w nieustannym ruchu, Varaile przestała już śledzić trasy jego podróży, znała tylko daty jego długo wyczekiwanych powrotów.

– Fiorinda? – zawołała.

Natychmiast z pokoju obok dobiegła ją wypowiedziana ciepłym kontraltem odpowiedź:

– Idę, pani!

Varaile wstała, przeciągnęła się i pozdrowiła swoje odbicie w lustrze na przeciwległej ścianie. Wciąż sypiała nago, jak wtedy, gdy była jeszcze dziewczynką. Choć miała ponad czterdzieści lat i dała Koronalowi trzech synów i córkę, pozwalała sobie na jeden przejaw próżności: czerpała przyjemność z obserwowania, jak jej ciało nie poddaje się starzeniu. Nie wspomagała go magią. Prestimion wyraził kiedyś pogardę dla takich zabiegów, poza tym Varaile uznawała je za zbyteczne, przynajmniej na razie. Była wysoka, gibka, miała długie uda i choć była dość mocno zbudowana, z pełnymi piersiami i raczej szeroką talią, z wiekiem nie przybrała na wadze. Jej skóra była gładka i jędrna, włosy wciąż kruczoczarne i lśniące.

– Czy moja pani dobrze spała? – zapytała Fiorinda, wchodząc.

– Na ile to możliwe, gdy sypiam sama.

Fiorinda uśmiechnęła się. Była żoną Teotasa, najmłodszego brata Prestimiona, i co ranka, o świcie, opuszczała swoje małżeńskie łóżce, by być na usługach lady Varaile. Nie miała jednak nic przeciwko temu, a Varaile była jej za to wdzięczna. Fiorinda była dla niej więcej niż szwagierką, była jak siostra. Varaile nigdy nie miała siostry, braci też nie, i ta przyjaźń wiele dla niej znaczyła.

Jak co ranka, wykąpały się razem w wielkiej, marmurowej wannie, wystarczająco dużej dla sześciu czy ośmiu osób, którą żona Koronała kazała któregoś dnia umieścić w królewskiej komnacie. Później Fiorinda, niewysoka, szczupła kobieta o jasnokasztanowych włosach, z lekceważącym uśmiechem zarzuciła prostą szatę, by móc pomagać Varaile w wybieraniu ubioru.

– Założę chyba różowy sieronał – powiedziała Varaile – i złotą difinę z Alaisor.

Fiorinda przyniosła jej spodnie i ozdobioną delikatnym haftem bluzkę, a także, bez polecenia, jasnożółtą sffię, którą Varaile lubiła zawiązywać na piersi jako dodatek do tego stroju oraz pasujący do niej szeroki, czerwono-brązowy pas tkany w Makroposopos. Podczas gdy Varaile się ubierała, Fiorinda zajęła się własnym strojem na ten dzień. Założyła turkusową kamizelkę i miękkie, pomarańczowe szarawary.

– Są jakieś wieści? – spytała Varaile.

– O Koronału, pani?

– O kimkolwiek. Jakiekolwiek!

– Niewiele – odparła Fiorinda. – Stado smoków morskich, które widziano u wybrzeży Stoien przemieszcza się na północ, w stronę Treymone.

– Smoki w tych wodach o tej porze roku? To bardzo dziwne. Myślisz, że to znak?

– Muszę wyznać, pani, że nie bardzo wierzę w znaki.

– Ani ja. Ani Prestimion. Ale co te stwory tam *robią*, Fiorindo?

– Och, pani, czy kiedykolwiek zrozumiemy smoki morskie? Prócz tego, późno w nocy na Zamek przybyła delegacja z Sisivondal. Przywieźli dary dla muzeum Koronała.

Varaile zadrzała.

– Byłam raz w Sisivondal. Dawno temu. Ponure miejsce i mam z niego złe wspomnienia. Tam właśnie pierwszy książę Akbalik zmarł od trującego ugryzienia bagiennego kraba w dżungli Stoienzar. Polecę, by ktoś inny zajął się mieszkańcami Sisivondal i ich podarunkami... Pamiętasz księcia Akbalika, Fiorindo? Wspaniały człowiek, spokojny, mądry, bardzo bliski Prestimionowi. Myślę, że gdyby przeżył, mógłby zostać Koronałem. Zmarł podczas kampanii przeciwko prokuratorowi.

– Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, pani.

– Tak. Oczywiście. Nie pomyślałam o tym.

Potrząsnęła głową. Czas pędził jak opętany. Oto Fiorinda, dorosła kobieta, niemal trzydziestoletnia, a jak niewiele wie o trudnych początkach rządów Lorda Prestimiona, o buncie prokuratora Dantiryi Sambaila, o pladze szaleństwa, która przetoczyła się wtedy przez świat i o innych, towarzyszących mu wydarzeniach. Oczywiście, nie ma też pojęcia o straszliwej wojnie domowej, która poprzedziła te zdarzenia, o walce między Prestimionem i uzurpatorem, Korsibarem. Prócz kilku wybrańców spośród najbliższych ludzi Koronała, nie wiedział o niej nikt. Wielcy magowie Prestimiona wymazali z pamięci świata wszelkie wspomnienia o tych wydarzeniach – i dobrze. Fiorindzie nawet Dantiryja Sambail jawił się jako postać z książek. Dla niej była to tylko historia jak z baśni.

Tym właśnie staniemy się wszyscy, pomyślała z nagłym smutkiem. Tylko historiami z bajek.

– A inne wieści? – zapytała.

Fiorinda zawahała się. Trwało to tylko chwilę, ale wystarczyło. Varaile przejrzała to krótkie zawahanie, jakby potrafiła czytać w myślach przyjaciółki.

Były inne wieści, ważne, a Fiorinda je ukrywa.

– Powiedz mi – ponagliła ją Varaile.

– Cóż...

– Przestań, Fiorindo. O cokolwiek chodzi, możesz mi teraz powiedzieć.

– Cóż... – Fiorinda oblizwała usta. – Otrzymaliśmy raport z Labiryntu...

– Tak?

– Wydaje mi się, że zupełnie nic nie znaczy.

– Mów! – Wiadomość już nabierała kształtu w umyśle Varaile. I przerażała. –

Pontifex?

Fiorinda rozpaczliwie przytaknęła. Nie potrafiła spojrzeć Varaile w oczy.

– Nie żyje?

– O nie, nic podobnego, pani!

– Więc *mów!* – krzyknęła Varaile, wściekła.

– Odczuł nieznaczną słabość w nodze i ręce. Lewej nodze, lewej ręce. Wezwał magów.

– Masz na myśli udar? Czy Pontifex Confalume miał udar?

Fiorinda na chwilę zamknęła oczy i zrobiła kilka głębokich wdechów.

– To jeszcze niepotwierdzone, pani. To tylko przypuszczenie.

Varaile poczuła, jak skronie jej płoną, nagle zrobiło się jej słabo. Z trudem zachowała

panowanie nad sobą i zmusiła się do spokoju.

To niepotwierdzone, pomyślała.

To tylko przypuszczenie.

Przemówiła spokojnie:

– Opowiadasz mi o smokach morskich w dalekim morzu, o nieważnej delegacji z nieznaczącego miasta leżącego pośrodku niczego, ale nie wspominasz, że Confalume miał udar i muszę to z ciebie wyciągać? Czy myślisz, Fiorindo, że jestem dzieckiem i trzeba zatajać przede mną złe wieści?

Fiorinda była bliska łez.

– Pani, jak właśnie powiedziałam, nie wiadomo nawet, czy to był udar.

– Pontifex dawno skończył osiemdziesiąt lat. O ile mi wiadomo, pewnie i z dziewięćdziesiąt. Kiedy wzywa magów, to zawsze jest zła wiadomość. A co, jeśli umrze? Wiesz, co się wtedy wydarzy. Skąd w ogóle usłyszałaś o jego chorobie?

Fiorinda, coraz bardziej zmieszana, powiedziała:

– Mój pan, Teotas, dowiedział się od delegata Pontyfikatu późno w nocy i powiedział mi, gdy wychodziłam dziś do ciebie, pani. Omówi to z tobą osobiście po śniadaniu, tuż przed spotkaniem z królewskimi ministrami. Teotas prosił, bym nie mówiła ci o tym za szybko, pani, ponieważ podkreśla, że nie jest to sprawa tak poważna, jak może się wydawać, a Pontifex cieszy się ogólnie dobrym zdrowiem i nie jest w niebezpieczeństwie, i że...

– Poza tym smoki morskie koło Stoien i tak są ważniejsze – powiedziała kwaśno Varaile. – Czy wysłano kogoś do Koronala?

– Nie wiem, pani – powiedziała Fiorinda bezradnie.

– A księżę Dekkeret? Nie widziałam go od kilku dni. Wiesz może, gdzie jest?

– Chyba pojechał do Normork, pani. Ze swoim przyjacielem, Dinitakiem Barjazidem.

– Nie z lady Fulkari?

– Nie, nie z nią. Zdaje się, że ostatnio między księciem Dekkeretem a lady Fulkari nie układa się najlepiej. Pojechał z Dinitakiem, drugiego dnia. Do Normork.

– Normork! – Varaile zadrżała. – Kolejne paskudne miejsce, choć Dinitak je uwielbia, Bogini raczy wiedzieć, czemu. Zakładam, że nie wiesz, czy ktoś próbował się z nim skontaktować? Księżę Dekkeret może o zmierzchu zostać Koronalem, ale nikt mu tego nie powie...

Varaile poczuła, że znowu traci panowanie nad sobą. Odzyskała je natychmiast.

– Śniadanie – powiedziała już ciszej. – Powinniśmy coś zjeść, Fiorindo. Może i dziś rano znaleźliśmy się w głębokim kryzysie, ale nie należy mierzyć się z dniem o pustym

żołądki, nieprawdaż?

3

Latacz pokonał ostatni zakręt drogi prowadzącej przez skalisty Szczyt Normork i przed oczyma podróżnych ukazał się ogromny, kamienny mur miasta Normork, biegnący prostopadle do drogi, która doprowadziła ich z Zamku aż tutaj, w niższe rejony stoku Góry. Mur ten był gigantyczną, porażającą zaporą, zbudowaną z czarnych, prostokątnych bloków, wzniesioną na zdumiewającą wysokość. Miasto, które chronił, było za nim całkowicie schowane.

– Jesteśmy – powiedział Dekkeret. – Oto Normork.

– A to? – zapytał Dinitak Barjazid. Często podróżował z Dekkeretem, ale po raz pierwszy odwiedzał miasto, z którego ten pochodził. – Czy ten drobiażdżek to brama? Czy nasz latacz naprawdę się przez nią przecisnie? – w zdumieniu patrzył na maleńki, groteskowo nieproporcjonalny otwór, wciśnięty w wielkie fortyfikacje jak coś wstydlivego. Zdawało się, że ledwo może przez niego przejechać spory wóz. Po obu jego stronach stali sztywno na baczność strażnicy w zielonych mundurach. Przez małą bramę można było wypatrzeć kuszący kawałeczek ukrytego miasta, magazyny i kilka wielościennych, szarych wież.

Dekkeret uśmiechnął się.

– Ta brama nazywana jest Okiem Stiamota. Wielka nazwa jak na tak żałosne drzwiczki. Masz przed sobą jedyne wejście do sławnego miasta Normork. Robi wrażenie, co? Ale nam wystarczy. Nie martw się, przecisniemy się.

– To dziwne – powiedział Dinitak, gdy pod spiczastym łukiem wjeżdżali do miasta. – Taki wielki mur, a taka niepozorna, byle jaka brama. Przybysze nie czują się tu szczególnie mile widziani, nie sądzisz?

– Zamierzam to zmienić, kiedy będę miał okazję – oświadczył Dekkeret. – Jutro zobaczysz.

Pretekstem do wizyty były narodziny syna obecnego hrabiego Normork, Considata. Normork nie było szczególnie ważnym miastem, ani Considat istotną figurą w hierarchii Góry Zamkowej, przez co w innym wypadku Koronal zareagowałby na wiadomość o narodzinach dziecka przesłaniem listu gratulacyjnego i szczodrego prezentu. Na pewno nie byłby to

powód oficjalnej wizyty. Jednak Dekkeret, który od wielu miesięcy nie był w Normork, wyprosił pozwolenie, by osobiście przekazać gratulacje od Koronała, a dla towarzystwa zabrał ze sobą Dinitaka.

– Czemu nie Fulkari? – zapytał Prestimion.

Dekkeret i Fulkari byli nierozłączni przez ostatnie dwa, może trzy lata. A jednak na to pytanie Dekkeret odparł, że hrabia Considat jest człowiekiem konserwatywnym i nie wydaje mu się właściwe odwiedzać go w towarzystwie kobiety, która nie jest żoną. Zabierze Dinitaka. Prestimion nie nalegał. Podobnie jak wszyscy na dworze, słyszał już plotki, że ostatnio pomiędzy księciem Dekkeretem i lady Fulkari nie układało się najlepiej, choć sam Dekkeret nigdy o tym nikomu nie wspominał.

Przez lata Dekkeret i Dinitak byli najbliższymi przyjaciółmi, choć mieli zupełnie różne charaktery i style bycia. Dekkeret był duży, miał szeroką klatkę piersiową i ramiona, odznaczał się niespożytą energią i twardym, nieugiętym duchem. Gdy mówił, słowa wypływały z niego radosnym, donośnym strumieniem. Dotychczasowe wydarzenia w jego życiu sprawiły, że był pełen optymizmu, nadziei i niewyczerpanego entuzjazmu.

Dinitak Barjazid, młodszy o kilka lat, o szczuplej, wąskiej twarzy i ciemnych, lśniących, sceptycznych oczach, był niższy od Dekkereta o pół głowy i dużo łżej zbudowany, niewielki i szczupły, choć czuć było, że mięśnie ma mocne i zawsze napięte. Śniadą skórę kogoś, kto przez lata żył pod okrutnym słońcem południowego kontynentu, miał ciemniejszą nawet niż oczy. Dinitak mówił dużo ciszej niż Dekkeret i miał bardziej ponurą wizję świata. Był sprytnym, pragmatycznym człowiekiem, wychowanym w nieprzyjaznej, spalonej słońcem krainie przez twardego, przebiegłego ojca łajdaka, wyjątkowego krętacza. O wielu sprawach często wyrażał się z powątpiewaniem, co sprawiało, że Dekkeret głębiej zastanawiał się nad wieloma kwestiami. Prócz tego, Barjazid kierował się ostrym, surowym poczuciem tego, co właściwe, zestawem srogich imperatywów moralnych, jak gdyby w młodości postanowił, że zbuduje swoje życie na filozofii działania i myślenia dokładnie odwrotnej, niż jego ojciec.

Darzyli się ogromnym wzajemnym szacunkiem. Dekkeret przysiągł sobie, że w miarę, jak on sam będzie się wspinać po drabinie królewskiego rządu Majjipooru, Dinitak będzie wspinać się wraz z nim; chociaż z początku nie wiedział, jak można to osiągnąć, szczególnie w świetle nie do końca znanej i otoczonej złą sławą przeszłości Barjazidów. Ale wiedział, że znajdzie sposób.

– To chyba nasz komitet powitalny – powiedział Dinitak, kciukiem wskazując w stronę miasta.

Tuż za murem leżał trójkątny, brukowany kocimi łbami plac, otoczony szarymi, drewnianymi strażnicami. Tam czekał na nich wysłannik hrabiego Normork, nieduży, czarnobrody, słabowicie wyglądający człowieczek, sprawiający wrażenie, że może go zdmuchnąć mocniejszy podmuch wiatru. Cały w ukłonach wyprowadził ich z latacza, przestawił się jako justycjariusz Corde i w kwiecistych zdaniach powitał księcia Dekkereta i jego towarzyszy w mieście. Justycjariusz wskazał potem około tuzina uzbrojonych mężczyzn w zielonych mundurach, stojących nieopodal.

– Ci ludzie będą was chronić, póki tu będziecie.

– Dlaczego? – spytał Dekkeret. – Mam własną ochronę.

– To życzenie hrabiego Considata – odparł justycjariusz Corde tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Proszę, ekscelencjo, gdybyście byli łaskawi pójść za mną...

– O co tu chodzi? – zapytał szeptem Dinitak, kiedy pieszo, osłaniany z przodu i z tyłu przez strażników w zieleni, szli do swoich kwater wąskimi, krętymi uliczkami pradawnego miasta. – Nie myślałem, że może tu na nas czyhać jakieś niebezpieczeństwo.

– Bo nie czyha. Ale kiedy Prestimion przyjechał tutaj z urzędową wizytą wkrótce po tym, jak został Koronalem, przed samym pałacem hrabiego próbował go zamordować szaleniec. To było w czasach hrabiego Meglisa, ojca Considata. Jak może pamiętasz, szaleństwo było wtedy bardzo powszechne. Świat opanowała prawdziwa epidemia.

Dinitak aż się zakrztusił.

– Zamordować Koronala? Chyba żartujesz. Kto odważyłby się na tak wariacki czyn?

– Wierz mi, Dinitaku, to stało się naprawdę, a ja byłem tuż obok. Wtedy wciąż jeszcze mieszkalem w Normork i widziałem to na własne oczy. To był wariat, wymachujący zaostrzonym sierpem. Wpadł z tłumu, zgromadzonego na placu i biegł prosto na Prestimiona. Zatrzymano go w samą porę, w przeciwnym razie historia wyglądałaby inaczej.

– Niewiarygodne. I co stało się z tym zamachowcem?

– Został zabity na miejscu.

– Bardzo słusznie – oświadczył Dinitak.

Słyszając to, Dekkeret uśmiechnął się. Kolejny raz Dinitak pokazał, że jest zażartym moralistą. Jego sądy, kierowane bezwzględna oceną tego, co dobre, a co złe, były często surowe i bezkompromisowe, czasem aż zdumiewały. Kiedy ich przyjaźń była jeszcze młoda, Dekkeret poprosił go, by to wyjaśnił. Dinitak w odpowiedzi zapytał, czy wolałby, by był bardziej podobny do swego ojca i to zakończyło dyskusję. Często jednak Dekkeret sądził, że przyjacielowi musi być ciężko, skoro wciąż, nawet w najbliższych, widzi lenistwo, zepsucie i błędy.

– Prestimionowi oczywiście nic się nie stało. Ale całe to wydarzenie było dla Meglisa wielkim wstydem, z którym nie pogodził się do końca życia. Poza Normork nikt o tym nie myśli, ale przez ponad dwadzieścia lat reputacja miasta była nadszarpięta. I chociaż nie ma raczej szansy, by coś takiego się powtórzyło, sędzę, że Considat chce być całkowicie pewien, że nikt, kto wymachuje ostrym narzędziem, nie zbliży się do kandydata na Koronala.

– To kretynizm. Czy on naprawdę sądzi, że to miasto jest gniazdem oszalałych morderców? A poza tym, ta włączająca się za nami obstawa, cóż to za okropna niedogodność!

– Fakt. Ale jeśli hrabia uważa, że powinien wyjść z siebie, by zapewnić nam bezpieczeństwo, musimy to znieść. Nasz sprzeciw byłby dla niego niepotrzebną obrazą.

Dinitak wzruszył ramionami i porzucił temat. Dekkeret aż za dobrze wiedział, jak kiepsko jego przyjaciel znosi wszystko, co jawiło mu się jako niemądre, a za takie wyraźnie uważał przydzielanie zbędnej ochrony przybyszom z Góry Zamkowej. Dinitak rozumiał jednak, że strażnicy będą irytujący, ale nieszkodliwi, za to w kwestiach protokołu zawierał Dekkeretowi.

Szybko rozlokowali się po kwaterach. Dekkeretowi przydzielono przestronny apartament, zwykle zarezerwowany dla Koronala, a Dinitakowi mniejsze, lecz wygodne pokoje piętro niżej. Wczesnym popołudniem ruszyli z pierwszą wizytą: by odwiedzić matkę Dekkereta, lady Taliesme. Dekkeret nie widział się z nią od wielu miesięcy. Mimo iż fakt, że jej syn był wyznaczonym następcą tronu dawał jej prawo do zamieszkania na Zamku, wołała większość czasu spędzać w Normork. Wciąż mieszkała w tym samym domku na Starym Mieście, który ich rodzina zajmowała, gdy Dekkeret był małym chłopcem.

Teraz mieszkała tam sama. Ojciec Dekkereta, wędrowny kupiec, który z różnym skutkiem podróżował z towarami pomiędzy Pięćdziesięcioma Miastami, zmarł dekadę wcześniej. Był dość młody, ale zmęczony, wręcz wycieńczony ciężką walką, jaką było całe jego życie. Nigdy do końca nie uwierzył, że syn, Dekkeret, zdołał jakoś przykuć uwagę samego Lorda Prestimiona i dostać się do kręgu paniątek, które otaczały Koronala na Zamku. Fakt, że Dekkeret został rycerzem kandydatem niemal nie mieścił mu się w głowie, a kiedy Koronal nadał jego synowi tytuł księcia, stary kupiec uznał to za absurdalny żart.

Dekkeret często zastanawiał się, co by było, gdyby przyszedł do ojca i oświadczył:

– Ojcze, zostałem wybrany następnym Koronalem.

Najpewniej roześmiałby mu się w twarz. Może nawet uderzył za zawracanie głowy takimi bzdurami. Nie żył jednak dość długo, by się o tym dowiedzieć.

Taliesme za to przyjęła niezwykle awans syna i idącą z nim w parze zmianę własnej pozycji ze zdumiewającym spokojem. Nigdy wprawdzie nie *spodziewała się*, że Dekkeret

zostanie rycerzem na Zamku, a co dopiero księciem i bez wątpienia nawet w snach nie wyobrażała go sobie jako Koronała, ale nie była też nadopiekuńczą matką, która przyjmuje każdy sukces swojego dziecka jako coś bezwzględnie mu należnego, nieuniknionego i zasłużonego. Przez całe życie jednak kierowała się prostą i potężną wiarą w Boginię. Nie kłóciła się z losem. Z tego powodu nic jej nie mogło zaskoczyć, a cokolwiek się jej przytrafiało, czy to ból, czy smutek, czy chwała ponad wszelkie wyobrażenie, było według niej z góry zapisane i przyjmowała to bez narzekania i bez okazywania zdziwienia. Najwyraźniej od początku było zamierzone, że Dekkeret zostanie kiedyś Koronałem, a więc że dożyje ona swoich dni jako Pani Wyspy Snu, Potęga Królestwa. To stanowisko zawsze przypadało w udziale matce Koronała. Doskonale więc, niech i tak będzie. Nie mogła oczywiście tego przewidzieć, ale skoro tak się działo, cóż, w retrospekcji te zdarzenia musiały jawić się jako coś naturalnego i niezaskakującego, jak codzienny wschód słońca.

Dinitaka natomiast zaskoczyła surowość domu lady Taliesme, który był mały i nierówny, z wypaczonymi futrynami okien, wciśnięty pomiędzy masę małych budynków, które mogły mieć i po pięć tysięcy lat, przy ciemnej, krzywej, brukowanej nierównymi, szarzielonymi kamieniami ulicze, biegnącej w pobliżu centrum Starego Miasta. Co to za dom dla matki następnego Koronała?

– Tak, wiem – powiedział z uśmiechem Dekkeret. – Ale jej się tu podoba. Mieszkała w tym domu przez czterdzieści lat i znaczy on dla niej więcej, niż dziesięć Zamków. Kupiłem jej nowe meble, droższe od tych, które były tu wcześniej i nosi teraz ubrania, na które mojego ojca nigdy nie byłoby stać, ale poza tym nie zmieniło się nic. Ale tego właśnie chce.

– A ludzie wokół? Nie wiedzą, że mieszkają po sąsiedzku z przyszłą Panią Wyspy? Czy ona sama tego nie wie?

– Nie mam pojęcia, co wiedzą sąsiedzi. Sądzę, że dla nich pozostaje tylko Taliesme, wdową po kupcu, Orvanie Pettirze. A co do niej...

Drzwi otworzyły się.

– Dekkeret – powiedziała lady Taliesme. – Dinitak. Jak dobrze was znowu widzieć.

Dekkeret objął matkę z miłością, bardzo ostrożnie, jakby była delikatna i krucha. W rzeczywistości wiedział, że nie jest nawet w połowie tak delikatna, jak mogło mu się wydawać, ale mimo to była niewielka, lekka i drobna. Ojciec Dekkereta też nie był duży. Od lat chłopięcych Dekkeret wciąż czuł się jak ohydny, przerośnięty potwór, którego kapryśny los umieścił w domu tej dwójki niewielkich ludzi.

Taliesme ubrana była w pozbawioną ozdób suknię z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, a jej lśniące, srebrne włosy przytrzymała prosta, cienka, złota opaska. Dekkeret

przywiózł jej prezenty w podobnym, surowym stylu, mały, lśniący wisiołek z kości smoka, lekki jak pajęczyna, błyszczący zawój zrobiony w dalekim Gabilornie, gładki pierścień z fioletowego jadeitu z Vyrongimond i kilka podobnych drobiazgów. Przyjęła je z wyraźną przyjemnością i wdzięcznością, ale odłożyła tak szybko, jak tylko pozwalała grzeczność. Taliesme, gdy była jeszcze biedna, nigdy nie poświęcała czasu takim przedmiotom i teraz też zdawała się nie poświęcać im więcej uwagi.

Przy herbacie i ciastkach rozmawiali lekko o sprawach Zamku. Zapytała o Lorda Prestimiona i lady Varaile, o ich dzieci, krótko – bardzo krótko – wspomniała lady Fulkari; mówiła o Septachu Melaynie i innych członkach Rady, pytała o obecne obowiązki Dekkereta na dworze – wszystko tak, jakby sama, każdą cząstką swego ciała, była częścią tego dworu, a nie zaledwie wdową po prowincjonalnym kupcu. Z dużą wiedzą wypowiadała się też o niedawnych wydarzeniach w pałacu w Normork, o zdymisjonowaniu ministra, który zbytnio ukochał wino, o narodzinach następcy hrabiego Considata i o podobnych sprawach. Dwadzieścia lat wcześniej miałyby o tym wszystkim takie samo pojęcie, jak o prywatnych rozmowach Zmiennokształtnych magów w plecionym pałacu w odległym Piurifayne.

Dekkeret z ogromną przyjemnością patrzył, jak lady Taliesme wchodzi w rolę, którą zgotowało jej przeznaczenie. Ponad połowę życia spędził wśród książąt na Zamku i nie był już tym chłopcem z prowincji, którego dawno temu, w Normork, po raz pierwszy zauważył Prestimion. Jego matka nie miała okazji nabrać podobnego obycia w sprawach ludzi władzy. A jednak jakoś się uczyła. Wprawdzie pozostała tak samo szczerą i skromną, jak kiedyś, ale w niezbyt dalekiej przyszłości miała zostać Potęgą Królestwa i widać było, jak sprawnie dostosowywała się do tej dziwnej i całkowicie niespodziewanej zmiany, która miała nastąpić w jej życiu.

Tak więc odbywała się miła, grzeczna pogawędka: matka, syn, który przybył z wizytą, przyjaciel syna. Stopniowo jednak Dekkeret zaczął zdawać sobie sprawę z panującego w pokoju napięcia, jakby w powietrzu ponad nimi, niewypowiedziana i przez nikogo otwarcie nie uznana, toczyła się druga rozmowa:

– *Jak sądzisz, czy Pontifex jeszcze długo pożyje?*

– *Wiesz, matko, że nie ośmielam się o tym nawet myśleć.*

– *Ale myślisz. Ja również. Nie da się nic na to poradzić.*

Był pewien, że w jego matce odbywa się jakaś sekretna rozmowa, gdzieś pomiędzy brzękiem filiżanek i grzecznym podawaniem sobie tacek z ciastkami. Taliesme była opanowana, zrównoważona, zawsze spokojna w obliczu przeznaczenia, ale nawet pomimo tego nie mogła nie myśleć o przyszłości, o nadchodzącej niezwyklej przemianie, którą los

wkrótce sprowadzi na syna kupca z Normork i jego matkę. Na niego czeka korona gwiazd, a na nią trzeci taras Wyspy Snu. Jeśliby te myśli nie przebiegały jej przez głowę tysiąc razy dziennie, musiałaby nie być człowiekiem.

 Nie inaczej działa się w jego głowie.

4

Oczyrna duszy Thastain już widział poczerńiałe bale domu pana na Vorthinar, kruszące się w czerwonym ogniu, który mieli zaraz rozpalić. Sam sobie na to zasłużył. Ledwie ogarniał umysłem powagę tego, co właśnie zobaczył. Dość złe było buntowanie się przeciwko Pięciu Lordom, ale żeby jeszcze sprzymierzać się z Metamorfami! To było zło, którego Thastain nie mógł pojąć.

Cóż, znaleźli to, co znaleźć tu chcieli. Teraz jednak pojawiła się niezgoda co do tego, co mieli robić dalej.

Criscantoi Vaz nalegał, by zawrócili, zdali raport z odkrycia hrabiemu Mandralisce i pozwolili, by to on opracował dalszą strategię. Jednak część jego ludzi, szczególnie Agavir Toymin z Pidruid w zachodnim Zimroelu, nalegała na natychmiastowy atak. Warownia rebeliantów miała zostać zniszczona, więc to właśnie powinni bezzwłocznie zrobić. Po co mieli pozwalać, by ktoś inny dokonał za nich tego chwalebego czynu? Nie było wątpliwości, że Pięciu Lordów hojnie nagrodzi każdego, kto pozbędzie się ich wroga. W tej chwili, gdy obóz wroga był w zasięgu ręki, wahanie nie miało sensu.

Thastain był jednym z tych, którzy tak uważali. Był przekonany, że w tej chwili należy zejść ze wzgórza, skradając się ostrożnie jak zębaty helgibor i bez dalszego zastanowienia zabrać się do podpalania.

– Nie – powiedział Criscantoi Vaz. – Jesteśmy tylko zwiadowcami. Nie mamy prawa atakować. Thastain, biegnij do obozu i powiedz hrabiemu, co znaleźliśmy.

– Zostań tam gdzie jesteś, chłopcze – powiedział Agavir Toymin, potężny mężczyzna, znany z ciągłego podlizywania się ich lordowskim gościom Gaviralowi i Gaviniusowi. Zwrócił się do Criscantoi Vaza. – Kto niby dał ci zwierzchnictwo nad tą misją? Nie pamiętam, żeby ktokolwiek uczynił cię dowódcą – ton miał ostry i całkowicie pozbawiony ciepła.

– Ani ciebie, o ile mi wiadomo. Biegnij, Thastainie. Trzeba powiadomić hrabiego.

– Więc powiadomimy go, że znaleźliśmy warownię i ją zniszczyliśmy – powiedział Agavir Toymin. – Co niby zrobi, wychłoscze nas za wykonanie zadania, które nam

powierzono? Od obozu hrabiego dzielą nas trzy mile. Zanim chłopak tam dotrze, wiatr zanieś nasz zapach Zmiennokształtnym tam w dole i między nami i warownią zaroi się od obrońców, tylko czekających, aż stąd zejdziemy. Nie, musimy załatwić co mamy do załatwienia, i już.

– Mówię ci, nie mamy żadnego prawa... – zaczął Criscantoi Vaz, a w jego głosie słychać było narastającą złość. Oczy zapłonęły mu gwałtownym gniewem.

– A ja mówię *tobie*, Criscantoi... – przerwał Agavir Toymin, dźgając go palcem w mostek.

W oczach Criscantoi Vaza zabłysła wściekłość. Otwartą dłonią uderzył z zamachu w wyciągnięty palec swojego oponenta.

Tylko tyle wystarczyło, tylko te dwa błyskawiczne gesty, by pomiędzy nimi, jak płomień, eksplodowała furia. Thastain z niedowierzaniem patrzył, jak twarze im ciemniały i wykrzywiały się, gdy opuszczał ich cały zdrowy rozsądek, i jak rzucili się na siebie jak szaleńcy, prychając, popychając się, zamachując szeroko i uderzając dziko. Inni szybko dołączyli do bójki. W ciągu kilku sekund rozgorzała wariacka bijatyka pomiędzy ośmioma, może dziewięcioma mężczyznami, tłukącymi się na oślep wśród stęknień, przekleństw i ryków.

Niesamowite, pomyślał Thastain. Niesamowite! Jak na oddział zwiadowczy, to było wyjątkowo idiotyczne zachowanie. Równie dobrze mogli na szczycie wzgórza wyciągnąć sztandar klanu Sambailidów, pięć krwistoczerwonych księżyców na bladokarmazynowym tle, i głosem trąb ogłosić tym, którzy znajdowali się w warowni, że na górze znajduje się wrogie wojsko, szykujące się do ataku z zaskoczenia.

I pomyśleć, że spokojny, zrównoważony Criscantoi Vaz, mądry i odpowiedzialny, dał się wciągnąć w coś takiego...

Thastain nie chciał brać udziału w awanturze, więc szybko się odsunął. Kiedy jednak obszedł grupę walczących ludzi, stanął twarzą w twarz z Sudvikiem Gornem, który też nie brał udziału w całym zamieszaniu. Skandar górował nad nim jak olbrzymia masa szorstkiego, rudego futra. W jego oczach błyszczała chęć zemsty. Zaciskał wielkie dłonie w pięści, jakby już zamykał je na gardle Thastaina.

– A teraz, chłopcze...

Thastain rozejrzył się w panice. Za nim znajdował się stromy spadek wzgórza, u podnóża którego stał obóz wrogiej armii. Przed nim zaś wściekły i niezmordowany Skandar, który uparł się, że rozładuje na chłopaku swój gniew. Był w pułapce.

Thastain sięgnął do rękojeści noża, który trzymał za pasem.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Zastanawiał się, jak mocno musiałby dźgnąć, żeby przebić grube zwały mięśni pod skórą Skandara, czy miał na to dość sił i co Skandar może mu zrobić zanim uda mu się trafić. Thastain uznał, że nóż myśliwski nijak nie przyda się w walce z olbrzymim przeciwnikiem.

Sytuacja zdawała się beznadziejna. A Criscantoi Vaz, uwięziony gdzieś w bandzie oszalałych wariatów, nie mógł mu teraz pomóc.

Sudvik Gorn gapił się na niego, warcząc jak molitor, zakradający się do ofiary. Thastain wyszeptał modlitwę do Bogini.

Właśnie wtedy, po raz drugi w ciągu dziesięciu minut, nadeszła niespodziewana pomoc.

– Cóż my tu mamy? – powiedział cichy, przerażający głos, głos kontrolowany i nieugięty, który zdawał się dobiegać znikąd i był jak metalowa sprężyna wyskakująca z ukrytej maszyny. – Kłócimy się, tak? Między sobą? Poszaleliście? – to był głos o stalowych krawędziach. Przecinał wszystko jak brzytwa.

– Hrabia! – westchnęło rozpaczliwie pół tuzina gardeł, a wszelka walka natychmiast ustała.

Mandralisca niczym nie zdradził, że zamierzał jechać za nimi aż tutaj. Z tego, co wszyscy wiedzieli, planował pozostać w namiocie, podczas gdy oni mieli szukać warowni pana na Vorthinar. A jednak tu był, on i jego mały, krzywonogi adiutant, Jacomin Halefice, oraz tuzin zbrojnych do ochrony. Ludzie z oddziału zwiadowczego, przyłapani jak rozbrykane dzieci z buziami umazanymi dżemem, stali bez ruchu, z przerażeniem patrząc na straszego, złowrogiego doradcę Pięciu Lordów.

Hrabia był szczupłym mężczyzną o długich rękach i nogach, w wieku nieco starszym niż średni, a poruszał się ze zdumiewającą gracją, jakby był tancerzem. Jednak nigdy żaden tancerz nie miał tak przerażającej twarzy. Jego usta były twarde i wąskie, oczy połyskiwały zimno, kości policzkowe wystawały jak ostrza. Cienka, pionowa blizna, zapewne ślad po jakimś dawnym pojedynku, przecinała jedną z nich. Zazwyczaj nosił obcisły kostium z delikatnej, dobrze naoliwionej, czarnej skóry, który sprawiał, że przypominał lśniącego, wijącego się węża. Jego strój był idealnie gładki, poza wiszącym mu na piersi złotym pięcioramiennym symbolem zajmowanego stanowiska, oznaczającym władzę nad życiem i śmiercią nieprzebranych milionów, które Pięciu Lordów niezgodnie z prawem uważało za swoich poddanych.

Teraz Mandralisca, spowity okropną ciszą, chodził pośród nich, niespiesznie przechodząc od jednego do drugiego, długo patrząc każdemu w oczy swoim spojrzeniem

bazyliuszka. Wszyscy odwracali wzrok. Czekając na swoją kolej Thastain czuł straszny ucisk w brzuchu.

Nigdy nie bał się niczego ani nikogo tak bardzo, jak hrabiego Mandraliski. Tego człowieka zawsze otaczała jakby lodowata aura, trzeszczący od mrozu, niebieski poblask. Wystarczało ujrzeć go daleko w głębi korytarza, by poczuć podziw i lęk. Kiedy Criscantoi Vaz wybrał Thastaina do tej misji i powiedział, że dowodzić nią będzie sam tajny radca, pod chłopakiem ugięły się nogi.

Niemożliwością było uchylić się przed takim zadaniem, zwłaszcza, jeśli chciało się dojść do jakiegoś stanowiska w służbie Pięciu Lordów. Przez całą podróż przez domenę Sambailidów do tego, pełnego lasów i łąk, rejonu gdzie ukrywali się buntownicy, Thastain próbował stawać się niewidzialnym, kiedy tylko spojrzenie hrabiego zwracało się w jego stronę. A teraz... teraz musiał spojrzeć mu prosto w oczy.

To było straszliwe, ale trwało bardzo krótko. Hrabia Mandralisca zatrzymał się przed Thastainem, popatrzył na niego przez chwilę, tak jak mógłby patrzeć na nieciekawego robaka, który szedł przed nim po stole, po czym przeszedł do następnego z grupy. Thastain aż osłabł z ulgi.

– A więc – powiedział Mandralisca, stając przed Criscantoi Vazem. – Mała przepychanka, tak? Dla zabawy? Miałem o tobie lepsze zdanie, Criscantoi Vazie.

Criscantoi Vaz nic nie odpowiedział. Nie odwrócił wzroku. Stał sztywno na bacność, bardziej przypominając posąg niż człowieka.

Nagle oczy hrabiego rozbłysły jakby odbiciem błyskawicy i jeździecki bat, który Mandralisca zawsze nosił przy sobie, świsnął z oszałamiającą prędkością w pogardliwym ciosie na odlew. Na policzku Criscantoi Vaza wykwitła płonąca, czerwona linia.

Thastain wzdrygnął się, jakby to jego uderzono. Criscantoi Vaz był człowiekiem charyzmatycznym, roztropnym, pełnym nieostentacyjnej siły. Thastain myślał o nim niemal jak o drugim ojcu. A teraz widział, jak dostaje taki cios batem, na oczach wszystkich...

Jednak Criscantoi Vaz prawie nie zareagował. Mrugnął tylko oczami i lekko się skrzywił, kiedy bat go trafił. Dalej trwał w bezruchu na bacność, nawet nie podniósł ręki do zranionego policzka. Wyglądało to tak, jakby fakt, że hrabia przyłapał go na bezmyślności, całkowicie go sparaliżował.

Mandralisca szedł dalej. Stał przed Agavirem Toyminem i jego też uderzył, niemal bez chwili namysłu. Kiedy dotarł na koniec rzędu ludzi, gdzie stał Stravin z Til-omon, uderzył go także. Naznaczył trzech najstarszych ludzi, dowódców, tych, którzy powinni mieć dość rozsądku, by się nie bić. To była wystarczająca lekcja dla wszystkich, oni już nie

potrzebowali razów.

To był koniec. Wykonano karę. Mandralisca odsunął się od nich i przyglądał im się z nieskrywaną pogardą.

Thastain znowu starał się być niewidzialny. Intensywność spojrzenia Mandraliski była przerażająca.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się dzieje? – wzrok hrabiego znów spoczął na Thastainie. Chłopak zadrżał, ale nie miał wyboru, musiał spojrzeć w te straszne oczy. – Ty, chłopcze, mów!

Z ogromnym wysiłkiem Thastain wydał z siebie zduszony szept.

– Znaleźliśmy warownię nieprzyjaciela, wasza miłość. Leży w dolinie, pod nami.

– Dalej. Ta bójka...

– Wyniknęła dyskusja, czy mamy bezzwłocznie się do niej udać i ją spalić, czy wrócić do obozu po dalsze rozkazy.

– Ach. Dyskusja. *Dyskusja* – w oczach Mandraliski widać było niemal rozbawienie. – Pięciami – jego oczy znów pociemniały. Splunął. – Dobrze więc. Oto rozkazy, których pragniecie. Ruszajcie na dół i spalcie ich, tak jak mieliśmy zrobić.

– Wasza miłość, strzegą go Zmiennokształtni – powiedział Thastain, zaskoczony, że ośmielił się przemówić niepytany. Ale to już się stało, słowa wisiały w powietrzu przed nim jak chmurki dziwaczego, czarnego dymu.

Hrabia popatrzył na niego przeciągle.

– Doprawdy? Strzeżone przez Zmiennokształtnych. To ci niespodzianka – nie wyglądał jednak na zaskoczonego. Jego ton w ogóle nic nie wyrażał. Zwracając się do Criscantoi Vaza, powiedział: – Spłoną z całą resztą. Ty: powierzam ci dowództwo. Weź ze sobą trzech ludzi. Wrogowie Pięciu Lordów muszą zginąć.

Criscantoi Vaz zasalutował. Zdawał się być wdzięczny, jakby hrabia nigdy nie uderzył go w twarz.

Potoczył wzrokiem po grupie mężczyzn.

– Agavir Toymin – powiedział. Tamten, zadowolony, skinął głową i przyłożył dwa palce do czoła. – Gambrund – powiedział Mandralisca. I, po krótkiej przerwie, dodał – Thastain.

Tego Thastain się nie spodziewał. On? Wybrany do tego zadania? Poczul falę podniecenia i szczęścia. Łomotanie serca było wręcz bolesne, dotknął mostka, by je uspokoić. To oczywiste, że mnie wybrano, pomyślał po chwili. Był najszybszy, najzręczniejszy. To on był gotów wybiec naprzód i rzucać żagwie.

Czterech ludzi schodziło ze wzgórza w trójkątnym szyku, z Thastainem na wierzchołku. Tuż za nim Gambrund niósł wiązkę głowni, a po jego bokach Criscantoi Vaz i Agavir Toymin, uzbrojeni w łuki w razie, gdyby ich zauważono.

Thastain trzymał głowę nisko i stapał z największą ostrożnością, myśląc o helgiborze, którego niedawno widział i o innych stepowych drapieźnikach, które mogły skrywać się w gęstej roślinności. Szklany połysk płowej trawy nie był tylko złudzeniem, źdźbła nie tylko *wyglądały* jak szkło, ale takie też były w dotyku: sztywne i ostre. Niemiło się przez nie szło, rozgarniane wydawały nieprzyjemny, podobny do szeptu dźwięk. Miażdżone pod nogami stawały się śliskim podłożem. Thastain stawiał każdy krok w napięciu, tak się zsuwając i skradając łatwo mógł stracić grunt pod nogami i spaść głową naprzód prosto do obozu wroga.

Udało mu się bezpieczne zejść ze zbocza i zatrzymał się w miejscu, które uznał za znajdujące się w zasięgu rzutu od warowni. Po chwili dołączyli do niego pozostali trzej. Thastain wskazał warownię. Nigdzie nie widać było straży.

Criscantoi Vaz szybkimi, nerwowymi gestami pokazał, co należało zrobić. Gambrund wyciągnął głownię, Agavir Toymin podpalił ją szybkim strzałem gorąca z broni energetycznej, zaś Thastain wziął ją od niego, podbiegł pół tuzina kroków i rzucił ją w stronę warowni, obracając się prawie w koło, by nadać pociskowi prędkość.

Płonąca głownia poleciała wysokim łukiem i wylądowała na suchej trawie mniej niż pięć stóp od muru budynku. Rozległ się trzask szybko rozprzestrzeniającego się ognia.

Płoń, pomyślał Thastain tryumfalnie. Płoń! Płoń! Tak giną wrogowie Pięciu Lordów!

Criscantoi Vaz poszedł zaraz w ślady Thastaina. Rzucił żagiew mniej elegancko, za to mocniej. Poszybowała pięknie i spadła na strzechę dachu. Pojawiła się różowawa spirala płomienia. Thastain rzucił kolejną głownię, która wylądowała w kępie rosnących przy samym murze krzaków o czarnych pniach i lśniących liściach, które przez moment dymiły, po czym wybuchły żywymi językami ognia.

Wewnątrz warowni zorientowali się, że coś jest nie tak.

– Szybko – zawołał Criscantoi Vaz. Mieli jeszcze dwie żagwie. Thastain złapał jedną z nich oburącz, kiedy tylko Agavir Toymin zdążył ją podpalić, podbiegł parę kroków, zawirował i rzucił. Tym razem i on dosięgnął dachu. Criscantoi Vaz trafił ostatnią w suchą trawę pod drzwiami akurat w momencie, kiedy wychodziło nimi trzech czy czterech ludzi. Kilku z nich podjęło desperackie próby zdeptania płomieni, inni, krzyżąc w szale, pobiegli w górę wzgórza, w stronę napastników. Jednak zbocze było tam prawie pionowe, a oni nie mieli broni. Po jakimś tuzinie jardów zawrócili w stronę warowni, którą płomienie ogarniały z szokującą prędkością. Wbiegli do środka jak szaleńcy, choć wejście już płonęło. Za nimi

zawalił się front budynku. Buntownicy i ich oswojeni Zmiennokształtni upieką się tam jak blawy na ruszcie. Dobrze. Dobrze.

– Udało się! – Zawołał Thastain na ten widok. – Płoną!

– Chodź, chłopcze – odpowiedział Criscantoi Vaz. – Ruszaj.

Stanął mocno na nogach i z napiętym łukiem osłaniał odwrót pozostałych, ale nikt nie wychodził już z płonącego budynku. Kiedy Thastain dotarł do bezpiecznego szczytu wzgórza, warownia buntowników i spora połać otaczającego ją stepu płonęła, a w niebo godziła czarna włócznia dymu. Pożar rozprzestrzenił się ze zdumiewającą szybkością. Wkrótce spłonie cała dolina. Nikt tam nie przeżyje.

Cóż, po to tu przybyli. Podobnie jak wiele miejscowych książątek na wielkim kontynencie zimroelskim, pan Vorthinar przeciwstawił się zarządzeniom braci Sambailidów, którzy pretendowali do władztwa nad tymi ziemiami, więc musiał zginąć. Ten kontynent miał być terytorium Sambailidów, był nim przez pokolenia, zanim Lord Prestimion pokonał prokuratora i teraz powrócił pod władzę Sambailidów. Tym razem tak pozostanie na wieczność. Thastain, urodzony pod rządami Sambailidów, nie miał co do tego wątpliwości. Pozwolić na coś innego byłoby jak otworzyć wrota siłom chaosu.

Hrabia Mandralisca zdawał się być bardzo zadowolony ze sposobu, w który wykonali zadanie. W krótkim, zimnym uśmiechu, którym powitał ich na szczycie i w przelotnym, gratulacyjnym uścisku dłoni było coś niemal miłego.

Dłuższą chwilę stali razem na szczycie, z radością patrząc, jak płonie warownia buntowników. Ogień wciąż się rozprzestrzeniał, w końcu objął całą dolinę. Nawet kiedy już wrócili do oddalonego o kilka mil obozu, w powietrzu czuć było kwaśny zapach dymu, a wiejący na południe wiatr czasami przynosił płaty popiołu.

Tej nocy otwarto niejedną flaszkę wina, dobrego, ostrego, czerwonego wina z zachodu. Potem, w ciemności, Thastain, wstawiony jak nigdy wcześniej, choć mniej od innych, zataczał się w stronę latryny i zobaczył tam samego hrabiego i jego adiutanta, Jacomina Halefice'a. Tak więc hrabia Mandralisca też opróżnia pęcherz, jak zwykli śmiertelnicy! Thastainowi wydało się to przyjemnie nieodpowiednie.

Nie odważył się podejść. Stał w cieniu, gdy usłyszał Mandraliskę, mówiącego z wyraźną satysfakcją:

– Wszyscy zginą tak, jak zginął dziś pan na Vorthinar, co, Jacominie? Pewnego dnia nie będzie tu panów innych, niż Pięciu Lordów.

– A Lord Prestimion? – zapytał adiutant. – A Lord Dekkeret, który go zastąpi?

Thastain widział, jak Mandralisca obraca się i staje twarzą w twarz z mniejszym mężczyzną. Nie widział wyrazu twarzy hrabiego, ale wyczuwał ponury i lodowaty ton, którym odpowiedział:

– Odpowiedź zawiera się w pytaniu, Jacominie.

5

Śpiąc w łóżku w królewskich kwaterach w Mieście Strażniczym Fa, Prestimion śnił, że znowu znajduje się w pełnej ludzi, niepojęcie wielkiej konstrukcji na szczycie Góry Zamkowej, zwanej Zamkiem Lorda Prestimiona. Jak duch przemierzał zakurzone korytarze, których nigdy wcześniej nie widział. Wybierał nieznanne przejścia, prowadzące w zakamarki Zamku, których istnienia nawet nie podejrzewał.

Prowadziła go mała zjawa, niewielka, unosząca się wysoko w powietrzu postać, wciągająca go coraz głębiej w labirynt, jakim był Zamek.

– Tędy, mój panie! Tędy! Za mną!

Zjawa miała postać Vroona, przedstawiciela jednej z wielu nie ludzkich ras, które żyły na Majipoorze od najwcześniejszych lat jego kolonizacji przez człowieka. Były to istoty małe jak lalki, lekkie jak piórko, z masą gumiastych, podobnych do macek kończyn i wielkimi, okrągłymi, złotymi oczami, patrzącymi z obu stron ostro zagiętych, żółtych dziobów. Vroonowie byli obdarzeni darem drugiego widzenia i potrafili z łatwością zaglądać do cudzych umysłów, a także bezbłędnie określić właściwą drogę przez nieznanne tereny. Ale nie potrafili latać dziesięć stóp nad ziemią, jak robił to ten Vroon. Część umysłu Prestimiona, która pozostawała poza nim, po tym jednym szczególe poznała, że śni.

Wiedział też, choć nie sprawiało mu to radości, że śnił ten sen już wiele razy w różnych wariantach.

Prawie rozpoznawał sektor Zamku, przez który prowadził go Vroon. Te zniszczone filary z pokruszonego, czerwonego piaskowca mogły być fragmentami Bastionu Balasa, z którego wychodziły przejścia do rzadko używanego, północnego skrzydła. Tamten wąski most mógł być Kładką Lady Thiin, a skoro tak, to ten skręcony mur z zielonkawej cegły prowadzi do Wieży Trąbek i na zewnętrzną ścianę Zamku.

Ale czym była ta nieporządna masa niskich bud z czarnych płytek? Prestimion nie umiał jej nazwać. A pozbawiona okien, wolno stojąca wieża, której szorstkie, białe ściany pokrywały rzędy zaostrzonych, zwróconych do zewnątrz, niebieskich krzemieni? A szare płyty, ułożone w romb i otoczone palisadą z różowego marmuru? A niekończący się,

sklepiony korytarz, prowadzący w nieskończoną dal, oświetlony rzędem gigantycznych kandelabrow, wielkich jak pnie drzew? Te miejsca nie mogły być fragmentami prawdziwego Zamku. Była to budowla tak wielka, że na poznanie jej całej potrzeba było wieczności. Nawet Prestimion, który żył tam od młodości, wiedział, że nie miał okazji zajrzeć w bardzo wiele miejsc. Jednak te, które przemierzała jego śpiąca jaźń, z całą pewnością nie istniały w rzeczywistości. Musiały być jedynie wytworami snu.

Schodził coraz niżej i niżej po spiralnych schodach, wykonanych z belek połyskującego, szkarłatnego drewna, które, podobnie jak Vroon, wisiały w powietrzu bez widocznego oparcia. Wydawało mu się jasne, że opuszcza stosunkowo znajome, górne poziomy Zamku i schodzi do niższych jego partii, do części służebnych, gdzie żyły tysiące ludzi niezbędnych do funkcjonowania Zamku: strażnicy i służący, ogrodnicy i kucharze, archiwiści i urzędnicy, budowniczości dróg, murarze, łowczy i wielu, wielu innych. Nigdy nie spędził tu wiele czasu, zarówno we śnie jak i na jawie. Mimo to, te poziomy też były częścią Zamku, który był wielki, a z każdym rokiem rozrastał się coraz bardziej. W tym względzie przypominał żywe stworzenie. Królewska część budynku znajdowała się na najwyższych wierzchołkach Góry, ale pod spodem mieściły się liczne poziomy podziemne, wgrzyzające się głęboko w kamienne serce gigantycznego szczytu. Istniały też strefy zewnętrzne, wyciągające się na wiele mil w dół każdego zbocza Góry jak długie ramiona, sięgające coraz niżej i niżej.

– Mój panie – wołał ze słodkim zaśpiewem Vroon znad jego głowy. – Tędy! Tędy!

Po obu stronach trasy, którą podążał stali teraz Hjortowie o spuchniętych twarzach i kłaniali się w pas, wielcy Skandarzy o gęstym futrze wykonywali znaki rozbłysku gwiazd z oszałamiającą prędkością, na którą pozwalało im czworo ramion, z ust podobnych do gadów Ghayrogów dobiegały syczące pozdrowienia, oddawali mu cześć mali Liimeni o płaskich twarzach i trojgu oczu i grupa bladych, dumnych Su-Suherisów. Była tam reprezentacja każdej z ras, które dzieliły wielki Majipoor z ludźmi. Zdawało się nawet, że są i Metamorfowie, długonogie i smukłe istoty, które z każdej strony wychodziły z cieni, by zaraz zniknąć w nich z powrotem. Prestimion zastanawiał się, co też *oni* mogą robić na Górze Zamkowej, skoro zabroniono im na nią wstępu w czasach Lorda Stiamota?

– Teraz tędy – powiedział Vroon, prowadząc go do budowli, która przypominała zamek w zamku, jakby hotel o tysiącu pokoi zbudowanych w jednej linii wzdłuż pojedynczego korytarza, który rozwijał się przed nim jak droga do gwiazd. A Vroon już nie był Vroonem.

Była to ta wersja snu, której Prestimion bał się najbardziej.

Nastąpiła przemiana. Jego przewodnikiem była teraz ciemnowłosa lady Thismet, córka Koronała Lorda Confalume'a i bliźniacza siostra księcia Korsibara, Thismet, którą dawno temu kochał i utracił. Była równie lekka i zwinna jak Vroon, tanecznym krokiem szła przed Prestimionem boso, kilka cali nad ziemią i wciąż pozostawała poza jego zasięgiem. Od czasu do czasu odwracała się i posyłała mu promienny uśmiech, mrugała ciemnymi oczami, przyzywała go zachęcającym gestem dłoni. Jej niezrównane piękno przeszywało go jak włócznia.

– Zaczekaj na mnie! – wołał, ale ona tylko go ponaglała. Jak szybko by nie biegł, zawsze pozostawała szybsza, szczupła i delikatna w zwiewnej, białej szacie, z kruczoczarnymi włosami opadającymi na plecy. Wciąż uciekała przed nim w dal niekończącego się korytarza.

– Thismet – krzyczał. – Zaczekaj! Thismet! Czekaj! Czekaj! Czekaj!

Biegł teraz z desperackim zapalem, wysiłał się do granic możliwości. Przed nim, po obu stronach korytarza otwierały się drzwi. Widział w nich twarze, wychylające się, uśmiechnięte, mrugające oczami, przyzywające go. Wszystkie były twarzą Thismet, wszystkie, Thismet tu i tu i tam i wszędzie, setki Thismet, tysiące, ale za każdym razem, gdy docierał do któregoś pokoju, drzwi zamykały się z hukiem, pozostawiając mu tylko śmiech zamkniętej za nimi Thismet. Ta zaś, która go prowadziła, wciąż spokojnie poruszała się naprzód, wciąż odwracała, by go zwabić, ale nigdy nie dawała się złapać.

Thismet! Thismet! Thismet!

Jego głos zamienił się w ryk bólu, szału i frustracji.

– Panie?

– Thismet! Thismet!

– Mój panie, jesteś chory? Przemów do mnie! Otwórz oczy, mój panie! To ja, ja, Diandolo! Obudź się, panie. Błagam, panie...

– This... met...

Ktoś włączył światło. Mrugając, oszołomiony Prestimion zobaczył młodego pazia, Diandola, pochylonego nad łóżkiem. Gapił się szeroko otwartymi oczami, był w szoku. Za nim widać było więcej postaci, czterech, pięciu, sześciu ludzi: ochroniarzy, służących, innych, zupełnie mu nieznanym. Walczył, by w pełni się obudzić.

Wtedy pojawiła się mocno zbudowana postać Falca. Odsunął Diandola i pochylił się nad Prestimionem. Falco był jego ochmistrem podczas wszystkich oficjalnych podróży, a było ich ze dwadzieścia pięć. Porządny, mocny człowiek z Minimool ze wspaniałą grzywą czarnych, lśniących włosów, cudownie melodyjnym głosem i pogodnym wyglądem kogoś,

kto zawsze ma dobry humor.

– Mój panie, to był tylko zły sen.

Prestimion skinął głową. Jego klatka piersiowa i ramiona spływały potem. Od własnych wrzasków bolało go gardło. Wokół czoła miał płonącą opaskę bólu.

– Tak – powiedział chrapliwie. – To... był... tylko... sen...

6

Kiedy Varaile weszła do pokoju porannego, czekało na nią troje z czwórki jej dzieci. Wstały na jej widok. Rodzinnym zwyczajem było, że pierwszy posiłek dnia jadali razem.

Księżę Taradath, najstarszy, towarzyszył ojcu w podróży i z tego powodu to drugi syn, Akbalik, elegancko odprowadził matkę do jej miejsca przy stole. Miał dwanaście lat, ale już był wysoki i mocny. Po ojcu odziedziczył żółte włosy i silną budowę, ale wzrost miał po matce. Za parę lat będzie pewnie wyższy od obydwójga rodziców. Jednak jego oczy i pełen namysłu sposób bycia stały w sprzeczności z wzrostem i siłą. Jego przeznaczeniem była kariera naukowa albo może poety, na pewno nie miał być sportowcem czy wojownikiem.

Dziesięcioletni księżę Simbilon, wciąż o dziecięcej, okrągłej buzi, zachowujący się z wielką powagą, wręcz pedantycznie, podał Varaile tacę z owocami, które zwykła jeść najpierw. Za to lady Tuanelys, ośmiolatka, która przejawiała nieskrywany brak zainteresowania, szybko skinęła matce głową i z powrotem zajęła miejsce przy stole. Czekał tam na nią talerz, na który już zdążyła nałożyć kopiastrą porcję sera z miodem. Wymaganie od Tuanelys dwornego zachowania nie miało sensu. Była ślicznym dzieckiem, miała wspaniałą grzywę złotych włosów, które nosiła pod ozdobioną koralikami siateczką i rysy, które świadczyły, że za sześć czy siedem lat będzie piękną kobietą, ale teraz jeszcze jej ciało było smukłe i długie jak pasek. Uwielbiała biegać, wspinać się, bić się, była chłopczycą w każdym calu.

– Spałaś dobrze, matko? – zapytał księżę Akbalik.

– Jak zawsze. A ty?

Jednak to Tuanelys odpowiedziała.

– Matko, śniło mi się miejsce, gdzie drzewa rosły korzeniami do góry. Miały liście w ziemi, a korzenie wyciągały do nieba. A ptaki...

– Matka mówiła do Akbalika, dziecko – powiedział z patosem księżę Simbilon.

– Tak, ale Akbalik nigdy nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Ty też nie, Simbilonie.

Po tych słowach lady Tuanelys pokazała mu język. Simbilon poczerwieniał, ale nie

odpowiedział. Fiorinda, która obserwowała tę rodzinną scenę z drugiego końca pokoju, zaczęła chichotać.

Teraz, jak gdyby nikt mu nie przeszkodził, odezwał się Akbalik.

– Spałem znakomicie, matko.

Później zaczął opowiadać o planach na dzień, o porannej lekcji historii i poezji epickiej i o popołudniowej lekcji łucznictwa, jakby były to najważniejsze wydarzenia na świecie. Kiedy skończył, księżę Simbilon z kolei rozwlekle opowiedział o swoim planie. Dwa razy Tuanelys przerwała mu prośbami, by podał jej półmisek z jedzeniem. Poza tym nie miała nic do powiedzenia. Rzadko jej się to zdarzało. W tej chwili jej życie skupiało się wokół pływania, codziennie spędzała długie godziny, które udało jej się wyrwać spomiędzy lekcji, na pokonywaniu w tę i z powrotem basenu we wschodnim skrzydle jak mały, zwariowany kambeliot. W intensywności, z jaką przepływała kolejne długości było coś maniakalnego. Jej nauczyciel mówił, że musiał jej po pewnym czasie nakazywać wyjście z wody, w przeciwnym wypadku pływałaby aż do całkowitej utraty sił, bo sama nigdy by nie przestała.

Tego poranka zaabsorbowanie dzieci samymi sobą bawiło Varaile dużo mniej niż zazwyczaj. Niepokojący raport z Labiryntu kładł się na wszystkim cieniem. Zastanawiała się, jak dzieci zareagowałyby, gdyby wiedziały, że być może ich ojciec jest bliższy zostania Pontifexem niż kiedykolwiek wcześniej i że wszyscy mogą niedługo zostać wyrwani ze swojego pięknego, dotychczasowego życia na Zamku i zmuszeni do przeprowadzki do ponurego, podziemnego Labiryntu, pontyfikalnej siedziby na dalekim południu.

Varaile zmusiła się do odsunięcia tych myśli.

Od kiedy namaszczonego Prestimiona na Koronała i założył koronę rozbłysku gwiazd, wiadomo było, że musi kiedyś zostać Pontifexem. Confalume był bardzo stary. Mógł umrzeć dzisiaj, w przyszłym miesiącu albo roku, ale prędzej czy później, a raczej prędzej, musiał przyjść jego czas. Niewątpliwie Akbalik i Simbilon dobrze rozumieli, co to dla nich wszystkich oznaczało. Co do Tuanelys, jeśli nie wiedziała, będzie musiała się dowiedzieć. I zaakceptować. Z wysoką pozycją przychodzi konieczność zachowywania się po królewsku, nawet, jeśli jest się tylko dzieckiem.

Kiedy skończyli jeść, Varaile czuła już, że ma nad sobą pełną kontrolę. Przyszła pora na poranną konferencję z ministrami Prestimiona, gdyż pod jego nieobecność to ona piastowała urząd regenta.

Teotas czekał pod pokojem porannym.

Tego dnia miał minę jeszcze bardziej ponurą niż zazwyczaj, a zmarszczki jakby pogłębiły mu się przez noc. Kiedyś był tak podobny do swego starszego brata, Prestimiona, że

ktoś, kto słabo ich znał, mógł wziąć ich za bliźniaków, choć w rzeczywistości dzieliła ich cała dekada. Ale Teotas miał ostry, gorący, posepny charakter, inaczej niż Prestimion. Wiek średni wyrzeźbił w jego twarzy głębokie bruzdy, przez które wyglądał na starszego niż w rzeczywistości, podczas gdy twarz Prestimiona pozostawała gładka. Już nie dało się pomylić Teotasa z Koronalem, ale też ciężko było uwierzyć, że to on był młodszy.

– Czy Fiorinda przekazała ci wiadomość z Labiryntu?

– W końcu tak. Zdaje mi się, że wolałaby ją przede mną ukryć.

– Chyba wszyscy wolelibyśmy ukrywać ją sami przed sobą – odparł Teotas. – Ale są rzeczy, przed którymi nie można się ukryć, co, Varaile?

– Czy on umrze?

– Tego nie wie nikt. Ale to ostatnie zdarzenie, czymkolwiek było, bez wątpienia przybliżyło go do końca. Sądzę jednak, że zostało nam jeszcze trochę czasu tutaj.

– Mówisz tak, bo wiesz, że to chcę usłyszeć, Teotasie? A może naprawdę coś wiesz? Czy Pontifex *miał* udar, czy nie?

– Jeśli miał, to bardzo łagodny. Kłopoty z nogą i ręką... na chwilę zaćmił mu się umysł...

– Fiorinda powiedziała mi o ręce i nodze. O umyśle nie. Mów: co jeszcze?

– To wszystko. Teraz leczą go magowie.

– I mam nadzieję, że jeden albo dwóch lekarzy?

Teotas wzruszył ramionami.

– Znasz Confalume'a. Może zajmuje się nim lekarz, może nie. Ale przez cały czas pali się kadzidło i rzuca czary, tego jestem pewien. Oby były skuteczne.

– O to się modłę – powiedziała Varaile z szyderczym parsknięciem.

Szybko szli kręconymi korytarzami, które prowadziły do sali tronowej Stiamota, miejsca zebrania. Przeszli obok królewskiej gotowalni i wspaniałej sali sądowej, którą Prestimion nakazał zbudować w miejsce grupki niewielkich pokoi przylegających do wielkiej sali tronowej Lorda Confalume'a.

Każdy Koronał zostawiał na Zamku ślad, dobudowując coś nowego. Sala sądowa, okazała, sklepiona komnata z wielkimi, łukowymi oknami i gigantycznymi, błyszczącymi kandelabrami była głównym dodatkiem Prestimiona do wewnętrznej części Zamku, choć rozkazał również, by na granicy centralnej części, zwanej Wewnętrznym Zamkiem, wybudowano Archiwum Prestimiona. Było to muzeum, w którym zbierano największe historyczne skarby. Varaile wiedziała, że miał też inne, ambitne plany rozbudowy, o ile tylko Bogini pozwoli mu pozostać dłużej na tronie Koronała.

W każdym razie, pomimo ogłupiającej wspaniałości sali sądowej i położonej obok sali tronowej Confalume'a, od początku swego panowania Prestimion wolał porzucać to imponujące otoczenie i kiedy tylko mógł, pełnił oficjalne obowiązki w pradawnej sali tronowej Stiamota, prostej, wręcz surowej, niewielkiej komnacie z kamienną podłogą, która ponoć zachowała się prawie bez zmian od początków istnienia Zamku.

Varaile weszła do niej właśnie w tej chwili i zobaczyła niemal wszystkich wielkich parów królestwa, siedzących wewnątrz. Był tam Wysoki Doradca Septach Melayn, Wielki Admirał Gialaurys, mag Maundigand-Klimd, Navigorn z Hoikmar i diuk Dembitave z Tidias, trzech czy czterech innych, a prócz tego delegat pontyfikatu, Phraatakes Rem i Hierarchini Bernimorn, reprezentantka Pani Wyspy. Wstali, kiedy weszła, a Varaile ruchem dłoni nakazała, by usiedli z powrotem.

Ze wszystkich ważnych postaci królestwa brakowało tylko drugiego brata Prestimiona, księcia Abriganta. We wczesnych latach rządów Prestimiona Abrigant odegrał ważną rolę, ponieważ odkrył bogate złoża żelaza w Skakkenoir, które stały się podwalinami dobrobytu królestwa za czasów Prestimiona, ostatnio jednak wycofał się do rodzinnej posiadłości na stoku Góry, w Muldemar. Obowiązek ten spadł na niego dziedzicznie i tam spędzał większość czasu. Zebrali się jednak wszyscy pozostali. Obecność tylu dygnitarzy na spotkaniu Rady dodatkowo pogłębiała niepokój, który Varaile czuła wcześniej.

Szybko przeszła przez pomieszczenie w stronę niskiego, białego tronu z szorstkiego marmuru, na którym zasiadać miał Koronal, a pod jego nieobecność regent. Spojrzała w lewo, gdzie siedział Septach Melayn, elegancki, smukły fechmistrz, najbliższy przyjaciel Prestimiona od czasów młodości i jego najbardziej, poza Varaile, zaufany doradca. Septach Melayn spojrzał jej w oczy z trudem, niemal ze smutkiem. Gialaurys... Navigorn... Dembitave... wszyscy wyglądali na niepewnych. Tylko wysoki mag, Su-Suheris Maundigand-Klimd, był jak zawsze nieprzenikniony.

– Zostałam już poinformowana – zaczęła Varaile – że Pontifex jest chory. Czy ktokolwiek może mi powiedzieć, *jak bardzo* chory? – zwróciła się do reprezentanta pontyfikatu. – Phraatakesie Rem, otrzymaliśmy tę wiadomość od ciebie, prawda?

– Tak, moja pani – był niedużym, schludnym, siwym mężczyzną, który przez ostatnie dziewięć lat był oficjalnym delegatem Pontifexa na Zamku, czyli *de facto* ambasadorem zwierzchniego monarchy na dworze młodszego. Do piersi jego aksamitnej, szarej tuniki przypięta była skomplikowana, złota spirala, symbol Labiryntu. – Wiadomość dotarła zeszłej nocy. Później nie przyszło nic nowego. Nie wiemy nic poza tym, co wasza miłość na pewno już słyszała.

– Czy to udar? – zapytała Varaile wprost. Nie miała w zwyczaju owijać w bawełnę.

Delegat Pontyfikatu zaczął kręcić się na krześle. Niepokojący był widok tego zahartowanego dyplomaty, zawsze przymilnego i pewnego siebie, okazującego tak wyraźne strapienie.

– Jego wysokość odczuł swoiste zawroty głowy... drętwienie ręki, niepewne podparcie w nodze. Został położony w łóżku, zajmują się nim jego magowie. Czekamy na dalsze raporty.

– Brzmi to całkiem jak udar.

– Nie mam na ten temat zdania, moja pani.

Głos zabrał Yegan z Morpin Niskiego, stateczny, pozbawiony poczucia humoru człowiek, którego obecność w Radzie wciąż zastanawiała Varaile.

– Udar nie musi być śmiertelny, lady Varaile. Są tacy, którzy po udarze żyli jeszcze wiele lat.

– Dziękuję za tę uwagę, książę Yeganie – zwróciła się następnie do Phraatakesa Rema. – Czy ostatnio Pontifex cieszył się dobrym zdrowiem?

– Tak, pani, był aktywny i energiczny. Oczywiście, biorąc pod uwagę jego wiek. Zawsze był niezwykle żywym człowiekiem.

– Ile on ma teraz lat? – zapytał Septach Melayn. – Osiemdziesiąt pięć? Dziewięćdziesiąt? – wstał ze swego miejsca i zaczął nerwowo przechadzać się po niewielkim pomieszczeniu. Na swych długich nogach przemierzał je w kilku szybkich krokach.

– Możliwe, że jest nawet starszy – powiedział Yegan.

– Był Koronalem przez czterdzieści z okładem lat – powiedział Navigorn z Hoikmar charczącym głosem. Kiedyś był potężnym człowiekiem, wielkim dowódcą wojskowym, ale z czasem stał się gruby i powolny. – A potem Pontifexem przez ile, dwadzieścia lat? To znaczy...

– Tak. To znaczy, że jest bardzo stary – powiedziała Varaile ostro. Z trudem zachowywała cierpliwość. Wszyscy ci ludzie byli od niej starsi o dziesięć, dwadzieścia lat i minęły już dni, kiedy z łatwością podejmowali decyzje. Ona zaś była niecierpliwa i szybko irytowała się, gdy popadali w swoje bezsensowne dywagacje.

Zwróciła się do Hierarchini Bernimorn.

– Czy poinformowano Panią?

– Wysłaliśmy już wiadomość na Wyspę – odparła tamta, szczupła, blada kobieta w zaawansowanym wieku, która wyglądała na delikatną i imponującą zarazem.

– Dobrze – teraz zapytała Dembitave. – Co z Lordem Prestimionem? Jest w Dolinie

Deepenhaw, o ile mi wiadomo. Albo w Bombifale.

– Lord Prestimion obecnie znajduje się w mieście Fa, moja pani. W tej chwili szuka się do drogi posłaniec, który zawiezie mu wiadomość.

– Kogo wysyłacie? – zapytał Navigorn. Mówił niskim, ostrym, niemal zaczepnym tonem.

Dembitave spojrział na starego wojownika z zaskoczeniem.

– Ale... skąd miałbym wiedzieć? Pojedzie, jak sądzę, jeden ze zwykłych zamkowych kurierów.

– Takich wiadomości nie powinien przekazywać ktoś obcy. Sam mu je zawiozę.

Na białych policzkach Dembitave wykwitł gwałtowny rumieniec. Był kuzynem Septacha Melayna, dumnym, nieco drażliwym, sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Nigdy nie pałał do Navigorna szczególną sympatią. Wyraźnie odebrał jego uwagę jako osobisty przytyk. Przez chwilę nie odpowiadał. W końcu przemówił oficjalnym tonem:

– Jak sobie życzysz, Navigornie.

– A co z księciem Dekkeretem? – zapytała Varaile. – Zdaje się, że i on powinien zostać poinformowany.

Na chwilę w pokoju zapadła niezręczna cisza. Varaile patrzyła po zawstydzonych twarzach. Odpowiedź na jej pytanie była aż zbyt oczywista: nikomu nie przyszło do głowy, by poinformować prawdopodobnego następcę, że Pontifex być może umiera.

– Podobno wraz ze swoim przyjacielem, Dinitakiem, pojechał do Normork w odwiedziny do swojej matki – powiedziała Varaile przytomnie. – Powinien zostać poinformowany o sytuacji. Teotasio...

Natychmiast usiadł na baczność.

– Zajmę się tym bezzwłocznie – oświadczył i wyszedł z sali.

A teraz? Co miała teraz zrobić?

Sprawnie improwizując zwróciła się do delegata Pontyfikatu.

– Oczywiście, przekażcie naszą najgłębszą troskę o zdrowie jego wysokości, smutek z powodu jego choroby i najszczerze życzenie, by okazała się być przejściowa... – bezskutecznie szukała w głowie dalszych wyrazów współczucia, urwała więc w pół zdania.

Jednak Phraatakes Rem, sprawnie podchwytnując jej intencję, odparł gładko:

– To właśnie zrobimy, bez obaw. Błagam cię jednak, moja pani, nie reagujmy przesadnie. W sformułowaniu wiadomości, którą otrzymałem, nie było nic naglącego. Gdyby Wysoki Rzecznik uznał, że jego wysokość jest bliski śmierci, zupełnie inaczej przekazałby tę informację. Rozumiem niepokój, który moja pani może czuć na myśl o nieuniknionej zmianie

rządów i zrozumiałe, że wszyscy tu zgromadzeni odczuwamy podobnie, wiedząc, że nasza rola w rządzie może wkrótce dobiec końca, ale pomimo to...

W odmierzony ton pontyfikalnego delegata wdarło się basowe dudnienie głosu silnego Wielkiego Admirala, Gialaurysa.

– A co, jeśli Confalume naprawdę czuje się źle? Chciałbym zauważyć, że mamy wśród nas maga, który widzi to, co ma nadejść. Czy nie powinniśmy zapytać go o zdanie?

– Czemu nie? – zawołał ze szczerego serca Septach Melayn. – Czemu mamy pozostawać w niepewności? – Dobrze znano jego niechęć do wszelkiej magii, podobnie jak wiarę Wielkiego Admirala w potęgę czarnoksięstwa. Jednak ci dwaj, którzy byli podporami Prestimiona podczas wojny z uzurpatorem Korsibarem, już dawno zaakceptowali przepaść różnic osobowości i przekonań, które ich dzieliły. – Zapytajmy wysokiego maga bez chwili zwłoki! Jak myślisz, Maundigandzie-Klimdzie? Czy stary Confalume nas opuści, czy nie?

– Tak – powiedziała Varaile. – Zbadaj dla nas przyszłość Pontifexa, Maundigandzie-Klimdzie. Jego i naszą.

Wszystkie oczy zwróciły się na Su-Suherisa, który, jak zawsze, stał w oddaleniu od innych, w milczeniu, zagubiony w obcych myślach, niepojętych dla zwykłych ludzi.

Miał złowrogą postać, był wysoki na ponad siedem stóp, wyglądał imponująco w bogatych, fioletowych szatach i wysadzonym klejnotami naszyjniku, który podkreślał jego stanowisko głównego maga dworu. Jego dwie blade, bezwłose głowy wznosiły się majestatycznie na długiej, podobnej do kolumny, rozwidlonej szyi jak wydłużone bańki z marmuru, a dwie pary wąskich, szmaragdowozielonych oczu jak zawsze pozostawały nieprzeniknione.

Spośród wszystkich ras, które osiedliły się na Majjipoorze, Su-Suherisowie byli niewątpliwie najbardziej tajemniczy. Większość ludzi widziała w nich potwory i bała się ich z powodu lodowatego zachowania i dziwnego wyglądu, wyraźnie nie z tego świata. Nawet ci Su-Suherisowie, którzy, jak Maundigand-Klimd, z chęcią zadawali się z przedstawicielami innych ras, nigdy nie nawiązywali z nimi przyjaźni. Mieli jednak dostęp na najwyższych kręgów władzy z racji swoich niewątpliwych zdolności magicznych i wróżbiarskich.

Maundigand-Klimd wyjaśnił kiedyś Prestimionowi technikę, która pozwalała mu zaglądać w przyszłość. W jakiś sposób tworzył połączenie pomiędzy swymi dwoma umysłami, tworząc wir mocy psychicznych, który na krótko rzucał go w dół biegu rzeki czasu. Z podróży tej powracał z zamazanymi, dwuznacznymi obrazami tego, co miało nadejść. Właśnie teraz wprowadził się w ten wróżebny stan.

Varaile patrzyła na niego w napięciu. Nie wierzyła zbyt w potęgę czarnoksięstwa,

nie bardziej niż Prestimion czy Septach Melayn, ale ufała Maundigandowi-Klimdowi i uważała jego przepowiednie za dużo bardziej wiarygodne niż pochodzące od jego kolegów po fachu. Gdyby teraz miał powiedzieć, że Pontifex zaraz umrze...

Jednak Su-Suheris po pewnym czasie oświadczył po prostu:

– Nie ma w tej chwili powodu do obaw, moja pani.

– Confalume będzie żył?

– Nie grozi mu obecnie śmierć.

Varaile westchnęła głęboko i z ulgą opadła na oparcie tronu.

– Doskonale – powiedziała po chwili. – Wygląda na to, że otrzymaliśmy odroczenie.

Czy możemy zaakceptować je bez dalszych pytań i przejść do innych spraw? Tak, zajmijmy się tym – zwróciła się do Belditana Młodszeo z Gimkandale, kanclerza Rady, który zajmował się planami zebrań. – Gdybyś był nam łaskaw przypomnieć, hrabio Belditanie, jakie sprawy wymagają dzisiaj naszej uwagi...

Delegat Pontyfikatu i Hierarchini Bernimorn pożegnali się i wyszli, gdyż ich obecność na zebraniu nie była już wskazana. Varaile zajęła się znów rutynowymi sprawami z radosnym zapałem.

To naprawdę było odroczenie. Chwila wytchnienia przed tym, co nieuniknione. Nie będą musieli opuszczać skąpanego w słońcu Zamku i jego wyniosłej Góry i przenosić się do ciemnych głębin Labiryntu. Przynajmniej nie teraz. Jeszcze nie. Jeszcze nie w tej chwili.

Pod koniec zebrania, kiedy uporali się z mnóstwem błahostek, którym udało się tego poranka zwrócić uwagę wielkich, potężnych ludzi tego świata, Septach Melayn pozostał w sali tronowej, pomimo że wszyscy już poszli. Delikatnie ujął Varaile za rękę i przemówił łagodnie:

– Obawiam się, że to było ostrzeżenie. Bez wątpienia zbliża się koniec Confalume'a. Musisz się, pani, przygotować na wielkie zmiany. Wszyscy musimy.

– Przygotuję się, Septachu Melaynie. Wiem, że muszę.

Patrzyła w górę, na jego twarz. Choć była wysoka, górował nad nią ten wielki, chudy, pająkowany człowiek o niezwykle długich kończynach i smukłym ciele, które nawet teraz, pomimo upływu lat, zachowało cudowną grację i łatwość ruchów.

W ostatnich latach Septach Melayn stał się jeszcze bardziej kanciasty. Zdawało się, że nie miał ani odrobiny zbędnego ciała, a jednak wciąż promieniował specyficznym pięknem, nieczęstym u mężczyzn. Był idealnie elegancki: jego postawa, sposób ubierania, rozsypane loki starannie ułożonych włosów, wciąż złotych mimo upływu lat, krótka, spiczasta bródka i

krótko przycięty wąsik – wszystko to zawsze wydawało się doskonale. Był arcymistrzem fechtunku. Nigdy nie przegrał pojedynku, a tylko raz został zraniony, gdy walczył przeciwko pięciu przeciwnikom w strasznej bitwie z czasów wojny z Korsibarem. Prestimion od zawsze kochał go jak brata za cięty humor i oddanie i Varaile z czasem też na pewien sposób go pokochała.

– Czy myślisz – zapytała – że Prestimion jest w głębi duszy gotów zostać Pontifexem?

– Nie wiesz tego lepiej niż ja, moja pani?

– Nigdy z nim o tym nie rozmawiam.

– A więc pozwól wyjaśnić sobie, pani – powiedział Septach Melayn – że jest tak gotów, jak to tylko możliwe. Przez te wszystkie dziesięciolecia, najpierw jako wyznaczony na Koronala, potem jako Koronał, musiał zdawać sobie sprawę, że na końcu jego życia leży Pontyfikat. Brał to pod uwagę. Pamiętaj, że *walczył*, by zostać Koronałem. Nie otrzymał tego stanowiska po prostu. Przez pełne dwa lata prowadził wojnę z Korsibarem, pokonał go i odebrał tron, który został mu skradziony. Czy walczyłby tak zaciekle o koronę gwiazd, gdyby nie był pogodzony z faktem, że po Zamku czeka go Labirynt?

– Mam nadzieję, że masz rację, Septachu Melaynie.

– Wiem, że ją mam, pani. I ty również.

– Może i tak.

– Zostanie Pontifexem nigdy nie będzie dla Prestimiona tragedią. To część obowiązków, nałożonych na niego, gdy Lord Confalume wybrał go na Koronala. A wiesz, że nigdy nie uchylał się od obowiązków.

– Tak, oczywiście. Ale... ale...

– Wiem, pani.

– Zamek... byliśmy tu tacy szczęśliwi...

– Żadnemu Koronałowi nie jest miło go opuszczać. Ani małżonce Koronala. Ale tak było od tysięcy lat, że najpierw jest się Koronałem, potem trzeba zostać Pontifexem, zejść w głąbiny Labiryntu i do końca życia mieszkać pod ziemią, i...

Septach Melayn przerwał gwałtownie. Przestraszona Varaile zauważyła, że oczy zaszyły mu mgłą.

Kiedy nadejdzie czas Prestimiona, jego przyjaciel także opuści Zamek. Podobnie jak pozostali, pójdzie za Prestimionem nawet do Labiryntu. Zrozumienie tego zabolalo go i przez chwilę, krótką chwilę, Septach Melayn nie potrafił ukryć bólu.

Potem ta trudna chwila minęła. Powrócił jasny uśmiech dandysa i Septach Melayn dotknął czubkami palców złocistych loków nad czołem, mówiąc:

– A teraz przepraszam, lady Varaile, ale nadeszła pora lekcji fechtunku i uczniowie czekają.

Zebrał się do wyjścia.

– Zaczekaj – powiedziała. – Jeszcze jedno. Przypomniałeś mi o tym mówiąc o fechtunku.

– Pani?

– Czy w twojej grupie jest miejsce na jeszcze jednego ucznia? Mam kogoś takiego. Keltryn z Sipermit, od niedawna na Zamku.

Septach Melayn miał zaskoczoną minę.

– Pani, Keltryn zazwyczaj nie jest imieniem męskim.

– Zaiste, nie jest. Mówię o *lady* Keltryn, młodszej siostrze dekkeretowej Fulkari, która przedwczoraj prosiła mnie o wstawienie się za nią. Ponoć ta Keltryn całkiem sprawnie posługuje się bronią i chciałaby móc skorzystać ze specjalnego treningu, jaki zapewnić możesz tylko ty.

– Kobieta? – wykrztusił Septach Melayn. – Dziewczyna?

– Nie proszę cię, żeby została twoją kochanką. Chciałabym tylko, byś przyjął ją do swojej grupy.

– Ale czemu kobieta miałaby chcieć uczyć się fechtunku?

– Nie mam pojęcia. Może uważa, że to przydatna umiejętność. A może powinieneś sam ją o to spytać.

– A jeśli któryś z moich młodzieńców ją skrzywdzi? Broń treningowa jest tępa, ale mimo to może spowodować obrażenia.

– Mam nadzieję, że nie poważniejsze niż parę siniaków. Powinna to jakoś znieść. Przecież chyba nie zamierzasz jej odmówić tak po prostu, Septachu Melaynie! Kto wie? Może nauczysz się od niej czegoś, czego do tej pory o nas nie wiedziałeś. Przyjmij ją, Septachu Melaynie, proszę cię wprost.

– W takim razie jak mógłbym odmówić? Przyślij do mnie tę lady Keltryn, a ja zamienię ją w najlepszego fechmistrza, jakiego znała ziemia. Przysięgam ci to, pani. A teraz... za pozwoleniem, chciałbym się oddalić...

Varaile skinęła głową. Uśmiechnął się do niej, odwrócił i odszedł zamaszystymi krokami jak długonogi chłopak, którym był wiele lat temu, zostawiając ją w pustej sali tronowej.

Stała tam długo, pozwalając złym myślom wyparować.

Potem powoli wyszła, skręciła w lewo, w labirynt przejść, prowadzących ku dziwnej

budowli o pięciu wierzchołkach, znanej jako Wieża Lorda Arioca, z której roztaczał się wspaniały widok na cały Wewnętrzny Zamek: na Dziedziniec Pinitora, staw Lorda Siminave, dalej rotundę Lorda Haspara, delikatne, lekkie balkony, zbudowane z polecenia Lorda Vildivara w niepojęcie odległych czasach.

Jakie to było piękne! Jak cudownie ten zbiór ciekawych budowli, zbieranych przez siedem tysięcy lat, pasował do siebie i tworzył gigantyczne, niezrównane dzieło sztuki architektonicznej!

Znakomicie, pomyślała Varaile.

Prestimion wciąż jest Koronalem, a ja wciąż mieszkam na Zamku, przynajmniej na razie.

W końcu wybije godzina, w której obowiązek pociągnie ich do Labiryntu. Takie były zasady, niezmiennie od powstania świata. Przechodził przez to każdy Koronał i każda żona Koronała.

Niech Bogini zachowa w swej opiece Pontifexa Confalume'a, modliła się w myślach.

Nie było jednak wątpliwości, że życie Pontifexa dobiegało kresu. Ale najpierw, niech dane nam będzie jeszcze trochę czasu na Zamku. Tylko kilka miesięcy. Rok. Może dwa. Tyle, ile się da.

Znajdowali się na granicy Równiny Biczów. Przed nimi, niczym czerwona ściana wznosząca się na horyzoncie, leżała wąska linia płaskich urwisk z piaskowca, na których Pięciu Lordów wzniosło swoje pałace. Za nimi potężna rzeka Zimr płynęła na wschód.

– Spójrz, panie – powiedział Jacomin Halefice, wskazując w kierunku czerwonych wzgórz. – Sądzę, że jesteśmy prawie w domu.

Prawie w domu, pomyślał Mandralisca, uśmiechając się kwaśno. *Tak*. Dla niego to zdanie było tylko ponurym żartem.

On był w domu właściwie gdziekolwiek, wszędzie i nigdzie na świecie. Było mu to całkowicie obojętne, każde miejsce było w jego oczach takie samo. Przez moment uważał za dom niebezpieczne dżungle Stoienzar, wcześniej cele Zamku Lorda Prestimiona, jeszcze wcześniej wspaniałe kwatery we wciąż rozrastającym się Ni-moya. Żył też w wielu innych miejscach od czasu gorzkiego dzieciństwa w zapomnianym miasteczku wśród ośnieżonych szczytów Gór Gonghar, dzieciństwa, którego wolałby nie pamiętać. Przez ostatnie pięć lat postanowił nazywać domem tę suchą i tajemniczą okolicę w centralnym Zimroelu. Spoglądając teraz z granicy rozciągającej się przed nim piaszczystej, nieprzyjaznej równiny na spalone słońcem, czerwone urwiska gotów był przyznać Halefice'owi, że owszem, był prawie w domu, choć słowo to znaczyło naprawdę niewiele.

– To pałace ich lordowskich mości, prawda, wasza miłość? – spytał Jacomin Halefice, wskazując palcem szczyt. Adiutant jechał u boku hrabiego na spasionym, spokojnym, lawendowym wierzchowcu, który z trudem dotrzymywał kroku ostrzejszemu zwierzakowi Mandraliski.

Hrabia osłonił oczy od słońca i spojrzał w górę.

– Trzy z nich. Widzę dom Gaviniusa, Gavahauda i Gavdata – lśniące, szare kopuły z ceramicznych płytek połyskiwały czerwono w ostrym słońcu południa. – Za wcześnie jeszcze, jak sądzą, by wypatrzeć dwa pozostałe. Czy może ty już je widzisz?

– Nie, jeszcze nie, panie.

– Ja też nie – odparł Mandralisca.

Kiedy Pięciu Lordów postanowiło wcielić w życie swój nieco dziwny i sekretny plan zerwania ze zwierzchnictwem centralnej władzy, zdecydowali nie zakładać głównej kwatery w pałacu stryja w Ni-moya. Byłoby to z ich strony bardzo nieostrożne. Choć z natury bardzo nieostrożni, czasami zgadzali się posłuchać głosu rozsądku. Za radą Mandraliski zgodzili się przybyć do tej słabo zaludnionej i zaniedbanej prowincji, zwanej Gornevon, leżącej w połowie drogi pomiędzy Ni-moya i Verf na południowym brzegu Zimru.

Chociaż była to rzeka żeglowna na całej, przekraczającej siedem tysięcy mil długości, od Ryftu Dulorn na dalekim zachodzie aż po Piliplik nad Morzem Wewnętrznym, w tej okolicy sprawiała wiele problemów. Wszędzie indziej jej brzegi obfitowały w wygodne miejsca do zakotwiczenia i pobudowano wzdłuż nich bogate miasta: Khyntor, Mazadone, Verf i wiele innych, a Ni-moya było największe z nich wszystkich, jak dostojna królowa miast zachodniego kontynentu.

Jednak tu, w Gornevon, na południowym brzegu wprost z wody wyrastała linia stromych, pionowych wręcz urwisk z piaskowca. Tworzyły one imponującą, a w praktyce również nieprzebytą barierę, niczym nieprzeniknioną ścianę pomiędzy rzeką a ziemią na południu. Wzdłuż tego odcinka rzeki nie dało się też znaleźć żadnego miejsca choćby pozornie zdadnego do zacumowania, nawet nadającego się dla małych łodzi.

Wszystko to sprawiało, że południowy brzeg Zimru był w tej części kraju praktycznie niedostępny i zrezygnowano z handlu w tej okolicy. Na przeciwległym brzegu, dokładnie naprzeciwko pałaców Pięciu Lordów, znajdował się piękny port w kształcie półksiężyca, który przyniósł bogactwo miastu Horvenar, po tej jednak stronie nie było nic poza płaskimi, czerwonymi klifami i położoną na południe od nich pustynią, suchą, spaloną krainą, której nikt nigdy nie zechciał zasiedlić z powodu braku dostępu od strony rzeki i bardzo trudnej trasy lądowej z południa. To tutaj, za namową Mandraliski, Pięciu Lordów założyło swoją stolicę.

Było to pozbawione radości, niegościnne terytorium. W Gornevon często panowała susza. Prowincja ta leżała w cieniu zachodniej części leżącego pośrodku kontynentu pasma gór Gonghar, którego długi, imponująco wysoki łańcuch zaśnieżonych szczytów zatrzymywał przywiewane z południowego wschodu, z ziem Zmiennokształtnych, letnie deszcze. Z drugiej strony prowincji znajdowała się wysoka na milę Skarpa Velathys, zatrzymująca zimowe deszcze niesione zachodnim wiatrem znad Wielkiego Morza. Z tego powodu Gornevon był jakby kieszonkową pustynią w żyznym, bogatym Zimroelu, jednym z najsuchszych miejsc na całym, ogromnym kontynencie.

– Ech, a gdybyśmy tak dojeżdżali teraz do Ni-moya... – powiedział Halefice,

chichocząc.

Mandalisca odpowiedział mu chłodnym uśmiechem.

– Kochasz wygodę, prawda, przyjacielu?

– A kto jeśli nie szaleniec, albo Pięciu Lordów, przedłożyłby to miejsce nad Ni-moya, wasza miłość?

Mandalisca wzruszył ramionami.

– Zaiste, kto, jeśli nie szaleniec? Ale idziemy tam, gdzie iść musimy. Przeznaczenie wysłało nas tutaj, więc niech i tak będzie.

Pięciu braci nie ośmieliło się wykorzystać Ni-moya jako kwatery głównej powstania, choć było ono siedzibą ich przodków i to z niego ich stryj, Dantirya Sambail, rządził Zimroelem jak król. Prestimion uwięził go po bitwie pod Granią Thegomar pod koniec wojny z Korsibarem, ale w końcu przebaczył. Zwycięski Koronal pozwolił mu zachować ziemie i majątek. Odebrał mu jednak tytuł prokuratora i pozbawił władzy poza własnymi, niemałymi posiadłościami. To wszystko zdarzyło się przed szesnastu laty. Od tego czasu w Zimroelu nie było prokuratorów.

Drugi bunt Dantiryi Sambaila zakończył się jego śmiercią z ręki Septacha Melayna w podmokłych lasach Stoienzar. Ziemie po nim odziedziczyli jego nieokrzesani, brutalni bracia, Gaviad i Gaviundar. Gdy zaś zmarli, przeszły one na pięciu synów Gaviundara, którzy pragnęli odzyskać władzę nad całym Zimroelem, taką jaką miał ich stryj. Chcieli wykorzystać fakt, że rząd i jego dwóch monarchów, Pontifex i Koronal, znajdował się daleko na drugim kontynencie, Alhanroelu, gdzie położone były obie stolice.

Ludność gęsto zaludnionego Zimroelu odczuwała tylko abstrakcyjny związek z tamtą władzą. Owszem, deklarowali, że są poddanymi Koronala, ale władza prokuratora, jednego z nich, zawsze była im bliższa. Przywykli do jego despotycznych rządów. Był człowiekiem wyjątkowo nieprzyjemnym, ale to jego energiczna władza zapewniła Zimroelowi dobrobyt i stabilizację. Z tego powodu bardzo prawdopodobne było – mówili sobie synowie Gaviundara – że nawet po półtorej dekady lud Zimroelu przyjmie spadkobierców prokuratora, książąt czystej, sambailidzkiej krwi, jako swoich panów.

W oczywisty sposób rozpoczęcie przejmowania władzy od Ni-moya nie miało sensu. Miasto to było centrum administracji zachodniego kontynentu, siedliskiem biurokratów Pontyfikatu. Gdyby ktokolwiek z klanu Sambailidów oświadczył, że pragnie odzyskać dawną rodzinną władzę nad czymkolwiek poza ich własnymi ziemiami, natychmiast przekazano by tę informację z Ni-moya do Labiryntu, a stamtąd na Zamek i wkrótce królewska armia pod wodzą Koronala wyruszyłaby do Zimroelu, by przywrócić sprawom ich właściwy bieg.

Za to tutaj, w głębi kraju, można było robić wszystko, nawet ogłosić się władcą rozległych ziem i mogły minąć lata, nim wiadomość o tym dotarłaby do Koronała na szczycie Góry Zamkowej albo do zwierzchnika Koronała, Pontifexa, w jego podziemnym schronieniu. Majipoor był tak wielki, że wieści, nawet na śmigłych skrzydłach, roznosiły się powoli.

W ten oto sposób pięciu braci zajęło odległą placówkę i nadało sobie nowy, wspaniale brzmiący tytuł: nazwali się Lordami Zimroelu, prawdziwymi spadkobiercami prokuratorów z dawnych czasów. Pozwolili, by wieść, że teraz to oni sprawują władzę, powoli się rozchodziła, sięgała kolejnych wiosek w przyległych rejonach Zimroelu po obu brzegach rzeki. Póki co pozostawili w spokoju nadrzeczne miasta, gdyż jakakolwiek ingerencja w handel na Zimrze spowodowałaby szybką reakcję rządu centralnego. Zażądali jednak przysięgi wierności od osad rolniczych rozrzuconych na setki mil na południe i północ od rzeki, na wschód aż do Immanali i niemal do Dulorn na zachodzie i otrzymali je. Zyskali w ten sposób dziedzinę, którą mogli powiększać.

Sam Mandralisca, dawny najbliższy podwładny Dantiryi Sambaila, a obecnie główny doradca jego pięciu bratanków, zasugerował im nowe tytuły.

– Nie możecie nazywać się prokuratorami – powiedział. – To będzie natychmiastowym wypowiedzeniem wojny.

– Ale „lordowie”? – wahał się Gaviral, najstarszy i najsprytniejszy z braci. – Na Majipoorze tylko Koronał może nazywać się „lordem”, nieprawdaż, Mandralisco?

– Tylko Koronał może używać tego tytułu razem z imieniem: *Lord Prankipin*, *Lord Confalume*, *Lord Prestimion*. Jednak każdy książę czy diuk jest swego rodzaju lordem na własnym terenie i można się do niego zwracać „lordowska mość”. Tutaj wprowadzimy małe rozróżnienie. Będziecie Pięcioma Lordami Zimroelu, ale nie będziecie o sobie mówić *Lord Gaviral*, *Lord Gavinius*, *Lord Gavdat* i tak dalej. Będziecie jego lordowską mością Gavirałem, jego lordowską mością Gaviniusem, i tak dalej...

– Zdaje mi się, że to bardzo subtelne rozróżnienie – powiedział Gaviral.

– Mnie się podoba – oświadczył Gavahaud, najbardziej próżny z całej piątki. – Jego lordowska mość Gavahaud! Chwała jego lordowskiej mości Gavahaudowi! Nieźle brzmi, co, lordzie Gavilomarinie?

– Uwaga – powiedział Mandralisca. – Już ci się pomyliło. Nie lord Gavilomarin, a jego lordowska mość Gavilomarin. Kiedy przemawia się wprost do niego, można powiedzieć „milordzie”, jednak wraz z imieniem mówi się wyłącznie „jego lordowska mość Gavilomarin”, nigdy samo „*Lord Gavilomarin*”. Czy to jasne?

Pojęli to dopiero po dłuższej chwili. Nie zdziwiło go to. W ocenie Mandraliski byli

tylko bandą błaznów.

Z zadowoleniem przyjęli nowe tytuły. Z czasem okolica i kilka pobliskich prowincji poznały ich jako Pięciu Lordów Zimroelu. Nie wszyscy ochoczo przyjmowali powrót Sambailidów do władzy. Pan na Vorthinar, żeby daleko nie szukać, drobne ksiąŜątko ziem na północ od Zimru, miał własne pomysły dotyczące władzy niezależnej od Alhanroelu i odrzucił propozycję Sambailidów tak niegrzecznie i kategorycznie, że zmuszeni byli wysłać Mandraliskę, by się nim zajął. Było jednak wielu takich, którzy kochali Dantiryę Sambaila i żywili urazę do Prestimiona, obcego, który pozbawił go władzy. Przybywali z różnych stron, by zadeklarować swoje poparcie dla Pięciu Lordów. Bardzo powoli tu, w zapomnianej części Zimroelu, rodził się cień sambailidzkiej administracji.

Pięciu Lordów wybierało w swojej z wolna rosnącej dziedzinie urzędników i ustalało prawa. Udało im się przejmować podatki, zbierane przez poborców Pontyfikatu. Zbudowali sobie pięć pałaców naprzeciw Horvenar, na czerwonych urwiskach Gornevon. Domy Gavdata, Gaviniusa i Gavahauda stały w jednej grupie obok siebie; nieco dalej na zachód, na niewielkim wzniesieniu z lepszym niż mieli bracia widokiem na rzekę, znajdował się pałac Gavirala, Gavilomarina zaś na wschodzie, oddzielony od pozostałych niskim, bocznym wzniesieniem. Z tych pięciu pałaców zamierzali stopniowo rozszerzać swoją władzę na kontynent, którym ich potężny stryj rządził w praktyce jak król.

Dotychczas rząd Pontifexa Confalume'a i Koronala Lorda Prestimiona w odległym Alhanroelu nie zwracał uwagi na to, co działo się w Zimroelu. Być może wciąż pozostawali w nieświadomości.

Pięciu Lordów zdawało sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmują. Jednak Mandralisca pokazał im, jak ciężko byłoby imperialnemu rządowi podjąć jakiegokolwiek działania przeciwko nim. Trzeba by zebrać armię w Alhanroelu i jakoś przetransportować ją na drugi kontynent przez Morze Wewnętrzne. Później imperialne wojsko musiałoby przejąć praktycznie całą flotę rzeczną Zimru, by z jej pomocą dostać się w górę rzeki, na terytorium buntowników, albo maszerować lądem przez wiele tysięcy mil i kolejne, zapewne wrogie, prowincje.

Nawet gdyby to im się udało i gdyby odzyskali kontrolę nad zbuntowanymi rolnikami, wciąż nie byłoby łatwo wypędzić Pięciu Lordów z ich gniazda na szczycie wzgórza, wysoko nad Zimrem. Nie było sposobu, by wspiąć się na czerwone urwiska od strony rzeki. Zostawała więc tylko droga z południa, przez pustynię, dokładnie tą trasą, którą w tej chwili jechał Mandralisca i jego ludzie. A była to naprawdę piekielna droga.

8

Wieczorem justycjariusz Corde wysłał posłańca do kwater Dekkereta i Dinitaka i zaprowadzono ich pod obstawą do pałacu hrabiego na oficjalny bankiet, pierwszy z kilku zaplanowanych na czas pobytu Dekkereta w Normork.

Dorastając, Dekkeret dość często bywał w pałacu. Znał ten budynek z szarego kamienia, niski i niemal pozbawiony okien, przyciśnięty do murów miejskich w miejscu, gdzie zakręcały one szeroko wokół wystającej ostrogi Góry Zamkowej. Było to ciemne, ponuro wyglądające, podobne do fortecy, niegościnne miejsce. Nawet sześć smukłych, wystających z dachu minaretów, które w zamyśle architekta miały zapewne dodawać budynkowi lekkości, wyglądało jak garść ostrych włóczni.

Wewnątrz był równie ponury, co na zewnątrz. Od środka budynek zdawał się być dwa razy większy i może czterokrotnie brzydszy. Dekkeret i Dinitak szli długimi, pełnymi cieni, zagmatwanymi korytarzami, oświetlonymi tylko przez kopące pochodnie i niepasujące do tego miejsca światła żarowe. Mijali rozchodzące się jak szprychy, boczne korytarze z czarnej cegły, ozdobione tylko gdzieniegdzie bezsensownymi posągami jakichś pradawnych postaci albo niezdarnie wykonanymi arrasami, przedstawiającymi zapomnianych panów i damy, zajętych pańskimi rozrywkami. Dotarli wreszcie do ciemnej, zimnej od przeciągów sali bankietowej hrabiego Considata, gdzie czekała na nich szlachta Normork.

To był potwornie męczący wieczór. Najpierw przemawiał Considat i powitał najślawniejszego syna Normork w jego rodzinnym mieście. Hrabia odziedziczył tytuł zaledwie przed rokiem, był młody, sympatyczny, niemal nieśmiały, znacznie przyjemniejszy w obyciu i mowie od swojego szorstkiego, niewychowanego ojca. Był jednak fatalnym mówcą, perorował bezustannie, jakby nie wiedział, kiedy zakończyć swoją przemowę, wylewał z siebie potok bezsensownych frazesów. W pewnym momencie Dekkeret zdrzemnął się i do porządku przywołał go dopiero ostry kuksaniec, którym pod stołem poczęstował go Dinitak.

Następnie przyszła pora na przemowę Dekkereta. Miał przekazać pozdrowienia od Lorda Prestimiona i – jako że to był oficjalny powód wizyty – pogratulować hrabiemu i

hrabinie narodzin syna. Wyjaśnił, że Lord Prestimion żałuje, że nie mógł osobiście przekazać prezentu. Ludzie Dekkereta wnieśli rzeczony podarunki. Przemówił justycjariusz Corde. Głos zabrało też kilku innych dworskich oficjeli, zapewne chcących zrobić wrażenie na przyszłym Koronalu, lecz mówili zbyt wiele i raczej męcząco. Kolejny raz przemówił hrabia Considat, nie lepiej niż za pierwszym razem, ale przynajmniej nieco krócej. Dekkeret, nieco zaskoczony, na poczekaniu zaimprovizował odpowiedź. Dopiero wtedy wreszcie podano posiłek, na który składała się procesja dań z rozgotowanych, nie dość przyprawionych mięs, nadwiędłych warzyw i zbyt wcześnie otwartych win. Po kolacji nastąpiły kolejne mowy. Tylko zebranie całej cierpliwości i samodyscypliny pozwoliło Dekkeretowi przetrwać tę niekończącą się ceremonię.

Aż za dobrze zdawał sobie sprawę, ile podobnych wieczorów czeka go w nadchodzących latach. Kiedyś, gdy był dużo młodszy, wyobrażał sobie, że życie Koronala składa się z nieustannych uczt, turniejów i przyjemności, od czasu do czasu przerywanych koniecznością podjęcia ważkiej, dramatycznej decyzji, która może zmienić losy milionów ludzi. Teraz zmądrzał i poznał prawdę.

Następnego dnia, z braku oficjalnych zajęć przed zmrokiem, Dekkeret i Dinitak wybrali się na spacer po mieście tylko we dwóch – jeśli nie liczyć tuzina ochroniarzy. Wyszli o poranku, przyjemnym i ciepłym, powietrze pachniało nieustającą wiosną Góry Zamkowej, słońce świeciło jasno i mocno. Poszarpane skały Góry, wznoszące się zewsząd za murami miasta, świeciły w tym oświetleniu jak czerwony brąz.

Ci, którzy odwiedzali Normork, często komentowali kontrast pomiędzy oszałamiającym pięknem otoczenia, w którym je zbudowano, a ciemnym, ponurym wyglądem samego miasta, stłoczonej masy szarych budynków, skulonych w cieniu gigantycznego, czarnego muru. Dekkeret, który się tutaj wychował, przyjmował posępny wygląd miasta jak coś naturalnego. Nie widział w nim nic dziwnego, co więcej, wcale nie zwracał na niego uwagi. Teraz jednak po raz pierwszy zaczął widzieć swoje miasto oczyma tych, którzy je krytykowali. Pomyślał, że może te wszystkie lata spędzone w otwartych górnych rejonach Góry Zamkowej zaczęły zmieniać jego pojmowanie tego miejsca.

Mury miejskie były nie do zdobycia od zewnątrz. Wewnątrz za to wszędzie pobudowano kamienne schody, prowadzące na ich szczyt. Można było łatwo dostać się po nich na szeroką na dziesięciu idących ramię w ramię ludzi drogę, która biegła górą wokół muru. Dekkeret i Dinitak w towarzystwie nieodłącznej grupy ochroniarzy wspięli się po schodach naprzeciwko hotelu.

W ciszy ruszyli na zachód, by obejść miasto wokół. Po pewnym czasie Dekkeret skinął na przyjaciela, by podszedł wraz z nim do zewnętrznej krawędzi muru. Wychylił się daleko i powiedział:

– Widzisz tę drogę dokładnie pod nami? Tę, co wygląda jak biała wstęga, wyciągnięta daleko na wschód? Prowadzi do Dundilmir i Stipool i innych miast na tym poziomie Góry To główna droga dojazdowa do Normork z tych miast i wszystkich miejsc leżących poniżej. Zauważ jednak, że nigdzie nie wjeżdża do miasta. Nie może, bo znajduje się po złej stronie. Już widziałeś, że jedyne wejście do miasta jest tam, od strony wierzchołka Góry.

Dinitak spojrział i skinął głową.

– To fakt. Droga podchodzi pod sam mur w miejscu, gdzie stoimy, ale nie ma jak wejść do miasta. Zamiast tego skręca więc w lewo i biegnie wzdłuż muru, wokół połowy miasta, aż... aż co? Aż do tej głupiej, małej bramy?

– Właśnie tak. Z drugiej strony łączy się z drogą, którą przybyliśmy z Zamku i razem wjeżdżają do Normork przez Oko Stiamota.

– Tak więc podróżni z niższych partii Góry muszą objechać całe miasto, by wjechać bramą od strony szczytu? Co za bezsensowny układ!

– To prawda. Ale nadchodzą zmiany.

– O?

– Mówiłem ci, że mam plany co do tego miasta – powiedział Dekkeret poważnie. – Stoimy dokładnie nad miejscem, w którym pewnego dnia zamierzam wykuć drugą bramę – wykonał szeroki, zamaszty ruch ręką, wskazując na wielki fragment czarnego muru obronnego. – Posłuchaj, Dinitaku! Brama, którą zamierzam zbudować, będzie naprawdę majestatyczna, w niczym niepodobna do tej śmiesznej dziurki, przez którą wczoraj tu wjechaliśmy. Chcę, żeby była wysoka na pięćdziesiąt stóp i szeroka na czterdzieści, albo i więcej, tak, by nawet Skandarzy poczuli się mali, gdy pod nią staną. Każę ją wykonać z takiego czarnego drewna, które znam z Zimroelu, rzadkiego i drogiego drewna, które można wypolerować na wysoki połysk i będzie świeciło w porannym słońcu jak lustro. I będzie okuta żelazem i zawiasy także będą żelazne, i wydam uświęcony dekret, na mocy którego ta brama będzie zawsze otwarta, z wyjątkiem sytuacji, gdy miasto będzie zagrożone, o ile to się kiedykolwiek wydarzy. Jak ci się to podoba?

Dinitak przez chwilę milczał, marszcząc brew.

– Zastanawiam się – powiedział wreszcie.

– Tak?

– Przyznaję, to brzmi imponująco. Ale sądzisz, Dekkerecie, że tutejsi ludzie *pragną*

takiej bramy? Byłem tu przez mniej niż półtora dnia, ale wyraźnie widzę, że mieszkańcy Normork nade wszystko przejmują się *bezpieczeństwem*. Pragną go tak, że aż tracą wszelki rozsądek. Są najostrożniejszymi ludźmi na świecie. A ten wielki, czarny, nieprzenikniony mur, który tak kochają, jest symbolem tej obsesji. Bez wątpienia to dlatego jedyny w nim otwór jest taki mały, dlatego zamykają go na klucz o zachodzie słońca. Myślisz, że choć trochę obchodzi ich wygoda podróżników, przybywających z dołu zbocza, w porównaniu z ich własnym bezpieczeństwem? Jeśli przyjdiesz i wywalisz w ich murze wielką, ziejącą dziurę, jaka jest szansa, że cię za to pokochają?

– Będę wtedy Koronalem. Pierwszym Koronalem, który urodził się w Normork.

– Nawet mimo to...

– Nie. Zaakceptują moją bramę, jestem tego pewien. *Pokochają* moją bramę. Może nie od razu. Przyznaję, że będą potrzebowali czasu, żeby się do niej przyzwycząić. Ale to będzie przewspaniała brama, nowy symbol miasta, ludzie będą przybywać z całej Góry Zamkowej, żeby go zobaczyć. A obywatele miasta będą ją wskazywać i mówić „Oto ona, oto brama, którą zbudował nam Lord Dekkeret, najwspanialsza brama na całym świecie”.

– A to, że ma cały czas być otwarta?

– Nawet to. To znak zaufania. Jakich zresztą wrogów mieliby się obawiać? Na świecie panuje pokój. Żadna armia najeźdźców nie zacznie się nagle wspinać po stokach Góry Zamkowej. Nie, Dinitaku. Może najpierw będą marudzić i narzekać, ale po bardzo krótkim czasie wszyscy zgodzą się, że ta brama jest najwspanialszą rzeczą, jaką zbudowano od czasu wzniesienia samego muru.

– Nie wątpię, że masz rację – powiedział Dinitak z najłżejszą nutką ironii w głosie.

Dekkeret ją wychwycił. Nie chciał tak zostawić tej sprawy.

– Wiem, że mam. Ta brama będzie moim pomnikiem. Przez stulecia ludzie będą ją nazywali Bramą Dekkereta. Wszyscy, którzy przyjadą z niższych partii Góry, będą przez nią przejeżdżać i gapić się z podziwem i będą mówić sobie nawzajem, że ta najcudowniejsza brama na świecie, została zbudowana dawno temu przez Koronala Lorda imieniem Dekkeret, który pochodził właśnie z miasta Normork.

Słyszając swoje własne, absurdalnie pretensjonalne słowa, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jego *pomnik*? Czy Koronał Majipooru może na serio martwić się, że zostanie zapomniany? Wszystko, co powiedział, wydało mu się dość głupie, zanim przebrzmiało echo ostatnich słów. Dinitak często tak na niego działał. Ciężko zdobyty realizm tego twardego człowieczka był przydatnym antidotum na dzikie porywy romantyzmu, które czasem zdarzały się Dekkeretowi.

Ale przysiągł sobie, że nie tym razem. Brama Dekkereta powstanie niezależnie od wątpliwości Dinitaka. Nie będzie to pewnie pierwszy projekt nowego Koronala, ale był zdeterminowany, że zrobi to prędzej czy później. Marzył o tym od wielu lat. Żadne słowa Dinitaka nie mogły zawrócić go z tej drogi.

Szli dalej wzdłuż szczytu muru.

– To pałac hrabiego, prawda? – zapytał Dinitak, wskazując nad wewnętrznym przedpiersiem. – Z tej strony wygląda zupełnie inaczej. Ale wciąż równie paskudnie.

– Być może. Być może – Dekkeret poczuł, jak gwałtownie pogarsza mu się humor. Podszedł do wewnętrznej krawędzi muru, by mieć lepszy widok, ale na drodze stało mu dwóch ubranych na czarno ochroniarzy hrabiego Considata. Przepędził ich gestem tak ostrym, że pewnie pomyśleli, iż zamierza rzucić się z muru. Odsunęli się szybko.

Dekkeret patrzył na plac przed pałacem. Twarz miał zupełnie bez wyrazu. Zaciśnął mocno usta. Przycisnął czubki palców do boków głowy i powoli masował ją tuż nad kośćmi policzkowymi.

– Co się dzieje? – zapytał Dinitak po chwili milczenia.

– Mielibyśmy stąd doskonały widok na próbę zabójstwa Koronala – odparł Dekkeret cicho. Szybkimi ruchami dłoni przedstawił tę scenę Dinitakowi. – Lord Prestimion właśnie wjechał na plac. Tam stoi jego latacz. Wysiada. Po jego lewej idzie Gialaurys. Akbalik po prawej. Nie poznałeś Akbalika, prawda? Zmarł mniej więcej kiedy dołączyłeś do nas w Stoien przed ostatecznym atakiem na Dantiryę Sambaila. Był wspaniałym człowiekiem. To on powinien zostać Koronalem, nie ja... Na schodach pałacu stoi hrabia Meglis, na trzecim albo czwartym stopniu od dołu. Idiota po prostu tam stoi, czeka, aż Prestimion pojedzie do *niego*, choć powinno być odwrotnie. Prestimion się tego nie spodziewał. Czeką, aż Meglis zejdzie po schodach, ale on stoi, i tak przez jakiś czas nikt się nie porusza.

Dekkeret zamilkł.

– A ty gdzie stałeś? – zapytał Dinitak. – Mówiłeś, że tam byłeś, że wszystko widziałeś.

– Tak. Tak. Tam, po lewej, gdzie plac przechodzi w duży bulwar, stał wielki tłum. Tysiące ludzi. Przed nami kordon straży. A ja prawie na przedzie, po tej stronie. W drugim rzędzie.

Dekkeret westchnął. Potem znów nastąpiła chwila ponurej ciszy.

Dinitak znów spytał:

– I co wtedy? Z tłumy wyskakuje zabójca z sierpem? Ktoś krzyczy, by ostrzec Koronala. Strażnicy ruszają i zabijają atakującego.

– Nie. Najpierw wychodzi dziewczyna...

– Dziewczyna?

– Piękna dziewczyna, bardzo wysoka, o kręconych, rudozłotych włosach. Szesnaście lat. Na imię miała Sithelle. Moja kuzynka. Stała tuż przede mną, przyciśnięta do sznura, który zatrzymywał tłum. Uwielbiała Lorda Prestimiona. Wstaliśmy o świcie, by zająć dobre miejsca z przodu. Miała ze sobą bukiet, który sama zebrała, setki kwiatów. Podejrzewałem, że chciała rzucić go Koronalowi. Ale nie. Nie – głos Dekkereta stał się ponury, niski i monotony. – Schyla się, prześlizguje pod sznurem i obok strażników, by móc *dać* Prestimionowi kwiaty. Bardzo niemądry pomysł. Ale jego to bawi. Gestem nakazuje strażnikom, by ją przepuścili. Bierze od niej kwiaty. Zadaje kilka pytań. I nagle...

– Człowiek z sierpem?

– Tak. Chudzielec z brodą. Szaleństwo w oczach. Szarżuje zupełnie znikąd, prosto na Prestimiona. Sithelle go nie widzi, ale myślę, że słyszy kroki, więc się odwraca, a on tnie ją sierpem, by mu nie przeszkadzała – Dekkeret strzelił palcami. – O tak. Wszędzie krew... jej gardło...

– Zabił twoją kuzynkę? – spytał Dinitak cicho.

– Musiała umrzeć niemal natychmiast.

– A jego zabili strażnicy.

– Nie – powiedział Dekkeret. – Ja.

– Ty?

– Zabójca stał po mojej lewej, oddalony o pięć czy sześć kroków. Wybiegam z tłumu zaraz za nim. Nie wiem, jak przekroczyłem sznur, tego wcale nie pamiętam, wiem tylko, że tam byłem, widziałem Sithelle z dłońmi na gardle, próbującą zatamować krew, gdy upadała, Prestimiona, stojącego w bezruchu i człowieka z sierpem, wznoszącego rękę do ciosu, i Akbalika i Gialaurysa, którzy ruszają, ale za późno. Złapałem napastnika za ramię i przekręciłem, aż się złamało. Potem złapałem go za kark i też go skręciłem. Podniosłem Sithelle, była już martwa, wiedziałem to... i odszedłem z nią w tłum, prosto, bulwarem Spuriforma na Stare Miasto. Nikt mnie nie zatrzymywał. Ludzie odsuwali się, gdy się zbliżałem. Cały byłem w jej krwi. Zniosłem ją do domu i opowiedziałem jej rodzicom, co się stało. To była najstraszniejsza godzina mojego życia. Do dzisiaj ją pamiętam.

– Kochałeś ją? Chciałeś ją poślubić, prawda? Byliście zaręczeni?

– O nie, nic podobnego. Kochałem ją, oczywiście, ale nie tak. Pamiętaj, byliśmy kuzynami. Wychowywaliśmy się właściwie jak rodzeństwo. Nasze rodziny chciały, żebyśmy wzięli ślub, ale nigdy o tym poważnie nie myślałem.

– A ona?

Dekkeret uśmiechnął się słabo.

– Ona chyba marzyła o poślubieniu Lorda Prestimiona. Wiem, że miała cały pokój w jego podobiznach. Ale to nie mogło się udać i ona pewnie o tym wiedziała. Tak, bardzo możliwe, że kochała się we mnie. Byliśmy wtedy tacy młodzi... które z nas mogło wiedzieć...

Spojrzał na plac. *Czy jej krew wciąż płami bruk?*

Nie. Nie, powiedział sobie, przestań zachowywać się jak krety.

Odezwał się Dinitak.

– Wydaje mi się, że *byłeś* w niej zakochany.

– Nie. Jestem pewien, że nie, nie wtedy. Ale – niech Bogini mi wybaczy, Dinitaku! – od tego czasu coś powoli we mnie wstępowało. Nie mogłem o niej zapomnieć. Patrzę w przeszłość i ją widzę, jej twarz, jej oczy, jej włosy, to, jak stała, jak biegła w górę i w dół tych schodów, diablaki w jej oczach... I myślę, że gdyby żyła, gdybyśmy mieli szansę trochę podrosnąć... – Dekkeret ostro potrząsnął głową. – Nieważne. Nie ma jej już dłużej, niż żyła. Nie jest bardziej rzeczywista niż ktoś, kto przychodzi do ciebie w snach. Choć, zabieramy się stąd.

– Przykro mi, że to znowu tobą wstrząsnęło, Dekkercie.

– Nieważne. I tak wciąż pamiętam. Kiedy zobaczyłem miejsce, gdzie to się stało, przez moment poczułem się gorzej. Wiesz, tego samego popołudnia Akbalik jakoś mnie odnalazł i zabrał przed oblicze Prestimiona, który zaproponował, że w nagrodę za uratowanie mu życia może zrobić ze mnie rycerza kandydata na Zamku. Wszystko, co się od tamtej pory wydarzyło, wynika wprost z tego, co stało się tego straszego dnia. Pamiętam, jak Prestimion powiedział „Kto wie? Może znaleźliśmy tu dziś następnego Koronala?” To jego własne słowa. Oczywiście, wtedy żartował.

– Ale miał rację.

– Tak. Na to wyszło. Nieprzerwana linia łączy chłopca, który wybiegł z tłumu, by ratować Lorda Prestimiona z człowiekiem, który kiedyś zasiądzie tam, gdzie siedzi Prestimion, na tronie Confalume'a – Dekkeret zaśmiał się chrapliwie. – Ja, Lord Dekkeret! Czy to nie zdumiewające, Dinitaku?

– Nie dla mnie. Ale czasem wydaje mi się, że masz pewne kłopoty z przyjęciem do wiadomości, iż naprawdę zostaniesz Koronalem.

– A ty byś nie miał?

– Nie jestem w tej sytuacji i dzięki niech będą Bogini. Jestem zadowolony z tego, kim jestem.

– Ja również, Dinitaku. Nie śpieszy mi się do przejęcia obowiązków Prestimiona. Gdyby był Koronalem przez następne dwadzieścia lat, byłbym z tego całkiem zadowolony...

Dinitak złapał Dekkereta za rękaw.

– Poczekaj. Spójrz. Tam na dole dzieje się coś dziwnego.

Spojrzał wzdłuż ramienia Dekkereta. Jakies pięćdziesiąt stóp dalej coś się działo, zaraz za kręgiem strażników Considata. Pół tuzina gwardzistów kogoś otoczyło. Machano rękoma. Słychać było niespójne, gniewne krzyki.

– To niemożliwe, by znów dokonywano próby zabójstwa – powiedział Dinitak.

– Stanowczo. Ale te półgłówki... – Dekkeret stanął na palcach, by lepiej widzieć. Aż westchnął z oburzenia. – Na Panią, to posłaniec z Zamku, a oni sprawiają mu kłopoty! Chodź, Dinitaku!

Pobiegli. Nadgorliwy strażnik stanął przed Dekkeretem i powiedział:

– Podejrzany obcy, panie. Próbowaliśmy go przepyttać, ale...

– Głupcze, nie widzisz odznaki kurierów Koronala? Odstap!

Kurier nie był znany Dekkeretowi, ale złota odznaka rozbłysku gwiazd wyglądała wystarczająco autentycznie. Posłaniec, choć w nie najlepszym stanie po interwencji strażników, zebrał się w sobie i podał Dekkeretowi kopertę, zapieczętowaną szkarłatnym znakiem Wysokiego Doradcy, Septacha Melayna.

– Mój panie, Dekkercie, przynoszę tę wiadomość... z rozkazu księcia Teotasa, w imieniu Rady. Jechałem z Zamku dzień i noc, by ją dostarczyć...

Dekkeret wyrwał mu ją, rzucił okiem na pieczęć i rozerwał kopertę. W środku znajdowała się pojedyncza, kwadratowa kartka, zapisana zdecydowanym, kwadratowym, chłopcim pismem Teotasa. Oczy Dekkereta szybko prześlizgiwały się po słowach, raz, drugi, trzeci...

– Złe wiadomości? – zapytał po chwili Dinitak.

Dekkeret skinął głową.

– Tak. Pontifex jest chory. Być może miał udar.

– Umiera?

– Nie użyto tego słowa. Ale kiedy choruje dziewięćdziesięcioletni człowiek, trzeba o tym myśleć. Jestem wzywany na Zamek – Dekkeret zachichotał wymuszenie. – Przynajmniej nie będę musiał dziś znosić kolejnego, potwornie nudnego bankietu hrabiego Considata. Dzięki niech będą Bogini za jej małe łaski. Ale co może stać się potem... – odwrócił wzrok. Nie wiedział, co myśleć. Zalała go fala sprzecznych uczuć: smutku, podniecenia, rozczarowania, euforii, niedowierzania, strachu...

Confalume chory. Może umierał. Może już nie żył.

Czy Prestimion wiedział? Teraz też był w podróży. Jak zawsze. Dekkeret zastanawiał się, co dzieje się teraz na Zamku pod nieobecność Koronala i jego następcy.

– To nie musi być coś poważnego – powiedział. Jego głos, zazwyczaj dźwięczny, brzmiał pusto i szorstko. – Starzy ludzie czasami chorują. Nie wszystko, co *wygląda* jak udar, faktycznie nim jest. A udary nie zawsze zabijają.

– To wszystko prawda – powiedział Dinitak. – Ale mimo to...

Dekkeret uniósł rękę.

– Nie. Nie mów tego.

Dinitaka nie dało się powstrzymać.

– Ledwie chwilę temu wspomniałeś, że masz nadzieję, że Prestimion będzie Koronalem przez następne dwadzieścia lat. I wiem, że to była szczerza nadzieja. Ale nie wierzyłeś, że to możliwe, prawda?

9

W zasięgu wzroku, na równinie przed nimi pojawiły się pierwsze pungatany.

– To ohydne zielsko! – wymamrotał Jacomin Halefice. – Jak ja go nie znoszę!
Gdybym mógł, spaliłbym je do ziemi!

– Ach – odpowiedział Mandralisca. – Te rośliny są naszymi przyjaciółmi.

– Może twoimi, wasza miłość, ale moimi nie.

– Bronią naszych ziem – powiedział hrabia. – Nasze kochane pungatany chronią nas przed wrogami.

Tak było. Otaczała ich okrutna, dzika pustynia, przez którą biegła jedna droga, właściwie kamienisty szlak. Jeśliby kto zboczył z niego na choć tuzin jardów, znajdował się na łasce pungatanów – tu rosły tylko te złe rośliny o liściach jak bicze. Przeprowadzenie jakiegokolwiek armii przez ziemie, gdzie prawie nie było wody ani jadalnych roślin, a rzadka roślinność atakowała dziko i mogła nawet zabić każdego przejezdnego, byłoby ogromnym wyzwaniem logistycznym.

Mandralisca znał drogę przez tę ponurą równinę.

– Uważajcie na bicze! – zawołał, spoglądając przez ramię na swoich ludzi. – Jedźcie gęsiego!

Uderzył wierzchowca ostrogami i ruszył przez zagajnik pungatanów.

Właściwie były to nawet piękne rośliny, a przynajmniej tak zdawało się Mandralisce. Miały niskie, grube, szare pnie, gładkie i podobne do kolumn, wyrastające z rdzawoczerwonej ziemi na jakieś trzy, cztery stopy. Ze szczytu każdego z nich wychodziła w przeciwnych kierunkach para falujących, podobnych do wstążek liści, długich na jakieś dwie stopy i ładnie opadających na ziemię, zakończonych skomplikowanymi zwojami postrzępionych końców. Liście te były, na pozór, delikatne i miękkie, niemal przezroczyste, tak że widać je było tylko pod pewnym kątem. Kiedy powiewały w lekkim wiateryku, przypomniały jasne wodorosty unoszone falą przyboju.

Kiedy jednak ktoś przejechał o piętnaście, dwadzieścia stóp od tych roślin, powiewające liście wypełniała fala głębokiej, fioletowawej czerwieni, twardniały, zaczynały

się trząść na czubkach i nagle trzask! Rozwijały się na pełną długość i uderzały niczym bicz ze zdumiewającą prędkością i przerażającą siłą. Były to straszliwe ciosy, które niczym ostry miecz cięły wszystko, co było dość nieostrożne, by podejść w zasięg pungatanów. To był ich sposób odżywiania się na tej jałowej glebie: zabijały, a potem karmiły się składnikami odżywczymi, które wsiąkały w ziemię, gdy ciała ofiar się rozkładały. Wokół widać było niekompletne szkielety, prastare szczątki nieuważnych zwierząt i niejednego nieostrożnego wędrowca.

Dawno temu ktoś wyznaczył przez tę okrutną dzicz bezpieczny szlak, wąską drogę, która przebiegała pomiędzy miejscami, w których rosły pungatany. Była ona oznaczona tylko linią z kamieni po obu stronach, więc nieostrożny podróżny mógł łatwo ją opuścić. Ale hrabia Mandralisca nie należał do takich, którym brakuje ostrożności. Bez incydentów przeprowadził swój mały konwój przez zabójczą równinę i dalej w górę wąskiego, wciąż zakręcającego szlaku, który wspinał się na szczyt nadrzecznego urwiska i prowadził do pałaców, gdzie na ich powrót czekało Pięciu Lordów.

Mandralisca zastanawiał się, jaką głupotę zdołali wymyślić pod jego nieobecność.

Gdy wraz ze swym oddziałem wjechał na szeroki, otoczony kolumnadą plac przed trzema głównymi budynkami, powitał go widok tak zgodny z tym, czego się spodziewał, że z trudem powstrzymał się od gorzkiego śmiechu, ukrył nienawiść i obrzydzenie.

Gavinus, ten z braci, za którym Mandralisca najmniej przepadał, krążył po placu, pijany – żadna niespodzianka – i zataczał się w szale. Czerwony na twarzy, spocony, ubrany tylko w luźny, lniany fartuch, łąził pomiędzy kolumnami, posyłając im buziaki, jakby były pięknymi panienkami i ryczał ochryplym głosem jakąś piosenkę. Z ramienia zwisał mu skórzany bukłak pełen brandy. Kilka z jego kobiet – Gavinus lubił nazywać je żonami, ale nie było żadnego dowodu, że były nimi w sensie formalnym – chodziło ostrożnie za nim, jakby miały nadzieję, że zaholują go z powrotem do pałacu. Uważały jednak, by nie podejść zbyt blisko. Pijany Gavinus bywał niebezpieczny.

Stanął, gdy zobaczył hrabiego, ale chwiał się i zataczał.

– Mandralisca! – ryknął. – Wreszcie! Gdzieś ty się podziewał, stary? Cały dzień cię szukam!

Wielki mężczyzna chwiejnie ruszył naprzód, a Mandralisca zeskoczył z siodła. Nie było najmądrzejszą rzeczą pozostawać na wierzchołku w obecności jego lordowskiej mości Gavinusa.

Ze wszystkich pięciu braci Gavinus najbardziej przypominał ich zmarłego ojca, Gaviundara. Był dużym mężczyzną o potężnym brzuchu i czerwonej, szerokiej, rumianej

twarży, niemiłych, małych, niebieskozielonych oczkach i wielkich, mięsistych uszach, wystających pod ostrym kątem z owalu jego niemal łysej głowy. Choć Mandralisca był wysoki, jego lordowska mość Gavinius był nieporównanie wyższy i dużo mocniej zbudowany. Stał niemal nos w nos z hrabim i chwiało się niepokojąco na potężnych jak pnie drzew nogach, patrząc tępo.

– Chcesz się napić, hrabio? Masz. Masz. Spójrz tylko na siebie, cały jesteś zakurzony. Gdzieś ty bywał? – niezdarnie odpiął bukłak z brandy, upuszczając go i łapiąc w locie desperackim machnięciem potężnej łapy, po czym podał go Mandralisce.

– Dziękuję, milordzie Gaviniusie. Nie jestem spragniony.

– Nie jesteś spragniony? Nigdy nie bywasz. Niech cię, czemu nie? Jesteś jak przeklęty, suchy patyk, Mandralisco! Napij się i tak. Powinieneś chcieć pić. Powinieneś kochać picie! Jak mogę ufać komuś, kto nienawidzi pić? Masz. Masz. *Pij!*

Mandralisca wziął od niego bukłak, wruszając ramionami i przysunął go sobie do ust, nie dotknął ich jednak i tylko udał, że pije, po czym go oddał.

Gavinius zakorkował bukłak i zarzucił go sobie obojętnie na ramię. Następnie pochylił się do twarzy Mandraliski i powiedział:

– Zeszłej nocy miałem sen... niezwykły sen... to było przesłanie, Mandralisco, prawdziwe przesłanie, mówię ci! Chciałem, żebyś mi je wytłumaczył, a ty gdzie byłeś? Gdzie byłeś, niech cię?! To był taki sen...

– Był na północ od Zimru, głupcze, i wykonywał karną misję przeciwko panu na Vorthinar – z boku dobiegł ich nagle suchy, twardy głos. – Nieprawdaż, Mandralisco?

To był Gaviral. Jedyny inteligentny z całej tej bandy, a jeśli wszystko miało pójść po myśli Mandraliski, przyszły Pontifex Zimroelu.

Jego wtrącenie się przyniosło hrabiemu ulgę. Użeranie się z Gaviniusem, nieważne, trzeźwym czy pijanym, było zawsze irytujące, a mogło też stać się groźne. Gaviral potrafił być niebezpieczny na swój własny, cwany sposób, ale przynajmniej nie było zagrożenia, że zmiążdży rozmówcę w uścisku w przypiływie pijackiej czułości albo przygniecie sobą, gdy upadnie w zamroczeniu jak ścięte drzewo.

– Tak, milordzie, byłem na północy – powiedział Mandralisca. – I wykonałem moje zadanie. Pan na Vorthinar i jego ludzie zginęli w płomieniach pięć dni temu.

Gaviral uśmiechnął się. Jako jedyny w tej bandzie braci, podobnej do stada nieokrzęsanych wołów, był umięśniony, niewielki i bardzo ruchliwy, miał szybkie, błyskające oczy i wąskie, często skrzywione usta. Zbudowany był w skali tak niepodobnej do braci, że można było podejrzewać, że wcale nie był synem swego ojca – tak przynajmniej podejrzewał

Mandralisca. Miał jednak rudawe włosy klanu Sambailidów, charakterystyczną szorstkość i ich niepowstrzymaną pazerność.

– Nie żyją, tak? – zapytał. – Doskonale. Doskonale! Ale nie miałem wątpliwości, że tak będzie. Jesteś takim dobrym, lojalnym, wiernym człowiekiem, Mandralisco. Co byśmy bez ciebie poradzili? Jesteś skarbem. Jesteś naszą silną prawą ręką. Masz moją najszczęśliwą pochwałę.

Ton Gavirala był bardzo protekcyjny. Z każdej sylaby biła beztroska nieszczerłość i ledwo tajona hipokryzja. Przemawiał tak, jak można mówić do służącego, do lokaja, do posługacza – a raczej jak mógłby przemawiać ktoś, kto jest głupcem i nie wie, jak właściwie odnosić się do ludzi, od których jest się zależnym, choć mają niższą pozycję.

Mandralisca nie okazywał jednak śladu urazy.

– Dziękuję, mój panie – powiedział cicho z wdzięcznym uśmiechem i kiwając głową, jakby otrzymał złoty łańcuch, tytuł rycerski albo sześć wiosek na żyznej północy. – Zachowam w sercu twe słowa. Twoja pochwała wiele dla mnie znaczy, być może więcej, niż sądzisz.

– To nie pochwała, Mandralisco, to zwykłe stwierdzenie faktu – powiedział Gaviral, bardzo z siebie zadowolony.

Tak, Gaviral był najsprytniejszym z braci. Jednak Mandralisca wiedział, coś, czego nie wiedział tamten: nie był nawet w połowie tak sprytny, jak mu się zdawało. To była jego wielka wada. Można go było łatwo oszukać, wystarczyło udawać zachwyty nad jego wspaniałym umysłem i miało się go w garści.

Gavinius wtrącił się ostro.

– Miałem sen – powiedział, wracając do tematu, jakby Mandralisca i Gaviral w ogóle ze sobą nie rozmawiali. – I to jaki sen! Przyszedł do mnie prokurator, dacie wiarę! Chodził przede mną, patrzył mi w oczy, mówił mi wspaniałe rzeczy. To było przesłanie, pewien jestem, ale od kogo? Na pewno nie od Pani. Po co Pani miałyby wysłać do mnie ducha prokuratora? Czemu w ogóle Pani miałyby zesłać mi sen? – Gavinius beknął. – Musisz mi go wyjaśnić, Mandralisco. Szukałem cię cały dzień. Gdzie ty w ogóle byłeś? – odwrócił się, szukając bukłaka w czerwonym piasku placu. – I gdzie moja brandy? Co zrobiliście z moim bukłakiem?

– Idź do domu, Gaviniusie – powiedział Gaviral cicho, lecz rozkazująco. – Połóż się. Prześpij trochę. Hrabia wyjaśni ci twój sen później – niski człowieczek uderzył brata silnie w mostek. Gavinius spojrzał w dół, na miejsce, w które go uderzono, mrugając z zaskoczenia. – Idź. Idź, Gaviniusie – i Gaviral uderzył znowu, nieco mocniej. Gavinius, wciąż mrugając,

poczłapał w stronę pałacu jak ogłupiały bidlak, a tuż za nim szły jego kobiety.

W tym czasie ich lordowskie mości Gavdat i Gavahaud pojawili się na placu, a Mandralisca dostrzegł, że od strony wzniesienia, które rozdzielało ich domy, nadchodzi Gavilomarin. Bracia zgromadzili się wokół swego tajnego doradcy.

Kiedy tylko dowiedzieli się o powodzeniu misji hrabiego, miękki Gavdat z obwisłymi policzkami i olbrzymimi dziurkami w nosie oświadczył, że postawił horoskop taumaturgiczny i to on zapewnił jej powodzenie. Gavdat miał się za swego rodzaju czarownika i niezdarnie usiłował parać się magią i zaklęciami. Próżny Gavahaud o byczym karku, brzydki jak pozostali bracia, ale głęboko przekonany o swojej niezwyklej urodzie, pogratulował Mandralisce delikatnym, eleganckim salutem. Z racji jego ciężkiej budowy, wyglądało to podwójnie groteskowo. Wielki, tłusty Gavilomarin, bezbarwny i pozbawiony charakteru, który zawsze przytakiwał wszystkiemu, co mówili pozostali, klasnął w dłonie jak przyglupek i radośnie zachichotał na wieść o spaleniu warowni.

– Niech tak zginą wszyscy, którzy nam się sprzeciwiają! – powiedział poważnie Gavahaud.

– Obawiam się, że będzie ich wielu – odparł Mandralisca.

– Masz na myśli Koronała? – zapytał Gaviral.

– To później. Myślę o innych, podobnych do pana na Vorthinar. Lokalnych książętkach, którzy dostrzegą szansę wyrwania się spod wszelkiej władzy. Kiedy zobaczą panów takich, jak wy, otwarcie sprzeciwiających się władzy Koronała i Pontifexa i odnoszących sukces, przestaną widzieć powody, by płacić podatki komukolwiek. Również wam, moi panowie.

– Spalisz ich dla nas tak, jak spaliłeś tamtego – powiedział Gavahaud.

– Tak. Tak zrobi! – zawołał Gavilomarin i znów zaklaskał radośnie.

Mandralisca uśmiechnął się smutno. Potem, stukając palcami w złoty symbol swojej funkcji, wiszący na szyi i patrząc kolejno na braci, powiedział:

– Moi panowie, odbyłem dziś długą podróż i jestem nader zmęczony. Za pozwoleniem, chciałbym się oddalić.

Kiedy jechali do wioski, w której mieszkali najważniejsi podwładni Pięciu Lordów, położonej kawałek drogi na południe od pałacu Gavirala, Jacomin Halefice odezwał się z wahaniem:

– Panie, czy mogę podzielić się prywatnym spostrzeżeniem?

– Jesteśmy przyjaciółmi, prawda, Jacominie? – odparł Mandralisca.

Zdanie to było tak dalekie od prawdy, że Halefice z trudem ukrył zdumienie. Po chwili

jednak opanował się i rzekł:

– Zdaje mi się, panie, że bracia, kiedy teraz rozmawialiście... i zauważyłem to wcześniej, prawdę mówiąc... mam nadzieję, że zostanie mi to wybaczone, ale... – zawahał się.

– Próbuję powiedzieć, że...

– Wyrzuc to z siebie wreszcie.

– Zwracają się do ciebie tak protekcyjnie, panie. Mówią, jakby byli wielkimi i potężnymi szlachcicami, a ty kimś nieważnym, traktują cię jak wasala, jak byle sługusa.

– *Jestem* ich wasalem.

– Ale nie służącym.

– Nie, nie do końca.

– Czemu więc znosisz ich bezczelność, panie? Bo tak właśnie jest i, wybac mi, panie, ale boli mnie, gdy widzę, jak ktoś o takich zdolnościach jest w ten sposób traktowany. Czyżby zapomnieli, że są kimś tylko dlatego, że ty to sprawiłeś?

– Och, nie, nie jest tak. Za wiele mi przypisujesz, Jacominie. To Bogini uczyniła ich tym, czym są, oraz, jak sądzę, ich wspaniały ojciec, książę Gaviundar, z niewielką pomocą ich matki, kimkolwiek była – Mandralisca uśmiechnął się, krótko i lodowato. – Jedyne, co zrobiłem, to pokazanie im, jak mogą stać się panami kilku nieznaczących prowincji. A jeśli wszystko dobrze pójdzie, panami całego Zimroelu... może, kiedyś.

– I nie martwi cię ani trochę, że traktują cię z taką pogardą, panie?

Mandralisca przyjrzał się swojemu małemu, krzywoniemu adiutantowi spokojnie i bardzo uważnie.

On i Jacomin Halefice znali się od ponad dwudziestu lat. Walczyli ramię w ramię z wojskami Prestimiona pod Granią Thegomar, kiedy Korsibar zginął z ręki własnego susuherskiego maga, a prokurator został pokonany i uwięziony przez Prestimiona, zaś sam Mandralisca, który walczył aż do całkowitego wyczerpania, odniósł ranę i dostał się do niewoli Rufiela Kisimira z Muldemar. Byli też razem podczas drugiej wielkiej porażki wśród gąszczy manganozy w Stoien, kiedy to Dantiryra Sambail zginął z ręki Septacha Melayna. Halefice pomógł wtedy Mandralisce prześliznąć się przez poszycie i zniknąć, gdy ścigał go Navigorn z Hoikmar. To z pomocą Halefice'a Mandralisce udało się uciec z Alhanroelu i oddać się na służbę dwóch braci Dantiryi Sambaila.

Lojalność i oddanie Halefice'a były niezaprzeczalne. Był prawą ręką Mandraliski tak, jak on sam był prawą ręką Dantiryi Sambaila. Pomimo to, przez te wszystkie lata, Halefice nigdy nie odważył się przemówić tak bezpośrednio, jak właśnie to zrobił. Na swój sposób, pomyślał Mandralisca, było to wzruszające.

Odpowiedział uważnie:

– Jeśli zdaje się, że traktują mnie pogardliwie, Jacominie, to dlatego, że są szorstcy w obejściu, jak wszyscy z tego klanu. Pamiętasz ich eleganckiego ojca, Gaviundara, i pięknego wuja, Gaviada. Ich stryj, Dantiryra Sambail, także nie słynął z delikatności wypowiedzi. Tam gdzie ty, przyjacielu, widzisz pogardę, ja znajduję zaledwie brak taktu. Nie obraża mnie to. Taką mają naturę. Są nieokrzesanymi, szorstkimi ludźmi. Wybaczam im to, ponieważ wszyscy gramy w tę samą grę, rozumiesz?

– Panie? – Halefice miał pustkę w oczach.

– Najwyraźniej nie rozumiesz. Ujmę to tak: ja przydaję się Sambailidom, a oni, świadomie czy nie, choć sądzę, że nie, przydają się mi. Podobnie jest między nami. Pomyśl o tym, Jacominie. Ale zachowaj swoje wnioski dla siebie. Nie rozmawiajmy o tym więcej, dobrze? – Mandralisca odwrócił się w kierunku swojej prostej chatki. – Tutaj nasze drogi się rozchodzą – powiedział. – Życzę ci miłego dnia.

10

Światła pozostały włączone, a Falco został z Prestimionem, gdy ten próbował się uspokoić. Diandolo przyniósł mu chłodny, kojący nerwy napój. Właściciel kwatery, odchodzący niemal od zmysłów ze smutku, że król właśnie pod jego dachem miał tak przerażający sen, jął wylewać z siebie tak wartki potok wyrazów przejęcia i zakłopotania, że Falco musiał wyprosić go z pokoju. Młody książę Taradath, który towarzyszył Prestimionowi w Fa i miał własny apartament po drugiej stronie dziedzińca, pojawił się wreszcie, w końcu wyrwany z głębokiego, młodzieńczego snu przez zamieszanie, które panowało w korytarzach. Prestimion odesłał go. Koszmary ojca nie musiały być jego zmartwieniem.

Był trzeci dzień państwowej wizyty Prestimiona w Fa. Do tej pory wszystko odbywało się zgodnie z planem, bankiety, przemowy, przyznawanie królewskich łask zasłużonym obywatelom i tak dalej. Jednak przez dwie pierwsze noce miał ten męczący sen o bieganiu po nieznanach poziomach Zamku, choć, dzięki niech będą Bogini, bez dodatkowej udręki w postaci pojawienia się w nim Thismet. Teraz zaś spadł na niego w całym swoim okropieństwie.

– Krzyczałeś coś jakby „tizmit, tizmit, tizmit”, mój panie – powiedział mu Falco. Oczywiście, imię Thismet nic dla niego nie znaczyło. Nie więcej niż sześć osób na całym świecie wiedziało, kim była. – Tak głośno, że słyszałem dwa pokoje dalej. „Tizmit! Tizmit!”.

– W snach można mówić różne rzeczy, Falco. Niekoniecznie z sensem.

– To musiał być wyjątkowy koszmar, panie. Wciąż jesteś blady. Daj mi to, proszę – powiedział, sięgając za siebie, po butelkę, którą Diandolo właśnie wniósł do pokoju. – Nie słyszysz, jaki zboląły nasz Koronał ma głos? Jeszcze coś do picia, panie?

Prestimion spojrział na butelkę. Tym razem była to brandy. Wypił ją jak wodę.

Falco zapytał:

– Czy mam wezwać tłumacza snów, by wyjaśnił twój, panie?

– Nikt poza Panią Wyspy nie objaśnia snów Koronała, Falco, i wiesz o tym. A Pani nie ma w pobliżu – Prestimion wstał. Wciąż niepewnie trzymał się na nogach, lecz podszedł do okna. Na zewnątrz panowała ciemność. Tu, w pięknym Fa, radosnym, czarującym mieście,

pełnym różowych willi o rzeźbionych, kamiennych balkonach, zbudowanych poziomami na stokach wzgórz, wciąż był środek bezksiężycowej nocy. Prestimion oparł się na parapecie i wychylił się, by odetchnąć chłodnym, słodkim, nocnym powietrzem.

Minęło dwadzieścia lat, a wspomnienie Thismet wciąż go nawiedzało.

I ona, i jej brat nie żyli od dawna i zostali zapomniani, zapomniani tak dokładnie, że ich własny ojciec nie miał pojęcia, że kiedykolwiek żyli. Zadbął o to oddział magów Prestimiona na polu bitwy pod Granią Thegomar zaraz po wielkim zwycięstwie, kiedy kolosalny czarodziejski wysiłek wymazał z pamięci świata wszystkie wspomnienia o rewolcie Korsibara.

Ale Prestimion nie zapomniał. I teraz, po tych wszystkich latach z Varaile, tą, którą kochał z niegasnącą pasją, Thismet wciąż zakradała się do jego niebronionego umysłu, gdy spał. Wiedział, że nigdy nie zdoła zrzucić jarzma władzy, którą nad nim miała. Była jego zaprzysięgłym wrogiem, potem jak grom spadła na nich zdumiewająca miłość, a potem, kiedy była jego tylko przez parę chwil, nastąpiła ta fatalna chwila na polu bitwy pod Granią Thegomar, w której niemal równocześnie zdobył koronę i stracił ukochaną.

– Zostawię cię teraz samego, mój panie – powiedział Falco. – Zapewne pragniesz spać. Do świtu pozostały jeszcze trzy godziny.

– Tak, zostaw mnie – odparł Prestimion.

Nie wrócił do łóżka. Tam czekał na niego ten sen. Wyjął z pudełka z brązu teczkę rządowych dokumentów, czekających na jego podpis, którą wszędzie ze sobą woził i zabrał się do pracy. W dowolnej chwili jego podpisu wymagało pięćdziesiąt albo i sto papierów, w większości stworzonych przez nader pracowitych urzędników Pontyfikatu, choć część pochodziła od jego rządu.

Większość z tego dotyczyła drobiazgów, były to rutynowe oświadczenia i dekryty, porozumienia handlowe między prowincjami, poprawki do kodeksu celnego, sprawy tego typu, które inny Koronał zleciłby do czytania swoim podwładnym, a sam rzuciłby tylko okiem na krótkie podsumowanie przed podpisaniem. Papiery z Labiryntu, już podpisane przez Pontifexa lub jego pełnomocnika, w ogóle nie wymagały uwagi Koronała, a tylko podpisu. W teorii Koronał mógł odrzucić każdy dekret i odesłać go do Labiryntu do poprawki, ale nikt nie pamiętał, kiedy ostatnio skorzystano z tego przywileju. Prestimion jednak starał się przeczytać tyle, ile tylko mógł. Częściowo wynikało to z jego przemożnego poczucia obowiązku, ale także, w takie noce jak ta, zanurzenie się w tak nużącej pracy dziwnie go uspokajało.

Brakowało wciąż godziny lub dwóch do świtu, gdy usłyszał hałas dobiegający z

dziedzińca: otwieraną bramę, wibrujący pomruk latacza, rozkazujący głos, donośnie wzywający bagażowych. To dziwne, pomyślał Prestimion, że ktoś pojawia się w królewskiej kwaterze o podobnej godzinie i tak bardzo hałasuje.

Wyrżał.

Latacz przybył z Zamku. Miał wymalowany królewski symbol. Wsiadł z niego duży, mocno zbudowany mężczyzna w przepasanej, długiej do kostek, czerwonej tunice. Jego pierś i ramiona sprawiły, że Prestimion z początku pomyślał, że to Gialaurys, ale był potężniejszy nawet od Wielkiego Admirala i miał wydatny brzuch. W porównaniu z nim Gialaurys wyglądałby na szczupłego. Poza tym mówił z czystym akcentem z Góry Zamkowej, nie z szeroką, płaską, niemal komiczną intonacją z Piliploku, charakterystyczną dla Gialaurysa. Po chwili Prestimion zrozumiał, że to musi być Navigorn.

Tutaj? Dlaczego? Co się stało?

– Falco! – zawołał Prestimion. Ochmistrz stanął w drzwiach niemal natychmiast. Także wyglądał, jakby się nie kładł. – Falco, właśnie przybył jego lordowska mość Navigorn. Jest na dziedzińcu. Dopilnuj, żeby natychmiast go tu przyprowadzono.

Wspinaczka na trzecie piętro sprawiła, że Navigorn przyszedł zadyszany i czerwony na twarzy. Przez chwilę niepokojąco chwiało się w drzwiach, wysoki i niezgrabny naprzeciw niewielkiego Prestimiona. Przemówił z trudem.

– Prestimionie... właśnie... przybyłem... prosto z... Zamku. Wyjechałem wczoraj po południu i jechałem w nocy – Navigorn powoli usiadł na jednym z krzeseł pod oknem, delikatnej plecionce ze złotego drzewa kamateros, które pod jego ciężarem skrzypiało i jęczało, ale wytrzymało. – Nie przeszkadza ci, że usiądę, Prestimionie? Bieganie po tych schodach... – uśmiechnął się szeroko. – Nie jestem już w dawnej formie.

– Siadaj. Siadaj. W ten sposób zajmiesz mniej miejsca – Navigorn rozsiadł się ostrożnie. Prestimion przemówił cierpliwie. – Przynosisz złe wieści?

Wielki mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy. Przez moment zdawał się szukać sposobu, jak zacząć wypowiedź.

– Pontifex być może miał udar.

– Ach – powiedział Prestimion, wymawiając to słowo, jakby uderzono go w pierś. – Udar. *Może* miał udar, powiadasz?

– Nie ma potwierdzenia. Wybacz, Prestimionie, że budzę cię taką informacją, ale...

– Właściwie nie spałem – Prestimion wskazał porzucane na biurku papiery. – Opowiedz mi o tym udarze. Tym *prawdopodobnym* udarze.

– Przyszła wiadomość z Labiryntu. Drętwienie ręki, sztywność nogi. Wezwano

magów.

– Czy on umrze?

– Któż to wie? Wiesz, jakim jest twardym człowiekiem, Prestimionie. Jak z żelaza – po twarzy Navigorna przebiegł wyraz bólu. Obracał się tak niespokojnie, że krzesło zaprotestowało skrzypieniem. Skrzywił się. – Tak – powiedział w końcu. – Tak, to dla niego pewnie początek końca. Rozumiesz, tak tylko przypuszczam. Czysta intuicja. Ale on ma dziewięćdziesiąt lat, był Pontifexem przez dwadzieścia i Koronalem przez czterdzieści parę... Nawet żelazo się zużywa, prędzej czy później. Przykro mi, Prestimionie.

– Przykro?

– Żaden Koronał nie chce schodzić do Labiryntu.

– Ale każdy w końcu musi, Navigornie. Myślisz, że nie byłem na to gotów? – po czym, jakby w zaprzeczeniu własnym słowem, Prestimion podszedł do kredensu, gdzie stała butelka wina z Muldemar i nalał trochę. – Chcesz?

– O tej porze? Właściwie tak. Tak, chcę.

Prestimion podał mu kielich i nalał dla siebie. Pili w milczeniu. Mózg Prestimiona zalewała kaskada niełatwych myśli.

Chodząc po pokoju, powiedział:

– Co powinienem zrobić, jak sądzisz, Navigornie? Wrócić natychmiast na Zamek i czekać na rozwój wydarzeń? Czy ruszyć do Labiryntu i złożyć hołd, póki jego wysokość wciąż żyje?

– Phraatakes Rem nie wydaje się uważać, że śmierć Confalume'a jest blisko. Na twoim miejscu pojechałbym na Zamek. Zebrał Radę, porozmawiał z lady Varaile. A *potem* ruszył do Labiryntu – Navigorn podniósł wzrok. Uśmiechał się szeroko, całkiem nie na miejscu. – Znakomite wino, Prestimionie! Z twoich rodzinnych winnic?

– Nie ma lepszego. Chcesz więcej?

– Tak. Poproszę.

Prestimion znów napełnił kielichy i siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, popijając fioletowe wino.

Był dziwnie wzruszony, że to Navigorn przyniósł mu niepokojące wieści, nie Septach Melayn albo Gialaurys, albo jego brat, Teotas. Navigorn i on przyjaźnili się od dawna, ale nie była to relacja tak bliska, jak ta, która łączyła go z innymi. Kiedyś byli nawet wrogami, choć Navigorn tego nie pamiętał. Dawno temu, podczas uzurpacji Korsibara, Navigorn bez wahania stanął po stronie fałszywego Koronała i dzielnie walczył u jego boku podczas wojny domowej.

Oczywiście dla Navigorna Korsibar nie był fałszywym Koronalem. Wprawdzie słuchający złych podszeptów syn Confalume'a zasiadł na tronie nieprawomyślnie, wprawdzie jego przejście władzy nastąpiło wbrew tradycji i konwencjom, jednak został namaszczone i koronowany i w oczach obywateli Majipooru był Koronalem. Kiedy więc Prestimion ogłosił, że Korsibar nie jest prawowitym królem i ruszył na wojnę, by go obalić, Navigorn wiernie służył temu, kogo wcześniej uznał swoim władcą. Dopiero w godzinie porażki Korsibara, kiedy świat pogrążył się w chaosie, a zwycięstwo Prestimiona było pewne, Navigorn namawiał swego pana do poddania się i abdykacji, by uniknąć dalszego rozlewu krwi.

Głupi, uparty Korsibar nie poddał się jednak i zginął w bitwie na bagnie Beldak pod Granią Thegomar. Navigorn zaś padł przed Prestimionem na kolana i błagał o wybaczenie. Otrzymał je i wiele więcej, ponieważ na skutek wielkiego wymazania pamięci Navigorn zapomniał o wojnie domowej i o tym, że brał w niej udział jako przeciwnik Prestimiona, więc chętnie przystał na jego propozycję dołączenia do Rady. Przez wszystkie późniejsze lata był jej cennym członkiem. Z czasem Navigorn stał się stary, gruby i zachorował na podagrę, ale służył Prestimionowi nie mniej wiernie, niż Korsibarowi. A teraz siedział przed nim, był tym, który na ochotnika wziął na siebie ciężkie zadanie przekazania Prestimionowi wiadomości, że czas jego panowania jako Koronala może dobiegać końca.

– Pamiętasz, Prestimionie, jak wszyscy pojechaliśmy do Labiryntu, by czekać na śmierć Prankipina, a ten starzec wciąż dychał i myśleliśmy, że nigdy nie odejdzie? Ach, to były czasy!

– Były, były – przyznał Prestimion. – Jak mógłbym zapomnieć?

Cofnął się pamięcią o te kilka dekad do chwili wielkiego zgromadzenia, kiedy to śmietanka młodych szlachciców zebrała się w podziemnym mieście podczas ostatnich dni panowania Pontifexa Prankipina. Kwiat Majipooru, książęta królestwa zebrani wokół umierającego starca. Prestimion pomyślał, że wielu z nich przeznaczone było umrzeć rok albo trzy lata później, w walce po stronie uzurpatora Korsibara w tej niepotrzebnej, głupiej wojnie.

Navigorn, zagubiony we wspomnieniach, bez pytania dolał sobie wina.

– Pamiętam, przyjechałeś z Zamku z Serithornem z Samivole. Byli z tobą Septach Melayn i Gialaurys, i jeszcze jeden z twoich przyjaciół, ten tajemniczy człowieczek z Suvraelu, który nazywał się diukiem... jak on miał na imię?

– Svor.

– Tak, Svor. Byli tam Kanteverel z Bailemoony, i Wielki Admirał Gonivaul, który nigdy nie był na morzu, diuk Oljebbin, earl Kamba z Mazadone. No i nie powinienem zapominać o naszym drogim przyjacielu z paskudną twarzą, Dantiryi Sambailu, prawda,

Prestimionie? I Mandrykarn ze Stee... ach, co to był za człowiek, ten Mandrykarn! I Venta z Haplor... – Navigorn potrząsała głową. – Tylu z nich zginęło tak młodo. Czy to nie dziwne? Kamba, Mandrykarn, Iram z Normork, Silbelor z Banglecode i tak wielu innych... nie żyją, wszyscy zginęli o wiele za wcześnie. To wielka szkoda. Kto, kiedy byliśmy razem w Labiryncie, kto by przypuszczał, że wkrótce tak wielu zginie?

Prestimiona zasmuciło, że Navigorn pomyślał o tym samym, co on. W napięciu czekał, czy przyjaciel nie wspomni o innych zmarłych, choćby o Korsibarze. Krzepki, pyszny Korsibar był jedną z najbardziej zwracających na siebie uwagę osób w Labiryncie. Ale Navigorn o nim nie wspomniał.

Jego refleksyjny nastrój minął tak szybko, jak się pojawił. Uśmiechnął się, westchnął i uniósł kielich do toastu.

– Trochę przeżyliśmy, co, Prestimionie? Trochę przeżyliśmy!

Navigorn zaczął mówić o turniejach, które odbyły się w Labiryncie podczas oczekiwania na śmierć Prankipina. Nazwano je Turniejem Pontyfikalnym, największym we współczesności.

– A pojedynek zapaśniczy pomiędzy Gialaurysem i tym małpisonem, Farholtem, wiesz, że myśleliśmy, że się pozabijają? Mam wrażenie, że to było wczoraj. I łucznictwo... Byłeś w świetnej formie, Prestimionie, wyczyniałeś z łukiem rzeczy, których nie widziano wcześniej – ani później, gdyby się nad tym zastanowić. A jak Septach Melayn wygrał fechtunek z hrabią Farquanorem i przy okazji zrobił z niego idiotę? A kto wygrał w szabli? Duży mężczyzna, ciemnowłosy, bardzo silny. Niemal pamiętam jego twarz, ale imienia wcale. Kto to był? Pamiętasz, Prestimionie?

– Chyba nie byłem przy pojedynkach na szable – powiedział Prestimion, odwracając wzrok.

– Całą resztę pamiętam tak wyraźnie. Wydaje mi się, że to było wczoraj. Ponad dwadzieścia lat, a jakby to było wczoraj!

Tak, zupełnie, jakby to wczoraj, pomyślał Prestimion.

To Korsibar wygrał turniej szabli. To on był tym dużym, ciemnowłosym mężczyzną ukrytym na krawędzi umysłu Navigorna. Ale wszelkie wspomnienie o nim zostało wymazane, podobnie jak Thismet, siostra Korsibara i Prestimion poczuł ulgę widząc, że przez te wszystkie lata nie odżyło żadne wspomnienie.

Nie wyglądało też na to, że Navigorn pamięta dramatyczne zakończenie tego sławnego Turnieju Pontyfikalnego, poranek, kiedy dziewięćdziesięciu jego uczestników w pełnych zbrojach zebrało się w Sali Tronów, z którego mieli być wspólnie przewiezieni na

Arenę. Do sali wpadł wtedy książe Korsibar, krzycząc, że starego Pontifexa wreszcie zabrała śmierć. Skończyło się długie oczekiwanie. W końcu nadeszła pora zmian na szczycie władzy, Koronał Lord Confalume miał zostać Pontifexem i wybrać nowego Koronała, księcia Prestimiona z Muldemar.

Tego przynajmniej wszyscy się spodziewali. Jednak umysły zebranych w Sali Tronów zaćmiła magiczna chmura, a kiedy opadła, ich oczom ukazał się niewiarygodny widok. Książe Korsibar, syn Koronała, zabrał koronę gwiazd wystraszonemu Hjortowi i ją założył, a teraz siedział w chwale na miejscu przeznaczonym dla Koronała, u boku swego ojca, Confalume'a, który siedział na tronie Pontifexa i wyglądał na zdeorientowanego i niemal oszołomionego. A ci, którzy konspirowali z Korsibarem, zaczęli krzyknąć „Chwała Lordowi Korsibarowi! Korsibar! Korsibar! Lord Korsibar!”

– To kradzież! – krzyknął wtedy Gialaurys. – Jesteś złodziejem!

Rzuciłby się na halabardy straży Korsibara, gdyby go Prestimion nie powstrzymał, widział bowiem, że jakikolwiek opór będzie oznaczał pewną śmierć. On i jego przyjaciele opuścili więc salę, zdumieni i przepełnieni poczuciem porażki, a tron Koronała należał do Korsibara, choć tradycją Majipooru od najwcześniejszych lat było, że syn Koronała nie może nigdy odziedziczyć tronu po ojcu.

Nie, Navigorn nic z tego nie pamiętał, ani z wielkiej wojny, która nastąpiła potem i kosztowała życie tylu ludzi, wielkich i małych. Korsibar w końcu został obalony, a magowie Prestimiona wycięli z pamięci świata historię jego uzurpacji, ale ten dzień w Labiryncie błyszczał w umyśle – Prestimiona z nieustającą jasnością. Pamiętał, jak obiecany tron został mu podstępnie odebrany, co zmusiło go do wydania dawnym przyjaciołom krwawej wojny by przywrócić właściwy bieg rzeczy.

Z zamyślenia wyrwał do głoś Navigorna.

– Czy kiedy zbierzemy się w Labiryncie w oczekiwaniu na śmierć Confalume'a, znowu odbędzie się Turniej Pontyfikalny?

– Nie wiemy jeszcze, czy Confalume umiera – powiedział szorstko Prestimion. – A nawet jeśli... kolejny turniej? Nie. Tym razem nie sądzę.

Spojrzał przez okno. Nad Fa wstawał świt.

Navigorn pewnie miał rację. Udar Confalume'a zapewne zwiastuje jego koniec i wkrótce Majipoor przejdzie kolejną zmianę władzy. Prestimion uda się do Labiryntu by zostać Pontifexem, a Dekkeret zasiądzie na szczycie Góry Zamkowej jako Koronał.

Czy był na to gotów? Nie, oczywiście, że nie. Navigorn miał rację: nigdy żaden Koronał nie chce przenosić się do Labiryntu. Mimo to przeniesie się, bo taki był jego

obowiązek.

Prestimion zastanawiał się, jak ktoś o tak niespokojnej naturze, jak on, znieśnie życie w podziemnej stolicy. Nawet Zamek był dla niego za mały, podczas swych rządów nieustannie podróżował po świecie, chwytając się każdego pretekstu, by odwiedzić odległe miasta. Odbył trzy Wielkie Procesje, a niewielu Koronałów przed nim tego dokonało. Dla niego całe rządy były niekończącą się Wielką Procesją, podróżował więcej niż którykolwiek z wcześniejszych Koronałów.

Oczywiście, kiedy zostanie Pontifexem, nie będzie *musiał* schować się w Labiryncie. Nakazywał to wyłącznie zwyczaj. Pontifex, zwierzchni monarcha, miał pozostawać w ustronnym miejscu, a zadaniem młodego i energicznego Koronała było wychodzić do ludzi, oglądać i być oglądanym. Prestimion zamierzał w pewnym stopniu pozostać wiernym tej zasadzie. Ale tylko w pewnym stopniu.

Zastanawiał się, jak wiele czasu minie, zanim przyzwyczai się do tych wszystkich zmian.

Być może sen o Thismet był omenem. Przyszłość wyciągała po niego ręce i wkrótce od nowa przeżyje czas śmierci Prankipina. Tym razem jednak zagra rolę odchodzącego Koronała, jak niegdyś Confalume, a Dekkeret będzie nowym księciem, wchodzącym na środek sceny.

Przynajmniej za kulisami nie czekał żaden nowy Korsibar. Prestimion o to zadbał. Gdy Confalume był Koronalem, dawał do zrozumienia, że to Prestimion zostanie jego następcą, ale nigdy nie sformalizował tego stanowiska. Uważał, że nie uchodzi tak robić, póki żył Prankipin. Prestimion nie powtórzył tego błędu. W imię spokojnej sukcesji wyznaczył spadkobiercą Dekkereta i wyjaśnił synom, dlaczego synowie Koronała nie mogą liczyć na odziedziczenie ojcowskiego tronu.

Wszystko było więc uporządkowane. Nie było powodu do obaw. Będzie co ma być i wszystko pójdzie dobrze.

Dobrze więc, myślał Prestimion, niech rozpoczną się zmiany.

Był na nie gotowy. Tak gotowy, jak to tylko było możliwe.

Przemówił energicznie do Navigorna:

– Chyba masz rację, najlepiej będzie, jeśli wrócę na Zamek przed udaniem się do Labiryntu. Będę musiał najpierw odbyć długą rozmowę z Varaile. Powinienem też spotkać się z Radą... przygotować ich na sukcesję...

W odpowiedzi usłyszał tylko głośnie chrapanie. Prestimion spojrzał na Navigorna, który spał na krześle.

– Falco! – zawołał otwierając drzwi. – Diandolo!

Ochmistrz i giermek zjawili się biegiem.

– Przygotujcie wszystko do wyjazdu. Ruszamy na Zamek zaraz po śniadaniu. Diandolo, obudź księcia Taradatha i poinformuj go, że wyjeżdżamy, a ja zamierzam wyjechać punktualnie. Och, i trzeba poinformować diuka Elmerica z Fa, że wymagana jest moja natychmiastowa obecność na Zamku i że z wielkim żalem muszę zrezygnować z dalszego pobytu tutaj. Jednak zanim to zrobicie, wyślijcie kuriera do lady Varaile na Zamku. Niech powie jej, że wracam i... na razie to powinno wystarczyć.

Cicho, by nie obudzić Navigorna, Prestimion zebrał urzędowe dokumenty, które pokrywały jego biurko.

11

W drzwiach gabinetu Mandraliski pojawiła się blada, napięta twarz i przemówiła niepewnym tenorem, niewiele głośniejszym od gardłowego szeptu:

– Wasza miłość?

Mandralisca podniósł wzrok. Młody mężczyzna, właściwie chłopiec. Zielone, lśniące oczy, proste włosy w kolorze słomy. Uczciwy wyraz twarzy.

Odsunął mapy, które studiował.

– Zdaje mi się, że cię znam. Byłeś ze mną na misji w Vorthinar, prawda?

– Tak, wasza miłość – chłopiec chyba drżał. Mandralisca ledwo go słyszał. – Jest tu gość, który twierdzi, że ma...

Gość? Odizolowane na szczycie osiedle ponad jałową, suchą, bezlitosną pustynią nie było miejscem, gdzie zjawialiby się goście.

– Coś powiedział? *Gość*'?

– Gość, tak, panie.

– Możesz mówić głośniej? Boisz się mnie?

– Tak, panie.

– A czemu to?

– Bo... bo...

– Chodzi o moją twarz? O moje spojrzenie?

– Jesteście po prostu przerażający, panie – chłopiec wyrzucił z siebie te słowa jakby mimowolnie. Ale powoli nabierał odwagi. Spojrzał Mandralisce w oczy.

– Owszem, jestem. Prawda jest taka, że pracuję nad tym. Okazuje się, że oplaca się być przerażającym – Mandralisca niecierpliwym gestem nakazał chłopcu wejść, zamiast stać w korytarzu. Jego gabinet, okrągły pokój z łukowatym dachem i ścianami z gliny w kolorze spalonej pomarańczy, był niewielki. Cały dom taki był: Pięciu Lordów może i mieszkało w pałacach, ale nie kłopotali się, by sprawić podobny swojemu tajnemu doradcy. – Skąd pochodzisz, chłopcze?

– Z Sennec, panie. To miasteczko w dół rzeki od Horvenar.

– Ile masz lat?

– Szesnaście. Twój gość, panie, mówi...

– Niech mój przeklęty gość poczeka. Niech w tym czasie je bobki manculainów. Teraz rozmawiam z tobą. Jak masz na imię?

– Thastain, panie.

– Thastain z Senneć. Trochę mało rytmiczne. *Hrabia* Thastain z Senneć, czy to nie brzmi lepiej? Thastain, hrabia Senneć. Hrabia Senneć i Horvenar. Przyznasz, że jest w tym pewien splendor?

Chłopiec nie odpowiadał. Jego twarz wyrażała w równym stopniu oszołomienie, strach i, być może, irytację lub nawet gniew.

Mandralisca uśmiechnął się.

– Uważasz, że się tobą bawię?

– Kto zechciałby zrobić ze mnie hrabiego, wasza miłość?

– A kto zrobiłby go *ze mnie*? A jednak jestem hrabią. Hrabia Mandralisca z Zimroelu, proszę, oto prawdziwa poezja! Kiedyś byłem tylko chłopcem ze wsi, jak ty, chłopcem z Gongharów. Dantirya Sambail nadał mi tytuł w przeddzień swojej śmierci. „Dobrze mi służyłeś, Mandralisco, i otrzymasz za to odpowiednią nagrodę”. Byliśmy wtedy w dżunglach Stoienzar. Nie wiedzieliśmy, że tamci zaraz nas znajdą. Ukląknęłam, a wtedy on dotknął mojego ramienia sztyletem i na miejscu nadał mi hrabiowski tytuł. Hrabia Zimroelu. Nikt go wcześniej nie nosił. Następnego dnia ludzie Prestimiona odnaleźli nasz obóz i zabili prokuratora. Ja uciekłem i zabrałem ze sobą moje hrabiostwo... Kiedyś może i z ciebie zrobimy hrabiego. Ale najpierw musimy jego lordowską mość Gavirala uczynić Pontifexem. A jego lordowską mość Gavahauda, jak sądzę, Koronalem.

Słowa te nie wywołały reakcji innej niż puste spojrzenie i, po chwili, zdumione zmarszczenie czoła.

Może za wiele powiedział. Mandralisca zrozumiał, że nadeszła pora, by kazać chłopakowi odejść. Czerpał z tego wszystkiego dziwną przyjemność. Niewinność Thastaina była czarującą nowością, a sam Mandralisca był tego poranka w dziwnie otwartym nastroju. Jednak już dawno nauczył się nie ufać przyjemnościom, a nawet się ich obawiać. A przy tym chłopcu zaczynał się czuć zbyt swobodnie. To było niebezpieczne.

– Znasz imię tego mojego gościa? – zapytał.

– Barz... Braj... Barjz...

– *Barjazid*?

– Tak, Barjazid! Właśnie tak, panie! Khaymak Barjazid z Suvraelu!

Tak. Teraz Mandralisca przypomniał sobie korespondencję, propozycję, zaproszenie. Wcześniej wyleciało mu to z głowy.

– Ten Khaymak Barjazid przebył daleką drogę. Gdzie teraz jest?

– Na terenie zamkniętym, tam, gdzie trzymamy wszystkich, którzy przybywają drogą z doliny przez pustynię pungatanów. Znalazła go obsada pierwszej strażnicy. Twierdzi, że macie do omówienia interesy.

Mandralisca poczuł ukłucie podniecenia. W końcu, Barjazid! To ten, który nieoczekiwanie przeżył. Długo mu to zajęło. Obiecywał, że przyjedzie, przez prawie rok. Obiecywał też inne rzeczy. *Mogę być bardzo przydatny*, pisał. *Pozwól mi na wizytę, a pokażę ci, co mam*.

– Dziękuję ci, hrabio Thastainie. Powiedz mu, żeby przyszedł.

Chłopak ruszył do drzwi.

– Przyprowadzę go, wasza miłość.

– Tak – albo nie.

Barjazid powinien tu być wiele miesięcy temu. Niech ten przeklęty, śliski cwaniak podsmaży się jeszcze chwilę na słońcu. I tak pustynny upał nie jest mu obcy. Poza tym niedobrze by było wyglądać na zbyt zainteresowanego teraz, kiedy tamten – i, jak podejrzewał Mandralisca, również jego towarzysze – wreszcie tu był. Nadgorliwość zawsze pozbawia przewagi.

– Poczekaj, chłopcze!

– Panie?

Mandralisca ułożył swoje długie, wąskie palce w kształt wieży.

– Jeszcze jedno pytanie i pozwolę ci odejść. Opowiedz mi coś o sobie. Dlaczego wstąpiłeś na służbę Pięciu Lordów? Co chciałeś przez to osiągnąć?

– Osiągnąć, panie? Nie rozumiem. Nie szukałem zysku. To była kwestia obowiązku, wasza miłość. Pięciu Lordów to prawowici panowie Zimroelu, spadkobiercy prokuratora Dantiryi Sambaila.

– Piękne słowa, hrabio Thastainie. Podziwiam twoje poświęcenie dla sprawy.

Chłopiec znów ruszył w stronę drzwi, jakby chciał jak najkrócej przebywać w towarzystwie Mandraliski.

Ten jednak znowu przemówił, kolejny raz go zatrzymując:

– Wiesz może, czym się zajmowałem, gdy wstąpiłem na służbę prokuratora Dantiryi Sambaila?

– Skąd miałby wiedzieć, panie?

– Zaiste, skąd miałbyś. Byłem jego praegustatorem. To bardzo staromodne zajęcie. Coś z czasów mitów i bajek. Dantirya Sambail czuł, że potrzebuje kogoś takiego. A może po prostu chciał go mieć, jak ozdobę, jak średniowieczne widowisko. Kiedy tylko dostawał coś do jedzenia lub picia, próbowałem tego przed nim. Kawalek jego mięsiwa, łyk jego wina. Nie brał do ust niczego, czego wcześniej nie spróbowałem. Robiłem niezłe wrażenie, kiedy tak stałem przy jego boku podczas bankietów na Zamku albo w Labiryncie – Mandralisca uśmiechnął się znowu. To wyczerpuje limit na cały poranek, pomyślał. – Idź już. Przyrowadź mi mojego Barjazida.

12

– Mam z tobą pojechać? – zapytała Varaile. – Wiesz, że mogłabym.

– Aż tak chętnie zobaczysz znów Labirynt?

– Nie chętniej niż ty, Prestimionie. Ale od wieków nie podróżowaliśmy razem. Nie próbujesz mnie unikać, prawda?

Spojrzał na nią, szczerze zaskoczony.

– Unikać cię? Chyba żartujesz. Po prostu chcę prostej wizyty bez komplikacji, chcę szybko pojechać i wrócić jeszcze szybciej. On nie jest chyba tak chory, jak myśleliśmy. Spędzę z nim parę dni, omówię wszystkie ważne sprawy, jakie możemy mieć do omówienia, będę mu życzył długiego życia i dobrego zdrowia, po czym wrócę do domu. Jeśli pojedę z tobą, albo Dekkeretem, Septachem Melaynem czy Dembitave, z kimkolwiek ponad absolutnie podstawową świtę Koronała, to podróż ta od razu stanie się poważniejszą sprawą i konieczne będzie zachowanie ceremoniału. Nie chcę go męczyć. A już zwłaszcza nie chcę pojawiać się w towarzystwie tylu dworzan, że Confalume pomyśli sobie, że odbywamy oficjalną, pożegnalną wizytę u umierającego.

– Nie przypominam sobie, żebym sugerowała zabranie całego dworu – odparła Varaile. – Zwyczajnie zaproponowałam, że pojedę z tobą.

Prestimion wziął ją za rękę i przysunął twarz blisko jej twarzy. Byli prawie równego wzrostu. Uśmiechnął się i dotknął nosem jej nosa.

– Wiesz, że cię kocham – powiedział cicho. – Ale czuję, że tę podróż powinienem odbyć sam. Jeśli chcesz ze mną jechać, nie mam sposobu, żeby cię powstrzymać. Ale wolałbym pojechać sam i jak najprędzej wrócić. Przyjdą takie lata, że będziemy mieli jeszcze mnóstwo czasu, by być razem w Labiryncie.

– A więc wrócisz?

– Tym razem tak. Obawiam się, że następnym razem pojedę tam na dłużej.

Bardzo podobną rozmowę przeprowadził chwilę wcześniej z Dekkeretem, a z Septachem Melaynem niezbyt odmienną. Wszyscy traktowali go, jakby to on, nie Confalume, wymagał troski. Widzieli możliwość śmierci Pontifexa jako ogromny kryzys dla Prestimiona,

chcieli zgromadzić się wokół niego, chronić go i pocieszać.

W pewnym sensie mieli oczywiście rację. Owszem, miał się zmierzyć z poważną sprawą – nie chodziło o wizytę w Labiryncie, lecz nieuniknioną zmianę, która leżała niedaleko przed nim. Ale czy myśleli, że kiedy tylko postawi nogę w podziemnej stolicy, wybuchnie płaczem? Czy wierzyli, że jest niezdolny poradzić sobie z perspektywą zostania Pontifexem, więc musi wciąż mieć obok siebie najbliższych? Jak miał im wytłumaczyć, że Koronalowie wciąż, dzień i noc, żyli w świadomości, że w każdej chwili mogą zostać Pontifexami? Że ta możliwość była częścią składową ich pracy i że ktoś, kto nie potrafił jej znieść, nie nadawał się na Koronala?

Koniec końców, jedynym spośród najbliższych, który z nim pojechał, był książę Taradath. Chłopiec był rozczarowany gwałtownym przerwaniem długo wyczekiwanej wizyty w Fa, poza tym nigdy nie widział Labiryntu. Spotkanie z jego wysokością Pontifexem będzie dla niego ważnym przeżyciem.

Prócz tego przyda się Taradathowi choć krótkie spojrzenie na maszynę administracyjną Pontyfikatu. W wieku piętnastu lat Taradath powoli zmieniał się w wartościowego, młodego mężczyznę i na pewno znajdzie się dla niego jakaś rola w rządzie, kiedy Dekkeret zostanie Koronalem. Synowie Koronarów często stawali się lekkomyślnymi obibokami lub, co gorsza, próżnymi, głupawymi błaznami, jak Korsibar. Prestimion miał nadzieję, że jego chłopców spotka lepszy los.

Podróżowali do Labiryntu tradycyjną trasą, w dół rzeki Glayge na królewskiej barce przez żyzne, rolnicze równiny. Kiedy indziej Prestimion zrobiłby z tego pewnie małą Procesję, zatrzymałby się w ważnych nadrzecznych miastach jak Mitripond, Palaghat czy Grewin, ale obiecał Varaile, że to będzie krótka podróż. Wjechał do Labiryntu przez Bramę Wód, tę, której używali Koronalowie i szybko zjechał w dół, przez liczne poziomy Labiryntu, obok krętych uliczek i nor, które były biurami urzędników, obok położonych niżej cudów architektury – Sali Wichrów, Sali Kolumn, Miejsca Masek i innych, dziwnie pięknych miejsc, które urzekłyby każdego, kto kocha Labirynt, a Prestimion wątpił, że kiedykolwiek go pokocha – i wreszcie dotarł na najgłębszy poziom, do sektora imperialnego, gdzie żył Pontifex.

Protokół wymagał, by Koronala powitał najwyższy urzędnik Labiryntu, Wysoki Rzecznik. Przez ostatnie pięć lat urząd ten piastował sędziwy diuk Haskelorn z Chorg, członek rodziny, której korzenie sięgały do czasów Pontifexa Stalvoka sprzed dziesięciu rządów. Haskelorn był niemal równie wiekowy jak sam Confalume, pulchny, z różową twarzą, zwisającymi policzkami i grubym wałkiem ciała pod brodą. Zgodnie z tutejszą

tradycją miał na nosie malutką maskę, zasłaniającą oczy, która wśród urzędników Pontyfikatu była oznaką rangi.

– Confalume... – zaczął od razu Prestimion.

– ...jest zdrowy i pragnie natychmiast cię zobaczyć, Lordzie Prestimionie.

Zdrowy? Jak wyglądało zdrowie według Wysokiego Rzecznika? Prestimion nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Był zdezorientowany, kiedy wszedł do przedsiionka plątaniny pokoi, labiryntu w Labiryncie, które były rezydencją Pontifexa Majipooru. Uśmiechnięty Confalume, ubrany w oficjalne, ozdobne, szkarłatno-czarne szaty Pontifexa stał – stał! – w drzwiach po przeciwnej stronie przedsiionka i wyciągał do Prestimiona ramiona w ciepłym, powitalnym geście.

Koronał był tak zaskoczony, że dopiero po chwili był w stanie się odezwać, a kiedy już odzyskał mowę, mógł jedynie wyjęczeć:

– Mówili mi... że ty... że byłeś...

– Umierający, Prestimionie? W drodze powrotnej do Źródła, co? Nie wiem, co słyszałeś, synu, ale oto prawda: wstałem z łoża boleści. Jak widzisz, Pontifex stoi na własnych nogach. Pontifex chodzi. Nieco sztywno, ale chodzi. Mówi. Nie jest jeszcze martwy, Prestimionie, daleko mu do tego. Milczysz. Ze szczęścia braknie ci słów? Tak, sądzę, że właśnie tak jest. Jeszcze na chwilę uratowano cię przed Labiryntem.

– Mówili, że miałeś udar.

– Powiedzmy, że małe zasłabnięcie – Pontifex uniósł lewą dłoń i zacisnął ją w pięść. Wskazujący i mały palec nie zginały się całkowicie, musiał pomóc im drugą ręką. – Tu mam drobne trudności, widzisz? Naprawdę drobne. A lewa noga... – Confalume zrobił kilka kroków w jego stronę. – Zauważyłeś pewnie, lekko nią powłóczę. Skończyły się dni tańczenia. Cóż, w moim wieku nie muszę poruszać się zbyt szybko. Możesz to nazwać udarem, ale bardzo lekkim – w tym momencie zauważył stojącego obok Taradatha. – To twój syn, prawda, Prestimionie? Odkąd ostatnio go widziałem, wyrósł niemal nie do poznania. Kiedy to było, chłopcze, pięć lat temu, siedem? Kiedy ostatnio byłem na Zamku?

– Osiem lat temu, wasza wysokość – odpowiedział Taradath. Widać było wyraźnie, że próbuje przezwyciężyć zachwyty. – Miałem wtedy siedem lat.

– A teraz jesteś równie wysoki, jak twój ojciec, choć nie jest to wielkie osiągnięcie. I masz ciemną karnację swojej matki. Cóż, wchodźcie obydwaj! Nie stójcie tak!

Prestimion zauważył, że głos Confalume'a drżał lekko, poza tym zrobił się po starczemu gadatliwy. Wyglądało jednak, że jest w świetnej formie. Oczywiście, Confalume zawsze miał niezwykłą energię i więcej siły od innych. Nawet teraz, wciąż był mocno

zbudowany, umięśniony, a strzecha jego włosów, choć dawno posiwiiałych, była wciąż gęsta. Tylko miękkie, podobne do papieru policzki zdradzały wiek Pontifexa. Faktycznie zdawało się, że przewyciężył większość drobniejszych konsekwencji udaru, który wywołał takie podniecenie w obu stolicach królestwa.

Poprowadził Taradatha i Prestimiona do środka. Niewielu gości zapuszczało się do prywatnych komnat Pontifexa. Oslawiona kolekcja skarbów Confalume'a przyozdabiała każdą niszę, alkowę i półkę: figuryнки z dmuchanego szkła, rzeźby z kości smoków morskich inkrustowane porfirem i onyksem, wykładane szlachetnymi kamieniami puzderka, całe lasy dziwaczných drzew zrobione ze srebrnych drucików, pradawne monety i zakonserwowane owady, oprawne w skórę tomy pełne starożytnej wiedzy i wiele, wiele więcej. Ze wszystkich stron otaczał go gromadzony przez całe życie zbiór. Pontifex nie stracił też zainteresowania sztukami magicznymi. Widać tu było jego ukochane magiczne przyrządy, ammatopale, veralistie, sfery armilarne, rohille i protospatifary, proszki, mikstury i maści. Być może, pomyślał Prestimion, ten starzec wstał z łoża śmierci z pomocą magii. Bez wątpienia, jeśli sama wiara w nadprzyrodzone wystarczała, Confalume mógł żyć wiecznie.

Pontifex nalał wina dla Prestimiona i siebie, a potem dla Taradatha i pokazał chłopcu parę najniezwykłych przedmiotów, znajdujących się w pokoju. Zabawiał ich przyjemną, powierzchowną rozmową o ich podróży w dół Glayge, projektach budowlanych na Zamku, zajęciach lady Varaile i podobnych sprawach. Było to czarujące i zupełnie niepodobne do tego, co Prestimion wyobrażał sobie o tej wizycie.

Taradath nie był już zdjęty podziwem. Teraz odnosił się do Pontifexa jak do dobrego dziadka.

– Czy ci wszyscy ludzie też byli Pontifexami? – zapytał, wskazując długi rząd malowanych medalionów wiszących na ścianie pomieszczenia.

– Zaiste – odpowiedział Confalume. – Ten tutaj to Prankipin... pamiętasz go, Prestimionie, rzecz jasna? Dalej Gobyras, który panował tuż przed nim... Avinas... Kelimiphon... Amyntilir... – pamiętał imiona wszystkich. – Dizimaule... Kanaba... SIRRUTH... Vildivar...

Kiedy słuchał, jak Confalume recytuje imiona swoich poprzedników sprzed tysięcy lat, Prestimion poczuł pokorę na myśl o ogromie historii, tego wielkiego łuku, który z jednej strony nikał w mgłach mitu, a na jego drugim końcu, zaczepionym o dzień dzisiejszy, znajdował się nie kto inny, a on sam.

Większość tych ludzi była dla Prestimiona jedynie imieniem. Osiągnięcia Pontifexa Kanaby, SIRRUTHA i Vildivara pamiętali jedynie historycy. Wiedział coś o tych ostatnich, o

Gobyrasie, Avinasie, Kelimphonie, choć byli raczej miernymi władcami. Świat wszedł w trudny okres pod ich mało natchnionymi rządami. Jednak Prestimion, patrząc w górę na długą linię twarzy, nagle zrozumiał, że należy do niezwyklej, współczesnej dynastii.

Wisiąca tam podobizna Prankipina, Koronała przez lat dwadzieścia i Pontifexa przez czterdzieści trzy, który odziedziczył słaby i targany problemami świat po swoim poprzedniku, Gobyrasie, i mądrymi środkami oraz dynamicznym przywództwem przywrócił mu dawną świetność. Choć pod koniec życia zajął się czarnoksięskimi głupotami i pozwolił się otoczyć masie czarodziejów, cóż, tę wadę można było wybaczyć komuś, kto tak wiele osiągnął. Potem Confalume, jeszcze nie portret na ścianie, lecz wciąż prawdziwy, oddychający człowiek, który budował na wspaniałych fundamentach Prankipina i postarał się, by dobrobyt upowszechnił się wśród piętnastu miliardów mieszkańców Majipooru. Jemu również trzeba było wybaczyć przywiązanie do magii, ale, pomyślał Prestimion, przychodziło to z łatwością.

A teraz przyszła pora Prestimiona z Muldemar, obecnie Lorda, a pewnego dnia Pontifexa. Czy będzie uznany godnym spadkobiercą wielkiego Prankipina i wspaniałego Confalume'a? Być może. Pod jego rządami Majipoor kwitł. Popełniał błędy, ale Prankipin także, podobnie Confalume. Jego największym osiągnięciem było uratowanie świata przed złą władzą Korsibara, ale nikt się o tym nigdy nie dowie. Czy dokonał jeszcze czegoś wielkiego? Na pewno miał nadzieję, że tak było, ale ze wszystkich ludzi na świecie on wiedział najmniej w tej materii. Wciąż był młody. Miał głęboką nadzieję i wierzył, że w końcu zostanie umieszczony w jednym rządzie z tymi architektami złotego wieku.

– A to Stiamot? – zapytał Taradath.

– Jest dalej, chłopcze. Oczywiście, artysta musiał zgadywać, jak wyglądał, ale oto on. Tu... pokażę ci...

Niezwykle dziarsko, powłócząc nogą tylko odrobinę, Confalume poszedł na drugi koniec pokoju. Prestimion patrzył, jak idzie z Taradathem od portretu do portretu, wymieniając imiona dawnych imperatorów.

Chłopiec pozostał tam i wpatrywał się poważnie w twarze Pontifexów, którzy rządili światem, kiedy do narodzin Stiamota brakowało tysięcy lat. Confalume wrócił do miejsca, gdzie siedział Prestimion, napełnił kielichy i przemówił cichym, poufnym tonem.

– Tak naprawdę przyleciałeś tutaj, ponieważ myślałeś, że umieram, prawda? Chciałeś na własne oczy przekonać się o moim stanie?

– Nie wiem, co myślałem. Ale wiadomości z Labiryntu na twój temat były niepokojące. Uznałem, że właściwym będzie cię odwiedzić. Człowiek w twoim wieku, który przechodzi udar...

– Kiedy to się stało, sam myślałem, że umieram. Ale tylko wtedy. Daleko mi jeszcze do końca, Prestimionie.

– Oby naprawdę tak było.

– Mówisz to w trosce o mnie, czy o siebie? – spytał Pontifex.

– Wiesz, jak niemiło to zabrzmiało?

Confalume roześmiał się.

– Ale to prawda! Nie chcesz jeszcze być Pontifexem, mam rację?

Prestimion z niepokojem spojrział w stronę Taradatha, który stał po przeciwnej stronie pokoju, zapewne poza zasięgiem głosu. Kiedy odpowiadał, w jego głosie czuć było lekką irytację.

– Cały Majipoor pragnie, byś żył dalej w dobrym zdrowiu i jak najdłużej, wasza wysokość. Pod tym względem nie jestem żadnym wyjątkiem. Ale zapewniam cię, że gdyby Bogini postanowiła zabrać cię jutro, jestem gotów na wszystko, co będzie ode mnie wymagane.

– Jesteś? No tak, mówisz, że jesteś, i chyba muszę dać temu wiarę – Pontifex zamknął oczy. Zdawał się zagłębiać w nieskończone otchłanie czasu. Prestimion obserwował leciutkie pulsowanie na pożyłkowanych powiekach starca i czekał. Czyżby Confalume zasnął? Lecz nagle Pontifex znów spojrział wprost na niego, a jego bystre, szare oczy były jak zawsze przenikliwe. – Pamiętam, jak siedziałem tu z tobą dawno temu, podczas twojej pierwszej wizyty jako Koronał. Pamiętam, jak mówiłem ci, że po czterdziestu latach pracy na Zamku chętnie przeniesiesz się do Labiryntu. Pamiętasz to?

– Tak.

– Jesteś w połowie drogi do tych czterdziestu lat. Musisz więc mówić przynajmniej pół prawdy, kiedy twierdzisz, że gotów jesteś objąć tu władzę. Ale nie obawiaj się, Prestimionie. Czekają cię następnych dwadzieścia lat – Confalume wskazał na stół, na którym znajdowała się jego kolekcja przyrządów astronomicznych. – Tak się składa, że w zeszłym tygodniu postawiłem sobie horoskop. O ile w moich obliczeniach nie było poważnego błędu, dożyję wieku stu dziesięciu lat. Będę najdłużej rządzącym Pontifexem w historii Majipooru. Co na to powiesz, Prestimionie? Ulżyło ci, prawda? Przyznaj się, ulżyło? Przynajmniej w tej chwili czujesz ulgę. Ale mówię ci, młody przyjacielu, kiedy odbędę podróż powrotną do Źródła, ty już dawno będziesz miał dość bycia Koronałem. Ani przez chwilę nie pożałujesz, że opuszczasz Zamek. Przyjdzie czas, kiedy będziesz pragnął zostać Pontifexem, wierz mi. I wierz mi, będziesz gotów schować się w Labiryncie, bardziej niż gotów!

W drodze powrotnej Prestimion zastanawiał się nad słowami Confalume'a. Musiał przyznać, że oszukiwał przynajmniej siebie twierdząc, że gotów jest w pełni przyjąć Pontyfikat. Najmocniejszym tego dowodem była ulga, którą odczuł, gdy dowiedział się o nieoczekiwanie dobrym stanie zdrowia Confalume'a. To było wytchnienie, niewątpliwe wytchnienie, a to oznaczało, że zostanie Pontifexem wciąż jawiło mu się jako ponury i nieubłagany wyrok, a nie prosty obowiązek. Choć bardzo wątpił w astrologiczne wyliczenia Confalume'a, wszystko wskazywało na to, że zmiana władców wciąż była kwestią lat.

Przed odjazdem na Zamek zabrał Taradatha na krótkie zwiedzanie miasta. Chłopiec w swoim krótkim życiu widział już wiele wspaniałych rzeczy, ale dziwność Labiryntu, wielkich, wypełnionych echem, niesamowicie zaprojektowanych sal położonych tak głęboko pod ziemią, nie przypominała niczego innego na świecie.

– Zwana jest Sączką Snów – powiedział Prestimion, wskazując spokojną, zielonkawą wodę, w której głębinie nieustannie pojawiały się i znikwały tajemnicze obrazy, niektóre cudownie piękne, inne koszmarnie ohydne; plejada najróżniejszych scen. – Nikt nie wie, jak działa, ani nawet który Pontifex ją tu umieścił.

Miejsce Masek, w którym wielkie, pozbawione ciała, pustookie twarze wyrastały na marmurowych łodygach. Sala Piramid, pełna tysięcy stojących blisko siebie, białych monolitów, bezcelowych i niewyjaśnionych. Sala Wichrów, w której z kamiennych kratek wiały podmuchy zimnego wiatru, choć znajdowali się głęboko pod powierzchnią świata. Sala Kielichów... Gabinet Latających Mieczów... Komnata Cudów... Świątynia Nieznanych Bogów...

Następnego dnia Prestimion wraz z synem wjechali na powierzchnię szybką windą i wrócili do Bramy Wód, gdzie już czekała królewska barka, gotowa zawieźć ich w górę rzeki, na Zamek. Lecz zdążyli tylko dotrzeć do Maurix, o trzy dni drogi na północ od Labiryntu, kiedy wyprzedził ich szybki pojazd rzeczny ozdobiony flagą Pontyfikatu.

Posłaniec, który wsiadł na pokład, powiedział tylko dwa słowa, a Prestimion już wiedział, co się stało.

– Wasza wysokość...

W ten sposób zwracano się do Pontifexa. Resztę historii poznał aż za szybko. Confalume zmarł nader gwałtownie, zabił go drugi udar. Prestimion musiał wrócić do Labiryntu, by przewodniczyć ostatniej posłudze i rozpocząć proces przejmowania obowiązków Pontifexa.

13

Mandalisca pomyślał, że podobieństwo jest naprawdę uderzające.

Venghenar Barjazid, ten, który już nie żył, ten od diabelskich maszyn kontrolujących umysły, był niedużym człowieczkiem o złym wyglądzie, oczach, które nie były tego samego rozmiaru, koloru ani nawet nie leżały na jednej linii, ustach, wykrzywionych w lewo, przez co wyglądał, jakby wciąż się krzywo uśmiechał i skórze, ciemnej, grubej i wyglądającej jak wygarbowana, pomarszczonej i pofałdowanej jak u kanavonga, gdyż spędził całe życie pod bezlitosnym słońcem Suvraelu.

W oczach Mandraliski drugi brat był równie uroczo odpychający. Od pierwszej chwili, gdy go ujrzał, intuicja podpowiadała mu, że oto znalazł potężnego sojusznika w czekających go zmaganiach o władzę na świecie.

Ten Barjazid był równie podłego wzrostu, kościsty i nieprzyjemnie wyglądający, jak jego zmarły brat. Jego oczy także były różne, krzywe i miały ten sam, surowy blask, usta ściągał mu drwiący grymas, też miał pomarszczoną, poczerniałą skórę kogoś, kto żył zbyt długo w jałowym, spalonym słońcem Suvraelu. Był może odrobinę wyższy od Venghenara i trochę mniej pewny siebie. Mandalisca dawał mu jakieś pięćdziesiąt lat, był więc starszy niż Venghenar, kiedy przyniósł swoje urządzenia Dantiryi Sambailowi.

Też sprawiał wrażenie, że przybył z towarem. Przyniósł ze sobą do pokoju bezkształtną, wypchaną, szmacianą torbę lamowaną skórą, rozprutą na środku, którą postawił ostrożnie obok siebie siadając na miejscu wskazanym przez Mandaliskę.

Hrabia bynajmniej nie spieszył się z rozpoczęciem negocjacji. Wierzył, że konieczne było wpierw określić, kto ma przewagę. A był to ten, komu mniej spieszyło się do przejścia do rzeczy.

– Wasza miłość – powiedział Barjazid z przesadnie uprzejmym ukłonem. – To prawdziwa przyjemność móc się wreszcie spotkać. Mój zmarły brat opowiadał o was z największym szacunkiem.

– Tak, pracowaliśmy razem.

– Pałam gorącą nadzieją, że powiecie to samo o mnie.

– Ja również. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Czemu uznałeś, że mam powód, aby chcieć cię przyjąć?

– Prawdę mówiąc, myślałem, że zginęliście dawno temu, tego samego dnia, co mój brat. Potem jednak doszły do mnie wieści, że zbiegliście, żyjecie i znajdujecie się gdzieś w tej okolicy.

– Wieści o miejscu mojego pobytu dotarły aż do Suvraelu? – zapytał Mandralisca. – Ciężko mi w to uwierzyć.

– Wieści się rozchodzą, wasza miłość. Poza tym posiadam umiejętność zdobywania wiedzy. Dowiedziałem się, że przebywacie tutaj, że pracujecie dla pięciu synów jednego z braci prokuratora i że być może myślą oni o odzyskaniu władzy, którą kiedyś miał ich stryj. Poczulem, że mógłbym przy tym pomóc. Z tego powodu wysłałem list.

– I sporo czasu trwało, zanim tu dotarłeś – zauważył Mandralisca. – Z twojego listu wynikało, że przyjedziesz tu rok temu. Co się stało?

– Po drodze wynikły opóźnienia – wyjaśnił Khaymak Barjazid, trochę za krótko się namyślając. – Wasza miłość, musicie zrozumieć, że podróż z Suvraelu tutaj zajmuje dużo czasu.

– Ale nie aż tak dużo. Z twojego listu zrozumiałem, że chcesz się ze mną spotkać natychmiast. Najwyraźniej nie miałem racji.

Barjazid otaksował go wzrokiem. Na chwilkę wysunął czubek języka, jak wąż. Przemówił cicho.

– Wasza miłość, przybyłem tu przez Alhanroel. Wybór ten był uzasadniony rozkładem transportu morskiego. Poza tym mój bratanek, ostatni z rodu, pozostaje w służbie Koronala na Górze Zamkowej. Chciałem znów się z nim spotkać przed przyjazdem tutaj.

– O ile dobrze pamiętam, Góra Zamkowa położona jest tysiące mil od wybrzeża.

– Przyznaję, Góra nie leży dokładnie po drodze. Ale od czasu, kiedy ostatni raz miałem przyjemność porozmawiać z synem mojego brata minęły lata. Jeśli mam poprzysiąc lojalność wam, w Zimroelu, prawdopodobnie więcej go nie ujrzę.

– Wiem o twoim bratanku – powiedział Mandralisca. Wiedział też o wizycie Khaymaka Barjazida na Górze Zamkowej, ale fakt, że tamten sam się do niej przyznał, działał na jego korzyść. Mandralisca zetknął czubki palców i z namysłem patrzył ponad nimi na Barjazida. – Twój bratanek zdradził własnego ojca, prawda? To z jego nieocenioną pomocą Prestimion osłabił Dantiryę Sambaila i wystawił go na atak, który kosztował prokuratora życie. Można by nawet powiedzieć, że ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za śmierć twego brata w tej samej bitwie. Jak możesz kochać takiego człowieka, nieważne, czy jest

twoim krewnym? Dlaczego miałbyś chcieć go odwiedzić?

Barjazid z zakłopotaniem wiercił się na krześle.

– Kiedy Dinitak to zrobił, był tylko chłopcem. Znalazł się pod wpływem księcia Dekkereta, dał się porwać młodzieńczemu entuzjazmowi dla Lorda Prestimiona i doprowadziło to do rzeczy, których wiem, że nie mógł przewidzieć. Chciałem dowiedzieć się, czy z biegiem lat zrozumiał swój błąd i czy możemy się pogodzić.

– I?

– Byłem głupi, że w to wierzyłem. Jest na wskroś człowiekiem Prestimiona i Dekkereta. Mają go w garści. Źle zrobiłem, szukając w nim choć śladu uczuć wobec rodziny. Nie chciał się ze mną widzieć.

– Jakie to smutne – Mandralisca nawet nie próbował brzmieć współczująco. – Pojechałeś aż na Zamek i wszystko na nic!

– Panie, nie udało mi się dotrzeć bliżej Zamku jak tylko do Morpin Wysokiego. Na wyraźny rozkaz mojego bratanka, nie pozwolono mi jechać dalej.

Bardzo to wzruszające, pomyślał Mandralisca. Ale nie całkiem mnie przekonuje.

Można było łatwo znaleźć inny powód, dla którego Khaymak Barjazid wybrał długą trasę przez Górę Zamkową. Najprawdopodobniej po tym, jak zdecydował się oddać na służbę Pięciu Lordów, pomyślał, że może gdzie indziej otrzyma wyższą cenę za swoje usługi. Nie było wątpliwości, że w swej znoszonej torbie miał cenny dar. I równie niewątpliwie zamierzał sprzedać go temu, który zapłaci najwięcej, a najgłębsze kieszenie na świecie miał Prestimion.

Mandralisca wiedział, że gdyby Dinitak Barjazid poświęcił choć pięć minut na wysłuchanie unizonej gadki swego stryja, nie rozmawialiby teraz. Mamy szczęście, pomyślał, że młody Barjazid ma dobry gust i nie chciał mieć nic wspólnego ze swoim krewniakiem spod ciemnej gwiazdy.

– Niemiła przygoda – powiedział. – Ale przynajmniej masz to z głowy. A teraz, choć może później, niż się spodziewałem, ale wreszcie się tu zjawiasz.

– Wasza miłość, to ja najbardziej żałuję mojego spóźnienia. Ale zaiste, oto jestem – uśmiechnął się, pokazując brzydkie pieńki zębów. – I przywiozłem z sobą pewne przedmioty, o których wspominałem w liście.

Mandralisca znów spojrzał na torbę.

– Znajdują się tam?

– Tak jest.

Uznał, że to sygnał.

– Doskonale, przyjacielu. Jak sądzisz, czy nadeszła pora, by przejść do interesów?

– Już przeszliśmy, wasza miłość – odparł spokojnie Khaymak Barjazid, nie patrząc nawet na torbę. W myśli Mandralisca przyznał mu za to punkt. Barjazid też był świadom zagrożeń, wynikających z nadgorliwości i sprawdzał, jak długo może kazać Mandralisce czekać. To dziwne, że hrabia dał się tak wymanewrować.

Doskonale. Pozwoli Barjazidowi na małe zwycięstwo. Czekał w milczeniu.

Barjazid znów wysunął czubek języka.

– Sądzę, że wiecie, iż zanim mój nieodżałowanej pamięci brat wstąpił na służbę Dantiryi Sambaila, był między innymi przewodnikiem po Suvraelu. Wcześniej spędził kilka lat na Zamku, służąc diukowi Svorowi z Tolaghai, przyjacielowi Prestimiona, który był wtedy zaledwie księciem Muldemar. Był też na Zamku pewien Vroon, znany jako Thalnap Zelifor, który...

Mandralisca poczuł, jak wzbiera w nim irytacja. To już była przesada. Barjazid poczuł, że ma przewagę i zbyt wyraźnie okazywał kontrolę nad rozmową.

– Dokąd zmierza ta historia? – zapytał ostro. – Cofa nas do czasów Lorda Stiamota?

– Gdybyście zaszczycili mnie uwagą jeszcze przez chwilę, panie.

Znowu się poddał. Barjazid powiedział to w tak cudownie oleisty sposób, że Mandralisca musiał go podziwiać. Ten człowiek był godnym przeciwnikiem.

Barjazid ciągnął dalej, niewzruszony.

– Wybaczcie, jeśli już znacie tę historię. Chciałem tylko opowiedzieć o mojej roli w dziele mego brata, a o niej możecie nie wiedzieć.

– Kontynuuj.

– Pozwólcie, że przypomnę, że ów Thalnap Zelifor, z zawodu mag, jak wielu przedstawicieli jego rasy, budował maszyny, które mogły przenikać do głębi ludzkiego umysłu. Kiedy Prestimion został Koronalem, z jakiegoś powodu wygnał Vroona do Suvraelu i powierzył mojemu bratu zadanie eskortowania go. Niestety Vroon zmarł po drodze, ale wcześniej był uprzejmy szkolić mego brata w sztuce posługiwania się tymi maszynami. Zabrał kilka z nich z Zamku.

– Póki co nie mówisz mi nic nowego.

– Ale nie wiecie pewnie, że ja, jako że posiadam pewną łatwość rozumienia zagadnień technologicznych, pomagałem bratu przy eksperymentach z tymi maszynami i zdobywaniu wiedzy o ich użyciu. Później udało mi się nawet zaprojektować ulepszone modele. To wszystko działo się wiele lat temu w mieście Tolaghai w Suvraelu. Potem miał miejsce pewien epizod, o którym może słyszeliście, kiedy to książę Dekkeret, podówczas bardzo młody i jeszcze bez tytułu, odwiedził nasz kontynent i miał dość pechowe spotkanie z moim

bratem i jego synem. Wziął ich w niewolę i zabrał na Górę Zamkową wraz z większością urzędów do czytania w myślach.

– Tak, powiedział mi o tym twój brat.

– Podobnie wiecie, że mój brat uciekł z Zamku do zachodniego Alhanroelu i sprzymierzył się z Dantiryą Sambailem.

– Tak – powiedział Mandralisca – byłem tam, kiedy przybył. Byłem też obecny, gdy Prestimion użył zapewne jednego z urzędów dostarczonych mu przez twojego bratanka, Dinitaka, i umożliwił armii pod wodzą Gialaurysa i Septacha Melayna odnalezienie naszego obozu i zabicie zarówno prokuratora, jak i twojego brata. Wszystkie urządzenia do czytania w myślach wpadły w ręce Prestimiona. Sądzę, że ma je bezpiecznie zamknięte gdzieś na Zamku.

– Zapewne tak jest.

Mandralisca znowu, tym razem bardziej znacząco, spojrział na znoszoną, wypchaną torbę Khaymaka Barjazida. Dość tych opowieści o zamierzchłej historii, ten cwany człowieczek za daleko posuwał się w swojej grze. Mandralisca nie zamierzał pozwalać mu dłużej się z sobą bawić.

Przemówił szorstkim, chłodnym tonem.

– Sądzę, że wystarczy nam tego wstępu. Mam dziś dużo zajęć. Pokaż mi, co dla mnie przywiozłeś.

Barjazid uśmiechnął się. Położył sobie torbę na kolanach i nacisnął zatrzask. Wyjął ze środka plik pergaminów, rozwinął je i rozłożył na otwartej pokrywie torby.

– Oto oryginalne plany wymyślonych przez Thalnapa Zelifora urzędów do kontrolowania umysłów. Pozostały w Suvraelu, w moim posiadaniu, odkąd Dekkeret zabrał mojego brata jako więźnia na Górę.

– Mogę je obejrzeć? – Mandralisca wyciągnął rękę.

– Oczywiście, wasza miłość. Oto szkice trzech kolejnych modeli tego urządzenia. Moc każdego kolejnego była większa. Oto pierwszy. To ten, który wykradł mój bratanek i oddał Lordowi Prestimionowi, by użył go przeciwko mojemu bratu. A tego właśnie używał on sam podczas decydującej bitwy, kiedy Prestimion złamał waszą obronę.

Mandralisca przerzucał karty pergaminu. Barjazid niczego nie ryzykował, pokazując mu je – nic z nich nie rozumiał.

– A to? – zapytał, wskazując arkusze, które Barjazid wciąż trzymał w rękach.

– To projekty nowych, jeszcze potężniejszych modeli, o których przed chwilą mówiłem. Przez te wszystkie lata eksperymentowałem z podstawowymi pomysłami Vroona.

Sądę, że dokonałem znacznych postępów w sztuce.

– Tylko *sądzisz*?

– Nie miałem jeszcze okazji dokonać testów.

– Z obawy, że wykryją cię ludzie Prestimiona?

– To też, częściowo. Ale poza tym... Produkcja tych przedmiotów jest bardzo kosztowna, panie... musicie pamiętać, że nie jestem zamożny...

– Rozumiem – zapraszano go do finansowania badań Barjazida. – Prawda jest więc taka, że nie masz działających modeli.

– Mam to – powiedział Barjazid i wyciągnął z torby lichy wyglądający hełm. Była to lśniąca, skomplikowana plecionka z delikatnych, czerwonych i złotych drutów, przez której grzbiet przebiegał potrójny rząd kabli z brązu. Mandralisca przypomniał sobie hełm, który miał na głowie drugi Barjazid podczas ostatecznej walki w Stoienzar. Ten był zapewne udoskonaloną wersją. Wyglądał jednak *zbyt* prosto. Jakby był niekompletny, niedokończony.

– Czego można nim dokonać? – zapytał Mandralisca.

– W obecnej formie niczego. Nie zamontowano jeszcze koniecznych połączeń.

– A gdyby je zamontować?

– Gdyby to zrobić, noszący hełm mógłby sięgnąć do każdej osoby na świecie i umieścić w jej głowie sny. Bardzo potężne sny, wasza miłość. Przerazające. *Bolesne*, gdyby tego zapragnąć. Sny zdolne złamać czyjąś wolę. Mogące rzucić go na ziemię i sprawić, by błagał o litość.

– Zaiste – powiedział Mandralisca.

Powoli przebiegł palcami po koronkowej siatce, badał ją, głaskał. Założył hełm, rozkładając go, i zauważył, że jest niezwykle lekki, niemal niewyczuwalny. Zdjął go i złożył, potem złożył ponownie, aż mieścił mu się w dłoni. Zważył go na wyciągniętej ręce. Skinął głową z aprobatą, ale milczał. Minęła może minuta. Może więcej.

Khaymak Barjazid obserwował całą scenę z miną, która wyrażać mogła tylko rosnący niepokój i przejęcie.

Wreszcie przemówił.

– Myślicie, wasza miłość, że przydałoby się wam takie urządzenie?

– Och tak. Bez wątpienia. Ale czy będzie działać?

– Można sprawić, by działało. Można sprawić, że będą działać wszystkie urządzenia z tych planów. Potrzebne są tylko pieniądze.

– Tak. Oczywiście – Mandralisca wstał, podszedł do drzwi i stał, patrząc przez dłuższą chwilę w jasność pustynnego poranka. Lekko przerzucał hełm Barjazida z ręki do ręki.

Zastanawiał się, jak to będzie posiadać możliwość wysyłania snów do umysłów wrogów. Barjazid mówił o bolesnych snach. Koszmarach. Gorzej niż koszmarach. Mnóstwie przerażających obrazów. Trzepoczące istoty, wiszące na cienkich, metalowych drutach. Niekończąca się armia dużych, czarnych żuków maszerujących po podłodze i wydających przy tym paskudnie, chrzęszczące dźwięki. Przezroczyste palce łaskoczące kanały mózgu. Powolne spirale czystego strachu, tężejące i skręcające się w umęczonym umyśle. I – stopniowo – szloch, skamlanie, błaganie o litość...

– Chodź ze mną na zewnątrz – rzucił Barjazidowi przez ramię, nawet na niego nie patrząc.

Szli pod górę do miejsca, z którego widać było pięć kopuł pałaców ich lordowskich mości.

– Czy wiesz, co to za budynki? – zapytał Mandralisca.

– To domy Pięciu Lordów. Powiedział mi to chłopak, który mnie tu przyprowadził.

– Wiesz więc, że nazywają się Pięcioma Lordami. Co jeszcze o nich wiesz?

– Że są synami jednego z braci Dantiryi Sambaila i niedawno ogłosili się władcami części centralnego Zimroelu. Że przybrali tytuł Lordów Zimroelu.

– Wiedziałeś to wszystko, zanim napisałeś do mnie list?

– Poza tym, jak się tytułują.

– Dlaczego wieści o tych sprawach miałyby dotrzeć aż do Suvraelu?

– Już mówiłem, wasza miłość, że posiadam umiejętność zdobywania wiedzy.

– Na to wygląda. Sam Koronal, o ile mi wiadomo, nie wie, co dzieje się w tej części Zimroelu.

– A jeśli się dowie...?

– Cóż, wtedy pewnie będzie wojna – odpowiedział Mandralisca. Odwrócił się twarzą do niskiego człowieczka. – Proponuję, żebyśmy teraz porozmawiali bardzo szczerze. Tych Pięciu Lordów Zimroelu to głupi i podli ludzie. Gardzę wszystkim, co jest z nimi związane. Kiedy ich poznasz, podzielisz moje uczucia. Nie zmienia to faktu, że w Zimroelu żyją miliony ludzi, którzy uważają ich za prawowitych spadkobierców Dantiryi Sambaila i zaciągną się pod ich sztandary, kiedy wreszcie rozwinię się je otwarcie, by iść na wojnę o niepodległość z rządem Alhanroelu. Wojnę, którą wierzę, że z twoją pomocą możemy wygrać.

– To by mnie wielce uradowało. Prestimion i jego ludzie zabili mi brata.

– Będziesz więc miał swoją zemstę. Dantiryja Sambail dwa razy próbował pokonać Prestimiona, ale ponieważ był już władcą Zimroelu, obydwaj usiłował przenieść powstanie do Alhanroelu. To był błąd. Najeźdźcy z Zimroelu nie mogą pokonać Koronala i

Pontifexa na ich własnej ziemi. Alhanroel jest zbyt wielki, by podbić go z zewnątrz, a nie da się utrzymać linii zaopatrzenia ciągnących się tysiącami mil. Ale działa to także w drugą stronę. Żadna armia z innego kontynentu nie zdoła nigdy podbić całego Zimroelu.

– Zamierzacie więc uczynić Zimroel osobnym państwem?

– A czemu nie? *Czemu* mielibyśmy być sługusami Alhanroelu? Co daje nam fakt, że rządzi nami król i imperator oddaleni o pół świata? Obwołam jednego z pięciu braci, najinteligentniejszego, Pontifexem Zimroelu. Jeden z pozostałych będzie jego Koronalem. I wreszcie uwolnimy się od Alhanroelu.

– Istnieje trzeci kontynent – powiedział Barjazid. – Macie jakieś plany wobec Suvraelu?

– Nie – odparł Mandralisca. To pytanie go zaskoczyło. Zdał sobie sprawę, że w ogóle nie myślał o Suvraelu. – Ale jeśli chciałbyś uczynić go niepodległym, sądzę, że można by to łatwo osiągnąć. Prestimion nie jest tak głupi, by wysłać armię w wasze potworne pustynie, a nawet jeśli to zrobi, upał zabije ich w sześć miesięcy.

W różnokolorowych oczach Barjazida zabłysła chciwość.

– Suvrael musiałby mieć swojego króla.

– To prawda. Mogłoby tak być – nagle zrozumiał, do czego zmierzał Barjazid i uśmiechnął się szeroko. – Brawo, przyjacielu! Brawo! Podałeś więc cenę swojej pomocy, tak? Khaymak Pierwszy, król Suvraelu! Dobrze, niech tak będzie. Gratuluję, wasza wysokość!

– Dziękuję, wasza miłość – Barjazid obdarzył go ciepłym uśmiechem, przyjacielskim i pełnym wdzięczności. – Pontifex Zimroelu... król Suvraelu... a jaką rolę widzicie dla siebie, hrabio Mandralisco, kiedy już bracia zajmą swoje miejsca na tronach?

– Ja? Będę ich tajnym doradcą, jak teraz. Wciąż będą potrzebować kogoś, kto powie im, co robić. I będę to ja.

– Ach. Tak, oczywiście.

– Sądzę, że się rozumiemy.

– Też tak uważam. Jaki będzie nasz następny ruch?

– Cóż, musisz zbudować te diabelskie maszyny. Pozwoli nam to utrudnić Prestimionowi życie.

– Doskonale. Proponuję urządzić natychmiast warsztat w Ni-moya i...

– Nie – przerwał Mandralisca. – Nie w Ni-moya. Będziesz pracował *tutaj*, wasza wysokość.

– Tutaj? Będę potrzebował specjalistycznego sprzętu... materiałów... być może zdolnych rzemieślników. Na odległym od cywilizacji, pustynnym posterunku, takim jak tu,

nie mogę...

– Możesz i zrobisz to. Suvraelczyk taki jak ty nie powinien mieć żadnych problemów z przystosowaniem się do pustynnych warunków. Sprowadzimy z Ni-moya wszystko, czego potrzebujesz. Ale teraz, przyjacielu, dołączyłeś do nas. Twoje miejsce jest tutaj. Pozostaniesz tu, tu będziesz żył i pracował, póki nie wygramy wojny.

– Wasza miłość, brzmi to tak, jakbyście mi nie ufali.

– Nikomu nie ufam, przyjacielu. Nawet samemu sobie.

Dekkeret wrócił na Zamek najszybszą trasą, Wielką Drogą Calintane'a, na której końcu znajdowała się rozległa, otwarta przestrzeń brukowana gładkimi, zielonymi, porcelanowymi kocimi łbami, zwana Placem Dizimaule'a. Latacz przesunął się nad leżącym pośrodku symbolem rozbłysku gwiazd, wykonanym ze złotych płytek i przewiózł go pod Łukiem Dizimaule'a, który był głównym wejściem na Zamek, prowadzącym do zachodniego skrzydła. Strażnicy z wartowni stojącej po lewej stronie Łuku machali do niego, gdy przejeżdżał. Odpowiedział im krótkim, sztywnym salutem.

Kiedy wchodził na Zamek, wyczuwał panującą w korytarzach atmosferę ledwo skrywanego napięcia. Twarze ludzi, którzy witali go przy kolejnych punktach kontrolnych były ściągnięte i poważne, usta zaciśnięte, oczy spuszczone.

– Patrząc na nich – powiedział Dekkeret do Dinitaka – można pomyśleć, że Pontifex zmarł, kiedy byliśmy w drodze z Normork.

– Myślę, że już by cię o tym poinformowano – odpowiedział Dinitak.

– Pewnie tak.

Tak. Gdyby Confalume zmarł, witaliby go jak Koronała, prawda? Kłękaliby, robiliby znak rozbłysku gwiazd, wykrzykiwaliby tradycyjne „Dekkeret! Dekkeret! Chwała Lordowi Dekkeretowi!” Wprawdzie nie byłby oficjalnie Koronałem aż do otrzymania zgody Rady i mianowania przez Prestimiona, ale wszyscy wiedzieli, kto będzie następnym władcą.

„Lord Dekkeret”. Jak to dziwnie brzmiało! Z jakim trudem obejmował to umysłem!

– To trudny czas dla wszystkich – powiedział Dinitak. – Na pewno zawsze, kiedy w powietrzu wisi zmiana władzy, tak jest. Starzy władcy opuszczają Zamek, przybywają nowi, a dla wszystkich, którzy tu mieszkają, nic już nie będzie takie samo.

Byli teraz na progu Wewnętrznego Zamku. Przed nimi wznosiło się Dziewięćdziesiąt Dziewięć Schodów. Zatrzymali się. Pokoje Dinitaka znajdowały się na tym poziomie, daleko na lewo, Dekkeret zaś mieszkał wyżej, w apartamencie w Wieży Munneraka, który niegdyś zajmował Prestimion.

– Chyba cię tu zostawię – powiedział Dinitak. – Pewnie będziesz musiał spotkać się z

Rada... i z lady Varaile, jak przypuszczam...

– Dziękuję, że pojechałeś ze mną do Normork – powiedział Dekkeret. – Że wytrzymałeś na tych koszmarnych bankietach i za wszystko.

– Nie ma za co dziękować. Pojadę wszędzie, gdzie poprosisz.

Uścisnęli się krótko i Dinitak poszedł.

Dekkeret stawał na co drugim stopniu starych, wytartych schodów. Lord Dekkeret, myślał. Lord Dekkeret. Lord Dekkeret. Lord Dekkeret. Niesamowite. Niewiarygodne.

To się jeszcze nie wydarzyło. Odkąd otrzymał wiadomość, w której wzywano go do powrotu na Zamek, z Labiryntu nie przysłyły nowe raporty. Poinformował go o tym Septach Melayn, pierwszy członek Rady, którego Dekkeret spotkał w Wewnętrznym Zamku.

Długonogi fechmistrz czekał na niego na placyku przed Skarbcem Prankipina, na szczycie Dziewięćdziesięciu Dziewięciu Schodów.

– Przybyłeś naprawdę szybko, Dekkerecie! Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro.

– Wyjechałem, kiedy tylko otrzymałem wiadomość. Gdzie Prestimion?

– W połowie Glayge, zmierza w stronę Labiryntu. Wrócił pędem z Fa, kiedy tylko dowiedział się, co się dzieje, spędził może trzy minuty z lady Varaile, po czym ruszył na południe. Rozumiesz, pragnie oddać hołd staremu Confalume'owi, póki jeszcze może. Dziwi mnie, że minąłeś się z nim po drodze.

– Więc Confalume wciąż...

– Żyje? O ile mi wiadomo, tak – przerwał mu Septach Melayn. – Oczywiście, wiadomości z dołu bardzo długo podróżują tutaj na górę. Phraatakes Rem twierdzi, że udar nie był poważny.

– Można mu ufać? W jego interesie leży jak najdłuższe utrzymywanie wszystkich w przekonaniu, że jego pan, Pontifex, wciąż żyje. Były przypadki, kiedy śmierć Pontifexa ukrywano tygodniami. Miesiącami nawet.

– Co mogę na to odpowiedzieć, chłopcze? – odparł Septach Melayn, wzruszając ramionami. – Osobiście wolałbym, żeby Confalume był Pontifexem przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Rozumiem, że twoje stanowisko może być zupełnie odwrotne.

– Nie – powiedział Dekkeret, łapiąc starszego mężczyznę za nadgarstek i przysuwając twarz bardzo blisko jego twarzy. Był jednym z nielicznych książąt Góry Zamkowej, którzy prawie dorównywali Septachowi Melaynowi wzrostem. – Nie – powtórzył niskim, ponurym głosem. – Całkowicie się mylisz, Septachu Melaynie. Jeśli Bogini postanowiła, że kiedyś będę Koronalem, jestem na to gotów, kiedykolwiek miałyby się to wydarzyć. Ale absolutnie nie chcę, żeby zdarzyło się to przed czasem. Każdy, kto myśli inaczej, bardzo się myli.

– Spokojnie, Dekkercie! – powiedział Septach Melayn z uśmiechem. – Nie chciałem cię urazić. W ogóle. Chodź, odprowadzę cię do pokojów, żebyś mógł odświeżyć się po podróży. Rada zbierze się dziś po południu w sali tronowej Stiamota. Twoja obecność byłaby pożądana.

– Będę tam – obiecał Dekkeret.

Spotkanie nie miało celu ani sensu. Co można było powiedzieć? Najwyższe władze były jak sparaliżowane. Pontifex miał udar, może był bliski śmierci, może już umarł. Koronał udał się do Labiryntu, by czuwać przy łożu starszego monarchy. W obydwu stolicach nie ustawały zwykłe czynności biurowe, ale ministrowie, którzy nimi zarządzali, byli uwięzieni w zastoju, nie wiedzieli bowiem, kiedy przyjdzie im odejść z pracy.

Bez sensownych wieści, nad którymi mogliby pracować, członkowie Rady mogli tylko górnolotnie wygłaszać nadzieję, że Pontifex wydobrzeje i będzie kontynuował swe długie i wspaniałe rządy. Niepewność odcisnęła jednak piętno na wszystkich twarzach. Kiedy Confalume umrze, część tu obecnych będzie proszona o objęcie stanowisk w administracji nowego Pontifexa w Labiryncie, a inni, pominięci przez nowego Koronała, przejdą na emeryturę po wielu latach przeżytych w ścisłej elicie władzy. Obie możliwości niosły za sobą wiele problemów i nikt nie miał pewności, co zaproponują właśnie jemu.

Wszyscy wpatrywali się w Dekkereta. On zaś musiał zastanowić się nad własnym losem. Podczas zebrania mówił mało. W tym trudnym okresie wypadało mu być raczej cicho. Bycie oficjalnym następcą Koronała bardzo różniło się od bycia samym władcą.

Kiedy było po wszystkim, wrócił do swoich pokojów. Miał przyjemny apartament, wcale nie największy czy najwspanialszy, ale wystarczał Prestimionowi, gdy był wyznaczony na Koronała, a dla Dekkereta był bardziej niż wystarczający. Miał przestronne, dobrze urządzone pokoje, a widok z wielkich, łukowych, wielofasetowych okien, stworzonych przez zmyślnych rzemieślników ze Stee, był spektakularny. Rozciągał się na otchłań, zwaną Spadkiem Morpin, która okalała to skrzydło Zamku.

Na krótko spotkał się ze swoją osobistą służbą: z Dalipem Amritem, taktownym byłym nauczycielem z Normork, który został jego osobistym sekretarzem, energicznym, niesamowicie skutecznym Singobindą Mukundem, ochmistrem, rumianym Nimoyańczykiem i z hrabiną Aurangą z Bibiroon, która, z braku małżonki, pełniła obowiązki pani domu. Opowiedzieli mu, co działo się na Zamku pod jego nieobecność. Później odesłał ich i z radością wślizgnął się do wielkiej wanny z czarnego, khyntorskiego marmuru na długą kąpiel przed kolacją.

Zamierzał zjeść samotnie i wcześniej położyć się spać. Ledwie jednak zdążył po kąpieli włożyć szlafrok, już zjawił się Dalip Amrit z informacją, że lady Varaile prosi go o towarzyszenie jej przy kolacji w królewskich apartamentach w Wieży Lorda Thrayma, o ile nie ma żadnych innych planów.

Zaproszeń małżonki Koronała nie traktowało się lekko. Dekkeret przebrał się w oficjalny strój, długi, złoty dublet i obcisłe fioletowe rajtuzy z aksamitnymi lamówkami. W królewskiej jadalni zjawił się punktualnie.

Wyglądało na to, że jest jedynym gościem. Trochę go to zaskoczyło: spodziewał się obecności Septacha Melayna, księcia Teotasa, może Fiorindy lub kogoś z dworu. A Varaile czekała na niego samotnie, ubrana w długą, zieloną tunikę i żółtą bluzkę z długimi rękawami, tak prosto, że poczuł się zawstydzony własną galą.

Podsunęła mu policzek do pocałunku. Dekkeret i lady Varaile zawsze byli dobrymi przyjaciółmi. Varaile była nie więcej niż rok, może dwa lata starsza od niego i, jak on, musiała porzucić życie prostego człowieka, by żyć na Zamku ze szlachtą. Ona jednak od urodzenia nawykła do bogactwa i przywilejów jako córka fantastycznie bogatego kupca, Simbilona Khayfa z wielkiego miasta Stee, a Dekkeret był tylko synem nieszczęsnego wędrownego handlarza. Dlatego właśnie zawsze widział w niej osobę, która z łatwością i spokojem poruszała się wśród arystokracji Góry, podczas gdy on musiał opanować tę sztukę powoli i z trudem, tak jak uczy się wyższej matematyki.

Nad miskami złotobrazowych daktyli z Sippulgaru i ciepłego mleka z czerwoną brandy z Narabalu pytała go o podróż do Normork. Wyrażała się ciepło o jego matce, którą ogromnie lubiła i przekazała mu ploteczki, które zasłyszała, gdy go nie było – żywe, nieważne historie o skomplikowanych intrygach, w które zamieszani byli dworzanie i damy w takim wieku, że mogliby być mądrzejsi. Było tak, jakby na świecie nie zaszło ostatnio nic wyjątkowego.

Później, kiedy postawiono przed nimi talerze jasnej ryby quaal przyrządzonej w słodkim winie, powiedziała:

– Oczywiście wiesz, że Prestimion pojechał do Labiryntu?

– Dziś po południu dowiedziałem się o tym od Septacha Melayna. Czy Koronała długo nie będzie?

– Tak długo, jak będzie to konieczne – nagle Varaile spojrzała na niego wielkimi, ciemnymi, lśniąco-ciemnymi oczami z nową, zaskakującą intensywnością. – *Tym* razem wróci na Zamek, gdy wszystko załatwi. Ale kiedy pojedzie tam następnym razem...

– Tak. Wiem, pani.

– Nie ma powodu, żebyś wyglądał na dotkniętego, Dekkercie. Dla ciebie będzie to wezwanie do wielkości. Za to dla mnie... dla Lorda Prestimiona... dla naszych dzieci...

Patrzyła na niego z wyrzutem. Uznał to za bezpodstawne. Czy sądziła, że jest tak nieczuły, że nie rozumie ich sytuacji? Jednak z miłości do niej, przemówił delikatnie.

– Prawdę mówiąc, Varaile, śmierć Pontifexa oznacza to samo dla nas wszystkich: *zmianę*. Ogromną, niepojętą zmianę. Ty i twoi bliscy przenosicie się do Labiryntu, ja zakładam koronę i siadam na tronie Confalume'a. Sądzisz, że przyszłość niepokoi mnie choć trochę mniej, niż ciebie?

Rysy jej twarzy zmiękły.

– Nie powinniśmy się kłócić, Dekkercie.

– A kłócimy się, pani?

Nie odpowiedziała.

– Ciężar niepokoju sprawił, że oboje jesteśmy nerwowi. Ja chciałam tylko przyjacielskiej wizyty. *Jesteśmy* przyjaciółmi, prawda?

– Wiesz, że tak.

Sięgnął po butelkę wina, by dolać im obojgu. Ona zrobiła to samo, ich ręce zderzyły się, butelka zaczęła wywracać. Dekkeret złapał ją, zanim upadła. Oboje śmiali się z niezdarności, o którą przyparowały ich obecne wydarzenia i wspólny śmiech na chwilę rozproszył napięcie, jakie między nimi narastało.

Dekkeret wiedział, że Varaile ma rację. Stała przed koniecznością dokonania ogromnego poświęcenia, miała opuścić dobrze znane i piękne otoczenie i żyć w miejscu odległym i nieprzyjemnym. On za to zajmie pozycję, która ma mu przynieść sławę i chwałę i do której przygotowywał się przez ostatnie dziesięć z okładem lat. Jak można porównywać sytuacje, w których się znajdowali? Nakazał sobie traktować ją delikatniej.

– Powinniśmy porozmawiać o innych sprawach – powiedziała. – Czy rozmawiałeś z lady Fulkari odkąd wróciłeś na Zamek?

Dla Dekkereta była to nieszczęśliwa zmiana tematu. Odpowiedział zgodnie z prawdą:

– Jeszcze nie. A czy z jakiegoś powodu powinienem?

Varaile była zła.

– Cóż, tylko dlatego... bardzo chciała się z tobą zobaczyć. A ja myślałam, że ty... skoro nie było cię ponad tydzień...

– Będę równie chętny, by się z nią spotkać – dokończył Dekkeret, gdy zrozumiał, że Varaile albo nie umie, albo nie chce tego zrobić. – Jestem. Oczywiście, że jestem. Ale to nie jest najważniejsze. Potrzebuję czasu, żeby się pozbierać. Gdybyś mnie dziś nie wezwała,

spędziłbym czas samotnie, wypoczywając po podróży, myśląc o przyszłości i o obowiązkach, które mnie czekają.

– Wybacz mi więc, że oderwałam cię od rozmyślań – odparła cierpko. – Bardzo wyraźnie zaznaczyłam, żebyś przyszedł, o ile nie masz innych planów na wieczór. Myślałam, że może wołałbyś być z Fulkari. Ale nawet wieczór samotnych rozmyślań to jakiś plan, Dekkercie. Mogłeś odmówić.

– Nie mogłem – odparł. – Nie odrzuciłbym zaproszenia od ciebie. Dlatego jestem. Fulkari nie napisała, ty tak. Nie rozumiem wprawdzie dlaczego, Varaile. Po co właściwie mnie zaprosiłaś? Po to tylko, by rozpaczać nad perspektywą przeprowadzki do Labiryntu?

– Chyba znowu się kłócimy – powiedziała Varaile lekko.

Wzięły ją za rękę, gdyby ośmielił się na taką poufałość wobec żony Koronała. Przemówił, pilnując, by utrzymać spokojny, łagodny ton.

– To trudny czas dla nas obojga i stres zbiera swoje żniwo. Pozwól, że zapytam cię po raz drugi: dlaczego tu jestem? Czy tylko dlatego, że potrzebowałaś towarzystwa? Mogłaś zaprosić Teotasa, Fiorinę, Gialaurysa, nawet Maundiganda-Klimda. Ale napisałaś do mnie, chociaż myślałaś, że mogę spędzać wieczór z Fulkari.

– Prosiłam, byś przyszedł, ponieważ mam cię za przyjaciela, za kogoś, kto rozumie, co czuję, gdy zbliża się możliwość zmiany rządów. Kogoś, kto, jak sam zauważyłeś, może czuć coś podobnego. A także był to mój sposób, żeby sprawdzić, czy będziesz spędzał wieczór z Fulkari.

– Ach. Jakże przebiegle, Varaile.

– Tak sądzisz? Może i masz rację.

– Czemu chciałaś to wiedzieć?

– Krążą po Zamku plotki, że już się nią nie interesujesz.

– Nieprawda.

– Więc wciąż ją kochasz, Dekkercie?

Poczuł gorąco na policzkach. To było niesprawiedliwe.

– Wiesz, że tak.

– A jednak pierwszej nocy po powrocie przedkładaś własne towarzystwo nad nią.

Dekkeret bawił się serwetką, zwił ją i zgniatał.

– Już ci mówiłem, Varaile: chciałem pobyć sam. Pomyśleć nad tym, co spotka nas wszystkich. Gdyby Fulkari chciała mnie widzieć, mogła po prostu powiedzieć i przyszedłbym do niej tak, jak przyszedłem do ciebie. Ale nie dostałem wiadomości od niej, za to ty napisałaś.

– Może czekała, bo chciała zobaczyć, co zrobisz?

– A teraz uzna, że jesteśmy kochankami?

Varaile uśmiechnęła się.

– Bardzo w to wątpię. Ale może pomyśleć, że nie jest dla ciebie szczególnie ważna. Inaczej czemu miałbyś jej unikać w pierwszą noc po powrocie? To dowód obojętności, nie namiętności.

– Słyszałaś, że ją kocham. Ona też o tym wie.

– Wie?

Dekkeret uniósł brwi.

– Sądysz, że dałem jej powód do zwątpienia?

– Rozmawiałeś z nią o ślubie, Dekkercie?

– Nie, jeszcze nie. Ach... *Teraz* rozumiem, po co naprawdę mnie wezwałaś! – odwrócił wzrok. – Ona cię o to poprosiła? – zapytał zimno.

Przez chwilę oczy Varaile rozbłysły gniewem.

– Zadając takie pytanie niebezpiecznie zbliżasz się do granicy i możesz ją nawet przekroczyć. Ale nie, nie, Dekkercie, to nie jej dzieło. To wyłącznie moja wina. Wierzysz mi?

– Nigdy nie zwątpiłbym w twoje słowa, pani.

– W porządku więc, Dekkercie. Przejdźmy do sedna. Jasne jest, że wkrótce zostaniesz Koronalem. Przyjęło się, że Koronał powinien mieć żonę. Małżonka króla pełni ważną rolę na Zamku, a gdy jej nie ma, kto się tym zajmie?

A więc o *to* chodziło! Dekkeret milczał. Trzymał kielich obiema rękoma, nie pił jednak, tylko czekał na dalszy ciąg.

– Nie jesteś już chłopcem, Dekkercie. Nie sądzę, żebym się myliła, jeśli powiem, że wkrótce będziesz miał czterdzieści lat. Spędzasz czas z lady Fulkari od ilu? Trzech lat, a wciąż nie wspomniałeś nikomu o małżeństwie. Wygląda na to, że jej też nie. To temat, nad którym powinienes się teraz zastanawiać.

– Tak czynię, Varaile, wierz mi.

– I zamierzasz wybrać Fulkari?

– Pani, naciskasz zbyt mocno. Proszę cię, abyś przerwała to wypytywanie. Jesteś moją królową i jedną z najbliższych przyjaciółek, ale to sprawy, które wolałbym zachować dla siebie, jeśli tylko mogę – odsunął swoje krzesło i spojrzał na nią w sposób, który stawiał między nimi ścianę ciszy.

Teraz to ona wyciągnęła do niego rękę. Przemówiła z czułością:

– Nie chciałam sprawić, że poczujesz się niezręcznie, Dekkerecie. Chciałam tylko wypowiedzieć się w temacie, który wzbudza mój niepokój.

– Powiem ci jeszcze raz: kocham Fulkari. Nie wiem, czy chcę ją poślubić ani czy ona chce mnie. Między nami są problemy, których nie będę omawiać nawet z tobą. Zwłaszcza z tobą. Czy moglibyśmy zmienić temat? O czym porozmawiamy? Może o twoich dzieciach? Księżę Akbalik pisze epos, prawda? A księżniczka Tuanelys... czy to prawda, że Septach Melayn obiecał, że kiedy będzie rok czy dwa starsza, zacznie ją uczyć fechtunku?

Rano, gdy wstał, znalazł karteczkę, którą w nocy wsunięto mu pod drzwi:

Może wybralibyśmy się jutro na przejażdżkę? Na przykład na południowe łąki?

– F.

Służący powiedzieli mu, że wiadomość przyniósł nad ranem jakiś Vroon. Dekkeret domyślił się, że był to mały Gurjara Yaso, mag Fulkari, który zazwyczaj załatwiał za nią takie sprawy w przerwach pomiędzy rzucaniem czarów i warzeniem mikstur. Dekkeret podejrzewał, że Vroon czasami używał magii także po to, by zapewnić swej pani stałe miejsce w sercu ukochanego.

Niepotrzebna była do tego żadna magia – myślał o niej bez przerwy. Fulkari nie była mu ani trochę obojętna, przez cały pobyt w Normork, kiedy tylko na chwilę przestawał koncentrować się na tym, co działo się wokół, pojawiała się w jego umyśle, wyraźna i świetlista jak latarnia morska i wzywała go, przyciągała...

Bez wątpienia po tygodniowej rozłące odczuwał przemożne pragnienie, by znaleźć się jak najprędzej u jej boku. Dekkeret czuł jednak, że należało teraz zbudować między nimi pewien dystans, choćby po to, by mógł zrozumieć, czego właściwie od niej chce, a ona od niego. Teraz w jednej chwili porzucił to postanowienie. Gdy czytał wiadomość od niej, czuł, jak zalewa go fala ulgi, zachwyty i radosnego oczekiwania.

– Czy dziś rano mam jakieś obowiązki? – zapytał przy śniadaniu Singobindę Mukunda.

– Nie, panie – odparł ochmistrz.

– Rozumiem, że z Labiryntu nie przyszły żadne nowiny?

– Nie, panie, nic – powiedział Singobinda Mukund. Spojrzał na Dekkereta z oburzeniem, jak gdyby chciał pokazać, jak zszokował go fakt, że księżę czuje, że musi o to pytać.

– Wyślij więc lady Fulkari wiadomość, że za dwie godziny spotkam się z nią przy

Łuku Dizimaule'a.

Kiedy tam dotarł, Fulkari już na niego czekała. Wyglądała cudownie, szczupła, ubrana w miękką, zieloną, skórzany strój do jazdy, który przylegał do niej jak druga skóra. Dekkeret zauważył, że już kazała przygotować dwa ogniste sportowe wierzchowce z zamkowych stajni. To było w jej stylu. Lubiła chwycić chwilę, sprawnie zabierała się za wszystko, co było akurat do zrobienia. To, jak zeszłej nocy czekała, aż on wykona pierwszy krok było zupełnie do niej niepodobne. A kiedy on nic nie zrobił, wzięła sprawy w swoje ręce, wysyłając kogoś, by wsunął mu pod drzwi liścik.

Byli kochankami niemal od trzech lat, prawie od pierwszego dnia pobytu Fulkari na Zamku. Należała do jednej ze starych rodzin Pontyfikatu jako potomkini w prostej linii Makharia z Sipermit, który rządził pięćset lat temu. Zamek pełen był szlachty, w której żyłach płynęła krew dawnych monarchów.

Choć władza nie była dziedziczna, potomkowie Pontifexów i Koronalów otrzymywali na zawsze tytuły szlacheckie i mieli prawo mieszkać na Zamku tak długo, jak tylko chcieli, niezależnie od tego, czy pełnili jakąś funkcję w rządzie. Niektórzy z nich postanawiali zostać i stawali się stałym elementem dworskiego krajobrazu, jednak większość wolała spędzać czas w rodzinnych posiadłościach na Górze i odwiedzać Zamek tylko, gdy panował tam największy ruch.

Sipermit, gdzie dorastała Fulkari, było jednym z dziewięciu Miast Wysokich Gór Zamkowej, tworzących pierścien tuż pod Zamkiem. Mimo to, odwiedziła Zamek dopiero gdy skończyła dwadzieścia jeden lat, kiedy to jej młodszy brat, Fulkarno, został, jak wielu arystokratów, wysłany przez rodziców na kilka lat na dwór.

Dekkeret zauważył Fulkari niemal natychmiast. Jak mógłby ją przegapić? Była tak podobna do jego dawno zmarłej kuzynki Sithelle, zabitej przez uzbrojonego w sierp szaleńca tego straszliwego dnia w Normork dwadzieścia lat temu, że można by ją wziąć za ducha zmarłej, nawiedzającego korytarze Zamku.

Była szczupła i dobrze zbudowana, jak kiedyś Sithelle, wysoka, o długich, proporcjonalnych rękach i nogach. Jej włosy opadały na ramiona identyczną kaskadą ognistego złota, miała podobnie szarofioletowe oczy, pełne usta, mocną brodę, zupełnie jak Sithelle. Wprawdzie jej twarz wydawała się szersza od twarzy Sithelle, jaką pamiętał, a w brodzie Fulkari był dołeczek, którego Sithelle nie miała, ale zasadnicze podobieństwo było niesamowite.

Kiedy Dekkeret pierwszy raz ją ujrzał, zatrzymał się i aż sapnął ze zdumienia.

– Kto to *jest*? – zapytał, a kiedy powiedziano mu, że to nowo przybyła bratanica

hrabiego Sipermit, szybko załatwił jej zaproszenie na królewską audiencję, którą w przyszłym tygodniu dawała Varaile i zadbał, by samemu być tam obecnym. Sprawił, że przyprawiono do niego Fulkari, by zostali sobie oficjalnie przedstawieni i patrzył na nią tak intensywnie, z taką fascynacją, że pewnie wydał się jej nieco szalony.

– Czy ktoś z twoich przodków pochodził z Normork? – spytał ją wtedy.

Wyglądała za zaskoczona.

– Nie, ekscelencjo. Od tysięcy lat wywodzimy się z Sipermit.

– To dziwne. Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś tam znałem. Jak wiesz, sam pochodzę z Normork. I znałem kogoś... ściślej, córkę siostry mojego ojca...

Nie, między nią a Sithelle nie było żadnego pokrewieństwa. Ich podobieństwo, choć niezwykle, było wyłącznie dziełem przypadku. Mimo to Dekkeret nie marnował czasu i prędko wciągnął Fulkari w swoje życie. Młodsza od niego o jakiś tuzin lat, nie miała doświadczenia w sprawach dworu, ale była bystra, żywa, chciała się uczyć, była też wściekle namiętna i w najmniejszym nawet stopniu nie wstydliva. Dziwnie było Dekkeretowi trzymać ją w ramionach i widzieć jej twarz, tak podobną do Sithelle, tak blisko swojej twarzy. On i Sithelle nigdy nie byli kochankami, nigdy o tym nawet nie myśleli.

Teraz zaś tulił kobietę, tak bardzo przypominającą Sithelle zmartwychwstałą. Czasami czuł się tak, jakby popełniał kazirodztwo. I zastanawiał się, czy nie wykorzystuje Fulkari do stworzenia związku, w którym z Sithelle nigdy nie był. Stanowiło to dla niego poważny problem. Nie jedyny, który przed nim stawała.

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił, najpierw zetknęły się ich policzki, potem usta. Było mu obojętne, że strażnicy w wartowni przy Łuku Dizimaule'a na nich patrzą. Niech patrzą, myślał.

Po chwili oderwali się od siebie. Jej oczy błyszczały, piersi unosiły się szybko pod miękkim, skórzanym strojem.

– Chodź – powiedziała, wskazując głową wierzchowce. – Pojedźmy na łąkę.

Lekko wskoczyła na siodło na grzbiecie zwierzęcia i ruszyła, nie czekając.

Wierzchowiec Dekkereta był dobry, w kolorze ciemnego fioletu z niebieskim połyskiem, o szczupłych łapach, z gatunku specjalnie hodowanego dla prędkości i siły. Z łatwością usiadł w szerokim siodle, które stanowiło integralną część grzbiecia zwierzęcia, chwycił kulę, która wyrastała wprost przed nim i szybkim, mocnym ściśnięciem ud zmusił wierzchowca do pogoni za Sithelle. Wokół niego płynęło chłodne, słodkie powietrze, unosząc i burząc jego rozpuszczone włosy.

Zastanawiał się, ile jeszcze będzie miał okazji, by w ten sposób wyrwać się z Zamku,

jako prywatny obywatel wyruszający w podróż dla prywatnej przyjemności, bez zbędnego towarzystwa, bez utrudnień. Kiedy zostanie Koronalem, nieczęsto będzie mógł gdziekolwiek udać się samotnie. Wizyta w Normork uświadomiła mu, co go czeka. Zawsze będą go otaczali ochroniarze, chyba że znajdzie jakiś sposób, żeby się im wymknąć.

Ale teraz... Wiatr we włosach, jasne, zielonozłote słońce nad głową, wspaniały wierzchołek pod nim, Fulkari pędząca z przodu...

Pod południowym skrzydłem Zamku leżał pas wielkich, otwartych łąk, przez które biegła Wielka Droga Calintane'a, przemierzana przez wszystkich, którzy jechali na Zamek. Nie było w ciągu roku dnia, kiedy łąki owe by nie kwitły, nie wybuchały błękitnymi i żółtymi kwiatami, masami bieli i czerwieni, oceanami złota, karmazynu, pomarańczy, fioletu. Trasa, którą wybrała Fulkari, prowadziła na lewo od drogi, w łagodnie opadające tereny leżące nad oddalonym o dziesięć mil Morpin Wysokim, miastem przyjemności.

Dekkeret dogonił ją po chwili i jechali dalej obok siebie. Byli już dość nisko na Górze, by długi cień Zamku kładł się przed nimi, zwięzając się aż do smukłego czubka. Powoli łąka ustąpiła miejsca zagajnikowi drzew hakkatinga, małych, o prostych pniach, czerwonawobrazowej korze i gęstych koronach. Rosły tak blisko siebie, że plątały się, tworząc baldachim nad ziemią.

Tutaj wierzchowce nie mogły jechać zbyt szybko, więc bez polecenia zwolniły do kłusa.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – powiedziała Fulkari, kiedy jechali bok w bok. – Czułam się tak, jakby nie było cię miesiąc.

– Ja też.

– Miałeś wczoraj jakieś ważne spotkania? Pewnie przez cały dzień byłeś okrutnie zajęty.

Zawahał się.

– Tak, miałem spotkania. Nie wiem, na ile były ważne, ale musiałem w nich uczestniczyć.

– W sprawie Pontifexa? Umiera, prawda? Wszyscy o tym mówią.

– Nikt tego nie wie – powiedział Dekkeret. – Póki Wysoki Rzecznik nie przekaze nam pewnych informacji, wszyscy poruszamy się po omacku.

Dotarli teraz do części lasu, w której byli już razem nie raz. Czubki drzew były tu tak splecione, że nawet o poranku światło przypominało raczej zmierzch. Płynął tamtędy niewielki strumyk, zatamowany kłodami ogryzionymi przez kolonię granthów tak, że rozlewał się w urocze jezioro. Wokół niego ziemia porośnięta była lazurowym dywanem mocnego,

elastycznego bąblomchu. To wszystko razem tworzyło jakby cudowną, tajemną altanę, osłoniętą i odludną.

Fulkari zsiadła z wierzchowca i zarzuciła wodze na nisko zwisającą gałąź. Dekkeret poszedł w jej ślady. Stali naprzeciw siebie, niepewni. Dekkeret wiedział, że najmądrzej byłoby wyciągnąć do niej rękę, szybko wziąć ją w ramiona, położyć na dywanie z mchu zanim mogli powiedzieć cokolwiek, co zepsuje magię chwili. Widział jednak, że chciała mu coś powiedzieć. Trzymała go na dystans, oblizywała wargi, nerwowo chodziła w kółko. Walczyła ze słowami, które próbowały się jej wyrwać. Nie przywiozła go tu tylko po to, by się kochali.

– O co chodzi, Fulkari? – spytał w końcu.

Odpowiedziała ciemnym z napięcia głosem.

– Pontifex wkrótce umrze, prawda, Dekkerecie?

– Jest tak, jak ci powiedziałem: nie wiem. Nikt na Zamku nie wie.

– Ale jeśli umrze... czy zostaniesz Koronalem?

– Tego też nie wiem – odparł, przeklinając się w myślach za tchórzostwo.

Nie dawała za wygraną.

– Nie ma co do tego wątpliwości. Zostałeś już mianowany następcą Koronala. Kiedy to się dzieje, władca już nie zmienia zdania. Proszę, Dekkerecie, bądź ze mną szczery.

– Spodziewam się, że po śmierci Confalume'a zostanę Koronalem, to prawda. To znaczy, jeśli poprosi mnie o to Lord Prestimion, a Rada wyrazi zgodę.

– Jeśli cię poproszą, zgodzisz się?

– Tak.

– I co wtedy stanie się z nami? – słyszał jej głos, jakby dobiegał z olbrzymiej dali.

Nie miał wyboru, musiał kontynuować tę rozmowę.

– Koronal powinien mieć małżonkę. Dokładnie o tym rozmawiałem zeszłego wieczora z lady Varaile.

– W twoich ustach to brzmi tak bezosobowo. „Koronal powinien mieć małżonkę”! – zdawało się, że przerażało ją tak ostre mówienie do niego, tego, który miał wkrótce zostać królem, ale i tak w jej głosie dźwięczała złość. – Czy przypadkiem jest ktoś, kogo mógłbyś wybrać na to zaszczytne stanowisko?

– Wiesz, że tak, Fulkari. Ale...

– Ale?

– Na tysiąc sposobów dałaś mi do zrozumienia, że nie chcesz być małżonką Koronala.

– Tak?

– A nie? Minutę temu zapytałaś, czy przyjmę tron, jeśli mi go zaproponują. Jakby nierzadko zdarzało się, że ktoś odmawia zostania Koronalem. Zdaje mi się, że w zeszłym miesiącu chciałaś nagle wiedzieć, czy wyznaczony następca Koronała kiedykolwiek odmówił. A wcześniej, kiedy byliśmy w Amblemorn...

– W porządku. Wystarczy. Nie musisz wyciągać więcej takich rozmów – zdawało się, że zaraz zaczniesz płakać, ale głos miała spokojny. – Prosiłam, żebyś był ze mną szczery. Teraz ja będę szczerą z tobą – na moment zamilkła. Potem, patrząc na niego chłodno, powiedziała:

– Dekkercie, *nie chcę* być małżonką Koronała.

Skinął głową.

– Wiem. Ale skoro tak jest, to czemu zostałam kochanką następcy Koronała? Dla rozrywki? Zabawy? Kiedy się poznaliśmy, wiedziałaś, jakie zamiary ma wobec mnie Prestimion.

– Mówisz, jakby takie rzeczy działy się według planu. Czy przyjechałam na Zamek z myślą, że zakocham się w Dekkercie, następcy Koronała? Czy po przyjeździe zabiegałam o twoje względy? Ty mnie zobaczyłeś. Ty mnie szukałeś. Rozmawialiśmy. Jeździliśmy na przejażdżki. Zakochaliśmy się. Równie dobrze mogłabym cię zapytać, dlaczego następca Koronała wybrał sobie na kochankę kobietę, która nie uważa, że wspaniale jest być żoną Koronała?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że robię coś takiego. Dowiedziałem się o tym stopniowo w miarę, jak się poznawaliśmy. Odkąd to zrozumiałem, był to dla mnie wielki problem.

Zarumieniła się ze złości.

– Bo drobne przywiązanie staje na drodze twojej wielkiej ambicji?

– Nie możesz mówić, że z ambicji wynika to, że zostaję Koronalem. Nigdy o to nie prosiłem. Nigdy nie myślałem, że to możliwe. To spadło na mnie, kiedy wcześniejszy kandydat niespodziewanie zmarł. – Jak mógł jej to wytłumaczyć? Czemu to było takie trudne? – Żaden Koronał nigdy nie pragnie zdobyć tronu. Jeśli ta funkcja nie przyjdzie do niego z racji niezaprzeczalnej logiki, oznacza to, że na nią nie zasługuje. A teraz, logika od wielu lat wskazuje na mnie.

– A ty musisz się jej poddawać?

Patrzył na nią bezradnie.

– Hańbą byłoby odmówić.

– Hańbą! Hańbą! Tylko to was obchodzi: duma, hańba, to, jak wypadniecie w oczach innych. Mówisz, że mnie kochasz. Wiesz, jak bardzo boję się, że zostaniesz Koronalem. A

mimo to... ponieważ duma nie pozwala ci odmówić Prestimionowi...

Teraz płakała. Objął ją niepewnie. Nie opierała się, ale była sztywna.

Przemówił cicho:

– Wyjaśnij mi, dlaczego nie chcesz być moją małżonką.

– Koronał cały swój czas poświęca na czytanie dokumentów, podpisywanie dekretów i uczestniczenie w zebraniach. Albo podróżuje w odległe zakątki świata, żeby chodzić na bankiety i przemawiać. Ma bardzo mało czasu dla swojej żony. Jak często widzisz Prestimiona i Varaile razem? Żona Koronała ma swoje bankiety, wydarzenia i przemowy. Wygląda mi to na okropną, żmudną, wycieńczającą pracę. Zniszczyłoby mnie to. Mam tylko dwadzieścia cztery lata, Dekkerecie. Nie czuję się gotowa, żeby zacząć takie życie.

– Ciiicho – powiedział, jakby uspokajał dziecko. Tak ją właśnie teraz widział, jeśli nie jako dziecko, to nastolatkę, bardzo odległą od prawdziwej dojrzałości. Teraz rozumiał, dlaczego Varaile tak martwiła się obecnym stanem ich związku. Varaile miała nadzieję, że Fulkari zostanie następną królewską małżonką i bała się, że Dekkeret zamierza ją porzucić. Ale nie miała pojęcia, jak sprawy się faktycznie miały.

Tylko czy on sam je miał? Uroda Fulkari, jej dziwne podobieństwo do Sithelle zahipnotyzowały go do tego stopnia, że zaczął wierzyć, iż nadaje się na królewską małżonkę. Ona tak jednak nie uważała. Może kochanka króla, ale nie królowa. Już od dawna mu to mówiła, najpierw nie wprost, teraz całkiem w twarz.

– Cicho... – uspokajał ją, gdy płakała coraz mocniej. – Jest dobrze, Fulkari. Może Pontifex wcale nie umiera. Może będzie żył jeszcze długie lata...

Mówił rzeczy, w które ani trochę nie wierzył. Ale w tej chwili ważniejsze było ją pocieszyć niż próbować wyjaśnić rzeczywistą sytuację.

Była ona bowiem taka, że *zostanie* Koronalem i że nie mógł ożenić się z Fulkari, która wyraźnie nie chciała być żoną Koronała. Nie miał więc wyboru, musiał na zawsze z nią zerwać, tu i teraz. Nie mógł się jednak na to zdobyć. Nie dziś, a może nigdy. To była patowa sytuacja.

Tulił ją. Delikatnie gładził. Powoli przestawała płakać. Stopniowo się rozluźniała.

Właśnie wtedy, niemal niezauważalnie, równocześnie przeszli od cierpienia, zagubienia i nierozwiązywalnego konfliktu do rytmów pragnienia i potrzeby. To było ich wyjątkowe miejsce, w którym nie raz chronili się przed zbyt żywym, zbyt narzucającym się życiem Zamku i właśnie tutaj, przy tak dobrze znanym jezioru, zbudowanym przez granthy pod sklepieniem z drzew hakkatinga, gwałtowne, dobrze znane pożądanie kazało im zepchnąć wszystkie inne sprawy na dalszy plan.

Jak zawsze to Fulkari przejęła inicjatywę. Pocałowała go łagodnie i lekko się od niego odsunęła. Dotknęła dłońmi metalowych sprzączek swego stroju na piersi, biodrze i udzie. Miękką skórę opadła jak rozcięta niewidzialnym ostrzem. Wyszła z niej szybko i stanęła przed nim jaśniejaco naga, blada, smukła, uśmiechnięta, nieodparta, wyciągając ku niemu ręce. Jej oczy, te szarofioletowe oczy Sithelle, lśniły. Przyzywały go. Dla Dekkereta w tym lśnieniu była magia. Czarnoksiężstwo.

W tej chwili kwestia kto zostanie, a kto nie małżonką nowego Koronala Majipooru była tak odległa i tak nieznaczająca jak piaszczyste, pustynne ugory Suvraelu. Nie był w stanie teraz o tym myśleć. Po raz kolejny był bezbronny pod jej urokiem. Ten uśmiech, widok jej szczupłego, nagiego ciała, lśnienie tych wspaniałych oczu sprawiły, że to, co złapało go i trzymało w uchwycie przez ostatnie trzy lata znowu wróciło do pełni życia. Wyciągnął do niej ręce, przyciągnął ją delikatnie i razem, spleceni w uścisku, upadli na dywan bąblomchu nad brzegiem jeziora.

15

– Dziś, jak mi się zdaje, kolej na palcaty – powiedział Septach Melayn z lekkim wahaniem. – Czy na szablę z koszem?

– Rapier, ekscelencjo – powiedział młody Polliex, wdzięczny, ciemnowłosego chłopaka z Estotilaup, drugi syn earla Thanesara. – Palcatami walczymy jutro, panie.

– Rapier. Oczywiście, rapier. Nic dziwnego, że wszyscy macie maski – Septach Melayn skwitował swoją pomyłkę wzruszeniem ramion i uśmiechem.

Kiedyś uważał takie małe problemy z pamięcią za grzechy wobec Bogini i pokutował za nie dodatkowymi godzinami ćwiczeń fechtunku. Ostatnio jednak zawarł w tej sprawie pakt z Nią i z sobą samym. Jak długo jego oko pozostawało bystre, a ręka pewna, zamierzał wybaczać sobie te drobne potknięcia umysłu. W miarę starzenia trzeba rezygnować z różnych zdolności, a Septach Melayn gotów był poświęcić część swojej wybitnej pamięci w zamian za możliwość zatrzymania niezrównanej koordynacji ruchów przez następny rok, a może trzy, pięć lub dziesięć lat.

Wybrał rapier ze stojaka spod ściany i odwrócił się do uczniów. Stali już półkolem, po lewej Polliex, a na przeciwnym końcu ta nowa, Keltryn. Septach Melayn zawsze zaczynał lekcję od kogoś ze skraju, a Polliex zawsze ustawiał się tak, by być jednym z pierwszych wybranych. Dziewczyna szybko nauczyła się od niego tej sztuczki.

W grupie było ich jedenaścioro: dziesięciu młodzieńców i Keltryn. Co rano spotykali się z Septachem Melaynem na godzinny trening w sali we wschodnim skrzydle Zamku, która od najwcześniejszych dni panowania Prestimiona stanowiła prywatną salę treningową. Był to jasny, przestronny pokój z ośmioma wysokimi, ośmiokątными oknami, które aż do wczesnego popołudnia wpuszczały olbrzymie ilości światła. Niektórzy mówili, że za rządów Lorda Guadelooma sala ta służyła za stajnię, ale była to zaiste odległa epoka, a od niepamiętnych czasów używano jej do treningów.

– Rapier – powiedział Septach Melayn – jest niezwykle wszechstronną bronią, na tyle lekką, że pozwala na wielki artyzm, a jednak może zadać poważne obrażenia, jeśli użyje się go do obrony – szybko obrzucił wzrokiem półkole, zdecydował się nie wybierać Polliexa do

pierwszego ćwiczenia i automatycznie przeniósł wzrok na drugi koniec, na którym czekała Keltryn. – Ty, panienko. Wystąp, proszę – uniósł swój rapier i zasalutował jej.

– Maski, panie! – zawołał ktoś ze środka grupy. Był to Toraman Kanna, syn księcia z Syrinx, chłopak o ciemnej, gładkiej skórze i uwodzicielskich oczach w kształcie migdałów. Zawsze zwracał uwagę na takie sprawy.

– Tak, maska – powiedział Septach Melayn z kwaśnym uśmiechem. Zdjął jedną z masek wiszących na ścianie. Zawsze upierał się, żeby jego uczniowie nosili maski ochronne, gdy ćwiczyli ostrą broń, ponieważ obawiał się, że przypadkowe uderzenie jakiegoś nowicjusza wydlubie książęce oko i spowoduje niedogodne zamieszanie i oburzenie krewnych rannego chłopaka.

Pewnego dnia zasugerowano mu, że sam również powinien nosić maskę, żeby świecić przykładem. Wydawało mu się absurdem, żeby akurat jego prosić o stosowanie podobnych środków ostrożności – jego, którego zastawu nigdy nie przełamał żaden szermierz, poza jednym przypadkiem w potyczce pod Stymphinor podczas wojny z Korsibarem, kiedy walczył naraz z czterema przeciwnikami i jakiś tchórz ciął go od boku, spoza jego pola widzenia. Zgodził się jednak dla spokoju. Mimo to, uczniowie często musieli mu na początku zajęć przypominać, żeby zakładał maskę.

– Za pozwoleniem, panienko – powiedział, a Keltryn stanęła pośrodku grupy.

Septach Melayn wciąż nie do końca przyzwyczał się do idei kobiety fechmistrza. Rzecz jasna, on sam znacznie lepiej czuł się w towarzystwie młodych mężczyzn niż kobiet. Taką po prostu miał naturę. Zawsze otaczała go grupka zafascynowanych młodzieńców. Jednak fakt, że wszyscy jego uczniowie byli mężczyznami nie wynikał z jego preferencji, ale z ich decyzji. Aż do teraz Septach Melayn nigdy nie słyszał o kobiecie parającej się szermierką.

Zaskakujące było, że Keltryn zdawała się posiadać naturalny dryg do tego sportu. Miała jakieś siedemnaście lat, była zręczna i szybka, tak szczupła, że figurę miała właściwie chłopięcą, a jej wyjątkowo długie ręce i nogi dawały jej przewagę w pojedynkach. Miała karnację jak jej starsza siostra i jej niezaprzeczalną urodę, ale każdy ruch Fulkari był miękki i uwodzicielski w sposób, który dostrzegał nawet Septach Melayn, choć nie robiło to na nim wrażenia; za to ruchy tej dziewczyny były uroczo kanciaste, jak żrebaka, co zdawało mu się zachwycająco niekobiece. Nie dało się wyobrazić sobie Fulkari sięgającej po miecz. Za to w dłoni Keltryn wyglądał on całkowicie naturalnie.

Stanęła przed nim odważnie, trzymając rapier z boku. W chwili, kiedy Septach Melayn podniósł swoją broń, ona uniosła swoją i stanęła bokiem, w pozycji szermierczej,

gotowa do odparcia jego ataku. Profil, którym do niego stała, był bardzo wąski. Od pierwszego dnia zajęć ścisnęła piersi jakimś rodzajem obcisłej bielizny, wydawało się wręcz, że pod kurtką szermierczą nie ma w ogóle niczego. Tym lepiej, pomyślał Septach Melayn. Nie był przyzwyczajony do pojedynków z kimś, kto miał piersi.

To była pierwsza lekcja walki rapierem, odkąd Keltryn dołączyła do grupy. Dziwacznie trzymała broń, więc Septach Melayn potrząsnął głową i delikatnie skierował jej rapier do dołu.

– Zaczniemy od zajęcia się pozycją ręki, panienko. Tutaj używamy stylu zimroelskiego. Rękojeść jest dłuższa od tej, do której możesz być przyzwyczajona i trzymamy ją dalej od jelca. Zobaczysz, że pozwala to na większą swobodę manewrów.

Poprawiła chwyt. Jeśli była zażenowana albo niezadowolona z uwagi, maska skryła te emocje. Gdy Septach Melayn ponownie uniósł rapier, zrobiła to samo i delikatnie nim potrząsnęła, jakby chciała pokazać, że nie może doczekać się początku lekcji.

Nie mógł tolerować niecierpliwości. Z rozmysłem zmusił ją, by czekała.

– Zaczniemy od podstaw – powiedział. – Broń, z którą mamy teraz do czynienia, służy, jak zapewne wiecie, do wyprowadzania pchnięć z wypadu, parowania kontr naszego przeciwnika i ripostowania. Używamy tylko sztychu. Celem jest całe ciało. Powinniście to wszystko już wiedzieć. Szczególną rzeczą, której tu uczę, jest podział chwili. Słyszałaś o tym, panienko?

Potrząsnęła głową.

– Chodzi nam o to, że dobry fechtmistrz powinien kontrolować czas, a nie być mu podległym. W codziennym życiu czas jawi nam się jak nieprzerwany strumień, rzeka chwil, płynąca nieustannie od źródła do ujścia. Jednak rzeka w rzeczywistości składa się z maleńkich jednostek wody, z których każda jest różna od pozostałych. Ponieważ poruszają się w jednym kierunku, dają złudzenie jedności. To jednak tylko złudzenie.

Czy zrozumiała? Nic po sobie nie pokazała.

Septach Melayn mówił dalej.

– Tak samo jest z czasem. Każda minuta godziny jest osobną jednostką. To samo z każdą sekundą w minucie. Naszym zadaniem jest wyizolować jednostki wewnątrz sekund i zobaczyć, jak nasz przeciwnik porusza się pomiędzy nimi w serii rwanych skoków. To trudna sztuka, ale kiedy już się ją opanuje, można łatwo wejść pomiędzy jego skoki. Na przykład...

Kazał jej stanąć w pozycji, natychmiast zaatakował, zrobił wypad i pozwolił jej sparować, ponowił wypad i tym razem zbił jej zastawę na bok, miał więc wolny dostęp do jej lewego ramienia, którego dotknął; cofnął się i znowu pchnął, zanim miała okazję zauważyć,

że została trafiona, i dotknął drugiego ramienia. Za trzecim razem prześlizgnął się przez jej obronę i delikatnie, bardzo delikatnie dotknął czubkiem rapiera kościstego środka jej klatki piersiowej, miejsca, w którym, jak sądził, znajdowała się linia dzieląca jej spłaszczone piersi.

Cały pokaz zajął tylko kilka sekund. Jego ruchy były teraz powolne, okropnie powolne, ale tylko w jego własnych oczach, a oceniał się według standardów sprzed dwudziestu lat. Wciąż nikt nie mógł mu dorównać w szybkości.

– A więc – powiedział, ściągając maskę na czubek głowy i stając swobodnie. – Celem tego, co właśnie zrobiłem, nie było udowodnienie, że jestem lepszym szermierzem, bo to chyba zakładamy z góry. Pragnąłem pokazać, jak działa teoria podziału chwil. Doświadczyłaś, jak sądzę, niezrozumiałego, nieogarnialnego wzrokiem wydarzenia, podczas którego wyższy i lepszy przeciwnik bezlitośnie atakował cię ze wszystkich stron i od czasu do czasu trafiał, podczas gdy ty rozpaczliwie usiłowałaś zrozumieć wzorzec, według którego się poruszał. Ja natomiast doświadczyłem serii podzielonych interwałów, zatrzymanych klatek ruchu: byłaś tutaj, a później byłaś tam, a ja wkroczyłem w przerwę między tymi pozycjami i dotknąłem twojego ramienia. Cofnąłem się, znalazłem moment pomiędzy następnymi dwoma interwałami i po raz kolejny przeszedłem twoją zastawę. I tak dalej. Rozumiesz?

– Nie w sposób, który byłby użyteczny, ekscelencjo.

– No tak. Nie spodziewałem się niczego innego. Ale teraz powtórzmy tę sekwencję. Będę robił wszystko dokładnie tak samo. Tym razem jednak spróbuj nie postrzegać mnie jako tornada nieustającego ruchu, lecz zobacz serię nieruchomych obrazów, na których przybieram kolejne pozycje. Znaczy to, że powinnaś widzieć mnie *szybciej*, a wtedy będzie ci się zdawało, że poruszam się wolniej. Może teraz nie ma to dla ciebie sensu, ale prędzej czy później zrozumiesz. Pozycja, panienko!

Powtórzył wszystkie ruchy po raz drugi. Tym razem, o ile w jej ruchach zaszła jakakolwiek zmiana, to była jeszcze bardziej nieefektywna, ale wiedziała już, z której strony padną ciosy. W jej zastawach była desperacja, szaleńczy pośpiech, który sprawiał, że gubiła pozycję i zmuszała go do wyciągania się na pełną długość, by mógł jej dotknąć. Wydawało się jednak, że przynajmniej próbuje zrozumieć jego enigmatyczne słowa o podziale chwili, że usiłuje zwolnić upływ czasu, czekając z reakcją na jego pchnięcia do ostatniej chwili. Po czym, oczywiście, musiała parować zbyt szybko. W walce z szermierzem takim, jak Septach Melayn, był to prosty przepis na klęskę, ale przynajmniej starała się zrozumieć metodę.

Kolejny raz dotknął jej ramienia, ramienia i mostka.

Znowu się zatrzymał i podniósł maskę. Zrobiła to samo. Miała rumieńce i patrzyła ponuro, wilkiem.

– Tym razem było znacznie lepiej, panienko.

– Jak możecie tak mówić? Szło mi fatalnie. Może po prostu ze mnie kpicie... wasza miłość?

– Ach, nie, panienko. Jestem tu by uczyć, a nie kpić. Radzisz sobie dobrze, może nawet lepiej, niż ci się wydaje. Na pewno masz potencjał. Lecz tych umiejętności nie da się opanować w jeden dzień. Chciałem tylko pokazać ci coś, nad czym powinnaś pracować – pomyślał, że kuszącym wyzwaniem byłoby zrobić z tej dziewczyny wielkiego fechtmistrza. – Obserwuj teraz, jak wykonam te same ruchy w pojedynku z kimś, komu lepiej znana jest moja teoria. Zobacz, jeśli łaska, jak spokojny pozostaje pod natarciem, jak zdaje się trwać w miejscu, kiedy w rzeczywistości jest w ruchu. – Septach Melayn spojrział na środek grupy. – Audhari?

To był najlepszy uczeń z całej grupy Septacha Melayna, chłopak ze Stoienzar o twarzy pokrytej czerwonymi piegami, prawnuk poprzedniego Wysokiego Doradcy, diuka Oljebbina z czasów rządów Lorda Confalume'a, a więc i odległy krewny Prestimiona. Był duży i silny, miał potężne ramiona i najlepszy refleks, jaki Septach Melayn widział od dawna.

– Pozycja – powiedział Septach Melayn i od razu zaatakował. Audhari nie miał większych niż ktokolwiek inny szans, by go pokonać, ale potrafił chociaż wymusić maleńkie przerwy, by powstrzymać nawałnicę chwil. Dzięki temu był w stanie przewidywać, parować, znajdować pomiędzy momentami okazje na jeden czy dwa kontrataki; jednym słowem, biorąc pod uwagę okoliczności, bronić się dość przyzwoicie, podczas gdy Septach Melayn metodycznie, raz za razem, przebijał się przez jego zastawy.

Nawet podczas tego ćwiczenia Septach Melayn był w stanie rzucić kątem oka na przypatrującą się im Keltryn. Patrzyła uważnie, całkowicie skupiona.

Nauczy się, zdecydował. Nigdy nie będzie tak silna jak mężczyzna i pewnie nie będzie też tak szybka, ale miała dobre oko, wspierała wolę zwycięstwa i całkiem niezłą postawę. Wciąż nie rozumiał, dlaczego młoda kobieta zdecydowała zająć się fechtunkiem, ale postanowił traktować ją równie poważnie co resztę swoich uczniów.

– Jeszcze nie jesteś w stanie zobaczyć – powiedział jej – jak Audhari oddziela od siebie kolejne chwile. To dzieje się w umyśle i jest techniką wymagającą długich ćwiczeń, ale przyjrzyj się teraz, jak obraca się, by sparować kolejne pchnięcia. W ogóle nie zwracaj uwagi na mnie. Patrz tylko na niego. Jeszcze raz, Audhari. Pozycja!

– Panie? – to był głos Polliexa. – Przybył posłaniec, wasza miłość – Septach Melayn zdał sobie sprawę, że ktoś wszedł do sali, zapewne któryś z królewskich paziów. Odsunął się od Audhariego i zdjął maskę.

Chłopiec przyniósł złożoną na troje, niezalakowaną wiadomość. Septach Melayn prędko obrzucił ją wzrokiem z obu końców naraz, jak to miał w zwyczaju, dostrzegając „V”, podpis lady Varaile, na dole i zarazem czytając sam tekst. Potem przeczytał całość ponownie, uważnie, jakby to mogło zmienić jej treść, ale tak się nie stało.

Podniósł wzrok.

– Pontifex Confalume nie żyje – powiedział. – Lord Prestimion, który wracał z Labiryntu, zawrócił i weźmie udział w pogrzebie jego wysokości. Jako Wysoki Doradca również otrzymałem wezwanie. Przekładam więc lekcję. Sądzę, że przez jakiś czas nie będziemy się spotykać.

Uczniowie natychmiast wzniesli rejwach. Septach Melayn przeszedł między nimi, jakby byli niewidzialni i opuścił salę.

To się w końcu stało, pomyślał, a teraz wszystko się zmieni.

Confalume nie żyje, Prestimion Pontifexem, na tronie Zamku zasiądzie nowy człowiek. Powołany zostanie również nowy Wysoki Doradca. Faktem jest, że gdy Korsibar przejął władzę, zatrzymał na stanowisku Oljebbina, ale na pewno by go wymienił, gdyby tylko rządził dość długo, by zająć się takimi sprawami. Gdy skończyła się uzurpacja, Prestimion natychmiast obsadził to stanowisko własnym człowiekiem. Najpewniej Dekkeret uczyni to samo. Poza tym Septach Melayn wiedział, że jego miejsce było przy Prestimionie w Labiryncie. Tego się po nim spodziewano i to zrobi. A jednak... jednak... mówili, że Confalume wyzdrowieje, że nie ma chwilowo zagrożenia dla jego życia...

Musiał ogarnąć umysłem bardzo wiele spraw jak na tak wczesną porę dnia.

Gdy skręcił z korytarza łączącego wschodnie skrzydło z Wewnętrznym Zamkiem minął sklepiony, szary budynek, mieszczący nowe Archiwum Prestimiona i dziwaczną Wieżę Lorda Arioca. Kiedy wszedł na Działanie Pinitora dostrzegł Dekkereta, który zbliżał się do niego z lady Fulkari u boku. Byli ubrani w stroje do jazdy i wyglądali na wymiętych i spoconych, jakby właśnie wracali z przejażdżki po łąkach pod Zamkiem.

Zaczyna się. Właśnie teraz, pomyślał Septach Melayn.

– Mój lordzie! – zawołał.

Dekkeret spojrział na niego z ustami otwartymi z zaskoczenia.

– Co powiedziałaś, Septachu Melaynie?

– Dekkeret! Dekkeret! Chwała Lordowi Dekkeretowi! – zawołał Septach Melayn, wyciągając ręce w geście rozbłysku gwiazd. – Niech żyje Lord Dekkeret! – po czym, ciszej: – Zdaje się, że jestem pierwszym, który wypowiedział te słowa.

I Dekkeret, i lady Fulkari gapili się na niego w zdumionym bezruchu. Septach Melayn

zauważył, jak wymieniają zaskoczone spojrzenia. Dekkeret zapytał cicho:

– O co chodzi, Septachu Melaynie? Co ty robisz?

– Witam cię we właściwy sposób, mój lordzie. Otrzymaliśmy wieści z Labiryntu. Prestimion został Pontifexem, mamy teraz nowego Koronała. Albo mieć będziemy, kiedy tylko spotka się Rada. Ale to właściwie fakt. Jesteś naszym królem i jako takiego cię witam. Zdajesz się być urażony, mój lordzie. Czy powiedziałem coś, co mogło cię dotknąć?

CZEŚĆ DRUGA

KSIĘGA LORDÓW

1

Wilgotne krainy za Przełęczą Kinslain zamieszkiwali Hjortowie. Były to ziemie, na których niewiele innych ras chciałoby mieszkać, ale Hjortowie pochodzili z parnej planety, gdzie nad gąbczastą ziemią unosiła się wieczna mgła i dla nich tutejsze warunki były idealne. Poza tym wiedzieli, że przedstawiciele pozostałych ras Majipooru ich nie kochają, bo mają ich wygląd za odstręczający, a sposób bycia za szorstki i irytujący, woleli więc mieszkać w swojej własnej prowincji, gdzie mogli żyć jak im się podobało.

Ich głównym ośrodkiem było małe, gęsto zaludnione miasto Santhiskion. Mieszkały ich tam dwa miliony, może trochę więcej. Santhiskion było wylęgarnią drobnych biurokratów, bo coś w temperamencie lubiących miejskie życie, wykształconych Hjortów predysponowało ich do zostawania celnikami, przeprowadzającymi spisy, inspektorami budowlanymi i tym podobnymi. Inni Hjortowie żyli w dolinie Kulit na zachód od miasta. Lubili wieś, parali się rolnictwem, zajmowali się własnymi sprawami i cierpliwie doglądali swoich upraw: grayvenu, jagód cydrowych czy garrynu, które wysyłali do gęsto zaludnionych miast w zachodnim Alhanroelu.

Tak jak Hjortowie z Santhiskionu mieli inklinację do żmudnego tworzenia spisów, prowadzenia archiwów i pisania raportów, Hjortowie z doliny kochali rytuały i ceremoniał. Osią ich życia były farmy i ich produkty. Ze wszystkich stron otaczali ich niewidzialni bogowie, demony i czarownice, którzy mogli zagrozić plonom dojrzewającym na polach. Konieczne było nieustannie przyciągać łaskawe byty i odpędzać zakusy tych nieprzyjaznych poprzez odprawianie rytuałów właściwych dla danego dnia. W każdej wiosce był urzędnik, zajmujący się prowadzeniem kalendarza rytualnego i co ranka ogłaszający, jakich aktów prześlągalnych należało dokonać w nadchodzącym tygodniu. Znajomość kalendarza nie była rzeczą prostą, wymagała długiego treningu i z tego powodu odpowiedzialnego za to urzędnika darzono wielkim szacunkiem, jak kapłana albo chirurga.

W wiosce Abon Airair opiekun kalendarzy nazywał się Erb Skonarj i był tak stary, że jego jakby pokryta kamykami skóra, niegdyś koloru popiołu, wypłowiwała do jasnego błękitu, a oczy, dawniej wielkie i lśniące, były teraz ciemne i zapadnięte. Umysł miał jednak sprawny i wykonywał niezmiernie skomplikowane obowiązki kalendarzowe z niezawodną dokładnością.

– Jest dziesiąty dzień Mapadika, czwarty Iyapa i dziewiąty Tjatura – ogłosił Erb Skonarij, kiedy starsi wioski przyszedli do niego rano, by wysłuchać wyliczeń na ten dzień. – Szaleje między nami demon Rangda Geyak. Z tej przyczyny musimy dziś wieczorem odegrać przedstawienie o uwięzieniu geyaków.

Opowiadacz, którego obowiązkiem było pełnić rolę narratora w historii uwięzienia geyaków natychmiast zaczął się przygotowywać do swego zadania, gdyż Hjortowie z doliny nie rozróżniali rytuału i teatru.

Ze swojego świata przywieźli skomplikowany kalendarz, a właściwie kilka kalendarzy, które nie miały żadnego związku z ruchem Majipooru wokół słońca ani z poruszaniem się żadnego innego ciała niebieskiego. Ich rok trwał dwieście czterdzieści dni i według jednego kalendarza był podzielony na osiem miesięcy po trzydzieści dni, według drugiego na dwanaście miesięcy po dwadzieścia dni, prócz tego na sześć miesięcy po czterdzieści dni, dwadzieścia cztery miesiące po dziesięć dni i sto dwadzieścia dwudniowych miesięcy.

Tak oto każdy dzień miał pięć dat według pięciu różnych kalendarzy, a w pewne szczególne dni, zwłaszcza wynikające z zetknięcia miesięcy zwanych Tjatur w kalendarzu dwunastomiesięcznym, Iyap w ośmiomiesięcznym i Mapadik w dwudziestoczwymiesięcznym, odprawiano wyjątkowo ważne rytuały. Tej nocy koniunkcja dat sprawiała, że trzeba było odegrać rytuał *Ktut*, wojny demonów.

Mieszkańcy Abon Airair zaczęli gromadzić się przy kopczyku opowiadacza o zmierzchu, a kiedy słońce schowało się za górami Prezmyr, na miejscu była już cała wioska. Muzycy i aktorzy stali na swoich miejscach, opowiadacz siedział na podwyższeniu. W wyznaczonym miejscu płonęło wielkie ognisko. Wszystkie oczy skierowane były na Erba Skonarija i kiedy nastąpiła godzina zwana Pasang Gjond dał on sygnał do rozpoczęcia.

– Od wielu miesięcy – zaintonował opowiadacz – dwie frakcje geyaków toczą ze sobą wojnę...

Stara, stara historia. Wszyscy znali ją na pamięć.

Muzycy unieśli swoje kempinongi, heftii i tjimpiny i zagrali znane melodie, a chórzyci o wielkich workach gardłowych podjęli dobrze znany, basowy zaśpiew, który miał trwać nieprzerwanie przez całe przedstawienie; zaś tancerze w wymyślnych strojach wystąpili, aby odegrać dramatyczne wydarzenia tej historii.

– Wielki był smutek w wiosce, kiedy demony walczyły ze sobą – śpiewał opowiadacz. – Widzieliśmy zielone płomienie, strzelające nocą pośród drzew gerribong. Niebieskie płomienie tańczyły wśród nagrobków na cmentarzu. Białe płomienie pełzały po belkach

naszych dachów. Doznaliśmy wielkiej szkody. Wielu zachorowało, wiele dzieci zmarło. Garryn, który zebraliśmy, zgnił. Pola grayvenu są zniszczone. Nadchodzi czas zbiorów, ale nie będzie grayvenu do zebrania. A spotkało nas to wszystko, ponieważ w wiosce panuje grzech, a grzesznicy nie poddali się oczyszczeniu. Wśród nas krąży demon Rangda Geyak...

Rangda Geyak krążył wśród nich podczas tej opowieści. Była to ohydna postać, przebrana tak, że przypominała ludzką kobietę o sztywnych, białych włosach, długich, obwisłych piersiach i żółtych, krzywych zębach, wystających jak kły. Czerwone płomienie strzelały jej z włosów, żółte płomienie spadały z czubków palców. Chodziła wokół krawędzi kopca, strasząc siedzących w pierwszych rzędach.

– Teraz przybywa mag Tjal Goring Geyak i walczy z nią...

Z cieni wyskoczył drugi demon, olbrzym o czterech ramionach jak Skandar, i stanął naprzeciw pierwszego. Tańczyli razem w kole, twarzą w twarz, drwiąc i szydząc z siebie nawzajem, a opowiadacz opisywał szczegóły ich walki, mówił, jak rzucali w siebie płonącymi drzewami, sprawili, że wielkie dziury otwały się na placu pośrodku wioski, a spokojna rzeka Kulit wystąpiła z brzegów i zalała miasteczko.

Osnową historii był fakt, że wściekły pojedynek geyaków sprowadził na wioskę wielki smutek i rozpacz, ponieważ demony nie przejmowały się zniszczeniami, jakie powodowały w miasteczku i na przyległych polach. Dopiero kiedy grzesznicy, którzy sprowadzili na miejscowych to nieszczęście, wystąpią i wyznają swoje grzechy, wojna pomiędzy demonami się zakończy i zwrócą się przeciwko złoczyńcom, wypędzając ich kańczugami z wioski.

Trzej tancerze, którzy odgrywali grzeszników, siedzieli z boku i oglądali przedstawienie z pozostałymi. Pora, kiedy mieli wejść na scenę wciąż była odległa o wiele godzin. Opowiadacz musiał jeszcze zrelacjonować szczegóły przybycia innych demonów, ptaka z jednym skrzydłem i smoka z jedną nogą, stwora, który pożera własne wnętrze i wielu innych. Musiał opowiedzieć o demonicznych orgiach i o piciu krwi. Musiał mówić o przemianach stworów, które zmieniały kształty. I o pięknych kobietach, które bez słów późno w nocy na pustych drogach składają młodzieńcom obsceniczne propozycje. Musiał...

W miarę rozwoju starej opowieści, Erb Skonarij, który siedział na specjalnym miejscu, należnym mu z racji bycia opiekunem kalendarzy, poczuł nagły, rozrywający ból głowy, jakby wokół mózgu zacisnęła mu się obręcz z gorącego żelaza.

To było straszne uczucie. Nie doznał wcześniej takiego bólu.

Pomyślał, że w końcu nadeszła godzina śmierci. Ale później, kiedy ból trwał i trwał, zrozumiał, że może *nie* umrze, lecz będzie cierpiał bez końca.

Po chwili pojął, że to było cierpienie nie ciała, a ducha.

Coś wbiło mu nóż w duszę. Coś biczowało sedno jego istoty ognistym batem. Coś raz po raz uderzało w jego sedno wielkim, ostrym głazem.

To *on* był grzesznikiem. To *on* sprowadził na wioskę gniew demonów. To *on, on, on*, opiekun kalendarzy, strażnik ceremonii poniósł klęskę, zawiódł zaufanie, zdradził tych, którzy od niego zależeli i o ile nie wyzna swoich win tu i teraz, cała wioska będzie cierpieć z jego powodu.

Wstał ze swego honorowego miejsca i, zataczając się, wyszedł na środek sceny.

– Stójcie! – zawołał. – To ja! Muszę zostać ukarany! Dla mnie kańczugi! Dla mnie baty! Wypędźcie mnie! Wyrzućcie mnie!

Muzyka urwała się w niepewnym, fałszywym akordzie. Nucenie chóru ustało. Śpiewny głos opowiadacza przerwał w połowie zdania. Wszyscy na niego patrzyli. Erb Skonarij spojrział na widownię i zobaczył zszokowane spojrzenia, otwarte usta.

Ból głowy nie ustępował. Rozrywał go na kawałki.

Czyjaś ręka chwyciła go za ramię. Głos koło jego prawej membrany usznej mówił:

– Musisz usiąść, starcze. Zepsujesz ceremonię. Żebyś akurat ty...

– Nie! – Erb Skonarij wyszarpnął się. – To ja! To ja sprowadzam demony! – wskazał na opowiadacza, który gapił się na niego, zdumiony i przerażony. – Opowiedz! Opowiedz! Opowiedz o zdradzie opiekuna kalendarzy! Uwolnij mnie! Uwolnij nas wszystkich! Nie mogę znieść tego bólu!

Czemu go nie słuchali?

Desperackim skokiem znalazł się przed dwoma demonami, Rangda Geyakiem i Tjal Goring Geyakiem. Przerwali swój taniec. Erb Skonarij podniósł kańczugi, które miały być wykorzystane w kulminacyjnym momencie przedstawienia i wcisnął je w ich dłonie.

– Bijcie mnie! Chłostajcie! Wypędźcie!

Dwie zamaskowane postaci wciąż stały bez ruchu. Erb Skonarij przycisnął dłonie do dudniącego bólem czoła. Ból, ból! Czy nikt nie rozumiał? Znajdowali się w obliczu prawdziwego grzechu, musieli wyrzucić go z wioski, a póki to się nie stanie, wszyscy będą cierpieć, a najbardziej on. Ale nikt się nie poruszył. Nikt.

Wydał z siebie stłumiony okrzyk rozpaczony i ruszył w stronę ryczącego ogniska. Wiedział, że to niewłaściwe. Grzesznik nie mógł karać sam siebie. Powinien zostać wygnany dzięki wspólnemu wysiłkowi mieszkańców wioski, inaczej egzorcyzm był bezwartościowy. Ale oni tego nie robili, a on nie mógł już znieść bólu, nie wytrzymał wstydu i rozpaczony.

Zdumiało go, jak kojące było ciepło płomieni. Wyciągano do niego ręce, ale je odpychał. Ogień... ogień... Śpiewał do niego pieśń o wybaczeniu i spokoju.

Rzucił się w płomienie.

2

Mandalisca zdjął hełm. Khaymak Barjazid siedział naprzeciwko i wpatrywał się w niego zachłannie. Jacomin Halefice stał przy drzwiach do komnaty Mandraliski z jego lordowską mością Gaviralem u boku. Mandralisca potrząsnął głową, kilkakrotnie zamrugał, pomasaował brwi. W uszach mu dzwoniło, w piersi czuł ucisk.

Przez chwilę wszyscy milczeli, potem odezwał się Barjazid.

– I jak, wasza miłość? Jakie to było uczucie?

– Bardzo silne doznanie. Jak długo miałem to na głowie?

– Jakieś piętnaście sekund. Najwyżej pół minuty.

– Tylko tyle... – powiedział w zamyśleniu Mandralisca, bawiąc się metalową plecionką. – To dziwne. Miałem wrażenie, że trwa to znacznie dłużej. – To, czego doświadczył, wciąż odbijało się echem w jego duchu. Zrozumiał, że nie do końca powrócił ze swojej podróży.

Zaraz po eksperymencie zawładnął nim metalicznie poszczekujący niepokój. Każdy jego nerw był przewrażliwiony. Czuł, jak promienie słońca uderzają o ściany budynku, słyszał, jak daleko w dole wiatr gwizdże wśród pungatanów, a piżmowe powietrze wokół ciążyło mu nieznośnie.

Wstał i zaczął chodzić po okrągłym pokoju jak dzikie zwierzę w klatce. Halefice, a nawet Gaviral schodzili mu z drogi, odsunęli się nerwowo, kiedy tylko zbliżył się do miejsca, w którym stali. Mandralisca prawie ich nie zauważał. Teraz, kiedy jego umysł był w tym jakby wyższym stanie, byli dla niego nie ważniejsi od czmychających spod nóg zwierzątek, droli, mintunów, hiktiganów, pozbawionych znaczenia leśnych istot. Byli jak owady. Byle owady.

W jakiś sposób *wszedł* w ten mały hełm. Umieścił w nim cały swój umysł, a potem, w sposób, którego nie był w stanie pojąć, udało mu się wyrzucić się na zewnątrz niczym płonąca włócznia szybująca po nieboskłonie...

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jak daleko byłeś, albo gdzie? – zapytał Barjazid.

– Nie, żadnego – jakie to ciekawe, pomyślał, rozmawiam z robakiem. Zmusił się

jednak to skupienia na pytaniu Barjazida. – W moim doznaniu była to spora odległość, ale równie dobrze mogłem być w mieście po drugiej stronie rzeki.

– Zapewne dotarłeś dużo dalej, wasza miłość. Jak wiesz, zasięg urządzenia jest nieskończony, sięgnięcie do Alaisor, Tolaghai czy Piliploku nie wymaga większego wysiłku niż podróż do domu obok. To kierunku nie potrafimy kontrolować. Przynajmniej na razie.

– Czy myślisz, że dałoby się osiągnąć Zamku? – zapytał jego lordowska mość Gaviral.

– Jak przed chwilą powiedziałem jego miłości hrabiemu Mandralisce – odparł Barjazid – zasięg jest nieograniczony. – Mandralisca zauważył, że Barjazid już nauczył się traktować Gavirala z olbrzymią cierpliwością. Była to doskonała metoda przy obcowaniu z kimś, kto jest niewyobrażalnie głupi, ale ma nad tobą władzę.

– Moglibyśmy więc sięgnąć i uderzyć w Prestimiona? – zapytał Gaviral z zapalem. – Albo w Dekkereta?

– Z czasem może nam się uda – odpowiedział Barjazid. – Jak również powiedziałem przed chwilą, na razie nie mamy pełnej kontroli nad kierunkiem. Możemy tylko uderzać na chybił trafił.

– Ale w końcu... – rozmarzył się Gaviral. – W końcu...

Mandralisca z trudem powstrzymał się przed skomentowaniem jego zachowania jakąś pogardliwą uwagą. Sięgnąć i uderzyć w Prestimiona? Głupiec. *Głupiec*. To była ostatnia rzecz, którą chcieliby zrobić. Młody Thastain dużo lepiej rozumiał polityczną strategię niż którykolwiek z tych pięciu bezmózgich braci. To jednak nie był dobry moment na wchodzenie w konflikt z jednym z tych, którzy, przynajmniej w teorii, byli jego panami.

Zastanawiał się nad tym, co przed chwilą udało mu się osiągnąć z pomocą hełmu Barjazida. Interesowało go to dużo bardziej niż cokolwiek, co mógłby powiedzieć któryś z tych ludzi.

Z pomocą hełmu wysłał swój umysł i zrobił komuś krzywdę. Tego był pewien. Nie miał pojęcia, komu ani gdzie, ale bez wątpienia odnalazł gdzieś daleko jakiś umysł, chyba należący do jakiegoś kapłana, a w każdym razie kogoś, kto przewodniczył rytuałowi, wniknął w niego i go uszkodził. Być może nawet zniszczył. Na pewno spowodował wielkie szkody. Wiedział, jak to jest kogoś skrzywdzić, było to szczególne uczucie przyjemności, niemal seksualne, którego nieraz w życiu doświadczył. Czuł je teraz z nową, zdumiewającą intensywnością. Jakiś nieznajomy gdzieś daleko zwiął się z bólu i szoku po jego uderzeniu...

...leciał jak włócznia, płonąca włócznia, szybująca przez pół świata...

Jak bóg.

– Twój brat nigdy nie dał mi skorzystać z hełmu – powiedział Mandralisca do Khaymaka Barjazida. Wrócił za biurko i rzucił na nie urządzenie. – Prosiłem go o to nieraz, kiedy staliśmy obozem w Stoienzar. Chciałem tylko dowiedzieć się, jak to jest. Jakie to uczucie. „Nie”, odpowiadał, „nie odważę się zaryzykować, Mandralisco. Jego moc jest zbyt wielka”. Zakładałem, że ma na myśli, że mogę zrobić sobie krzywdę. Ale kiedy później o tym myślałem, dostrzegłem w tych słowach nowe znaczenie. „Moc tego urządzenia jest zbyt wielka, żebym mógł ci zaufać i pozwolić z niej skorzystać”, oto co naprawdę próbował mi powiedzieć. Myślę, że obawiał się, iż mógłbym grzebać w jego umyśle.

– Nieustannie bał się czegoś podobnego. Bał się, że ktoś mógłby użyć hełmu przeciwko niemu.

– Czy nie byłem jego sojusznikiem?

– Nie. Mój brat nigdy nikogo nie uważał za sojusznika. Wszyscy byli niebezpieczni. Nie zapominaj, że jego własny syn zwrócił się przeciw niemu podczas rebelii Dantiryi Sambaila i zaniósł jeden z hełmów Prestimionowi i Dekkeretowi. Po tym zdarzeniu nie dało się przekonać Venghenara, by dopuścił kogokolwiek w pobliże hełmu.

– Byłem świadkiem, jak Prestimion zniszczył go przy użyciu hełmu, który przyniósł mu Dinitak – powiedział Mandralisca.

W jego własnych uszach jego głos brzmiał obco. Rozumiał, że wciąż chyba nie otrząsnął się w pełni ze skutków założenia hełmu. Ci trzej mężczyźni wciąż byli dla niego jak robaki. Nie mieli żadnego znaczenia.

– Twój brat – przemówił do Barjazida, jakby pozostałych dwóch w ogóle nie było w pokoju. – Stał koło mnie i miał na głowie własny hełm. On i Prestimion toczyli pojedynek, a rozdzielały ich setki mil, może tysiące. Widziałem, jak twój brat zbiera się do ostatecznego ciosu, ale zanim go zadał Prestimion uderzył go siłą hełmu i powalił na kolana. „Prestimion”, powiedział twój brat i zaczął jęczeć, a Prestimion uderzył go jeszcze dwa czy trzy razy i widziałem, że umysł Venghenara się wypalił. Godzinę czy dwie później napadli na nas Septach Melayn i Gialaurys. Jeden z nich podszedł do twojego brata i go zabił.

– Tak i my zabijemy Prestimiona – oświadczył patetycznie Gaviral.

Mandralisca zachowywał się, jakby Gaviral nic nie powiedział. Zabić Prestimiona? To nie był sposób, by zdobyć niepodległość zachodniego kontynentu. *Ograniczać* Prestimiona, tak. *Kontrolować* go. *Używać*. Oto, co w odpowiednim czasie można było osiągnąć z pomocą hełmu. Ale po co go zabijać? To tylko obsadziłoby Dekkereta na tronie w Labiryncie i wyniosło innego Koronala na szczyt Góry Zamkowej, a proces wyrywania Zimroelu spod władzy Alhanroelu musiałby zacząć się od początku. Nie warto jednak było oczekiwać, że

którykolwiek z Pięciu Lordów zrozumie te prawdy, jeśli mu się ich szczegółowo nie wyłoży.

– Tak, hełm da nam zemstę – powiedział Khaymak Barjazid.

To również Mandralisca zignorował. Jakże oczywista była ta wypowiedź! I nawet nie była szczera, pomyślał Mandralisca. Barjazidowi nie chodziło o zemstę. Śmierć brata z ręki Prestimiona nie zdawała się go przesadnie obchodzić. Gdyby tylko zaproponowano mu właściwą cenę, sprzedałby się zabójcom brata równie chętnie, jak ich wrogom. Chodziło mu tylko o sprzedaż. Barjazida najbardziej obchodziły pieniądze, bezpieczeństwo i wygoda – same drobne sprawy. Była w nim iskierka złośliwości, którą Mandralisca doceniał, i lodowata, zła inteligencja, ale człowiek ten był z gruntu małostkowy, był zlepkiem niezwykłych, cennych umiejętności i bardzo zwyczajnych pragnień.

Niepokój Mandraliski powrócił. Wypełniający pomieszczenie smród ludzkiego ciała stał się nie do zniesienia. Upał. Nieznośny nacisk cudzej świadomości zbyt blisko jego własnej.

Podniósł delikatny, mały hełm i wcisnął go niczym garść drobniaków do sakiewki na biodrze.

– Wychodzę – oświadczył. – Za gorąco tu. Powietrza.

Wzniesienie przecinały już długie, popołudniowe cienie. Pałace Pięciu Lordów, stojące na szczycie wzgórza górującego nad wioską, skąpane były w czerwonym świetle. Mandralisca szedł przez wioskę długimi krokami, nie kierując się w żadne szczególne miejsce. Pozostali trzej szli za nim, z trudem dotrzymując mu kroku.

Tacy mali ludzie. Gaviral. Halefice. Barjazid. Mali ciałem, mali też duchem. Przynajmniej Halefice zdawał sobie z tego sprawę i chciał tylko służyć. Gaviral marzył, że zostanie królem Zimroelu, choć nadawał się do tego nie bardziej niż skalna małpa. A mały, brzydki Barjazid... cóż, miał swoje zalety. Przynajmniej był twardy i sprytny. Mandralisca nie pogardzał nim całkowicie. Ale właściwie był nikim. *Niczym*.

– Wasza miłość? – Halefice w końcu go dogonił. Adiutant powiedział: – Błagam o wybaczenie, wasza miłość, ale może korzystanie z tego urzędnictwa wyczerpało cię bardziej, niż sobie zdajesz sprawę i powinieneś chwilę odpocząć, zamiast...

– Dziękuję, Jacominie. Nic mi nie będzie – Mandralisca szedł dalej, nawet nie odwracając się w stronę Halefice'a. Znajdowali się w centrum wioski, pośród rzemieślników i sprzedawców garnków, a nieopodal znajdowały się stragany handlarzy winem, dalej zaś targ chleba i mięs.

Wybudowanie samodzielnej wioski w tej suchej, opuszczonej krainie nie było łatwym zadaniem. Plony tutaj trzeba było zmuszać do rośnięcia niemal siłą przy użyciu wody,

pompowanej kropla po kropli z niedostępnej rzeki, która beczelnie płynęła tuż obok, u stóp wzgórza. A jednak udało im się. *Jemu* się udało. Nie miał pojęcia o rolnictwie, ani o hodowli trzody, nie znał się na budowaniu wiosek z niczego, ale udało mu się; nakreślił plany, wydał rozkazy i sprawił, że stały się rzeczywistością. Stworzył nawet bogate pałace Pięciu Lordów na szczycie wzniesienia... A teraz, gdy przemierzał swoje dzieło w to dziwne popołudnie, czuł – co?

Oczekiwanie. Poczucie, że stoi na progu nowego miejsca, dziwnego, lecz wspaniałego.

Już teraz trzymał Pięciu Lordów Zimroelu w garści, choć może o tym nie wiedzieli. Wkrótce będzie też trzymał Prestimiona i Dekkereta. Będzie panem całego Majipooru. Czy to nie piękne, chłopiec ze wsi w śnieżnym Gongharze, który rozpoczął życie bez żadnych środków, poza bystrym umysłem i refleksem jak błyskawica?

Minał winiarnie, odtrącając butelki, które ochoczo oferowali mu kupcy i ruszył przez targ chlebowy. Jeden ze sprzedawców wcisnął mu w dłoń ciastko, uklonił się i wymamrotał modlitwę. W jego oczach był podziw, jakby to Mandralisca, nie Gavirał, był Lordem Zimroelu. Hrabia pomyślał, że handlarze winem i chlebem lepiej rozumieją, gdzie leży prawdziwa władza. Ugryzł ciastko; było to jedno z tych małych, okrągłych, zwanych lorikami, które na górze miały węzłową ozdobę, przez co przypominały nieco koronę. Dobry wybór, pomyślał Mandralisca. Pochłonał je trzema kęsami.

Po drugiej stronie targu chlebowego wzgórze wznosiło się ostro do miejsca, z którego można było zobaczyć płynącą daleko w dole rzekę, kipiącą i uderzającą o podnóże klifu. Mandralisca szedł w tamtą stronę. Halefice wciąż podążał niedaleko, po lewej, krok czy dwa z tyłu. Po drugiej stronie szedł Barjazid. Jego lordowska mość Gavirał najwyraźniej nie opuścił targu wraz z nimi.

Mandralisca długo patrzył na rzekę w milczeniu. Później wyciągnął hełm z sakiewki. Trzymał na dłoni tę małą płataninę metalowej plecionki. Barjazid spojrzał na niego, zaniepokojony, jakby obawiał się, że Mandralisca zamierza rzucić go do wody.

Przemówił do Suvraelczyka:

– Barjazidzie, chciałeś kiedyś zabić swojego ojca?

Wywołał tym spłoszone spojrzenie.

– Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Handlarzem, sprzedawał skóry i suszoną wołowinę w mieście Tolaghai. Nigdy nie przyszło mi do głowy...

– A mi przychodziło, i to tysiące razy dziennie. Gdyby mój ojciec wciąż żył, założyłbym hełm w tej chwili i spróbował go zabić.

Barjazid był zbyt zdumiony, by odpowiedzieć.

Mandralisca nigdy z nikim o tym nie rozmawiał, ale te parę sekund, podczas których miał na głowie hełm Barjazidów, wyraźnie otworzyło jego duszę.

– On też był kupcem – powiedział. Patrzył prosto w gardziel rzeki, a przed oczyma przepływała mu znienawidzona przeszłość. – W Ibykos, małym, nieważnym, błotnistym miasteczku w górzystej krainie Gongharów, sto mil na zachód od Velathys. Przez całe lato pada tam deszcz, a całą zimę śnieg. Handlował winem i brandy i był swoim własnym najwierniejszym klientem, a pijany, czyli prawie zawsze, brał się do bicia od jednego choćby spojrzenia. Tak właśnie się komunikował: rękoma. To w dzieciństwie nauczyłem się tak szybko poruszać. Prędko odskakiwać, byle poza jego zasięg.

Nawet po tych niemal czterdziestu latach Mandralisca wciąż miał w głowie tę ponurą twarz, tak podobną do jego własnej. Wystająca szczeka, pociągła twarz, zaciśnięte usta, ponure spojrzenie czarnych oczu, zmarszczona brew i bezlitosna ręka siekająca jak bicz pungatana, rozbijająca usta, obijająca policzki, podbijająca oczy. Czasami lanie ciągnęło się bez końca z najbardziej błahego powodu lub w ogóle bez powodu. Mandralisca z trudem przypominał sobie swoją bladą, nieśmiałą matkę, za to potworny, brutalny, wybuchowy ojciec, wciąż jak ogromna góra, kładł się cieniem na jego pamięci. Długie lata wypełnione przekleństwami, ciosami na odlew, niespodziewanymi szturchnięciami, popchnięciami i klapsami, nie tylko od ojca, ale i od pozostałej trójki, od starszych braci, którzy naśladowali ojca poprzez bicie każdego, kto był od nich mniejszy. Nie było dnia bez siniaka, bez choćby niewielkiej dawki bólu i poniżenia.

Zacisnął pięść na hełmie.

– Co noc, gdy kładę się spać, wyobrażam sobie, że go wtedy zabiłem. Nóż w brzuch, zatrute wino, rozciągnięty w ciemności potykacz z drutu i ukryta pętla na szyję, zabiłem go już na pięćdziesiąt różnych sposobów. Aż do dnia, kiedy powiedziałem mu głośno, że zabiłbym go, gdybym miał szansę. Myślałem, że to on mnie wtedy zabije. Byłem dla niego za szybki, poddał się po tym, jak przegonił mnie przez całe miasto. Ostrzegał mnie, że jeśli wpadnę w jego łapy, złamie mnie na pół. Ale już nie wpadłem. Zjawił się furman, który jechał do Velathys, podwiózł mnie i od tego czasu nie widziałem już Gongharów. Wiele lat później dowiedziałem się, że mój ojciec zginął w bójce z pijanym klientem. Zdaje mi się, że moi bracia też nie żyją. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Czy wtedy poszedłeś na służbę do Dantiryi Sambaila? – zapytał Halefice.

– Nie, nie wtedy – język całkiem mu się rozpuścił. Twarz dziwnie zarumieniła. – Najpierw wyruszyłem na zachód, do Narabalu na południu, na wybrzeżu. Chciałem, by było

mi ciepło, chciałem już nigdy nie oglądać śniegu. Później do Til-omon, Dulorn, miasta Ghayrogów i do wielu innych miejsc, aż w końcu znalazłem się w Ni-moya i prokurator wybrał mnie swoim podczaszym. Byłem wtedy jego ochroniarzem i dostrzegł mnie podczas treningu z palcatami – jak wiecie, posługuję się nimi zręcznie, jak i każdym rodzajem broni pojedynkowej – wywołał mnie, by ze mną porozmawiać po tym, jak pokonałem kolejno sześciu jego gwardzistów. Powiedział mi wtedy: „Potrzebuję podczaszego, Mandralisco. Weźmiesz tę pracę?”.

– Nie odmawia się człowiekowi takiemu, jak Dantirya Sambail – powiedział Jacomin Halefice z namaszczeniem.

– Dlaczego miałbym odmówić? Myślisz, że to zadanie poniżej mojej godności? Chłopca ze wsi, Jacominie? On był panem Zimroelu, a ja miałem stać u jego boku i podawać mu wino, a to znaczyło, że nieustannie przebywałem przy nim. Kiedy spotykał się z wielkimi świata, z diukami, hrabiami i burmistrzami, a nawet z Koronalami i Pontifexami, ja miałem być przy nim.

– I zostałeś też jego praegustatorem, tak?

– To przyszło później. Któregoś razu pojawiła się plotka, że prokurator zostanie uśmiercony przez syna swego kuzyna, który za czasów młodości Dantiryi Sambaila był regentem Zimroelu i został przez niego odsunięty od władzy. Mówili, że użyje trucizny, trucizny w winie. Ta gadka dotarła do uszu samego prokuratora i kiedy następnym razem podawałem mu kielich wina, spojrział na niego i na mnie, i wiedziałem, że jest nieufny. Dlatego ja, z własnej, nieprzymuszonej woli, ponieważ sam nic nie znałem, a on był ogromnie ważny, powiedziałem: „Prokuratorze, mój panie, pozwól, że dla bezpieczeństwa skosztuję pierwszy”. Jak rozumiecie, z powodu mego ojca nie mam upodobania do wina. Mimo to spróbowałem, a Dantirya Sambail patrzył i czekał, zaś ja nie padłem martwy. Od tego czasu kosztowałem wina z każdego kielicha, aż do końca jego dni. Taki mieliśmy zwyczaj, chociaż nigdy więcej mu nie grożono. To nas łączyło, ten fakt, że brałem łyk jego wina i podawałem mu kielich. Jedyne wino, jakie w życiu wypilem, to to, którego próbowałem dla Dantiryi Sambaila.

– Nie bałeś się? – spytał Khaymak Barjazid.

Mandralisca odwrócił się do niego z pogardliwym uśmiechem.

– Gdybym umarł, jaką by mi to zrobiło różnicę? Uznałem, że warto podjąć to ryzyko. Czy życie, które prowadziłem, było zbyt dobre, by ryzykować je, aby zostać towarzyszem Dantiryi Sambaila? Czy bycie żywym jest tak słodkie i cudowne, że powinniśmy trzymać się go jak skąpiec swojego worka rojali? Nigdy tak nie uważałem. W każdym razie, w jego winie

nie było trucizny, ani wtedy, ani nigdy. A ja na zawsze byłem u jego boku.

Mandralisca pomyślał, że jeśli w ogóle kiedyś kogoś kochał, to właśnie Dantiryę Sambaila. Było tak, jakby mieli jednego ducha w dwóch ciałach. Choć kiedy Mandralisca przyszedł na służbę do prokuratora, ten zdołał już wcześniej zdobyć władzę nad całym Zimroelem, to właśnie on zachęcił go do znacznie większego dzieła, do zachęcenia Korsibara, syna Confalume'a, do przejścia tronu Majipooru. Z Korsibarem jako Koronalem, wdzięcznym Dantiryi Sambailowi za umieszczenie go na tronie, prokurator byłby najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Cóż, to się nie udało i zarówno Korsibar, jak i prokurator od dawna nie żyli. Dantiryja Sambail grał i przegrał, i tyle. Ale Mandralisca miał przed sobą inne gry. Delikatnie pogładził hełm, który wciąż trzymał w ręku.

Inne gry, tak. Właściwie to tym było całe życie: grą. Tylko on widział tę prawdę, inni nie zdawali sobie z tego sprawy. Żyło się przez jakiś czas, grało w grę, zwaną życiem, a w końcu przegrywało i potem nie było niczego. Ale póki się grało, należało grać tak, by wygrywać. Wielkie bogactwo, wspaniałe przedmioty, olbrzymie pałace, uczyty, rozkosze ciała... to wszystko znaczyło dla niego tyle, co nic, albo i mniej. Były to tylko oznaki tego, jak dobrze się grało, same w sobie nic nie znaczyły. Nawet władza była sprawą wtórną, środkiem do osiągnięcia celu.

Liczyło się tylko *zwyciężanie*, tak długo, jak długo się dało. Grać i wygrywać, aż przychodził nieunikniony moment, że się przegrywało. Jeśli znaczyło to, że trzeba było ryzykować wypicie trucizny przeznaczonej dla prokuratora, jeśli taka była cena wejścia do gry, cóż, możliwa wygrana była niewątpliwie warta ryzyka! Niech inni noszą korony i zbierają skarby. Niech inni otaczają się mizdrzącymi kobietami i upijają się do nieprzytomności winem. On tego nie potrzebował. Kiedy był chłopcem, został pozbawiony wszystkiego, co było dla niego ważne i nauczył się żyć całkiem bez niczego. Teraz chciał bardzo niewiele, prócz tego, by nikt nigdy nie postawił się na pozycji, z której mógł go czegokolwiek pozbawić.

Barjazid wciąż się w niego wpatrywał, jakby próbował czytać mu w myślach. Mandralisca zrozumiał, że znów za bardzo się odkrył. Wezbrał w nim gniew. Była to słabość, której nigdy wcześniej nie ulegał. Powiedział dość, więcej, niż dość.

Obrócił się gwałtownie i oświadczył:

– Wracajmy do mojej komnaty.

Jeśli kiedykolwiek przyłapię go na korzystaniu z hełmu przeciwko mnie, pomyślał Mandralisca, zabiorę go na pustynię i przybiję do ziemi między dwoma pungatanami.

– Myślę, że znowu wypróbuję tę twoją zabawkę – powiedział do Barjazida i szybko założył hełm na skroń. Poczuł, jak jego siła przejmuje nad nim kontrolę, wysłał swój umysł w przestrzeń, aż nawiązał kontakt z innym, nie martwiąc się, czy należał do człowieka, Ghayroga, Skandara czy Liimena. Szukał wejścia. Wszedł, tnąc jak miecz.

Ciął.

Pozostawił tylko zgliszcza.

Mistrzostwo. Ekstaza.

3

Dekkeret powiedział:

– A więc to jest imperialna komnata tronowa? Zawsze się zastanawiałem, jak wygląda.

Prestimion wykonał szeroki, patetyczny gest.

– Przyjrzyj się jej dobrze. Kiedyś będzie należeć do ciebie.

– Miej litość, mój lordzie – powiedział Dekkeret z ponurym uśmiechem. – Ledwo przywykłem do noszenia szat Koronala, a ty już otwierasz przede mną drzwi do Labiryntu!

– Wciąż nazywasz mnie „lordem”. To teraz twój tytuł. Ja jestem „waszą wysokością”.

– Dziękuję, mój lordzie.

Żaden z nich nie próbował powstrzymać śmiechu. To było ich pierwsze spotkanie jako Pontifexa i Koronala, i nie umieli sobie z nim poradzić bez pewnego rozbawienia.

Znajdowali się na najniższym poziomie Labiryntu, gdzie mieściła się prywatna rezydencja Pontifexa i wielkie komnaty reprezentacyjne Pontyfikatu: komnata tronowa, Wielka Sala Pontifexa, Sala Tronów i inne. Dekkeret przybył do podziemnej stolicy późnym wieczorem poprzedniego dnia. Nigdy wcześniej nie miał powodu, by odwiedzić Labirynt, chociaż przez całe życie słuchał historii na jego temat; o tym, jak jest ponury, duszny, jak miało się w nim poczucie odcięcia od życia i przyrody i bycia skazanym na życie w głębinach, z dala od oczu świata, w krainie wiecznej nocy rozjaśnianej bezlitosnym, migoczącym światłem lamp.

Już na pierwszy rzut oka Labirynt zdał mu się jednak dużo mniej niegościnnie. Wyższe poziomy kipiły życiem jak każde wielkie miasto. Tym przecież był Labirynt: stolicą świata. Niżej znajdowały się cuda architektury, mnóstwo przedziwnych cudów, którymi Pontifeksi ozdabiali miasto przez dziesięć tysięcy lat. Wreszcie na samym dole podziwiać można było wspaniałość i bogactwo sektora imperialnego, tak luksusowego, że przyćmiewał nawet przepych Zamku.

Dekkeret spędził noc w komnatach przeznaczonych dla Koronarów odwiedzających zwierzchniego monarchę. Po raz pierwszy zajmował apartament Koronala. Na chwilę

zatrzymał się, zachwycony widokiem ogromnych drzwi do pomieszczeń, które należały teraz do niego; drzwi pokrytych skomplikowanymi rzeźbieniami, wirującymi symbolami rozbłysku gwiazd wykonanymi ze złota i powtarzającym się królewskim monogramem, LPC, LPC, LPC, *Lord Prestimion Koronał*, który wkrótce zostanie zastąpiony LDC, jego własnym. Brakowało do tego tylko jednego kroku. Został już proklamowany przez Prestimiona i uznany przez Radę, musiał tylko wrócić na Zamek na ceremonię koronacyjną. Pogrzeb Confalume'a i koronacja nowego Pontifexa muszą jednak poprzedzić to wydarzenie.

Nowy Pontifex odprawił już starożytny rytuał obejmowania w posiadanie nowego domu. Jako że Prestimion podróżował po rzece Glayge, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci Confalume'a, wrócił do Labiryntu drogą wodną, jednak zamiast wjechać przez Bramę Wód, która była zwyczajowym wejściem od strony rzeki, tradycja nakazywała mu tym razem objechać całe miasto, dostać się na drugą stronę, wychodzącą na południową pustynię i wjechać przez dużo mniej przyjemną Bramę Ostrzy.

Była to po prostu surowa wyrwa w pustynnej ziemi, obudowana balami nieociosanego drewna dla ochrony przed piaskiem. Przed nią stał rząd antycznych, zardzewiałych mieczy, ponoć mających wiele tysięcy lat, umieszczonych sztychem w górę w betonowym podłożu. Za tym nieprzyjaznym wejściem czekało siedmiu zamaskowanych strażników Labiryntu – zgodnie z tradycją było wśród nich dwóch Hjortów, Ghayrog, Skandar i nawet Liimen – którzy z powagą przeprowadzili rytuał wypytywania Prestimiona o powód jego wizyty, ostentacyjnie dyskutowali między sobą, czy należy go wpuścić i zażądali tradycyjnego podarunku, czegoś, co sam wybrał. Prestimion przywiózł z sobą pelerynę, którą otrzymał od mieszkańców Gamarkaim w prezencie z okazji koronacji na Koronała, tkaną z kobaltowo-błękitnych piór gigantycznych ognistych żuków, która miała dawać każdemu, kto ją założy, ochronę przed płomieniami. Oddał ją teraz, aby umieszczono ją w muzeum wraz z podobnymi darami, a tym samym symbolicznie zadeklarował, że Labirynt będzie zawsze bezpieczny od zagrożeń z zewnątrz.

Po tej ceremonii wszedł do środka. Tradycja wymagała od niego, by przeszedł przez wszystkie poziomy spirального miasta pieszo. Nie była to krótka podróż. Przez całą drogę szła z nim Varaile, jego trzech synowie i córka, choć lady Tuanelys była za młoda, by nadażyć, więc przez większość czasu była niesiona na plecach przez skandarskiego gwardzistę. Na każdym poziomie gromadziły się wokół niego tłumy mieszkańców, rysujących palcami w powietrzu symbol Labiryntu i wykrzykujących jego nowe imię:

– Prestimion Pontifex! Prestimion Pontifex!

Nie był już Lordem Prestimionem.

W tym czasie, objęcie przez niego zwierzchniego tronu ogłaszane było na niższych poziomach, w Sali Kolumn, potem w Miejscu Masek, w Sali Wichrów, w Sali Piramid i wyżej, aż do Bramy Ostrzy. Kiedy więc docierał do każdego z tych miejsc, było ono już poświęcone jego rządowi. W końcu Prestimion dotarł do sektora imperialnego, gdzie najpierw ukląkł przed zabalsamowanym ciałem swojego poprzednika, Confalume'a, które leżało na podwyższeniu w Sali Tronów, a potem udał się do swojego własnego mieszkania, w którym z rąk Wysokiego Rzecznika Pontyfikatu otrzymał spiralny symbol swojej władzy i szkarłatno-czarne szaty. Nie można było zrobić nic więcej, dopóki nie przybył Dekkeret.

A teraz Dekkeret już tu był. Wiekowa tradycja nakazywała Prestimionowi przyjąć nowego Koronala w imperialnej komnacie tronowej. Tak więc Wysoki Rzecznik Haskelorn odwiedził Dekkereta w apartamentach Koronala rankiem po przyjeździe i razem ruszyli małym lataczem przez długie, kręte korytarze sektora imperialnego i w dół ciągle zwężającego się tunelu aż do miejsca, do którego nie mógł dostać się nawet mały pojazd. Szli więc obok siebie przez korytarz, który co pięćdziesiąt stóp przegradzały drzwi z brązu, aż dotarli do ostatnich, ozdobionych symbolem Labiryntu i nowym monogramem Prestimiona w miejscu, gdzie jeszcze niedawno widniał monogram Confalume'a. Stary Haskelorn położył dłoń na monogramie i drzwi się otworzyły. Za nimi stał uśmiechnięty Prestimion.

– Zostaw nas – powiedział do Haskelorna. – To będzie prywatna audyencja.

Prestimion najpierw pokazał Dekkeretowi samą salę tronową.

Było to ogromne pomieszczenie w kształcie półkuli. Jego zagięte ściany od podłogi po sufit pokryte były gładkimi, błyszczącymi, żółto-brązowymi płytkami, sprawiającymi wrażenie świecących własnym, wewnętrznym światłem. Jedyne prawdziwe oświetlenie sali tronowej było z pojedynczego, olbrzymiego, latającego światła żarowego, które unosiło się w powietrzu i lśniło stałym, rubinowym blaskiem. Tron Pontifexa stał dokładnie pod nim, na podwyższeniu, na które prowadziły trzy szerokie stopnie. Był to olbrzymi, czarny fotel z wysokim oparciem i długimi, smukłymi nogami zakończonymi straszliwymi pazurami tak, że przypominały nogi jakiegoś wielkiego ptaka. Pokryty był złotą blachą, albo, czego Dekkeret nie wykluczał, w całości wykonany z tego drogiego metalu. W tak prostym pokoju od tronu biła przerażająca potęga.

Można było odnieść wrażenie, że to sam Confalume zaprojektował tę komnatę, bowiem była labiryntowym odpowiednikiem wspaniałej sali tronowej, którą nakazał zbudować na Zamku, kiedy był Koronalem. Ale to pomieszczenie nie było dziełem Confalume'a. Nie nosiło śladów barokowej ekstrawagancji, którą ukochał sobie zmarły

monarcha. Komnata tronowa Labiryntu była tak stara, że nikt nie wiedział na pewno, kto ją zbudował, choć wierzono, że pochodziła z czasów poprzedzających nawet rządy Stiamota.

Wywoływała zarazem podziw, jak i poczucie przesady.

– Co myślisz? – zapytał Prestimion.

Dekkeret musiał powstrzymać się od dalszego chichotu.

– Jest niezwykle... majestatyczna, powiedziałbym. Tak, majestatyczna. Confalume musiał być nią zachwycony. Ale ty nie zamierzasz jej używać, prawda?

– Muszę – odpowiedział Prestimion. – Na szczególne okazje i przy świętych ceremoniach. Haskelorn napisze mi mały przewodnik. Musimy traktować to poważnie, Dekkercie.

– Tak, pewnie tak. Już dawno zauważyłem, jak poważnie traktujesz Tron Confalume'a. Ile razy przez te wszystkie lata na nim usiadłeś? Pięć? Osiem?

Prestimiona wyraźnie oburzyła ta uwaga.

– Bardzo poważnie traktowałem Tron Confalume'a. To symbol wielkości i potęgi Koronała. Jest nieco *zbyt* wielki na mój prywatny gust, dlatego przez większość czasu wolałem korzystać ze starej sali tronowej Stiamota. Nigdy nie zbudowałbym czegoś podobnego do Tronu Confalume'a, Dekkercie. Ale nie oznacza to, że nie doceniam, jak ważny jest w utrzymaniu władzy i majestatu rządu. Ty także powinienes.

– Nie mam zamiaru nie doceniać symboli. Chodzi tylko o to, że kiedy pomyślę o tobie, siedzącym tu, na tym wielkim, złotym krześle, i o sobie na Zamku na tym wielkim bloku opalu Confalume'a... – potrząsnął głową. – Na Boginię, Prestimionie, jesteśmy tylko ludźmi, *ludźmi*. Kiedy za długo nie sikamy, bolą nas pęcherze, a jeśli nie zjemy w porę, burczy nam w brzuchach.

Prestimion odpowiedział cicho.

– Tak, jesteśmy ludźmi. Ale oprócz tego jesteśmy Potęgami Królestwa, dwiema z trzech. Ja jestem imperatorem świata, a ty jego królem i w oczach piętnastu miliardów ludzi, którymi rządzymy, jesteśmy uosobieniem wszystkiego, co święte. Sadzają nas na tych jarmarcznych tronach i kłaniają się nam, a kim my jesteśmy, żeby im odmówić, skoro tak nam to ułatwia rządzenie tą planetą? Pomyśl o nich, Dekkercie, kiedy tylko będziesz odprawiał jakiś absurdalny rytuał albo wspinał się na przesadnie ozdobne siedzisko. Wiesz, że nie jesteśmy tylko prowincjonalnymi paniczykami. Jesteśmy podstawowymi trybami tego świata. – Po czym, jakby zorientował się, że przemawia zbyt ostrym tonem, Prestimion uśmiechnął się szeroko. – My, i pięćdziesiąt milionów nieważnych urzędników państwowych, których praca polega na robieniu tego, co każemy im robić. Chodź, pokażę ci resztę tych

pomieszczeń.

To była długa wycieczka. Prestimion prowadził go szybko. Choć nogi Dekkereta były znacznie dłuższe niż Prestimiona, z trudem dotrzymywał kroku starszemu mężczyźnie, który narzucał tempo zgodne z jego impulsywną i niespokojną naturą.

Najpierw przeszli przez ukryte drzwi z tyłu komnaty tronowej, później długim korytarzem aż do wielkiego, ciemnego pomieszczenia zwanego Salą Tronów, gdzie ponure ściany z czarnego kamienia wyrastały do góry i tworzyły spiczaste łuki. Jedyne światło w Sali Tronów padało z tuzina woskowych świec rozmieszczonych wzdłuż ścian daleko od siebie w uchwytych w kształcie dłoni. Pod ścianą pomieszczenia, na podwyższeniu, wznosiły się dwa trony, którym zawdzięczało swoją nazwę. Nie były tak wspaniałe jak ten w sali tronowej, ale na swój sposób imponowały. Jeden ozdobiony był symbolem rozbłysku gwiazd Koronala, drugi, większy, spiralnym labiryntem, symbolem Pontifexa.

Dekkeret zadrżał i powiedział:

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wygląda bardziej jak sala tortur, a nie tronowa.

– Prawdę mówiąc, zgadzam się. Nie mam dobrych wspomnień z tego pokoju. To tutaj magowie Korsibara zauroczyli nas wszystkich i, kiedy staliśmy ogłuszeni ich magią, on sam zabrał koronę i założył ją na głowę. Nawet teraz krzywię się za każdym razem, kiedy tu przychodzę.

– To się nigdy nie wydarzyło, Prestimionie. Spytaj kogo chcesz, każdy ci to powie. Cała ta historia zniknęła ze wszystkich umysłów. Powinieneś usunąć ją także ze swojego.

– Gdybym tylko mógł... Odkryłem, że niektóre bolesne wspomnienia nie chcą zblaknąć. Dla mnie to wciąż żywa historia. – Prestimion, zakłopotany, przebiegł dłonią po swoich cienkich, miękkich, złotych włosach. Miał nietęgą minę. Wydawało się, że siłą woli próbuje oderwać się od wydarzeń z przeszłości. – No cóż, za parę dni będziemy tu siedzieć, a ja własnoręcznie założę ci koronę.

– Powinieneś ci przy tej okazji powiedzieć – powiedział Dekkeret. – Że kiedy zostanę Koronalem, planuję poprosić twojego brata, Teotasa, by został moim Wysokim Doradcą.

– Mówisz tak, jakbyś prosił mnie o pozwolenie. Koronał wybiera na to stanowisko kogo tylko chce, Dekkerecie. – Głos Prestimiona brzmiał szorstko.

– Znasz go lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Jeśli uważasz, że ma jakąś wadę, którą przeoczyłem...

– Bardzo łatwo go wyprowadzić z równowagi – powiedział Prestimion – ale nie jest to cecha, którą przegapi ktokolwiek, kto spędził z nim choćby pięć minut. Poza tym jest idealny. To mądry wybór, Dekkerecie, pochwalam go. Będzie ci dobrze służył. To właśnie chciałeś,

żebym powiedział, prawda? – z jego niecierpliwego tonu jasno wynikało, że ma teraz na głowie inne rzeczy. Albo po prostu próbował ukryć dumę z faktu, że na jego brata spadł taki zaszczyt. – Popatrz tutaj. Powinieneś zobaczyć coś jeszcze.

Dekkeret szedł za Prestimionem przez cienie do alkowy po lewej stronie, w której zauważył jakby ołtarz okryty białym adamaszkiem, a kiedy podszedł bliżej, ujrzał postać, leżącą na nim na plecach z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Confalume – powiedział Prestimion najciszej, jak się dało. – Leży tam, gdzie i ja będę leżał za dwadzieścia albo czterdzieści lat i gdzie za następne dwadzieścia czy czterdzieści lat położą i ciebie. Zabalsamowali go tak, że nie zmieni się przez sto wieków, albo i dłużej. W Labiryncie jest sekretna krypta, w której leży ostatnich pięćdziesięciu Pontifexów, wiedziałeś o tym, Dekkerecie? Nie. Ja też nie. Jest tam długi rząd imperialnych grobowców, każdy z małą tabliczką. Jutro położymy Confalume'a w jego grobie.

Prestimion ukląkł i z szacunkiem przycisnął czoło do ołtarza. Dekkeret, po chwili wahania, zrobił to samo.

– Poznałem go, gdy byłem chłopcem, mówiłem ci o tym? – powiedział Dekkeret, kiedy wstali. – Miałem dziewięć lat. To było w Bombifale. Byliśmy tam, ponieważ mój ojciec pokazywał swoje towary – o ile pamiętam, handlował wtedy maszynami rolniczymi – zarządcy ziem admirała Gonivaula, a w tym samym czasie Lord Confalume był gościem Gonivaula. Widziałem, jak razem wyjeżdżają na przejażdżkę w wielkim lataczu Gonivaula. Minęli mnie na drodze, pomachałem do nich, a Confalume uśmiechnął się i odmachął. Sam jego widok sprawił, że zacząłem się trząść. Wyglądał na tak silnego, Prestimionie, tak promieniającego... był właściwie jak bóg. I ten jego uśmiech, jego ciepło, potęga. To była chwila, której nigdy nie zapomnę. A potem, po południu, poszedłem z ojcem do Pałacu Bombifale, gdzie przyjmował Koronał, i znowu się do mnie uśmiechnął...

Przerwał i spojrzał na nieruchomą, przykrytą postać, leżącą na ołtarzu. Niełatwo było zaakceptować fakt, że monarcha o takiej sile i wielkości zniknął ze świata w jednej chwili i zostawił po sobie tylko pustą skorupę.

Prestimion powiedział:

– Być może był największy z nich wszystkich. Tak, miał wady. Próżność, umiłowanie luksusu, słabość do czarnoksiężników i przepowiadaczy przyszłości. Ale to były drobne wady, a jakie wspaniałe miał osiągnięcia! Prowadził świat przez sześćdziesiąt lat, i ta jego heroiczna potęga... jak mówisz, był prawie jak bóg. Historia będzie dla niego bardzo łaskawa. Miejmy nadzieję, że będziemy wspomniani choć w połowie tak ciepło, jak on, Dekkerecie.

– O tak. Modlę się o to.

Prestimion ruszył w kierunku wyjścia z wielkiej sali. Kiedy jednak doszedł do drzwi, wskazał na dwa trony stojące po przeciwnej stronie komnaty szybkim, napiętym skinieniem głowy i spojrzał w kierunku alkowy, gdzie leżał zmarły Pontifex.

– Najstraszniejsza chwila jego rządów miała miejsce właśnie tutaj, tuż przed tymi tronami, kiedy Korsibar złapał koronę gwiazd – Dekkeret podążył wzrokiem za wyciągniętym ramieniem Prestimiona. – Właśnie wtedy patrzyłem prosto na Confalume'a. Był jak sparalizowany. Rozbiło go to, złamało, zniszczyło. Wzięli go za łokcie, wprowadzili po stopniach i posadzili na tronie Pontifexa, a jego syn siedział obok. Tam. To właśnie te trony.

To było tak dawno, pomyślał Dekkeret. To już starożytna historia, pogrzebana i zapomniana przez cały świat. Poza, jak się zdawało, Prestimionem.

Prestimionem, którego porwała jego własna opowieść.

– Dzień czy dwa później miałem audiencję u Confalume'a i wciąż zdawał się oszołomiony tym, co zrobił Korsibar. Zdawał się też stary... słaby... pokonany. Byłem wściekły, że pozbawiono mnie tronu i że on pozwolił na tę kradzież, lecz kiedy ujrzałem go w takim stanie, mogłem tylko współczuć. Prosiłem go, by zebrał wojska przeciwko uzurpatorowi i myślałem, że się rozplacze, bo prosiłem, by wypowiedział wojnę własnemu synowi. Oczywiście, nie mógł tego zrobić. Powiedział, że zgadza się, że to ja powinienem być Koronalem, ale teraz nie ma wyboru i musi zaakceptować zamach stanu Korsibara. Błagał mnie o litość. Litość, Dekkerecie! I z litości właśnie odszedłem i nie naciskałem dalej. – W oczach Prestimiona było nagle, przerażające cierpienie. – Widzieć tego wielkiego człowieka w całkowitej rozsypce, Dekkerecie... Rozmawiałem z potężnym Confalumem, zmienionym w cień króla...

Nie uwolni się od tego, pomyślał Dekkeret. Uzurpacja i wszystkie jej skutki wciąż, w tej chwili także, odbijały się echem w duszy Prestimiona.

– Musiało być strasznie być tego świadkiem – powiedział, bo kiedy wychodzili do westybulu, czuł, że coś powiedzieć musi.

– Dla mnie to było jak agonia. Pewnie dla Confalume'a również. Cóż, koniec końców moi czarownicy wycięli z jego umysłu wszystkie wspomnienia o zdradzie Korsibara, ze wszystkich innych umysłów także, i znowu był dawnym sobą, i żył szczęśliwie jeszcze przez długie lata. Ale ja wciąż noszę to wspomnienie w duszy. Gdybym tylko też mógł zapomnieć!

– Są bolesne wspomnienia, które nie chcą zblaknąć, to powiedziałaś mi przed chwilą.

– To prawda.

Dekkeret z niepokojem zdał sobie sprawę, że zaczyna w nim odżywać jego własne bolesne wspomnienie. Próbował zepchnąć je z powrotem tam, skąd przyszło. Nie dawało się.

Prestimion, teraz jakby weselszy, otworzył kolejne drzwi. Za nimi stał gigantyczny skandarski strażnik. Prestimion gestem kazał mu odejść.

– Tutaj – powiedział lżejszym tonem – rozpoczyna się prywatne mieszkanie Pontifexa. Jest ogromne, ma tuziny pokoi, przynajmniej ze trzy kopy. Wciąż nie udało mi się obejrzeć całości. Są tu kolekcje Confalume'a, widzisz? Wszystkie jego magiczne zabawki, obrazy, rzeźby, prehistoryczne artefakty, stare monety, wypchane ptaki i przekłute szpilami robaki. Ten człowiek przez całe życie zbierał wszystko obiema rękami, a teraz jego kolekcja stoi tu. Oddamy mu całe skrzydło nowego budynku Archiwum na Zamku. Spójrz tutaj... widzisz, Dekkerecie?

Dekkeret, który ledwo go słuchał, odpowiedział:

– Ja też mam niemiłe wspomnienie, które nie chce zblaknąć.

– Jakie? – zapytał Prestimion. Był zdenerwowany, że mu przerwano.

– Byłeś obecny, gdy to się stało. Tego dnia w Normork, kiedy szaleniec próbował cię zamordować, a zamiast tego zabił moją kuzynkę Sithelle...

– Ach, tak... – powiedział Prestimion, lecz brzmiało to tak, jakby nie poświęcił całej sprawie nawet chwili wspomnienia przez te dwadzieścia lat. – Ta śliczna dziewczyna. Tak. Oczywiście.

Po raz kolejny wspomnienia wróciły wielką falą.

– Niosłem ją w ramionach przez całe miasto, martwą, krwawiącą na mnie. To była najgorsza chwila mojego życia, bez wątplenia. Krew. Ta blada twarz, szeroko otwarte oczy. A później przyprowadzono mnie do ciebie, bo uratowałem ci życie, a ty nagrodziłeś mnie tytułem rycerza kandydata i wszystko się wtedy dla mnie zaczęło. Miałem tylko osiemnaście lat. Ale nigdy w pełni nie wyzwoliłem się od bólu po śmierci Sithelle. Nie całkiem. Dopiero po jej śmierci zrozumiałem, jak bardzo ją kochałem. – Dekkeret zawahał się. Nie był pewien, czy pomimo że zaszedł tak daleko, chce podzielić się tym z Prestimionem, choć był on jego przewodnikiem i mentorem przez te wszystkie lata. Ale słowa wyrwały mu się, jakby kierowane własną wolą. – Czy wiesz, Prestimionie, że sądzę, iż to z powodu Sithelle zainteresowałem się Fulkari? Myślę, że pociągał mnie na początku, a teraz wciąż trzyma przy niej fakt, że kiedy na nią patrzę, widzę Sithelle.

Prestimion nie rozumiał chyba głębi jego uczuć. Dla niego była to tylko zwykła rozmowa.

– Naprawdę tak uważasz? To ciekawe, że istnieje tak duże podobieństwo – brzmiało to, jakby słowa Dekkereta wcale go nie interesowały. – Ale oczywiście, co ja mogę o tym wiedzieć. Widziałem twoją kuzynkę tylko raz i na chwilę. To było tak dawno temu...

wszystko działa się tak szybko...

– Tak. Jak mógłbyś pamiętać? Ale gdyby istniał sposób, żeby postawić je obok siebie, przysięgłbyś, że są siostrami. W moich oczach Fulkari przypomina Sithelle bardziej niż własną siostrę. I tak... powód, dla którego mam na jej punkcie obsesję...

– Obsesję? – Prestimion zamrugał, zdumiony. – Czekaj! Myślałem, że ją kochasz, Dekkercie. Obsesja to coś całkiem innego, mniej ładnego i czystego. A może próbujesz powiedzieć mi, że uważasz, że te dwa słowa to synonimy?

– Mogą nimi być. A w tym wypadku wiem, że są – teraz już nie było odwrotu. – Przysięgam ci, Prestimionie, do Fulkari przyciągnęło mnie jej podobieństwo do Sithelle, nic innego. Nic o niej nie wiedziałem. Nie zamieniłem z nią ani słowa. Ale zobaczyłem ją i pomyślałem „Oto ona, oddano mi ją” i było tak, jakbym wpadł w pułapkę. Pułapkę, którą sam zastawiłem.

– A więc nie kochasz jej? Używasz jej, żeby zastąpiła kogoś, kto zmarł dawno temu?

Dekkeret potrząsnął głową.

– Nie sędzę, żeby to była prawda. Kocham ją. Ale jasne jest, że nie jest dla mnie właściwą kobietą. Mimo to wciąż z nią jestem, bo czuję się, jakbym przywracał Sithelle do życia. A to żaden powód. Muszę się od tego uwolnić, Prestimionie!

Prestimion był zdumiony.

– Niewłaściwa kobieta? W jakim sensie niewłaściwa?

– Nie chce być małżonką Koronala. Przerazają ją te wszystkie obowiązki, absorbowanie mojego i jej czasu...

– Powiedziała ci to?

– Tymi właśnie słowami. Spytałem, czy zostanie moją żoną, a ona odparła, że tak, o ile nie dam się uczynić Koronalem.

– To zdumiewające, Dekkercie. Nie tylko, jak mówisz, kochasz ją z niewłaściwego powodu, ale i nie nadaje się na twoją królową... A mimo to z nią nie zerwiesz? Musisz.

– Wiem. Ale nie znajduję na to siły.

– Z powodu wspomnienia o utraczonej Sithelle?

– Tak.

– Te twoje wątpliwości, Dekkercie, składają się w bardzo groźny obraz. Sithelle i Fulkari to dwie różne osoby – głos Prestimiona był surowy i tak ojcowski, jak nigdy wcześniej. – Sithelle odeszła na zawsze. Nie ma możliwości, żeby Fulkari ci ją zastąpiła. Pozbądź się tej myśli. Poza tym, jak się okazuje, nawet bez tego nie jest dobrym materiałem na żonę.

– Ale co ja mam robić?

– Rozstań się z nią. Zerwij kompletnie – słowa Prestimiona przygniatały go jak głązy.

– Na dworze jest wiele kobiet, które chętnie dotrzymają ci towarzystwa, aż zdecydujesz się wziąć ślub. Ale ten związek trzeba uciąć. Powinieneś dziękować Bogini, że Fulkari ci odmówiła. Nie ma wątpliwości, że to dla ciebie niewłaściwa kobieta. Nie ma sensu żenić się tylko dlatego, że kogoś ci przypomina.

– Myślisz, że tego nie wiem. Wiem, ale...

– Ale nie możesz uwolnić się od swojej obsesji.

Dekkeret odwrócił wzrok. To się robiło zenująco. Wiedział, że straszliwie zmalął w oczach Prestimiona. Cichym, zupełnie nie królewskim głosem, powiedział:

– Nie. Nie mogę. A ty nie możesz tego zrozumieć, prawda, Prestimionie?

– Wręcz przeciwnie. Sądzę, że mogę.

Przez chwilę trwała niezręczna cisza. Wciąż chodzili wśród rzędów skrzyń ze skarbami Confalume'a, ale żaden z nich niczego nie oglądał.

Prestimion odezwał się innym, bardziej osobistym tonem:

– Rozumiem, jak zaciera się granica pomiędzy miłością a obsesją. W moim życiu też kiedyś była kobieta, którą kochałem i którą odebrała mi przemoc. Była siostrą Korsibara, siostrą bliźniaczką... To długa historia, bardzo długa historia. – Prestimion z trudem znajdował słowa. – Została zabita w ostatniej godzinie wojny domowej, na polu bitwy, przez zdradliwego maga Korsibara. Byłem w żałobie po niej przez długie lata, a potem jakoś udało mi się zostawić to za sobą. A przynajmniej tak mi się zdawało. Wtedy znalazłem Varaile, która pod każdym względem jest dla mnie właściwą osobą i wszystko było w porządku. Prócz tego, że Thismet – tak miała na imię, Thismet – wciąż mnie nawiedza. Nie ma miesiąca, żebym o niej nie śnił. Budzę się złany zimnym potem, krzycząc z bólu. Nigdy nie powiedziałem Varaile, dlaczego tak jest. Nikt o tym nie wie. Poza tobą.

Dekkeret nie spodziewał się takiego wyznania. To było zadziwiające.

– Jak widzę, wszyscy mamy swoje duchy. Duchy, które nie chcą puścić naszych dusz, nieważne, ile minie lat.

– Tak. Dziękuję, Dekkerecie, że podzieliłeś się ze mną tymi prywatnymi sprawami.

– Nie masz o mnie gorszego zdania przez to, co powiedziałem?

– Czemu miałbym? Jesteś człowiekiem, prawda? Nikt nie wymaga od Koronała, by był pod każdym względem doskonały. Gdyby tak było, zamiast nich sadzalibyśmy na tronach marmurowe posągi. A twoje cierpienie może da się wyleczyć. Mógłbym poprosić Maundiganda-Klimda, by oczyścił twoją pamięć ze wspomnień o zmarłej kuzynce.

– Tak, jak oczyścił twoją ze wspomnień o Thismet? – odpowiedział ostro Dekkeret bez chwili zawahania.

Prestimion spojrział na niego, wystraszony. Dekkeret, głęboko zawstydzony, zrozumiał, że nagle poczuł konieczność zaatakowania człowieka, który próbował złagodzić jego ból i że pospieszne słowa raniły.

– Wybacz. To były podłe słowa.

– Nie, Dekkercie. Były szczere. Miałeś prawo to powiedzieć. – Prestimion próbował objąć Dekkereta za ramiona, ale młodszy mężczyzna był na to za wysoki. Zamiast tego łagodnie złapał go za nadgarstek. – To była cenna rozmowa. Jedna z najważniejszych, jakie przeprowadziliśmy. Poznałem cię po niej dużo lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, przez te wszystkie lata.

– I uważasz, że ktoś, kto nosi takie brzemie, jest godzien bycia Koronalem?

– Chyba udam, że tego nie powiedziałaś.

– Dziękuję, Prestimionie.

– Moja uwaga sprzed chwili, ta o Maundigandzie-Klimdzie... Ewidentnie cię zdenerwowała. Przykro mi z tego powodu. Jak mówisz, wszyscy mamy swoje duchy. I może to prawda, że jesteśmy skazani na noszenie ich z sobą do końca życia. Miałem na myśli jedynie to, że wspomnienie zmarłej kuzynki wyraźnie zadaje ci wielki ból, a masz kierować światem, wybrać małżonkę i wiele innych zadań do wykonania. Będziesz do tego potrzebował całej siły twego ducha, bez rozproszeń. Myślę, że Maundigand-Klimd mógłby uleczyć cię z bólu po stracie. Ale może wcale nie chcesz oddać wspomnień o Sithelle pomimo bólu, jaki ci sprawiają, tak jak ja, który trzymam się tego, co zostało z Thismet. Nie rozmawiajmy o tym więcej. Pewien jestem, że wyleczysz się na swój własny sposób. I że odpowiednio załatwisz też sprawę Fulkari.

– Taką mam nadzieję.

– Tak będzie. Jesteś teraz królem. Brak zdecydowania to luksus, na który mogą pozwolić sobie zwyczajni ludzie.

– Byłem kiedyś jednym z nich – powiedział Dekkeret. – To nie jest coś, co w pełni umiera. – Potem uśmiechnął się. – Ale masz rację, muszę nauczyć się być królem. Obawiam się, że to temat, który będę zgłębiać przez całe moje życie.

– Tak będzie, a i tak będziesz miał wrażenie, że go nie opanowałeś. Niech cię to nie martwi. Czulem to samo, podobnie Confalume, Prankipin pewnie również i tak samo wszyscy aż do Stiamota i królów, którzy panowali przed nim. Dekkercie, pod koronami i szatami wszyscy jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Ważne tylko, jak dobrze wnosimy się ponad to. A

kiedy pojawią się wątpliwości, możesz zwrócić się do mnie.

– Wiem, Prestimionie. I bardzo ci za to dziękuję.

– Załatwiłem też, że dostaniesz mojego szambelana, Zeldora Luudwida, kiedy wrócisz na Zamek. Lepiej niż ktokolwiek inny wie, jak ma zachowywać się Koronal. Jeśli będziesz miał problem, po prostu go zapytaj. To mój prezent dla ciebie.

– Dziękuję... wasza wysokość.

– Nie ma o czym mówić... mój lordzie.

4

– Nawet ogród, który sam o siebie dba, wymaga pewnej dbałości – powiedział Dumafice Moal swojemu siostrzeńcowi, kiedy razem wyruszali na najwyższy taras wspaniałego parku Lorda Havilbove'a, założonego przed trzema tysiącami lat. – Dlatego wciąż mam pracę, drogi siostrzeńcze. Gdyby ten park był tak doskonały, jak się ludziom wydaje, sprzedawałbym kiełbaski na ulicach Dundilmir.

Ogród rozciągał się na czterdzieści mil w niższym rejonie stoku Góry Zamkowej. Zaczynał się przy Łuku Bibiroon, leżącym pod Miastem strażniczym Bibiroon i szerokim, wygiętym na wschód pasem sięgał w górę aż pod grupę Miast Zbocza, do niższych obrzeży Kazkas, Stipool i Dundilmir. Teren, gdzie się znajdował znany był jako Bariera Tolingar, choć w tych czasach nie była to wcale bariera. Niegdyś była to niemal nieprzebyta strefa czarnych, ostrych, kolczastych wzgórz, pozostałości po liczącym miliony lat wylewie lawy z żyły wulkanicznej w głębi Góry. Korona Lord Havilbove, który poświęcił sporą część swoich rządów na zakładanie tego ogrodu, nakazał zmielić wzgórza Bariery Tolingar na drobny, czarny piasek, który posłużył za żyzne podłoże dla sadzonych tu roślin.

Lord Havilbove, urodzony w nizinym mieście Palaghat w dolinie Glayge, był wybrednym i pedantycznym człowiekiem, kochającym wszelkie rośliny, ale zirytowanym łatwością, z jaką nawet najpiękniejszy ogród, któremu nie poświęcano nieustannej uwagi, szybko stawał się niepokorny i odstępował od pierwotnego planu. Z tej przyczyny, podczas gdy zastępy krzepkich robotników pracowały przy kruszeniu koryt lawy w Bariery Tolingar, rzemieślnicy na Zamku, dzięki eksperymentom w kontrolowanych hodowlach, starali się stworzyć rośliny, krzewy i drzewa, które zachowywałyby idealny kształt bez sekatora.

Był to czas, kiedy na Majipoorze wciąż jeszcze znano się na nauce, pozwalającej tworzyć takie biologiczne cuda. Wysiłki techników Lorda Havilbove'a zakończyły się prawdziwym sukcesem. Rośliny przeznaczone do jego ogrodu podczas wzrostu osiągały doskonałą symetrię, a kiedy ich rozmiar był odpowiedni w stosunku do otoczenia, utrzymywały go już na zawsze.

Zbędne liście i całe niepotrzebne gałęzie opadały samoczynnie i szybko rozkładały się,

zwiększając jeszcze żyzność wulkanicznej gleby. Enzymy z ich korzeni powstrzymywały rozrost chwastów. Każda z roślin kwitła, ale jej nasiona były sterylne, tylko kiedy kończyła swój naturalny cykl życiowy wydawała prawdziwe owoce, by zastąpić samą siebie kolejną, która wkrótce przybierała ten sam kształt i rozmiar. Tak oto ogród pozostawał w niezmiennej równowadze.

Kiedy tylko Lord Havilbove dowiadywał się, że gdzieś na świecie rośnie jakiś piękny okaz flory, posyłał ludzi po próbkę, koniecznie z korzeniami i ziemią, na której rósł i oddawał go genetycznym chirurgom na Zamku, a oni modyfikowali go tak, by nie potrzebował ogrodnika. Prócz tego, do ogrodu zwożono wielkie ładunki kolorowych, ozdobnych minerałów – żółtawo-zielony kamień, zwany chrysokollą, błękitny, nazywany lazurowym sercem, czerwony cinnabar, złotą cruskę i tuziny innych. Każdy z nich wykorzystywany był do pokrycia innego poziomu ogrodu: Havilbove wykorzystywał swoje malarskie oko i rozmieszczał je tak, że kiedy stało się na szczycie Łuku Bibiroon i patrzyło na cały ogród, tu wykwitła plama bladego karmazynu, tam żywej żółci, ówdzie szkarłat, błękit, zieleń, a na nich rosły rośliny dopełniające kolor podłoża.

Następca Lorda Havilbove'a, Lord Kanaba, był równie zaangażowany w sprawy ogrodu, a następny Koronał, Lord SIRRUTH, miał dość zrozumienia, by zachować jego obsadę i nawet zwiększyć budżet. Później nastały czasy Koronała Lorda Thrayma, który wprawdzie najpierw przejmował się głównie własnymi, ambitnymi projektami rozbudowy Zamku, ale zakochał się w ogrodzie Havilbove'a, kiedy tylko odwiedził go po raz pierwszy. Zadał o przyznanie wystarczających funduszy, by doprowadzić go do perfekcji. Jakieś sto lat trwało więc powołanie ogrodu do życia, ale odtąd zawsze był jednym ze skarbów Góry, sławnym miejscem, które każdy mieszkaniec Majjipooru pragnął móc zobaczyć choć raz.

Dumafice Moal urodził się w Dundilmir, tuż pod niższym skrajem ogrodu i od dziecka odwiedzał go przy każdej okazji. Nigdy nie wątpił, że jego przeznaczeniem było stać się jednym z pracowników ogrodu. Teraz miał sześćdziesiąt lat, a za nim było ponad czterdzieści lat wiernej służby.

Choć ogród dbał o siebie sam, i tak potrzebował sporej grupy pracowników. Co roku odwiedzały go miliony ludzi i nie dawało się uniknąć pewnych zniszczeń. Trzeba było naprawiać ścieżki i fontanny, czyścić ozdobne place, dosadzać skradzione rośliny. Ogród był też wystawiony na działanie wędrownych zwierząt. Na Górze Zamkowej, pomiędzy Pięćdziesięcioma Miastami było dużo otwartej przestrzeni, gdzie wciąż żyły dzikie zwierzęta. Zalesione zbocza Góry obfitowały w różną zwierzynę, od wilków hryssa, jakkaboli i długozębnych, czujnych noomanossi po mniejsze stworzenia, takie jak sigimoiny, mintuny i

drole o oczach jak paciorki. Jakkabole i wilki hryssa, choć niebezpieczne, nie zagrażały eleganckim roślinom. Za to stadko droli, wciskających swoje długie, zębate pyszczki w ziemię w poszukiwaniu larw, mogło zniszczyć całą rabatę eldironów czy tanigali między północą a świtem. Gąsienice barczatek rozwieszały paskudne namioty szorstkiej przędzy nad połową mili kwitnących thwali i potrafiły szybko ogryźć je do gołych gałązek. Głodne vulgisy, gniazdujące na czubkach drzew... rój ganganeli... nakrapiane cuja...

Zadanie Dumafice'a Moala polegało więc na patrolowaniu ogrodu od świtu i wyszukiwaniu wrogów roślin. To była nieustająca wojna. Za uzbrojenie miał miotacz energii na długiej rękojeści, ustawiony na najniższą moc, i kiedy znajdował jakieś miejsce zniszczenia, używał dokładnie tyle ciepła, by odpędzić zagrożenie nie uszkadzając przy tym roślin.

– Często zaczyna się to całkiem niepozornie – powiedział swojemu siostrzeńcowi. – Linia rozkopanej ziemi prowadzi do malutkiej parady małych, czerwonych owadów, a kiedy za nią pójdziesz, odkrywasz kopczyk, coś, czego zwiedzający nie zaszczyciłby nawet spojrzeniem. Ale ci z nas, którzy wiedzą, czego szukać, rozumieją, że to wylęgarnia żuków halpilan, które, jeśli zostawić je w spokoju, mogą... ach! Spójrz tutaj, chłopcze.

Czubkiem miotacza energii dźgnął granicę rzędu khemiborów z Bailemoony.

– Widzisz, Theriaxie? Tutaj?

Chłopiec potrząsnął głową. Dumafice Moal zaczynał wierzyć, że nie jest szczególnie spostrzegawczy.

Był synem jego najmłodszej siostry, urodził się w Canzilaine, leżącym u podnóża Góry. Dumafice Moal nigdy nie miał żony – całkowicie poświęcił się ogrodowi – ale pochodził z dużej rodziny. Miał braci, siostry i kuzynów rozproszonych od Bibiroon i Sikkal na dole Góry do Amblemorn, Dundilmir i kilku innych Miast Zbocza. Od czasu do czasu jakiś krewny przyjeżdżał obejrzyć ogród. Dumafice Moal lubił zabierać ich na prywatne wycieczki wcześniej rano, zanim otwierano bramy zwiedzającym, kiedy odbywał swoje poranne obchody.

Khemibory były południowym gatunkiem o jasnoniebieskich kwiatach i połyskliwych liściach w tym samym kolorze, a dla efektu posadzono je na jasnopomarańczowej glebie. Wytrenowane oko Dumafice'a Moala wychwyciło lekkie zmatowienie liści roślin, które rosły najbliżej ścieżki. Był to jasny znak, że pod nimi zagnieździły się himmisy. Wsunął miotacz energii pod najbliższy rząd i sprawdził uważnie ustawienia, by upewnić się, że jest ustawiony na najniższą moc.

– Himmisy – powiedział, wskazując palcem. – Używaliśmy na nie oprysków, ale

nigdy nie pomagały. Zamiast tego postanowiliśmy je gotować. Zobacz, jak sprawię, że grunt im się pod odnóżami zapali.

Kiedy zaczął poruszać długim prętem, nagle poczuł coś dziwnego z tyłu głowy.

Było to niezwykle. Podobne do swędzenia, ale nie całkiem. Czuł delikatne ciepło, a potem coś zupełnie niedelikatnego. Ostry, kłujący ból, jakby atakował go jakiś owad. Przesunął jednak ręką po tyle głowy i niczego nie znalazł.

Wciąż dźgał ziemię pod khemiborami miotaczem energii. Klucie wzmagalo się. Zastąpiło je pieczenie, bardzo silne i skumulowane w jednym miejscu, jakby na czaszkę padał mu promień gorącego światła i drażył, próbując przebić się do środka.

– Theriax? – powiedział, zataczając się i niemal upadając.

– Wujku? Wszystko w porządku?

Chłopiec wyciągnął rękę, by go podtrzymać. Dumafice Moal odepchnął go. Zaczynał czuć inny ból, wewnętrzny, przerażający niepokój, który mógłby określić tylko mianem bólu duszy. Miał poczucie bycia nie dość dobrym, wykonywania życiowych obowiązków zbyt słabo, poczucie, że zawiódł ogród.

Jakie to dziwne, pomyślał. Zawsze pracowałem tak ciężko...

Nie mógł jednak uciec od wstydu, wypełniającego każdy zakamarek jego ducha. Pochłonał go całkowicie, zapadał się w niego jak w głęboką, ciemną dziurę, w otchłań poczucia winy.

– Wujku? – głos chłopca dobiegał z bardzo daleka. – Wujku, chyba palisz...

– Cicho. Daj spokój.

Aż za dobrze widział, jak kiepsko wykonywał swoje obowiązki. Wygłodniali wrogowie opanowali ogród w stopniu nie dającym nadziei na naprawę. Wszędzie pełno było każdego rodzaju szkodników: śnieci, pleśni, rdzy, pomoru, stworów żujących, ssących, żrących, kopiających i gryzących. Roje much, chmury komarów, armie żuków, legiony gąsienic. W uszach ryczał mu ogłuszający łoskot miliardów małych szczęk gryzących bez ustanku. Widział ich więcej, gdziekolwiek spojrzał, a szykowały się inne: jajeczka, kokony, gniazda gotowe wypuścić miliony nowych drapieżników. To wszystko jego wina... jego... jego...

Wszystkie muszą spłonąć.

– Wujku?

Płoń! Płoń!

Dumafice Moal podkreślił poziom energii w miotaczu, po chwili zwiększył go jeszcze bardziej. Na rabacie khemiborów wykwitł blady, różowawy blask. Płoń! Ciekawe, jak

himmisy sobie z tym poradzą! Szybko przechodził od rzędu do rzędu, od rabaty do rabaty, z tarasu na taras. Z nowych kupek popiołu zaczęły unosić się spirale niebieskiego dymu. Pnie drzew czerniały od blizn po wypaleniu. Pnącza zwisały kanciastymi, splątanymi pętlami.

Przed nim wiele pracy. Jego obowiązkiem było oczyścić ogród tu i teraz. Będzie pracował cały dzień, a jeśli trzeba będzie, całą noc aż do kolejnego świtu. Jak inaczej miałby poradzić sobie z nieznośnym brzemieniem winy, które mąciło najgłębsze zakątki jego duszy?

Szedł dalej, to palił, to wysadzał. Z każdym krokiem wzbijał chmury popiołu. Poranne słońce zakrył czarny opar. W nozdrza uderzał kwaśny zapach węgla. Siostrzeniec szedł za nim, zszokowany i ogłupiały.

Ktoś wołał go z wyższego tarasu:

– Dumaficie Moal, czyś ty oszalał? Przestań! Przestań!

– Muszę – odkrzyknął. – Ogród napawa mnie wstydem. Nie wypełniłem moich obowiązków.

Wszędzie wokół latały iskry. Drzewa zakwitały jasnym płomieniem. Tu i ówdzie wielkie, płonące gałęzie, otoczone czerwony całunem, odłamywały się i spadały na niższe rośliny. Wiedział, że czyni zniszczenia w ogrodzie, ale dużo mniejsze niż te, które przyniosły owady, szkodniki i zwierzęta. To były konieczne, oczyszczające zniszczenia. Ogród można było oczyścić tylko ogniem... Tylko tak mógł zmazać swoją hańbę...

Szedł dalej, za allualie i drzewa butelkowe, głęboko pośród krzewy navindombe. Za nim unosiła się ciemna, nakrapiana czerwienią mgła z dymiących popiołów. Wycelował miotacz płomieni tu, tu i tu. W oddali łamały się drzewa. Wielkie gałęzie upadały miękko, z westchnieniem, jak drewno wypalone od środka; gałęzie ze snów, światło ze snów. Pod stopami chrzęściły zgliszcza. Popiół był gęstym, miękkim, czarnym proszkiem, który unosił się duszącymi chmurami. Niebo przybierało czerwoną barwę. Wszędzie panowało ponure zachmurzenie. Już nie czuł bólu w czaszce, nie czuł nawet poczucia winy z powodu porażki – została tylko radość z tego, co teraz robił, tryumf, że przywracał czystość temu, co stało się nieczyste, że negował negację.

Za nim słychać było wściekłe głosy.

Odwrócił się. Zobaczył zdumione twarze, wytrzeszczone oczy.

– Widzicie? – zapytał ich z dumą. – Widzicie, że teraz jest dużo lepiej?

– Coś ty zrobił, Dumaficie Moal?

Podbiegli do niego przez spopielone rabaty. Złapali za ręce. Rzucili na ziemię, związali ręce i nogi, a on cały czas protestował, że praca nie jest skończona, że wciąż jest wiele do zrobienia, że nie może spocząć, póki nie uwolni całego ogrodu od wrogów.

5

Po Górze Zamkowej i otaczających ją ziemiach zaczęła rozchodzić się wiadomość, że stary Pontifex Confalume nie żyje, Lord Prestimion udał się do Labiryntu, by objąć tamtejszy tron, a księżę Dekkeret z Normork ma zostać nowym Koronalem. Wykupowano wszelkie możliwe portrety zmarłego Pontifexa i wystawiano je publicznie, przybrane w żółć, kolor żałoby: Confalume jako młody, pełen werwy lord z jasnymi, bystrych oczyma i grzywą kasztanowych włosów, Confalume jako ukochany, szpakowaty Koronał, wreszcie Confalume – stary, królewski Pontifex ostatnich dwóch dekad. Wkrótce w powszechnej sprzedaży miały pojawić się podobizny nowego Lorda Dekkereta i one również miały być wystawiane we wszystkich oknach obok obrazów przedstawiających dawnego Lorda Prestimiona, teraz Prestimiona Pontifexa, ubranego w szkarłatno-czarne szaty, przynależne nowej funkcji.

Wszędzie szykowano się do wielkiego świętowania: festiwali, parad, pokazów pirotechnicznych, turniejów, ogólnoswiatowego święta radości. Pojawienie się nowego Koronala było dla ówczesnego Majipooru swoistą nowością.

W ciągu trzynastu tysięcy lat historii Majipooru zazwyczaj dwa lub trzy razy w życiu zwykłego człowieka umierał Pontifex i zmieniali się władcy w dwóch stolicach. W poprzednim stuleciu zmiana monarchów zdarzała się jeszcze rzadziej. Confalume był Pontifexem przez ostatnie dwadzieścia lat i Koronalem przez wcześniejsze czterdzieści trzy. Tak więc od śmierci Pontifexa Gobyrysa i nastaniu rządów zachwycającego Lorda Prankipina, który wybrał księcia Confalume'a swoim Koronalem, minęło sześćdziesiąt lat i niewielu żywych pamiętało ten dzień. Sam Prankipin, zmarły dwadzieścia lat temu, dla miliardów młodych ludzi, urodzonych za Pontyfikatu Confalume'a, był tylko imieniem.

Nowy Lord Dekkeret był słabo znany poza Zamkiem, jak to zazwyczaj bywało z nowymi Koronalami, ale wszyscy wiedzieli, że był bliskim i zaufanym współpracownikiem Lorda Prestimiona i to im wystarczyło. Lord Prestimion, podobnie jak Lord Confalume, był Koronalem kochanym przez wszystkich i panowało powszechne przekonanie, że wybrał swojego następcę mądrze i dobrze.

Wiele osób wiedziało, że Dekkeret był niskiego urodzenia, że był młodzieńcem z

Normork, który zwrócił na siebie uwagę Prestimiona kiedy na początku rządów udaremnił zamach na jego życie. Bardzo rzadko człowiek z ludu zostawał Koronalem, ale zdarzało się to co paręset lat. Wiadomo było, że Dekkeret był człowiekiem imponującej budowy i królewskiej postawy, że był silny i przystojny. Ci, którzy poznali go, gdy podróżował po świecie jako wyznaczony następca tronu odkryli, że był dobry i łagodny, miał otwarte serce i szczodłą duszę. Reszty, w tym tego, jakim będzie Koronalem, dowiedzą się wkrótce. Prestimion za swoich rządów często zjeżdżał z Góry i odwiedzał bliskie i dalekie miasta. Bardzo możliwe, że Dekkeret zamierzał robić to samo.

W mieście Ertsud Grand, w połowie wysokości Góry Zamkowej, opiekunowie Pałacu Letniego zaczęli planować wizytę Koronala w rezydencji, którą tam dla niego wzniesiono.

W tej chwili podobne plany były tylko pobożnymi życzeniami. Ertsud Grand, liczące dziewięć milionów mieszkańców i położone w pierścieniu Miast Strażniczych było przez wieki ulubioną letnią rezydencją Koronarów, ale Lord Gobyras, zasiadający na tronie dziewięćdziesiąt lat temu był ostatnim, regularnie korzystającym z pięknego budynku, który tam dla niego przeznaczono. Lord Prankipin odwiedził Pałac Letni nie więcej niż pół tuzina razy w ciągu dwudziestu lat na Górze. Lord Confalume był tu dwa razy w ciągu dwakroć dłuższych rządów. Za to Lord Prestimion, który nigdy nie odwiedził Ertsud Grand, być może w ogóle nie wiedział, że Pałac Letni istnieje.

A był to piękny pałac w pięknym mieście. Ertsud Grand zwane było Miastem Ośmiu Tysięcy Mostów, choć jego mieszkańcy zawsze powtarzali turystom, że „to oczywiście przesada. W rzeczywistości nie ma ich tu więcej niż siedemset, może osiemset”. Spotykały się tu i zlewały strumienie z trzech stron Góry, które nadawały miastu jego specyfikę, a niżej spływały już jako jedna z sześciu rzek Góry Zamkowej, Huyn.

Dzielnice Ertsud Grand połączone były siecią kanałów, po całym mieście można więc było podróżować łodzią. Wszystkie główne kanały płynęły w kierunku Rynku Głównego, który właściwie położony był nie w centrum, a we wschodniej części miasta. Tam, na brukowanym placu otoczonym wysokimi magazynami z białego kamienia, handlowano luksusowymi towarami z całego Majipooru. Pracowali tu sprzedawcy niezwykłych mięs i ryb, egzotycznych przypraw, wspaniałych futer z zimnych bagien północnego Zimroelu, zielonych pereł z archipelagu Rodamaunt i przezroczystego topazu wydobywanego w Zebergedzie, win z setki regionów, małych zwierząt i dziwnych owadów, które mieszkańcy Ertsud Grand lubili trzymać w domach i wielu, wielu innych dziwów.

Aby zachodnia część miasta miała swój centralny punkt, równie istotny co Rynek Główny w części wschodniej, starożytni założyciele Ertsud Grand zatamowali kilka kanałów,

tworząc Wielkie Jezioro. Było idealnie okrągłe, w kolorze głębokiego, szafirowego błękitu, miało dziesięć mil obwodu, a w południowym słońcu lśniło niczym zwierciadło. Wokół jego brzegów znajdowały się pałace i dworki bogatych kupców i szlachty miejskiej, a także pawilony rozrywki i obiekty sportowe. Przez cały dzień pomiędzy tymi budynkami pływały łodzie i płaskodenne barki najprzemysłniejszych konstrukcji i pomalowane na jasne kolory.

Pałac Letni, wybitne dzieło dawnego i poza tym zapomnianego Lorda Kassarna, znajdował się na dużej, sztucznej wyspie na samym środku sztucznego jeziora. Były to właściwie dwa pałace, umieszczone jeden wewnątrz drugiego. Zewnętrzny wykonany był z różowego marmuru, wewnętrzny zaś w całości z bambusa.

Pałac marmurowy był nieprzerwanym murem, w którym można było mieszkać; składał się z połączonych pawilonów o dachach wspartych na kolumnach ozdobionych złotem i lapis lazuli z mnóstwem pokoi, krużganków, sal bankietowych i dziedzińców. Pokoje gościnne, których była nieprzebrana liczba, a wszystkie przestronne i przewiewne, ozdobione były malowidłami, przedstawiającymi sceny z życia dawnych Koronałów. Dawno temu przyjeżdżali tu w lecie Koronałowie szukający odpoczynku od rutyny codziennych spraw Zamku, tu przenosili swój dwór i wydawali wielkie uczyty dla ważnych panów, szlachciców z miast Góry i dygnitarzy z dalekich stron.

Wewnątrz pierścienia zewnętrznego budynku, który zajmował cały obwód wyspy, znajdował się rozległy park, w którym żyły dzikie zwierzęta: gibizongi, plaary, semboki, dimiliony, nieśmiałe i delikatne bilantony, wdzięczne, spiralnogie gambulony, małe, włochate krefty, biegające w kółko jak ożywione kulki futra ze sztywnymi, uniesionymi ogonami i stado pięćdziesięciu białych kibrili, których czerwone ślepia płonęły w szerokich czołach jak wielkie rubiny. W samym sercu parku znajdował się właściwy Pałac Letni, będący prywatnym schronieniem Koronała.

Był zaprojektowany nader elegancko i w całości wykonany z czarnego bambusa z Sippulgar, twardego prawie jak żelazo. Tyczki miały po sześć cali średnicy, dwadzieścia stóp długości, były bogato zdobione i połączone jedwabnymi sznurami. Nigdzie nie użyto ani jednego gwoźdźdza. Dach był także wykonany z wiązek bambusa z Sippulgaru, corocznie pokrywanego czerwoną żywicą drzew grifafa, chroniącą go przez rozkładem. Podtrzymywały go wewnętrzne kolumny, zrobione ze związanych ze sobą trzech bambusowych prętów. Każdą kolumnę wieńczyły czerwone głowy smoków.

Pałac Letni stał na niewielkim wzniesieniu, ponad poziomem reszty wyspy. Dzięki temu Koronał miał widok na odległe brzegi Wielkiego Jeziora. Cały budynek zaprojektowany został tak zmyślnie, że gdyby Koronał znudził się widokiem ze swej sypialni i zażądał innego,

wystarczył jeden dzień, by go rozmontować i złożyć ponownie w inną stronę. O tej szczególnej możliwości opowiadano wszystkim, którzy mieli okazję zwiedzić Pałac Letni we współczesności: diukom i hrabiom, członkom rodzin poprzednich Koronałów, ważnym kupcom, którzy przybywali do Ertsud Grand na czele misji handlowych. Historia mówiła, że w czasach Lorda Kassarna rozbierano i składano Pałac co roku, przed przyjazdem Koronała do letniej rezydencji. Czasami na jego specjalne życzenie robiono to nawet częściej. Nikt jednak nie pamiętał ostatniego razu, kiedy to się wydarzyło.

Choć wizyty Koronałów w Pałacu Letnim stały się owych czasach rzadkie, a w ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat ustały w ogóle, władze miasta Ertsud Grand utrzymywały obie budowle, pawilon z marmuru i pałac z bambusa w ciągłej gotowości na przyjazd władcy. Utrzymywanie ich w dobrym stanie powierzono urzędnikowi, tytułowanemu Majordomusem Pałaców, zarządzającemu złożoną z dwudziestu pracowników załogą, która zamiatła korytarze, odkurzała obrazy i rzeźby, przycinała krzewy, karmiła parkowe zwierzęta, dokonywała koniecznych napraw i co tydzień zmieniała pościel we wszystkich niezliczonych pokojach.

Urząd majordomusa był dziedziczny. Przez ostatnich pięćset lat należało do rodziny Eruvni Semivinvora, krewnego pewnego sławnego burmistrza Ertsud Grand z dawnych czasów. Obecny majordomus, Gopak Semivinvor, czwarty tego imienia, zajmował to stanowisko przez niemal pół wieku i to on witał Lorda Confalume'a podczas jego drugiej wizyty w Pałacu Letnim.

Wizyta owa, trwająca cztery dni, była najważniejszym momentem życia Gopaka Semivinvora. W następnych latach wspominał ją wciąż na nowo: powitanie Koronała i jego żony, lady Roxivail, gdy wysiadali z królewskiej barki, prowadzenie ich przez marmurowy pałac zewnętrzny i park do bambusowego, wewnętrznego pałacu, otwieranie dla nich wina i podawanie pierwszego posiłku, a potem wyjście, by mogli skorzystać ze wspaniałych chwil tylko we dwoje. Plotki mówiły, że małżeństwo Koronała nie należało do udanych. Gopak Semivinvor był przekonany, że Lord Confalume i lady Roxivail przybyli do Ertsud Grand, by się pogodzić i nigdy nie przestał wierzyć, że faktycznie im się to udało, chociaż wszystko świadczyło przeciwko temu.

Pozostałe dni rządów Lorda Confalume'a i całość Lorda Prestimiona Gopak Semivinvor spędził na oczekiwaniu na kolejną wizytę władcy. Wstawał każdego ranka – majordomus mieszkał w chatce w cichym zakątku parku – i przeprowadzał inspekcję zewnętrznego i wewnętrznego pałacu, sporządzając długą listę prac, które przed przyjazdem Koronała mieli wykonać jego podwładni. Fakt, że wizyta ta nigdy nie następowała ogromnie

go rozczarowywał. Pomimo to wciąż przeprowadzał inspekcje, bambusowy dach był wciąż co roku pokrywany żywicą, wciąż zamiatano marmurowe sale zewnętrznego pałacu, a jego ściany uzupełniano zaprawą murarską. Gopak Semivinvor miał osiemdziesiąt lat. Nie zamierzał umrzeć, zanim uda mu się jeszcze raz ugościć Koronala w Pałacu Letnim w Ertsud Grand.

Kiedy dotarła do niego informacja o rychłej koronacji księcia Dekkereta, pierwszą rzeczą, którą zrobił, było poradzenie się miejscowego maga co do prawdopodobieństwa odwiedzin Koronala w Pałacu Letnim.

Jak wielu ludzi żyjących w czasach Pontifexa Prankipina i Koronala Lorda Confalume'a, Gopak Semivinvor głęboko wierzył w zdolności przepowiadaczy przyszłości. Szkoła szamanów, której najbardziej ufał, wywodziła się z Triggoin, stolicy magii Majipooru, położonej w północnym Alhanroelu za opuszczoną pustynią Valmambra. Zwali się Orędownikami Czterech Imion i w ostatnich latach zdobyli sobie rzesze zwolenników w Ertsud Grand i kilku sąsiednich miastach Góry. Gopak Semivinvor zwykł chodzić do wysokiego, nienaturalnie bladego czarownika imieniem Dobranda Thelk, który jak na przedstawiciela tej profesji był nader młody, ale jego spojrzenie było lodowato intensywne i czytało się z niego absolutne przekonanie o własnej słuszności.

– Czy Koronal, zapytał Gopak Semivinvor, przybędzie wkrótce do Pałacu Letniego?

Dobranda Thelk na chwilę zamknął swoje lśniące oczy. Gdy znów je otworzył, zdawało się, że zagłębia się głęboko w duszę Gopaka Semivinvora.

– Całkiem jasnym jest, że przybędzie – powiedział mag. – Ale zdarzy się to tylko kiedy pałac będzie uporządkowany, a wszystko zgodne z jego oczekiwaniami.

Gopak Semivinvor wiedział, że nie będzie inaczej tak długo, jak długo to on będzie zarządzał pałacem. Poczł tak nagle szczęście, że bał się, iż serce wyrwie mu się z piersi.

– Powiedz mi – powiedział, kładąc na tacce czarownika rojala, a po chwili dokładając obok pięciorojalówkę. – Co dokładnie muszę zrobić, by zapewnić Lordowi Dekkeretowi absolutną wygodę podczas wizyty w Pałacu Letnim?

Dobranda Thelk zmieszał kolorowe proszki, których używał do przepowiadania przyszłości. Zamknął na chwilę oczy i wymamrotał Imiona. Wymówił Pięć Słów. Przesiał piasek przez palce, po raz drugi wypowiedział Imiona i powiedział Trzy Słowa, których nigdy nie wolno było zapisywać. Kiedy spojrział na Gopaka Semivinvora, jego hipnotyzujące oczy były twarde jak świdry.

– Jedna rzecz jest istotna ponad wszystkie inne: musisz upewnić się, że Koronal będzie spał w odpowiednim powiązaniu z potężnymi gwiazdami, Thorusem i Xavialem.

Potrafisz odnaleźć je na niebie?

– Oczywiście. Ale skąd mam wiedzieć, jaka pozycja pałacu będzie pozostawać w odpowiednim do nich stosunku?

– Zostanie ci to objawione w snach – odparł Dobranda Thek.

– Poprzez przesłanie?

– Być może tak – powiedział mag, a po chłodzie w jego głosie Gopak Semivinvor poznał, że konsultacje się skończyły.

Gopak Semivinvor wierzył, że doświadczył przesłania od Pani Wyspy trzy razy w życiu. Były to sny, podczas których łaskawa pani przychodziła do niego i upewniała, że jego życie toczy się po właściwej ścieżce. Nie dostawał w nich żadnych konkretnych informacji, tylko ogólne poczucie ciepła i spokoju. Jednak tej nocy, zanim poszedł spać, ukląkł przy łóżku i w krótkiej modlitwie poprosił Panią o łaskę czwartego przesłania, takiego, które umożliwiłoby mu spełnienie marzenia o jak najlepszym służeniu nowemu Koronalowi.

Niedługo po tym, jak usnął, Gopak Semivinvor poczuł ciepło w czaszce, które uważał za zwiastujące bliskość przesłania. Leżał bez ruchu, zwieszony w stanie obserwacji i otwartości, których wszyscy mieszkańcy Majipooru uczyli się jako dzieci. W stanie tym umysł śpiącego był zarazem uśpiony i świadom każdej pomocy, której mógł udzielić im sen.

To przesłanie zdawało się być inne od poprzednich. Odczucia nie były szczególnie przyjemne. Poczul dotyk, niewątpliwie dotyk z zewnątrz, lecz nie był on wcale dobrotliwy. Ciśnienie wywierane na jego czaszkę było dużo większe, niż kiedykolwiek wcześniej, w pewnym sensie wręcz bolesne. Powietrze wokół jego ciała zdało się nagle lodowate i nie czuł nawet śladu błogostanu, który zazwyczaj towarzyszył kontaktowi z Panią Wyspy Snu. Mimo to utrzymywał otwartość umysłu na to, co miało nadejść, aż zalała go świadomość...

Czego?

Nieciągłości. Nierówności. Niekonsekwencji. *Zła.*

Tak, zła. Potężne poczucie, że rozpadają się zawiasy świata, spojenia kosmosu się luzują, że brama przerażenia jest otwarta i wylewa się przez nią czarna fala chaosu.

Obudził się, usiadł, objął się ramionami. Gopak Semivinvor pocił się i drżał tak straszliwie, że nie wiedział, czy nie nadeszła jego ostatnia godzina. Stopniowo jednak uspokoił się. W mózgu wciąż czuł dziwny ucisk, jakby coś naciskało od zewnątrz. Było to niepokojące, a nawet przerażające uczucie.

Minęło parę chwil, powróciła jasność rozumowania i odrobina spokoju ducha. Wraz z nimi odczuł pewność, że zrozumiał słowa wróżbity.

„Musisz upewnić się, że Koronal będzie spał w odpowiednim powiązaniu z potężnymi

gwiazdami, Thoriusem i Xavialem”. Nie ulegało wątpliwości, że obecne ustawienie bambusowego pałacu było niewłaściwe, pechowe, niepasujące do rytmu kosmosu. Doskonale. Budynek ten zaprojektowano tak, że można go było rozłożyć i zbudować ponownie wzdłuż innej osi. To właśnie trzeba uczynić. Trzeba obrócić pałac na jego fundamentach.

Fakt, że od setek lat – a może i od tysiąca – nie rozkładano pałacu, ani trochę nie zmartwił majordomusa. Cichy głosik w głowie podpowiadał mu, że być może będzie to trudniejsze, niż się spodziewa, ale został zagłuszony rykiem pragnienia, by natychmiast brać się do pracy. Powodował nim desperacki pośpiech: mag przemówił, nieprzyjemny sen na swój sposób poparł jego słowa, a teraz musi przygotować pałac zgodnie z nakazem, jaki mu przekazano i nie wolno było tracić czasu. Nie miał co do tego wątpliwości. W tym przedsięwzięciu na wątpliwości w ogóle nie było miejsca.

Chwilowo nie martwiło go również, że nie wiedział, jakie ustawienie budynku będzie lepsze od obecnego. Jasne było to, że trzeba go było przestawić. Koronał nie przyjedzie, póki to się nie stanie. Gopak Semivinvor miał powody przypuszczać, że właściwe ustawienie pałacu zostanie mu wyjawione, gdy zabierze się do pracy. Był Majordomusem Pałaców od pięćdziesięciu lat, w jego ręce powierzono opiekę nad tym wspaniałym budynkiem i obowiązek utrzymywania go w gotowości na przyjazd Koronała, można wręcz rzec, że przeznaczenie wybrało go, by wykonał to specjalne zadanie. Był pewien, że mu podoba.

Gopak Semivinvor wybiegł w noc – łagodną i ciepłą, gdyż w Ertsud Grand panowało niemal nieustające lato – i przez park ruszył w stronę głównej bramy bambusowego pałacu. Spod nóg uciekały mu nocne mibberile i thassipy, a czarnookie menagungi z łopotem wlatywały na czubki drzew. Oparł się o słup bramy budynku dysząc, w głowie kręciło mu się z wysiłku, lecz spojrzął w niebo w poszukiwaniu jasnej, czerwonej gwiazdy, Xaviala, która wyznaczała środek nieba, oś kosmosu. Thorius, jego potężny odpowiednik, leżał blisko, po lewej stronie.

Jak ocenić pozycję budynku, tę, która znajduje się we właściwym stosunku wobec Thoriusa i Xaviala?

Obrócił się, obrócił znowu, wciąż nie był pewien, obrócił się więc znowu i znów. Jego umysł chwiał się i wirował. Po chwili zaczęło mu się wydawać, że stoi nieruchomo, a całe sklepienie niebieskie obraca się dziko dookoła niego. Wschód, zachód, północ, południe – który kierunek był tym właściwym? Jeśli pałac będzie stał tak, sypialnia Koronała będzie wychodzić na rząd wielkich dworów stojący wzdłuż wschodniego brzegu jeziora, jeśli tak, będzie oglądał domy rozrywki na zachodnim brzegu. Jeśli obróci się go tak, pokoje będą wychodzić na gęsty las włochatolistych kokap, porastający południowy brzeg jeziora, zaś na

północy...

Na północy, w równej odległości pomiędzy Xaviałem i Thoriusem, jaśniała biała gwiazda, Trinatha, gwiazda czarnoksiężników, która spoczywała na niebie nad Triggoim, miastem magów.

W duszę Gopaka Semivinvora wlała się niezachwiana pewność, że to Trinatha była kluczem do tego, co Dobranda Thelk nazwał „odpowiednim powiązaniem”. Musi obrócić budynek tak, by sypialnia Koronała leżała wzdłuż linii biegnącej między Thoriusem i Xaviałem do świętej Trinathy, białej gwiazdy czarnoksiężników, gwiazdy przewodniej samego Dobrandy Thelka.

Tak. Tak. Była dokładnie północ, Godzina Koronała. Cóż mogłoby być bardziej pomysłne? Złapał ostry patyk i zaczął wyrysowywać linie w miękkim, aksamitnym trawniku, otaczającym bambusowy pałac; paskudne, brązowe linie, wskazujące dokładną pozycję, w której miał stanąć budynek. Pracował z szaleńczym pośpiechem, usiłował skończyć pracę zanim gwiazdy, odbywające swoją podróż po niebie, przesuną się w inną pozycję.

Rankiem Gopak Semivinvor wezwał wszystkich swoich podwładnych, dwudziestkę kobiet i mężczyzn, którzy od tak dawna z nim pracowali, niektórzy niemal odkąd został majordomusem.

– Natychmiast rozmontujemy budynek i przestawimy go o dziewięćdziesiąt stopni, plus minus, żeby był skierowany w tym kierunku – powiedział, wyciągając ręce równolegle wzdłuż linii, które wyrył w trawniku, by wskazywały nową pozycję pałacu.

Byli wyraźnie zaniepokojeni. Patrzyli po sobie, jakby mieli wątpliwości, czy mówi poważnie i czy przypadkiem nie oszalał.

– Chodźcie – powiedział Gopak Semivinvor, niecierpliwie klaszcząc w dłonie. – Widzicie te wzory na trawie. Te dwie długie linie oznaczają miejsce, w którym musi znaleźć się okno sypialni Koronała, kiedy skończymy – zwrócił się do swojego brygadzysty. – Kijelu Busiaku, każ komuś wbić kołki wzdłuż linii, które tu narysowałem, żeby nic się nam potem nie pomyliło. Gorwinie Dihalu, natychmiast zadbaj o to, by spleciono nowy zestaw sznurów do łączenia bambusów, ponieważ obawiam się, że te, które tu mamy, nie przetrwają demontażu. A ty, Voyne Bethafarze...

– Panie? – powiedział nieśmiało Kijel Busiak.

Gopak Semivinvor spojrzał na brygadzystę z irytacją.

– Jakież pytania?

– Panie, czy nie jest tak, że historia o możliwości demontażu i ponownego, szybkiego złożenia pałacu jest tylko mitem, legendą, historyjką, którą opowiadamy odwiedzającym, ale

sami w nią nie wierzymy?

– Nie – odpowiedział Gopak Semivinvor. – Przez wiele dekad dogłębnie studiowałem historię Pałacu Letniego i nie mam wątpliwości, że nie tylko da się to zrobić, ale że to *robiono*, wielokrotnie w ciągu wieków. Po prostu nie robiono tego ostatnio i już.

– Panie, czy masz więc jakąś instrukcję, która wyjaśniałaby, jak zabrać się do tego zadania? Bo nie ma wśród żywych nikogo, kto pamiętałby, jak to się robi.

– Nie ma żadnej instrukcji. Do czego miałyby być potrzebna? Mamy tu prostą konstrukcję z bambusów powiązanych jedwabnymi sznurami i pokrytą takim samym dachem. Rozwiązujemy sznury, rozdzielamy belki dachowe, odkładamy je na bok. Potem rozbieramy zewnętrzne ściany, kawałek po kawałku. Następnie rysujemy dokładny plan wnętrza i usuwamy ściany wewnętrzne, po czym ustawiamy je tak samo względem siebie, ale w innym kierunku. Później umieszczamy zewnętrzne ściany z powrotem w fundamentach i nakładamy dach. Nic prostszego, Kijelu Busiaku. Chcę, by natychmiast rozpoczęto prace. Nie wiadomo, kiedy odwiedzi nas Lord Dekkeret i wolałbym, żeby nie zastał na wpół ukończonego pałacu.

Kiedy zastanawiał się nad tym zadaniem, przekonywał się, że stare historie o demontażu i złożeniu pałacu w jeden dzień musiały być tylko starymi historiami. W rzeczywistości było to bardziej skomplikowane. Mogło to zająć tydzień, może dziesięć dni. Nie przewidywał jednak żadnych trudności. Jego ducha oblewało gorące podniecenie na myśl o rychłej wizycie Koronala i nie wątpił, że dziecinną igraszką będzie rozebrać pałac, zmienić jego położenie o dziewięćdziesiąt stopni i wznieść go ponownie. Nawet prowincjonalny architekt powinien sobie z tym poradzić.

Pojawiły się słabe głosy protestu, ale Gopak Semivinvor szybko je uciał. Jego wola zwyciężyła, wiedział, że tak będzie. Następnego dnia zaczęła się praca.

Niespodziewane problemy wynikły niemal natychmiast. Belki dachowe były połączone na szczycie w bardzo skomplikowany sposób. Łączenia pomiędzy nimi i podporami oraz szczytami prętów, z których zbudowano ściany były podobnie niezwyklej konstrukcji. Ich styl był archaiczny, a prócz tego sposób, w jaki wpuszczono czopy w gniazda był dziwaczny i zbijał z tropu, jakby wymyślił go ktoś, kto uparł się, że zdobędzie nagrodę za oryginalność. Robotnicy Gopaka Semivinvora nie wspominali mu często o tych problemach, ponieważ obawiali się jego gniewu i niecierpliwości, którą smagał jak biczem. Prace nad demontażem ciągnęły się drugi tydzień, potem trzeci. Gopak Semivinvor zaczął mówić, że może najlepiej będzie zwolnić wszystkich i zatrudnić młodszych, którzy może okażą się być sprytniejszymi majstrami.

Podczas rozdzielania złamały się końce wielu prętów. Nietypowe gniazda łamały się i

nie dawało się ich naprawić. Niespodziewanie zawaliła się jedna ze ścian wewnętrznych, a jej budulec się połamał. Do Sippulgaru wysłano prośbę o części zamienne.

Wreszcie jednak, po dwóch miesiącach, Pałac Letni zmieniono w stos bambusowych prętów, których spora część była tak zniszczona, że nie nadawała się do ponownego użycia. Obnażone fundamenty okazały się być także bambusowe i mocno uszkodzone przez grzyby. Wiele gniazd, w których umieszczone były końce prętów, spuchło pod wpływem wilgotnego powietrza kiedy tylko wyjęto z nich pręty i wyglądało na to, że nie da się ich ponownie złożyć.

– Co teraz mamy robić? – spytał Kijel Busiak, kiedy wraz z Gopakiem Semivinvorem przechadzali się po placu zniszczenia. – Jak mamy to poskładać, panie? Czekamy na twoje instrukcje.

Gopak Semivinvor nie miał pojęcia, co robić. Teraz było jasne, że Pałac Letni Lorda Kassarn bynajmniej nie był tak prosty, jak się wszystkim zdawało. Był wspaniałą i skomplikowaną konstrukcją, ekscentrycznym arcydziełem zapomnianego, a genialnego architekta. Rozebranie go spowodowało wielkie zniszczenia. Niewiele oryginalnych części pałacu nadawało się do wykorzystania przy odbudowie. Trzeba było od zera budować nowy pałac, idealną kopię pierwszego. Ale kto miał dość umiejętności, by tego dokonać?

Teraz zrozumiał, że pod wpływem dziwnego, nieprzewyciężonego ciśnienia z tyłu czaszki, dziwnego przesłania, które nie było przesłaniem od dobrej Pani, zniszczył Pałac Letni usiłując go rozmontować. Nie przestawi go teraz, nie można go przestawić w bardziej pomyślną stronę. Nie było już Pałacu Letniego. Gopak Semivinvor, zrozpaczony, usiadł obok stosu prętów dachowych, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Kijel Busiak, nie mogąc znaleźć słów, zostawił go samego.

Po pewnym czasie wstał. Nie odwracając się zostawił za sobą zrujnowany budynek i zaszedł aż na krawędź wyspy, gdzie stał dłuższą chwilę na brzegu Wielkiego Jeziora. Jego umysł był całkowicie pusty. Bardzo powoli wszedł do jeziora i szedł dalej naprzód, aż woda zamknęła mu się nad głową.

6

– Jeszcze raz, panienko. Podnieś palcat! Parada! Parada! Parada! – krzyczał Septach Melayn.

Keltryn odpowiadała na każde pchnięcie palcata, którym walczył wysoki mężczyzna szybką ripostą, za każdym razem przewidując kierunek, z jakiego nadchodziły i ustawiając swoją broń tam, gdzie powinna być. Nie miała złudzeń co do swojej zdolności dotrzymania pola genialnemu fehmistrzowi. Tego jednak nie wymagano ani od niej, ani od nikogo innego. Liczył się rozwój innych umiejętności, który postępował z zaskakującą prędkością. Poznawała to po sposobie, w jaki Septach Melayn się do niej uśmiechał. Widział, że była bardzo obiecująca. Co więcej, zaczynał ją lubić, choć mówiło się, że nie interesuje się kobietami bardziej niż kamień. Tak oto, odkąd wrócił z Labiryntu, czynił jej rzadki zaszczyt prowadzenia dla niej prywatnego treningu sztuki fechtunku.

Podczas jego, trwającej tygodniami, nieobecności, spowodowanej podróżą do Labiryntu na pogrzeb starego Pontifexa i uroczystości objęcia przez Prestimiona imperialnego tronu, ćwiczyła bez niego. W tym czasie Keltryn wyszukiwała uczniów z jego dawnej grupy szermierczej i prosiła każdego po kolei o wspólne treningi.

Niektórzy, niepokodzeni z nienormalną obecnością kobiety w takiej grupie, tylko ją wyśmiewali. Niektórzy zgadzali się, być może tylko z tej przyczyny, by móc spędzić trochę czasu w towarzystwie atrakcyjnej, młodej kobiety. Do tej grupy należał Polliex, przystojny syn earla Estotilaup. Był atrakcyjny – właściwie był najprzystojniejszym chłopcem, jakiego Keltryn widziała w życiu – i wiedział o tym aż za dobrze. Prośbę Keltryn, by poćwiczył z nią walkę palcatem i rapierem potraktował jak zaproszenie do miłosnego podboju.

W tej chwili jednak Keltryn nie zamierzała stać się niczyją zdobyczą, a śliczna twarz Polliexa nie była ważna, gdy zasłaniała ją maska szermiercza. Po kilku sesjach, w czasie których wielokrotnie, nawet pomimo grzecznej odmowy, prosił ją, by udała się z nim na weekend zabawy na lustrzanych zjeżdżalniach i korzystania z innych uciech miasta przyjemności, leżące trochę niżej Morpin Wysokiego, zrezygnowała z dalszych treningów z nim i udała się do Toramana Kanny z Syrinx, syna księcia.

On także był niezwykle przystojnym młodzieńcem, szczupłym i zgrabnym, o

oliwkowej skórze i długich, ciemnych włosach. Było w nim niemal kobiece piękno, dlatego też powszechnie uważano, że jest jednym z towarzyszy Septacha Melayna. Może i tak było, ale Keltryn szybko odkryła, że kobiety także mu się podobały – a przynajmniej ona.

– Powinnaś trzymać broń w ten sposób – powiedział, stojąc za nią i unosząc jej ramię. Kiedy poprawił jej pozycję, wsunął lewą rękę pod jej kurtkę i delikatnie położył na jej lewej piersi. Odepchnęła go równie nonszalanckim gestem. Być może myślał, że jako księżę ma prawo tak jej dotykać. Więcej nie trenowali razem.

Audhari ze Stoienzar nie sprawiał takich problemów. Duży, piegowaty chłopak wyglądał na serdecznego i dość normalnego, a kiedy był z nią w sali ćwiczeń, zajmował się fechtunkiem, a nie flirtami. Keltryn już wiedziała, że był najlepszy w grupie. Teraz, gdy spotykali się codziennie, koncentrowała się na nauczaniu się od niego, jak opanować sztukę Septacha Melayna z dzieleniem każdej chwili na kawałki, a ich na jeszcze mniejsze fragmenty, aż czas zwalniał i można było wkroczyć *pomiędzy* chwile, i odpowiadać na, a nawet przewidywać ruchy przeciwnika. Audhari, ponieważ nie był tak niesamowicie doskonałym fechtownikiem jak Septach Melayn, przez same niedoskonałości w swojej technice pozwolił jej na zgłębienie tej metody.

Kiedy Septach Melayn powrócił z Labiryntu, Keltryn była prawie tak dobra jak Audhari i lepsza do reszty grupy. Septach Melayn zauważył to od razu przy pierwszej lekcji i kiedy przyszła do niego z nieśmiałą prośbą o prywatne lekcje, zgodził się bez wahania.

Spotykali się co trzy dni na godzinę. Był cierpliwy, życzliwy, tolerował błędy, które oczywiście się jej zdarzały.

– Spójrz – mówił. – Rób tak. Patrz wysoko, uderzaj nisko, albo odwrotnie. Odczytuję twoje zamiary. Za wiele zdradasz oczami.

Ich ostrza spotkały się. Z łatwością prześlizgnął się obok jej zastawy i lekko dotknął obojczyka. Gdyby walczyli naprawdę, umierałaby pięć razy na minutę. Ani razu nie udało się jej przełamać jego zasłon. Nie liczyła na to jednak. Był absolutnym mistrzem. Nikt nigdy nie mógł go trafić.

– Hej! – krzyknął. – Patrz! Patrz! Patrz! *Hop!*

Pracowała nad zatrzymaniem czasu, próbowała rozbić jego miękkie ruchy w serię oddzielnych skoków i wejść w przerwę między kawałkami czasu, by wreszcie trafić go końcem ostrza i prawie jej się udało. Zawsze się jej wymykał i miał niesamowitą umiejętność kontratakowania jakby z dwóch stron naraz, a przed tym nie miała jak się bronić.

Kochała z nim ćwiczyć. Kochała jego samego, w sposób, który nie miał nic wspólnego z płciowością. Miała siedemnaście lat, a on ile? Pięćdziesiąt? Pięćdziesiąt pięć? W

każdym razie był stary, bardzo stary, choć wciąż zachwycający, elegancki i bardzo przystojny. Wszyscy jednak mówili, że nie interesował się kobietami. Przynajmniej nie w *ten* sposób, bo lubił się z nimi przyjaźnić i często widywano go w ich towarzystwie. Keltryn to pasowało. W tym momencie swego życia od mężczyzn chciała tylko przyjaźni, niczego więcej. A Septach Melayn był wspaniałym przyjacielem.

Był czarujący, zabawny, dowcipny i optymistyczny. Był mądry – czyż to nie jego Prestimion wybrał na Wysokiego Doradcę Królestwa? Mówiło się, że jest znawcą win, wiedział wiele o muzyce, poezji i malarstwie i nikt na Zamku, nawet Koronal, nie posiadał wspanialszej garderoby. I oczywiście był najlepszym fechtmistrem na świecie. Nawet ci, którzy uważali fechtunek za bezsensowną zabawę podziwiali go. Podziwiał się ludzi, którzy są w czymś lepsi od wszystkich, niezależnie od tego, czym to „coś” jest.

Poza tym Septach Melayn był uprzejmy i dobry, lubiany przez wszystkich, tak skromny, jak pozwalały mu na to jego wybitne osiągnięcia i słynął z oddania swemu przyjacielowi Koronalowi. Był przykładem dla wszystkich, najszcześliwszym i najbardziej godnym zazdrości z ludzi. Kiedy Keltryn poznała go lepiej, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma w nim, gdzieś w głębi, smutku, który bardzo stara się ukryć. Nie było wątpliwości, że starzenie się napawało go obrzydzeniem, gdyż był kiedyś wybitnym sportowcem i zjawiskowo pięknym mężczyzną. Może w głębi duszy był samotny. A może marzył o tym, by gdzieś pośród piętnastu miliardów mieszkańców planety znalazł się ktoś, kto dorównałby mu w pojedynku.

W trzecim tygodniu prywatnych lekcji Septach Melayn gwałtownie zdjął maskę po tym, jak wyjątkowo dobrze poradziła sobie z serią wymian i, patrząc na nią z wysoka, powiedział:

– To było całkiem udane, panienko. Nigdy nie widziałem nikogo, kto uczyłby się równie szybko, co ty. Szkoda, że tak niedługo będziemy musieli zakończyć te lekcje.

Nie bolałoby bardziej, gdyby chłasnął ją w twarz rapierem.

– Jak to? – zapytała przerażona.

– Pontifex wkrótce przybędzie na Zamek na ceremonię koronacyjną Lorda Dekkereta, a potem zaczną się zmiany w rządzie. Lord Dekkeret wybierze własnego Wysokiego Doradcę. Zdaje mi się, że będzie to brat Prestimiona, Teotas. Co się tyczy mnie, zostałem poproszony, bym pozostał w służbie Prestimiona, teraz jako Wysoki Rzecznik Pontifexa. Co oczywiście oznacza, że opuszczę Zamek i zamieszkać w Labiryncie.

Keltryn ostro wciągnęła powietrze.

– Labirynt? Jakie to okropne, Septachu Melaynie!

Zgrabnie wzruszył ramionami i powiedział:

– Wcale nie tak złe, jak się mówi. Są tam przyzwoici krawcy i niezłe restauracje. Prestimion nie zamierza być jednym z tych Pontifexów, którzy chowają się na samym dnie i do końca życia nie wychodzą, by obejrzeć słońce. Z tego, co mówi, jego dwór będzie sporo podróżował. Spodziewam się, że będzie pływał w górę i w dół Glayge częściej niż jakikolwiek inny Pontifex. Będzie też robił dalsze wyprawy. Ale ja będę z nim tam, panienko, a ty tutaj...

– Tak. Rozumiem.

Zrobił maleńką pauzę.

– Pewnie nie myślałaś, by przenieść się do Labiryntu? W takim przypadku oczywiście kontynuowalibyśmy nasze lekcje.

Keltryn szeroko otworzyła oczy. O czym on mówił?

– Moi rodzice wysłali mnie na Zamek, bym poszerzała moje wykształcenie, ekscelencjo – odpowiedziała niemal szeptem. – Nigdy raczej nie wyobrażali sobie... że pojedę... że mogłabym pojechać *tam*...

– No tak. Zamek to światło i radość, a Labirynt, cóż, jest inny. Młodzi panowie i panie powinni mieszkać tutaj. Wiem o tym.

Zdawał się być dziwnie zakłopotany. Zawsze widywała go wyłącznie w doskonałej pozie. Teraz ruszał się nerwowo, szarpał swoją dokładnie przystrzyżoną bródkę, jego jasnyniebieskie oczy unikały jej spojrzenia.

Nie mógł jej fizycznie pożądać. Wiedziała o tym. Ale widać było wyraźnie, że nie chce jej zostawić, kiedy pojedzie za Prestimionem do podziemnej stolicy. Chciał kontynuować ich lekcje. Czy to dlatego, że była tak dobrym uczniem? A może cenił sobie ich niespodziewaną przyjaźń? Jest samotny, pomyślała. Boi się, że będzie za nią tęsknić. Była zdumiona myślą, że Wysoki Doradca Septach Melayn może żywić wobec niej takie uczucia.

Nie mogła pojechać z nim do Labiryntu. Nie pojedzie, nie może, nie powinna. Jej życie było tu, na Zamku, przynajmniej na razie, a potem pewnie wróci do rodziny, do Sipermit, wyjdzie za kogoś za mąż i... cóż, dalej nie umiała sięgnąć myślami. Ale Labirynt nie pasował do jej wizji przyszłości.

– Może będę mogła czasem przyjechać z wizytą – powiedziała. – Żeby odświeżyć lekcje.

– Może tak – powiedział Septach Melayn i skończyli temat.

Jej siostra, Fulkari, czekała na nią w sali wypoczynkowej w części zachodniego skrzydła

Zamku zwanej Arkadą Setiphona, gdzie mieszkali obydwie i ich brat, Fulkarno. Fulkari niemal codziennie pływała w basenie. Keltryn zazwyczaj przyłączała się do niej po lekcji fechtunku.

To był wspaniały basen, wielki, owalny, wykonany z różowego porfiru wykładanego jasnym malachitem we wzór rozbłysku gwiazd, biegnący wzdłuż ścian tuż pod powierzchnią wody. Sama woda, ciepła i pachnąca cynamonem, była doprowadzana prosto z podziemnego źródła bijącego głęboko pod powierzchnią Góry, miała blad różowy odcień i przypominała wino. Podobno ta część Zamku była apartamentami gościnnymi dla przybyszów z odległych światów za rządów jakiegoś dawno zapomnianego Koronała, w czasach, kiedy handel międzygwiazdny był bardziej popularny niż stał się później, a to był jej sektor rekreacyjny. Służył teraz królewskim gościom z bliższych okolic.

Kiedy przyszła Keltryn, poza Fulkari przy basenie nie było nikogo. Pływała, szybko i regularnie uderzając wodę, niezmordowanie, z jednego końca basenu na drugi, odwracała się i zaczynała kolejną długość. Keltryn stała na brzegu basenu i przez chwilę się jej przyglądała, podziwiała gibkość ciała siostry i perfekcję jej ruchów. Nawet teraz, w wieku siedemnastu lat, Keltryn wciąż postrzegała Fulkari jako kobietę, a siebie jako niezgrabną dziewczynkę. Dzielące je siedem lat wydawało się olbrzymią przepaścią. Keltryn zazdrośnie patrzyła na pełne biodra Fulkari, większe piersi, wszystkie te cechy, które uważała za wyznaczniki doskonalszej kobiecości siostry.

– Nie wchodzisz? – zawołała Fulkari.

Keltryn zdjęła strój szermierczy, rzuciła go na bok i wskoczyła do basenu obok siostry. Woda była jedwabista i kojąca. Przez chwilę pływały koło siebie bez słowa.

Kiedy zmęczyły się pływaniem, wypłynęły na powierzchnię i unosiły się na niej.

– Co cię trapi? – zapytała Fulkari. – Jesteś dziś bardzo cicha. Kiepsko radziłaś sobie na lekcji fechtunku, tak?

– Wręcz przeciwnie.

– Więc o co chodzi?

Keltryn odpowiedziała urażonym tonem.

– Septach Melayn powiedział mi, że wyprowadza się do Labiryntu. Niedługo odbędzie się koronacja, a potem zostanie rzecznikiem Prestimiona.

– Zdaje się, że to zakończy twoją karierę szermierczą – oświadczyła Fulkari bez współczucia.

– Tak, jeśli tu zostanę. Ale zaproponował mi przeprowadzkę do Labiryntu, żebyśmy mogli kontynuować lekcje.

– Ach tak! – zawołała Fulkari ze śmiechem. – Wyprowadzić się do Labiryntu! Ty! Może jeszcze ci się oświadczył?

– Nie wygłupiaj się, Fulkari.

– Wiesz, że tego nie zrobi.

Keltryn poczuła wzbierający gniew. Nie było powodu, żeby Fulkari była tak okrutna.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Chciałam się tylko upewnić, że nie masz żadnych dziwnych myśli na jego temat.

– Zapewniam cię, że nigdy nie myślałam o zostaniu żoną Septacha Melayna. Jestem też pewna, że on nigdy nie myślał o naszym ślubie. Nie, Fulkari, po prostu chcę, żeby dalej mnie uczył. Ale oczywiście nie wyniosę się do Labiryntu.

– Co za ulga – Fulkari wygramoliła się z basenu. Keltryn po chwili zrobiła to samo. Fulkari złączyła ręce za plecami, wygięła w tył i przeciągnęła się zmysłowo, jak wielki kot. Odezwała się z ociąganiem:

– I tak nigdy nie rozumiałam, o co ci chodzi z tymi mieczami. Jaki sens ma bycie fehmistrzem? A już szczególnie fehmistrzynią?

– A jaki sens ma bycie damą dworu? – odparowała Keltryn. – Przynajmniej fehmistrz umie używać czegoś więcej, niż tylko języka.

– Może i tak, ale to bezużyteczna umiejętność. Cóż, spodziewam się, że kiedyś z tego wyrośniesz. Niech tylko spodoba ci się jakiś książę i przestaniemy słuchać o tych twoich rapierach i palcatakach.

– Na pewno masz rację – powiedziała Keltryn kwaśno i zrobiła minę. Skoczyła na nogi, pobiegła na drugi koniec basenu i zanurkowała, skacząc tak płasko, że pieczenie od uderzenia w wodę przebiegło boleśnie po jej brzuchu i piersiach. Płynęła krótkimi, ostrymi, wściekłymi posunięciami z powrotem do miejsca, gdzie siedziała Fulkari i wystawiła głowę z wody.

– A czy ten twój Koronal załatwi nam dobre miejsca na ceremonii koronacyjnej? – zapytała, szczerząc zęby w złośliwym uśmiechu.

– *Mój Koronal? Gdzie on niby jest moim Koronalem?*

– Nie zgrywaj niewiniątka, Fulkari.

– Książę Dekkeret – oświadczyła chłodno – a raczej Lord Dekkeret i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. Tak jak ty i Septach Melayn, Keltryn.

Keltryn wyszła z basenu i stanęła obok siostry, kapiąc na nią wodą.

– Nie jesteśmy zupełnie takimi samymi przyjaciółmi jak ty i Dekkeret.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Robisz *to* z nim, prawda?

Na policzki Fulkari wystąpiły rumieńce, ale minęła tylko chwilka, zanim odpowiedziała.

– No, tak. Oczywiście.

– Więc ty i on jesteście...

– Tylko przyjaciółmi. Niczym więcej. Przyjaciółmi.

– Nie zamierzasz za niego wyjść, Fulkari?

– Wiesz, to naprawdę nie twoja sprawa.

– Ale zamierzasz? Zamierzasz? Żona Koronała? Królowa świata? Oczywiście, że tak! Byłabyś głupia, gdybyś odmówiła! A nie odmówisz, bo głupia nie jesteś. Nie jesteś głupia, prawda?

– Proszę cię, Keltryn...

– Jestem twoją siostrą. Mam prawo wiedzieć.

– Przestań! Przestań!

Fulkari gwałtownie wstała, złapała ręcznik, zarzuciła go sobie na ramiona, jakby czuła potrzebę okrycia się czymś, nawet tylko symbolicznie i zaczęła wściekle chodzić w kółko. Była bardzo zła i zmieszana. Keltryn nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała siostrę w takim stanie.

– Nie chciałam cię zdenerwować – powiedziała, starając się brzmieć pojednawczo. – Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie. Nie wydało mi się niewłaściwe zapytać cię, czy zamierzasz wyjść za człowieka, którego niewątpliwie kochasz. Ale jeśli tak ciężko ci o tym mówić, przestaniemy. W porządku?

Fulkari rzuciła ręcznik i podeszła do siostry. Znowu usiadła koło niej. Burza minęła. Po chwili Keltryn odezwała się głosem jasnym od ciekawości.

– Jak to jest, Fulkari?

– Z nim?

– Z kimkolwiek. Wiesz, że sama nie mam o tym pojęcia. Nigdy nie...

– Nie! – krzyknęła Fulkari, szczerze zdumiona. – Mówisz poważnie? Nigdy? *Wcale?*

– Nie. Nigdy.

Zdawało się, że Fulkari z trudem w to wierzy. Keltryn myślała, że to całkiem niewinne wyznanie, ale teraz żałowała, że nie może cofnąć swoich słów. Czuła, że cała się rumieni. Wstydziła się swojej niewinności, nagości w towarzystwie siostry, swoich chudych ud, pośladków płaskich jak u chłopca, niepozornych, sterczących piersi. Siedząca obok Fulkari wyglądała jak bogini kobiecości.

Jednak jej ton był delikatny, czuły i łagodny.

– Przyznam, że naprawdę mnie zaskoczyłaś. Ktoś tak otwarty i żywy jak ty... Chodzący na lekcje fechtunku z bandą chłopców... Myślałam, że do tej pory byłaś już z dwoma, trzema, może więcej...

Keltryn potrząsnęła głową.

– Nie. Z nikim. Zupełnie z nikim.

– A nie sądzisz, że to już pora? – zapytała Fulkari, puszczać do niej oko.

– Mam tylko siedemnaście lat.

– Ja za pierwszym razem miałam szesnaście. I myślałam, że późno zaczynam.

– Szesnaście! No proszę – Keltryn potrząsnęła głową, zrzucając wodę z wilgotnych, rudozłotych loków. – Zawsze byliśmy różne. Założę się, że jestem większą chłopczycą, niż ty kiedykolwiek byłaś – pochyliła się do Fulkari i zapytała cicho. – Kto to był?

– Madjegau.

– Madjegau? – Keltryn wydała z siebie tak szydery okrzyk, że aż zasłoniła usta dłonią. – Ale... on był takim matołkiem, Fulkari!

– Oczywiście. Ale wiesz, oni mogą być matołkami i mimo to pociągać. Szczególnie gdy ma się szesnaście lat.

– Muszę wyznać, że nigdy nie czułam pociągu do matołków.

– Nie zrozumiesz. To kwestia hormonów. Ja miałam szesnaście lat i byłam gotowa, a Madjegau był wysoki, przystojny i znalazł się we właściwym miejscu i czasie, i... no...

– No tak. Przyznaję, że nie rozumiem tego pociągu. Czy to boli, jak pierwszy raz w ciebie wchodzi?

– Odrobinę. To nieważne. Skupiasz się na czym innym. Zobaczysz, Keltryn. Kiedyś, w niedalekiej przyszłości...

Teraz obie chichotały, siostry i przyjaciółki. Wszelkie niesnaski zniknęły.

– A po Madjegau było wielu innych? Przed Dekkeretem?

– Było... kilku. – Fulkari niepewnie spojrzała na siostrę. – Naprawdę nie wiem, czy powinnyśmy o tym rozmawiać.

– Możesz mi powiedzieć. Jestem twoją siostrą. Czemu miałabyś coś przede mną ukrywać? No dawaj. Kto jeszcze, Fulkari?

– Kandrigo. Pewnie go pamiętasz. I Jengan Biru.

– To trzech! I Dekkeret.

– Nie wspomniałam jeszcze o Velimirze.

– Czterech! Wstydu nie masz, Fulkari! Jasne, wiedziałam, że jacyś na pewno byli. Ale

czterech... – rzuciła Fulkari szybkie, ciekawskie spojrzenie. – Nie było ich więcej, prawda?

– Nie wierzę, że ci to opowiadam. Ale nie, Keltryn, innych nie było. Czterech kochanków. To nie tak wielu jak na pięć lat.

– I Dekkeret.

– I Dekkeret.

Keltryn znowu pochyliła się do Fulkari i spojrzała jej głęboko w oczy.

– On jest najlepszy, prawda? Lepszy niż pozostali razem wzięci. Wiem, że tak. Znaczący, nie *wiem*, ale myślę... jestem prawie pewna...

– Wystarczy, Keltryn. To absolutnie nie jest temat, który zamierzam omawiać.

– Nie musisz. Czytam odpowiedź z twojej twarzy. Jest wspaniały, jestem tego pewna. A teraz jest Koronalem. A ty zostaniesz królową świata. Och, Fulkari... Tak się cieszę! Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo...

– Wystarczy, Keltryn – Fulkari wstała jednym szybkim, gniewnym ruchem i zaczęła zbierać ubrania. Zimno, z irytacją, powiedziała:

– Chyba pora, żebyśmy poszły.

Keltryn zrozumiała, że uderzyła w czuły punkt. Coś było nie tak, i to bardzo. Nie mogła pozwolić na takie ucięcie tematu.

– Nie zamierzasz go poślubić, Fulkari?

Lodowata cisza. Po chwili:

– Nie.

– Nie poprosił cię? Chce kogoś innego?

– Nie. Na oba pytania.

– Poprosił, a ty mu odmówiłaś? – powiedziała Keltryn z niedowierzaniem. – Dlaczego, Fulkari? Czemu? Nie kochasz go? Jest dla ciebie za stary? A może ty masz kogoś innego? Nie mogę przestać, Fulkari. Wiem, że ci to przeszkadza. Ale nie rozumiem, jak możesz...

Ku wielkiemu zdumieniu Keltryn, Fulkari nagle wyglądała na bliską łez. Próbowała to ukryć, odwróciła się szybko, stanęła twarzą do ściany i z furią przerzucała ubrania. Jednak Keltryn widziała, jak drżą jej ramiona, jakby z trudem tylko powstrzymywała łkanie.

Fulkari przemówiła ciemnym, wypranym z emocji głosem:

– Keltryn, *kocham* Dekkereta. Chcę za niego wyjść. Ale nie chcę wychodzić za Lorda Dekkereta.

Keltryn nie zrozumiała.

– Ale... co...

Fulkari obróciła się do niej.

– Czy masz pojęcie, co oznacza bycie żoną Koronała? Niekończąca się praca, obowiązki, oficjalne kolacje, przemowy! Powinnaś zobaczyć plan dnia lady Varaile. To koszmar. Nie chcę brać w tym udziału. Może jestem głupia, może jestem płytką i niemądra, ale nie umiem się zmienić. Dla mnie, ślub z Koronałem jest jak dobrowolne pójście do więzienia.

Keltryn gapiła się na nią. W głosie Fulkari było prawdziwe cierpienie, co to tego nie było wątpliwości. Poczowała przyływ współczucia, ale zaraz po nim, niemal natychmiast, przysła irytacja, gniew, nawet oburzenie.

Zawsze myślała, że jest dzieckiem, a Fulkari dorosłą kobietą, ale nagle wszystko się odwróciło. W wieku dwudziestu czterech lat Fulkari wciąż chyba myślała, że jest małą dziewczynką. Ale czy uważała, że będzie nią do końca życia? Czy nie chciała niczego więcej poza przejażdżkami po łąkach, flirtowaniem z przystojnymi mężczyznami i czasem kochaniem się z nimi?

Keltryn wiedziała, że lepiej będzie nie naciskać na siostrę w tej kwestii. Mimo to, nie mogła powstrzymać naporu słów.

– Wybacz, że to powiem, Fulkari. Ale jestem zdumiona, że mi to mówisz. Jesteś zakochana w najbardziej pożądanym i najważniejszym mężczyźnie na świecie, który kocha cię i chce cię za żonę. On jednak będzie Koronałem, a ty twierdzisz, że bycie żoną Koronała to za ciężka praca? Muszę ci więc powiedzieć, że jesteś głupia, Fulkari, tak głupia, jak nikt wcześniej. Przykro mi, jeśli cię to boli, ale to prawda. Głupia. I powiem ci coś jeszcze: jeśli nie chcesz wyjść za Dekkereta, ja to zrobię. Jeśli tylko kiedyś mnie zauważy. Mogę przytyć dziesięć czy piętnaście funtów, żeby wyglądać jak ty, nauczę się robić to, co robią kobiety i mężczyźni i wtedy...

– Gadasz bzdury – powiedziała Fulkari zimno.

– Tak, wiem.

– Więc przestań! Przestań! Przestań! – teraz Fulkari naprawdę płakała. – Och, Keltryn... Keltryn...

– Fulkari...

Keltryn rzuciła się do niej. Przytuliła. Poczowała, jak jej własne łzy płyną po policzkach.

7

– Jego lordowska mość Gaviral uprzejmie uprasza twojej obecności w pałacu, hrabio Mandralisco – powiedział Jacomin Halefice.

Mandralisca podniósł wzrok.

– Tak to ujął, Jacominie? Uprzejmie uprasza?

Halefice uśmiechnął się na może pół sekundy.

– Forma jest moja, wasza miłość. Uznałem, że tak zabrzmiałoby bardziej dwornie.

– Tak. Pewnie tak pomyślałeś. To wcale nie przypominało stylu Gavirala. Cóż, powiedz mu, że przyjdę za pięć minut. Nie, może lepiej za dziesięć.

Niech Gaviral uprzejmie zaczeka. Mandralisca spojrzął na hełm Barjazida, leżący przed nim na biurku – małą, błyszczącą kupkę drutu. Bawił się nim całe popołudnie, zakładał i zdejmował, wysyłał umysł w świat, sprawdzał moc tego urządzenia, próbował dowiedzieć się, co jeszcze może osiągnąć, a teraz potrzebował chwili na podsumowanie tego, co odkrył.

Na razie miał nad nim bardzo słabą kontrolę. Nie umiał skierować go w konkretny rejon świata, ani nie potrafił nawiązać kontaktu z określoną osobą. Barjazid parokrotnie zapewniał go, że znajdą rozwiązanie kwestii kierunku. Skierowanie mocy hełmu przeciwko konkretnej osobie będzie trudniejszym zadaniem, ale Barjazid najwyraźniej sądził, że i to jest możliwe. Na pewno jedno i drugie dało się zrobić przy użyciu wcześniejszych modeli, takich, jakich użył Prestimion do uderzenia i pokonania brata Barjazida, Venghenara. Nowszy miał większy zasięg i działał delikatniej – był rapierem, nie szablą, mógł nie tylko zadać potężne obrażenia, ale również delikatnie odkształcić umysł, którego dotknął – ale stracił na precyzji.

Barjazid mówił, że na razie dobrze będzie, jeśli Mandralisca będzie codziennie ćwiczył korzystanie z hełmu, by się do niego przyzwyczaić i wypracować umysłową elastyczność, potrzebną do znoszenia obciążeń, jakie dotykały jego użytkownika. Tak robił. Codziennie odwiedzał przypadkowych obywateli Majipooru, wślizgiwał się do ich umysłów i łaskotał dusze drobnymi, przykrymi sugestiami. Ciekawie było obserwować ich wpływ nawet na dobrze chronione umysły.

Odkrył, że można było wejść niemal w każdego, kogo sobie wybrał, choć śpiące

umysły były dużo bardziej podatne. Potrafił złamać zabezpieczenia duszy kilkoma dobrze wycelowanymi pchnięciami, podobnie jak robił to w czasach pojedynków na kije, kiedy jego zręczność ruchów i wybitny refleks przynosiły mu kolejne zwycięstwa w turniejach i, co znacznie więcej warte, dały mu aprobatę Dantiryi Sambaila. Korzystanie z hełmu było bardzo podobne. Podczas turnieju nie używało się kija jak pały, trzeba było nim zmylić i ogłupić przeciwnika, otoczyć go szybkimi jak błyskawica ruchami giętkiego pręta z drewna nocokwiatu tak, że otwierał się na ostateczny atak. Mandralisca odkrył, że w tym wypadku również najlepiej było podkopać poczucie sensu i bezpieczeństwa ofiary kilkoma dźgnięciami i pchnięciami, a potem pozwolić jej, by sama dokończyła procesu zniszczenia. Ogrodnik w parku Lorda Havilbove'a, majordomus bambusowego pałacu w Ertsud Grand, bezbronny opiekun kalendarza w wiosce Hjortów i wszyscy inni... jakie to było proste, a jakie przyjemne!

Choćby dzisiaj...

Ale jego lordowska mość Gaviral uprzejmie upraszał jego obecności w pałacu, przypomniał sobie Mandralisca. Nie można było kazać Lordom Zimroelu czekać zbyt długo, bo robili się rozdrażnieni. Wsunął hełm do sakiewki na biodrze, w której trzymał go zawsze, gdy z niego nie korzystał i ruszył ścieżką do pałacu Gavirala na szczycie wzgórza.

Pałace Pięciu Lordów wyglądały imponująco z zewnątrz, lecz ich wnętrza zdradzały nie tylko pośpiech, z jakim założono całą tę placówkę, ale i brak smaku braci. Architekt – Ghayrog z Dulom, zwany Hesimaan Thrax – zaprojektował je tak, by wzbudzały podziw w każdym, kto zbliżyć się do nich będzie z dołu. Każdy z pięciu budynków był ogromną kopułą z gładkich i idealnie dopasowanych płytek, szarych z czerwonym refleksem i wznosił się na imponującą wysokość. Na ich szczytach znajdowały się czerwone półksiężyce, symbole klanu Sambailidów. W środku jednak mieściły się nagie, dudniące echem sale o szorstkich, niewykończonych ścianach, umeblowane niepasującymi do siebie sprzętami.

Dom Gavirala był z tej nieciekawej grupy najlepszy. Jego główna sala była olbrzymim pomieszczeniem, które człowiek wielki, jak Confalume, mógłby wypełnić sobą i dodać mu blasku swoją charyzmą – Confalume nigdy nie wyglądał nie na miejscu w ogromnej sali tronowej, którą sobie wybudował – ale człowieczek tak mały jak Gaviral sprawiał w niej wrażenie jeszcze mniejszego. Był we własnej wielkiej sali niczym nieważny drobiazg, jak pospiesznie dodany przedmiot.

Ponieważ był najstarszym synem Gaviudara, brata Dantiryi Sambaila, miał prawo pierwszeństwa wyboru przy podziale bogactw, które niegdyś ozdabiały majestatyczny pałac prokuratora w Ni-moya. To jemu przypadły najlepsze rzeźby i draperie, dywany ze skór

haigusów i stitmojów, dziwaczne figurki z kości zwierzęcych, przywiezione przez Dantiryę Sambaila z podróży na mroźne bagna Khyntoru w północnym Zimroelu. Wszystkie te skarby przez lata znosiły nie najlepsze traktowanie, szczególnie w okresie po śmierci Dantiryi Sambaila, kiedy wielki jak góra, wiecznie pijany Gaviundar mieszkał w prokuratorским pałacu. Wiele najwspanialszych przedmiotów było poobijanych, obtłuczonych i poplamionych, oprawy porozpadały się, na delikatnych, niepowtarzalnych dziełach sztuki pojawiły się pęknięcia. Teraz, kiedy przeszły pod opiekę Gavirala, wystawione były niedbale, wręcz przypadkowo; rozrzucone tu i tam po rozbrzmiewających echem, nieproporcjonalnie dużych salach jak zapomniane zabawki obojętnego dziecka.

Gaviral siedział w tym bałaganie na szerokim, podobnym do tronu fotelu, który wyglądał, jakby zaprojektowano go dla jednego z jego braci, a wszyscy byli od niego dużo więksi. U jego stóp siedziało kilka z jego kobiet. Cała piątka Sambailidów stworzyła sobie haremy wbrew wszelkim zwyczajom i przyzwoitości. Gaviral trzymał w dłoni butelkę wina. W porównaniu z braćmi był wzorem trzeźwości i uprzejmości, ale i tak, jak wszyscy z rodziny, pił dużo.

Za lewym ramieniem Gavirala stał drugi brat. Był to jego lordowska mość Gavdat, o zwisających policzkach, pulchny, niewysłowienie głupi. Uwielbiał bawić się czarodziejstwem i wróżbiarstwem. Tego dnia ubrany był idiotycznie, na modłę geomantów z Miasta Wysokiego Tidias na dalekiej Górze Zamkowej: miał wysoki, mosiężny hełm, bogatą, brokatową szatę i pelerynę pokrytą skomplikowanymi wzorami. Mandralisca nie pamiętał, kiedy ostatnio widział coś równie niedorzecznego.

Zasalutował oficjalnie.

– Milordzie Gaviralu. I milordzie Gavdacie.

Gaviral wyciągnął przed siebie rękę z butelką.

– Napijesz się wina, Mandralisco?

Przez cały ten czas nie nauczyli się, że nienawidzi wina. Mimo to odmówił grzecznie, dziękując. Tym ludziom nie warto było tego tłumaczyć. Gaviral za to pociągnął solidny łyk i, z uprzejmością, której Mandralisca się po nim nie spodziewał – podał butelkę swojemu niezdarnemu, nieokrzesanemu bratu. Gavdat odchylił głowę do tyłu tak daleko, że Mandralisca był zdumiony, że nie spadł mu hełm, niemal całkowicie opróżnił butelkę i leniwie rzucił ją na bok, gdzie wino rozlało się na smętne resztki czegoś, co kiedyś było olśniewająco białą skórą stitmoja.

– No dobrze – powiedział wreszcie Gaviral. Łypał oczkami na boki w ten swój charakterystyczny sposób, który tak upodabniał go do małego gryzonia. Zamachał papierami,

które gniótl w ręku. – Słyszałeś wieści z Labiryntu, Mandralisco?

– Że Pontifex jest ciężko chory po udarze, milordzie?

– Że Pontifex jest martwy – powiedział Gaviral. – Pierwszy udar nie był śmiertelny, ale nastąpił drugi. Zmarł natychmiast, tak twierdzą raporty, które dotarły do nas z pewnym opóźnieniem. Prestimion już zajął jego miejsce.

– A Dekkeret jest nowym Koronalem?

– Wkrótce odbędzie się koronacja – oświadczył Gavdat, intonując wyrazy tak, jakby przekazywał wiadomość od niewidzialnego ducha. – Zbadałem jego gwiazdy. Czekają go krótkie i nieszczęśliwe rządy.

Mandralisca czekał. Te uwagi nie wymagały komentarza.

– Być może – powiedział jego lordowska mość Gaviral, przeczesując palcami rzednące, rudawe włosy – to sprzyjający moment, by ogłosić niepodległość Zimroelu pod naszym panowaniem. Potężny Confalume odszedł, Prestimion jest zajęty ustanawianiem swojej administracji w Labiryncie, władzę na Zamku przejmuje niewypróbowany, nowy człowiek... Co ty na to, Mandralisco? Pakujemy się, wracamy do Ni-moya i ogłaszamy, że zachodni kontynent dość długo już cierpiał jarzmo Alhanroelu? Postawimy ich przed faktem dokonanym, bum! i nie będą mieli jak protestować.

Zanim Mandralisca miał możliwość odpowiedzieć, z zewnątrz dobiegł głośny brzęk i łomot, a później ochryple wrzaski. Mandralisca domyślał się, że hałas ten zwiastował przybycie głośnego, podobnego do zwierzęcia Lorda Gaviniusa, jednak ku jego zaskoczeniu przybyszem okazał się być potężny, ciężki Gavahaud, który miał się za wzór elegancji i wdzięku. Powitał tę przerwę z radością, bo dawała mu szansę na wymyślenie dyplomatycznej odpowiedzi. Gavahaud wszedł, mamrocząc o napotkaniu niespodziewanych przeszkód w sali rzeźb. Po chwili zobaczył Mandraliskę, zerknął na Gavirala i spytał:

– No i? Zgadza się?

Nie wątpił, że pragnienie wydania wojny Prestimionowi i Dekkeretowi aż w nich wrzało. Chcieli tylko, by poklepał ich po główkach i pochwalił za ambicję i wojownicze dusze.

Wszyscy trzech bracia byli teraz skupieni wyłącznie na nim: Gaviral z oczami jak świdy, Gavahaud z przekrwionymi ślepiami i głupi, wilgotnooki Gavdat. Mandralisca pomyślał, że to, jak są od niego zależni, jak straszliwie chętni, by potwierdził całą żalosalną strategię, którą byli w stanie wykoncypować, jest niemal chwytające za serce.

– Milordzie – powiedział. – Jeśli pytasz, czy zgadzam się, że to odpowiedni moment na ogłoszenie niepodległości wobec rządu centralnego, to moja odpowiedź brzmi: nie, nie

wierzę, by tak było.

Każdy z nich inaczej zareagował na spokojną odpowiedź Mandraliski. Ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem i uznał za cenną naukę.

Gavdat cofnął się, niemal zszokowany. Szarpnął głową w tył tak mocno, że jego miękkie policzki zatrzęsyły się jak galareta. Bardzo możliwe, że użył swoich wróżbiarskich przyrządów i spodziewał się czegoś zupełnie innego. Wyniosły Gavahaud, choć ewidentnie równie zaniepokojony i rozczarowany, spojrzał na Mandraliskę za zdumieniem, jakby ten właśnie napluł mu w twarz. Tylko Gaviral przyjął odpowiedź hrabiego spokojnie, spojrzał wpierw na jednego, potem na drugiego brata z samozadowoleniem, które oznaczać mogło tylko jedno: „Proszę! A nie mówiłem? Warto poczekać i skonsultować sprawy z Mandraliską”. Wśród prostackich, tępych braci Gaviral w ten sposób wyróżniał się inteligencją, że posiadał cień samoświadomości, odrobinę wiedzy o tym, jak głupi naprawdę są i jak bardzo potrzebują pomocy swego Tajnego Doradcy w każdej poważniejszej sprawie.

– Czy mogę zapytać – powiedział ostrożnie Gaviral – czemu masz właśnie takie uczucia?

– Jest kilka powodów, milordzie – wyliczał je na palcach. – Po pierwsze: na Majipoorze panuje powszechna żałoba, jeśli dobrze pamiętam śmierć Pontifexa Prankipina dwadzieścia lat temu. Nawet na Zimroelu Pontifex był poważany i kochany, a tym razem mówimy o Confalumie, najbardziej szanowanym monarsze od wieków. Wierzę, że próba zerwania z rządem imperium w chwili, gdy ludność zewsząd wyraża smutek po jego śmierci, odebrana będzie jako pozbawiona smaku, wręcz obraźliwa. Stracilibyśmy poparcie wielu własnych obywateli i wzbudzili niepotrzebnie wielki gniew mieszkańców Alhanroelu.

– Możliwe – zgodził się Gaviral. – Kontynuuj.

– Po drugie: ogłoszeniu niepodległości towarzyszyć musi demonstracja, że potrafimy bronić swoich słów. Mam na myśli fakt, że obecnie jesteśmy na wstępnym etapie tworzenia armii, o ile w ogóle można to nazwać wstępem. W związku z tym...

– Przewidujesz wojnę z Alhanroelem? – zapytał jego lordowska mość Gavahaud wyniośle. – Czy to możliwe, że ośmielą się nas zaatakować?

– O tak, milordzie. Bardzo zdecydowanie sędzę, że nas zaatakują. Powszechnie kochany Prestimion jest człowiekiem przeżywającym silne emocje i skłonny do strasznego gniewu, kiedy się rozzłości. Mam na to dowody z doświadczenia z waszym sławnym wujem, Dantiryą Sambaiem. A Lord Dekkeret, z tego, co o nim wiem, nie zechce rozpocząć swoich rządów od secesji połowy królestwa. Możecie być pewni, że imperialni wyślą przeciwko nam wojska kiedy tylko przetrawią naszą deklarację i zdołają zebrać siły.

– Ale odległości są ogromne – powiedział Gavdat. – Będą musieli płynąć tygodniami, by dostać się do Piliploku... A potem marsz przez nieprzyjazne ziemie aż do Ni-moya...

To miało sens. Mandralisca pomyślał, że może Gavdat nie był taki głupi, jak wyglądał.

– Masz rację, milordzie, utrzymanie linii zaopatrzenia przez Morze Wewnętrzne od Góry Zamkowej do Ni-moya będzie bardzo trudnym zadaniem. Dlatego uważam, że koniec końców osiągniemy sukces. Jednak sądzę, że nie będą mieli wyboru i będą próbować odzyskać nad nami kontrolę. Musimy być w pełni przygotowani. Musimy mieć gotowe wojska w Piliploku i innych dużych miastach na wschodnim wybrzeżu, być może na południe aż do Gihorny.

– Ale w Gihornie nie ma dość dużego portu, by przeprowadzić większe lądowanie! – sprzeciwił się Gavahaud.

– Tak jest. Właśnie dlatego mogą tego spróbować: żeby nas zaskoczyć. Nie ma tam dużego portu, ale po prowincji rozrzucone jest sporo niewielkich. Mogą dokonać kilku lądowań w miejscach tak mało znanych, że sądzą, że o nich nie pomyślimy. Musimy umocnić całe wybrzeże. Potrzebujemy też drugiej linii obrony w głębi lądu i trzeciej w samym Ni-moya. Powinniśmy stworzyć flotę, by wyszła przeciwko nim w morze z nadzieją, że w ogóle powstrzymamy ich przed dotarciem do naszych brzegów. Na to wszystko potrzebujemy czasu. Powinniśmy być na dość zaawansowanym etapie, zanim odsłonimy karty.

– Powinieneś wiedzieć – oświadczył Gavdat – że bardzo uważnie rzuciłem runy i zapowiadają one sukces naszych działań.

– Nie spodziewamy się niczego innego – odpowiedział spokojnie Mandralisca. – Ale same runy nie dadzą nam zwycięstwa. Potrzebne jest też właściwe planowanie.

– Tak – powiedział Gaviral. – Tak. Rozumiecie, bracia, prawda?

Pozostali dwaj patrzyli na niego, zmieszani. Być może w jakiś sposób czuli, że sprytny mały Gaviral ich wymanewrowuje, sprzymierzając się nagle z głosem rozsądku, bo poczuł, że rozsądek może być przydatny.

– Należy przemyśleć trzecią kwestię – powiedział Mandralisca.

Zmusił ich do czekania. Nie chciał przeładować ich mózgow, przekazując za szybko zbyt wiele argumentów.

– Tak się składa – powiedział – że testuję nową broń, bardzo ważną dla naszych nadziei na zwycięstwo. To hełm, przywieziony mi przez Khaymaka Barjazida, wersja tego, który – niestety nieskutecznie – wykorzystany był przez Dantiryę Sambaila w jego dawnej walce przeciwko Prestimionowi. Wprowadzamy pewne ulepszenia. Z każdym dniem lepiej

nad nią panuję. Kiedy będę gotów w pełni ją wykorzystać, spowoduje przerażające zniszczenia. Ale nie jestem na to jeszcze całkowicie gotowy. Dlatego proszę was o więcej czasu. Proszę o czas, by zbudować to wielkie zwycięstwo, które milord Gavdat tak bezbłędnie przewiduje.

8

Dekkeret przemierzał pokoje Zamku, który od teraz miał nosić jego imię, niczym we śnie, rozglądając się, jakby widział wszystko po raz pierwszy.

Był sam. Nie prosił wprost, by pozostawiono go samego, ale jego zachowanie i wyraz twarzy nie pozostawiały wątpliwości, że potrzebował samotności. Mijał czwarty dzień odkąd wrócił z uroczystości w Labiryncie, które potwierdziły objęcie przez Prestimiona tronu imperialnego i aż do teraz każdą chwilę miał wypełnioną planowaniem własnej koronacji. Dopiero dzisiaj miał chwilę przerwy w natłoku spraw i wykorzystał tę okazję, by wyjść na Dziedziniec Pinitora i pochodzić samotnie po licznych poziomach górnej strefy Zamku.

Przeżył tu ponad połowę życia. Miał osiemnaście lat, kiedy udaremnił próbę zamachu na Prestimiona i został nagrodzony tytułem rycerza kandydata, teraz zaś miał lat trzydzieści osiem. Chociaż podpisywał oficjalne dokumenty „Dekkeret z Normork”, słuszniej byłoby, gdyby nazywał siebie „Dekkeretem z Zamku”, gdyż Normork było dla niego tylko wspomnieniem z młodości, a Zamek całym życiem. Dziwna Wieża Lorda Arioca, chropawa, czarna bryła Skarbca Prankipina, delikatne piękno Kaskady Guadelooma, bloki różowego granitu na Dziedzińcu Vildivara, spektakularne Dziewięćdziesiąt Dziewięć Schodów... mijał to wszystko codziennie.

Mijał i w tej chwili. Przechodził z jednej sali do drugiej. Minał zakręt korytarza i znalazł się przed olbrzymim, kryształowym oknem, tak jasnym, że właściwie niewidocznym, z którego roztaczał się oszałamiający widok na otwartą przestrzeń, na otchłań głęboką na wiele mil, zamkniętą na dole grubą warstwą białych chmur. Było to żywe przypomnienie, że tu, na Zamku, znajdowali się na wysokości trzydziestu mil, na szczycie najwyższej góry we wszechświecie, którą genialne mechanizmy, liczące sobie tysiące lat, zaopatrywały w światło, wodę i powietrze. Kiedy spędzało się dużo czasu na Zamku, łatwo było o tym zapomnieć. Zaczynało się myśleć, że to tutaj był główny poziom świata, a cała reszta Majipooru tajemniczo tonęła pod powierzchnią. Tak jednak nie było. Istniał świat i istniał Zamek, i to Zamek górował nad wszystkim.

Brama, którą miał przed nosem, prowadziła z powrotem do Wewnętrznego Zamku. Po

lewej stronie miał budynek Archiwum Prestimiona, wznoszący się za Wieżą Arioca, po prawej zaś wykładaną białymi płytkami salę, w której mieszkała Pani Wyspy, kiedy przybywała odwiedzić syna. Kawalek dalej znajdowała się szklarnia Lorda Confalume'a, mieszcząca zdumiewającą kolekcję delikatnych roślin z tropików. Przeszedł przez bramę znajdującą się obok sali Pani i znalazł się w dezorientującym nowo przybyłych labiryncie korytarzy i galerii, prowadzącym do serca Zamku.

Unikał zbliżania się do sal dworu. Zarówno urzędnicy poprzedniej władzy, jak i ci należący do jego własnej, częściowo tylko utworzonej administracji, byli bardzo zajęci. Dyskutowali o kwestiach dotyczących protokołu na ceremonii koronacyjnej, sporządzali listy gości według rangi i pochodzenia i tak dalej, i tak dalej. Dekkeret miał tego dość, na razie nawet bardziej niż dość. Gdyby to od niego zależało, koronacja miałaby może siedmiu, najwyżej dziesięciu świadków i trwałaby nie dłużej, niż zajęłoby Prestimionowi wzięcie korony rozbłysku gwiazd, umieszczenie jej na skroni swego sukcesora i krzyknienie: „Dekkeret! Dekkeret! Chwała Lordowi Dekkeretowi!”

Wiedział aż za dobrze, że nie mógł na to liczyć. Konieczne było ucztowanie, rytuały, odczyty poezji, pozdrowienie wielkich panów, ceremonialne wystawienie tarczy Koronała, ukoronowanie jego matki, Lady Taliesme, nową Panią Wyspy Snu i wszystko inne, bez czego niemożliwe było intronizowanie nowego Koronała z odpowiednim majestatem i splendorem. Dekkeret nie zamierzał się w to wtrącać. Choć planował w okresie swoich rządów wprowadzić pewne innowacje, to, jakiegokolwiek by one były, nie zamierzał zajmować się sprawami trywialnymi, takimi jak ceremoniał. Trzymał się teraz z daleka do sal, w których tworzono plany uroczystości. Zamiast tego skręcił w kierunku samego centrum królewskiego sektora, opuszczonego w chwili przejścia z jednych rządów w drugie.

Stał teraz przed podwójnymi skrzydłami wielkich, metalowych drzwi, wysokich na piętnaście stóp. Powstały z rozkazu Prestimiona; był to projekt, który trwał od dekady i wciąż daleko mu było do ukończenia. Każdy cał lewego skrzydła tych drzwi pokryty był scenami wydarzeń z rządów Lorda Confalume'a. Prawe było gładkie.

Dekkeret obiecał sobie, że rozkaże wyrzeźbić na nim czyny Prestimiona, w tym samym stylu i przez tych samych artystów. Potem każe je pozłocić, żeby lśniły na wieki, pomyślał.

Dotknął ciężkiej, brązowej klamki i drzwi, precyzyjnie i delikatnie wyważone, otwarły się, by wpuścić go do serca Zamku.

Najpierw wszedł do prostej, niewielkiej sali tronowej Lorda Stiamota. Przeszedł obok niej, wciąż włócząc się bez celu, do kolejnej płataniny korytarzyków i przejść. Nie pamiętał,

żeby był tu kiedykolwiek wcześniej. Zaczął już myśleć, że zablądził, kiedy skręcił w lewo i odkrył, że stoi przed wielką, sklepioną komnatą, która była salą sądową Lorda Prestimiona, a za nią znajdowała się ogłupiająco ekstrawagancka sala tronowa Confalume'a.

Dekkeret pomyślał, że to niewłaściwe, by dochodzić do tych wspaniałych pomieszczeń przez tak chaotyczny labirynt. Prestimion zbudował swoją salę sądową na miejscu jakiegoś tuzina starych, małych pokoi; Dekkeret postanowił zrobić to samo z korytarzami, przez które właśnie przeszedł: zburzyć je, a na ich miejscu zbudować nowy, oficjalny pokój, na przykład kaplicę Bogini, w której Koronał mógłby prosić o dar mądrości przed wydaniem wyroku w sali sądowej. Kaplica Dekkereta, o tak. Uśmiechnął się. Oczyma duszy już ją widział. Tu kamienny łuk wejściowy, a przejście łączące ją z salą sądową wyłożone pięknymi mozaikami w zieleni i złocie...

Brawo, pomyślał. Jeszcze nawet nie Koronał, a już rozpoczął swój program rozbudowy!

Zaskoczyło go, jak łatwo brał na siebie zadanie zostania nowym Koronalem Majipooru. Gdzieś głęboko w nim wciąż krył się Dekkeret chłopiec, jedyne dziecko biednego kupca, przemierzające pagórkowate ulice Normork ze swoją kuzynką, Sithelle i marzące o zostaniu kimś więcej, niż ojciec. Może rycerzem na Zamku, który kiedyś zdobędzie jakąś pozycję w rządzie. Jak mógł ten chłopiec nie dziwić się, widząc starszą wersję samego siebie, mającą zaraz zająć najwyższą pozycję ze wszystkich?

Rozumiał tego chłopca, ale był już dorosły i nie dziwił się takim rzeczom. Wiedział teraz, że Koronał jest tylko człowiekiem, który nosi zieloną szatę obszytą gronostajami i który przy pewnych, szczególnych okazjach pozwala sobie założyć koronę i zasiada na tronie. Mimo tego, wciąż jest człowiekiem. *Ktoś* musi być Koronalem i, dzięki mało prawdopodobnemu łańcuchowi zdarzeń, to na niego padł wybór. Łańcuch ten przechodził przez dawną wizytę Prestimiona w Normork i śmierć Sithelle, przez jego własną, nieszczęśliwą wyprawę łowiecką na bagna Khyntoru i powodowaną impulsem pokutną podróż do Suvraelu, która po niej nastąpiła, a doprowadziła do odkrycia Barjazidów i ich kontrolujących umysły hełmów; przez wojnę z Dantiryą Sambalem i śmierć Akbalika, która pozostawiła koronę bez spadkobiercy. W ten sposób wybór padł na Dekkereta. Niech więc tak będzie. Zostanie Koronalem. Pomimo tego pozostanie człowiekiem, wciąż będzie musiał jeść, spać, opróżniać pęcherz i któregoś dnia umrzeć. Na razie jednak będzie Lordem Dekkeretem z Zamku Lorda Dekkereta, tam zbuduje Kaplicę Dekkereta, a w Normork, jak opowiedział Dinitakowi Barjazidowi – zdawało mu się, że sto lat temu – kiedyś zbuduje Bramę Dekkereta, a może także...

– Mój lordzie?

Głos, w ten sposób przerywający jego rozmyślania, przestraszył go bardziej niż trochę.

Dekkeret nie od razu uwierzył, że to do niego się zwracano. Wciąż nie był przyzwyczajony do tytułu lorda. Rozejrzał się, myśląc, że w pobliżu zobaczy Prestimiona, potem zdał sobie sprawę, że słowa te skierowano do niego. Wypowiedział je Su-Suheris Maundigand-Klimd, Wysoki Mag na dworze Prestimiona.

– Wiem, że naruszam twoją prywatność, mój panie. Proszę o wybaczenie.

– Nie robisz nic bez dobrego powodu, Maundigandzie-Klimdzie. Nie mam czego wybaczać.

– Dziękuję, panie. Tak się składa, że mam istotną sprawę, na którą chcę zwrócić twoją uwagę. Czy moglibyśmy porozmawiać w bardziej ustronnym miejscu?

Dekkeret dał dwugłowemu znak, by prowadził.

Nigdy w pełni nie pojął, czemu Prestimion, odnoszący się z upartym i głęboko zakorzenionym sceptycyzmem do spraw mistycyzmu i okultyzmu, trzymał maga w kręgu swoich najbardziej zaufanych ludzi. Confalume owszem, był człowiekiem bardzo oddanym magii i, o ile Dekkeret się orientował, także Prankipin przejawiał podobne, nieracjonalne inklinacje, ale Prestimion zawsze jawił się jako ktoś, kto polegał na dowodach wynikających z rozsądku i zmysłów, a nie na zaklęciach i przewidywaniach wróżów. Jego wysoki doradca, Septach Melayn, był jeszcze bardziej racjonalny, o ile to w ogóle możliwe.

Dekkeret wiedział, że Prestimion, mimo swojego sceptycyzmu, spędził jakiś czas w mieście czarnoksiężników, Triggoin na północy. Był to epizod, o którym bardzo niechętnie wspominał. Skorzystał również z usług pewnych mistrzów czarodziejstwa z Triggoin podczas wojny z uzurpatorem Korsibarem i przy paru okazjach podczas swoich rządów. Jego podejście do spraw magii było więc bardziej złożone, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

Zdawało się, że Maundigand-Klimd nigdy nie był daleko od centrum wydarzeń na dworze. Dekkeret nie odnosił wrażenia, że Prestimion trzyma Su-Suherisa tylko po to, by nasycić łatwowierność miliardów prostych ludzi, którzy wierzyli w przepowiadaczy przyszłości i nekromantów, ani też dla dekoracji. Nie, Prestimion faktycznie *radził się* Maundiganda-Klimda w najważniejszych nawet kwestiach. Był to temat, który Dekkeret chciał z nim omówić zanim jeszcze w pełni dokonają przekazania władzy. On sam był tylko nieznacznie zainteresowany sztukami tajemnymi jako częścią kultury i nie wierzył w ich moc. Ale skoro Prestimion uważał za słuszne trzymanie przy sobie kogoś takiego, jak Maundigand-Klimd...

Trzymał go naprawdę blisko. Su-Suheris zaprowadził Dekkereta do swoich prywatnych pokoi, które zajmował od początku rządów Prestimiona. Znajdowały się po drugiej stronie Dziedzińca Pinitora, naprzeciwko apartamentu Koronala. Dekkeret słyszał, że pokoje te należały kiedyś do zapomnianego syna Confalume'a, Korsibara, zanim przywłaszczył sobie tron. Pamięć o tym mrocznym uczynku została wymazana z umysłów niemal wszystkich na świecie. Były to więc ważne pokoje.

Dekkeret nigdy wcześniej nie miał powodu, by je odwiedzać. Był zaskoczony surowością ich wyposażenia. Nie było tu żadnych gadżetów, kojarzących się z zawodowym czarnoksięstwem, nie było ambiwiali ani heksafor, alembików i sfer armilarnych, którymi szarlatani na targowiskach wprowadzali w zdumienie gapiów. Nie było grubych, oprawnych w skórę tomów wiedzy tajemnej, drukowanych czarnym atramentem, napawających takim lękiem tych, którzy bali się takich rzeczy. Dekkeret dostrzegł jedynie kilka niewielkich przedmiotów, które mogłyby być – i zapewne były – maszynami liczącymi, jakich używali księgowi i niewielki zbiór książek, które z wyglądu wcale nie sprawiały wrażenia mistycznych. Prócz tego, pokój Maundiganda-Klimda był praktycznie pusty. Dekkeret nie widział ani krzeseł, ani łóżka. Czy Su-Suheris spał na stojąco? Najwyraźniej tak.

Tak też prowadził rozmowy. Dekkeret czuł, że będzie to niezręczna sprawa. Z Su-Suherisami zawsze tak było. Nie tylko dlatego, że byli tak niezwykle wysocy – ich długie na stopę szyje i wydłużone głowy stawiały ich na równi ze Skandarami co do wzrostu, nawet jeśli nie dorównywali im masywnością – ale też była w nich jakaś dziwaczność, obcość, od których nie dawało się uciec, a z którymi trzeba było sobie radzić. Przede wszystkim te dwie głowy. Były niezależne, każda z nich miała własną tożsamość, własny zestaw min, ton głosu, parę intensywnie świdrujących, szmaragdowych oczu. Czy gdziekolwiek w galaktyce żyła inna dwugłowa rasa? I ta ich blada skóra, pozbawiona włosów i biała jak marmur, ich wiecznie poważne zachowanie, szczeliny o twardych krawędziach, które były nigdy się nie uśmiechającymi ustami... Aż za łatwo było widzieć w nich przerażające potwory o lodowatych duszach.

Jednak ten – ten dwugłowy czarownik – był doradcą i przyjacielem Lorda Prestimiona. To trzeba było wyjaśnić. Dekkeret żałował, że nie zrobił tego na długo przed tą chwilą.

Maundigand-Klimd przemówił:

– Od dawna zdaję sobie sprawę z twojego braku sympatii dla tak zwanych nauk tajemnych, mój panie. Pozwól, że rozpocznę informacją, że podzielam twoje odczucia.

Dekkeret zmarszczył brew.

– Zajmujesz, jak mi się zdaje, dość dziwne stanowisko.

– Czemuż to?

– Ze względu na jego paradoksalność. Zawodowy mag twierdzi, że jest sceptykiem? Nazywa nauki tajemne „tak zwanymi naukami tajemnymi”?

– Właśnie sceptykiem jestem, choć nie do końca takim, jak ty, panie. O ile dobrze rozumiem, wychodzisz z założenia, że wszelkie przepowiadanie przyszłości to tylko zgadywanka, niewiele pewniejsza od rzutu monetą, podczas...

– O, nie wszelkie przepowiadanie, Maundigandzie-Klimdzie – denerwująco było patrzeć to na jedną, to na drugą głowę, próbować zachować kontakt wzrokowy tylko z jedną parą oczu naraz, usiłować przewidzieć, która głowa zaraz przemówi. – Przyznaję, że chociażby Vroonowie mają ciekawą umiejętność wybierania właściwej drogi, nawet w całkowicie obcym terenie. Twoja własna długa współpraca z Lordem Prestimionem prowadzi mnie do wniosku, że rady, które mu dawałeś, okazały się cenne. Mimo to...

– To dobre przykłady, zgadza się – powiedział Su-Suheris. Przemówiła lewa głowa, ta z głębszym głosem. – Można też wymienić inne, mówić o rzeczach, które ciężko wytłumaczyć inaczej niż magią. Są niewątpliwie skuteczne, choć to niezrozumiałe. Ja, kiedy mówię, że mamy podobne spojrzenie na czarnoksiężstwo, mam na myśli masę dziwacznych i, za pozwoleniem, barbarzyńskich kultów, które zalały świat w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. O ludziach, którzy się wzajemnie biczują i zanurzają się we krwi zarzęniętego bidlaka. O czcicielach posągów. O wierzących w przyrządy mechaniczne i w wymyślne amulety. Obaj wiemy, jak bezwartościowe jest to wszystko. Przez cały okres swoich rządów Lord Prestimion po cichu i delikatnie usiłował sprawić, by takie praktyki wyszły z mody. Jestem pewien, mój lordzie... – Dekkeret zdał sobie sprawę, że w pewnym momencie rozmowy głos zabrała prawa głowa – ...że obierzesz ten sam kurs.

– Możesz być tego pewien.

– Mogę spytać, czy planujesz wybrać Wysokiego Maga, kiedy twoje rządy oficjalnie się rozpoczną? Nie staram się o tę posadę. Powinieneś wiedzieć, o ile jeszcze nie jest ci to wiadome, że nowy Pontifex poprosił mnie, bym towarzyszył mu w Labiryncie, kiedy zakończy się ceremonia twojej koronacji.

Dekkeret skinął głową.

– Spodziewam się tego. Co się tyczy nowego Wysokiego Maga, muszę ci wyznać, Maundigandzie-Klimdzie, że nie zastanawiałem się nad tym. Obecnie czuję, że nie potrzebuję nikogo takiego.

– Ponieważ wszystko, co mógłby powiedzieć, uznasz za bezużyteczne?

– Zasadniczo tak.

– To twój wybór – oświadczył Maundigand-Klimd. Po jego tonie można było poznać, że ta kwestia w ogóle go nie obchodziła. – Tym niemniej, na razie w służbie Koronała wciąż jest Wysoki Mag i czuję się zobligowany do poinformowania nowego Koronała, że miałem pewną zaskakującą wizję, która może mieć znaczenie dla jego rządów. Były Lord Prestimion poradził mi, że właściwym będzie zwrócić twoją uwagę na to objawienie.

– Ach – powiedział Dekkeret. – Rozumiem.

– Oczywiście, jeśli wasza lordowska mość woli nie...

– Nie – przerwał Dekkeret. – Jeśli Prestimion uważa, że powinienem o tym usłyszeć, koniecznie mi o tym powiedz.

– Doskonale. Otóż stworzyłem przepowiednię na początek twojego panowania. Przykro mi powiedzieć, że omeny są nieco ponure i niepomyślne.

Dekkeret zareagował uśmiechem.

– Jestem więc szczęśliwy, że nie wierzę w przepowiednie. Łatwiej znosi się złe wiadomości, jeśli nie ma się wiary w ich treść.

– Zaiste, mój lordzie.

– Mógłbyś jednak dokładniej omówić te mroczne omeny?

– Niestety nie. Znam swoje ograniczenia. Wszystko otaczał opar wieloznaczności. Nic nie było naprawdę jasne. Wychwyciłem tylko wrażenie zmagania w przyszłości, odmowy złożenia hołdu, nieposłuszeństwo.

– Nie widziałeś twarzy? Nie słyszałeś imion?

– Wizje nie działają na tak dosłownym poziomie.

– Przyznaję, że nie widzę wielkiej wartości w przepowiedni tak ciemnej, że właściwie nic nie przepowiada – oświadczył Dekkeret. Zaczynał się niecierpliwić.

– Zgadzam się, panie. Moje wizje są wysoce subiektywne. To przecucia, wrażenia, najdelikatniejsze doznania, możliwości, a nie konkretne szczegóły. Ale dobrze zrobisz, jeśli mimo to pozostaniesz wyczulony na niespodziewane zmiany okoliczności.

– Moje studia historyczne uczą, że mądry Koronał to właśnie powinien robić, nawet bez przewodnictwa magów. Ale dziękuję za radę. – Dekkeret ruszył w stronę drzwi.

– Był – powiedział Maundigand-Klimd na chwilę zanim Dekkeret wyszedł – jeden aspekt mojej wizji dość jasny, bym mógł go opisać w znaczący sposób. Dotyczył Potęg Królestwa, które zgromadziły się na Zamku, by odprawić jakąś ceremonię o istotnym rytualnym znaczeniu. Wyczułem ich aury zebrane wokół Tronu Confalume'a.

– Tak – odparł Dekkeret. – Na Zamku w tej chwili znajdują się wszystkie trzy Potęgi:

moja matka, Prestimion i ja. Co dokładnie robiliśmy we trójkę w twoim śnie?

– Były tam cztery aury, panie.

Dekkeret w zdumieniu patrzył na maga.

– W takim razie twój sen wprowadził cię w błąd. Znam tylko trzy Potęgi Królestwa – wyliczył je na palcach. – Pontifex, Koronał, Panie Snu. Ten podział władzy liczy sobie tysiące lat.

– Bez wątplenia wyczułem czwartą aurę i była to aura Potęgi. Czwartej Potęgi.

– Twierdzisz, że pojawi się nowy uzurpator? Czy znowu odegramy historię z Korsibarem?

Su-Suheris wykonał su-suheryjski odpowiednik wzruszenia ramionami: częściowo cofnął rozwidloną kolumnę szyi i skulił do wewnątrz długie, sześciopalce dłonie.

– Nie ma dowodów, które potwierdziłyby tę hipotezę, panie. Osoba, która miała aurę czwartej Potęgi Królestwa, nosiła też wzorzec członka rodziny Barjazidów.

– Co?

– Nie ma co do tego wątpliwości, panie. Nie zapomniałem, że dwadzieścia lat temu sprowadziłeś na Zamek tego Venghenara Barjazida i, oczywiście, jego syna, Dinitaka, jako więźniów. Wzór duszy Barjazida jest niezwykle charakterystyczny.

– Tak więc Dinitak zostanie Potęgą! – krzyknął Dekkeret ze śmiechem. – Jakże ucieszy go ta wiadomość! – nonsensowna wiadomość, przekazana mu w kulminacyjnym momencie tej długiej i kłopotliwej rozmowy, wydała mu się cudownie zabawna. – Sądziś, że spróbuje mnie odsunąć i zostać Koronalem? A może ostrzy sobie zęby na stanowisko Pani Wyspy?

Nic nie mogło wzruszyć nieprzeniknionej powagi Maundiganda-Klimda.

– Nie dość wierzysz w moje słowa, że wizje są subiektywne. Nie powiem, że Barjazid, spowity aurą Potęgi, był twoim przyjacielem Dinitakiem, ani też nie powiem, że tak nie było. Mówię tylko, że wyczułem wzorzec Barjazidów. Przestrzegam cię przed zbyt dosłowną interpretacją moich słów.

– Pewnie są inni Barjazidowie. Suvrael może być ich pełen.

– Tak. Przypominam ci o Khaymaku Barjazidzie, który niedawno usiłował wstąpić na służbę Lorda Prestimiona, ale został odesłany za radą jego własnego bratanka, Dinitaka.

– Racja. Brat Venghenara, oczywiście. Więc uważasz, że to on zostanie Potęgą? To wciąż nie ma sensu, Maundigandzie-Klimdzie!

– Po raz kolejny, panie, przestrzegam cię przez zbyt dosłowną interpretacją. Jest oczywiście absurdem, żeby pojawiła się nowa Potęga Królestwa, albo żeby członek klanu

Barjazidów choćby aspirował do tego stanowiska. Mojej wizji nie można jednak od ręki zdyskredytować. Ma znaczenie symboliczne, którego w tej chwili nawet ja nie potrafię rozszyfrować. Ale jedno jest jasne: we wczesnych dniach twoich rządów będą kłopoty i będzie w nie zamieszany Barjazid. Więcej powiedzieć nie mogę.

9

– Wciąż nie śpisz? – zapytała Fiorinda.

Leżący obok Teotas wymamrotał potwierdzenie.

– Która w ogóle jest godzina?

– Nie wiem. Bardzo późna. Czemu nie śpisz?

– Chyba za dużo wypiłem – odpowiedział. Tego wieczora bankiet przed koronacją zdawał się trwać wiecznie, wszyscy zachowywali się jak ryczący, pijani głupcy, Prestimion i Dekkeret siedzieli obok siebie przy najwyższym stole, a dalej Septach Melayn, Gialaurys, Dembitave, Navigorn i pół tuzina innych członków rady, wszyscy w zaskakująco dobrych humorach. Na tę okazję z Muldemar przyjechał Abrigant i przywiózł ze sobą dziesięć skrzynek doskonałego wina z czasów Lorda Confalume'a. Nie było wątpliwości, że te dziesięć skrzynek zawierało teraz tylko puste butelki.

To była wymijająca odpowiedź. Teotas wiedział, że to nie z powodu wina wciąż nie spał. Wypił tyle, co inni. Ironią losu było, że dla niego był to zmarnowany napój – dla niego, księcia Muldemar, członka rodziny, która robiła najlepsze wino na świecie! Równie dobrze mógłby pić wodę. Jego niespokojna, wzburzona jak morze dusza spalała alkohol od razu, w ogóle na niego nie działał. Nigdy w życiu nie był naprawdę pijany, nie był nawet przyjemnie wstawiony i była to wysoka cena nawet za przywilej niecierpienia nigdy z powodu kaca.

To, co go męczyło, nie miało nic wspólnego z wieczorną rozpustą. Wiedział, że w dużym stopniu problemem był niepokój wywołany ogromem zmian, czekających na niego teraz, gdy Prestimion przestał już być Koronalem i miało rozpocząć się jego życie w Labiryncie.

W teorii Teotas nie miał odczuć poważnych skutków tego wydarzenia. Był najmłodszym z czterech książęcych braci z Muldemar, nie miał dziedzicznych obowiązków, był wolny i mógł robić, co chciał. Najstarszy, Prestimion, zawsze był pupilkiem przeznaczenia, szybko i bez przeszkód wznoszącym się na szczyt świata. Taradath, genialny, drugi pod względem starszeństwa brat zginął podczas wojny z Korsibarem. Na mocnego Abriganta przeszła władza nad rodzinnymi dobrami w Muldemar i mieszkał teraz w Domu

Muldemar, jak czynili to przez wieki książęta tego miasta, zarządzał winiarzami i ferował sprawiedliwość wśród uwielbiających go obywateli.

Teotas zaś był zwyczajnym obywatelem, dopóki Prestimion nie wybrał go do Rady. Wziął sobie za żonę cudowną Fiorindę ze Stee, przyjaciółkę z lat dziecięcych żony Prestimiona, Varaile, i wspólnie wychowali trójkę zachwycających dzieci. Kiedy Prestimion powołał go do Rady, stał się jednym z jej najpożyteczniejszych członków. Krótko mówiąc, urządził sobie satysfakcjonujące życie pomimo tej cechy charakteru, która nie pozwalała mu w pełni cieszyć się nawet całkowitym spełnieniem wszelkich ambicji i pragnień.

A teraz... teraz...

Zamieszanie związane z uroczystościami koronacyjnymi wreszcie się skończyło. Wkrótce wszyscy osiądą we właściwych miejscach. Dla Prestimiona i Varaile miejscem tym będzie Labirynt. Varaile zaś chciała, by Fiorinda, jej szwagierka i główna dama dworu, pojechała z nią.

Czy Varaile rozumiała, czym dla Fiorindy będzie wyrwanie z korzeniami całej rodziny? Oczywiście, że tak. Ale te dwie kobiety były nierozłącznymi przyjaciółkami. I Fiorindzie, i Varaile musi się zdawać, że lepiej będzie, jeśli Fiorinda z całą rodziną przeniesie się do Labiryntu, niż żeby miały się rozdzielić.

Teotas mieszkał na Zamku od dzieciństwa. Nie miał innego domu, poza posiadłością rodzinną w Domu Muldemar, która teraz należała do Abriganta. Tysiące pokoi Zamku były dla niego jak własna skóra. Swobodnie włóczył się po okolicznych łąkach, polował w leśnych rezerwatach Halanx, uwielbiał radosne zabawy na molochach i lustrzanych zjeżdżalniach w Morpin Wysokim, czasami podróżował do Muldemar, by powspominać z Abrigantem dawne czasy. Bywał też w innych miastach Góry, widywał kamienne ptaki Furible w ich godowym locie, cudowne wieże Bombifale w kolorze spalonej pomarańczy, festiwal płonących kanałów w Hoikmar. Góra Zamkowa była jego życiem. Labirynt go nie pociągał. To nie było dla nikogo tajemnicą.

Zawsze zaspokajał każdy kaprys Fiorindy. To było coś więcej niż kaprys, ale i teraz zamierzał ustąpić. Nie było mu jednak łatwo.

Cała ta sytuacja miała jeszcze jedną komplikację, która czyniła ją wręcz niemożliwą. Kiedy Dekkeret powrócił z koronacji Prestimiona, poprosił Teotasa, by został Wysokim Doradcą królestwa.

– To zapewni ciągłość – powiedział. – Brat Prestimiona, obejmujący drugie co do ważności stanowisko na Zamku... No i kto ma do tego lepsze kwalifikacje niż ty, najważniejszy członek Rady Prestimiona?

Tak, to miało sens. Teotas był zaszczycony i schlebiano mu to.

Ale czy Dekkeret wiedział, że Varaile wezwała Fiorindę do Labiryntu? Widocznie nie. A nie dało się połączyć tych dwóch nominacji.

Jak mógłby być Wysokim Doradcą Dekkereta na Zamku, podczas gdy Fiorinda miała zostać pierwszą damą dworu Varaile w Labiryncie? Czy Dekkeret i Varaile życzyli sobie rozdzielić ich małżeństwo na sztuki? A może mieli dzielić swój czas, pół roku w jednej stolicy, pół w drugiej? Tego po prostu nie dało się zrobić. Koronał potrzebował mieć Wysokiego Doradcę nieustannie pod ręką, nie tylko przez parę miesięcy, kiedy akurat nie mieszkał w Labiryncie. Varaile także nie chciały na długo rozstawać się z Fiorindą.

Jedno z nich będzie musiało dokonać olbrzymiego poświęcenia. Ale które?

Teotas dotychczas unikał omawiania tej sprawy z Fiorindą, żywiąc niemądrą nadzieję, że pojawi się jakieś proste, cudowne rozwiązanie. Wiedział, jak mało było to prawdopodobne. Zawsze chciał spełniać jej życzenia, to prawda. Ale zrezygnować ze stanowiska Wysokiego Doradcy... To byłaby niemal zdrada stanu. Dekkeret potrzebował go i chciał jego usług, nie istniał inny oczywisty kandydat. Varaile na pewno mogła znaleźć inne damy dworu. Nie jest tak, że... Ale, z drugiej strony...

Nie potrafił znaleźć rozwiązania i rozdzierało go to.

To była część powodów cierpienia Teotasa. Oprócz tego, miał też sny.

Noc w noc nawiedzały go koszmary tak straszliwe, że zaczął obawiać się snu, ponieważ kiedy tylko znajdował się w ciemnym świecie po drugiej stronie poduszki, stawał się ofiarą potwornych majaczeń. Tłumaczenie sobie po obudzeniu, że to tylko sny, nie pomagało. W tych snach nic nie było *tylko*. Teotas wiedział, że sny mają potężne znaczenie, że są posłańcami z niewidzialnego świata, proszącymi o wpuszczenie do wewnątrz duszy. A tak mroczne widzenia mogły być tylko posłańcami demonów, sił kryjących się za chmurami, prastarych stworzeń, które niegdyś rządziły światem i które pewnego dnia mogą odebrać go jego obecnym panom.

Sen przerażał go. Na jawie potrafił obronić się przed wszystkim. We śnie był bezbronny jak dziecko. Brak jakiegokolwiek ochrony doprowadzał go do szału, ale jak bardzo by się starał, nie mógł wiecznie walczyć z sennością.

Mimo wszystko, przejmowała nad nim władzę właśnie teraz.

– Tak, Teotasio, tak, śpij... – Fiorinda głaskała go po czole, policzkach, szyi. – Odpocznij. Zapomnij, Teotasio, na chwilę zapomnij o wszystkim.

Co mógł powiedzieć? Nie odważam się spać? Boję się demonów, Fiorindo? Nie chcę zdawać się na ich łaskę?

Jej objęcia były słodkie i kojące. Złożył głowę na jej miękkich, ciepłych piersiach. Jaki sens miała walka? Sen był konieczny. Sen był nieunikniony. Sen był...

Upadkiem, swobodnym lotem w dół, spadaniem wbrew woli.

Oto idzie przez pusty, czarny płaskowyż, miejsce pokryte żużlem i popiołem, pełne otwartych szczelin w podłożu, smętnych, martwych drzew, a z każdym krokiem staje się starszy, dużo starszy. Wdycha starość niczym trujący dym. Jego skóra marszczy się i pokrywa bruzdami. Na piersi, brzuchu i lędźwiach wyrastają mu szorstkie, białe włosy. Występują mu żyły. Kości bolą. Oczy zachodzą mgłą. Kolana są ugięte. Serce przyspiesza i zwalnia. Oddech świszczy.

Brnie naprzód. Walczy z przemianą i zawsze przegrywa, przegrywa, przegrywa. Białe słońce zaczyna powoli chować się za horyzontem. Ścieżka, którą idzie, choć nie wie dlaczego, prowadzi teraz pod górę. Każdy krok jest męczarnią. Gardło ma suche, a język niczym kawał starej szmaty w ustach. Z kącików oczu spływa mu gumiasta ropa, spływa aż na pierś. W skroniach dudni, w brzuchu czuje zimno.

W powietrzu wokół niego tańczą istoty będące ledwie czymś więcej niż oparem. Wskazują go palcami, śmieją się, kpią. Nazywają go tchórzem. Głupcem. Robakiem. Żalonym, pełzającym stworzeniem.

Słabo potrząsa w ich stronę pięścią. Śmieją się tym ochryplej. Obrażają dotkliwiej. Obnażają jego całkowitą bezużyteczność na pięćdziesiąt różnych sposobów, a on nie ma siły, by się sprzeciwić, a po chwili wie, że sprzeciw jest niemożliwy, bo one mówią prawdę.

Wtedy, jakby nie chciały już interesować się czymś tak banalnym i godnym pogardy, jak on, rozplywają się w powietrzu, zostawiając za sobą tylko chmurę dźwięczącej wesołości.

Brnie dalej. Dwa razy upada i dwa razy z trudem wstaje, czując, jak kości zgrzytają o siebie, jak ciemna krew z chrzęstem przepycha się przez zwężone arterie. Nie przypuszczał, że starość może być takim cierpieniem. Powoli zapada ciemność. Nagle otacza go bezgwiezdna, bezksiężycowa noc, a on cieszy się, że nie musi już dłużej oglądać swego ciała.

– Fiorinda? – skrzeczy, ale nikt nie odpowiada. Jest sam. Nigdy nie było inaczej.

W oddali gwałtownie pojawia się światełko, które szybko nabiera intensywności i staje się stożkiem jaśniejącej zieleni, rozszerzającym się, wypełniającym niebo, strzelającym w powietrze gejzerem bladego światła. Rozbłyskowi temu towarzyszy szepczący dźwięk, niczym pomruk odległych wód. Słyszy też odgłosy podziemnego śmiechu, rezonujące, śliskie. Idzie dalej, wchodzi w unoszącą się z ziemi zieloną chmurę. Powietrze jest naelektryzowane. Każdy por skóry łaskocze. W nozdrza wdziera mu się kwaśny zapach. Jego wygięte, obolałe ciało spływa potem. Przed nim jest jakby góra, ale gdy Teotas brnie przez

chmurę, pojmuję, że w rzeczywistości widzi gigantyczną, żywą istotę, przysadzistą, olbrzymią, niepojętą, siedzącą prosto na czymś podobnym do tronu.

Bóg? Demon? Bożek? Brązowa, twarda skóra tego stwora jest gruba i połyskliwa, jak u gada. Wielkie ciało jest niskie, długie, z tępym pyskiem, wylupiastymi oczami, wysokim, wygiętym grzbietem, grubymi bokami, wystającym brzuchem, podbrzuszem podobnym do postumentu. Teotas nigdy nie widział tak wielkiego stwora. Sam pysk...

Ten pysk...

Ten otwarty pysk...

Teotas nie może się powstrzymać. Ten pysk otwiera się jak wejście do największej z jaskiń, a on idzie dalej. Już nie porusza się z trudem, raczej szybuje, pędzi w kierunku pyska, leci w jego stronę...

Szerzej i szerzej. Wielka jaskinia wypełnia niebo. Dobywa się z niej potworny ryk, dość głośny, by zatrząść ziemią, która zaczyna się osuwać. Skały spadają grzmiącymi lawinami, nie ma gdzie się schować, jak tylko w samej paszczy, w tej czekającej na niego paszczy, tej wiecznie otwartej paszczy...

Teotas rusza naprzód, w ciemność.

– Wszystko w porządku – mówi ktoś. – Sen, tylko sen! Teotasio! Proszę, Teotasio!

Był mokry od potu, drżący, zwinięty w kłębek. Fiorinda trzymała go w ramionach, mrużąc niekończące się, kojące słowa. Czuł, jak powoli powraca z koszmaru, choć jego pozostałość wciąż trzymała się krawędzi jego mózgu jak plama oleju.

– To tylko sen, Teotasio! To nie była prawda!

Skinął głową. Cóż miał powiedzieć? Jak wyjaśnić?

– Tak. Tylko sen.

10

– Teraz, kiedy wreszcie jest po wszystkim, koniec ze świętowaniem i rozrywkami. Teraz zaczyna się prawdziwa praca, co, Dekkerecie? – powiedział Prestimion.

Tygodnie oficjalnych ceremonii, które wyznaczały koniec starych rządów i wejście w nowe, przeniosły go do dawnych lat. Już kiedyś przeżył to wszystko, tylko wtedy to *jego* wstąpienie na tron świętowano. Napływ koronacyjnych podarków z całego świata – czy kiedykolwiek odpakował więcej niż ułamek z tego mnóstwa pudełek i skrzyń? – rytuał przekazania korony, bankiet koronacyjny, odczytywanie „Księgi Zmian”, śpiewanie „Księgi Potęg”, przekazywanie w tę i z powrotem kielichów pełnych wina, zebrani panowie królestwa wstający, by wykonywać salut rozbłysku gwiazd i witać nowego Koronala...

– Prestimion! – wołali. – Lord Prestimion! Chwała Lordowi Prestimionowi! Niech żyje Lord Prestimion!

To było tak dawno temu! Zdawało mu się teraz, że cały okres jego rządów minął w mgnieniu oka i że nagle w tajemniczy sposób zmienił się w męża w średnim wieku, już nie tak optymistycznego i impulsywnego, jak kiedyś, ani tak radosnego – musiał przyznać, że bywał czasem nieco drażliwy – i teraz zrobili to wszystko znowu, kolejny raz odprawili odwieczne rytuały, lecz tym razem wołali imię Dekkereta, Dekkereta, Lorda Dekkereta, a on patrzył z boku, uśmiechał się i dobrowolnie oddawał swój przydział chwały nowemu monarsze.

Wiedział jednak, że jakaś jego część na zawsze pozostanie Koronalem.

W lustrze pamięci widział samego siebie, młodszego, chłopięcego, jak kogoś obcego. Młody, zręczny Prestimion sprzed dwóch dekad, niezwykle wytrzymały młody człowiek, który przetrwał poniżenie uzurpacji Korsibara i potworny rozlew krwi podczas wojny domowej i pomimo wszystko zdołał zostać Koronalem. Jak on walczył! Kosztowało go to brata, kochankę i niemało fizycznego cierpienia, noce spędzone w obozach na błotnistych brzegach, dni na przemierzaniu najbardziej śmiertelnej pustyni poza Suvraelem, wierzchowce, które zabijano pod nim w czasie bitew, rany, po których wciąż nosił blizny. Dekkeret miał szczęście, że oszczędzono mu każdej z tych rzeczy, nie mówiąc już o

wszystkich naraz. Jego wstąpienie na tron było uporządkowane i normalne. Był to dużo prostszy sposób na zostanie królem.

W mojej historii też wszystko powinno być proste, pomyślał Prestimion. Bogini wymyśliła mi jednak inne przeznaczenie.

Stał z Dekkeretem – *Lordem* Dekkeretem – w sali tronowej Confalume'a. Byli tylko we dwóch, otoczeni echem. Spoglądali przez salę z jaśniejącego, żółtego drewna gurna na tron, wielki blok żyłkowanego rubinem czarnego opalu na schodkowym piedestale z czarnego mahoni, kiedy Dekkeret powiedział:

– Wiem, że będziesz za nim tęsknił. Proszę, Prestimionie, wdrap się na niego jeszcze raz, jeśli chcesz. Nikomu nie powiem.

Prestimion uśmiechnął się.

– Nigdy nie lubiłem na nim siadać, gdy byłem Koronalem. Jeszcze gorzej byłoby usiąść na nim teraz.

– Kiedy byłeś królem, zajmowałeś go dość często i robiłeś wtedy dobrą minę.

– Moje zadanie polegało na robieniu dobrej miny, Dekkercie. Ale teraz to twoja praca. Nie mam tam nic do roboty, nawet z sentymentu.

Mimo to przez jakiś czas wciąż patrzył na wielki tron. Nawet teraz bawiła go pretensjonalność szokująco kosztownej sali tronowej, wepchniętej przez Confalume'a w serce Zamku i sam tron, który był jej centrum. Zarazem jednak doceniał jego wartość jako symbolu prawowitej władzy, i fakt, że przypominał o samym Confalumie, który w pewnym sensie był mu bliższy niż własny ojciec.

Po dłuższym czasie powiedział:

– Wiesz, Dekkercie, musimy brać tron staruszka bardzo na poważnie, gdy na nim siedzimy. Każdą cząstką duszy musimy wierzyć w jego majestat. Ponieważ, wiesz, tak naprawdę jesteśmy aktorami, a to jest nasza scena. Przez ten krótki czas, kiedy po niej stąpamy, musimy wierzyć, że przedstawienie jest prawdziwe i ważne, bo jeśli *my* nie będziemy w to wierzyć, któż inny zechce?

– Tak, rozumiem, Prestimionie.

– Ale teraz mam inną, własną scenę i nikt nie zobaczy, jak po niej chodzę. Czy moglibyśmy stąd wyjść? – Prestimion po raz ostatni, niemal z czułością, spojrzął na tron.

Przez salę tronową przeszli do sali sądowej, pokoju, który sam kazał zbudować. On również był wcale majestatyczny. Czy kiedyś ludzie pomyślą, że starożytny Lord Prestimion umiłował ostentację i wystawność tak samo jak jego poprzednik, Confalume? Cóż, niech tak

myślą. Nie było nad czym się zastanawiać. Historia stworzy swojego własnego Prestimiona, tak samo, jak wymyśliła swojego Stiamota, Arioca, Guadelooma. Był to proces, którego nie dało się powstrzymać. Pewnie już sam przebył większość drogi do stania się mitem.

– Dalsze pokoje... – powiedział Dekkeret – zamierzam je wyburzyć i zbudować kaplicę dla Koronala. Tak myślę. Czuję, że się tu przyda.

– Dobry pomysł.

– Masz na myśli kaplicę?

– Ogólny pomysł budowania. Podoba mi się, że już o tym myślisz. Jeśli chcesz mieć tu kaplicę, wybuduj ją. Zostaw swój ślad na Zamku, Dekkerecie. Weź go w dłonie. Kształtuj, jak ci się spodoba. To miejsce jest sumą wszystkich władców, którzy tu żyli. Nigdy nie ukończymy jego budowy. Póki trwa świat, coś będzie tu budowane.

– Tak. Majipoor tego od nas wymaga.

Prestimion cieszył się, że ogląda te pokoje po raz ostatni z twardym, obdarzonym silną wolą mężczyzną, którego wybrał na swego sukcesora. Dekkeret będzie znakomitym Koronalem, był tego pewien. Dobrze było wiedzieć, że dał światu takiego następcę. Cokolwiek by osiągnął, to gdyby zostawił Majipoor w rękach słabeusza lub głupca, świat by mu tego nie wybaczył.

W przeszłości wielcy Koronalowicze popełniali ten błąd. Prestimion był jednak pewien, że nikt mu tego nie zarzuci. Dekkeret spełni wszelkie oczekiwania. Będzie innym królem niż jego poprzednik, to prawda, szczerym i prostolinijnym, a Prestimion często polegał na sprycie i manipulacji. Dekkeret był potężną, heroiczną postacią, budził respekt, kiedy tylko wchodził do pomieszczenia, zaś Prestimion, zbudowany przez Boginię w dużo mniejszej skali, musiał osiągać królewskość czystą siłą osobowości.

Cóż, te różnice ułatwią przyszłym pokoleniom rozróżnianie ich. Będą mówić „w czasach Prestimiona i Dekkereta”, wspominając złoty wiek, tak jak czasem mówiono o czasach Thrayma i Vildivara, Signora i Melikanda, Agisa i Klaina. Tamci jednak istnieli tylko jako pary wymiennych imion, nie jako jednostki. Prestimion miał nadzieję na łaskawszy los. Od Dekkereta różniło go tak wiele, że ci, którzy będą żyli w przyszłości, z konieczności będą widzieli szybkiego, gibkiego, małego Prestimiona, mistrza łucznictwa, wielkiego stratega, a obok niego dużego Dekkereta o szerokich ramionach i na zawsze będą widzieli, który jest który. Na to przynajmniej liczył Prestimion.

– Wyjdziemy na Parapet Morvendila? – zapytał, wskazując w kierunku północno-zachodniej bramy. – Często podziwiałem nocny widok stamtąd.

– I jeszcze nie raz go zobaczysz – powiedział Dekkeret. – Będiesz często przyjeżdżał

z wizytą?

– Pewnie tak często, jak często Pontifexowi wypada pokazywać się na Zamku. A to raczej nieczęsto, prawda? Poza tym, nie będziesz chciał mnie tu oglądać. Nieważne, co czujesz teraz, ale kiedy poczujesz, że to miejsce naprawdę należy do ciebie, nie będziesz chciał, żebym węszył na twoim terenie.

Dekkeret zachichotał, ale nie odpowiedział.

Szybko przeszli przez sale i wyszli w zmierzch. Pozdrawiali ich stojący daleko strażnicy. Inni, ciemne sylwetki, być może książęta, również przyglądali im się z daleka, ale nikt nie ośmielał się podejść. Któż przerwałby prywatną rozmowę Pontifexa z Koronalem? Zadaszonym przejściem z inskrypcją z czasów Lorda Dulcinona doszli na Dziedziniec Gaznivna zakończony balkonem, z którego można było przejść na Parapet Morvendila.

Jakim władcą był Morvendil, kiedy żył – o tym Prestimion nie miał pojęcia, ale sam parapet, długi, wąski, wykonany z czarnego kamienia z Velanthynu, od dawna był jedną z jego kryjówek, do których uciekał przez problemami tronu. W tym miejscu Góra zwięzała się i opadała stromo pod Zamkiem. Dawało to wspaniały widok na kilka Miast Wysokich i część położonego niżej pierścienia Miast Wewnętrznych. Tam w dole szybko zapadała ciemność i na zboczu gigantycznej góry pojawiały się wyspy światła. Kształcące było przypomnieć sobie, że ta mała plamka po lewej była w rzeczywistości miastem o sześciu milionach mieszkańców, a tamta kropka domem dla kolejnych siedmiu milionów. Kolejna zaś, wciśnięta w bok góry i otoczona półkolem atramentowej czerni, to ukochane Muldemar Prestimiona.

W jego umyśle kłębiły się wspomnienia młodości w tym pięknym mieście, szczęśliwego życia rodzinnego, kochającej matki, silnego, szlachetnego ojca, zmarłego tak wcześnie, a nie mniej królewskiego od każdego Koronala. Jakże ciepłe to było środowisko, jakie przyjemne życie! Nigdy nie zaznał tam smutku ani rozpaczy. Gdyby nie wezwał go Zamek, byłby teraz Księciem Muldemar, pracującym szczęśliwie wśród winorośli i piwniczek.

Opuszczenie łona rodziny i książęcych obowiązków w ojczystym mieście, by służyć ludzkości, wydawało mu się czymś naturalnym i normalnym. Zapragnął więc być Koronalem, trzymać cały Majipoor w ciepłym, przyjaznym uścisku, być w centrum wszystkich snów, być łaskawym przywódcą, ojcem świata.

Czy właśnie tak to wtedy widział, czy to zwyczajny głód władzy pchał go po tron? Nie potrafił powiedzieć. Oczywiście w jego ciągłym wznoszeniu się w hierarchii Zamku był jakiś czynnik pragnienia potęgi. Był jednak pewien, że nie był to główny czynnik – absolutnie

pewien. Prestimion zrozumiał to podczas wojny z Korsibarem.

Wtedy walczył o tron, walczył desperacko, ale nie dlatego, że go pragnął, jak Korsibar, ale dlatego, że był pewien, iż na niego zasługuje, że jest mu potrzebny, że jest niezastąpionym i wyjątkowym człowiekiem swojej epoki. Bez wątpienia niejeden przerażający tyran i straszliwy zbrodniarz myślał o sobie dokładnie to samo w ciągu długich wieków historii, sięgającej aż do czasów Starej Ziemi. Cóż, niech i tak będzie, Prestimion polegał na zrozumieniu swoich motywów przez siebie samego. Wiedział, że na tym też polegał cały Majipoor. Był powszechnie kochany, a to potwierdzało, że dokonał słusznego wyboru. Służył dobrze jako Koronał, tak samo będzie służył teraz, jako Pontifex.

Spojrzał na Dekkereta, który stał w pewnym oddaleniu, wyraźnie nie chcąc przeszkodzić mu w rozmyślaniach.

– Zastanawiałeś się już, jak rozpoczniesz rządy?

– Masz na myśli nowe dekrety i prawa? Zrywanie z prastarą tradycją, zmianę obecnego protokołu, stawianie świata na głowie? Pomyślałem, że chwilę poczekam, nim obiorę ten kurs.

Prestimion roześmiał się.

– Sądzę, że to rozsądne założenie. Najmądrzej rządzi ten Koronał, który rządzi najmniej. Lord Prankipin przywrócił świat na właściwe tory, zmniejszając kontrolę rządu, podobnie postępował Confalume i ja również. Ze wszystkich stron widać tego zalety. Ale nie, nie mówiłem o zmianach legislacyjnych, tylko o symbolicznych gestach. Zamierzasz ukryć się na Zamku, póki w pełni nie wdrożysz się w swoje nowe zajęcia, czy pokażesz się ludziom?

– Jeśli miałbym się ukrywać tutaj, być może zestarzałbym się i umarł nim świat zobaczyłby moją twarz. Ale, Prestimionie, na pewno jest za wcześnie na Wielką Procesję!

– Też tak uważam. O ile okoliczności nie zmuszą cię, byś postąpił inaczej, poczekaj z Procesją do tradycyjnego, piątego roku. Ja jednak, kiedy zostałem Koronałem, szybko zacząłem odwiedzać okoliczne miasta. Rzecz jasna, zawsze byłem niespokojnym duchem, ty lepiej znosisz widok tych samych drzwi i okien przez kilka tygodni, nieprawdaż? Jest jeden powód, dla którego dobrze jest, żeby Koronał ruszał się z Zamku tak często, jak to możliwe: kiedy jest się trzydzieści mil nad światem, ma się bardzo niewyraźny widok.

– Tak przypuszczam – powiedział Dekkeret. – Gdzie podróżowałaś w pierwszych miesiącach?

– Na samym początku po prostu wykradałem się z Septachem Melaynem i Gialaurysem, nikomu nic nie mówiąc. Udawaliśmy się nocami do miejsc takich jak

Banglecode, Greel czy Bibiroon. Nosiliśmy peruki i sztuczne wąsy i słuchaliśmy uważnie, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej o świecie, którym przyszło nam rządzić. Nocny Targ w Bombifale... ach, to były czasy! Próbowaliśmy potraw, których może nie jadł wcześniej żaden Koronal. Odwiedziliśmy handlarzy magicznymi sprzętami. To tam poznałem Maundiganda-Klimda, który bez trudu przejrzał moje przebranie. Choć nie znaczy to, że tobie polecam podobne wybiegi.

– Nie. Peruki i sztuczne wąsy to nie w moim stylu.

– Nieco później podróżowałem bardziej oficjalnie. Brałem ze sobą Teotasa, Abriganta, Gialaurysa, Navigorna albo kogoś innego z Rady. Odwiedzaliśmy miasta Góry, Peritole, Strave, Minimool, dotarliśmy nawet do Gimkandale. Nigdy nie zostawałem w jednym miejscu zbyt długo z powodu kosztów, jakie by to za sobą pociągało. Po prostu przyjeżdżaliśmy, wygłaszaliśmy przemowę albo dwie, słuchaliśmy skarg, obiecywaliśmy cuda i ruszaliśmy dalej. To w tej fazie rządów, jak pewnie pamiętasz, odwiedziłem Normork.

– Jakże mógłbym zapomnieć? – głos Dekkereta był poważny.

– Znalazłem Maundiganda-Klimda podczas jednej podróży, ciebie podczas innej, a w czasie trzeciej, do Stee, poznałem lady Varaile. Trzy szczęśliwe spotkania, całkowicie przypadkowe, a jednak jak zmieniły moje rządy i moje życie! A jeśli zostaniesz na Zamku...

Dekkeret skinął głową.

– Tak. Pojmuję.

– Jeszcze jedno pytanie i wracamy do środka – powiedział Prestimion. – Maundigand-Klimd opowiedział ci swoją historię o Barjazidzie będącym Potęgą Królestwa? Co o niej sądzisz?

– Bardzo niewiele – Dekkeret był zdziwiony, że Prestimion chce rozmawiać o czymś tak nierealnym. – Trzy trony są zajęte i miejmy nadzieję, że przez wiele lat nie nastąpią żadne zmiany.

– Widzę, że bierzesz jego słowa bardzo dosłownie.

– Su-Suheris skomentował to tak samo. Jak inaczej mam odbierać słowa, jeśli nie jako rzeczy, które coś znaczą? Ciebie widać bawi od czasu do czasu posłuchać mamroczących czarowników, ale dla mnie są tylko bezwartościowymi nierobami i pasożytami, nawet twój drogi Maundigand-Klimd, a ich przepowiednie znaczą dla mnie tyle, co dym. Kiedy przychodzi do mnie mag i mówi, że we śnie zobaczył Barjazida z aurą Potęgi Królestwa, czemu mam szukać w tym ukrytych znaczeń i zakopanych wyjaśnień? Najpierw patrzę na samą wiadomość. A ona akurat zdaje mi się być uderzająco głupia. Zapominam więc o niej.

– Ignorując ostrzeżenie Maundiganda-Klimda robisz sobie krzywdę.

W głosie Dekkereta pojawiła się nuta irytacji.

– Nie kłóćmy się w tym szczęśliwym dniu, Prestimionie. Ale, wybac mi, jaki sens mam widzieć w tej przepowiedni? Wszyscy Barjazidowie to ohydne łotry, za wyjątkiem mojego przyjaciela Dinitaka. Świat nigdy nie przyjmie takich królów.

– A może Dinitak?

– To daleko idące przypuszczenie. Fakt, mógłbym wybrać go na mojego następcę, co faktycznie uczyniłoby go Potęgą Królestwa, a gdybym to zrobił, byłby dobrym władcą, choć może nieco surowym. Ale zapewniam cię z całą stanowczością, Prestimionie, że minie wiele lat, nim zacznę myśleć o znalezieniu sobie następcy, a kiedy już to uczynię, nie sądzę, by mój wybór padł na Dinitaka. System może nie znieść dwóch władców z ludu pod rząd. Dinitak ma wiele zalet i jest chyba moim najbliższym przyjacielem, ale nie wydaje mi się, by był dość wielkoduszny, aby choć potencjalnie zostać Koronalem. Jest twardym człowiekiem, niewiele w nim miłosierdzia. Dlatego też...

Prestimion uniósł dłoń.

– Wystarczy! Błagam cię, Dekkerecie, zapomnij zupełnie o tej części przepowiedni, która mówi o Potędze Królestwa. Właśnie wykluczyłeś Dinitaka, a żaden z nas nie wyobraża sobie Khaymaka Barjazida jako Koronala. Zamiast tego skup się na ostrzeżeniu Maundiganda-Klimda, że na początku rządów czekają cię trudności i że będzie w nie zamieszany jakiś Barjazid.

– Jestem gotów zmierzyć się z każdym problemem. Najpierw jednak pozwólmy mu się pojawić.

– Ale będziesz czujny?

– Oczywiście. To powinno być jasne. Nie będę jednak zbroił się przeciwko duchom, mimo wszystkiego, co mówisz o mądrości swojego maga. I mówię ci, Prestimionie, że w ogóle niechętnie będę się zbroił, niezależnie od możliwych problemów, jeśli tylko będę mógł wybrać pokojowe rozwiązanie. Czy możemy teraz zostawić ten temat? Powinniśmy szykować się do pożegnalnej kolacji.

– Tak. Powinniśmy.

Prestimion widział, że nie było sensu ciągnąć tej rozmowy. Rozumiał, że to, co próbował zrobić, było równie owocne co tłuczenie głową w wielki mur Normork. Mogłeś tłuc ile chcesz, ale mur nie puszczał. Podobnie Dekkeret.

Może jestem zbyt przewrażliwiony, pomyślał Prestimion, po dwóch buntach, które przeżyłem w pierwszych latach rządów. Po własnych, nieszczęśliwych doświadczeniach nauczyłem się zawsze spodziewać się kłopotów, a kiedy ich nie ma, tak jak było przez wiele

lat od czasu śmierci Dantiryi Sambailla, nie ufam temu spokojowi. Dekkeret ma pogodniejszego ducha, niech więc radzi sobie z ponurą przepowiednią Maundiganda-Klimda, jak mu się podoba. Być może Bogini rzeczywiście da mu szczęśliwy początek rządów, mimo wszystko. Poza tym, czeka nas kolacja.

Khaymak Barjazid powiedział:

– Mam pewną myśl, wasza miłość. Wspominałeś kiedyś o swoich trudnych stosunkach z ojcem i braćmi.

Mandralisca rzucił mu wystraszone, gniewne spojrzenie. Na chwilę zapomniał, że kiedykolwiek opowiadał o swoim bolesnym dzieciństwie Barjazidowi czy komukolwiek innemu. Nie był też przyzwyczajony, by mówiono do niego w sposób przełamujący mur, który zbudował wokół swojego życia.

– No i? – warknął głosem najeżonym ostrzami.

Barjazid zaczął się wić. W próżnych oczach małego człowieczka pojawiło się przerażenie.

– Nie chciałem urazić, panie! Nie miałem na myśli nic złego. Chodzi tylko o to, że widzę sposób, by zwiększyć moc hełmu, który trzymasz w dłoniach. Sposób wykorzystuje pewne... doświadczenia... które posiadasz.

Mandralisca pochylił się w przód. Wciąż odczuwał nieprzyjemne ukłucie, spowodowane niespodziewanym wtargnięciem do jego duszy, ale mimo to był głęboko zainteresowany.

– Jak to?

– Niech się zastanowię – powiedział ostrożnie Barjazid. Miał postawę człowieka, który zamierza przeprowadzić filozoficzną dysputę z przypadkowo spotkanym na pustej, wiejskiej drodze parskającym, wściekłym khulpoinem z żółtymi ślepiami i miotającymi płomienie oczami. – Użytkownik hełmu tworzy moc wewnątrz siebie samego. Wierzę, że można zwiększyć moc urządzenia poprzez czerpanie z jakiegoś zbiornika bólu, furii, mógłbym wręcz powiedzieć „nienawiści”.

– Powiedz to więc. *Nienawiść*. Rozumiem to słowo.

– Tak, nienawiść. W związku z tym przyszły mi do głowy pewne pomysły, panie, kiedy przypomniało mi się, co mówiłeś o swoim dzieciństwie... o ojcu. O wczesnym... nieszczęściu. – Barjazid z trudem dobierał słowa, wyraźnie rozumiał, że stąpa po grząskim

gruncie. Rozumiał, że Mandralisca może nie chcieć, by przypominano mu rzeczy, które niechcący wygadał tego dnia, kiedy z Barjazidem i Jacominem Halefice'em szli po targu. Jednak Mandralisca opanował się i gestem nakazał mu, by mówił dalej. Barjazid zrobił to nader zręcznie: posługując się napomknieniami, aluzją i eufemizmami, namalował portret Mandraliski jako chłopca, wiecznie obawiającego się dzikiego, pijanego ojca i pewnych siebie, dręczących go braci, codziennie zadających mu nowe cierpienie; chłopca, który zbiera w sobie nienawiść do nich, aż pewnego dnia wyleje ją na świat. Nienawiść, która może zmienić się w atut, którą można opanować i uczynić z niej źródło wielkiej mocy. Dał kilka wskazówek, jak można to osiągnąć.

To była bardzo cenna wiedza. Mandralisca był wdzięczny, że Barjazid zechciał się nią podzielić. Mimo to żałował, że choć na chwilę odsunął zasłonę, która skrywała wczesne lata jego życia. Zawsze uważał, że wygodnie jest być przez świat postrzeganym jako potwór wyrzeźbiony z lodu. Pozwolenie, by ktoś dojrzał ukrytego gdzieś za tą fasadą wrażliwego chłopca z dawnych czasów wiązało się zawsze z ogromnym ryzykiem. Gdyby mógł, chętnie cofnąłby każde słowo, które tamtego popołudnia powiedział temu małego człowieczkowi.

– Wystarczy – powiedział w końcu Mandralisca. – Wytłumaczyłeś wszystko dość dokładnie. Idź teraz i pozwól mi zająć się moją pracą.

Sięgnął po hełm.

Późna jesień w Gongharach powoli stawała się wczesną zimą. Lekki, ale nieustający deszcz pory cieplej z wolna zaczął ustępować zimnym, lecz równie nieustannym deszczom jesieni, ciężkim od mokrego śniegu, które za następnych kilka tygodni ustąpią z kolei przed pierwszym śniegiem zimy. Oto chatka, brudna buda, sypiący się, pechowy dom, gdzie mieszka handlarz winem Kekkidis wraz z rodziną, w smutnym, małym, górskim miasteczku Ibykos. Godzina jest późnopołudniowa, ciemna i zimna. Deszcz bębni o gnijący, pokryty porostami dach i przecieka tymi co zawsze otworami, wpadając do tych co zawsze kubłów z miarowym plum, plum, plum. Mandralisca nie ośmiela się rozpaścić ognia. W tym domu nie marnuje się opału, a wszelki opał nie wykorzystany dla wygody ojca uważa się za zmarnowany. Tutaj nie jest ważny nikt poza ojcem, a ogień rozpala się, kiedy on wróci z pracy, nie wcześniej.

Dzisiaj może to nastąpić za wiele godzin. A może, jeśli Bogini się zlituje, nigdy.

Kekkidis i jego najstarszy syn, Malchio, od trzech dni przebywali w oddalonym o stop mil mieście Velathys próbując odkupić zapasy innego kupca, który zginął w lawinie i zostawił pół tuzina głodnych dzieci. Mają wrócić dzisiaj, właściwie trochę się już spóźniają,

ponieważ latacz kursujący pomiędzy Velathys i Ibykos wyrusza o świcie i jest w Ibykos wczesnym popołudniem. Teraz jest prawie ciemno, a latacz jeszcze nie przyjechał. Nikt nie wie dlaczego. Drugi brat Mandraliski od południa czeka na stacji z wozem. Trzeci jest w winiarni, pomaga matce. Mandralisca jest w domu sam. Zabawia się fantazjami o kataklizmach, które mogły spotkać po drodze jego ojca. Może – może, może, może! – stało się coś złego. Może. Może.

Innym sposobem zabijania czasu i na ogrzanie się jest ćwiczenie walki palcatem, wykonanym z kawałka drewna nocokwiatu. Taki palcat jest najlepszy, a Mandralisca oszczędzał po jednym, kwadratowym miedziaku przez cały zeszły rok, by kupić sobie przyzwoitą laskę, którą strugał, aż osiągnęła idealną długość i wagę i pasowała mu do dłoni tak, że można pomyśleć, iż palcat wykonał mistrz rzemieślniczy. Teraz Mandralisca trzyma oręż tak, że opiera mu się delikatnie o dłoń i porusza się zręcznie po pokoju, walczy z cieniami, dźga, paruje. Jest szybki, jest dobry, ma silny nadgarstek i bystre oko, liczy, że kiedyś zostanie mistrzem. Teraz jednak chodzi mu głównie o to, by się rozgrzać.

Wyobraża sobie, że jego przeciwnikiem jest ojciec. Tańczy wokół pokoju i wokół starucha, kpiąc dźga go swoją bronią, dotyka obu ramion, podbródka, policzka, bawi się z nim, wymanewrowuje, poniża. Kekkidis zaczyna warczeć w furii, uderza swoim kijem, trzymanym oburącz niczym siekiera, ale chłopiec jest od niego dziesięć razy szybszy, dotyka go znów i znów i znów, a Kekkidis nie jest w stanie trafić go chociaż raz.

Może nigdy nie wróci. Może umrze gdzieś po drodze. Mandralisca modli się, żeby już nie żył.

Niech na niego też zjedzie lawina.

Wzgórza nad Ibykos są już pokryte śniegiem, ciężkim, mokrym śniegiem, zwyczajnym na granicach o tej porze roku. Mandralisca zamyka oczy i wyobraża sobie padający deszcz, uderzający w czarne, granitowe podłoże, podcinający zasy pod kątem jak nóż, aż spadają falującymi blokami na leżącą w dole drogę, prosto na przejeżdżający latacz z Velathys... pokrywają go aż do wiosny... Kekkidis i Malchio zagrzebani pod tonami śniegu...

Albo niech nagle oberwie się droga. Niech dziura połknie latacz.

Niech latacz nagle zjedzie z drogi. Niech runie do rzeki.

Niech silnik popsuje się w połowie drogi. Niech dopadnie ich śnieżycyca i niech pozamarzają.

Mandralisca kontrapunktuje każde z tych marzeń wściekłym pchnięciem palcata. Ciach – ciach – ciach. Wiruje, tańczy, obraca się lekko na czubkach palców, uderza, gdy jego ciało zwrócone jest bokiem do przeciwnika. Atakuje znad głowy, od góry, niemożliwie do

obrony, szybko jak błyskawica. A masz! Masz! Masz!

Nagle słyhać dźwięk podjeżdżającego wozu. Mandralisca chce płakać. Nie było lawiny, nie było dziury, nie było śmiercionośnej śnieżycy. Kekkidis wrócił do domu.

Głosy. Kroki na zewnątrz. Kasłanie. Ktoś tupie, dwie osoby, Kekkidis i Malchio zrzucają śnieg z butów.

– Chłopcze! Gdzie jesteście, chłopcze? Wpuść nas! Wiesz, jak tu jest zimno?

Mandralisca stawia palcat pod ścianą. Biegnie do drzwi, szarpie się z zasuwką. W progu stoi dwóch wysokich mężczyzn, jeden starszy; dwóch ponurych, patrzących gniewnie, o pociągłych twarzach, długich, tłustych, czarnych włosach, błyszczących, złych oczach. Mandralisca czuje w ich oddechach brandy. Pachną też wściekłością: ostrym, piżmowym smrodem, wydobywającym się spod ich futrzanych szat. Coś musiało pójść nie tak. Przechodzą koło niego, odpychają go na bok.

– Gdzie ogień? – pyta Kekkidis. – Czemu tu jest tak przekłęcie zimno? Powinieneś być rozpałić dla nas ogień!

Nie ma na to rady. Dostanie mu się, jeśli rozpałi ogień, dostanie, bo nie rozpałił. Stara historia. Biegnie, by przynieść chrust z ganku za domem. Jego ojciec i brat, wciąż w futrzanych płaszczach, stoją na środku pokoju i rozcierają ręce, by je ogrzać. Rozmawiają o podróży. Ich głosy są ostre i gorzkie. Ewidentnie przedsięwzięcie się nie powiodło, agenci tamtego kupca byli dla Kekkidsa zbyt ostrzy, tani i łatwy zakup wyprzedawanych w rozpaczę dóbr się nie powiodł, cała wyprawa była stratą czasu i pieniędzy. Mandralisca pochyla głowę i zajmuje się swoimi sprawami, nie zadaje pytań. Jest zbyt mądry, żeby zwracać na siebie uwagę, kiedy jego ojciec jest w takim humorze. Najlepiej nie wchodzić mu w drogę, trzymać się cieni, pozwolić mu wyładować gniew na garnkach, patelniach i stołkach, a nie na najmłodszym synu.

Nie da się tego jednak uniknąć. Mandralisca wykonuje jakieś polecenie o pół kroku za wolno. Kekkidisowi się to nie podoba. Warczy, przeklina, nagle dostrzega palcat Mandraliski, stojący pod ścianą, łapie go i mocno dźga nim chłopca w brzuch.

To jest nie do zniesienia. Nie chodzi o ból uderzenia palcatem, choć prawie pozbawia go tchu, ale o to, że ojciec w ogóle dotyka jego ukochanego przedmiotu. Kekkidis nie ma go po co dotykać, a już szczególnie nie ma prawa używać go przeciwko chłopcu. Palcat jest *jego*. Kupiony za własne pieniądze, wystrugany własnymi rękoma.

Mandralisca bez namysłu wyciąga rękę, kiedy Kekkidis szykuje się do kolejnego ciosu. Szybki jak błyskawica podchodzi do niego, łapie za czubek palcata, ciągnie, próbując wyrwać go ojcu z dłoni.

To koszmarny błąd. Wie to już w momencie, kiedy go popełnia, ale pomimo całej swojej szybkości nie może się powstrzymać. Kekkidis gapi się na niego dziko, z szeroko otwartymi oczami, w obliczu tak zuchwałego sprzeciwu wręcz zaplują się z wściekłości. Wyrywa palcat z ręki Mandraliski, wykręcając go z taką siłą, że chłopiec nie może się przeciwstawić. Łapie kawałek drewna za oba końce, uśmiecha się, z łatwością łamie go na kolanie, uśmiecha się znowu, pokazuje chłopcu połamane kawałki, po czym niedbale wrzuca je w ogień. Wszystko to trwa tylko chwilę.

– Nie – mamrocze Mandralisca, nie wierząc w to, co się stało. – Nie... nie... proszę...
Oszczędności całego roku. Jego piękny palcat.

Trzydzieści pięć lat później, tysiąc mil na północny wschód, mężczyzna, który nazywa się Mandraliską, hrabią Zimroelu, siedzi w małym, okrągłym pokoju o łukowym sklepieniu i ścianach pokrytych gliną w kolorze spalonego pomarańcza, na wzniesieniu nad pustynną Równiną Biczów. Na skroni ma hełm z metalowej plecionki, dłonie ma zaciśnięte, jakby w każdej trzymał kawałek złamanego palcata.

Widzi przed sobą twarz ojca. Jego tryumfalny, mściwy uśmiech. Niedbale trzymane kawałki palcata... rzucane w ogień...

Umysł Mandraliski szybuje w górę... na zewnątrz... szuka... pamięta... nienawidzi...
Nie... nie... proszę...

Teotas śpi, kolejny raz pokonany przez sen. Nie może zrobić nic innego. Jego duch boi się snu, lecz ciało się go domaga. Co noc walczy, przegrywa, poddaje się. A teraz, pomimo conocnej walki, znowu leży, uśpiony. Śni.

Pustynia, gdzieś, w jakimś nierzeczywistym miejscu. Halucynacje unoszą się ze skał jak fale gorąca. Słyszy jęki, czasem łkanie i coś, co mogłoby być chórem dużych, czarnych żuków – suchy, szeleszczący dźwięk. Wiatr jest gorący, niesie pył. Świt wstaje z oślepiającą jasnością. Skały są niczym jasne węzły czystej energii, ich czerwone powierzchnie o bogatej fakturze wibrują nieustannie zmieniającymi się wzorami. Na jednej ze ścian każdej skały widzi krążące z gracją złote światła. Po przeciwnej stronie bladoniebieskie kule nieustannie pojawiają się niczym mydlane bańki i unoszą się w powietrzu. Wszystko połyskuje. Wszystko lśni wewnętrznym światłem. Byłoby tu cudownie pięknie, gdyby nie to, że jest tak strasznie.

On sam zamienił się w coś paskudnego. Jego ręce stały się młotami. Palce u nóg to hakowate pazury. Jego kolana mają pozbawione brwi oczy. Język ma z atlasu. Ślinę ze szkła. Jego krew jest żółcią, a żółć krwią. Osacza go posępne poczucie nieuniknionej kary. Stwory,

całe z pionowych żeber z szarej chrząstki, wydają w jego kierunku płaskie, dudniące dźwięki. Z jakiegoś powodu rozumie, co mówią: wyrażają pogardę, wysmiewają jego liczne wady. Chce krzyknąć, ale nie potrafi wydać z siebie dźwięku. Nie może też uciec. Jest sparaliżowany.

– Fi-o-rin-da...

Z największym wysiłkiem udaje mu się wypowiedzieć jej imię. Czy ona go słyszy? Czy może ocalić?

– Fi-o-rin-da...

Szarpie skreconą, skłębioną kołdrę. Fiorinda leży koło niego niczym porzucona lalka naturalnych rozmiarów, odcięta ścianą snu. Wie, że tam jest, nie może jej sięgnąć, nie może w żaden sposób nawiązać z nią kontaktu. Jedno z nich jest w innym świecie. Nie wie, które. Pewnie ja, decyduje. Tak. Jest w innym świecie, śpi, śni, śni, że leży we własnym łóżku na Zamku, że śpi obok śpiącej Fiorindy, której nie może dosięgnąć. I że śni.

– Fiorinda?

Cisza. Samotność.

Teraz rozumie, że na pewno śni mu się, że nie śpi. Siada, sięga nocnej lampki. W jej słabym, zielonym świetle widzi, że jest sam w łóżku. Teraz sobie przypomina: Fiorinda jest z Varaile w Labiryncie, nie jest to permanentna separacja, a tylko odłożenie na później decyzji, krótka wizyta, by pomóc Varaile urządzić się w nowym domu. Potem zdecydują, które z nich obejmie proponowane stanowisko, czy Fiorinda zostanie damą dworu żony nowego Pontifexa, czy on będzie Wysokim Doradcą Lorda Dekkereta. Ale jak może być doradcą, skoro nie jest niczym więcej, jak tylko najbardziej ohydny insektem?

Póki co, jest sam na Zamku. Atakowany przez bezlitosne sny.

Noc za nocą... Przerazenie. Szaleństwo. Gdzie mógłby się ukryć? Nigdzie. Nie ma gdzie się schować. Nigdzie. Nigdzie.

– Słyszałeś coś? – zapytała Varaile. – Jakby płacz jednego z dzieci.

– Co? Co?

– Obudź się, Prestimionie! Jedno z naszych dzieci...

Wydał z siebie kolejny pytający dźwięk, ale wyraźnie nie miał zamiaru się budzić. Po chwili Varaile zrozumiała, że właściwie nie miał po co. Było bardzo późno. Był wykończony. Od przybycia do Labiryntu dni – i niejedna noc – upływały mu na spotkaniach, konferencjach, dyskusjach. Trzeba było rozmawiać z urzędnikami Pontyfikatu Confalume'a i ich ocenić, włączyć do systemu nowych ludzi, którzy przyjechali z Prestimionem z Zamku.

Na przeczytanie czekały aplikacje, petycje...

Niech śpi, pomyślała Varaile. To było coś, z czym mogła sobie sama poradzić.

Wtedy usłyszała to znów: dziwny, stłumiony dźwięk, który usiłował być krzykiem, ale zamiast tego brzmiał jak jęk. Po jego wysokości rozpoznawała Simbilona, który, pomimo wieku, wciąż miał czysty, jasny kontralt. Udała się wpierw do jego pokoju, niepewnie idąc przez skomplikowany kompleks pokoi rezydencji imperialnej. Tuż nad nią płynęła kulka pomarańczowego światła, rozjaśniając drogę.

Simbilon spał spokojnie pośród jakiegoś tuzina rozsypanych książek, które leżały wszędzie wokół niego. Jedna, wciąż otwarta, spoczywała mu na piersi, tam, gdzie spadła, gdy zapadał w sen. Varaile uniosła ją i położyła na poduszce, po czym wyszła z pokoju.

Znowu usłyszała dziwny dźwięk, teraz bardziej nagłący. Przeraziła ją myśl, że podobny dźwięk może wydawać jedno z jej dzieci. Przeszła szybko korytarzem i weszła do pokoju, w którym na stercie wypchanych zwierząt spała Tuanelys. Jej łóżko zasypane było włochatymi blawami, sigimoinami, bilantoonami, canavongami i ghalvarami. Był tam nawet długonosy manculain, jej obecny ulubieniec, przekształcony ręką rzemieślnika w coś milutkiego i uroczego, choć prawdziwe manculainy z dżungli Stoienzar, pokryte trującymi, żółtymi kolcami, były tak mało milutkie, jak tylko to możliwe.

Teraz jednak nie otaczały jej wypchane zwierzęta. Tuanelys rozrzuciła je na wszystkie strony, jakby były czymś okropnym, co nawiedziło ją w łóżku. Odrzuciła nawet ukochanego manculaina, Varaile dostrzegła go, leżącego do góry nogami na toalecie, z której przy lądowaniu zrzucił jakiś tuzin małych, szklanych naczynek, które dziewczynka lubiła zbierać. Kilka z nich się potłukło. Sama Tuanelys skopała kołderkę i leżała zwinięta w ciasny kłębek, z kolanami podciągniętymi niemal pod brodę, sztywna, z koszulką nocną podciągniętą pod pachy, naga. Jej ciało lśniło od potu, jak w gorączce. Kałuża potu plamiła prześcieradło wokół niej.

– Tuanelys, kochanie...

Kolejny jęk, który chciał być wrzaskiem. Przez dziewczynkę przebiegały konwulsyjne wstrząsy, drżała i trzęsła się, kopnęła wpierw jedną, potem drugą nogą, zacisnęła pięści, wciągnęła głowę w ramiona. Varaile delikatnie dotknęła jej ramienia. Skórę miała chłodną, normalną, nie gorączkowałą. Odsunęła się jednak pod dotykiem. Zaczęła znów jęczeć, po chwili jęk przemienił się w rozdzierający szloch. Rysy dziecka zamieniły się w okropną maskę, mocno zaciskała oczy, nozdrza miała rozdęte, usta ściągnięte, wyszczerzone ząbki.

– To tylko ja, skarbie. Ciii... Ciii... wszystko jest dobrze. Mamusia jest przy tobie. Ciii, Tuanelys. Ciii...

Poprawiła koszulkę nocną córki, ściągnęła ją z powrotem na talię i uda. Odwróciła ją, by mała leżała na plecach, delikatnie gładziła ją po czole, cały czas uspokajająco mrucząc. Stopniowo ciśnienie, które opanowało Tuanelys, zaczęło opadać. Chwilami znów wstrząsały nią dreszcze w odpowiedzi na jakąś straszliwą wizję, ale coraz rzadziej, a straszna maska rozluźniła się i rysy dziewczynki stały się normalne.

Varaile zdała sobie sprawę, że ktoś za nią stoi. Prestimion? Nie, to była Fiorinda. Obudziła się i przysła z własnego pokoju, by zobaczyć, co się dzieje.

– Koszmar – powiedziała Varaile. – Mogłabyś przynieść jej czarbkę mleka?

Oczy Tuanelys otworzyły się gwałtownie. Zdawała się być skołowana, zagubiona, bardziej zszokowana, niż można się spodziewać po dziecku, które obudzono w środku nocy. Mieszkała w Labiryncie dopiero drugi tydzień. Próbowali urządzić jej pokój tak, żeby jak najbardziej przypominał ten na Zamku, ale nawet pomimo tego... ogrom zmiany, jaką przechodziła...

– Mamusiu...

Głos miała zachrypnięty. Nie używała tego słowa od ponad dwóch lat.

– Już dobrze, Tuanelys. Wszystko w porządku.

– Nie mieli twarzy... Tylko oczy...

– Nie byli prawdziwi. To był sen, kochanie.

– Były ich setki. Bez twarzy. Tylko... oczy. Och, mamusiu, mamusiu...

Trzęsa się ze strachu. Cokolwiek ujrzała we śnie, wciąż w niej żyło. Powoli zaczęła opowiadać Varaile, co widziała, czy raczej próbowała, bo jej opis był poszarpany, a słowa często niespójne. Jasne było, że widziała coś okropnego. Brakowało jej jednak umiejętności, by przedstawić swój koszmar Varaile. Białe stworzenia... tajemnicze, blade *istoty*... maszerująca banda ludzi bez twarzy... a może były to jakieś gigantyczne robaki? Tysiące wpatrujących się oczu...

Szczegóły nie były istotne. Koszmar małej dziewczynki nie mógł mieć znaczenia, ważne było, że w ogóle miała koszmary. Tutaj, w bezpiecznym Labiryncie, w komnatach na samym dnie sektora imperialnego, coś ciemnego i straszego dotarło do umysłu córki Pontifexa Majipooru. To nie było w porządku.

– Byli tacy zimni – mówiła Tuanelys. – Nienawidzą wszystkiego, co jest ciepłe i ma krew w żyłach. Martwi ludzie z oczami. Siedzieli na białych wierzchowcach. Zimni... tacy zimni... Dotykałeś ich i zamarzałeś.

Wróciła Fiorinda z czarbką mleka.

– Trochę je podgrzałam. Biedne dziecko! Zastanawiałam się, czy nie dodać odrobiny

brandy.

– Lepiej nie tym razem. Tuanelys, pozwól, poprawię ci kołdrę. Wypij to, kochanie. To mleko. Pij... powolutku. Małymi łyżkami.

Tuanelys siorbała z czaraki. Dziwny napad chyba jej przeszedł. Rozglądała się w poszukiwaniu wypchanych zwierzątek. Varaile i Fiorinda zebrały je i ułożyły na łóżku. Mała znalazła manculaina i wcisnęła go pod kołdrę, obok siebie.

– Teotas także – powiedziała Fiorinda – miał w zeszłym tygodniu straszliwe koszmary. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby miał je i teraz. Chcesz, żebym przy niej została, Varaile?

– Idź spać. Zaopiekuję się nią.

Wyjęła pustą czarękę z ręki Tuanelys i delikatnie oparła głowę małej na poduszkach, przytulając ją i łagodnie głaszcząc, wskazując drogę z powrotem w sen. Przez chwilę dziewczynka była całkowicie spokojna. Potem znów zadrżała, jakby koszmar powracał.

– Oczy – wymamrotała. – Bez twarzy.

I tak się to skończyło. Po paru minutach spała spokojnie. Zachrapała cicho, po dziecięcemu. Varaile przez chwilę jej pilnowała, czekała, chciała się upewnić, że wszystko jest w porządku. Na to wyglądało. Wyszła na paluszkach i poszła do własnej sypialni, gdzie znalazła Prestimiona wciąż śpiącego. Położyła się u jego boku i leżała tak, nie śpiąc, aż do pozbawionego słońca świtu w Labiryncie.

Mandralisca stał przed jego lordowską mością Gaviralem w wielkiej sali jego pałacu i bezmyślnie przerzucał hełm Barjazida z ręki do ręki, gestem, który ostatnio stał się wręcz jego tikiem.

– Mam raport postępów, milordzie Gaviralu – powiedział. – Tajna broń, o której wspominałem, ten mały hełm, pamiętasz? Zaszedłem daleko w nauce korzystania z niego.

Gaviral uśmiechnął się. Był to uśmiech pozbawiony ciepła, szybki skurcz jego wąskich ust, odsłaniający trójkątne zęby, mignięcie lodowatego ognika w małych, głęboko osadzonych oczach. Przeciągnął dłonią po szorstkich, rzędnych, rudawych włosach i powiedział:

– Czy chcesz mi zgłosić jakieś szczególne wyniki?

– Dotarłem na Zamek, milordzie.

– Ach.

– I do Labiryntu.

– Ach. *Ach!*

To było ulubione powiedzonko Dantiryi Sambaila, takie podwójne „ach” z krótką pauzą i mocną emfazą na drugim. Gaviral nie mógł być zbyt duży, kiedy zmarł jego wuj, ale udawało mu się doskonale naśladować jego intonację. Dziwnie i wcale nie zabawnie było słyszeć to podwójne „ach” z jego ust, jakby pokaz bruchomówstwa zza grobu. Jego lordowska mość Gaviral odziedziczył niemało brzydoty po sławnym wuju, ale nie miał jego mrocznego sprytu i czarnej, złej inteligencji i Mandralisce nie pasowało, że słyszał od niego tak dokładne naśladownictwo manieri prokuratora. Zachowywał to jednak dla siebie, podobnie jak wiele innych myśli.

– Jestem teraz gotów – powiedział – zaproponować zmianę naszej strategii.

– Polegającą na...?

– Na przeniesieniu się nieco bardziej agresywnie do miejsca, gdzie będzie nas widać, milordzie. Proponuję opuścić to miejsce na pustyni i przenieść nasze centrum dowodzenia do Ni-moya.

– Szokujesz mnie, hrabio. Od początku naszej kampanii ostrzegałeś nas przed podobnym krokiem. Mówiłeś, że byłby to jasny sygnał dla urzędników Pontyfikatu, których w Ni-moya nie brakuje, że w Zimroelu wybuchło powstanie przeciwko rządowi centralnemu. Ledwo miesiąc temu ostrzegałeś nas przed przedwczesnym odkryciem kart. Dlaczego teraz zaprzeczasz własnym radom?

– Ponieważ teraz boję się rządu mniej, niż w zeszłym roku, a nawet w zeszłym miesiącu.

– Ach. Ach!

– Wciąż uważam, że powinniśmy do naszego celu dążyć z wielką ostrożnością. Nie będę doradzał wydania wojny rządowi Prestimiona i Dekkereta, przynajmniej nie teraz. Ale widzę już, że możemy sobie pozwolić na większe ryzyko, z powodu broni, którą dysponujemy – przerzucił hełm z ręki do ręki. – Jest ona dużo potężniejsza, niż mi się wydawało. Jeśli Prestimion i spółka spróbują nas skrzywdzić, możemy się bronić.

– Ach!

Mandralisca czekał na drugie „ach”, patrząc na Gavirala wściekle, ale nie nastąpiło.

Po chwili powiedział:

– W takim razie udamy się do Ni-moya. Ponownie zajmiesz pałac prokuratora, choć nie przyjmiesz tego tytułu. Twoi bracia zajmą niemal równie wielkie rezydencje. Na razie będziecie żyli jako prywatni obywatele, z władzą wyłącznie nad rodzinnymi dobrami. Czy to jasne, milordzie Gaviralu?

– Czy to znaczy, że już nie będziemy lordami? – powiedział Gaviral. Po jego minie

było wyraźnie widać, że ta perspektywa go smuci.

– W zaciszu własnych domostw wciąż będziecie Lordami Zimroelu. W rozmowach z mieszkańcami Ni-moya będziecie pięcioma książętami z klanu Sambailidów i nikim ponad to, na razie. Później, milordzie, mam dla ciebie tytuł lepszy nawet od Lorda, ale na to będziesz musiał jeszcze trochę poczekać.

Brzydka twarz Gavirala zajaśniała podnieceniem. Pochylił się z zapalem w stronę Mandraliski.

– A jak ma brzmieć ten lepszy tytuł? – zapytał, choć znał już odpowiedź.

– Pontifex – odpowiedział Mandralisca.

12

– Mój lordzie – powiedział szambelan Dekkereta. – Przyszedł książę Dinitak.

– Dziękuję, Zeldorze Luudwidzie. Poproś go, żeby wszedł.

Rozbawiło go, że szambelan podniósł Dinitaka do godności książęcej. Nigdy nie nadano mu podobnego tytułu, Dekkeret także nie zamierzał tego robić, ani też Dinitak nie okazywał zainteresowania otrzymaniem tytułu szlacheckiego. Wciąż był synem Venghenara Barjazida, dzieckiem suvraelskiej pustyni, które niegdyś współpracowało ze swoim ojcem przy oszukiwaniu i wykorzystywaniu podróżnych, wynajmujących ich jako przewodników po tej nieprzyjaznej ziemi. Arystokracja Góry Zamkowej zaakceptowała Dinitaka jako przyjaciela Dekkereta, który zresztą nie dał im w tej kwestii wyboru. Nigdy jednak nie zgodziliby się na to, by Dekkeret wcielił go do ich własnej, uświęconej kasty.

– Dinitak – powiedział Dekkeret wstając, by go uściskać.

W ciągu ostatnich tygodni Dekkeret urządził sobie biuro w jednym z segmentów Długiej Sali Methiraspa, która właściwie wcale nie była salą, a raczej rzędem osmiokątnych komnat w Bibliotece Lorda Stiamota. Sama biblioteka była korytarzem, ciągnącym się serpentynami wokół szczytu Góry Zamkowej i mającym w sumie wiele mil długości. Według legendy znajdowała się w niej każda książka, jaką kiedykolwiek wydrukowano w każdym ze światów kosmosu. W miejscu znajdującym się dokładnie pod trawnikiem na Dziedzińcu Vildivara biblioteka ta otwierała się na dwanaście sal Sali Methiraspa. Pozostawiono je do użytku naukowców, ale rzadko zajęta była więcej niż jedna, może dwie.

Dekkeret znalazł te pokoje podczas jednej ze swoich wędrówek po Zamku i natychmiast je polubił. Były to przestronne komnaty wysokie na dwa piętra, o ścianach pokrytych malowidłami wyobrażającymi smoki morskie i niezwykle stwory lądowe, turnieje rycerskie, cuda przyrody i wiele innych rzeczy we wspaniałym, średniowiecznym stylu. Wysoko w górze z sufitów – pomalowanych na jasne kolory, cynober, żółć, zieleń, błękit i pokrytych cienką warstwą przezroczystego lakieru, dzięki któremu lśniły jak kryształ – sączyło się ciepłe, odbite światło. Korytarze, zastawione po obu stronach rzędami książek, prowadziły do właściwej części biblioteki. Dekkeret co chwilę wracał do tego przyjemnego

schronienia wewnątrz Zamku i w końcu polecił, by zamknięto jeden z jego segmentów, zwany Gabinetem Lorda Spurifona, i urządził w nim własne biuro. To właśnie tam przyjmował tego dnia Dinitaka Barjazida.

Przez jakiś czas rozmawiali cicho o mało ważnych sprawach: wizycie w wielkim mieście Stee, którą niedawno odbył Dinitak, planach Dekkereta na podróż tam i do sąsiadujących miast Góry i podobnych kwestiach. Dekkeret z łatwością zauważył, że w duszy przyjaciela skrywa się jakieś napięcie, ale pozwolił ustalać mu tempo rozmowy i stopniowo przejść do kwestii, która kazała mu udać się na tę prywatną audiencję u Koronala.

– Czy widywałeś się ostatnio z księciem Teotasem, wasza lordowska mość? – zapytał Dinitak, a w jego tonie czuć było nowe napięcie.

Dekkereta zaskoczyła ta niespodziewana wzmianka o Teotasie. Ten problem i dla niego stał się drażliwy.

– Widuję go czasami, lecz niezbyt często – odparł. – Ponieważ wciąż nie rozwiązaliśmy kwestii, kto będzie następnym Wysokim Doradcą, zdaje się, że mnie unika. Nie chce odrzucić tej nominacji, ale nie potrafi też zmusić się do jej przyjęcia. Winię za to Fiorindę.

Chłodne, świdrujące oczy Dinitaka wyraziły zaskoczenie.

– Fiorindę? Co ona ma wspólnego z twoim wyborem Wysokiego Doradcy?

– Jest żoną tego, którego wybrałem, nieprawdaż, Dinitaku? A to powoduje komplikacje, których nigdy nie brałem pod uwagę. Pewnie wiesz, że pojechała do Labiryntu z Lady Varaile i zostawiła Teotasa tutaj. – Dekkeret, zirytowany, przerzucał papiery na biurku. Omawianie kłopotliwej sprawy Teotasa, nawet z Dinitakiem, złościło go. – Nie spodziewałem się, że każe Teotasowi wybierać między zostaniem Wysokim Doradcą a pozostaniem przy żonie.

– Uważasz, że to aż tak poważne?

Dekkeret zgarnął papiery na stos nerwowym ruchem.

– A skąd mam wiedzieć? Teotas praktycznie ze mną teraz nie rozmawia. Z jakiego innego powodu miałby się wahać, czy przyjąć to stanowisko? Jeśli Fiorinda postawiła mu jakieś ultimatum na temat życia w Labiryncie, to nie może tu zostać i być Wysokim Doradcą, o ile nie chce rozpadu swojego małżeństwa. Kobiety!

Dinitak uśmiechnął się.

– To trudne istoty, prawda, panie?

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że przedłoży pozostanie damą dworu przy Varaile nad szansę, by jej mąż objął pozycję na Zamku niższą tylko od mojej własnej. Tymczasem

Septach Melayn już jest w Labiryncie jako Wysoki Rzecznik Prestimiona, a stanowisko Wysokiego Doradcy pozostaje puste. Poza tym Teotas wygląda jak strzep człowieka. To wszystko musi go wykańczać.

– Tak, wygląda bardzo źle – przyznał Dinitak. – Wydaje mi się jednak, że problem z Fiorindą nie jest jedyną rzeczą, która tak źle na niego działa.

– Co mówisz? Co jeszcze się dzieje?

Dinitak spojrzał Dekkeretowi w oczy.

– Ostatnimi czasy Teotas nie raz szukał mojego towarzystwa. Pewnie wiesz, że nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Teraz jednak przeżywa katusze i błaga o pomoc, a nie waży się iść do ciebie z powodu sprawy z Wysokim Doradcą, której nie umie rozwiązać. Zamiast tego przyszedł do mnie. Być może miał nadzieję, że porozmawiam z tobą o nim.

– I to robisz teraz. Ale jak mogę pomóc? Mówisz, że cierpi. Ale jeśli nie może się zdecydować w sprawie tak ważnej, jak zostanie Wysokim Doradcą...

– To nie ma nic wspólnego z tym stanowiskiem, mój panie. Nie bezpośrednio.

Dekkeret, zagubiony i coraz bardziej zniecierpliwiony, szczerknął ostro:

– To o co chodzi?

– Dekkercie, on otrzymuje przesłania. Noc w noc, potworne sny, najstraszniejsze koszmary. Dotarł do momentu, kiedy nie pozwala sobie na sen.

– Przesłania? Przesłania są dobre, Dinitaku.

– Przesłania Pani Wyspy owszem. Ale te nie pochodzą od niej. Pani nie zsyła snów o potworach i demonach, goniących ludzi po przeklętych okolicach. Ani snów, które przekonują cię o twojej całkowitej bezwartościowości i sprawiają, że wierzysz, iż wszystko, co zrobiłeś w życiu, było oszukańcze i godne pogardy. Mówi, że czasami budzi się w nocy i się nienawidzi. Nienawidzi.

Dekkeret znowu zaczął nerwowo przekładać papiery.

– W takim razie Teotas powinien spotkać się z tłumaczem snów i oczyścić sobie głowę. Na Boginię, Dinitaku, to szaleństwo! Zaproponowałem najważniejszą pozycję w moim rządzie człowiekowi, który zdaje mi się mieć po temu idealne kwalifikacje, a teraz odkrywam, że jej nie przyjmie, bo nie pozwala mu żona, a poza tym jest skołowany z powodu paru złych snów! Dobrze, to proste. Wycofam moją propozycję i Teotas będzie mógł popędzić do Labiryntu, żeby być z Fiorindą. Może stary Dembitave chce zostać Wysokim Doradcą. Albo może uda mi się ściągnąć Abridanta z Muldemar. Albo poproszę któregoś z młodszych książąt, na przykład Vandimaina...

– Mój panie – przerwał Dinitak. – Przypominam, że powiedziałem, iż Teotas

otrzymuje przesłania.

– To zdanie nie ma dla mnie sensu.

– Mam na myśli, że ktoś z daleka umieszcza te sny w umyśle Teotasa. Wciąż uważasz, że Pani Snów jest jedyną osobą na świecie, która może wejść do śpiącego umysłu.

– A nie jest tak?

– Pamiętasz, Dekkercie, pewien hełm, drobiazg z metalowej plecionki, którego mój zmarły ojciec użył przeciwko tobie dawno temu, kiedy podróżowałaś po Pustyni Skradzionych Snów w Suvraelu? Pamiętasz późniejszą wersję tego urządzenia, której sam użyłem w twojej obecności, podobnie jak Lord Prestimion, kiedy walczyliśmy ze zbuntowanym Dantiryą Sambailem? Ten hełm daje możliwość wchodzenia w umysły z ogromnej odległości. Sam Prestimion może to potwierdzić, jeśli go spytasz.

– Ale te hełmy i wszystkie dokumenty dotyczące ich budowy są trzymane pod kluczem w Skarbcu Zamku. Nikt się do nich nie zbliżał od lat. Próbujesz mi powiedzieć, że zostały skradzione?

– Bynajmniej, panie.

– Czemu więc o nich rozmawiamy?

– Z powodu snów, które ma Teotas.

– Dobrze. Tak więc Teotas ma bardzo złe sny. To nie jest błaha sprawa. Ale koniec końców, sny są tylko snami. Tworzymy je z ciemności naszych własnych dusz, chyba że zostaną one w nas umieszczone z zewnątrz, a to potrafi tylko Pani Wyspy. A ona nigdy nie zesłałaby snów takich, jakie mówisz, że ma Teotas. I przed chwilą przyznałeś, że mamy jedyną maszynę, która potrafi tego dokonać, a jest nią hełm, używany kiedyś przez twojego ojca.

– A jak możesz być pewien – zapytał Dinitak – że urządzenia, które trzymasz w Skarbcu, są jedynymi istniejącymi? Znam działanie hełmu, mój lordzie. Wiem, co może zdziałać. To, co dzieje się z Teotasem, jest podobne do tego, co można nim osiągnąć.

Po raz pierwszy Dekkeret zaczął rozumieć, na co przez cały czas próbował go naprowadzić Dinitak.

– A kto, jak sądzisz, jest w posiadaniu hełmu, którym znęca się nad biednym Teotasem?

Oczy Dinitaka zalsniły.

– Młodszy brat mojego ojca, Khaymak, był mechanikiem, który skonstruował dla niego hełmy kontrolujące umysły. Przez wszystkie te lata Khaymak pozostawał w Suvraelu i zajmował się jakimiś ciemnymi sprawkami. Ale może pamiętasz, że zaledwie z zeszłym roku

pojawił się na Górze Zamkowej...

– Oczywiście – powiedział Dekkeret. – Oczywiście! – wszystko zaczynało się układać w całość.

– Pojawił się na Górze Zamkowej – kontynuował Dinitak – pragnąc wstąpić na służbę u Lorda Prestimiona. Przyznaję, że powodowała mną niechęć przeżywania zażenowania obecnością tak nieciekawego krewniaka na Zamku, więc osobiście zadbałem, by zabroniono mu choćby zbliżyć się do Zamku. Teraz widzę, że to był poważny błąd.

– Sądziś, że zbudował kolejny hełm?

– Albo to, albo sporządził projekt i szukał kogoś, kto sfinansuje konstrukcję. Jestem prawie pewien, że po to chciał widzieć się z Prestimionem. Przewidywałem, że nie wyniknie z tego nic dobrego, więc zamknąłem przed nim bramy Zamku. Sądzę jednak, że znalazł sponsora gdzie indziej, zbudował nowy hełm i wykorzystuje go na Teotasie. A możliwe, że także na wielu innych.

Dekkeret poczuł zimny dreszcz.

– Tuż przed moją koronacją – powiedział powoli – przyszedł do mnie mag Su-Suheris i powiedział, że miał jakby wizję, w której członek klanu Barjazidów w jakiś sposób stał się Potęgą Królestwa. Wydawało mi się to bezsensowne, więc przestałem się nad tym zastanawiać. Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo w moich oczach miało to zdradzieckie konotacje, jakbyś planował pozbawienie mnie tronu i zostanie Koronalem zamiast mnie. To było zbyt absurdalne, by w ogóle o tym myśleć.

– Nie jestem jedynym Barjazidem na świecie, mój panie.

– Faktycznie. A Maundigand-Klimd przestrzegał mnie przed zbyt dosłowną interpretacją tej wizji. Ale co będzie, jeśli oznaczała ona nie to, że Barjazid zostanie Potęgą – a jaką inną Potęgą mógłby zostać, jeśli nie Koronalem? – ale że zdobędzie potęgę, w ogólnym znaczeniu tego słowa?

– Albo że sprzeda swój hełm i swoje usługi komuś, kto będzie z tej potęgi korzystał – zasugerował Dinitak.

– Ale kto to może być? Na świecie panuje pokój. Prestimion poradził sobie z naszymi wrogami wiele lat temu.

– Praegustator prokuratora wciąż żyje.

– Mandralisca? Nie myślałem o nim od lat! Musi być teraz starym człowiekiem... O ile w ogóle żyje.

– Nie sądzę, żeby był taki stary. Ma najwyżej pięćdziesiąt lat. I podejrzewam, że wciąż może być niebezpieczny. Wiesz, że dotknąłem jego umysłu podczas ostatecznej bitwy

w Stoiengar. Tylko na chwilę, ale to wystarczyło. Nigdy tego nie zapomnę. W jego umyśle jest nienawiść, zwinięta jak ogromny wąż... I gniew na cały świat, pragnienie czynienia krzywdy, niszczenia...

– Mandralisca! – wymamrotał Dekkeret, potrząsając głową. Był zagubiony w zdumieniu, przerażeniu i wspomnieniach.

– Był, jak sądzę, większym potworem niż jego pan, Dantiryja Sambail – powiedział Dinitak. – Prokurator umiał pohamować swoją ambicję. Zawsze była granica, której nie chciał przekroczyć, a kiedy do niej docierał, znajdował kogoś, kto wykona zadanie za niego.

– Choćby Korsibara – skinął głową Dekkeret. – Dantiryja Sambail, wiecznie głodny władzy, nie próbował *sam* zostać Koronalem. Znalazł sobie zastępcę, marionetkę.

– Właśnie tak. Prokurator wolał pozostawać bezpiecznie za kulisami, unikał najgorszego ryzyka, pozwalał innym wykonywać za niego brudną robotę. Mandralisca jest inny. Jest zawsze gotów postawić wszystko na jeden rzut kością.

– Choćby służąc jako praegustator. Kto przy zdrowych zmysłach podjąłby się takiej pracy? Ale on chyba nie martwi się o własne życie.

– Chyba nie. Albo uznał, że warto było zaryzykować. Mógł wygrzebać sobie drogę do serca Dantiryji Sambaila, dając mu do zrozumienia, że gotów jest dla niego ryzykować życiem. Musiało mu się to wydać opłacalne. A kiedy znalazł się przy boku prokuratora, myślał, że prowadził go od jednego strasznego czynu do kolejnego, może dla samej zabawy.

– Nie rozumiem tego człowieka – oświadczył Dekkeret.

– Ani ja, niestety. Miałem bliższą niż ty styczność z potworami. Ale to ty będziesz musiał go powstrzymać.

– Zaczekaj! Bardzo szybko doszliśmy do wniosków, a nasze przypuszczenia idą bardzo daleko – Dekkeret wskazał palcem Barjazida. – Co właściwie próbujesz mi powiedzieć? Wspomniałeś tego starego demona, Mandraliskę, znowu dałeś mu do rąk broń twojego ojca, kontrolującą umysły, zasugerowałeś, że Mandralisca planuje kolejną wojnę ze światem. Ale gdzie dowód, że cokolwiek z tego jest prawdą? Wydaje mi się, że to wszystko opiera się na złych snach Teotasa i wieloznacznej wizji Maundiganda-Klimda!

Dinitak uśmiechnął się.

– Wciąż mamy oryginalny hełm. Pozwól, że wyciągnę go ze Skarbca i za jego pomocą zwiedzę świat. Jeśli Mandralisca wciąż żyje, dowiem się, gdzie jest. I dla kogo pracuje. Co powiesz, panie?

– A co mogę powiedzieć? – głowa Dekkereta pulsowała bólem. Zasiadał na tronie ledwo miesiąc, Prestimion nic o tym jeszcze nie wiedział i nie było Wysokiego Doradcy, do

którego mógłby się zwrócić. Był całkiem sam, nie licząc Dinitaka Barjazida. A teraz okazało się, że być może gdzieś daleko wicherzy stary wróg. Głosem ponurym, pełnym obawy i frustracji, Dekkeret powiedział:

– Mówię, co następuje: znajdź mi go, Dinitaku. Odkryj, co zamierza. Spraw, by nie mógł nam zagrażać, w dowolny sposób. Zniszcz go, jeśli trzeba. Rozumiesz. Zrób, cokolwiek będzie trzeba.

Fulkari przechodziła przez Balkony Vildivara w kierunku Dziedzińca Pinitora, kiedy nadeszła chwila, której bała się od tygodni. Przez bramę z Wewnętrznego Zamku po drugiej stronie Balkonów wyszedł Koronał Lord Dekkeret, wspaniały w oficjalnych szatach, otoczony, jak zawsze ostatnio, grupą poważnie wyglądających mężczyzn, należących do wewnętrznego kręgu jego rządów. Jedyna droga prowadziła prosto w jego kierunku. Nie można było tego uniknąć, musieli stanąć naprzeciw siebie.

Ona i Dekkeret nie rozmawiali w ogóle w ciągu tych tygodni, które minęły od jego wstąpienia na tron. Widziała go zaledwie parę razy i zawsze z dużej odległości, podczas wydarzeń dworskich, na które wysoko urodzone panienki, takie jak Fulkari, pochodzące od dawnych rodzin królewskich, musiały chodzić. Nie kontaktowali się. Ledwo na nią spoglądał. Zachowywał się, jakby była niewidzialna. Ona też unikała wszelkiego kontaktu. Podczas jednej z królewskich audiencji, kiedy zdawało się, że trasa, którą poruszał się przez wielką salę tronową nieuchronnie zaprowadzi go do niej wśliznęła się w tłum, zanim podszedł. Bała się tego, co mógłby jej powiedzieć.

Wszyscy wiedzieli, że jakiś związek istniał kiedyś między nimi, ale już się zakończył. Może on nie chciał tego wyrazić wprost, ale Fulkari wiedziała, że to koniec. Tylko fakt, że jeszcze nie zdobył się na oficjalne zerwanie, trzymał ją przy życiu. Wiedziała, że to głupie. Byli razem przez trzy lata, a teraz w ogóle nie rozmawiali. Czy można było prosić o jaśniejszy dowód? Dekkeret poprosił ją o rękę, ona odmówiła. To był koniec. Czy naprawdę musiał formalnie potwierdzać coś, co było dla wszystkich jasne?

A teraz był tutaj, oddalony o nie więcej niż sto jardów, i szedł w jej kierunku.

Czy będzie dalej udawał, że jest niewidzialna, kiedy spotkają się na tym wąskim balkonie? To by było nie do zniesienia. Takie poniżenie przed Dinitakiem, księciem Teotasem, ministrami Rady Dembitave i Vandimainem i przed resztą tych ludzi. Sama sobie stworzyła to cierpienie, nie miała co do tego wątpliwości, ale cierpiała nie mniej, bo została napiętnowana jako porzucona kochanka króla. Właściwie nawet tym nie była. Kiedy kochali się po raz ostatni, Dekkeret nie był jeszcze Koronalem. Była więc tylko kimś, kto był

kochanką nowego Koronała, kiedy ten był jeszcze zwykłym obywatelem, jedną z wielu kobiet, które w ciągu lat przewinęły się przez jego łóżko.

Postanowiła stanąć z tą sytuacją twarzą w twarz. Pomyślała, że nie jest tylko odrzuconą konkubina. Jest lady Fulkari z Sipermit, w której żyłach płynie krew Koronała Lorda Makhario, króla sprzed pięciuset lat. Co robili przodkowie Dekkereta pięćset lat temu? Czy w ogóle znał ich imiona?

Dzieliło ich teraz nie więcej niż pięćdziesiąt stóp. Fulkari patrzyła prosto na niego. Ich spojrzenia spotkały się i tylko największym wysiłkiem woli powstrzymała się od odwrócenia wzroku.

Dekkeret zdawał się być spięty i zmęczony. I nieufny. Zniknął gdzieś jego radosny, otwarty sposób bycia optymisty, który przez ostatnie trzy lata był jej kochankiem. Teraz wyglądał, jakby był pod wielką presją. Usta miał zaciśnięte, czoło zmarszczone, lewy policzek mu pulsował. Czy była to konsekwencja trosk bycia Koronałem, czy tak reagował na to przypadkowe spotkanie w obecności wszystkich jego towarzyszy?

– Fulkari – powiedział, kiedy byli już blisko. Mówił cicho, a jego głos był równie napięty i z trudem kontrolowany jak wyraz twarzy.

– Mój lordzie – Fulkari pochyliła głowę i wykonała salut rozbłysku gwiazd.

Zatrzymał się przed nią. Na ciasnej przestrzeni małego przejścia na balkonie stała tak blisko niego, że widziała cienką linię potu na jego górnej wardze. Dwaj mężczyźni, którzy szli najbliżej Dekkereta, Dinitak i Vandimain, zrobili krok w tył i wtopili się w tło. Książę Teotas, potwornie zmęczony i spięty, znękany i z przekrwionymi oczami, patrzył na nią jakby była duchem.

Teotas, Dinitak i Vandimain wtopili się w tło jeszcze bardziej, jakby w ogóle zniknęli i Fulkari widziała tylko Dekkereta, zajmującego gigantyczną przestrzeń pośrodku jej świadomości. Stała przed nim twardo. Była wysoka, ale jemu sięgała zaledwie do piersi.

Cisza między nimi trwała i trwała. Gdyby tylko wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, myślała, rzuciłaby się w jego ramiona na oczach ich wszystkich, wielkich panów królestwa, książąt, hrabiów i diuków. Ale nie wyciągał ręki.

Zamiast tego przemówił znowu tym samym napiętym tonem po czasie, który trwał może pięć, sześć sekund, ale dla niej był jak lata.

– Chciałem kogoś po ciebie posłać, Fulkari. Wiesz, że musimy porozmawiać.

Najgorsze słowa. Słowa, których miała nadzieję nie usłyszeć.

Musimy porozmawiać? O czym, panie? Co jeszcze możemy sobie powiedzieć?

Chciała to powiedzieć. A potem przejść koło niego i szybko iść dalej. Wytrzymała

jednak jego spojrzenie i odpowiedziała chłodnym, oficjalnym tonem.

– Tak, panie. Kiedy tylko zapragniesz, panie.

Czoło Dekkereta lśniło teraz od potu. Musi być mu tak samo ciężko jak mi, zrozumiała Fulkari. Odwrócił się do swojego szambelana.

– Zeldorze Luudwidzie, zaaranżuj lady Fulkari prywatną audiencję jutro po południu. Spotkamy się w Sali Methiraspa.

– Doskonale, panie – powiedział szambelan.

– Chce się ze mną widzieć, Keltryn! – zawołała Fulkari. Znajdowały się w skromnym, zagraconym mieszkanku Keltryn w Arkadzie Setiphona, dwa piętra poniżej bardziej imponującego apartamentu zajmowanego przez Fulkari. Zaraz po spotkaniu z Dekkeretem pobiegła do siostry. – Szłam jednym z Balkonów Vildivara, a on przechodził z drugiej strony z Vandimainem i Dekkeretem i mnóstwem innych ludzi i nie mieliśmy wyboru, musieliśmy do siebie podejść – szybko opisała krótkie spotkanie, zaniepokojenie Dekkereta, swoje własne, sprzeczne emocje, zdystansowany charakter tamtej krótkiej rozmowy, umówienie się na spotkanie następnego dnia.

– Cóż, czemu miałby nie chcieć cię oglądać? – zapytała Keltryn. – Nie jesteś brzydsza, niż byłaś miesiąc temu, a nawet ktoś tak zajęty, jak Koronał, lubi pewnie czasem mieć kogoś do towarzystwa w łóżku. Zobaczył cię więc i pomyślał „O, tak, Fulkari... pamiętam ją”.

– Ale z ciebie dzieciak, Keltryn.

Keltryn wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nie sądzisz, że mam rację?

– Oczywiście, że nie. Sam ten pomysł jest ohydny. Wyraźnie myślisz, że i on, i ja jesteśmy prości, że on nie widzi we mnie nic poza praktyczną zabawką na samotne noce i że ja polecę do niego na jedno skinięcie palcem...

– Ale pójdziesz się z nim spotkać, tak?

– Jasne. Mam powiedzieć Koronałowi Majipooru, że nie chce mi się przyjąć jego zaproszenia?

– Skoro tak, szybko przekonasz się, czy mam rację – odparła Keltryn. Oczy lśniły jej tryumfalnie. Dobrze się bawiła. – Idź do niego. Posłuchaj, co ma do powiedzenia. Obstawiam, że nie minie pięć minut, nim cię dotknie. A kiedy to się stanie, zrobisz się miękka jak budyń.

Fulkari patrzyła na siostrę zarazem ze wściekłością i rozbawieniem. Naprawdę była dzieckiem. Cóż ona mogła wiedzieć o mężczyznach, skoro nigdy się żadnemu nie oddała? A

jednak... jednak... Stała poza skomplikowanymi sprawami damsko-męskimi, mogła mieć więc lepszy obraz niż sama Fulkari, uwikłana po uszy.

Siedemnastoletnia Keltryn wcale nie była zupełnie zielona i nieopierzona. W jej słowach była pragmatyczna mądrość, którą Fulkari uczyła się doceniać. Błędem było wciąż widzieć w niej małą dziewczynkę. Zmieniała się. Widać to było w jej twarzy. Fulkari, zdumiona, zauważyła, że była mniej chłopięca, jakby w końcu zmieniała się z małej chłopczycy w prawdziwą kobietę.

Fulkari nerwowo chodziła po pokoju, bezmyślnie podnosząc i odkładając butelki z rzuńtego szkła, które jej siostra chętnie kolekcjonowała. Tonęła w powodzi sprzecznych uczuć.

W końcu odwróciła się i zaczęła mówić dziwnym, wysokim głosem, który sprawiał, że miała wrażenie, iż to Keltryn jest starszą siostrą.

– Jakie są szanse, że on zechce zacząć wszystko od początku? Po tym, co powiedziałam, kiedy poprosił mnie o rękę? Nie. Nie, to niemożliwe. Wie, że nie ma sensu znowu wszystkiego rozgrzebywać. A jeśli po prostu szuka kogoś do łóżka, bez zbędnych komplikacji, to Zamek jest pełen kobiet nadających się do tego lepiej niż ja, które z przyjemnością na to przystaną. Ja i on przeżyliśmy razem zbyt wiele, żeby pozwolić sobie na coś takiego.

Keltryn patrzyła na nią poważnie, z szeroko otwartymi oczami.

– A co, jeśli wciąż cię pragnie? Czy ty tego nie chcesz?

– Nie wiem, czego chcę. Wiesz, że go kocham.

– Tak.

– Ale on szuka żony, a ja już powiedziałam, że nie chcę poślubić Koronała – Fulkari potrząsnęła głową. Czowała, że jej znękany umysł trochę się rozjaśnia. – Nie, Keltryn, nie masz racji. Ostatnią rzeczą, której chce Dekkeret, jest ponowne wiązanie się ze mną. Sądzę, że poprosił, żebym do niego przyszła, ponieważ przypomniał sobie, że nigdy oficjalnie ze mną nie zerwał i czuje się z tego powodu trochę winny, bo przynajmniej tyle jest mi winien. Był tak zajęty koronacją, że zostawił mnie w zawieszeniu, a teraz przyszła pora, by zrobił, co do niego należy. Kiedy wpadliśmy na siebie na balkonie pomyślał pewnie: „no cóż, chyba nie mogę już dłużej zostawiać niedokończonych spraw”.

– Może tak. A jak ty się z tym czujesz? Z tym, że wzywa cię, żeby ostatecznie wszystko skończyć? Powiedz prawdę.

– Prawdę? – Fulkari zawahała się chwilę. – Strasznie mi się to nie podoba. Nie chcę, żeby to był koniec. Mówiłam ci, wciąż go kocham, Keltryn.

– A jednak powiedziałaś mu, że nie chcesz za niego wyjść. Czego się po nim spodziewasz? Musi żyć dalej. Teraz nie potrzebuje kochanki, potrzebuje żony.

– Nie powiedziałam, że nie chcę za niego wyjść. Powiedziałam, że nie chcę wyjść za *Koronala*.

– Tak, tak, ciągle to powtarzasz. Ale to ta sama osoba, prawda, Fulkari?

– Kiedy mówiłam, to nie była ta sama osoba. Nie był jeszcze oficjalnie wybrany. Pewnie miałam nadzieję, że zrezygnuje ze wszystkiego dla mnie. Oczywiście tego nie zrobił.

– Wiesz, że szaleństwem było prosić o coś takiego.

– Wiem. Od piętnastu lat szykowałam się, by zostać następcą Lorda Prestimiona, a kiedy ta chwila nadeszła, mówię mu „nie, jestem od tego dużo ważniejsza, prawda, Dekkerecie?”. Jak mogłam być taka głupia? – Fulkari odwróciła się. Od tego wszystkiego zaczynała boleć ją głowa. Przybiegła do Keltryn zagubiona i po dziewczęcemu podekscytowana, bo „on chce mnie widzieć!”, a siostra metodycznie obnażyła wszystkie jej wątpliwości. To było cenne, ale i bardzo bolesne. Nie miała już siły na tę rozmowę.

– Fulkari? – powiedziała Keltryn po chwili ciszy. – Wszystko w porządku?

– Tak, o tyle o ile. Może pójdziemy popływać?

– Właśnie to chciałam zaproponować.

– Doskonale – powiedziała Fulkari. – Chodźmy. – Po chwili dodała, żeby zmienić temat: – Czy teraz, kiedy Septach Melayn pojechał do Labiryntu, dalej ćwiczysz fechtunek?

– W pewnym sensie – odpowiedziała Keltryn. – Dwa razy w tygodniu spotykam się na sali treningowej z jednym z chłopców z jego grupy.

– Z Audharim? Tym chłopakiem ze Stoienzar, o którym mi mówiłaś?

– Tak, z Audharim.

To było ciekawe. Fulkari czekała, aż siostra powie o nim coś więcej, ale nic takiego się nie stało. Z uwagą przyjrzała się jej twarzy, szukając jakichś oznak zażenowania czy dyskomfortu, czegokolwiek, co mogłoby zdradzić, że jej dziewczęca siostrzyczka wreszcie znalazła sobie kochanka. Nic nie dostrzegła. Albo Keltryn była lepszą aktorką, niż Fulkari przypuszczała, albo między nią a Audharim nie było nic poza niewinnymi ćwiczeniami fechtunku.

Szkoda, pomyślała. W życiu siostry przyszła pora na mały romans.

Niespodziewanie, kiedy doszły na brzeg basenu, Keltryn zapytała:

– Powiedz mi, Fulkari, dobrze znasz Dinitaka Barjazida?

Fulkari zmarszczyła brew.

– Dinitak? Dlaczego o niego pytasz?

– Pytam, bo pytam – ku swemu ogromnemu zdumieniu Fulkari dopiero teraz zobaczyła w niej napięcie, którego nie było gdy rozmawiały o Audharim.

– Przyjaźnicie się? – zapytała Keltryn.

– Nie nazwałbym tego tak. Jesteśmy znajomymi. Nie można przebywać w towarzystwie Dekkereta i nie poznać Dinitaka. Wiesz, że nigdy nie są zbyt daleko od siebie. Ale nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliscy. Jesteśmy znajomymi, nie przyjaciółmi. Powiesz mi, o co ci chodzi, Keltryn? A może nie powinnam wiedzieć?

Keltryn przybrała wystudiowane obojętną minę.

– Jestem po prostu ciekawa. Wpadłam na niego wczoraj w Rotundzie Lorda Haspara, po drodze na ćwiczenia, i rozmawialiśmy przez chwilę. Tylko sobie nic nie pomyśl, Fulkari! Tylko rozmawialiśmy.

– Pomyśleć? Co niby miałabym pomyśleć?

– Przyszło mi do głowy, że jest bardzo... niezwykły – powiedziała Keltryn. Zdawała się uważnie ważyć słowa. – Jest w nim coś dzikiego. Coś tajemniczego i surowego. Pewnie dlatego, że pochodzi z Suvraelu. Wszyscy Suvraelczycy, których poznałam, byli trochę dziwni. To pewnie przez to palące słońce. Ale on jest ciekawie dziwny, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Chyba tak – powiedziała Fulkari, oceniając błysk, który pojawił się w oczach siostry. Doskonale wiedziała, co taki błysk oznacza u siedemnastolatki.

Dinitak? Dziwne. Ciekawe. Niespodziewane.

Dekkeret powiedział:

– Jestem ci winien przeprosiny, Fulkari.

Fulkari zwlekała z odpowiedzią, zadyszana po długim, szaleńczym biegu przez niekończące się sploty i zakręty Biblioteki Lorda Stiamota. Raz za razem gubiła się wśród wielu mil regałów i wreszcie dotarła na audiencję spóźniona dwadzieścia minut. W życiu nie widziała tylu książek, co w czasie jednego biegu tymi korytarzami. Nie miała pojęcia, że tyle książek w ogóle istnieje. Czy ktokolwiek kiedyś je przeczytał? Czy te tysiące półek nigdy się nie skończą? Wreszcie stareńki, wyglądający jak żywa skamielina bibliotekarz zlitował się nad nią i przeprowadził przez ten labirynt do małego, odosobnionego gabinetu Lorda Dekkereta w Długiej Sali Methiraspa.

– Przeprosiny? – powiedziała wreszcie, tylko po to, by nie milczeć.

Biuurko Dekkereta odgradzało ich od siebie. Leżały na nim wysokie stopy oficjalnych dokumentów – długie zwoje pergaminu przyozdobione poważnie wyglądającymi wstęgami i

pieczęciami. Zdawało się, że pełzną do niego po lśniącej powierzchni mebla jak armia domagająca się uwagi.

Dekkeret wyglądał na zmęczonego i skrępowanego. Dzisiaj nie miał na sobie wspaniałych, królewskich szat, tylko zwykłą, szarą tunikę, przepasaną luźno w talii.

– Tak, Fulkari, przeprosiny – brzmiało to jakby siłą wydobywał z siebie głos. – Za wciągnięcie cię w tak nieszczęśliwy, niemożliwy związek.

To zdanie zdumiało ją.

– Niemożliwy? Być może. Ale stał się taki przeze mnie. Dlaczego miałbyś czuć potrzebę przeproszenia mnie za cokolwiek? I dlaczego nazywasz go nieszczęśliwym, Dekkercie? Czy to naprawdę był nieszczęśliwy związek? Tak uważasz?

– Nie. Ale przyznasz, że skończył się nieszczęśliwie.

Ta fraza odbijała się echem w jej duszy. Skończył się. Skończył się. Skończył się.

Tak, oczywiście, że się skończył. Ale nie chciała usłyszeć tych słów. Te kilka sylab, wypowiedzianych głośno, miało w sobie coś ostatecznego, jak spadające ostrze.

Fulkari czekała chwilę, by wrażenie osłabło.

– Nawet jeśli – powiedziała w końcu – wciąż nie rozumiem, dlaczego czujesz, że powinieneś mnie przeproszać.

– Bo skąd masz wiedzieć. Dlatego właśnie chciałem, żebyś dziś tu przyszła. Nie potrafię dłużej ukrywać przed tobą prawdy.

– O czym ty mówisz, Dekkercie? – powiedziała niespokojnie.

Widziała, jak szuka słów, jak walczy, żeby ułożyć odpowiedź.

Wyglądał, jakby od ostatniego ich spotkania postarzał się o pięć lat. Jego twarz była blada i ściągnięta, miał cienie pod oczami, garbił swoje szerokie ramiona, jakby siedzenie prosto kosztowało go tego dnia za wiele wysiłku. To był Dekkeret, którego nigdy wcześniej nie widziała, zmęczony, nagle niezdecydowany. Chciała wyciągnąć do niego rękę, pogłodzić go po skroni, pocieszyć najlepiej, jak umiała.

Przemówił z wahaniem.

– Kiedy się poznaliśmy, od razu coś mnie do ciebie przyciągało. Pamiętasz? Pewnie wyglądałem jak człowiek rażony piorunem.

Uśmiechnęła się.

– Tak, pamiętam. Nie mogłeś przestać się gapić. Gapiłeś się tak bardzo, że uznałam, że coś musi być nie tak z moim strojem.

– Nic nie było nie tak. Po prostu nie mogłem oderwać od ciebie wzroku. Kiedy poszłaś, spytałem kogoś, kim jesteś i załatwiłem, żeby zaproszono cię na audiencję u lady

Varaile parę dni później. Tam zaś sprawiłem, żeby mi cię przedstawiono.

– I gapieś się dalej.

– Tak. Na pewno. Pamiętasz, co wtedy powiedziałem?

Nie pamiętała dokładnie. Cokolwiek wtedy powiedział, zniknęło, wymazane zmieszaniem i podnieceniem, które wtedy czuła.

– Zapytałeś, czy jeszcze się zobaczymy – powiedziała niepewnie.

– To później. Co powiedziałem najpierw?

– Naprawdę uważasz, że pamiętam takie szczegóły? To było tak dawno temu, Dekkercie!

– Cóż, ja pamiętam – powiedział. – Zapytałem, czy nie pochodzisz z Normork. Powiedziałaś, że z Sipermit. Odparłem, że przypominasz mi bardzo kogoś, kogo znałem dawno temu w Normork, moją kuzynkę Sithelle. Przypominasz sobie coś z tego? Niesamowite podobieństwo, twoje oczy, włosy, usta, broda, twoje długie ręce i nogi... Jesteś tak podobna do Sithelle, że myślałem, iż widzę ducha.

– A więc Sithelle nie żyje?

– Od dwudziestu lat. Zabita na ulicy Normork przez zamachowca, który chciał dosięgnąć Prestimiona. Byłem tam. Zmarła w moich ramionach. Dopiero wiele lat później zrozumiałem, jak bardzo ją kochałem. A wtedy, gdy ujrzałem cię na Zamku... Patrzyłem na ciebie, nic o tobie nie wiedziałem, myślałem tylko „oto zwrócono mi Sithelle... „.

Przerwał. Odwrócił wzrok.

Fulkari poczuła jak płoną jej policzki.

– Nie pociągałam cię tym, jaka jestem? – zapytała. W jej głosie też był ogień, którego nie potrafiła powstrzymać. – Pragnąłeś mnie tylko dlatego, że wyglądam jak ktoś, kogo kiedyś znałeś? Och, Dekkercie... Dekkercie...!

– Mówiłem, że jestem ci winien przeprosiny – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

Poczuła wzbierające łzy – łzy wściekłości.

– Więc nie byłam nikim więcej, jak tylko repliką kogoś, kogo nie mogłeś mieć? Kiedy na mnie patrzyłeś, widziałeś Sithelle, kiedy mnie całowałeś, całowałeś Sithelle, a kiedy szedłeś ze mną do łóżka, to...

– Nie, Fulkari. To wcale nie tak – Dekkeret mówił teraz z większą siłą. – Kiedy mówiłem, że cię kocham, mówiłem to Fulkari z Sipermit. Kiedy trzymałem cię w ramionach, trzymałem ciebie, Fulkari. Sithelle i ja nigdy nie byliśmy kochankami. Pewnie nigdy byśmy nie byli, nawet gdyby przeżyła. Kiedy poprosiłem cię o rękę, prosiłem ciebie, nie ducha Sithelle.

– Dlaczego więc mówimy o przeprosinach?

– Bo nie mogę zaprzeczyć, że na początku, niezależnie od tego, co wydarzyło się później, ciągnęło mnie do ciebie ze złego powodu. To, że pragnąłem cię zanim zdążyliśmy zamienić słowo, wynikało z faktu, że jakaś głupia część mnie szeptała, że jesteś jak zmartwychwstała Sithelle, że otrzymałem drugą szansę. Nawet wtedy wiedziałem, że to idiotyczne. Ale wpadłem w sidła swojej własnej, idiotycznej wyobraźni. Dlatego się o ciebie starałem. Nie dlatego, że byłaś sobą, nie na początku, tylko dlatego, że tak bardzo przypominasz Sithelle. Ale kobieta, w której się zakochałem, to ty. Kobieta, którą poprosiłem o rękę, to ty. Fulkari.

– A kiedy Fulkari ci odmówiła, czułeś się, jakbyś drugi raz tracił Sithelle? – zapytała. W jej tonie była tylko czysta ciekawość. Zdumiała się, jak szybko przechodził jej gniew.

– Nie. Wcale tak nie było – odpowiedział. – Sithelle była dla mnie jak siostra, nigdy bym się z nią nie ożenił. Kiedy mi odmówiłaś, a wiedziałem, że to zrobisz, bo wcześniej dałaś mi już milion wskazówek, że tak będzie, byłem zdruzgotany, bo wiedziałem, że tracę ciebie. Wtedy zrozumiałem, że mój pierwszy pomysł, by wykorzystać cię jako namiastkę Sithelle sprawił, że stopniowo zakochałem się w prawdziwej kobiecie, która nie chce zostać moją żoną. Fulkari, zmarnowałem trzy lata naszego życia. To za to przepraszam. Najpierw przyciągała mnie do ciebie fantazja, błędny ogień, ale wpadłem w nią jak w metalowy potrzask. Trzymała mnie tak długo, aż zakochałem się w prawdziwej Fulkari, która nie mogła odwzajemnić mojej miłości, i tak... Zmarnowane, Fulkari, wszystko zmarnowane...

– Nie jest tak, Dekkercie – mówiła stanowczo, patrzyła mu w oczy ze spokojem. Cały gniew gdzieś zniknął. Poczowała nową pewność.

– Nie myślisz tak?

– Może ty uważasz, że coś zmarnowałeś. Ale nie ja. To, co do ciebie czułam, było prawdziwe. Wciąż jest – przerwała tylko na chwilę, potem dzielnie kontynuowała. Co miała do stracenia? – Kocham cię, Dekkercie. Nie dlatego, że kogokolwiek mi przypominasz.

Był zdumiony.

– Nadal mnie kochasz?

– Kiedy powiedziałam, że przestałam?

– Ledwie chwilę temu wyglądałaś na wściekłą, kiedy mówiłem, że do pierwszych starań o ciebie przywiódł mnie obraz Sithelle, który wciąż miałem w głowie.

– Którą kobietę ucieszyłyby podobne słowa? Ale dlaczego mam pozwolić, by to dalej było ważne? Sithelle to przeszłość. Podobnie jak chłopiec, który kiedyś, może, bo sam tego nie wie, był w niej zakochany. Ale ty i ja wciąż tu jesteśmy.

– O ile to cokolwiek daje – powiedział Dekkeret.

– To może dać bardzo wiele. Powiedz mi, Dekkerecie, jak myślisz: jak ciężkie tak naprawdę jest życie żony Koronala?

– Panie? – powiedział Teotas, zaglądając przez otwarte drzwi. Stał na progu przedsiionka apartamentów Koronala, wielkiego pokoju, którego olbrzymie, łukowe okna dawały widok na zapierającą dech w piersiach otchłań, otaczającą tę stronę Zamku.

Kiedy Teotas poprosił Dekkereta o to spotkanie, ten zaproponował, by brat Prestimiona odwiedził go w komnacie w Długiej Sali Methiraspa, która służyła mu za biuro. Teotas nie był zachwycony tą propozycją. Wydało mu się to dziwne. Ten pokój za to kojarzono z wielkością i potęgą Lorda Koronala. Wiele razy za rządów Prestimiona bracia spotykali się tu, by omawiać kryzysowe sytuacje. Chciał teraz omówić z Koronalem sprawę najwyższej wagi i to w tym pokoju i tylko w nim chciał to uczynić. Zazwyczaj nie stawiało się Koronalui żądań, ale Dekkeret wdzięcznie przystał na tę prośbę.

– Wejź, Teotasie – powiedział. – Siadaj.

– Mój panie – powtórzył Teotas i zrobił znak rozbłysku gwiazd.

Koronal siedział za pysznym, starożytnym biurkiem, wykonanym z jednego kawałka palisandru, którego naturalny układ słoików przypominał znak rozbłysku gwiazd, używany przez Koronaliów od czasów Lorda Dizimaule'a, czyli przez jakieś pięćset lat albo i więcej. Teotas poczuł lekki szok, widząc za nim Dekkereta, a nie Prestimiona, który siadywał tam przez tyle lat. Potrzebował tego szoku. Przy każdej okazji powinien sobie przypominać, że wielka zmiana w rządzie naprawdę nastąpiła, że Prestimion udał się do Labiryntu zostać Pontifexem i że to piękne biurko, kiedyś należące do niego, wcześniej do Confalume'a, a jeszcze wcześniej do Prankipina, teraz było Dekkereta.

Dekkeret do niego pasował lepiej, niż Prestimion. Dla małego Prestimiona biurko to zawsze wydawało się za duże, a większy Dekkeret lepiej komponował się z majestatycznym rozmiarem mebla. Był ubrany w tradycyjny strój królewski, zielone i złote szaty obrębione gronostajami, i promieniował taką siłą i pewnością siebie, że Teotas, wyczerpany i bliski granic wytrzymałości, poczuł się nagle stary i słaby przy człowieku zaledwie parę lat od niego młodszym.

– No – powiedział Dekkeret. – Oto jesteśmy.

– Tak, oto jesteśmy.

– Wyglądasz na zmęczonego, Teotasio. Dinitak mówił mi, że ostatnio słabo sypiasz.

– Wolałbym nie sypiać w ogóle. Kiedy zapadam w sen, mam potworne sny, sny tak straszne, że nie chce mi się wierzyć, że mój umysł jest w stanie tworzyć podobne rzeczy.

– Mógłbyś dać mi przykład?

Teotas potrząsnął głową.

– To bez sensu. Ciężko mi się o nich opowiada. Kiedy się budzę, niewiele z nich pozostaje, poza poczuciem, że były straszliwe. Widzę w nich dziwaczne, okropne krajobrazy, potwory, demony. Ale nie będę próbował ich opisać. To, co wydaje się tak przerażające dla śniącego nie ma władzy nad innymi. W każdym razie, mój panie, nie przyszedłem tutaj rozmawiać o moich snach. Ważniejsza jest kwestia mojego mianowania Wysokim Doradcą.

– I co z nią? – zapytał Dekkeret tak spokojnie i pozornie obojętnie, że Teotas zrozumiał, iż spodziewał się rozmowy na ten temat. – Przypominam ci, Teotasio, że oficjalnie nie przyjąłeś jeszcze tej nominacji.

– I nie przyjmę. Przyszedłem poprosić cię, byś nie brał mnie pod uwagę przy wyborze kandydatów.

Było wyraźnie widać, że Dekkeret też się tego spodziewał. Przemówił bardzo spokojnym głosem:

– Nie wybrałbym cię, Teotasio, gdybym nie uważał, że jesteś najlepszym człowiekiem na to stanowisko.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ogromnie smuci mnie, że nie mogę przyjąć tego wielkiego zaszczytu. Ale nie mogę.

– Czy mogę poznać powód?

– A czy muszę go podać, mój panie?

– Nie, nie „musisz”. Ale wyjaśnienie byłoby wskazane.

– Mój panie...

Teotas nie mógł mówić dalej, bał się tego, co może powiedzieć. Poczł głęboko w sobie płomyk sławnego gniewu, którego kiedyś wszyscy się obawiali. Dlaczego Dekkeret nie może po prostu cofnąć propozycji i zostawić go w spokoju? Wściekłość słabła jednak, przygnieciona zmęczeniem przyniesionym przez rozpacz. Znalazł w sobie tylko ślad zirygowania, a i on szybko przeminął. Był pusty, samotny, odrętwiały.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Mój panie... – powiedział po chwili, słabo, niewyraźnie. – Czy widzisz, panie, jak wyglądam? Jak się zachowuję? Czy to ten sam Teotas, którego pamiętasz z dawnych czasów?

Czy nawet sprzed sześciu miesięcy? Czy wyglądam jak ktoś nadający się do pełnienia obowiązków Wysokiego Doradcy Królestwa? Czy nie widzisz, że na wpół tracę rozum? Bardziej, niż na wpół. Tylko głupiec wybrałby kogoś tak niestabilnego jak ja na tak ważne stanowisko. A ty na pewno nie jesteś głupcem.

– Widzę, że wyglądasz na chorego, Teotasie. Ale choroby się leczy. Czy rozmawiałeś o tej decyzji z twoim bratem?

– Nie. Nie widzę powodu, by obarczać Prestimiona moimi problemami.

– Gdyby Bogini dała mi brata – powiedział Dekkeret – sądzę, że z chęcią słuchałbym o wszelkich jego problemach o każdej porze dnia i nocy. Myślę, że podobnie czuje Prestimion.

– Mimo to do niego nie pójde – to stawało się męczarnią. – Na Boginię, Dekkercie! Znajdź sobie innego Wysokiego Doradcę, pozwól mi już o tym nie myśleć! Na pewno nie jestem niezastąpiony.

Koronał wreszcie zauważył cierpienie Teotasa.

– Nikt nie jest niezastąpiony – powiedział łagodnie – nawet Pontifex i Koronał. Skoro nie dajesz mi wyboru, wycofam nominację.

– Dziękuję, panie. – Teotas wstał do wyjścia.

Dekkeret wcale nie skończył.

– Powinienem ci jednak powiedzieć, że Dinitak wierzy, że te twoje sny, które na pewno są straszliwe, nie są dziełem twojego umysłu. Uważa, że zostały zesłane przez wroga z zewnątrz, jego krewniaka, Barjazida. Podejrzewa, że używa on jakiejś wersji hełmu kontrolującego umysły, który kiedyś wykorzystaliśmy przeciwko Dantiryi Sambailowi.

– Czy to możliwe? – Teotas westchnął.

– Dinitak szuka potwierdzenia swojej teorii. Jeśli odkryje, że jest prawdziwa, zrobi wszystko, co będzie konieczne.

– To wszystko mnie zdumiewa, panie. Czemu ktoś miałby zsyłać złe sny? Wydaje mi się, że twój przyjaciel Dinitak marnuje czas.

– Może i tak, ale pozwoliłem mu zbadać tę sprawę.

Teotas poczuł, że dotarł do kresu sił. Musiał zakończyć tę rozmowę.

– Cokolwiek odkryje, nie wpłynie to na naszą rozmowę – oświadczył. – Prawdziwym problemem stało się moje małżeństwo. Wiesz, jak sądzę, że Fiorinda pojechała z Varaile do Labiryntu?

– Tak.

– Jest dla niej równie ważna, jak ja ponoć jestem dla ciebie. Nie mogę żyć bez niej nie

wiadomo jak długo. Nie ma innego rozwiązania, któreś z nas musi zrezygnować z królewskiej nominacji, a ja zawsze stawiałem pragnienia Fiorindy ponad moimi. Dlatego też nie będę twoim Wysokim Doradcą.

– Może zmienisz zdanie – powiedział Dekkeret – kiedy uwolnisz się od tych snów. Zrezygnowanie ze stanowiska Wysokiego Doradcy to nie błaha sprawa. Obiecuję ci, jeśli po tym, jak pozbędziesz się snów, będziesz dalej czuł, że nie chcesz tej pracy, zwolnię cię. Ale czy do tego czasu możemy wstrzymać się z decyzją?

– Panie, jesteś nieubłagany. Ja jednak będę nieugięty. Sny czy nie, chcę być z żoną, a ona pragnie być w Labiryncie z Varaile.

Znowu ruszył w stronę drzwi.

– Daj mi jeszcze tydzień – powiedział Dekkeret. – Spotkamy się równo za tydzień i, jeśli dalej będziesz się tak czuł, wybiorę kogoś innego. Możemy się tak umówić? Jeszcze tydzień?

Upór Dekkereta doprowadzał do szaleństwa, Teotas nie mógł go już znieść.

– Cokolwiek sobie życzysz, panie – wymamrotał. – Tak, jeszcze tydzień. Cokolwiek sobie życzysz.

Wykonał szybki znak rozbłysku gwiazd i prędko wyszedł, zanim Koronał zdążył cokolwiek dodać.

Tej nocy Teotas godzinami leży, nie śpiąc, zbyt zmęczony na sen i zaczyna mieć nadzieję, że choć raz będzie mu darowane, że przeżyje noc od północy do świtu nie schodząc ani na chwilę do świata snów. Myśli, że lepiej w ogóle nie spać, niż znosić tortury, którymi stały się sny.

Nieświadomie przechodzi od przytomności do snu. Nie ma gwałtownej zmiany, nie ma poczucia przekraczania granicy. W jakiś sposób jednak wkroczył w kolejne dziwne miejsce i wie, że będzie tu cierpiał. W miarę jak je przemierza, moc tego miejsca objawia mu się stopniowo, zbiera się powoli, wzrasta z każdym jego krokiem, z początku ciąży mu tylko trochę, potem dużo, dużo bardziej.

Nagle Teotas czuje cały ciężar tego miejsca. Jest w okolicy pełnej niskich, szarych krzewów o grubych pniakach i szerokich liściach. Wszędzie unosi się gęsta mgła. Wszystko tutaj jest pozbawione kolorów, jakby barwy stąd wyciekły. Ziemia przyciąga w okropny sposób, grawitacja czepia się każdego kawałka jego ciała z nieubłaganą siłą. Powieki ma z ołowiu. Policzki mu zwisają. Brzuch opada. Gardło wisi jak luźne wole. Kości wyginają się pod ciężarem. Idzie na ugiętych kolanach. Ile tu waży? Osiemset funtów? Osiem tysięcy?

Osiem milionów? Jest niewyobrażalnie ciężki. Ciężki. Ciężki.

Jego waga przykuwa mu stopy do ziemi. Za każdym razem, gdy je unosi, by zrobić krok, słyszy wibrujący dźwięk, którym planeta protestuje przed rozłąką. Czuje krew, która leży, ciemna i gęsta, w słabych żyłach jego klatki piersiowej. Zdaje sobie sprawę z wielkiego, żelaznego garbu, który niesie na ramionach. To miejsce musi się gdzieś kończyć.

Ale końca nie ma.

Teotas zatrzymuje się. Klęka, żeby złapać oddech. Kiedy nieco odciąża ciało, z oczu tryskają mu łzy ulgi, spływające po policzkach jak rtęć i łomoczące o ziemię.

Kiedy czuje, że może iść dalej, próbuje wstać.

Udaje mu się za piątym razem. Podnosi się, kiwając się, opierając na kostkach palców, zad w górze, brzuch zwisa do ziemi, kręgosłup trzeszczy, szyja trzaska. W górę. W górę. Pcha. Wstaje. Łapie oddech. Idzie. Znajduje ścieżkę, którą przed chwilą szedł, widzi odciski swoich stóp w piaszczystej ziemi, głębokie prawie na cal. Wstawia w nie stopy i idzie dalej.

Ciążenie wciąż rośnie. Każdy oddech jest walką. Żebra nie chcą się unosić, chyba że największym wysiłkiem, płuca ma napięte jak gumowe opaski. Policzki zwisają mu na ramiona. W piersiach ma głaz. A robi się coraz gorzej. Wie, że jeśli zostanie tu jeszcze chwilę, ciążenie zgniecie go na placek. Zgniecie, aż nie pozostanie po nim nic, tylko cienka warstwa kurzu na ziemi.

Robi się coraz gorzej. Nie może już stać. Najbardziej ciąży mu góra ciała, masa jego czaszki wygina mu plecy do tyłu, kręgi przemieszczają się, trą o siebie i trzeszczą. Marzy, by się położyć, ale wie, że jeśli to zrobi, nie wstanie już nigdy.

Niebo osuwa się na niego. Szara tarcza naciska mu na plecy. Jego kolana zapuszczają korzenie. Pełźnie. Pełźnie. Pełźnie.

– Pomocy! – krzyczy. – Fiorinda! Prestimion! Abrigant!

Jego słowa są jak kulki ołowiu. Wysypują się z ust i spadają na ziemię.

Pełźnie.

W boku czuje nieznośny ból. Boi się, że wnętrzości przebiły mu skórę. W łokciach i kolanach rozłążą się kości. Pełźnie. Pełźnie.

Pełźnie.

– Pres... ti... mi... on!

To imię opuszcza jego usta niespójnym bełkotem. Przełyk ma z ołowiu. Usta ma z ołowiu. Pełźnie. Ręce zapadają się w ziemi. Uwalnia je szarpnięciem. Jest u kresu sił. Umrze. To koniec, umrze powolną, ohydną śmiercią. Zgnięta go szara pokrywa nieba. Jest uwięziony pomiędzy ziemią i powietrzem. Wszystko jest niemożliwie ciężkie. Ciężkie. Ciężkie. Ciężkie.

Pełźnie. Widzi tylko nierówną, nagą ziemię o cale od swego nosa.

Wtem, cudem, otwiera się przed nim brama, połyskujący, złoty owal, zawieszony w powietrzu tuż przed nim.

Teotas wie, że jeśli do niego dojdzie, wydostanie się z tej krainy nieznośnego ciśnienia. Ale dotarcie do niego jest wyzwaniem niemal ponad siły. Przesunięcie się o cal jest zwycięstwem nad strasznymi mocami.

Sięga do niej. Powoli brnie naprzód, drapie ziemię, wbija w nią paznokcie i ciągnie swoje niemożliwie ciężkie ciało w stronę złotej bramy, ma ją tuż przed sobą, opiera dłonie o jej krawędź i wstaje, wkłada w nią jedno ramię, za nim szyję i głowę, jakoś unosi jedną nogę i przekłada przez próg. Udało się. Czuje, że spada, ale leci tylko kilka stóp, a potem ląduje rozciągnięty na ceglanej platformie i leży tam, walcząc o oddech.

Tu, po drugiej stronie, waży tyle, ile powinien. Tu jest prawdziwy świat. Wciąż śpi, ale czuje, że wyszedł ze swojej sypialni i porusza się po jakimś zewnętrznym gzymsie Zamku.

Nic tu nie wygląda znajomo. Widzi iglice, odległe wieże, otwory strażnicze. Znajduje się na wąskiej, krętej ścieżce, która zdaje się iść w górę, spiralą otaczając wysoki budynek, którego Teotas nie kojarzy. Czarne niebo obsypane jest gwiazdami, na horyzoncie świecą zimno dwa czy trzy księżycy. Wspina się dalej. Wyobraża sobie, że słyszy ponure wycie wiatru bijącego w szczyt Góry, choć wie, że na tej wyjątkowej wysokości nie może słyszeć nic takiego.

Ceglana ścieżka, którą idzie, robi się coraz bardziej stroma i węższa. Schodki pod jego stopami są pokruszone i połamane, jakby nikt nie bywał tu od stuleci i wszystko powoli niszczało. Zdaje mu się, że wspina się po zewnętrznej stronie jednej z wież na obrzeżach Zamku, wchodzi po przerażającym, niepewnym przejściu, a po obu stronach ma gigantyczne spadki. Zaczyna się niepokoić.

Nie ma odwrotu. Czuje się, jakby wspinał się po kręgosłupie olbrzymiego potwora. Ścieżka jest za wąska, by mógł zawrócić i spróbować zejść, nie da się iść tyłem, nie może się wycofać. Zimny pot zaczyna mu spływać po bokach.

Mija zakręt i nagle niebo wypełnia Wielki Księżyc. Dziś rośnie, świeci oślepiająco, przed Teotasem wisi para jasnych, białych rogów. W lodowatym blasku księżycy widzi, że wspinał się na samotną iglicę kolosalnego Zamku i znajduje się blisko jej czubka. Daleko po prawej widzi dachy Wewnętrznego Zamku. Po lewej tylko czarną otchłań.

Stąd nie da się iść wyżej. Nie da się też wrócić. Może tylko stać, drżąc, w tym jednym punkcie, smagany wiatrem i czekać na przebudzenie. Może też zrobić krok w pustkę i zlecieć

w dół, do tego, co tam na niego czeka.

Tak. To właśnie zrobi.

Teotas obraca się w lewo, spogląda w ciemność, po czym przekłada nogę nad linią cegieł, która jest końcem ścieżki i robi krok.

Ale to nie sen. Naprawdę spada.

Nie obchodzi go to. To jak latanie. Chłodne powietrze przeczesuje jego włosy jak pieszczota. Będzie spadał, spadał i spadał, tysiąc stóp, dziesięć tysięcy, może aż do podnóża Góry Zamkowej. A kiedy znajdzie się na dole, wie, że zazna spokoju. Wreszcie. Spokój.

CZEŚĆ TRZECIA

KSIĘGA POTĘG

1

Pontifex Prestimion nie spodziewał się, że tak szybko wróci na Górę Zamkową, a tym bardziej nie podejrzewał, że będzie się to wiązało ze smutnym wydarzeniem, jakim był pogrzeb jego brata. A jednak znowu płynął w górę rzeki z Labiryntu, tym razem dławiony rozpaczą, na pogrzeb Teotasa. Ceremonia ta nie miała się odbywać na samym Zamku, lecz w Domu Muldemar, ich rodzinnej posiadłości, gdzie Teotas urodził się i gdzie miał teraz spocząć na zawsze wśród swoich przodków.

Prestimion nie był w Muldemar od wielu lat. Nie miał powodu, by tam jeździć. Kiedy był jeszcze księciem na Zamku odwiedzał swoją matkę, lady Therisę, ale gdy został Koronalem, na nią automatycznie przeszedł tytuł i obowiązki Pani Wyspy Snu i od tego czasu mieszkała na Wyspie. W podobny sposób koronacja Prestimiona sprawiła, że Dom Muldemar przeszedł na jego brata, Abriganta. Prestimion nie chciał swoją obecnością przyćmiewać autorytetu brata w jego własnym domu.

Wtedy przysłała szokująca, tragiczna wiadomość o śmierci Teotasa i Prestimion musiał pędem wyruszyć do rodzinnego domu. Kiedy świta Pontifexa przybyła pod bramy miasta Muldemar przywitał ich sam Abrigant. Wyglądał imponująco w ciemnoniebieskim dublecie i pelerynie w czarno-białe pasy, z żółtym symbolem żałoby przypiętym do ramienia. Jego oczy były czerwone i opuchnięte od żalu. Był wysoki, najwyższy z czterech braci, którzy dorastali tu razem przed dziesięcioleciami, a kiedy wziął Pontifexa w ramiona, niemal zmiażdżył go w uścisku.

Puścił Prestimiona i zrobił krok w tył.

– Witaj w Muldemar, bracie. Czuj się tu jak w domu, bo to nigdy nie przestał być twój dom.

– Wiem i jestem wdzięczny za te słowa, Abrigancie.

– Teraz, kiedy tu jesteś, możemy zająć się pogrzebem.

Prestimion ponuro skinął głową.

– Czy były jakieś wiadomości od matki?

– Przesyła nam słowa miłości i pisze, że łączy się z nami w bólu, ale tu nie przyjedzie.

To nie była niespodzianka. Nikt nie przypuszczał, że lady Therissa przybędzie na pogrzeb. Była już za stara na ciężką podróż morzem i lądem z Wyspy Snu na Górę Zamkową,

a prócz tego nie udałoby się jej dotrzeć na czas ze względu na olbrzymie odległości. Abrigant i tak poważnie opóźnił ceremonię, by pozwolić dojechać Prestimionowi. Lady Therissa będzie oplakiwać najmłodszego syna z daleka.

Prestimion zdumiał się, widząc, jak bardzo Abrigant postarzał się od ich ostatniego spotkania, które miało miejsce całkiem niedawno, podczas koronacji Dekkereta. Podobnie jak Teotas, Abrigant posunął się w latach bardzo gwałtownie. Teraz lekko się garbił. W ciągu paru ostatnich miesięcy jego złote włosy straciły połysk, a pionowe zmarszczki po obu stronach nosa nagle stały się bardzo głębokie. Bez wątplenia śmierć Teotasa była dla niego strasznym ciosem. Abrigant i Teotas, dwaj najmłodszy bracia, byli bardzo blisko, szczególnie przez te lata, kiedy Prestimion był daleko z powodu królewskich obowiązków.

– Zostaliśmy tylko my dwaj – powiedział Abrigant z zadumą w głosie, jakby sam nie wierzył we własne słowa. Mówił ponurym, grobowym głosem, brzmiącym jak podmuchy dalekiego wiatru. – Jakie to dziwne, jakie straszne, że nasi bracia odeszli tak młodo! Ile lat miał Taradath, kiedy poległ na wojnie z Korsibarem? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia pięć? A teraz Teotas, młodszy nawet ode mnie, umiera na tak długo przed swoim czasem...

Strasznie było patrzeć na cierpienie w oczach Abriganta.

– Czy masz pojęcie, co mogło go do tego skłonić? – zapytał Prestimion. Sam dopiero zaczynał się godzić z tą tragedią.

Abrigant odpowiedział ostrożnie.

– To był atak szaleństwa, miewał je coraz częściej. Tylko tyle odważyć się powiedzieć, bracie. Dekkeret później porozmawia z tobą o szczegółach. Chodź, latacze zabiorą nas do Domu Muldemar – skinął na Varaile i Fiorindę, które podczas rozmowy stanęły przy lewym boku Prestimiona. – Chodźcie, siostry...

Podczas podróży z Labiryntu te dwie kobiety rzadko się rozstawały. Obie miały na sobie żółte, żałobne szaty i obie wciąż były tak zrozpaczone, że nikt obcy nie zgadłby, która z nich była wdową po księciu, a która tylko jego szwagierką. Trójka małych dzieci Fiorindy, dwie dziewczynki i pięcioletni chłopiec, szły tuż za matką i zdawały się nie rozumieć, jaka tragedia dotknęła ich rodzinę.

– Oto wasz latacz – powiedział Abrigant, prowadząc je do pojazdu. Lady Tuanelys i młody książę Simbilon również podróżowali z matką, ciotką i kuzynami. – A ja i Pontifex pojedziemy tym – powiedział, wskazując własny latacz. Prestimion wsiadł, za nim jego dwaj starsi synowie, a Abrigant rozkazał ruszać.

Podczas podróży z miasta do Domu Muldemar Abrigant jakby odprężał się i rozkręcał. Może

poczuł ulgę, że w tej czarnej godzinie starszy brat przejmie część jego brzemienia.

Pogratulował Prestimionowi, że jego dzieci bardzo urosły i wyglądają świetnie. Młody Taradath faktycznie zaczynał wyglądać jak prawdziwy książe, podobnie Akbalik, ale Simbilon musiał jeszcze podrosnąć. Zdaniem Prestimiona mała lady Tuanelys, ostatnio cierpiąca z powodu koszmarów niepokojąco podobnych do tych, które ponoć nękały Teotasa, wcale nie wyglądała dobrze. Złe sny zaczęły także męczyć Varaile. Prestimion nie mówił o tym Abrigantowi.

– A tegoroczne wina! – mówił Abrigant. Brzmiał teraz wręcz entuzjastycznie. – Poczekaj aż ich spróbujesz, Prestimionie! Najlepszy rocznik od lat, od stuleci! Szczególnie czerwone, mówiłem o nim Teotasowi w zeszłym... miesiącu...

Zwolnił, a potem zamilkł w pół zdania. Jego entuzjazm znikł, a w oczach znów pojawił się niepokój.

Prestimion odezwał się prędko.

– Spójrz, Abrigancie! Dom Muldemar! Jaki on piękny! Ależ ja za nim tęskniłem! – czuł, że nie tylko jako Pontifex, ale i najstarszy z braci ma obowiązek bronić Abriganta przez popadnięciem w przygnębienie.

– Tutaj się urodziłem – powiedział swoim dwóm synom. – Pokażę wam dzisiaj pokój, w którym kiedyś mieszkałem – wprowadzie już kiedyś tu byli, ale teraz chciał przede wszystkim podtrzymać Abriganta na duchu.

On sam, choć wyraźnie odczuwał ból po wielkiej stracie, rozchmurzył się na widok rodzinnego domu.

Czy można było nie zareagować na cudowne piękno doliny Muldemar? Wśród cudów Góry Zamkowej było to miejsce tchnące wyjątkowym spokojem. Z jednej strony przylegało do zbocza Góry, a z drugiej do Grzbietu Kudarmar, jednego z mniejszych szczytów Góry Zamkowej, który w każdym innym miejscu na świecie zostałby z racji swojego majestatu i wielkości uznany za pełnoprawną górę. Położona pomiędzy tymi dwoma szczytami dolina Muldemar przez cały rok cieszyła się delikatną bryzą i lekkimi mgłami, a ziemia tu była żyzna i głęboka.

Przodkowie Prestimiona osiedlili się tutaj zanim jeszcze zbudowano Zamek. Byli rolnikami, przybyli z nizin z sadzonkami winorośli, którą tam hodowali. Przez stulecia ich wina zdobyły reputację najlepszych na Majipoorze, a wdzięczni Koronalowie nadali winiarzom z Muldemar tytuł szlachecki, a z czasem uczynili ich diukami i książętami. Prestimion jako pierwszy w rodzinie został Koronalem, a potem zasiadł na tronie Pontifexa.

Rodzinne ziemie ciągnęły się przez wiele mil najlepszych gruntów w całej dolinie, był

to szeroki, zielony teren położony między rzeką Zemulikkaz a Grzbietem Kudarmar. W głębi majątku wznosiły się białe ściany i wysokie, czarne wieże samego Domu Muldemar, budynku o trzech skrzydłach i dwóch setkach pokoi.

Abrigrant przygotował dla Prestimiona pokoje, które niegdyś do niego należały: apartamenty na drugim piętrze, z których przez okna z fasetowego kwarcu można było podziwiać wspaniałe widoki na Wzgórze Sambattinola. Niewiele zmieniło się od czasu, kiedy tu mieszkał ponad dwadzieścia lat temu. Na ścianach były te same delikatne malowidła w łagodnych odcieniach ametystu, lazuru i topazowego różu, a koło siedziska pod oknem, gdzie młody Prestimion spędził tyle miłych godzin, leżały te same książki, które czytał tak dawno temu.

Służący, których Prestimion nie rozpoznawał, zapewne synowie i córki tych, których znał, czekali, by pomóc Pontifexowi i jego rodzinie rozgościć się w Domu. Spowodowało to drobny konflikt z własną służbą Prestimiona, ponieważ zgodnie z tradycją Pontifex podróżował zawsze z własną świtą i jej członkowie zazdrośnie strzegli swoich przywilejów.

– Nie możecie tu wejść – powiedział twardy, mocno zbudowany Falco, noszący teraz tytuł Pierwszego Gospodarza Imperium i traktujący go bardzo poważnie. – Te pokoje należą do Pontifexa i nie wolno wam na niego spoglądać.

Prestimionowi zrobiło się przykro na widok tych dobrych ludzi z Muldemar, nieśmiało spoglądających na niego ponad ramieniem Falca z podziwem i cziłą, jakby on sam nie pochodził z Muldemar, lecz przybył z jakiejś odległej planety. Poinformował Falca, że w tym domu zamierzał zrezygnować ze zwyczajowych przywilejów Pontifexa i pozwolić zwykłym obywatelom znajdować się w jego obecności. Falcowi nie podobało się to ani trochę.

Varaile i Prestimion zajęli główną sypialnię. Varaile umieściła Tuanelys, teraz często budzącą się w środku nocy z płaczem, w pokoju obok. Taradath, Akbalik i Simbilon mogli decydować za siebie. W apartamencie nie brakowało pokoi.

– Chciałabym mieć blisko Fiorindę – powiedziała Varaile.

Prestimion uśmiechnął się.

– Wiem, że przyzwyczyłaś się do jej obecności, ale ten apartament nie był zaprojektowany z uwzględnieniem dam dworu. Chciałabym, żeby tak było, ale nie.

– Nie proszę o bliskość Fiorindy dla własnego kaprysu – powiedziała Varaile dość ostro. – To ona potrzebuje pocieszenia i chciałabym móc przy niej być.

– Umieszczą ją w pokojach, które zazwyczaj zajmowali z Teotasem. Na pewno będzie miała służącą, która się nią zaopiekuje.

Jednak Varaile nie potrafiła przestać myśleć o Fiorindzie.

– Ona tak cierpi, Prestimionie. Ja także. Teotas nigdy nie udałby się na ten tragiczny nocny spacer, gdyby przy nim była. Ale nie byli razem przez ostatnie tygodnie przed... przed jego śmiercią i to moja wina. Nie powinnam była zabierać jej z Zamku.

– To miała być tylko chwilowa rozłąka. Kto mógł przypuszczać, że Teotas może ze sobą skończyć?

– A tak zrobił? – Varaile spojrzała na niego dziwnie.

– Po co ktoś miałby wchodzić na niebezpieczną i niemal niedostępną wieżę w środku nocy, jeśli nie po to, by ze sobą skończyć?

– Teotas nie miał skłonności samobójczych, Prestimionie.

– Zgadzam się. Ale co tam w takim razie robił? Lunatykował? Tak się nie lunatykuje. Był pijany? Teotas nigdy nie przesadzał z pićciem. Może go ktoś z czarował?

– Może – odparła Varaile.

Szeroko otworzył oczy.

– Brzmi, jakbyś mówiła poważnie.

– Czemu nie? To takie niemożliwe?

– Załóżmy, że możliwe. Istnieją zaklęcia, które naprawdę działają. Ale któż miałby rzucić na mojego brata czar samozagłady?

– Właśnie, kto? – zapytała ostro. – Czy nie tego powinienes się dowiedzieć?

Prestimion skinął głową, pogrążony w myślach. Trzeba było rozwiązać tę tajemnicę. Ale jak? Jak? Kto mógł wejrzeć w martwy umysł Teotasa i wydobyć z niego odpowiedzi? Poruszali się po bardzo tajemniczym terenie.

– Muszę porozmawiać o tym wszystkim z Dekkeretem – oświadczył. – To on jako ostatni widział Teotasa żywego, zaledwie na kilka godzin przed śmiercią. Abrigant mówi, że wie coś na temat tego, co się stało.

– W takim razie porozmawiaj z nim. Koniecznie.

Prestimion dowiedział się od Abriganta, że Dekkeret wciąż przebywa na Zamku, ale wkrótce wyruszy do Domu Muldemar, gdyż wie, że Prestimion już tu przybył. Po południu z zewnątrz dobiegł go hałas i zamieszanie, znak, że pod Dom zajęchała procesja królewskich lataczy. Prestimion wyjrzał przez okno i dostrzegł wysoką postać Koronala w oficjalnym stroju, wchodzącą do budynku. Z niemałym zainteresowaniem dostrzegł, że przy jego boku szła lady Fulkari.

Dekkeret był poważny, zdeterminowany i wyraźnie starał się mieć wszystko pod kontrolą. Widać było, że już teraz, we wczesnych dniach swego panowania, zaczął nabierać

królewskich cech. Prestimion był z tego zadowolony. Nigdy nie wątpił, że wybór Dekkereta na swojego następcę był mądry, ale aura wielkości, która otaczała teraz Koronała dodatkowo to potwierdzała.

Ani przed kolacją, ani podczas niej nie było okazji do rozmowy. W ciągu wieków Koronałowie nie byli rzadkimi gośćmi w Domu Muldemar, we wschodnim skrzydle były dla nich specjalne apartamenty – tak daleko od komnat zajmowanych przez Prestimiona, jak było to możliwe w tym budynku. Pierwszą okazję do spotkania mieli przy stole, ale kolacja była poważnym, ponurym, oficjalnym wydarzeniem, podczas którego nie dało się porozmawiać prywatnie. Prestimion i Dekkeret wymienili tradycyjny uścisk, wymagany od Pontifexa i Koronała, kiedy zdarzało im się uczestniczyć w jednym wydarzeniu, po czym zajęli miejsca na przeciwnych końcach długiego stołu. Fulkari siedziała obok Dekkereta, Varaile przy Prestimionie z Fiorindą u boku.

Towarzystwo obecne w wielkiej sali bankietowej było nieliczne. Abridantowi i jego żonie, Cirophan, towarzyszyło dwóch nastoletnich synów. Byli też dwaj starsi synowie Prestimiona. Oprócz nich jedynymi gośćmi byli Septach Melayn i Gialaurys, którzy przyjechali do Muldemar z Pontifexem. Abridant krótko wspominał o ponurej okazji, z której zebrali się tego wieczora i wzniesli toast upamiętniający Teotasa. Później podano dobrą kolację, jednak w tej dziwacznej grupie panował żałobny nastrój i mało kto się odzywał.

Po posiłku Dekkeret przyszedł do Prestimiona i powiedział:

– Powinniśmy porozmawiać po kolacji, wasza wysokość.

– To prawda. Czy mam przyprowadzić Septacha Melayna?

– Chyba lepiej, żebyśmy byli we dwóch – powiedział Dekkeret. – Jeśli sobie życzysz, możesz później podzielić się z Wysokim Rzecznikiem tym, co ci powiem, ale Abridant uważa, że najpierw powinniśmy porozmawiać na osobności.

– Abridant wie, co chcesz mi powiedzieć? – zapytał Prestimion.

– Częściowo. Nie wie wszystkiego.

Na miejsce spotkania Prestimion wybrał salę degustacyjną Domu Muldemar, która zawsze wydawała mu się urocza, choć niektórzy twierdzili, że jest ponura. Leżała na najniższym poziomie budynku, przy wejściu do głębokiej, chłodnej pieczary z zielonego bazaltu, ciągnącej się aż do trzewi Góry. Po obu stronach przejścia znajdowały się stojaki, od podłogi po sklepienie wypełnione rzędami butelek win z Muldemar z roczników sprzed wielu stuleci, sięgających mgieł czasów. Stare, żelazne drzwi odcinały ten pokój od reszty budynku. W całym Domu Muldemar nie było miejsca, gdzie Prestimion i Dekkeret mieliby większy spokój.

Polecili podczaszemu Abriganta, by zostawił im na stole w sali degustacyjnej butelkę brandy. Widok butelki, którą dla nich wybrano rozbawił Prestimiona. Ręcznie zrobiona, okrągła flaszką była absurdalnie droga. Pokrywał ją stuletni kurz, spod którego wyzierała spłowiała etykieta z okresu rządów Lorda Gobryasa, poprzednika Prankipina. Prestimion szczerze nalał do dwóch kielichów i przez chwilę pili w milczeniu, smakując brandy z namysłem.

Po dłuższej chwili odezwał się Dekkeret.

– Jest mi ogromnie przykro z powodu twojej straty, Prestimionie. Bardzo kochałem Teotasa. Przykro mi, że jeśli kiedykolwiek jeszcze będę miał szansę skosztować tego znakomitego napoju, będzie mi się zawsze kojarzył z jego śmiercią.

Prestimion poważnie skinął głową.

– Nigdy nie przypuszczałem, że go przeżyję. Wprawdzie starzał się szybko i wyglądał na starszego, niż był, ale dzieliło nas wiele lat. A stało się coś takiego...

– Tak – powiedział Dekkeret. – Ale może długie życie nie było mu pisane. Sam powiedziałaś, że prędko się starzał. Zawsze płonął w nim ogień. Było tak, jakby miał w piersi palenisko i on sam był do niego paliwem. Ten jego temperament... niecierpliwość...

– Wiesz, że sam też mam te cechy. Ale tylko trochę. On miał pełną miarę – przez jakiś czas w zamyśleniu sączył brandy. Była cudownie gładka, ale jej długo pozostający w zamknięciu smak eksplodował w ustach niczym wybuchająca galaktyka. Kiedy uznał, że cisza trwała już dość długo, powiedział:

– Zabił się, prawda, Dekkerecie? Co to mogło być, jeśli nie samobójstwo? Ale czemu? Czemu? Tak, przeżywał ogromne stresy, ale jaki stres mógłby doprowadzić kogoś takiego, jak Teotas do samobójstwa?

– Sądzę, Prestimionie, że został zamordowany – powiedział Dekkeret bardzo cicho.

– *Zamordowany'?*

Prestimion nie byłby bardziej zdumiony, gdyby Dekkeret uderzył go w twarz.

– Albo raczej powiedzmy, że został przez coś z zewnątrz wprowadzony w taki stan umysłu, że śmierć wydawała mu się lepsza niż życie, a potem wmanewrowany w miejsce, gdzie łatwo było tę śmierć znaleźć.

Prestimion pochylał się i patrzył na Dekkereta bardzo uważnie. Jego słowa wzbudziły mu w głowie huragan myśli. Nie chciał w to wierzyć, ale świat nie pozwala wierzyć tylko w to, w co się chce.

– Mów dalej – powiedział. – Opowiedz mi.

– Przyszedł do mojego gabinetu – powiedział Dekkeret – ostatniego popołudnia

swojego życia. Jak wiesz, zaproponowałem mu stanowisko mojego wysokiego doradcy – widzisz, Prestimionie, tak bardzo go szanowałem – ale ani go nie przyjął, ani nie odrzucił i wreszcie poprosiłem, by się zdecydował.

– Dlaczego tak się wahał? Czy chodziło o Fiorindę?

– Ten powód podał oficjalnie. Mówił, że lady Varaile poprosiła lady Fiorindę o dotrzymanie jej towarzystwa w Labiryncie i że nie będzie jej robił trudności przez swoją ambicję. Ale była jeszcze kwestia jego snów. Podobno co noc przeżywał nieopisane koszmary.

– Tak. Varaile słyszała o tym od Fiorindy. Wiesz, ostatnio wiele osób ma złe sny. Choćby moja córka, Tuanelys. Ostatnio także Varaile.

– Nawet ona? – zdumiał się Dekkeret. Ta informacja wyraźnie bardzo go zaniepokoiła.
– Mam nadzieję, że nie są tak potworne, jak te, które miał Teotas. Kiedy się z nim spotkałem, był w tragicznym stanie. Błady, drżący, z przekrwionymi oczami. Powiedział mi wprost, że boi się chodzić spać z powodu snów. Nie mogliśmy poszukać rozwiązania kwestii Fiorindy, bo te sny całkowicie go wykończyły. Powiedział, że przez nie jest przekonany, że jest niegodny stanowiska Wysokiego Doradcy. Błagał, żebym cofnął propozycję. Powinienem był to zrobić, biorąc pod uwagę, w jakim był stanie. Ale potrzebowałem go, Prestimionie, bardzo go potrzebowałem. Wreszcie poprosiłem go, żebyśmy odłożyli temat jeszcze na tydzień i kiedy wychodził, zdawało mi się, że na to przystał.

– A zamiast tego, powodowany straszliwym wstydem i poczuciem winy po powiedzeniu ci, że rezygnuje z nominacji i nie chcąc przechodzić przez to znowu za tydzień prosto z twojego gabinetu poszedł na jakąś daleką iglicę, wspinał się na nią i skoczył.

– Nie.

– Powiedziano mi, że to zrobił.

– Tak, skoczył. Ale nie bezpośrednio po rozmowie ze mną. Widzieliśmy się po południu. Zginął późno w nocy.

– Tak. Właściwie o tym też słyszałem. Mówi się, że lunatykował. A to by oznaczało, że miał wypadek, a nie popełnił samobójstwo.

– Ani jedno, ani drugie, Prestimionie.

– Naprawdę wierzysz, że został zamordowany?

– Istnieje takie urządzenie, nie wiem, czy je pamiętasz, mały, metalowy hełm, który pozwala sięgnąć na olbrzymią odległość i wpływać na pracę czyjś umysłu. Na własne oczy widziałem, jak piętnaście lat temu korzystałeś z takiego hełmu.

– Oczywiście. Mówisz o tym, który twój przyjaciel Dinitak wykradł swojemu ojcu i

przyniósł nam, byśmy użyli go w walce z Dantiryą Sambailem.

– I który był kopią wcześniejszego hełmu, skradzionego przez ojca Dinitaka, Venghenara, Vroonowi, który je wynalazł i użytego w służbie prokuratorowi.

– Od tego czasu wszystkie te śmiercionośne hełmy były trzymane pod kluczem w Skarbcu. Sugerujesz, że ktoś ukradł jeden z nich i użył przeciwko Teotasowi?

– Hełmy Barjazida są wciąż na Zamku, tam, gdzie ich miejsce, i mamy nad nimi pełną kontrolę – odpowiedział Dekkeret. – Ale poza Dinitakiem są na świecie inni Barjazidowie. I inne hełmy.

– Jesteś tego pewien?

– Wiem od Dinitaka. Młodszy brat jego ojca, Khaymak Barjazid, wciąż żyje i wie, jak robić te hełmy. To Khaymak produkował je dla Venghenara wiele lat temu, jeszcze w Suvraelu. Wciąż ma plany i szkice, z których wtedy korzystał. Kiedy jeszcze byłeś Koronalem, przybył na Zamek i chciał ci zaproponować jakiś nowy, ulepszony model, ale Dinitak dowiedział się o tym i go przegnał, bo nie chciał, by ktoś taki jak on węszył na dworze. Tak więc Khaymak udał się do Zimroelu i wstąpił na służbę u niejakiego Mandraliski, którego, jak sądzę, pamiętasz.

Słowa Dekkereta zrobiły na Prestimionie ogromne wrażenie.

– Praegustator? To on jeszcze żyje?

– Najwyraźniej tak. I służy pięciu wybitnie ohydny braciom, którzy, tak się składa, są bratankami naszego starego znajomego, Dantiryi Sambaila. Jak niedawno odkryłem, planują bunt przeciwko naszej władzy w jakimś pustynnym zakątku centralnego Zimroelu.

– Chyba poruszamy się trochę za szybko jak dla mnie – powiedział Prestimion. Dołał im obu brandy i napił się, długo, powoli. – Cofnijmy się troszkę. Ten cały Khaymak Barjazid dał hełm, pozwalający kontrolować umysły, Mandralisce?

– Tak.

– I, bo do tego chyba zmierzasz, Mandralisca użył hełmu, by włamać się do umysłu Teotasa i doprowadzić go na skraj szaleństwa. Właściwie poza jego skraj, do miejsca, gdzie odebrał sobie życie.

– Tak, Prestimionie. Właśnie tak.

– Jaki masz na to dowód?

– Pozwoliłem Dinitakowi wyjąć jeden z naszych hełmów z depozytu i za jego pomocą przeprowadzić małe śledztwo. Mówi, że gdzieś z okolic Ni-moya bije potężna emanacja psychiczna. Wierzy, że pochodzi ona nie od kogo innego, a od Mandraliski, który do tej pory atakował w losowych miejscach. Ale nie tylko, ponieważ jeden z jego ataków skierowany

został prosto w Teotasa, ze skutkiem, który wszyscy widzieliśmy.

– Wierzysz, że Dinitak mówi prawdę.

– Tak.

– Od jak dawna to wiesz?

– Od jakichś trzech dni.

Prestimion znowu poczuł tornada myśli szalejące mu w głowie.

– Słyszałeś, że moja mała Tuanelys także ma złe sny. Varaile czasem również. Mój brat, córka, żona – czy to możliwe, że Mandralisca znalazł sposób, by uderzać w rodzinę Pontifexa?

– To możliwe.

– A potem w Pontifexa? Koronala?

– Nikt nie jest bezpieczny, Prestimionie. Nikt.

Mój brat. Moja córka. Moja żona.

Prestimion zamknął oczy i przycisnął powieki palcami. Przelewała się przez niego wzburzona fala uczuć: przede wszystkim wściekłość, ale także smutek, ponure poczucie psychicznego wyczerpania, nawet lęk. Czy Bogini postanowiła przekląć cały okres moich rządów? Najpierw uzurpacja Korsibara, plaga szaleństwa, która była wynikiem wymazania wspomnień o wojnie domowej z umysłów wszystkich mieszkańców świata, potem Dantirya Sambail próbował pozbawić mnie tronu. A teraz te szkodniki, tych pięciu braci, szczutych do kolejnej rewolucji przez diabelskiego Mandraliskę, który miał chyba tuzin żyć... I, co najgorsze, niewidzialne zagrożenie, sięgające po jego rodzinę...

Kiedy znów spojrzał na Dekkereta, zauważył, że młodszy mężczyzna przygląda mu się z niepokojem, niemal troską. Prestimion szybko próbował zasłonić się maską królewskiej pozy.

– Przypomina mi się – powiedział powoli i spokojnie – przepowiednia Maundiganda-Klimda, mówiąca, że kiedyś jakiś Barjazid stanie się Potęgą Królestwa. Mówiłem ci o tym, prawda? Mówiłem. Myślałeś, że może ma na myśli Dinitaka i odrzuciłeś ją, a ja ostrzegałem cię, żebyś nie brał jej zbyt dosłownie. No to teraz Barjazidzi nie są dosłownie Potęgami Królestwa, ale jest jeden, który ma ogromną potęgę w sensie abstrakcyjnym. Znajdziemy go, zanim wyrządzi większe szkody, odbierzemy mu hełm i zadbamy, żeby nie skonstruował kolejnych. I wreszcie rozliczymy się z tym wężem, Mandraliską. Wyrwiemy mu zęby.

– Tak uczynimy.

– Dekkerecie, będziesz codziennie składał mi raport z postępów, jakich dokona Dinitak.

– Tak jest – Dekkeret dopił swoją brandy. – Musimy też zająć się tym buntem w Zimroelu. Być może pojedę tam osobiście.

Prestimion uniósł brew.

– Pod pozorem Wielkiej Procesji? Tak wcześnie? I tak daleko?

– Prestimionie, zrobię wszystko, co będzie właściwe. Dopiero zacząłem się zastanawiać, co to dokładnie będzie. Omówimy to później, po pogrzebie. Zamierzasz zostać choć trochę w Muldemar?

– Kilka dni, najwyżej tydzień.

– A potem wracasz do Labiryntu?

– Nie. Ruszam na Wyspę Snu. Moja matka wciąż tam mieszka. Moja wizyta w tej mrocznej godzinie dobrze jej zrobi – wstając, dodał: – Sądzę, że powinniśmy dołączyć do pozostałych. Poślij po Dinitaka i spotkajmy się z nim w ciągu kilku najbliższych dni.

– Tak zrobię, Prestimionie.

Kiedy wchodzili po schodach, Prestimion powiedział:

– Zauważyłem, że przyjechałeś z lady Fulkari. Nieco mnie to zdziwiło po rozmowie, którą odbyliśmy na jej temat.

– Jesteśmy zaręczeni – powiedział Dekkeret z leciutkim uśmiechem.

– To tym bardziej zaskakujące. Zdawało mi się, że Fulkari nie chciała zostać małżonką Koronala, a ty myślałeś, jak z nią zerwać. Nie mam racji?

– Masz. Ale porozmawialiśmy o tym jeszcze. Wyjaśniliśmy sobie lepiej parę spraw. Oczywiście, nie ogłosimy naszych zaręczyn oficjalnie ani nie będziemy planować ślubu, dopóki nie minie ból po tym, co stało się z Teotasem.

– Naturalnie. Mam jednak nadzieję, że w odpowiednim czasie otrzymam od ciebie informacje. Gdyby to było możliwe, chciałem, żeby Confalume odprawił mój ślub – Prestimion przerwał i na chwilę złapał Dekkereta za rękę. – Byłoby mi ogromnie miło, gdybyś pozwolił mi odprawić swój.

– Niech Bogini nam na to pozwoli – powiedział Dekkeret. – W każdym razie dobrze by było, gdyby następna wizyta Pontifexa na Górze Zamkowej odbyła się z weselszej okazji niż obecna.

2

– Mój panie, mogę wejść? – zapytał Abridant Dekkereta, który otworzył mu drzwi.

Pogrzeb Teotasa odbył się trzy dni temu. Dinitak przybył z Zamku na prośbę Prestimiona. On, Prestimion i Dekkeret już od godziny odbywali zebranie. Nie wszystko szło idealnie. Coś było nie tak, choć Dekkeret nie był w stanie powiedzieć, co. Prestimion był chłodny, ponury, zamyślony, mówił niewiele, czasami przesadnie akcentował pozornie nieszkodliwą wypowiedź. Było tak, jakby tamtego dnia, kiedy Dekkeret powiedział mu, że być może należy winić hełm Barjazidów za śmierć Teotasa, zaszła w nim jakaś zmiana.

Pukanie Abridanta obniżyło napięcie. Dekkeret szybko podszedł do drzwi, żeby sprawdzić, kto za nimi stoi, zostawiając Dinitaka i Prestimiona zgarbionych nad hełmem, przywiezionym przez Dinitaka. Prestimion oglądał ów hełm z zaciekawieniem, szturchał go palcem i mamrotał coś pod nosem, patrząc na niego z nieskrywaną nienawiścią, jakby był jakimś złowrogim, żywym stworzeniem wydzielającym trujące opary. Pontifex emanował uczuciami tak intensywnymi, że Dekkeret z radością złapał się wymówki, pozwalającej mu oddalić się choć na moment.

– Pewnie szukasz brata – powiedział do Abridanta. Wskazał kciukiem za siebie. – Prestimion jest tam.

Abridant był zaskoczony i może zaniepokojony faktem, że to Dekkeret otwiera drzwi pokoju Prestimiona.

– Czy przeszkadzam w jakiejś ważnej sprawie, mój panie?

– Mamy tu dość ważne spotkanie. Ale myślę, że możemy je na chwilę przerwać – Dekkeret usłyszał kroki za plecami. Z pokoju wyszedł Prestimion. – Pontifex najwyraźniej jest tego samego zdania.

Abridant spojrział na brata i przemówił nieco smutno:

– Nie miałem pojęcia, że odbywacie z Koronalem konferencję, bo inaczej nigdy nie...

– I tak mieliśmy zrobić sobie niewielką przerwę – powiedział Prestimion dość miłym tonem. Z jego zaciśniętych szczęk i ust można było bez trudu wyczytać, jak zirytowany był, że im przerwano. – Czy przysłała jakaś pilna wiadomość, o której powinienem wiedzieć,

Abrigancie?

– Wiadomość? Nie, nie ma żadnych wiadomości. Tylko drobne sprawy rodzinne. Zajmą może minutkę. – Abrigant był wytrącony z równowagi. Spojrzał na Dekkereta i na Dinitaka, który również do nich podszedł. – To może poczekać. Nie miałem zamiaru...

Prestimion przerwał mu ostro.

– Nieważne. Jeśli można się tym zająć tak szybko, jak mówisz...

– Czy chcecie, żebyśmy z Dinitakiem wrócili do pokoju i zostawili was w salonie?

– Nie, zostańcie – powiedział Abrigant. – To nic bardzo osobistego. Za pozwoleniem, panowie, zajmę wam tylko chwilkę – zwrócił się do Prestimiona. – Bracie, właśnie rozmawiałem z Varaile. Mówi, że będziecie stąd wyjeżdżać za dzień lub dwa, ale nie do Labiryntu, tylko na Wyspę Snu. Czy to prawda?

– Prawda.

– Myślałem, że sam pojechałbym na Wyspę, kiedy zakończę moje sprawy tutaj. Nasza matka nie powinna być teraz sama.

Prestimion wyglądał na zirytowanego i zagubionego.

– Czy mówisz, że chcesz jechać z nami, Abrigancie?

Teraz to na twarzy Abriganta pojawiło się identyczne jak u brata zagubienie.

– Nie do końca to miałem na myśli. Jeden z nas na pewno musi do niej pojechać, a ja uznałem, że obowiązek odwiedzenia jej spada na mnie. Czułem, że na Pontifexa czekają w Labiryncie ważniejsze sprawy, które uniemożliwią mi odbycie tak dalekiej podróży. Nie jest w zwyczaju, by Pontifex odwiedzał Wyspę. Ani Koronał – dodał z rosnącym zakłopotaniem.

– W ostatnich latach wydarzyło się wiele rzeczy, które nie są w zwyczaju – odparował Prestimion. – A ja mogę być Pontifexem gdziekolwiek – twarz mu spochmurniała. – Jestem najstarszym z jej synów, Abrigancie. Sądzę, że to moje zadanie...

– Wręcz przeciwnie, Prestimionie...

Dekkeret zaczął czuć się bardzo niezręcznie w roli biernego słuchacza rozmowy pomiędzy braćmi. Od początku był świadkiem wbrew woli, ale teraz, kiedy rozmowa zmieniła się w ostrą wymianę zdań, bardzo nie chciał jej dłużej słuchać. Działo się tu coś, co mógł zrozumieć tylko członek rodziny, a czego nikt obcy nie powinien nawet oglądać.

Jeśli Abrigant, który wraz ze wstąpieniem Dekkereta na tron zrezygnował ze wszelkich funkcji publicznych i miał więcej czasu na zajmowanie się sprawami rodzinnymi niż jego brat uważał, że powinien pocieszać matkę w tej trudnej godzinie – to cóż, Dekkeret uznał, że ma do tego pełne prawo. Ale Prestimion był starszy. Czy to nie on powinien decydować, kto pojedzie na Wyspę?

Poza tym Prestimion był Pontifexem. Nikt, nawet rodzony brat, nie powinien mówić do Pontifexa „wręcz przeciwnie”.

To był ostateczny argument. Prestimion słuchał jeszcze przez kilka chwil, stojąc przed Abridantem z rękoma skrzyżowanymi na piersi i przesadnie okazując cierpliwość, po czym po prostu powiedział:

– Rozumiem twoje odczucia, bracie. Mam jednak inne powody, związane z racją stanu, z których wynika moja potrzeba udania się za granicę. Wyspa będzie zaledwie pierwszym krokiem w mojej podróży – patrzył na Abridanta nieruchomo. – Muszę zająć się sprawą, którą omawialiśmy, kiedy zapukałeś. Ponieważ z mojej strony zarówno wygodnie, jak i słusznie będzie udać się na Wyspę, nie ma potrzeby, byś i ty odbywał tę podróż.

Abridant zareagował milczeniem i zdumionym spojrzeniem. Powoli pojmował, że słowa Prestimiona były rozkazem.

Dekkeret nie wątpił, że brat Pontifexa będzie niezadowolony, ale w tej chwili nie pozostało już nic do powiedzenia. Abridant uśmiechnął się wymuszenie.

– Cóż, Prestimionie, w tej sytuacji muszę ci chyba ustąpić, prawda? Znakomicie, ustępuję więc. Przekaż matce wyrazy mojej miłości i powiedz jej, że moje myśli były z nią od kiedy dowiedziałem się o tej tragedii.

– Dobrze. Teraz twoim zadaniem będzie pocieszenie lady Fiorindy. Zostawiam ją pod twoją opieką.

Abridant i na to nie był gotowy. Był już zły, że musiał ustąpić Prestimionowi w kwestii podróży na Wyspę, a teraz wyglądał na jeszcze bardziej zaskoczonego.

– Co? Fiorinda zostaje tutaj? Nie będzie towarzyszyć Varaile w waszych podróżach?

– Uważam, że to zły pomysł. Varaile pośle po nią, kiedy wrócimy do Labiryntu. Do tego czasu wolę, by pozostała w Muldemar.

Po tych słowach, gestem, który Dekkeretowi zdał się raczej pokazem potęgi urzędu niż wyrazem braterskiej czułości, Prestimion sztywno wyciągnął ramiona do Abridanta i powiedział:

– Chodź, bracie, uściśnijmy się, a potem muszę kontynuować to spotkanie.

Kiedy Abridant oddalił się i wrócili do pokoju, Dekkeret zwrócił się do Prestimiona i – po to, by przerwać niezręczną ciszę, która zapadła po odejściu Abridanta – zapytał:

– Jeśli mogę zapytać, o jakich dokładnie podróżach mówiłeś, wasza wysokość?

– Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji – Prestimion wciąż przemawiał ostrym tonem. – Ale nie ma wątpliwości, że w ciągu najbliższych miesięcy będziemy dużo

podróżować.

Podniósł leżący na stole hełm i przelewał miękką, metalową plecionkę z ręki do ręki, niczym złote monety.

– Ech! Nigdy nie przypuszczałem, że znów wezmę do ręki to ohydne urządzenie. Raz niemal mnie zabiło, pamiętasz?

– Nigdy tego nie zapomnimy, wasza wysokość – powiedział Dinitak. – Widzieliśmy, jak wysiłek korzystania z niej rzuca cię na kolana, kiedy podróżowałeś umysłem po świecie i leczyłeś szaleństwo.

Prestimion uśmiechnął się blado.

– Tak było. A ty powiedziałeś Dekkeretowi „zdejmij mu go!”, o ile dobrze pamiętam, i Dekkeret odparł, że nie wolno tak dotykać Koronala, a ty mimo to kazałeś mu to zrobić, bo w przeciwnym razie świat będzie potrzebował nowego Koronala. I Dekkeret zdjął mi ten hełm... Zawsze się zastanawiałem, Dinitaku, czy zrobiłbyś to sam, gdyby Dekkeret jednak się nie zdecydował?

Dekkeret przemówił szybko, nie ukrywając gniewu:

– To niesprawiedliwe pytanie, Prestimionie. Czemu go o to pytasz? Kiedy zobaczyłem, co hełm z tobą robił, zdjąłem ci go.

Jednak Dinitak zwrócił się do Dekkereta i spokojnie oświadczył:

– Bez problemu odpowiem na pytanie Pontifexa – a do Prestimiona: – Tak, wasza wysokość, zdjąłbym go. Osoba Koronala jest święta do pewnego stopnia. Nie wolno stać beczynnie, kiedy życie Koronala jest zagrożone. Rozumiem moc hełmu lepiej niż którykolwiek z was. Wlewałeś w niego całą siłę, wasza wysokość, i korzystałeś z niego już dość długo. Byłeś w ogromnym niebezpieczeństwie – ciemna twarz Dinitaka była mocno zarumieniona. – Bez wahania zdjąłbym ci hełm, gdyby Dekkeret nie był w stanie. A gdyby próbował mnie powstrzymać, odepchnąłbym go.

– Dobrze powiedziane – powiedział Prestimion, wykonując delikatny gest aprobaty. – Podoba mi się, jak powiedziałeś, że „byś go odepchnął”. Nigdy nie przejmowałeś się dyplomacją i taktem, co, Dinitaku? Ale jesteś uczciwym człowiekiem.

– Od dziesięciu tysięcy lat jedynym w rodzinie – powiedział Dekkeret i roześmiał się. Dinitak po chwili także wybuchnął szczerą, serdeczną wesołością.

Tylko Prestimion był wciąż poważny. Dziwne napięcie, którym emanował tego popołudnia, zwiększyło się jeszcze z chwilą odejścia Abridanta. Teraz był wyraźnie drażliwy, jakby była w nim gotowa do wybuchu siła, powstrzymywana tylko największym wysiłkiem.

Kiedy jednak położył hełm na stole, głos miał spokojny.

– Niech Bogini broni mnie przed koniecznością założenia tego ponownie! Aż za dobrze pamiętam jego moc. Ktoś w moim wieku nie ma po co się do niego zbliżać. Kiedy znów będziemy go potrzebować, to ty, Dinitaku, się nim zajmiesz. Nie ja – spojrzał znowu na Koronala. – Ani nie ty, Dekkerecie!

– Wierz mi, nie przyszło mi to do głowy – odpowiedział Dekkeret. Bardzo chciał wrócić do tematu, który Prestimion tak zrećcznie pominął. – Minutę temu powiedziałaś, że będziemy dużo podróżować. Gdzie się wybieramy?

– Zamierzam zrobić coś, co Pontifeksi robią raczej rzadko. Chciałbym podróżować po świecie bez określonego planu. W ten sposób ochronię moją rodzinę przed zakusami naszego drogiego Mandraliski.

Dekkeret skinął głową.

– To brzmi rozsądnie.

– Oczywiście najpierw udam się na Wyspę, prawdopodobnie północną trasą, przez Alaisor. Ponoć o tej porze roku wiatry będą nam sprzyjać. Po odwiedzinach u matki wrócę na kontynent, pewnie południową drogą, przez Stoien albo Treymone. Raczej Stoien, tak będzie najlepiej. Jeśli postanowię wrócić do Labiryntu, tak będzie najprościej. Ale to, gdzie udam się po powrocie na Alhanroel zależy od tego, co zrobią Mandralisca i jego pięciu panów, jak duże problemy postanowią sprawiać i w jakim niebezpieczeństwie się znajdę.

– Mam nadzieję, że w żadnym – powiedział z zapalem Dekkeret. Przypatrywał się Prestimionowi z uwagą. Pontifex wciąż wyglądał dziwnie. W Prestimionie coś tykało, tykało, tykało... – A mogę spytać, jaką podróż przewidziałeś dla mnie?

– Przed pogrzebem sam powiedziałaś, że chcesz udać się na Zimroel i zbadać tamtejszą sytuację – powiedział Prestimion. – Tylko czas pokaże, czy to potrzebny krok. Mam nadzieję, że nie, bo nowy Koronal ma dość pracy na Zamku, żeby włóczyć się po innych kontynentach. Jestem jednak pewien, że w obecnej sytuacji powinieneś znaleźć się w miejscu, z którego z łatwością się tam udasz, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Masz na myśli zachodnie wybrzeże?

– Tak. Kiedy ja ruszę na Wyspę, ty powinieneś podążać za mną, zygżakiem przez zachodnie ziemie aż do Alaisor.

– Chcesz więc, bym jechał łądem?

– Tak. Łądem. Pokaż się ludziom. Widok Koronala zawsze budzi pozytywne uczucia. Podróżuj pod pretekstem odbywania pewnego rodzaju procesji, nie pełnej, z bankietami i całym tym cyrkim, ale wstępnej, ot, szybka wizyta Koronala w ważnych miastach zachodniego Alhanroelu. Weź ze sobą Dinitaka. Potrzebujesz dokładnie monitorować

wydarzenia na zachodnim kontynencie, a hełm ci na to pozwoli. Kiedy dotrzesz do Alaisor, rusz wzdłuż wybrzeża, do Stoien, i tam poczekaj, aż wrócę od matki. Kiedy skończę swoje sprawy na Wyspie spotkamy się w Stoien albo w okolicy i przedyskutujemy sytuację. Może będziesz musiał udać się na Zimroel i zaprowadzić tam porządek. Może nie. Jak to brzmi?

– Pozostaje w idealnej zgodzie z moimi pomysłami.

– Dobrze. Dobrze – Prestimion złapał Dekkereta ze rękę i ścisnął jego nadgarstek ze straszną siłą.

Wtedy wreszcie pękła lodowa zasłona jego samokontroli. Odwrócił się prędko i zaczął chodzić po pokoju krótkimi, wściekłymi krokami, z zaciśniętymi pięściami i napiętymi ramionami. Dekkeret zrozumiał nagle aurę napięcia, która otaczała Prestimiona – Pontifex z największym trudem powstrzymywał wściekłość. Było to teraz widoczne jak na dłoni. Atakowano jego własną rodzinę... żonę, córkę i oczywiście Teotasa... Nie mógł tego znieść. Twarz miał szarą ze zmęczenia, ale oczy lśniły gniewem.

Wylał się z niego gorący strumień słów, które za długo usiłował zatrzymać.

– Na Boginię, Dekkercie, czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej nieznośnego! Kolejna rebelia! Czy to się nigdy nie skończy? Ale tym razem skończymy zarówno z rebelią, jak i z rebeliantami. Schwytamy tego Mandraliskę i zakończymy rzecz raz na zawsze, tak samo tych pięciu braci i wszystkich, którzy przysięgli im wierność.

Prestimion wciąż chodził nerwowo po pokoju, prawie nie patrząc na Dekkereta.

– Mówię ci, Dekkercie, wyczerpały się resztki mojej cierpliwości. Dwadzieścia lat rządów, jako Koronał i jako Pontifex, upłynęło mi na walce z wrogami, z jakimi nie musiał radzić sobie żaden władca Majipooru od czasów Stiamota. Doprowadzają mojego brata do szaleństwa? Wchodzą w sny mojej córeczki? Nie. Nie! Mam tego dość, bardziej, niż dość. Zniszczymy ich. Wykarczujemy do ostatniego korzonka. Do ostatniego korzonka, Dekkercie!

Dekkeret nigdy nie widział Prestimiona w takim stanie. Potem jednak Pontifex odzyskał trochę równowagi. Przestał chodzić w kółko jak furia i stanął pośrodku pokoju, opuszczając luźno ramiona, oddychając powoli. Potem bezceremonialnie machnął na Dekkereta i Dinitaka.

– Idźcie już. Idźcie! Muszę pomówić z Varaile, powiedzieć jej, co nas czeka.

Dekkeret był szczęśliwy, że mógł się oddalić. To był nowy Prestimion, przerażający. Wiedział, że Prestimion zawsze był impulsywny i pełen pasji, że przebiegłość i uwaga wciąż walczyły w nim z temperamentem i niecierpliwością. Zawsze jednak miał poczucie humoru i

dowcip, które pozwalały mu znajdować siły w najtrudniejszych sytuacjach.

Umiarkowanie w obliczu przeciwności losu było jedną z charakterystycznych cech Prestimiona podczas jego długich rządów. Dekkeret zauważył, że z upływem lat Pontifex stał się zrzędlawy i konserwatywny, jak to często się zdarzało, i stracił sporo ze swojej dawnej wytrwałości. Traktował sprawę Mandraliski jak osobisty afront, nie jak atak na świętość wspólnoty, którym faktycznie był.

Może właśnie dlatego mamy system podwójnej monarchii. Kiedy Koronał starzeje się i staje bardziej surowy, przenosi się na wyższy tron, a na Zamku zastępuje go ktoś młodszy. W ten sposób mądrość i doświadczenie przychodzące z wiekiem są sprzęgnięte z elastycznością i energią młodości.

Kiedy Dekkeret po rozstaniu z Dinitakiem wrócił do pokojów, które zajmował, Fulkari powitała go ciepłym uściskiem. Dopiero co brała kąpiel, ubrana była tylko w puchaty szlafrok i złoty naszyjnik. Z jej piersi i ramion unosił się słodki zapach kąpielowych perfum. Poczuł, że powoli wyzwala się spod napięcia, w którym tkwił podczas spotkania z Prestimionem.

Ona jednak na pierwszy rzut oka zobaczyła, że coś jest nie tak.

– Wyglądasz bardzo dziwnie – powiedziała. – Czy między tobą a Prestimionem coś jest nie tak?

– Na zebraniu zajmowaliśmy się wieloma trudnymi sprawami – Dekkeret rzucił się na aksamitną otomanę. Zaskrzypiała, kiedy opadło na nią jego potężne ciało. – Prestimion zrobił się dość trudny.

– W jakim sensie? – zapytała Fulkari, siadając na podłodze tuż obok.

– Na tuzin sposobów. Zmęczenie wywołane pełnieniem najwyższych urzędów państwowych wreszcie odcisnęło na nim piętno. Śmieje się dużo rzadziej niż kiedy był młodszy. Rzeczy, które dawniej zdawały mu się śmieszne, już go nie bawią. Bardzo łatwo wpada w gniew. Pokłócił się z Abrigantem, nic wielkiego, ale nie powinni tego robić w mojej obecności. Albo i wcale – Dekkeret potrząsnął głową. – Nie chcę mówić o nim, zbyt ostro. Wciąż jest wspaniałym człowiekiem. No i nie można zapominać, że jego najmłodszy brat dopiero co poniósł straszną śmierć.

– Nic więc dziwnego, że tak się zachowuje.

– Ale przykro to oglądać. Współczuję mu, Fulkari.

Uśmiechnęła się łobuzersko. Wzięła w dłonie jego stopę i zaczęła ją masować.

– A czy ty, Dekkerecie, też staniesz się drażliwy i nerwowy, kiedy zostaniesz Pontifexem?

Mrugnął do niej.

– Oczywiście. Jeśli tak się nie stanie, znaczy, że coś jest ze mną nie tak.

Przez moment wydawało się, że pomimo mrugnięcia, wzięła jego słowa na poważnie. Potem jednak zaczęła się śmiać.

– To dobrze. Bardzo pociągają mnie marudni, nerwowi mężczyźni. Właściwie zupełnie nie mogę się im oprzeć. Podnieca mnie sama myśl o nich.

Wsunęła się na otomanę i ułożyła w jego ramionach. Dekkeret przycisnął twarz do jej jasnomiedzianych włosów, wdychał ich zapach, delikatnie pocałował kark. Wsunął rękę pod jej szlafrok, przesunął palcami po jej obojczykach, dotknął piersi. Przez jakiś czas pozostali w tej pozycji, żadne z nich nie chciało za szybko przejść dalej.

– Jutro wracamy na Zamek – powiedział Dekkeret po chwili.

– Na Zamek? – zapytała Fulkari, rozmarzona. – To miło. Chociaż tutaj też bardzo mi się podoba. Mogłabym tu zostać jeszcze tydzień lub dwa... – zaczęła się wiercić, by lepiej dopasować do niego swoje ciało.

– W domu czeka na mnie mnóstwo pracy – powiedział Dekkeret, zastanawiając się, czemu odczuwa tak perwersyjną potrzebę zepsucia miłego nastroju. – A kiedy się z nią uporam, czeka nas trochę podróżowania.

– Wyprawa? Ooo, to też miło – jej głos brzmiał, jakby prawie zasypiała. Tulila się do niego, całkowicie odprężona, jak senny kociak. – A gdzie pojedziemy? Do Stee? Morpin Wysokiego?

– Dalej. Dużo dalej. Do Alaisor.

To szybko ją obudziło. Obróciła głowę i patrzyła na niego, zdumiona.

– Alaisor? To tysiące mil stąd! Nigdy w życiu nie byłam tak daleko od Góry! Dlaczego Alaisor, Dekkerecie?

– Bo tak – uciął, żałując, że nie odłożył tej rozmowy na później.

– *Bo tak?* Wyprawa na drugi koniec Alhanroelu *bo tak?*

– To na prośbę Pontifexa. Sprawy państwowe.

– To ta sprawa, o której dyskutowaliście dzisiaj, tak?

– Mniej więcej.

– A co to właściwie za sprawa? – Fulkari uwolniła się z jego objęć i usiadła przodem do niego ze skrzyżowanymi nogami.

Dekkeret zrozumiał, że musi być ostrożny. Nie mógł opowiedzieć jej całej historii, nie mógł wspomnieć o buncie w Zimroelu, o ponownym pojawieniu się Mandraliski, o możliwości, że hełm Barjazidów spowodował śmierć Teotasa. Nie były to sprawy, o których

mógł z nią rozmawiać. Fulkari wciąż była tylko zwykłym obywatelem. Koronał mógłby rozmawiać o tym z żoną, ale Fulkari jego żoną nie była.

W końcu odezwał się, ostrożnie dobierając słowa:

– Za morzem wydarzyło się ostatnio kilka dziwacznych rzeczy. Nieważne, co dokładnie. W każdym razie Prestimion chce, bym udał się na zachód i chwilowo pozostał gdzieś na wybrzeżu, żebym był gotów do podróży, jeśli będę nagle musiał udać się do Zimroelu.

– Zimroel! – zawołała, jakby mówił o wyprawie na Wielki Księżyc.

– Tak, możliwe, że do Zimroelu. Zrozum, że to może się wcale nie wydarzyć. Pontifex jednak pragnie, żebyśmy się przygotowali. Dlatego poprosił mnie i Dinitaka, żebyśmy udali się do Alaisor, i...

– Dinitak też? – zapytała Fulkari unosząc brwi.

– Tak, Dinitak wyruszy z nami. Będzie przeprowadzał szczególne, rządowe śledztwo z użyciem specjalnego sprzętu, który... – nie, o tym też nie mógł jej powiedzieć. – Z użyciem specjalnego sprzętu – dokończył niezręcznie. – Będzie mi składał codzienne raporty. Lubisz Dinitaka, prawda? Nie będziesz chyba przeciwna jego towarzystwu.

– Oczywiście, że nie. A Keltryn? – zapytała. – Co z nią?

– Nie rozumiem – odpowiedział Dekkeret. – Co dokładnie masz na myśli?

– Czy ona też pojedzie z nami?

Czuł się zagubiony.

– Nie rozumiem, Fulkari. Próbujesz powiedzieć, że chcesz, aby Keltryn zawsze jeździła z nami?

– Bynajmniej. Ale nie będzie nas przez kilka miesięcy, prawda?

– Co najmniej kilka miesięcy.

– Nie obawiasz się, że będą za sobą tęsknić podczas tak długiej rozłąki?

Nie rozumiał ani słowa.

– Dinitak i Keltryn? Tęsknić? Nie wiem, o czym mówisz. Czy oni w ogóle poznali się lepiej, niż tylko przelotnie?

– To nie wiesz? – Fulkari roześmiała się. – Nic ci nie powiedział? A ty nic nie zauważyłeś? Dinitak i Keltryn? Doprawdy, Dekkerecie, doprawdy...

3

Keltryn siedziała w małym pokoju swojego apartamentu w Arkadzie Setiphona i stawiała chyba tysięcznego pasjansa odkąd Dinitak został wezwany do Domu Muldemar na pogrzeb Teotasa.

Czwórka komet. Szóstka rozbłysku gwiazd. Dziesiątka księżyców.

Czemu Dinitak musiał być na pogrzebie Teotasa? Nie piastował żadnego stanowiska w rządzie i nie należał do arystokracji Góry Zamkowej. Był tylko przyjacielem Dekkereta i czasem jego towarzyszem podróży. Poza tym, o ile było jej wiadomo, Dinitak i Teotas do niedawna znali się tylko z widzenia. Nie miał powodu, by jechać na pogrzeb. Podczas pierwszych ustaleń nikt nie mówił, że Dinitak ma jechać do Domu Muldemar.

A potem, w przeddzień pogrzebu, nagle pojawia się kurier w stroju Pontyfikatu i mówi, że Prestimion natychmiast chce widzieć Dinitaka w Muldemar. Dlaczego? Rozkaz przybył tak późno, że Keltryn nie sądziła, aby Dinitak zdążył na same uroczystości pogrzebowe. Musiało więc chodzić o coś innego. I czemu posłaniec z wezwaniem przybył od *Pontifexa*, a nie od dobrego przyjaciela Dinitaka, Lorda Dekkereta? W końcu on też tam był. Wszystko to było bardzo tajemnicze. Chciała, żeby teraz, kiedy pogrzeb się skończył, a Teotas spoczął bezpiecznie w grobie, Dinitak wrócił jak najszybciej.

Rozdrażniona, rozłożyła karty.

Pontifex mgławic. Niech to! Miała już na stole Koronała mgławic. Czy nie mogła wyciągnąć Pontifexa pięć minut temu? Dziewiątka księżyców. Walet mgławic. Wsunęła waleta pod Koronała. Trójka komet. Skrzywiła się. Nawet kiedy karta jej szła, nie miała z tego przyjemności. Miała dość pasjansa. Chciała Dinitaka. Piątka księżyców. Królowa rozbłysków gwiazd. Siódemka...

Pukanie!

– Keltryn? Keltryn, jesteś?

Zmiotła karty na podłogę.

– Dinitak! Wreszcie wróciłeś!

Pobiegła do drzwi. W ostatniej chwili przypomniało jej się, że nie miała na sobie nic

poza przepaską na biodrach i prędko narzuciła szatę. Dinitak był tak strasznie wymagający, taki *moralny*. Pomimo wszystkiego, co razem przeżyli odkąd zostali kochankami byłby zszokowany, gdyby otworzyła mu drzwi prawie nago. Musiała założyć szatę, zanim można ją było zdjąć, tak to już z nim było. Poza tym, mógł z nim ktoś być.

Otworzyła drzwi. Był sam. Złapała go za nadgarstek i wciągnęła do pokoju, a po chwili już była w jego ramionach i obsypywała go pocałunkami. Wreszcie, wreszcie, wreszcie. Czuła się, jakby nie widziała go od sześciu miesięcy.

– No! – powiedziała, wreszcie go puszczając. – Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Wiesz, że tak – oczy świeciły mu dziko, niczym nadbrzeżne ognie w jego wąskiej, kanciastej twarzy. Szybkim ruchem języka oblizał swoją dolną wargę. Bywał purytański i do przesady szlachetny, ale w tej chwili wyglądał na gotowego, by zedrzeć z niej ubranie.

Wpadła w łobuzerski nastrój. Postanowiła, że każe mu jeszcze chwilę poczekać. Sprawdzi i jego, i swoją wytrzymałość.

– Czy miałeś wiele do omówienia z twoim przyjacielem, Pontifexem? – zapytała, odsuwając się od niego na kilka kroków.

Widać było, że poczuł się niezręcznie. Kilkakrotnie zamrugał, jakby miał jakiś tik, a na jego szczupłych, opalonych policzkach zadrgały mięśnie.

– To... to nie jest temat, na który mogę się wypowiadać. W każdym razie nie teraz – mówił wysiłonym, zachrypniętym głosem. – Pontifex, Koronal i ja spotykaliśmy się; są pewne problemy polityczne, i chcieli, bym zapewnił im swoiste wsparcie techniczne... – przez cały czas wpatrywał się w nią łakomie. Keltryn uwielbiała to dzikie spojrzenie. Te ciemne, lśniące oczy, potęgę jego wzroku, jego niesamowitą *intensywność*, magnetyczną siłę, która z niego emanowała, napięcie niczym zwiniętej sprężyny – te wszystkie cechy zafascynowały ją od pierwszej chwili.

– A pogrzeb? – zapytała, z rozmysłem wciąż trzymając go na dystans. – Jak było?

– Przyjechałem za późno, by w nim uczestniczyć. Ale to nieważne. Nie wzywali mnie na pogrzeb. Chodziło o co innego, o to techniczne zadanie.

– To, o którym mi nie opowiesz.

– To, o którym *nie mogę* ci opowiedzieć.

– Dobrze, nie mów. Nie obchodzi mnie to. To pewnie i tak straszliwie nudne. Fulkari opowiadała mi o obowiązkach, którym Koronal poświęca całe dnie. Są kolosalnie nudne. Za nic na świecie nie chciałabym być Koronalem. Gdyby położyli przede mną koronę rozbłysku gwiazd, naszyjnik Vildivara, pierścień Lorda Moazlimona i całą resztę klejnotów koronnych, mimo to nie... – nagle miała dość tych gier. – Och, Dinitaku, Dinitaku, tak strasznie za tobą

tęskniłam, kiedy byłeś w Muldemar! I nie mów, że to było tylko kilka dni. Dla mnie minęły wieki.

– I dla mnie – odpowiedział. – Keltryn... Keltryn...

Wyciągnął do niej ramiona, a ona chętnie podeszła. Szata opadła na ziemię. Jego ręce gładziły całe jej ciało, kiedy pociągnęła go na dywan.

Byli parą od tak niedawna, że fizyczna strona ich relacji była dziko, wręcz niekontrolowanie intensywna. Keltryn, dla której wszystko to było dotychczas całkiem obce, czuła nie tylko podniecenie wynikające z uwolnienia dawno tłumionych pragnień, ale także nieprzewartą chęć nadrobienia straconego czasu, skoro wreszcie pozwoliła sobie doświadczyć tego aspektu dorosłości.

Wiedziała, że w przyszłości będą mieli dość okazji, by odbywać głębokie rozmowy, przechadzać się ręką w rękę po cichych korytarzach Zamku, jadać kolacje przy świecach i tak dalej. W Keltryn wciąż żył jakiś fragment dawnej chłopczycy, dziewiczej adeptki fechtunku, która tak sprawnie potrafiła trzymać chłopców na dystans, więc od czasu do czasu powtarzała sobie, że ich związek nie powinien w całości opierać się na rozkosznych zapasach i gorącej, dzikiej kopulacji, ale teraz, kiedy wreszcie posmakowała obu tych rzeczy, postanowiła odłożyć długie rozmowy i spacerować na późniejszy etap związku.

Dinitak, pomimo ascezy, która zdawała się być częścią jego natury, czuł to samo. Jego apetyt na miłość, uwolniony po kto wie jak długim okresie postu, był nie mniejszy od jej własnego. Z radością doprowadzali się wzajemnie na granicę wyczerpania i poza te granice.

Nie było łatwo dojść do tego rodzaju związku. Przez pierwsze dwa tygodnie po przypadkowym spotkaniu przed Rotundą Lorda Haspara widywali się niemal codziennie, ale on w żaden sposób nie próbował zbliżyć się do niej fizycznie, a ona nie wiedziała, jak go do tego zachęcić. Przyzwyczała się do niechcianych awansów kolegów z grupy, choćby Polliexa czy Toramana Kanny, ale jak wywołać chciane awanse? Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Dinitak nie jest taki sam, jak Septach Melayn i czy przypadkiem nie było jej przeznaczeniem zakochiwać się tylko w mężczyznach, którzy przez wrodzone cechy nigdy nie mogli być jej.

Nie miała wątpliwości, że się w nim zakochała. Dinitak był niepodobny do nikogo, kogo poznała wcześniej, zarówno w dzieciństwie w Sipermit, jak i na Zamku. Ciemny, wiecznie zamyślony, przystojny; szczupły i napięty Suvraelczyk, który dorastał pod ostrym, nielitościwym słońcem pustynnego kontynentu – wszystko to było dla niej czarujące, nieodparcie urocze. Fakt, że był smukły, niemal chuderlawy i ledwo o cal wyższy od niej

wcale jej nie przeszkadzał. Gdy na niego patrzyła, czuła – w kolanach, w piersiach, w łydźwiach – przemożne przyciąganie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Był niezwykle i na inne sposoby. Odnosił się do ludzi bardzo wprost, wręcz szorstko, co, jak sądziła Keltryn, wynikało z jego wychowania w Suvraelu. Był człowiekiem z ludu, to też czyniło go innym od chłopców, z którymi dorastała. Było też coś innego. Bardzo niewiele wiedziała o jego pochodzeniu, ale słyszała plotki, mówiące, że ojciec był przestępcą, że usiłował wykreść Dekkeretowi jakiś brzydki numer, gdy ten był jeszcze młody i podróżował po Suvraelu i że Dinitak, zniesmaczony ojcowskimi intrygami, zwrócił się przeciw niemu i pomógł Dekkeretowi go uwięzić.

Keltryn nie miała pojęcia, czy to prawda, ale niewątpliwie *mogła* to być prawda. Z tego, co Dinitak powiedział jej i innym mieszkańcom Zamku, wiedziała, że miał twarde, surowe spojrzenie na sprawy i że nie miał cierpliwości do nieodpowiednich zachowań, nieważne, czy chodziło o zwykłe lenistwo i niedbałość, czy o przestępstwa. Kierował nim potężny imperatyw moralny, niektórzy mówili, że była to reakcja na brak skrupułów ojca. Był idealistą, szczerym aż do bólu. Nie wahał się krytykować innych w ich odstępstwach od cnoty i, co bardzo mu się chwaliło, sam takich odstępstw nie popełniał.

Keltryn wiedziała, że ktoś taki może łatwo wydawać się pruderyjny, przemądrzały i zadufany. Co dziwne, Dinitak wcale nie zrobił na niej takiego wrażenia. Był dobrym towarzyszem, żywym, zabawnym, na swój sposób pełnym wdzięku, obdarzonym inteligentnym poczuciem humoru. Nic dziwnego, że Lord Dekkeret tak go lubił. Co się tyczyło jego potężnego poczucia, co jest dobre, a co złe, trzeba było przyznać, że żył w zgodzie z własnymi zasadami, traktował siebie nie mniej surowo niż innych i nie domagał się za to pochwał. Zdawał się być w naturalny sposób prawy i niezepsuty. Po prostu taki już był. Trzeba go było brać z dobrodziejstwem inwentarza.

Zastanawiała się, czy ktoś taki nie jest za szlachetny, by cieszyć się rozkoszami ciała, gdyż ona sama postanowiła, że pora wreszcie zacząć z nich korzystać i znalazła kogoś, z kim pragnęła to robić, on zaś zdawał się całkowicie nieświadomy jej uczuć.

W końcu, zdesperowana, zdała sobie sprawę, że we własnej rodzinie miała eksperta od tych spraw. Tak oto przyszła po radę do Fulkari.

– Możesz spróbować postawić go w sytuacji, kiedy będzie miał bardzo niewielki wybór i zobaczyć, co zrobi – zasugerowała jej siostra.

Oczywiście Fulkari wiedziała, jak to zrobić! Tak więc pewnego popołudnia Keltryn zaprosiła Dinitaka, by tego wieczora dołączył do niej na basenie w Arkadzie Setiphona. Mało kto korzystał ostatnio z tego basenu, a Keltryn upewniła się, że zupełnie nikt nie był tam

wieczorami. Żeby mieć całkowitą pewność, zamknęła wejście na basen, kiedy przyszedł Dinitak.

Rzecz jasna, przyniósł ze sobą strój kąpielowy.

Teraz albo nigdy, pomyślała Keltryn. Kiedy on ruszył w kierunku jednej z przebieralni, powiedziała:

– Och, chyba nie musimy zakładać strojów. Ja tego nigdy nie robię. Dzisiaj też go nie wzięłam.

Szybko zdjęła ubranie, przeszła koło niego z sercem walącym tak, że myślała, iż połamie jej żebra i wykonała doskonały skok do basenu z różowego porfiru. Dinitak zawahał się tylko przez chwilę, potem także się rozebrał – patrzyła na niego z basenu, podziwiając jego piękne, szczupłe ciało i smukłą talię – i skoczył za nią.

Przez jakiś czas chlapali się w ciepłej, pachnącej cynamonem wodzie. zaproponowała mu wyścigi i popłynęli bok w bok z jednego końca basenu na drugi, kończąc remisem. Potem wyszła z wody, znalazła ręczniki, rozłożyła je na kafelkach przy brzegu i gestem zaprosiła go, by do niej dołączył.

– A co jeśli ktoś przyjdzie? – zapytał.

Nie starała się ukryć łobuzerskiego nastroju.

– Nie przyjdzie. Zamknęłam drzwi.

Leżała naga na miękkich ręcznikach w ciepłym, wilgotnym pokoju, który mieli tylko dla siebie. Nie mogła jaśniej pokazać, że przyprowadziła go tu po to, by mu się oddać. Jeśliby nią pogardził, znaczyłoby to, że nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany byciem jej kochankiem – że nie była dla niego atrakcyjna, albo że nie był mężczyzną lubiącym kobiety, albo może jego nadmiernie rozwinięta wrażliwość moralna nie pozwalała mu korzystać z cielesnych przyjemności swobodnie i bez trudności.

Nic z tego nie było prawdą. Dinitak położył się przy niej, objął ją, pocałował i sięgnął dłonią do jej piersi, a potem w dół, między uda. Keltryn zrozumiała, że to się wreszcie stanie, że przekroczy tę wielką granicę, która oddziela dziewczynki od kobiet, a Dinitak tego wieczoru wprowadzi ją w świat tajemnic, którego nigdy wcześniej nie doznała.

Zastanawiała się, czy będzie bolało. Zastanawiała się, czy zrobi wszystko jak należy.

Okazało się, że nie warto było myśleć o robieniu rzeczy dobrze lub źle. Dinitak wiedział, co robi, a ona z łatwością dawała się prowadzić, a po pewnym czasie pozwoliła wziąć górę swoim instynktom. Co do bólu, czuła go tylko przez chwilę, dużo mniejszy, niż się obawiała, choć wystraszyła się i z ust wyrwało się jej ciche westchnienie. Potem nie było już problemów. To, co się stało, było dość dziwne. Ale wspaniałe. Fantastyczne.

Niezapomniane. Czują, że przeszła przez drzwi do nowego, nieznanego świata, gdzie wszystko jaśniało aurą zachwyty.

To jedno westchnienie spowodowało jednak późniejsze trudności. Kiedy było po wszystkim, Keltryn leżała na plecach, oszołomiona przyjemnością i zdumieniem i dopiero stopniowo zdała sobie sprawę, że Dinitak patrzy na nią ogłupiały, niemal przerażony.

– Czy coś jest nie tak? – wyszeptała niemal ze łzami. – Nie spodobałam ci się?

– O nie, nie, nie! Byłaś cudowna! Bardziej niż cudowna. Ale dlaczego nie powiedziałaś mi, że to twój pierwszy raz? – czoło miał boleśnie zmarszczone.

Więc to o to chodziło! Znowu ta przekłeta moralność!

– Nie przyszło mi to do głowy. Jeśli ty się nad tym zastanawiałeś, mogłeś zapytać.

– O takie rzeczy się nie pyta – powiedział poważnie. Pomyślała, że zachowuje się, jakby zrobił coś potwornie niewłaściwego. Czemu to ma być *jej* wina?

– Poza tym – kontynuował – nie miałem powodów, by to podejrzewać. Nie po tym, jak zwabiłaś mnie tu, na basen, jak bez wstydu zrzuciłaś ubranie i... – walczył ze słowami, nie mógł znaleźć właściwych, wreszcie wypalił:

– Mogłaś coś powiedzieć, Keltryn! Powinnaś była mi powiedzieć!

To było zdumiewające. Poczwała, że rośnie w niej gniew.

– Czemu? Jaką to by zrobiło różnicę?

– Bo teraz czuję się winny z powodu tego, co się stało. Świadomie czy nie, zrobiłem coś, czego sobie nie wybaczę. Odebrać kobiecie dziewictwo... to jak złodziejstwo...

To miało coraz mniej sensu.

– Nic nie odebrałaś. Ja dałam.

– Mimo wszystko... Tego się nie *robi*.

– Nie robi? Chcesz chyba powiedzieć, że ty tego nie robisz. Dinitaku, brzmisz prehistorycznie. Czy tobie się wydaje, że Zamek jest jakimś sanktuarium czystości? Spędziłam miesiące w grupie głupich chłopców, którzy dosłownie ślinili się, żeby móc zrobić to, co właśnie zrobiliśmy i odmawiałam im wszystkim. A kiedy po raz pierwszy postanawiam, że chcę powiedzieć „tak”, masz do mnie pretensje, że z wyprzedzeniem nie poinformowałam cię, że... że...

Poczwała wzbierające łzy i tym razem były to łzy wściekłości, nie strachu. Co za idiota! Jak mógł czuć się winnym w tak wspaniałej chwili? Jakie prawo miał sądzić, że zrelacjonuje mu ze szczegółami historię swoich seksualnych podbojów?

Wiedziała, że musi opanować gniew i jakoś to naprawić, albo ich przyjaźń tego nie przetrwa.

– Nie chcę, żebyś uważał, że zrobiłeś coś nie tak, Dinitaku – powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki było ją stać. – Z mojego punktu widzenia byłeś w stu procentach taki, jak trzeba. Tak, byłam dziewicą i wierz mi, byłam tym już bardzo zmęczona, i sądzę, że oszalałabym, gdybym miała nią pozostać jeszcze choć godzinę.

Ale to tylko pogorszyło sprawy. Teraz to on był zły.

– Rozumiem. Chciałaś się pozbyć swojej męczącej niewinności, znalazłaś więc wygodne narzędzie, żeby ci w tym pomogło. Cóż, cieszę się, że mogłem się przydać.

– *Narzędzie*? Nie! Nie! To ohydne, że tak mówisz! Niczego nie rozumiesz, prawda?

– Nie?

– Proszę. Wszystko psujesz tym swoim świętym oburzeniem. Wiem, że nic na to nie możesz poradzić, że bardzo poważnie traktujesz sprawy moralności. Ale zobacz, jak komplikujesz wszystko między nami! To potwornie głupie i niepotrzebne.

Chciał odpowiedzieć, ale położyła mu dłoń na ustach.

– Nie rozumiesz, że cię *kocham*, Dinitaku? Że to dlatego jestem tu teraz z tobą, nie z Polliexem, albo Toramanem Kanną, albo innym uczniem fechtunku Septacha Melayna? Przez wszystkie tygodnie, które spędziliśmy razem, ani razu nie wykonałeś żadnego gestu w moją stronę, choć modliłam się, żebyś to zrobił, ale byłeś zbyt nieśmiały, zbyt czysty albo zbyt jeszcze jakiś. I wreszcie... wreszcie dzisiaj, my dwoje na basenie, pomyślałam, że postawię cię w sytuacji, kiedy nie będziesz mógł mi się oprzeć i zobaczę, co się stanie...

Wreszcie zrozumiał.

– Kocham cię, Keltryn. Tylko dlatego czekałem. Myślałem, że jeszcze nie przyszła na to pora, nie chciałem zepsuć naszej przyjaźni zachowując się jak inni. Bardzo mi przykro, że tak opacznie wszystko zrozumiałem.

Keltryn uśmiechnęła się szeroko.

– Niech ci nie będzie przykro. Już po wszystkim. A teraz...

– Teraz...

Wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się od niego, poturlała poza krawędź basenu, wpadła do niego z głośnym pluskiem. Skoczył za nią. Najszybciej jak umiała popłynęła na środek basenu, jak różowa smuga przecinająca różową wodę, a Dinitak płynął za nią. Po drugiej stronie znowu wyszła na brzeg i wyciągnęła do niego ręce.

Tak to się zaczęło. Później wszystko było dużo mniej skomplikowane. Keltryn zaczęła rozumieć, że jego dziwny, purytański styl bycia ma swoje granice, a surowy kodeks wartości, zgodnie z którym żył, nie dawał opisać się w prostych kategoriach czerni i bieli. Dinitak nie

był ascetą, wręcz przeciwnie, nieobce były mu namiętności i pożądanie. Wszystko jednak musiało odbywać się zgodnie z jego poczuciem tego, co właściwe i Keltryn odkryła, że nie zawsze potrafiła przewidzieć, co przez to rozumiał.

W ciągu następnych tygodni spędzali noc po nocy razem, aż w końcu zapragnęli odrobiny wolnego czasu na sen. Dała im go wyprawa Dinitaka do Muldemar. Aż w nadmiarze, pomyślała Keltryn drugiego dnia jego nieobecności. Nie mogła się nim nacieszyć, ani, jak się okazało, on nią.

Wciąż dwa razy w tygodniu odbywała lekcje fechtunku z Audharim ze Stoienzaru. Po wyjeździe Septacha Melayna do Labiryntu grupa się rozpadła, ale oni spotykali się pomimo tego. Fulkari była przez pewien czas przekonana, że rozwijał się tu romans, ale nie miała racji. Dla Keltryn duży, poczciwy Audhari był tylko przyjacielem.

Od razu zgadł, że w jej życiu coś się zmieniło. Może zobaczył to w cieniach pod jej oczami, może w spowolnieniu jej reakcji, wynikającym z braku snu. Albo może istniała jakaś emanacja, bijąca od dziewczyn, które z kimś sypiały, aura braku cnoty, którą mężczyźni wyczuwali.

W końcu o tym wspomniał.

– Coś się w tobie zmieniło – powiedział, kiedy walczyli floretami.

– Tak? A co?

Roześmiał się.

– Nie potrafię powiedzieć.

Na tym zakończyli temat. Wyglądał, jakby żałował, że w ogóle go poruszył, a jej nie zależało na ciągnięciu tej rozmowy.

Zastanawiała się jednak nad dwuznacznością jego słów. Dlaczego nie potrafił powiedzieć? Czy dlatego, że naprawdę nie wiedział, co się w niej zmieniło? Czy może czuł się niezręcznie, poruszając ten temat? Choć więcej o tym nie wspominał, zdawało się jej, że w jego słowa wkraść się bardziej osobisty ton, wręcz z nią flirtował. Wspomniał, że wyglądała, jakby się nie wysypiała. Zauważył, że poruszała się bardziej zmysłowo. Nigdy wcześniej nie mówił jej takich rzeczy.

Zapytała o to Fulkari. Powiedziała, że mężczyźni często zmieniają sposób odnoszenia się do kobiet, kiedy odkrywają, że jest bardziej dostępna niż była wcześniej.

– Ale ja nie jestem *dostępna*! – odpowiedziała oburzona. – Przynajmniej nie dla niego.

– Nieważne. Zmieniłaś się. Pewnie to wyczuł.

Keltryn wcale nie podobało się, że wszyscy mężczyźni na Zamku potrafią na jeden rzut oka ocenić, że zaczęła z kimś sypiać. Wciąż była nowa w świecie dojrzałych kobiet i

mężczyzn i nie czuła się w nim komfortowo. Chciała utrzymać związek z Dinitakiem blisko siebie, nie dzieląc się z nikim, może prócz siostry, informacją, że jest już dorosła. Myśl, że Audhari albo ktokolwiek inny, mógł na nią spojrzeć i wiedzieć, że Robiła To z kimś, więc że może będzie zainteresowana robieniem tego i z nim, była dla niej niesmaczna i niepokojąca.

Myślała, że może źle interpretuje fakty. Taką miała nadzieję. Ostatnią rzeczą, której pragnęła, było, by jej dobry, uczciwy przyjaciel Audhari zaczął czynić jej romantyczne awanse.

Za radą służącej poszła w pewien dzień gwiazdy na niższy poziom Zamku, na targowisko i od handlarza magicznym sprzętem kupiła amulet z plecionego drutu, zwany fokalo, który miał chronić przed niechcianym zainteresowaniem ze strony mężczyzn. Przy następnym spotkaniu z Audharim przypięła go do kołnierza kurtki szermierczej.

Dostrzegł go natychmiast i roześmiał się.

– Do czego to służy, Keltryn?

Zarumieniła się płomiennym szkarłatem.

– To po prostu coś, co zaczęłam nosić.

– Czy ktoś ci się naprzykrza? Po to przecież dziewczyny zazwyczaj noszą fokalo.

Wysyłają nim wiadomość, by trzymać się od nich z daleka.

– Cóż...

– Daj spokój. Nie może ci przecież chodzić o mnie!

– Właściwie – powiedziała, czując się potwornie głupio, ale nie miała wyboru, musiała mu powiedzieć. – Pomyślałam, że między nami zrobiło się ostatnio jakoś dziwnie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Mówisz mi, że bardziej zmysłowo się poruszam i takie tam... Może całkiem się myślę, ale... Oj, Audhari, nie wiem, co chcę powiedzieć...

Był bardziej rozbawiony niż zły.

– Ja chyba też nie wiem. Jestem pewien jednej rzeczy: przy mnie nie potrzebujesz fokalo. Od początku wiedziałem, że nie jesteś mną zainteresowana.

– Jestem, jako przyjacielem. I jako partnerem do fechtunku.

– Tak. Ale nic poza tym. Łatwo to było zauważyć. Poza tym, masz teraz kochankę, prawda? Dlaczego więc miałabyś chcieć mieć coś wspólnego ze mną?

– To też widać?

– Masz to wypisane na twarzy, Keltryn. Zobaczyłyby to nawet dziesięciolatek. Cóż, gratuluje! Kimkolwiek jest, szczęściarz z niego – Audhari zsunął na twarz maskę szermierczą.

– Teraz powinniśmy zająć się naszymi sprawami. Pozycja, Keltryn! Raz! Dwa! Trzy!

Dekkeret powiedział:

– Nie chcę wtrącać się w twoje życie, Dinitaku, ale Fulkari twierdzi, że ostatnio spędzasz dużo czasu z jej siostrą.

– To prawda. Spędzamy razem z Keltryn mnóstwo czasu. Naprawdę mnóstwo czasu.

– To wspaniała dziewczyna.

– Tak. Przyznaję, że jestem nią zafascynowany.

Jedli razem kolację na zaproszenie Dekkereta, tylko we dwóch, w prywatnych komnatach Koronała. Służba Dekkereta podała wspaniałą posiłek, ostro przyprawione ryby, słodkie, pastelowe grzyby z Kajith Kabulon, pieczoną nogę bilantoona z jagodami thokka z dalekiego Narabalu i bogate, ciężkie wino z regionu Sandaraina. Dekkeret nie żałował sobie jedzenia, Dinitak zaś był niespokojny i wcale nie głodny. Skubał jedzenie i w ogóle nie tknął wina.

Dekkeret przyglądał mu się uważnie. Wiedział, że przez lata Dinitak miał niezobowiązujące romanse z paroma kobietami, ale nigdy nic z nich nie wychodziło. Miał wrażenie, że Dinitak wcale do tego nie dążył, nie był mężczyzną, potrzebującym ciągłego towarzystwa kobiet. Jednak z tego, co mówiła Fulkari, teraz działo się coś zupełnie innego.

– Właściwie – powiedział Dinitak – zamierzam się z nią spotkać dziś wieczorem, kiedy stąd wyjdę. Jeśli więc chcesz coś ze mną omówić, Dekkercie...

– Tak. Ale obiecuję, że nie zatrzymam cię do późna. Nie chciałbym, żeby interesy wchodziły w paradę prawdziwej miłości.

– Nie pasuje do ciebie ten sarkazm, panie.

– A byłem sarkastyczny? Wydawało mi się, że po prostu stwierdzam fakt. Tak czy siak, przejdźmy do interesów. Które w pewnym sensie dotyczą też Keltryn.

Dinitak, zdumiony, zmarszczył brwi.

– Tak? A w jaki sposób?

– Plan jest taki, że w następny trzeci dzień wyruszamy do zachodnich prowincji. Nie będzie nas wiele miesięcy, może dużo dłużej, zaprosiłem cię więc, aby dowiedzieć się, czy zamierzasz zabrać ze sobą Keltryn.

Dinitak był zszokowany. Wstał, a jego twarz pod ciemną, suvraelską opalenizną nabrała odcienia jasnego karmazynu.

– Nie mogę tego zrobić, Dekkercie!

– Chyba nie rozumiem. Jak to nie możesz?

– To absolutnie wykluczone. Sam pomysł jest skandaliczny!

– Skandaliczny? – powtórzył Dekkeret, zwięzając oczy w szparki. Przyjaźnili się od

ponad dwudziestu lat, a wciąż nie wiedział, kiedy urazi czuły punkt dinitakowej moralności. – O co chodzi? Czego nie dostrzegłem? Fulkari twierdzi, że ty i Keltryn jesteście sobą całkowicie zafascynowani. Jednak kiedy proponuję ci sposób na uniknięcie długiej i na pewno bolesnej rozłąki, rzucasz się na mnie, jakbym zaproponował coś niewymownie nieprzyzwoitego.

Dinitak uspokajał się, ale wciąż był wyraźnie wzburzony.

– Pomyśl o tym, co proponujesz, Dekkerecie. Jak mógłbym zabrać Keltryn w tę podróż? Pokazałbym wszystkim, że jest dla mnie tylko konkubina.

Nigdy jeszcze nie wydał się Dekkeretowi tak tępy. Koronał miał ochotę nim potrząsnąć.

– Towarzystką, Dinitaku. Nie konkubina. Wiesz, że zabieram z sobą Fulkari. Czy sądzisz, że jest dla mnie ledwie konkubina?

– Wszyscy wiedzą, że poślubisz ją, kiedy tylko skończy się żałoba po Teotasio. Jest praktycznie twoją małżonką. Ale Keltryn i ja... między nami nic nie jest ustalone. Jestem od niej dwa razy starszy, Dekkerecie. Nie wiem nawet, czy słuszne jest, że robimy to, co robimy. Nie ma mowy, żebym zgodził się na podróż przez kontynent w towarzystwie młodej, niezamężnej dziewczyny.

Dekkeret potrząsnął głową.

– Zdumiewasz mnie, Dinitaku.

– Tak? W porządku, zdumiewam cię. Niech i tak będzie. Ona nie może z nami jechać. Nie pozwalam na to.

Tego Dekkeret się nie spodziewał. Przed posiłkiem myślał, że Dinitak, niezręcznie i z ociąganiem, doprowadzi rozmowę do punktu, w którym poprosi, żeby Keltryn mogła z nimi pojechać. W jego oczach miało to mnóstwo sensu. Była młoda, to prawda, ale rozsądna i szybko dorastała. Poza tym była dla Fulkari nie tylko siostrą, ale i najbliższą przyjaciółką i byłoby dobrze, gdyby dotrzymywały sobie towarzystwa, podczas gdy Dekkeret i Dinitak zajmowałiby się prawdziwymi celami tej wyprawy. Można się też było spodziewać, że Dinitak ucieszy się na myśl o wspólnej podróży. Nie mógł się bardziej pomylić.

Nie było wątpliwości, że choć brzmiało to wariacko, Dinitak mówił poważnie. Dekkeret wiedział, że nie warto się z nim spierać w kwestiach moralności. W tych sprawach Dinitak żył we własnym świecie.

Dekkeret westchnął.

– Jak sobie życzysz. Dziewczyna zostaje w domu.

Zadanie przekazania tej wiadomości Keltryn spadło na Fulkari. Zgodziła się z Dekkeretem, że jeśli zostawią sprawę w rękach Dinitaka, jego niezręczne tłumaczenie doprowadzi Keltryn do szału, którego ich związek nie przetrwa.

Mimo to była wściekła.

– Głupiec! – krzychała. – Niedorzeczna świnia! Taki jest święty, że nie mogę z nim podróżować? Dobrze więc. Oszczędzę mu wstydu. Nie chcę go więcej widzieć!

– Zmienisz zdanie – powiedziała Fulkari.

4

To była piąta wizyta Prestimiona na Wyspie Snu. Samo to było niezwykle, a jeszcze bardziej zdumiewał fakt, że był teraz Pontifexem. Ale Prestimion od pierwszych dni rządów był niecodziennym monarchą.

Koronalowi zdarzało się w trakcie rządów odwiedzić Wyspę Snów raz czy dwa, zazwyczaj przy okazji Wielkiej Procesji. W końcu Panią Wyspy była jego matka, rozsądnie więc było od czasu do czasu się z nią zobaczyć.

Żeby jednak na Wyspę udawał się Pontifex – to była zupełnie inna sprawa. Pontifex nie miał oficjalnych powodów, żeby to robić. Pontifeksi w ogóle niewiele podróżowali, a jeśli już, to tylko po Alhanroelu.

Jeśli Pontifex długo był Koronalem, jego matka mogła w ogóle nie dożyć końca jego rządów. Tak było w przypadku Lorda Confalume'a – Panią Wyspy w drugiej połowie jego panowania na Zamku była nie matka, a siostra, Kunigarda. Pani, która żyła dość długo, by być świadkiem wstąpienia syna na zwierzchni tron pozostawała na Wyspie nawet po przekazaniu swoich obowiązków matce nowego Koronala. Byłe Panie Wyspy mieszkały w rozległej posiadłości na Tarasie Cieni na Trzecim Progu Wyspy.

Pontifex mógł odwiedzić swoją matkę, kiedy w pełni wdrożył się w obowiązki swojego nowego stanowiska. Zazwyczaj jednak tego nie robił, aż było już za późno: matka umierała zanim znajdował okazję, by się z nią zobaczyć, albo on sam stawał się zbyt stary, żeby podróżować. Minęły wieki od ostatniej wizyty Pontifexa na Wyspie.

Prestimion zawsze miał bliską i ciepłą relację ze swoją matką, lady Therissą. Jako młody Koronał udał się na Wyspę, by przedstawić jej swoją żonę, Varaile i by poprosić o pomoc w walce z Dantiryą Sambaiem. Odwiedził ją znowu w piątym roku swoich rządów, kiedy odbywał Wielką Procesję, by pokazać się światu po opanowaniu chaosu, wywołanego dwoma powstaniem Dantiryi Sambaila. Wtedy, podobnie jak teraz, przebył Alhanroel drogą lądową i z Alaisor popłynął statkiem na Wyspę, a stamtąd udał się na Zimroel, do Piliploku i Ni-moya.

W jedenastym roku rządów Prestimion postanowił odbyć drugą procesję, obierając

podobną trasę, ale wyruszył z Ni-moya, przez cały Zimroel, do kryształowego miasta Dulorn i dalej na zachód, do dalekiego Pidruid, Narabalu i Til-omon, gdzie Koronałowie zaglądali rzadko. Przy okazji tej podróży Prestimion kolejny raz odwiedził swoją matkę. W szesnastym roku swoich rządów odbył trzecią Wielką Procesję. Ta była szczególna. Udał się na południe Alhanroelu do Stoien, stamtąd ponownie na Wyspę, a z niej, ku zaskoczeniu całego świata, ruszył na południe, do pustynnego Suvraelu, który od trzystu lat nie oglądał Koronała.

Teraz znowu przybywał na Wyspę. Przed nim z morza wyrastał dobrze znany, ogromny kształt, oszłamiająca ściana z lśniącej, białej kredy, unosząca się wysoko ponad wodę, tworząca trzy koncentryczne poziomy, a na ich szczycie mieściło się święte sanktuarium, Świątynia Wewnętrzna, w której mieszkała Pani i jej akolici. O tej porze dnia słońce stało niemal pionowo na niebie i gładka ściana Wyspy odbijała jego światło tak, że niemal nie dało się na nią patrzeć.

Wyspa była wielka – na każdej planecie innej niż Majipoor byłaby uznana za kontynent – ale miała tylko dwa porty, Taleis na zachodzie, od strony Zimroelu, i Numinor na północno-wschodnim skraju, od Alhanroelu. Prestimion zawsze odwiedzał Wyspę od strony Numinoru. Nigdy nie widział Taleis. Teraz, stojąc na pokładzie szybkiego statku, który przywiózł go tu tym razem i patrząc na jaśniejąco białą ścianę, otaczającą port Numinor, zrozumiał, że pewnie już go nie ujrzy.

Prestimion sądził, że to jego ostatnia wizyta na Wyspie Snu. Kiedy zakończy swoje sprawy tutaj, nie popłynie na Zimroel, choć dałoby mu to szansę ujżenia Taleis. Teraz świat należał do Dekkereta. Pontifeksi nie odbywali Wielkich Procesji. W przyszłości będzie coraz bardziej osiadał w głębinach Labiryntu.

Kiedy zbliżali się do Numinoru, w ich stronę wiała słodka bryza. Na tej szerokości geograficznej panowało wieczne lato. Wyspa cały czas kwitła, nawet z daleka Prestimion dostrzegał kolory gajów eldironów i tanigali oraz fioletowe thwale, porastające kredowe tarasy.

Varaile stała u boku Prestimiona. W pobliżu byli też Septach Melayn i Gialaurys, towarzyszący Pontifexowi w podróży. Na pokładzie byli też księżęta Taradath, Akbalik i Simbilon. Młoda lady Tuanelys nie lubiła morskich podróży i, podobnie jak przez większość tej wyprawy, znajdowała się w swojej kajucie.

Kapitan, potężny Skandar o szarofioletowym futrze, nakazał rzucić kotwicę.

– Dlaczego rzucamy kotwicę tutaj? – zapytał księżę Simbilon.

Prestimion chciał odpowiedzieć, ale szybszy był Taradath, który już był na Wyspie z ojcem podczas ostatniej Procesji:

– Żaden statek dość szybki, by w przyzwoitym czasie przywieźć nas tutaj z Alaisor, nie zmieści się w porcie – powiedział, nieco zbyt protekcyjnie jak na gust Prestimiona. – Port Numinor jest malutki, dlatego przyplyną po nas promem. Zobaczysz.

Kiedy Koronał lądował w Numinorze, obyczaj nakazywał mu najpierw zatrzymać się w domu zwanym Siedem Ścian, parterowym budynku z szarego kamienia, zbudowanym tuż nad portem. Tam musiał odbyć rytuały oczyszczenia przed podróżą na najwyższy taras, gdzie czekała na niego Pani. To Koronał wspinał się do Pani, ona rzadko witała go na dole.

Prestimion był teraz Pontifexem, nie Koronalem, i nie miał pojęcia, jak będzie wyglądało jego powitanie. Nie pytał o to. Być może Siedem Ścian było zarezerwowane dla Koronałów, a Pontifexów zabierano gdzie indziej. Niech to będzie niespodzianka, pomyślał.

Z początku wszystko odbywało się jak zwykle. Przeprowa poszła sprawnie, pilot promu zręcznie przeprowadził ich przez rafy i płycizny kanału do portu w Numinorze. Jak zawsze czekała na niego grupa hierarchiń Pani w złotych szatach z czerwoną lamówką. Wykonały przed nim spiralny gest Labiryntu, powitały lady Varaile, Wysokiego Rzecznika Septacha Melayna i Wielkiego Admirała Gialaurysa i zaprowadziły ich na brzeg. Prestimion z rodziną jak zawsze poprowadzony został do Siedmiu Ścian, pozostali do kwater w przeciwnym kierunku.

Potem pojawiły się odstępstwa od dotychczasowych zwyczajów.

– Pani oczekuje w domu gościnnym, wasza wysokość – powiedziała Prestimionowi jedna z hierarchiń, kiedy zbliżali się do budynku.

Jego pierwszą reakcją było zdumienie, że matka, która, jak zauważył podczas ostatniej wizyty, zaczęła w końcu ulegać nieuniknionym zmianom przychodzącym z wiekiem, podjęła wysiłek długiej podróży z sanktuarium na szczycie górzystej wyspy, skoro dużo łatwiej byłoby jemu pojechać do niej. Potem przypomniał sobie, że matka nie jest już Panią Wyspy. W Siedmiu Ścianach czekała na niego piastująca ten urząd od niedawna Lady Taliesme, matka Dekkereta.

Zastanawiał się, dlaczego lady Taliesme postanowiła go odwiedzić. Być może nie czuła się jeszcze pewnie w swojej nowej roli i kiedy stanęła w obliczu wizyty Pontifexa, poczuła się zobligowana majestatem jego urzędu do powitania go na dole, zamiast zmuszania go do podróży na górę. Potem jednak, gdy Prestimion zobaczył Taliesme, idącą do niego przez dziedziniec Siedmiu Ścian, inna, bardzo niepokojąca możliwość pojawiła się w jego umyśle.

Therissa zawsze była kobietą o olbrzymiej sile ducha. Jednak bez wątplenia wpływ lat odcisnął na niej swe piętno. Śmierć Teotasa musiała być dla niej ciosem. Być może opuściło

ją zdrowie. Być może, choć trudno było w to uwierzyć, przeszła załamanie nerwowe, a może i fizyczne. Mogła być poważnie chora, a nawet umierająca. Może już nie żyła, a Taliesme nie chciała, by wspinał się do Wewnętrznej Świątyni nieświadomy stanu lady Therissy, przybyła więc tutaj, by przekazać mu wiadomości.

Prestimion jednak nie wyczuwał surowej atmosfery nieszczęścia wokół Taliesme, która zbliżała się, aby go powitać. Poruszała się szybkimi kroczkami, jak ptak; była niedużą, energiczną, ubraną na biało kobietą. Na skroni miała srebrny diadem, symbol urzędu. Jej oczy lśniły jasno, wyciągnęła ramiona do powitalnego uścisku.

– Wasza wysokość – powiedziała. – Serdecznie witam ciebie i twoją rodzinę na naszej wyspie.

– Dzięki, o Pani.

– Szczerze współczuję ci twojej wielkiej straty.

Prestimion nie mógł już wytrzymać.

– Mam nadzieję, że moja matka ma się dobrze?

– Tak dobrze, jak tylko to możliwe w tej sytuacji. Nie może doczekać się waszego spotkania.

– Zastanę ją w dobrym zdrowiu?

Zawahalała się przez króciutką chwilę.

– Wasza wysokość, nie będzie tak silna, jak ją zapamiętałeś. Śmierć księcia Teotasa bardzo się na niej odbiła, nie będę udawać, że jest inaczej. Były też inne problemy, o których opowiem ci, zanim wyruszysz do Wewnętrznej Świątyni. Najpierw jednak sądzę, że przydałaby się wam chwila wypoczynku. Wejdiesz, wasza wysokość?

W Siedmiu Ścianach przygotowano dla nich lekki posiłek: złote wino, tace pełne ostryg i wędzonych ryb, misy owoców. Prestimionowi zdawało się, że Taliesme pełni przy nim rolę gospodyni tak łatwo, jakby był jej starym sąsiadem odwiedzającym dom w Normork. Dinitak powiedział mu kiedyś, że było to bardzo skromne miejsce.

Fascynowało go jak bardzo zmieniła się odkąd została Panią Wyspy, a zarazem nie zmieniła się wcale.

Zachowaniem nie mogła się bardziej różnić od poprzedniej Pani Wyspy. Pomiedzy prostotą i skromnością Taliesme a arystokratycznym stylem bycia lady Therissy istniał olbrzymi kontrast, lecz nowa Pani Wyspy niezaprzeczalnie wyszlachetniała, odkąd objęła obowiązki.

Od czasu pierwszej wizyty Taliesme na Zamku, kiedy Dekkeret był zaledwie kandydatem na Koronała, Prestimion pozostawał pod wrażeniem jej wiary w siebie,

opanowania i spokoju. Teraz, kiedy była Panią Wyspy, do tych cech doszła aura łaski i pewności siebie, z rodzaju tych, które charakteryzowały niemal wszystkie kobiety na tym stanowisku. Nie zmieniła się jednak istota jej osobowości, wielkość, która przypadła jej w udziale po objęciu przez Dekkereta tronu zdawała się wcale jej nie przerastać.

Prestimion poczuł, że jego ocena Dekkereta potwierdza się na nowo w osobie jego matki. Po raz kolejny, tak jak wiele razy wcześniej, okazało się, że matka człowieka, który wydał się godny zostania Koronalem Majipooru jest doskonałą kandydatką do roli Pani Wyspy.

Rozmowa, w której Prestimion pozwolił jej dominować, objęła wiele tematów. Najpierw mówili o tragicznej śmierci Teotasa, o tym, jak przerażające i niezrozumiałe było, że człowiek o jego umiejętnościach i charakterze doznał takiego załamania.

– Wasza wysokość, cały świat oplakuje śmierć twojego brata i łączy się w smutku z tobą i twoją rodziną – zapewniła go Taliesme. – Nieustannie czuję ich rozpacz i ból.

Dotknęła diademu, który nieustannie utrzymywał ją w kontakcie z miliardami śpiących mieszkańców Majipooru.

Później, kiedy wypadało zmienić temat, zrezygnowanie zapytała o swego syna, Dekkereta i wieści o jego panowaniu.

– Będzie jednym z naszych największych królów – powiedział Prestimion i opowiedział jej pokrótce o planach Dekkereta, które podczas swoich krótkich rządów zdążył już podać do publicznej wiadomości. Delikatnie, bardzo delikatnie wspominał też o sprawie Dekkereta i lady Fulkari; powiedział tylko, że ich złożony i często burzliwy związek zdawał się wchodzić w nowy, radośniejszy etap.

W końcu, po tym, jak Taliesme skomplementowała urodę trzech synów Prestimiona i rozkwitające piękno jego młodej córki, Pontifex uznał, że pora wrócić do tematu, który interesował go najbardziej.

Wystarczyło szybkie, wymowne spojrzenie na Taradatha, by przekonać go, że to doskonała chwila, by wraz z rodzeństwem udał się na spacer wzdłuż falochronu Numinoru. Kiedy dzieci już poszły, Prestimion powiedział:

– Kiedy przyjechalismy, wspomniałaś o drobnych trudnościach, które ma moja matka. Jeśli to możliwe, chciałbym o tym teraz pomówić.

– Tak, wasza wysokość, sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać – Taliesme wyprostowała się na krześle, jakby zbierała siły przed powiedzeniem tego, co musiała. – Z przykrością muszę cię poinformować, że twoja matka od jakiegoś czasu jest dręczona przez sny. Bardzo złe sny, można je określić mianem koszmarów. Miały one bardzo poważny

wpływ na jej ogólne samopoczucie.

Prestimion, zszokowany, gwałtownie nabrał powietrza. Jego matka? Bezczelność Mandraliski nie znała granic. Pokazał już, że skłonny był uderzyć w każdego niemal członka rodziny królewskiej.

Ale żeby w jego matkę? *Matkę?* Kobieta, która przez dwadzieścia lat była ukochaną Panią świata, a teraz chciała żyć na spokojnej emeryturze? Tego było za wiele.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Varaile przerwała przedłużającą się ciszę.

– Moja córka Tuanelys także miała niepokojące sny, o Pani – choć mówiła do lady Taliesme, nie patrzyła na nikogo. W oczach miała pustkę, była znękana, sama zeszłej nocy spała źle. – Krzyczy, trzęsie się ze strachu, poci się. Podobne, powtarzające się co noc sny doprowadziły księcia Teotasa do odebrania sobie życia. Nawet ja... ja także...

Varaile drżała. Taliesme patrzyła na nią zdumiona.

– Och... moja droga... moja droga...

Prestimion podszedł do żony i delikatnie położył jej ręce na ramionach, chcąc ją uspokoić. Spokojnym głosem, jakby rozmyślając nad ironią tych wydarzeń, powiedział:

– Pani otrzymuje sny, zamiast je zsyłać? To znaczy, była Pani. Ale pomimo to... to takie dziwne. Czy moja matka opisywała te sny?

– Niezbyt szczegółowo, wasza wysokość. Albo nie potrafi, albo nie chce o nich mówić. Opowiada tylko ogólnikowo o demonach, potworach, mrocznych obrazach i o czymś innym, głębszym, subtelniejszym i bardziej niepokojącym, ale tego zupełnie nie chce opisywać – Taliesme dotknęła srebrnego diademu czubkami palców. – Zaproponowałam, że wejdę do jej umysłu i poszukam źródła problemu, albo że zrobi to któraś z bardziej doświadczonych hierarchiń, ale na to nie pozwoliła. Powiedziała, że kobieta, która kiedyś była Panią Wyspy nie może otwierać się na moc diademu. Czy to prawda, wasza wysokość? Czy to naprawdę zabronione?

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział Prestimion. – Wyspa rządzi się własnymi prawami, o których wie niewiele osób z zewnątrz. Porozmawiam o tym z matką, kiedy ją spotkam.

– Powinieneś to zrobić – oświadczyła Taliesme. – Nie będę ukrywać, wasza wysokość, ona strasznie cierpi. Powinna przyjąć każdą pomoc, jakiej można jej udzielić i musi być świadoma, że jesteśmy gotowi jej pomagać.

– Tak. Bezdyskusyjnie.

– Jeszcze jedna sprawa, wasza wysokość. Sny, które nawiedzają twoją rodzinę, są powszechne na całym świecie. Moi akolici, którzy monitorują umysły śpiących, nieustannie

opowiadają mi o bólu, szoku i cierpieniu. Niemal cały nasz czas poświęcamy na pomaganie tym ludziom, wyszukujemy ich i próbujemy uleczyć ich poprzez przesłania.

Było nawet gorzej, niż Prestimion przypuszczał. Zamknął oczy i przez chwilę siedział w ciszy.

Kiedy odezwał się znowu, przemawiał bardzo cicho.

– To prawie jak epidemia szaleństwa, prawda, o Pani?

– Tak, jak epidemia – odpowiedziała Taliesme.

– To się już kiedyś wydarzyło na Majipoorze. We wczesnych latach mojego panowania jako Koronal. Odkryłem, co było jej przyczyną i podjąłem kroki, by ją zakończyć. Wydaje mi się, że to jest epidemia nieco innego rodzaju, ale chyba wiem, co ją powoduje i z największą powagą oświadczam, że i tę epidemię zakończę. Mój stary wróg swobodnie porusza się po świecie. Rozwiążę tę kwestię. Pani, kiedy będę mógł zobaczyć się z matką?

– Dzisiaj jest już za późno na podróż na Trzeci Próg – odparła Taliesme. Twarz miała skupioną i poważną, cień uśmiechu zniknął jej z oczu. Odeszli daleko od zdawkowych grzeczności sprzed godziny. Oboje rozumieli, jak poważne wyzwanie przed nimi leży. Obecna w tonie Prestimiona żelazna determinacja także zrobiła na niej wrażenie. W kilku zaledwie słowach nakreślił rozmiary obecnego kryzysu i nadchodzące zadania, które będą wymagały jej udziału, choć dopiero niedawno objęła władzę na Wyspie. – Rano was do niej zabiorę.

5

Tej nocy Prestimion też miał sny.

Nie były to koszmary, był pewien, że intrygancki praegustator z Zimroelu nie ośmieli się zbliżyć do umysłu Prestimiona Pontifexa. Te sny były wytworem jego własnego mózgu, ale nie były wcale mniej męczące. Śniło mu się, że wspina się na zbocza Wyspy Snu, wyżej i wyżej, lecz nigdy nie dociera na samą górę. Nieustanna, frustrująca, trwająca cały dzień podróż przez kolejne tarasy nieustannie kończyła się tym, że znajdował się w tym samym miejscu, z którego wyruszył. Rano Prestimion miał wrażenie, że całe życie wspinał się na ściany Wyspy. Nie przyznał się przed Varaile do ciężkiej nocy. Była wystarczająco zaniepokojona Tuanelys, nieraz chodziła do jej sypialni, choć za każdym razem okazywało się, że tylko wyobrażała sobie krzyki dziewczynki, a mała spała spokojnie.

Przyszła pora, by rozpoczęli podróż w górę. Prestimion modlił się, aby Bogini uczyniła ją lżejszą od tych, które przeżywał przez całą noc.

Na pokładzie małego latacza, który miał przewieźć ich na szczyt pionowego zbocza Pierwszego Progu trzymał Tuanelys na kolanach. Varaile usiadła u jego boku, Lady Taliesme drugiej strony, a chłopcy z tyłu. Kiedy latacz rozpoczął swoją zawrotną wspinaczkę przestraszona Tuanelys odwróciła się i ukryła główkę na piersi ojca. Prestimion usłyszał, jak książę Akbalik gwizdze z podziwem, kiedy cicho i sprawnie wystrzelili w górę, wbrew sile grawitacji. Uśmiechnął się, bo Akbalik zazwyczaj był powściągliwy i poważny. Być może zmieniał się wraz z wkroczeniem w wiek nastoletni.

Na lądowisku na szczycie Prestimion pokazał im leżący daleko w dole port Numinoru i wystające ramiona falochronu, gdzie poprzedniego dnia wylądował ich prom. Tuanelys nie chciała patrzeć, za to dwaj młodszy chłopcy byli oszołomieni wysokością, na którą wjechali.

– To nic – powiedział z pogardą Taradath. – Dopiero zaczęliśmy podróż pod górę.

Prestimion odkrył, że w tej długiej podróży dzieci były miłym rozproszeniem. Martwiło go, że Taliesme mogła przed nim ukryć bardziej niepokojące szczegóły dotyczące zdrowia lady Therissy i nie chciał myśleć o tym, co czekało na niego na górze. Z tego powodu czerpał wielką przyjemność z obserwowania Taradatha, który był już kiedyś na Wyspie i

teraz grał przed braćmi i siostrą rolę przewodnika. Nieważne, czy chcieli go słuchać, czy nie – przez cały dzień wyniośle opowiadał im, że znajdują się na Tarasie Rozrachunku, gdzie najpierw przybywają pielgrzymi, że to był Taras Początku, a to Taras Zwierciadeł i tak dalej i tak dalej. Zabawnie też było patrzeć, jak mało młodszą trójkę obchodziły mądrości ich wszystkowiedzącego brata.

– Zawsze zatrzymujemy się na noc na Tarasie Zwierciadeł – powiedział patetycznie Taradath, jakby odbywał tę podróż co pół roku. – Z rana ruszamy na Drugi Próg. Jedzie się tak szybko, że kręci się w głowie. Ale widok z góry jest fantastyczny. Zobaczycie.

Kątem oka Prestimion dostrzegł, że Simbilon robi miny za plecami brata i uśmiechnął się.

Pomyślał, że Taradath wkrótce skończy siedemnaście lat. Zanotował w głowie, że trzeba pomyśleć o wysłaniu go w przyszłym roku na Zamek, żeby został rycerzem kandydatem. Nie było powodu, dla którego dorosły syn Pontifexa miałby żyć w Labiryncie, a Taradathowi raczej nie zaszkodziłoby, gdyby młodzi ludzie z Zamku spuścili z niego trochę powietrza. Prestimion starał się nauczyć Taradatha, że w dorosłym życiu sam fakt, że jest synem Pontifexa nie da mu żadnych profitów ani przed niczym nie uchroni, ale może lepiej będzie, jeśli odbierze tę lekcję z rąk swoich rówieśników.

Na lądowisku na Drugim Progu czekały na nich latacze, gotowe, aby przetransportować ich do ostatniej stacji u podstawy Trzeciego Progu. Szybko przebyli tarasy Drugiego Progu, gdzie pielgrzymi kończyli swoje szkolenie, by móc zostać akolitami, przenieść się na najwyższy poziom Wyspy i tam pomagać Pani w jej zadaniu. Tam, na Trzecim Progu, rzesza akolitów Pani co noc zakładała srebrne diademy, które pozwalały jednemu umysłowi dotknąć innego na dowolną odległość. Wysyłali swoje duchy w świat, by leczyły dzięki łaskawym snom dusze pogrążone w bólu – prowadzili, radzili, pocieszali. Podczas poprzednich wizyt Prestimion w oszołomieniu obserwował pracę legionów Pani. Tym razem nie będzie czasu na takie rozrywki.

Podróżni dotarli do lądowiska małych lataczy przed południem. Przyszła pora na ostatni skok na płaski szczyt Wyspy, leżący tysiące stóp ponad punktem na poziomie morza, z którego wyruszyli.

Młodzi chłopcy byli podnieceni zdumiewającą przejrzystością powietrza Trzeciego Progu i jasnością światła słonecznego, które nadawało wszystkiemu dziwną, nierzeczywistą poświatę. Kiedy tylko latacz wylądował, wybiegli z niego i zaczęli gonić się po lądowisku, a Taradath krzyczał:

– Ej, wy dwaj, uważajcie! Jesteśmy naprawdę wysoko! Tutaj jest mocno rozrzedzone

powietrze!

Nie zwracali na niego uwagi. W końcu szczyt Góry Zamkowej był dużo wyżej. Jednak powietrze Zamku było sztuczne, a tutaj oddychali prawdziwym, któremu wysokość odbierała część tlenu. Niewiele czasu minęło, a Simbilon i Akbalik poczuli jego wpływ. Zwolnili, dyszeli ciężko, zataczali się.

Prestimion, stojąc obok Taradatha, pochylił się do niego i powiedział:

– Nie mów tego.

Taradath nie zrozumiał.

– Czego, ojczu?

– „A nie mówiłem?”. Po prostu tego nie mów – Prestimion specjalnie mówił nieco skrzekliwie. – Dobrze? Teraz wiedzą, że tutaj jest inne powietrze. Nie ma powodu, by im to wypominać.

Taradath kilkakrotnie zamrugał.

– Och – powiedział, a w miarę, jak zaczynał rozumieć, policzki mu poczerwieniały. – Oczywiście, ojczu.

– Dobrze.

Prestimion odwrócił się, zakrywając dłonią szeroki uśmiech. Kolejny krok w jego edukacji, pomyślał. Przed nim jeszcze długa droga.

Taras Cieni, na którym po ustąpieniu ze stanowiska mieszkała lady Therissa, znajdował się wewnątrz muru, oddzielającego sanktuarium Wewnętrznej Świątyni od reszty Trzeciego Progu. Varaile wraz z dziećmi pozostała w domu gościnnym Trzeciego Tarasu.

– Dom twojej matki znajduje się po drugiej stronie Wewnętrznej Świątyni – powiedziała Prestimionowi Taliesme. Poprowadziła go przez doskonały ogród, otaczający śliczny, ośmiokątny, marmurowy budynek, który był teraz jej domem, przez idealnie przycięty trawnik aż do zalesionej okolicy, w której Prestimion był po raz pierwszy w życiu.

Nie widać tu było żadnych budynków, przed nim wznosił się tylko wygięty rząd niskich drzew, których nie rozpoznawał. Miały grube, gładkie, czerwonawobrazowe pnie, dziwnie rozdęte pośrodku i krzaczaste korony lśniących, niebiesko-zielonych liści, podobnych do dłoni. Posadzono je tak blisko siebie – gruby pień przy pniu – że tworzyły niemal ścianę. Tylko w jednym miejscu pozostawiono wąskie przejście, oznaczone białymi kamieniami, przez które można było dostać się do leżącej wewnątrz prywatnej strefy.

– Wejdz, wasza wysokość – powiedziała Taliesme, gestem wskazując, by Prestimion szedł za nią.

W środku było ciemno i tajemniczo. Był tu kolejny ogród, mniej regularny i nie tak zadbany jak ten otaczający Wewnętrzną Świątynię. Rosły tu głównie drzewa podobne do palm, o smukłych, żebrowanych pniach wyrastających na zdumiewającą wysokość bez żadnych odgałęzień, wysoko w górze eksplodujące wspaniałymi pękami wachlarzowatych liści, tak wielkich, że zdawało się, iż mogłyby całkowicie przesłonić słońce. Wyrastały one na cienkich, drżących łodygach, poruszających się przy najmniejszym nawet powiewie, więc w liściastym sklepieniu nieustannie tworzyły się otwory. Światło przebijało się przez nie szybkimi błyskami, tworząc na ziemi wiecznie zmienne wzory z cienia.

– Oto dom twojej matki – powiedziała Taliesme, wskazując niską willę tuż przed nimi. Był to zgrabny budynek o płaskim dachu, wykonany z tego samego gładkiego, białego kamienia co Wewnętrzna Świątynia. Otaczały go utrzymane w podobnym stylu pomniejsze budyneczki. Prestimion uznał, że to domy dla służby. W oddali widniały zarysy dalszych zabudowań. Taliesme powiedziała mu, że tam mieszkają starsze hierarchinie.

– Lady Therissa cię oczekuje. Jej towarzyszka, hierachini Zenianthe, zabierze cię do niej.

Zenianthe, szczupła, dystygowana, siwa kobieta na oko w wieku jego matki, czekała na portyku otoczonym paprociami w doniczkach. Wykonała przed Prestimionem symbol Labiryntu i z gracją zaprosiła go do środka.

Dom był mniejszy, niż wydawał się z zewnątrz i skromnie umeblowany – jak dla kogoś, kto zrezygnował z życia w glorii. Hierachini poprowadziła Prestimiona surowym korytarzem obok kilku pokojów, które na pierwszy rzut oka wydawały się wręcz puste, do oranżerii w centrum domu: pokoju ze szklanym dachem, niewielkim, okrągłym basenem pośrodku i roślinami doniczkowymi pod ścianami. Matka Prestimiona stała w ciszy nad brzegiem basenu.

Ich spojrzenia spotkały się. Szok pierwszego spotkania po przerwie był większy, niż się Prestimion spodziewał.

Zrobił co tylko mógł, by przygotować się na to spotkanie. Od ostatniego razu lady Therissa postarzała się o pięć lat, przeżyła tragiczną stratę najmłodszego syna, poza tym atakowana była przez Mandraliskę diabolicznymi cierpieniami. Prestimion wiedział, że to wszystko odcisnęło na niej piętno, na które przykro będzie patrzeć.

Myślał, że przygotował się na najgorsze niespodzianki, ale teraz, kiedy wreszcie znalazł się w obecności matki i walczył z szokiem, wywołanym tym, co ujrzał, zrozumiał, że na to chyba nie można się było przygotować.

Ciekawe było, że jej wielkie piękno przetrwało pomimo wszystko. Zawsze wyglądała

na młodszą, niż w była rzeczywistości, była smukłą, trzymającą się niczym królowa kobietą, cechującą się niezwykłym wdziękiem i elegancją, słynącą z gładkiej, bladej skóry, ciemnych, lśniących włosów i spokoju nieustępliwego ducha.

Prestimion wiedział, że te cechy były zewnętrzną manifestacją doskonałości jej duszy. Inne kobiety mogły zachowywać wieczną młodość z pomocą zaklęć i napojów od czarnoksiężników, ale nie lady Therissa. Ona przez lata wyglądała tak, jak wyglądała, ponieważ była tym, kim była. Ani wczesne wdowieństwo, ani wojna domowa, która pozbawiła jej najstarszego syna, Prestimiona, należącej mu się korony, ani śmierć na tej wojnie drugiego syna, Taradatha, ani ogromna odpowiedzialność, która spadła na nią, gdy została Panią Wyspy, ani straszne problemy, które spadły na świat podczas plagi szaleństwa – nic nie odcisnęło się na jej wyglądzie.

Teraz – i zdawało się to cudem – jej włosy były prawie tak ciemne, jak zawsze, i Prestimion nie wątpił, że był to ich naturalny kolor. Jej twarz pozostała niemal niezmienną, choć wiele lat temu pojawiły się na niej pierwsze zmarszczki. Wciąż była to twarz przepięknej kobiety, z czasem, o ile to możliwe, tylko wypiękniała. Kiedy szedł wokół basenu, by ją przywitać, stała jak zawsze prosto, wyglądała, jak zawsze, jak królowa. Lady Therissa pod każdym względem wyglądała na dwadzieścia, trzydzieści lat młodszą, niż była w rzeczywistości.

Dopiero gdy spojrział w jej oczy, zobaczył, gdzie nastąpiła zmiana.

W oczach. Nigdzie indziej, tylko w oczach. Kto inny, ktoś, kto nigdy w nie nie zaglądał, może w ogóle nie zauważyłby różnicy, ale dla Prestimiona przemiana matczynych oczu była tak zdumiewająco, tak porażająco ogromna, że ledwie był stanie w nią uwierzyć.

W jej pięknej twarzy płonęły intensywną, przerażającą dziwnością oczy, które przeczyły otaczającemu je pięknu. To były oczy kobiety, która przeżyła sto lat. Tysiąc. Były teraz zapadnięte głęboko, otaczała je skomplikowana siateczka drobnych linii, wpatrywały się w niego zimno, sztywno, bez mrugania; były zbyt jasne, dziwnie intensywne. To były oczy kogoś, przed kim na chwilę rozstały się ściany świata, pozwalając mu dojrzeć leżącą za nimi niewyobrażalnie straszliwą krainę.

Gdzieś zniknął ten cudowny spokój, blask, który był zewnętrznym wyrazem wewnętrznej doskonałości – w jego oczach jej najważniejsze cechy. Prestimion widział teraz w oczach matki głębokie udręczenie. Widział w nich wielki ból, ból nieznośny, ale wciąż znoszony. Musiał się z całych sił powstrzymać przed odwróceniem wzroku od tych straszliwych oczu.

Wziął ją za rękę. Poczuł drzenie, którego wcześniej nie było. Jej dłonie były zimne.

Zrozumiał w pełni, jak stara była, jak zmęczona.

Jej słabość go zdumiała. Zawsze widział w niej niewyczerpane źródło siły. Tak było w czasie wojny z Korsibarem, tak było, kiedy stłumili powstanie Dantiryi Sambaila. Teraz widział, że to źródło wyschło.

Zemszczę się za to, pomyślał.

– Matko... – jego głos był chrapliwy, stłumiony, niewyraźny.

– Boisz się mnie, Prestimionie?

Postanowił nie okazać konsternacji, zmusił się więc do nienaturalnie pogodnego tonu i parodii uśmiechu.

– Oczywiście, że nie, matko – pochylił się i lekko ją pocałował. – Jak mógłbym się ciebie bać?

Nie dała się oszukać.

– Widziałam to w twojej twarzy, kiedy tylko podszedłeś dość blisko, by dobrze mi się przyjrzeć. Drgnął ci kącik ust. To wystarczyło, żebym wszystko wiedziała.

– Jestem może nieco zaskoczony – przyznał. – Ale *wystraszony*? Nie. Nie. Wyglądasz troszkę starzej. Cóż, ja też. I wszyscy inni. To normalne. To nic ważnego.

Uśmiechnęła się, a jej lodowato ostre spojrzenie na moment złagodniało.

– Och, Prestimionie, Prestimionie, Prestimionie, czy to naprawdę właściwy moment na okłamywanie matki? Myślisz, że nie mam tu luster? Czasem, kiedy w nie spojrzę, boję się samej siebie.

– Matko... och, matko... – przestał udawać, przytulił ją, objął, trzymał w delikatnym uścisku, próbując ją pocieszyć.

Zauważył, że bardzo schudła. Była niemal krucha, jakby zostały z niej same kości. Bał się, że jeśli przytuli ją za mocno, zrobi jej krzywdę. Jednak ona z radością przyjęła jego uścisk. Usłyszał coś, co brzmiało prawie jak płacz, coś, czego nigdy wcześniej od niej nie słyszał, ale może tylko brała głębszy wdech.

Kiedy ją puścił i zrobił krok w tył, z radością zauważył, że jej spojrzenie jeszcze trochę złagodniało i powróciła odrobina dawnego, ciepłego blasku.

Ruchem głowy nakazała, by za nią szedł i poprowadziła go do prostego pokoiku, gdzie na małym, kamiennym stoliku, inkrustowanym przy brzegach masą perłową, stała butelka wina i dwa kielichy. Prestimion zauważył, że kiedy je napełniała, ręka drżała jej tylko odrobinę.

Z początku pili w milczeniu. Patrzył na nią i nie próbował już odwracać wzroku, choć wiele go to kosztowało.

– Czy to strata Teotasa tak na ciebie wpłynęła, matko?

Odpowiedziała równym, statecznym tonem.

– Już wcześniej straciłam syna, Prestimionie. Dla matki nie ma rzeczy straszniejszej, niż przeżyć swoje dziecko, ale wiem, jak radzić sobie z żalem – potrząsnęła głową. – Nie, Prestimionie. Nie tylko z powodu Teotasa tak się postarzałam.

– Wiem coś o twoich snach. Taliesme mi powiedziała.

– Nic o nich nie wiesz, Prestimionie. Nic – twarz jej pociemniała, głos zniżył się o oktawę. – Póki sam ich nie doświadczysz, nie będziesz miał o nich pojęcia. A modłę się, żeby Bogini ci ich oszczędziła. Nie masz takich snów, prawda?

– Nie sędzę. Czasem śnię o Thismet. Albo że chodzę sam po nieznanach częściach Zamku. Parę nocy temu śniłem, że podróżowałem małym lataczem na Trzeci Próg, wciąż w górę i w górę, ale nie mogłem się tu dostać. Ale wszyscy miewają takie sny, matko. Zwyczajne, irytujące sny, których wolałoby się nie mieć, ale o których zapomina się w pięć minut po przebudzeniu.

– Moje sny są inne. Ranią głęboko i pozostają w głowie. Pozwól, że ci o nich opowiem, Prestimionie. Może zrozumiesz.

Łyknęła wina i patrzyła w kielich, delikatnie nim obracając. Prestimion czekał w milczeniu. Miał mgliste pojęcie o tym, jak wyglądały zabójcze sny Teotasa, wiedział coś o snach Varaile i, do pewnego stopnia, o Tuanelys. Wolał jednak, zanim coś o nich powie, usłyszeć, co jego matka mówi o swoich.

Milczała długo. Potem znowu na niego spojrzała. W jej oczach znów był ten zimny, ostry, straszny błysk, który zobaczył, gdy pierwszy raz w nie zajrzał. Gdyby nie znał sytuacji, mógłby pomyśleć, że to oczy wariatki.

– Prestimionie, to wygląda tak. Kładę się, zamykam oczy, zasypiam tak, jak robiłam to już przez wiele lat – mówiła cicho, spokojnie, bezosobowo, jakby opowiadał historię, bajkę o kimś, kto żył pięćset lat temu. – I wtedy – to dzieje się raz na tydzień, czasem dwa razy, czasem trzy – wkrótce po tym, jak przyjdzie sen, czuję dziwne ciepło za czołem, ciepło, które rośnie, rośnie i rośnie, aż czuję się tak, jakby mózg mi płonął. Głowa mi pulsuje, tu, tu... – dotknęła skroni. – Mam też uczucie jakby jasny, gorący promień przecinał moje czoło i wchodził głębiej. Aż do mojej *duszy*, Prestimionie.

– Och... to straszne, matko...

– Na razie usłyszałeś łatwiejszą część. Po gorącu i bólu przychodzi sam sen. Jestem w sądzie. Sądzi mnie rozwrzeszczany tłum. Oskarża mnie o najohydniejszą zdradę zaufania, najpodlejsze kłamstwa, o zdradę tych, którym miałam służyć. Usuwają mnie ze stanowiska

Pani Wyspy, ponieważ zaniedbałam moje obowiązki.

Przerwała, dołała sobie wina, piła je niespiesznie. Wysiętek związany z opowiadaniem tej historii wyraźnie ją wyczerpywał.

Prestimion był już właściwie pewien, że dotknęły ją przesłania Mandraliski. Jakaś jego część nie chciała w to wierzyć, chciał mieć nadzieję, że praegustatorowi nie udało się nawiązać kontaktu z umysłem jego matki.

Odezwał się, łapiąc się resztek nadziei.

– Wybacz mi, matko, ale nie widzę wielkiej różnicy między tym snem a tymi, w których ścigam Thismet korytarzem pełnych zatraskujących się drzwi. Nasze umysły tworzą nedorzecznosci, którymi nas męczą. Kiedy jednak budzę się ze snu o Thismet, wiem, że ona umarła już dawno i sen znika jak złuda, którą był. Kiedy ty budzisz się ze swojego snu o sądzie wiesz, że nigdy...

– Nie – ta pojedyncza sylaba ucięła jego słowa jak nożem. – Zgadzam się, twój sen jest tylko wspomnieniem gruzów przeszłości, niczym śmieci niesione przyływem. Budzisz się i znika, jego pozostałości męczą cię tylko przez chwilę. Mój jest czymś innym, Prestimionie. Niesie z sobą siłę rzeczywistości. Budzę się przekonana o swojej winie i wstydzie, przekonana całkowicie i niezachwianie. To uczucie pozostaje. Przenika mnie jak trucizna węża. Leżę w łóżku, złana potem, drżąca, bo wiem, że zawiodłam mieszkańców Majipooru, że jako Pani Wyspy nie przyniosłam nic dobrego, a jedynie zaszkodziłam milionom ludzi.

– Jesteś o tym przekonana?

– Bezdyskusyjnie. To coś więcej niż sen. To staje się częścią mojego życia, równie prawdziwą, jak imię i twarz twojego ojca. Częścią mnie, której nie mogę wyplenić.

Ostatnie wątpliwości Prestimiona co do natury i źródła tych snów już go opuściły. Jak mógłby dalej opierać się prawdzie? Słyszał to już wcześniej, od Dekkereta opowiadającego o snach Teotasa. Wina... Wstyd... Głębokie poczucie bycia niegodnym, poniesienia porażki, zdrady tych, którym przysięgło się służyć...

Patrzyła na niego. Te oczy... te oczy!

– Milczysz, Prestimionie. Czy rozumiesz choć trochę, co ci opowiadam?

Ze zmęczeniem pokiwał głową.

– Tak. Tak, rozumiem. Rozumiem aż za dobrze. Matko, odbierasz przesłania. Złowroga siła sięga z zewnątrz do twojego umysłu i umieszcza w nim myśli, podobnie jak Pani Wyspy umieszcza sny w głowach tych, którym służy. Ale Pani zsyła dobre sny, które mają tylko moc sugestii. Twoje sny mają o wiele większą moc. Mają moc rzeczywistości. Nie

masz wyboru, musisz wierzyć w ich prawdziwość.

Lady Therissa była lekko zaskoczona.

– Już to wszystko wiesz!

Znów skinął głową.

– Wiem też, kto je zsyła.

– Ja też – powiedziała, dotykając czoła. – Wciąż mam diadem, który nosiłam, gdy byłam Panią Wyspy. Użyłam go, by sięgnąć do źródła moich snów i je zidentyfikować. To Mandralisca. Znów zajmuje się swoimi niecnymi sprawkami.

– Wiem.

– Sądzę, że zabił Teotasa, zsyłając mu sny, których nie mógł znieść.

– To też wiem – powiedział Prestimion. – Dekkeret rozgryzł to po kawałku z pomocą swojego przyjaciela, Dinitaka Barjazida. Jest inny Barjazid, brat tego, którego zabiłem w Stoienzar. Sprzymierzył się z praegustatorem, ten zaś z krewniakami Dantiryi Sambaila i znowu produkują te diabelskie hełmy kontrolujące umysły. Użyli ich przeciwko Teotasowi, przeciwko tobie, zdaje się, że Varaile także, a możliwe, że i przeciwko mojej małej córeczce, Tuanelys.

– Ale póki co nie przeciwko tobie.

– Nie. I nie spodziewam się, że to zrobią. Możliwe, że boją się rzucić mi bezpośrednie wyzwanie. Atak na Pontifexa jest atakiem na sam Majipoor, ludzie tego nie poprą. Nie, matko, sądzą, że chce mnie zastraszyć, atakując moich najbliższych. Ma nadzieję, że zmusi mnie do jakiejś ugody z tymi, którym służy. Może do przyznania im władzy. Do przywrócenia tego, co odebrałem Dantiryi Sambailowi.

– Jeśli będzie mógł, zabije cię – powiedziała lady Therissa.

Prestimion odrzucił ten pomysł szerokim ruchem ręki.

– To coś, czego w ogóle się nie boję. Wątpię, czy tego spróbuje, a jeśli tak, nie uda mu się – wstał i kucnął przy niej, położył rękę na jej ramieniu i spojrzał w jej umęczone oczy. Przemówił pewnie. – Matko, tym, który umrze, będzie Mandralisca. Możesz być tego pewna. Zabiłbym go tylko za to, co zrobił Teotasowi. A teraz, kiedy wiem, co zrobił tobie...

– Zamierzasz więc wypowiedzieć mu wojnę – to było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak.

– Zebrać armię, najechać Zimroel i własnoręcznie zniszczyć tego człowieka? Słyszę to w twoim głosie. Czy to właśnie zamierzasz zrobić?

– Nie osobiście – powiedział szybko, pojmując, do czego zmierzała. Na jej twarzy wyraźnie widać było sprzeczne uczucia, nienawiść do Mandraliski i wszystkiego, czym był

oraz strach o życie pierworodnego syna. – Bardzo wiele bym dał, by móc być tym, który odbierze mu życie. W tej kwestii ci nie skłamię. Ale obawiam się, że moje dni na polach bitew już dawno się skończyły i teraz, matko, Dekkeret jest moim mieczem.

6

To był szesnasty dzień podróży Dekkereta przez szeroką równinę centralnego Alhanroelu do Alaisor, wielkiego miasta na północno-zachodnim wybrzeżu. Przybył właśnie do miasta Shabikant nad rzeką Haggito, która właściwie była błotnistym, płynącym na południe strumieniem, jedną z odnóg Iyann. Dekkeret wiedział o Shabikant tylko tyle, że rosły tu sławne Drzewa Słońca i Księżyca.

– Skoro mamy taką szansę, powinniśmy je obejrzeć – powiedział do Fulkari. – Być może nigdy tu nie wrócimy.

Tak, jak zasugerował Prestimion, Koronal i jego świta podróżowali do Alaisor drogą lądową. Dużo szybciej byłoby ruszyć łodzią, spłynąć Uivendak i jej dopływami do szybkiej rzeki Iyann, a ona zaniósłaby ich do brzegów Morza Wewnętrznego. Nie mieli powodów do pośpiechu, gdyż przed powrotem na kontynent Prestimion odbywał długą podróż na Wyspę i obaj zgodzili się, że lepiej będzie, jeśli nowy Koronal pokaże się oficjalnie w kilku większych miastach po drodze na zachód, niż gdyby miał przemknąć obok nich rzeczną łodzią i tylko pomachać i uśmiechnąć się do stojących na brzegu milionów ludzi.

Dlatego wybrał trasę prowadzącą Wielką Zachodnią Drogą przez ponure miasto handlowe, Sisivondal, leżące pośród zakurzonych równin Camaganda. Była to wyjątkowo brzydka podróż, ale oszczędziła im trudnej przeprawy przez góry Trikkala. Z Sisivondal ruszyli przez ogromną, zakrzywioną połąć Majipooru, przez miasta Skeil, Kessilroge, Gannamunda i Hunzimar na trawiaste równiny Doliny Gloyn, gdzie na miedzianych sawannach porośniętych trawą gatta spokojnie pasły się olbrzymie stada przedziwnych zwierząt. Gloyn znajdowała się w połowie drogi pomiędzy Górą Zamkową a Alaisor. Stamtąd udali się w kierunku północno-zachodnim. Zatrzymywali się tu i tam, by zaszczyścić jakiegoś prowincjonalnego diuka albo burmistrza obecnością nowego Koronala. Oczywiście po drodze nie wspominali nikomu o kłopotach w Zimroelu. Na razie nie była to niczyja rzecz, poza samym Koronalem. Dobrzy ludzie z zachodniego Alhanroelu nie mieli potrzeby wiedzieć o drobnych niepokojach na drugim kontynencie.

Dinitak codziennie korzystał ze swojego hełmu i informował Dekkereta o rozwoju

wydarzeń. Pięciu bratanków Dantiryi Sambaila wróciło z pustyni i urządzili swoją kwaterę główną w Ni-moya. Teoretycznie wolno im było tak postąpić, ale było to prowokacyjne zachowanie. Zdawało się, że przejęli kontrolę nad Ni-moya i otaczającymi je ziemiami. Jeśli ta część dinitakowych raportów była prawdą, to było to jawne pogwałcenie liczącego dobre już dwadzieścia lat dekretu Prestimiona, na mocy którego Dantiryja Sambail i wszyscy jego spadkobiercy po wsze czasy mieli być pozbawieni władzy na Zimroelu.

Dekkeret nie uważał, by te wydarzenia wymagały natychmiastowej reakcji ze strony rządu. Spodziewał się wkrótce otrzymać potwierdzenie raportów Dinitaka bardziej konwencjonalnymi kanałami, a także odkrycia szczegółów tego, co właściwie działo się na Zimroelu i postanowił na nie czekać. Kiedy zgodnie z ustaleniami spotka się z Prestimionem za miesiąc czy dwa w nadmorskim mieście Stoien, wspólnie ustalą właściwą strategię rozprawienia się z kłopotliwymi mieszkańcami Ni-moya.

Królewski orszak przybył do Shabikant chwilę po południu, kiedy miasto, rozpostarte przed nimi na wiele mil na północ i południe na szerokiej, piaszczystej równinie, położonej na wschodnim brzegu Haggito, pławiło się w ciepłe jasnego słońca.

Shabikant miało cztery, może pięć milionów mieszkańców, więc jak na standardy tutejszych miast było wręcz metropolią. Było ładne, pełne zgrabnych budynków tynkowanych na różowo i niebiesko i krytych ozdobną, zieloną dachówką. Burmistrz i miejscowi oficjele wyjechali na powitanie Dekkereta i jego towarzyszy i zanim zaprowadzili ich do miasta nie obyło się bez mnóstwa ukłonów i przemówień.

Burmistrz – doradcy Dekkereta podszeptały mu, że był to dziedziczny, ceremonialny tytuł – był pulchnym, zielonookim mężczyzną. Zwał się Kriskinnin Durch i sprawiał wrażenie przytłoczonego koniecznością ugoszczenia Koronała Majjipooru. Lord Dekkeret był pierwszym od stuleci monarchą, który zdecydował się odwiedzić Shabikant. Kriskinnin Durch wyraźnie nie umiał poradzić sobie z faktem, że to wielkie wydarzenie odbywa się właśnie podczas jego rządów.

Skorzystał z okazji, by poinformować Dekkereta, że sam po kądzieli pochodzi od jednego z młodszych braci Pontifexa Ammirato, który, o ile Dekkeret dobrze pamiętał, był niezbyt ważnym władcą sprzed czterystu lat.

– Twoja rodzina znacznie przewyższa szlachetnością moją – powiedział z sympatią Dekkeret, raczej rozbawiony niż oburzony pretensjonalnym zachowaniem burmistrza. – Bowiem ja nie pochodzę od nikogo szczególnego.

Kriskinnin Durch nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na tę deklarację z ust Koronała Lorda Majjipooru. Postanowił więc udawać, że Dekkeret nigdy jej nie wypowiedział.

– Oczywiście, skoro tu jesteście, odwiedźcie Drzewa Słońca i Księżycy? – zapytał jakby nigdy nic.

– Taki mam zamiar – odparł Dekkeret.

Fulkari odezwała się tak cicho, że tylko on mógł ją usłyszeć.

– Zauważyłeś, że wszyscy prowincjonalni burmistrzowie pochodzą po kądzieli od jakiegoś Pontifexa? Po mieczu zaś od żebraków, złodziei i fałszerzy, więc wszystko się ładnie wyrównuje.

– Sza! – uciszył ją Dekkeret, mrugnął do niej i ścisnął ją za rękę.

Wraz z Fulkari zatrzymał się w przyjemnym, różowym domu nad rzeką, w którym zapewne nocowali burmistrzowie pobliskich miast i inni urzędnicy odwiedzający Kriskinnina Durcha. Dinitak i reszta orszaku Dekkereta została rozlokowana po mniej okazałych rezydencjach w pobliżu.

– Mam szczerą nadzieję, mój lordzie, że wszystko tutaj się wam spodoba – oświadczył burmistrz uniżenie i wycofał się, cały w ukłonach.

Ich pokoje, jak zauważył Dekkeret, były duże, ale brakowało im wdzięku. Ich umeblowanie było przesadne, utrzymane w stylu, który święcił tryumfy niemal sto lat temu, na początku rządów Lorda Prankipina – królowała ciężka, brokatowa tapicerka i meble na niskich, niezgrabnych nogach. Ściany ozdobiono prymitywnymi obrazami utrzymanymi w burej tonacji, niechybnie dziełami miejscowych artystów. Większość z nich wisiała nieco krzywo. Całe to miejsce było dokładnie takie, jak można się było spodziewać. Osobliwe, pomyślał Dekkeret. Bardzo osobliwe.

Burmistrz taktownie rozkazał przygotować dla Dekkereta i Fulkari osobne apartamenty, ponieważ do miasta Shabikant nie dotarły żadne wieści o królewskim małżeństwie, a w tych rolniczych prowincjach przywiązywano do podobnych spraw dużą wagę. Przynajmniej oba apartamenty znajdowały się obok siebie i łączyły je zamknięte na zasuwę drzwi, które otwierały się bez trudu. Dekkeret zaczął podejrzewać, że burmistrz wcale nie jest tak głupi, jak wydawał się przy pierwszym spotkaniu.

– Czym właściwie są te Drzewa Słońca i Księżycy? – zapytała Fulkari, gdy skończyli urządzać się w pokojach i opuścili ich liczni szambelani i damy dworu, udając się do własnych pokoi. Dekkeret otworzył zasuwę i przyszedł do apartamentu Fulkari, gdzie znalazł ją w wielkiej wannie z niebieskiego kamienia, leniwie myjącą plecy wielką szczotką na długiej rączce w tak skomplikowanym kształcie, że wyglądała jak jakieś magiczne urządzenie.

– Z tego, co rozumiem – odpowiedział – to para prastarych drzew, które podobno

posiadają moc wieszczej mowy. Spieszę dodać, że od trzech tysięcy lat nikt nie słyszał, żeby cokolwiek powiedziały. Ale Koronal imieniem Kolkalli przybył tutaj podczas swojej Wielkiej Procesji i postanowił je zobaczyć. Dokładnie o zachodzie słońca męskie drzewo przemówiło...

– To te drzewa mają płęć?

– Drzewo Słońca jest męskie, a Drzewo Księżyca żeńskie. Nie wiem, po czym to poznali. W każdym razie Koronal przyszedł do Drzew o zmierzchu i zażądał, żeby przepowiedziały mu przyszłość. Dokładnie w chwili, gdy słońce skryło się za horyzontem, męskie drzewo wypowiedziało słowa, których Koronal nie zrozumiał. Kolkalli bardzo się podekscytował i poprosił kapłanów, by mu je przetłumaczyli, ale oni powiedzieli, że nikt w Shabikant nie mówi już w języku drzew. W rzeczywistości zrozumieli, co powiedziało Drzewo, ale za bardzo bali się cokolwiek powiedzieć, ponieważ była to przepowiednia rychłej śmierci Koronala. Spotkała go ona trzy dni później, kiedy to jadowity gijimong użądlił go w palec i spowodował śmierć w ciągu pięciu minut. To w sumie jedyne, z czego zapamiętany został Koronal Lord Kolkalli.

– Wierzysz w to?

– Że Koronal został użądłony w palec przez jadowitego gijimonga i zmarł? To fakt historyczny. To były jedne z najkrótszych rządów w historii Majipooru.

– W to, że drzewo przemówiło i że była to przepowiednia jego śmierci.

– Verkausi opowiada tę historię w jednym ze swoich wierszy. Pamiętam, jak uczyłem się go w szkole. Przyznaję, że nie do końca wyobrażam sobie, jak drzewo miałoby być zdolne do mówienia, ale któżby podważał wiarygodność niezrównanego Verkausiego? Osobiście zajmuję w tej kwestii neutralne stanowisko.

– Cóż, jeśli Drzewa dziś przemówią, nie możesz pozwolić miejscowym wykreścić się od tłumaczenia – Fulkari uniosła pięści, udając groźną. – Powiedz im, że mają tłumaczyć, bo inaczej... Niech tłumaczą, albo umrą! Taki jest rozkaz Koronala!

– A jeśli powiedzą mi, że drzewo twierdzi, iż zostały mi trzy dni życia? Co wtedy zrobię?

– Na dobry początek będziesz się trzymał z dala od gijimongów – odparowała Fulkari. Wyciągnęła do niego szczupłe ramię. – Pomóż mi wyjść z wanny. Ma strasznie śliskie dno.

Ujął jej dłoń. Zręcznie wyskoczyła z wanny, a on okrył ją ręcznikiem. Wytarł ją delikatnie, z miłością, a ona tuliła się do niego. Potem odrzucił ręcznik na bok.

Po raz pięćdziesiąty tego dnia Dekkeret był oszołomiony jej jaśniejącym pięknem, blaskiem jej włosów, błyskiem w oczach, siłą i żywotnością jej ciała, tym, jak idealnie łączyła

w nim smukłość sportowca i kobiece kształty. I do tego była doskonałą towarzyszką, mądrą, uważną, spostrzegawczą, żywą.

Wciąż zdumiewało go, jak blisko byli rozstania. Wciąż słyszał w głowie jej słowa: *Dekkerecie, nie chcę być małżonką Koronala*, słowa wypowiedziane w lasku na Górze Zamkowej. I to, co powiedział Prestimionowi w Sali Tronów w Labiryncie: *To jasne, że nie jest dla mnie właściwą kobietą*. Teraz ciężko mu było uwierzyć, że kiedykolwiek powiedzieli coś podobnego. A jednak. Nieważne, pomyślał, czas płynął i wszystko się zmieniło. Poślubi ją, kiedy tylko uporają się z irytującym problemem Mandraliski.

Ich spojrzenia spotkały się i dostrzegł w jej oczach łobuzerski błysk.

– Nie mamy czasu – powiedział z rozczarowaniem. – Musimy się ubrać. Jego ekscelencja burmistrz czeka na nas z lunchem, wycieczką po mieście, a o zmierzchu idziemy zobaczyć sławne, mówiące drzewa.

– Widzisz? Koronal i jego małżonka cały czas mają coś do roboty!

– Nie cały czas – powiedział Dekkeret bardzo łagodnie, wciskając twarz w jej obojczyk. Była ciepła i pachnąca po kąpiel. Jego ręce przesunęły się po jej długich, smukłych plecach, gładkich pośladkach i w górę, wzdłuż boków. Zadrżała w jego ramionach, ale, podobnie jak on, panowała nad sobą.

– Kiedy skończy się dzisiejsze gadulstwo – powiedział – będziemy tutaj tylko we dwoje i będziemy mieć dla siebie całą noc. Wiesz o tym, prawda?

– O, tak, Dekkerecie, wiem. Ale najpierw... obowiązki wzywają! – pocałowała go lekko, żeby zrozumiał, że jest pogodzona ze swoim losem i że rozumie, iż przyjemności króla muszą poczekać, aż wykonana będzie codzienna praca.

Wysunęła się z jego objęć, otworzyła przed nim drzwi i z uśmiechem zaczęła go wyganiać z pokoju, żeby móc spokojnie ubrać się przed nadchodzącą ceremonią. Przesłał jej całusa i poszedł sam ubrać się w królewskie szaty w tradycyjnych zieleniach i złocie, pierścień, naszyjnik, wszystkie drobne symbole, które pokazywały, że jest królem świata.

Zmieniła się, pomyślał. Dorosła do swojej roli. Będziemy razem szczęśliwi.

Ale najpierw, jak powiedziała Fulkari, obowiązki.

Zanim zakończyły się wszystkie ceremonie związane z królewską wizytą w Shabikant – lunch w ratuszu, który oczywiście okazał się być niekończącym się bankietem, nie zabrakło na nim nikogo z miejscowych notabli i gdzie bez końca wygłaszano przemowy powitalne i życzenia długich i wspaniałych rządów – było już późne popołudnie. Wreszcie Dekkeret i Fulkari, wraz z Dinitakiem i kilkoma doradcami Dekkereta, zostali poprowadzeni nad rzekę, by zobaczyć największą atrakcję Shabikant, Drzewa Słońca i Księżycy.

Obok nich, niemal wychodząc z siebie z podniecenia, dreptał burmistrz Kriskinnin Durch. Towarzyszyło mu pół tuzina oficjeli, którzy byli na bankiecie. Byli teraz przepasani szerokimi, fioletowymi wstęgami, które, jak wyjaśnił burmistrz, stanowiły insygnia kapłanów Drzew. Dodał, że obecnie jest to tylko tytuł honorowy. Drzewa milczały od tysięcy lat i ich kult zanikał, więc teraz „kapłani” byli po prostu przedstawicielami towarzyskiej śmietanki Shabikant.

Fulkari ze złośliwą miną twierdziła, że zastanawia się, czy wizyta jest dobrym pomysłem.

– Uważasz, Dekkerecie, że to mądre? Co będzie, jeśli po tych wszystkich latach postanowią znowu przemówić i powiedzą coś, czego wolałbyś nie usłyszeć?

– Wydaje mi się, że język Drzew jest już zapomniany. A jeśli nie, możemy zawsze poprosić, by nam nie tłumaczono. Jeśli przepowiednia będzie dość zła, kapłani będą pewnie udawać, że nie rozumieją, jak w przypadku Kolkallego.

Niewiele zostało do zmierzchu. Słońce, o tej porze brązowozielone, wisiało nisko nad Haggito i sprawiało wrażenie, że jest dziwnie szersze i spłaszczone, jak często zdarzało się w ostatnich minutach jego podróży przez zachodnie niebo na tych szerokościach geograficznych.

Drzewa znajdowały się w niewielkim, wydłużonym parku nad rzeką. Chroniła je palisada z metalowych słupów, zakończonych ostrymi kolcami. Stały tuż obok siebie, dwie ciemne sylwetki na tle ciemniejszego nieba, otoczone pustym polem.

Burmistrz z wielkim patosem otworzył bramę i wprowadził gości z Góry Zamkowej do środka.

– Drzewo Słońca rośnie po lewej – powiedział głosem drżącym z dumy. – Drzewo Księżycy zaś po prawej.

Dekkeret zauważył, że Drzewa były migdałecznikami, największymi, jakie kiedykolwiek widział, olbrzymami swojego gatunku i bez wątpienia były bardzo stare. W czasach Lorda Kolkalli też mogły być imponujące.

Widać było, że ogromne drzewa dożywają kresu swoich dni.

Jasne, charakterystyczne wzory z zielonych i białych pasów, które zdobiły pnie zdrowych migdałeczników, wypływały i przypominały zamazane, bezkształtne plamy. Grube, wysokie pnie niepokojąco się wyginały, Drzewo Słońca pochylało się niebezpiecznie na południe, zaś Drzewo Księżycy w przeciwną stronę. Ich rozgałęzione korony były niemal nagie, porastała je zaledwie garść liści w kształcie półksiężyca. Erozja ziemi pod Drzewami obnażyła ich skręcone, brązowe korzenie, choć próbowano zamaskować ten fakt

przyozdabiając okolicę Drzew chorągiewkami, wstążkami i stosami talizmanów. Dekkeretowi całe to miejsce zdało się smutne, wręcz żalosne.

On i Fulkari otrzymali po amulecie, które mieli dołożyć do stosu. Dokładnie o zachodzie słońca mieli podejść i oddać je Drzewom, które mogły odpowiedzieć – przy tych słowach burmistrz beczelnie puścił oko – przepowiednią. Mogły też milczeć.

Dolna krawędź słońca dotknęła rzeki. Zaczęła w niej powoli tonąć. Dekkeret czekał, wyobrażał sobie gigantyczną kulę świata, powoli obracającą się wokół osi, nieubłaganie niosąc tę okolicę ku ciemności. Słońce zniknęło do połowy. Został już tylko miedziany błysk jego górnej krawędzi. Dekkeret wstrzymał oddech. Zamarły wszystkie rozmowy. Powietrze było dziwnie nieruchome. Musiał przyznać, że wyczuwało się w tej scenie pewien dramatyzm.

Burmistrz skinął głową, dając znak, że powinni się szykować do złożenia amuletów.

Dekkeret spojrzał na Fulkari, kiedy powoli i z powagą kroczyli w stronę Drzew, on do żeńskiego, ona do męskiego. Ukłękli i dodali swoje talizmany do stosów dokładnie w momencie, kiedy na zachodzie zniknął ostatni błysk słońca. Dekkeret skłonił głowę. Burmistrz poinstruował go, że powinien w duchu przemówić do Drzew i poprosić o wskazówki.

Podczas gdy z nieba znikwały resztki słonecznego światła, wokół panowała absolutna cisza. Nikt z towarzyszących im mieszkańców Shabikant nawet nie westchnął.

W tej ciszy Dekkeret, zdumiony, stwierdził, że faktycznie coś słyszy. Był to rdzawy, chrzęszczący dźwięk, tak cichy, że ledwo słyszalny; dźwięk, który mógł dochodzić spomiędzy korzeni Drzew, przed którymi klęczał. Czy to wielkie, stare Drzewo chwiało się w pierwszym powiewie wieczornej bryzy? A może wyrocznia – jak to możliwe? – jednak przemówiła, przekazała nowemu Koronalowi kilka sylab niezrozumiałej mądrości.

Spojrzał znów na Fulkari. Miała dziwny wyraz oczu, jakby też coś usłyszała.

Wtedy Kriskinnin Durch przerwał ciszę radosnym, donośnym klaskaniem.

– Doskonale, mój panie, doskonale! Drzewa przyjęły twoje podarunki i mam nadzieję, że przekazały ci swoją mądrość. Zaszczyt to dla nas, że po tylu latach Koronał oddaje hołd naszym wspaniałym drzewom! Cóż za niezwykły zaszczyt!

– Niczego nie słyszałeś, prawda? – zapytała po cichu Fulkari, kiedy odchodzili od Drzew.

Słyszał? Nie. Nie. Postanowił, że absolutnie nic nie słyszał.

– Słyszałem mamrotanie wiatru – powiedział. – I może jakby ruch korzeni. Ale przyznasz, że to było bardzo dramatyczne. Nawet odrobinę straszne.

– Tak – powiedziała Fulkari. – Straszne.

7

– Dziś szable? – zapytał zdumiony Audhari, wchodząc do sali treningowej, w której dwa razy w tygodniu spotykał się z Keltryn na ćwiczeniach fechtunku. – Nigdy wcześniej nie pojedynkowaliśmy się na szable.

– Dzisiaj zaczniemy – oświadczyła Keltryn głosem twardym z gniewu.

Przyszła na salę pięć minut wcześniej, żeby wybrać broń i przyzwycząić się do jej większej długości i wagi. Septach Melayn twierdził, że jest za lekko zbudowana, żeby walczyć szablą. Pewnie miał rację. Kilka razy spróbowała, szło jej kiepsko, później już nie uczestniczyła w ćwiczeniach z szablami.

Dzisiaj jednak nie miała ochoty na eleganckie pozy i stroje do walki rapierem. Miała ochotę na dużą broń. Chciała ciąć, siec i miażdżyć, ranić i, jeśli będzie to konieczne, zostać zranioną. Nie miało to nic wspólnego z Audharim. Wynikało to z jej wściekłego gniewu na Dinitaka, który wzbierał, aż nie mógł się w niej już pomieścić i tego dnia kierował wszystkimi jej działaniami.

Keltryn nie pamiętała już, ile tygodni minęło odkąd Dinitak pojechał na zachód z Koronalem i Fulkari. Cztery tygodnie? Pięć? Nie umiała powiedzieć. Dla niej trwało to półtorej wieczności. Ile by to nie było, czuła, że to dłużej, niż trwał jej romans z Dinitakiem.

Te kilka dziwnych tygodni, które z nim spędziła, wydawało się być tylko snem. Zanim on się pojawił, strzegła swojego ciała jakby było świątynią, a ona kapłanką. Później – sama nie wiedziała czemu, czy z prawdziwego pożądanego, czy z niecierpliwości jej dojrzewającego ciała, czy z banalnej chęci wkroczenia w takie życie, jakie od dawna prowadziła jej siostra – otworzyła się przed Dinitakiem i pozwoliła mu w niejednym znaczeniu tego słowa wejść do sanktuarium jej osoby. On zaś wprowadził ją w krainę przyjemności i podniecenia znacznie większego, niż była w stanie wyobrazić to sobie w dzieciennych fantazjach.

Nie chodziło tylko o seks, przynajmniej ona tak uważała. Przez te kilka tygodni przestała używać zaimka „ja” i zamieniła go na „my”.

I właśnie wtedy – równie lekko, jak gdyby była zużytym ubraniem – pozbył się jej. Pozbył. W jej oczach nie pasowało tu żadne inne słowo. Ruszyć w podskokach na zachód z

Dekkeretem i Fulkari, zostawić ją, bo było – jak Fulkari to ujęła? – politycznie niepoprawnie pojawiać się w otoczeniu Koronała z niezamężną kobietą...

Ciężko było zrozumieć, jakim cudem mężczyzna w tak wczesnej fazie namiętnego romansu mógł zająć podobne stanowisko. Dinitak słychać z mówienia wszystkiego wprost, z szorstkiej szczerości. Na pewno byłby w stanie postawić się nawet Lordowi Dekkeretowi, powiedzieć mu „wybacz, wasza wysokość, ale jeśli ona nie pojedzie, to ja też nie”.

A jednak nic takiego nie zrobił. Wątpiła, czy jej udział w podróży choć odrobinę obszedłby Dekkereta. To Dinitak postanowił ją zostawić, Dinitak, Dinitak, Dinitak. Jak mógł zrobić coś takiego? Keltryn nie mogła tego zrozumieć. Natychmiast przychodziła jej do głowy brzydka odpowiedź: bo już się mną znudził. Pewnie zbyt wiele wymagam, jestem za chętna, za młoda. W ten sposób ze mną zrywa.

– Nic nie rozumiesz – powiedziała jej Fulkari. – Keltryn, on oszalał na twoim punkcie. Zapewniam cię, cierpi, że musi cię tak zostawić na zamku. Jest zbyt pruderyjny, żeby zabrać młodą kobietę, taką jak ty, w oficjalną podróż. Powiedział, że byłoby to dla ciebie obraźliwe, że wyglądałabyś jak jego konkubina.

– Konkubina!

– Wiesz, że ma bardzo staroświeckie podejście.

– Nie dość staroświeckie, żeby ze mną nie sypiać, Fulkari.

– Sama mi powiedziałaś, że i w tej kwestii poważnie się wahał.

– Ale...

Keltryn musiała tutaj przyznać siostrze rację. Wtedy na basenie musiała się niemal rzucić na Dinitaka, żeby wreszcie przyjął to, co chciała mu dać, a kiedy dowiedział się, że oddała mu swoje dziewictwo, zareagował tak dziwnie, niepokojem i smutkiem. Keltryn uznała, że jest dla niej za skomplikowany, ale to nie pomogło jej pogodzić się z wściekłością, że wykluczono ją z podróży na zachód, ani że zostaje na tak długo rozdzielona z mężczyzną, którego kocha, kiedy ich romans jest wciąż świeży i gorący.

W kolejnych dniach ataki gniewu przychodziły i odchodziły. Czasami wydawało jej się, że już jej to nie obchodzi, że Dinitak był tylko fascynacją nastolatki i że kiedyś będzie wspominać go z nostalgią i rozbawieniem. W takich chwilach przez wiele godzin była całkowicie spokojna. Potem jednak dostawała szału, że zniszczył jej życie. Powtarzała sobie, że dała mu coś więcej, niż niewinność, dała mu *miłość*. A on rzucił jej nią w twarz.

Dzisiaj był jeden z gniewnych dni. Keltryn miała bardzo żywy sen o Dinitaku, o nich razem, wyobrażała sobie, że był obok niej w łóżku, wyciągnęła do niego rękę, ale była sama. Obudziła się otoczona czerwoną chmurą frustracji i szału.

Pomyślała, że dzisiaj będzie ćwiczyć fechtunek z Audharim. Szablami. Tak. Cięcie, sieczenie i miażdżenie. Wyrzuci z siebie gniew ostrą walką.

Wysoki, piegowaty chłopak ze Stoienzar był zmieszany i zdezorientowany jej chęcią skorzystania z dużej broni. Nie dość, że nie miała z nią doświadczenia, to jeszcze jego przewaga wzrostu i siły będzie w tym wypadku dużo bardziej znacząca niż przy rapierze czy palcacie, gdzie tak samo jak siła liczyły się technika i refleks. Nie dało się jej jednak przekonać.

– Stawaj! – zawołała.

– Pamiętaj, Keltryn, w szabli atakuje się też krawędzią, nie tylko czubkiem. No i musisz chronić ramię przed...

Opuściła maskę i posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Nie bądź taki protekcyjny, Audhari! Pozycja!

To była bezsensowna walka. Szabla naprawdę była nieco za ciężka dla jej szczupłego ramienia. Ledwo miała pojęcie o poprawnej technice. Wiedziała, że walczący szablą stali dalej od siebie niż przy rapierach, ale to oznaczało, że nie mogła dosięgnąć Audhariego zwyczajnym wypadem. Musiała atakować prymitywnymi, bocznymi cięciami, pasującymi raczej do bójki w zaułku, na które Septach Melayn na pewno zareagowałby oburzonym krzykiem.

W pewien sposób było to satysfakcjonujące. Mogła wyrzucić z siebie część gniewu. Jednak to, co robiła, w ogóle nie było fechtowaniem. Nie miało stylu, gracji, formy. Równie dobrze mogłaby wziąć siekierę i rąbać drewno. Audhari, zdumiony jej wściekłymi atakami, musiał zarzucić swoją dopracowaną technikę i po prostu parować, jak tylko mógł. Za każdym razem, gdy zatrzymywał jej atak swoim ostrzem, po ręce i ramieniu Keltryn rozlewał się niezwykle bolesny dreszcz. Wreszcie sparował tak mocno, że jej szabla z łoskotem wylądowała na podłodze.

Uklękła, by ją podnieść i została na kolanach, walcząc o oddech.

– Co się dzisiaj dzieje? – zapytał Audhari. Zdjął maskę szermierczą i odrzucił ją na bok. – Jesteś z jakiegoś powodu wściekła. Zrobiłem coś nie tak?

– Ty? Nie, nie, Audhari...

– To o co chodzi? Wybrałaś broń, która ewidentnie jest dla ciebie za ciężka i machasz nią jak toporem, zamiast chociaż spróbować się ze mną fechtować. Mistrzowie szabli walczą nią niemal jak rapierem. Stawiają na lekkość i szybkość, nie na brutalną siłę.

– Więc pewnie nigdy nie będę mistrzem szabli – powiedziała, mocno akcentując słowo „mistrz”. Także zdjęła maskę.

– Nie masz się czego wstydzić. Słuchaj, Keltryn, zapomnijmy o szablach i zajmijmy się czymś lżejszym, i...

– Nie. Zaczekaj – nakazała mu milczenie niecierpliwym machnięciem ręką. W jej głowie pojawiła się nowa, dziwna myśl.

Pora zapomnieć o Dinitaku.

Dinitak odegrał w jej życiu swoją rolę. Cokolwiek było między nimi, skończyło się i należy do przeszłości, a on dowie się o tym, kiedy tylko wróci ze swojej podróży na zachód. Już go nie potrzebowała. Jeśli będzie nadal płakać za mężczyzną, który tak łatwo ją zostawił, to jest idiotką.

Odezwała się do Audhariego.

– Może powinniśmy w ogóle dać dziś sobie spokój z fechtunkiem. Moglibyśmy robić co innego.

Jej ton był przebiegły, ale jednoznaczny. Audhari patrzył na nią, nie rozumiejąc, mrugając, jakby przemówiła do niego w języku z innego świata. Keltryn spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się gorąco, intensywnie, tak, że nie mógł tego źle zinterpretować. Zdawało się, że Audhari zaczyna rozumieć.

Była zdumiona własną śmiałością, ale przyjemnie było to robić, działać z własnej inicjatywy, nie polegać na radach Fulkari. Cieszyła się teraz, że siostry nie było na Zamku. Wiedziała, że przyszła pora samodzielnie popłynąć przez wiry życia.

– No chodź, Audhari! – zawołała. – Chodźmy na górę!

– Keltryn...

Był w zupełnym szoku. Rumienił się od kołnierzyka szermierczej kurtki po cebulki włosów. Poruszał ustami, ale nie odpowiadał.

– O co chodzi? – spytała w końcu. – Chcesz tego, prawda?

Potrząsnął głową.

– Ależ dziwacznie się dziś zachowujesz, Keltryn!

– Nie jestem dość atrakcyjna? Uważasz, że jestem brzydka? Tak, Audhari? Wiesz, nie chciałabym narzucać się mężczyźnie, który uważa, że jestem nieatrakcyjna.

Widać było, że Audhari wolałby znaleźć się w podziemiach Labiryntu niż prowadzić tę rozmowę.

– Jesteś jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem, Keltryn.

– To w czym problem?

– Problem w tym, że to nie wystarczy. Cokolwiek zrobimy na górze nie będzie miało żadnego znaczenia. Nigdy się mną nie interesowałeś, nie w *ten* sposób, wiedziałem o tym i

szanowałem to. A teraz tak nagle zmieniasz zdanie? Nie powinno tak być. To bez sensu. Mam wrażenie, że chcesz mnie *wykorzystać*.

– A jeśli tak, to co? Ty możesz wykorzystać mnie. Czy to takie straszne?

– Ja nie jestem taki, Keltryn. I to wcale nie byłoby dobre. Nie lepsze od twoich prób walki szablą.

Teraz to ona była zdumiona. Po tym wszystkim, czego dorastając nasłuchiwała się o mężczyznach, że są chutliwymi potworami, dlaczego musiała mieć takiego pecha i wpadać tylko na takich, którzy przejmowali się moralnością, szacunkiem i poprawnością? Dlaczego tak ciężko było przeżyć kilka chwil rozpusty, kiedy miała na to ochotę?

Audhari, wciąż czerwony na twarzy, mówił dalej.

– Proszę, czy nie moglibyśmy skończyć tej rozmowy? Proszę. Jeśli chcesz fechtować, fechtujmy, jeśli nie, to nie. Ale tak długo byliśmy przyjaciółmi, Keltryn, a teraz... to, co robisz, jest takie strasznie mylące! Błagam cię, przestań. Przestań.

Popatrzyła na niego wściekle. To była ostatnia rzecz, której się spodziewała.

– Aha, więc czujesz się skołowany, tak? Dobrze. W takim razie pokornie proszę o wybaczenie – powiedziała lodowato. – Nie chciałabym czuć się winna, że skołowałam mojego drogiego, słodkiego przyjaciela, Audharięgo.

Odłożyła szablę na stojak z bronią i wyszła, nie mówiąc więcej ani słowa.

Wiedziała, że zachowuje się okrutnie i że to ona była skołowana. To nieważne. Nienawidziła Audharięgo, bo odmówił jej w chwili...

Potrzeby? Podłości? Nie wiedziała, co to było. Wiedziała, że teraz rozumie mężczyzn dużo mniej, niż jeszcze kilka miesięcy temu.

Wciąż wrzał w niej gniew, kiedy pół godziny później na Dziedzińcu Pinitora dostrzegła Polliexa z Estotilaup, dawnego partnera z lekcji fechtunku. Kiedy podszedł, uśmiechnął się do niej mechanicznie, bezosobowo i nie wyglądał jakby chciał się zatrzymać i porozmawiać. Odkąd dość ostro odrzuciła jego propozycję weekendowego wypadu do miasta przyjemności, przy okazji nieczęstych spotkań odnosił się do niej sztywno i poprawnie. Był przecież synem diuka i wiedział, jak się zachować dostawszy kosza.

Polliex wiedział także, jak się zachować, kiedy młoda kobieta, niegdyś traktująca go z pogardą, później wskazuje swoim zachowaniem, że jego uwaga nie byłaby niemile widziana. Keltryn powitała go bardzo ciepło, w sposób, którego nie powinien źle zinterpretować, a kiedy zaczęła mówić o Morpin Wysokim, tunelach mocy, lustrzanych zjeżdżalniach i molochach i wyraziła żal, że od czasu przyjazdu na Górę Zamkową nie miała okazji tam zawitać, odpowiedział gładko i nie zdradzając zaskoczenia.

Polliex był bardzo przystojny, a jego dworne, doskonałe maniery były nader przyjemne w porównaniu z niezdarnym, chłopięcym Audharim czy twardym, rygorystycznym Dinitakiem. Trzy dni i noce, które spędziła z nim w Morpin Wysokim, wypełnione były przyjemnością i zachwytem. Zastanawiała się tylko, dlaczego co chwilę łapała się na tym, że nie potrafi w pełni cieszyć się wszystkim, co Polliex miał jej do zaoferowania. I dlaczego myśli o Dinitaku wciąż zakradały się do jej umysłu, nawet teraz, nawet tutaj, nawet, kiedy była z kimś innym. Skończyła z Dinitakiem! A jednak... Ach, niech go! Niech go!

8

W Thilambaluc, średniej wielkości mieście leżącym czterysta mil dalej po drodze do Alaisor, Dekkeret przypomniał sobie, że Prestimion opowiedział mu, co robił we wczesnych dniach swoich rządów, wychodząc w przebraniu na targowisko, posłuchać, co ludzie mówią. Prestimion mówił, że Koronalowi czasem przydawało się posłuchać z pierwszej ręki co mówi się na targowisku. Zamek był za daleko od ziemi, żeby zapewnić dobry widok na świat.

Poszedł z nim tylko Dinitak. Wymknęli się w porannej ciszy, Dekkeret nikomu ze służby nie przyznał się, co zamierza. Fulkari tego dnia czuła się nie najlepiej i wróciła do pokoju. Jej także Dekkeret nie powiedział o tej eskapadzie.

Choć Prestimion opowiedział mu, że na podobne wyprawy korzystał nawet z peruk i fałszywych wąsów, Dekkeret nie widział powodu, by uciekać się do takich podstępów. Prestimion wyglądał bardzo charakterystycznie z powodu uderzającego kontrastu pomiędzy jego wyjątkowo mizerną posturą i porażająco królewską, przytłaczającą niemal osobowością i z tego powodu ryzykował, że może zostać rozpoznany przez kogoś, kto nie miał okazji widzieć go nawet na portrecie. Sam wyraz jego oczu zdradzał, kim jest.

Za to Dekkeret nie uważał, że tak daleko od Zamku ktoś mógłby go poznać. Wciąż jeszcze nie wybito monet z jego podobizną, zresztą kto rozpoznałby Koronala na podstawie stylizowanej podobizny na monecie? Portrety, które wystawiono niemal w każdym oknie nie były szczególnie realistyczne, Dekkeret z trudem rozpoznawał na nich samego siebie. Ubrany w biedny, codzienny strój, pożyczony od jednego z komuchów z królewskiej świty, z wciśniętą na głowę bezkształtną, filcową czapką, wyglądał jak każdy potężnie zbudowany, wędrowny robotnik; duży prostaczek, szukający pracy przy naprawie dróg albo wycince lasów lub czymkolwiek, nadającym się dla mężczyzny jego rozmiaru i siły. Nikt nie zwracał na niego większej uwagi. A już zwłaszcza nikt nie miał powodu rozpoznać Dinitaka Barjazida.

Targowisko w Thilambaluc było owalne, przedzielone na pół brukowaną drogą. W jego obrębie panował chaos, stoiska tłoczyły się jedno przy drugim. We wschodniej części handlowano warzywami i owocami, stały stoły rzeźników zavalone stosami mięs i ociekające

krwią. Przez okolicę, gdzie sprzedawano ciasteczka i pienne napoje przechodziło się do stołów z tanimi ubraniami, a dalej stał rząd przenośnych rusztów, przy których uwijali się wszędobylscy liimeńscy sprzedawcy kiełbasek.

Po drugiej stronie drogi handlowano jeszcze bardziej zróżnicowanym towarem: można tam było znaleźć beczki i worki przypraw i suszonych mięs, zbiorniki z żywymi rybami, stoiska pełne prostych, błyszczących naszyjników i bransoletek, stosy używanych, podniszczonych i postrzępionych książek i pamfletów, wysokie na dziesięć albo i dwanaście stóp góry wiklinowych krzesel i rachitycznych, lakierowanych stolików, garnki, patelnie i inne utensylia kuchenne; a także zaułek, gdzie popisywali się żonglerzy i artyści, inny, w którym wystawili stoły skrybowie i jeszcze inny, gdzie swoje wyroby zachwalali magowie i czarnoksiężnicy. Zarówno sprzedawcy, jak i kupujący stanowili mieszankę ras, wielu było łuskowatych Ghayrogów, sporo Hjortów o ciałach w kolorze popiołu, a od czasu do czasu przez tłum przedzierał się rosły Skandar albo Su-Suheris.

Dekkeret nie pamiętał, kiedy ostatnio był na publicznym targowisku. Fascynowała go bogato pleciona tkanina tego miejsca. Tu było tak tłumnie, tak gwarno. Z trudem przywoływał wspomnienie z dzieciństwa, że targowisko w Normork było większe, handlowano tam lepszymi towarami, sprzedający byli lepiej ubrani, ale oczywiście Normork było miastem Góry Zamkowej, a to było nieważne miasteczko pośrodku niczego.

– To jak, idziemy? – zapytał Dinitaka.

Tak jak się spodziewał, nikt nie zwracał na niego uwagi. Swobodnie poruszał się po targu, zatrzymał się tu, żeby podziwiać sprytnie ustawioną piramidę gładkich, niebieskich melonów, tam, żeby powąchać nieznany, podobny do flaszowca, żółty owoc i gdzie indziej, by przyjąć od kupca kawałek smacznego, wędzonego mięsa. Tam, gdzie tłum był szczególnie gęsty, przepuszczano go tak, jak zwykle przepuszcza się kogoś o wzroście i masie Dekkereta, jednak bez szacunku poza tym należnym jego mięśniom.

Cały czas uważnie słuchał. Miał nadzieję, że usłyszy jakąś opinię o nowym Koronalu, jakąś wzmiankę o wyjątkowo nieprzyjemnych smach, narzekanie na wysokie podatki, cokolwiek, co pozwoliłoby mu lepiej zrozumieć życie codzienne na świecie, którym przyszło mu rządzić. Ale ludzie nie przyszli tutaj, by rozmawiać. Mówili niewiele poza zwykłymi dialogami między sprzedawcą a kupującym: wymieniali tylko uwagi dotyczące cen i jakości towarów.

Po przeciwnej stronie niż ta, z której przyszli, w miejscu, gdzie występowali artyści, grupa piętnastu czy dwudziestu osób zgromadziła się wokół chudego, siwobrodego mężczyzny w czerwono-zielonych szatach, który, sądząc po jego czystym, silnym głosie i

stojącym w dobrze widocznym miejscu talerzyku na datki musiał być zawodowym opowiadaczem historii.

– Słudzy tego człowieka – mówił, kiedy zbliżyli się Dinitak i Dekkeret – wystawiali złote kielichy pełne po brzegi dobrego wina i na znak wielkiego czarodzieja kielichy te leciały prosto do rąk przechodniów i każdy, kto chciał, mógł z nich pić do woli. Widziałem też, że czarodziej potrafił sprawić, że posągi chodziły, skakać w ogień i siedzieć przez wiele minut w powietrzu ze skrzyżowanymi nogami i nie spadać, przybierać dwie twarze naraz i wiele innych rzeczy, których nie potrafiłem ogarnąć rozumem.

Krepy, opalony rudzielec, stojący po lewej od Dekkereta, słuchał z opadniętą z podziwu szczęką. Dekkeret odwrócił się do niego i zapytał:

– O kim on mówi, przyjacielu?

– O wielkim magusie Gominiku Halvorze z miasta Triggoin, szefie. Właśnie wrócił z Triggoin, ten opowiadacz, i opowiada o dziwnościach, które tam widział.

– Aha – odparł Dekkeret. Znał to imię. Gominik Halvor faktycznie pochodził z Triggoin, był ogromnie utalentowanym czarnoksiężnikiem i służył jako mag na dworze Prestimiona na Zamku, dawno temu, jeszcze przed przybyciem Dekkereta. O ile mu było wiadomo, Gominik Halvor nie żył od dziesięciu z okładem lat. No cóż, pomyślał, dobry opowiadacz nie musi przejmować się podobnymi detalami, ważne, żeby podobał się publiczności. Równy brzęk monet o jego zebraczy talerz, a nawet rzadki błysk sztuki srebra, świadczył o tym, że właśnie to czynił.

– Pewnego dnia stałem na targu w Triggoin, tak jak wy stoicie przede mną – kontynuował opowiadacz. – Pojawił się czarnoksiężnik, Skandar z niebieskim futrem, wielki jak góra. Wziął drewnianą kulę z dziurami, przełożył przez nie długie liny z mocnych włókien i rzucił kulę w niebo, tak wysoko, że całkiem znikła, ale cały czas trzymał koniec liny. Potem przywołał dwunastoletniego chłopaka, który był jego asystentem, i kazał mu się wspinać po tej linie. I chłopak wchodził wyżej i wyżej, aż też zniknął.

Skandar trzy razy wołał, żeby chłopiec wrócił, ale nic się nie wydarzyło. Więc Skandar wyjął z pasa ostry nóż, taki mniej więcej duży – tutaj opowiadacz pokazał dłońmi, że był to raczej miecz – i ciął nim powietrze, raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Za piątym cięciem upadła przed nim ucięta ręka chłopca, po chwili noga, potem druga ręka, potem druga noga, a potem wszyscy krzyknęliśmy ze zdumienia i przerażenia, bo spadła głowa chłopca. Skandar odłożył nóż i klasnął, a z nieba runął tors chłopca. Patrzyliśmy, a odcięte członki i głowa natychmiast przyczepiły się do ciała, a chłopiec wstał i się uklonił! Byliśmy tak zadziwieni, że rzuciliśmy się, by dać temu czarnoksiężnikowi co kto miał, a nie były to tylko

wagi i korony, ale niektórzy dawali i pięciorojalówki, bo to najmniejsza suma, którą można było dać za takie widowisko.

– Wydaje mi się – powiedział Dinitak – że próbuje nam coś zasugerować. Tyle że pięć rojali byłoby przesadną ostentacją. Zobaczę, czy mam coś mniejszego.

Wyciągnął z sakiewki garść monet, wybrał lśniącą, złotą jednorojalówkę i rzucił ją na talerz. Gapie nagrodzili go krótkimi brawami. Tu, na prowincji, nawet jeden rojal robił wrażenie.

– Innego dnia – mówił dalej opowiadacz, patrząc na Dinitaka z wdzięcznością – widziałem podobny pokaz w wykonaniu wielkiego maga, Wiszmona Klemta, który wyjął gruby łańcuch z brązu, długi na pięćdziesiąt jardów i rzucił go w niebo tak łatwo, jak wy możecie się rzucić kapeluszem. I ten łańcuch stał prosto, jakby był do czegoś w górze przyczepiony. Wtedy przyprowadzono zwierzęta: jakkabola, morvena, kempile, glefta i nawet haigusa. Wchodziły kolejno po łańcuchu, aż znikwały na górze. Kiedy znikło ostatnie, mag strzelił palcami i łańcuch opadł, i wylądował mu pod nogami elegancko zwinięty, ale zwierzęta zniknęły i nikt ich potem nie widział.

– To bardzo ciekawe – powiedział Dekkeret – ale niezbyt pożyteczne. Pójdziemy dalej?

– Chyba tak – zgodził się Dinitak.

Ruszyli przejściem prowadzącym koło artystów, kiedy z tłumu wyszedł i stanął przed nimi pulchny człowieczek o oliwkowej skórze, ubrany w poplamioną, karmazynową szatę. Dekkeret zauważył, że miał na piersi amulet astrologiczny zwany rohillą, złote druciki owinięte wokół kawałka jadeitu. Confalume, człowiek przesądny, zawsze taką nosił. Na szyi człowieczka był jeszcze jeden amulet, którego Dekkeret nie potrafił nazwać. Pod nim wisiał płaski, trójkątny kawałek kości słoniowej, rzeźbiony w skomplikowane runy. Można było zgadywać, że człowiek ten był zawodowym magiem.

Przypuszczenie to szybko się potwierdziło.

– Przepowiedzieć przyszłość, panie? – powiedział człowieczek, patrząc na Dekkereta.

– Nie, jo raczej nie – odpowiedział, naśladowując szorstki, wschodni akcent. Ostatnie, czego potrzebował, to zaglądający mu w duszę mag, nawet jeśli byłby tylko, jak ten tutaj, szarlatanem. – Nie wziął żem ze sobą więcej jak kilka miedziaków, a pewnie więcej bierzecie, co, mistrzu?

– To może twój bogaty przyjaciel. Widziałem, jak dawał grubą monetę.

– Nie, on tyż nie zainteresowań – powiedział Dekkeret. A do Dinitaka: – Cho no.

Ale nie tak łatwo było pozbyć się tego maga.

– Wy dwaj za pięćdziesiąt wag! Ledwo pół korony, jedna trzecia mojej normalnej ceny, bo kiepsko dziś mi płacą. Co powiecie, panowie? Pięćdziesiąt wag za dwóch? Marność. Błahostka. A ja narysuję wam mapę dróg, które leżą przed wami.

Dekkeret potrząsnął głową.

Ale Dinitak roześmiał się i powiedział:

– Czemu nie? Zobaczymy, co mamy w gwiazdach, Dekkercie! – i zanim Dekkeret zdążył zaprotestować, Dinitak znowu wyciągnął sakiewkę, znalazł w niej pięć kwadratowych miedziaków, dziesięciowagówek, i wcisnął je do ręki czarnoksiężnika. Ten z tryumfalnym uśmiechem złapał Dinitaka za nadgarstek, spojrzął mu głęboko w oczy i zaczął mamrotać coś, co miało pewnie udawać wróżebne zaklęcia.

Mimo wątpliwości Dekkeret zaczął się zastanawiać, co usłyszą. Jego sceptycyzm i nie budzący zaufania wygląd maga z targowiska sprawiały, że nie spodziewał się wiele po przepowiedni, ale poziom nietrafności przepowiedni tamtego mógł być zabawny. Może na przykład przepowie Dinitakowi otwarcie sklepu w Alaisor i udaną karierę kupiecką. Albo podróż we wspaniałe miejsce, które zawsze chciał zobaczyć, na przykład na Górę Zamkową.

Zdumiewająca rzecz, która się wtedy wydarzyła, nie była wcale zabawna. W połowie recytacji formułek mag przestał się uśmiechać, przerwał zaśpiew i zasłonił sobie usta dłonią, jakby zrobiło mu się niedobrze. Wytrzeszczył na Dinitaka oczy z wyrazem całkowitego szoku, przerażenia i strachu. Tak mógłby patrzeć na kogoś, kto właśnie okazał się być nosicielem zabójczej plagi.

– Proszę – powiedział astrolog. Jego głos ociekał przerażeniem. – Zatrzymaj swoje pięćdziesiąt wag, panie! Nie jestem w stanie określić twego horoskopu. Nie mam wyboru, muszę oddać ci pieniądze.

Wyciągnął z kieszeni szaty monety Dinitaka, złapał go za nadgarstek, rzucił mu je na dłoń i pospiesznie uciekł. Oglądał się kilkakrotnie z tym samym, przerażonym wyrazem twarzy, póki nie zniknął w tłumie.

Ogorzała twarz Dinitaka była dziwnie blada, mocno przygryzł dolną wargę. Oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia. Dekkeret nigdy nie widział go tak wzburzonym. Dinitak wyglądał na oszołomionego gwałtownym zakończeniem rozmowy.

– Nie rozumiem – powiedział. – Jestem taki straszny? Co on zobaczył?

9

– Thastain z gościem do hrabiego Mandraliski – zaanonsował Thastain zimnookiemu Ghayrogowi, stojącemu przed budynkiem, który niegdyś był pałacem prokuratora.

Ghayrog zaszczycił go ledwie pobieżnym spojrzeniem.

– Wejść – powiedział automatycznie i przesunął się na bok.

Mimo upływu czasu Thastain wciąż nie mógł pogodzić się z faktem, że wystarczyło mu powiedzieć swoje imię i już miał wstęp do wspaniałego budynku, dawnego domu Dantiryi Sambaila. Dość ciężko było mu uwierzyć, że mieszkał w Ni-moya. Dla chłopca, który dorastał w małym miasteczku zwanym Sennecc, już zobaczenie Ni-moya było życiowym marzeniem. Tam, skąd pochodził, mówiło się „zobaczyć Ni-moya i umrzeć”. Zdumiewało go, że znajdował się w samym sercu najwspanialszego z miast, żył zaledwie kilkaset jardów od pałacu i mógł bez problemu wchodzić do niego i wychodzić.

– Byliście wcześniej w Ni-moya? – zapytał obcego, którego prowadził do hrabiego.

– To mój pierwszy raz – odpowiedział tamten. Miał dziwny akcent, którego Thastain z niczym nie kojarzył: „To mój pijerwszy rass”. Jego dokumenty jako miejsce pochodzenia wskazywały Uulisaan. Thastain nie miał pojęcia, gdzie to mogło być. Może w jakiejś dalekiej prowincji na południowym wybrzeżu, daleko za Piliplokiem. Thastain wiedział, że mieszkańcy Piliploku mówili z dziwnym akcentem, więc może żyjący dalej na południu brzmiali jeszcze dziwniej.

Obcy miał bardzo niewiele cech, które nie wydawałyby się Thastainowi dziwne. W ostatnich miesiącach pojawiała się wielu dziwnych typów, którzy mieli jakieś sprawy do Mandraliski. Zadanie Thastaina polegało na spotykaniu się z nimi w kwaterach, w których ich umieszczano, prowadzeniu ich do centrum dowodzenia Ruchu, położonego przy ulicy Gambiteran, sprawdzaniu ich dokumentów i zabieraniu do pałacu na spotkanie z hrabią. Przyzwyczał się już do widoku przeróżnych typów spod ciemnej gwiazdy, ludzi, którzy ewidentnie poruszali się po dziwnych, słabiej oświetlonych peryferiach społeczeństwa. Mandralisca bardzo chętnie widywał takich ludzi. Jednak ten obcy był najciekawszy z nich wszystkich.

Był niezwykle wysoki i chudy, wyglądał wręcz mizernie i nosił dziwaczny strój: ciężką, czarną, grubo wypchaną pierzem kurtkę narzuconą na lekką tunikę z jedwabiu w kolorze spranej zieleni. Wyraz jego oczu też był szczególny, zarazem arogancki i niepewny. Szczególne były też same oczy, żółtawe tam, gdzie powinny być białka i z niesamowicie fioletowymi tęczęwkami. Niezwykła wreszcie była jego twarz, szeroka, blada, z małymi oczkami, noskiem i ustami dziwacznie stłoczonymi pośrodku. Szczególnie garbił ramiona, tak że prawie dotykały mu uszu. Specyficznie chodził, jakby bał się, że jego głowa w każdej chwili może oddzielić się od szyi. No i to jego imię: Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp. Co to za imię? Wszystko w tym człowieku było tajemnicze. Zadanie Thastaina nie polegało jednak na ocenianiu gości Mandraliski, tylko na prowadzeniu ich do gabinetu hrabiego.

– Ni-moya to wspaniałe miasto – zauważył Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp, gdy Thastain prowadził go wzdłuż lądowej ściany pałacu. Przechodzili przez galerię, łączącą skrzydła, która miała jedno, długie okno z przejrzystego kwarcu, dające doskonały widok na wznoszące się na wzgórzach miasto. – Słyszałem o nim wiele. To jedno z najlepszych miast na świecie, myślę.

Thastain skinął głową.

– To najlepsze miasto na świecie. Nawet na Górze Zamkowej nie ma lepszego – z łatwością przestawił się w tryb bycia przewodnikiem wycieczki. W jakiś sposób łagodziło to napięcie, które budził w nim obcy. – Mielicie okazję mu się przyjrzeć? Tam, na wzgórzu, jest Muzeum Światów. Niżej, po lewej, Galeria Gossamer. Stąd ledwo widać kopułę wielkiego Bazaru, a tuż za nim Kryształowy Bulwar.

Kiedy tak pokazywał te cuda przybyszowi z daleka, czuł się niemal jak tubylec. W rzeczywistości Thastain pozostawał pod takim samym wrażeniem Ni-moya teraz, co wiele miesięcy temu, kiedy Pięciu Lordów przeniosło tutaj stolicę z pustyni Gornevon. Lubił jednak wyobrazać sobie, że jest prawdziwym dzieckiem tego wielkiego miasta, sprytnym, znającym świat i obytym.

Kiedy dotarli do końca kwarcowej galerii, Thastain skrzył w lewo i ruszył zadaszonym przejściem, które miało ich zaprowadzić na rzeczną stronę pałacu, należącego do Mandraliski.

– Idziemy tędy – powiedział do obcego, który skrzył w kierunku prywatnych komnat jego lordowskiej mości Gavirala. Oficjalnie, pałac prokuratora był teraz rezydencją Gavirala, ale Mandralisca zajął na własny użytek południowe skrzydło, z którego roztaczały się najlepsze widoki na rzekę. Był taki czas, kiedy Pięciu Lordów traktowało Mandraliskę jak służącego, ale już się skończył. Thastainowi zdawało się, że teraz to Mandralisca wydaje

rozkazy, a Pięciu Lordów robi to, co im rozkaże.

Na końcu przejścia czekał na nich inny strażnik. Był to Skandar, nikt inny, jak dawny prześladowca Thastaina, Sudvik Gorn, który tak utrudniał mu życie podczas wyprawy na południe i palenia twierdzy pana na Vorthinar. Teraz Thastain ledwo zaszczyił go spojrzeniem. Czas sprawił, że Thastain wyrósł na jednego z członków najbliższego towarzystwa hrabiego Mandraliski, a Sudvik Gorn był tylko strażnikiem na korytarzu.

– Gość do hrabiego – powiedział Thastain. A do Vitheyspa Uuvitheyspa Aavitheyspa rzekł znowu: – Idziemy tędy – wskazał spiralną rampę, prowadzącą na oszałamiające, wielokrotnie zakręcające schody, które prowadziły wysoko w górę.

Z początku Thastain bał się, że nigdy nie nauczy się poruszania po pałacu prokuratora. Ale teraz, choć był ogromny, chłopak po kawałku nauczył się jego rozkładu.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył go z rzeki, wydał mu się tak olbrzymi, jak wyobrażał sobie zamek Koronala, ale teraz już wiedział, że sporą część swojej wysokości pałac zawdzięcza lśniąco białej platformie, która wynosiła go wysoko ponad poziom wybrzeża. Mnogość zewnętrznych galerii i klatek schodowych nadawała mu wygląd niedostępnego labiryntu, ale było to mylące wrażenie. Sam budynek, składający się z połączonych pawilonów, balkonów i ganków, był bezdyskusyjnie olbrzymi, ale jego plan był niezwykle logiczny i Thastain szybko opanował trasy, które przez niego prowadziły.

Mandralisca urządził sobie biuro we wspaniałej komnacie, tej samej, z której Dantirya Sambail swego czasu władał jak król całym Zimroelem. Prokurator nie żył już od ponad dwudziestu lat – dłużej, niż Thastain był na świecie – ale obecność tego wielkiego człowieka wciąż zdawała się wypełniać pokój. Splendor błyszczącej podłogi, wykonanej z polerowanego, różowego marmuru inkrustowanego jakimś czarnym kamieniem w oszałamiające, wirujące wzory; wielkie, lśniąco białe biurko w kształcie półksiężyca, zrobione z karmazynowego jadeitu i oślepiająco białe futra stitmojów wiszące na ścianach – wszystko to było dowodem osławionej miłości prokuratora do luksusu.

Cała wychodząca na rzekę ściana komnaty była jedną bańką kwarcu najwyższej jakości, przezroczystego jak powietrze. Widać przez nią było rozległy zakręt rzeki, która w tym miejscu była tak szeroka, że wzrok ledwo sięgał do zielonych przedmieść po jej drugiej stronie. Sznur dużych, kolorowych łodzi obładowanych pasażerami i towarami spokojnie płynął wzdłuż głównego prądu rzeki. Pod samym oknem stał, rozciągnięty na sporym dystansie wzdłuż nabrzeża, rząd budynków z kolorową dachówką i skomplikowanymi mozaikami na ścianach, lśnącymi w południowym słońcu. Były to skromne punkty celne, przebudowane przez Dantiryę Sambaila za wiele tysięcy rojali, by cieszyły oko, kiedy patrzył

na nie z góry.

Hrabia Mandralisca siedział za biurkiem, gdy wszedł Thastain. Trzymał obok łokcia niewielki hełm z metalowej plecionki, z którym nigdy się nie rozstawał. Towarzyszyło mu dwóch ludzi, którzy byli przy nim zawsze: po lewej, grzebał w dokumentach niewysoki, krzywonogi adiutant Jacomin Halefice, po prawej stał Suvraelczyk z rozbieganymi oczkami, Khaymak Barjazid, który zaprojektował i zbudował Mandralisce jego hełmy umysłu.

My trzej jesteśmy jedynymi osobami na świecie, którym hrabia Mandralisca ufa, pomyślał Thastain. Na tyle, na ile ufa komukolwiek.

– No proszę – powiedział Mandralisca z fałszywą serdecznością, którą lubił udawać. – Toż to diuk Thastain. Kogo mi tym razem przyprowadzasz, mój dobry diuku?

Dawno temu, w pierwszych tygodniach służby Thastaina dla hrabiego Mandraliski, kiedy był zaledwie nieopierzonym chłopcem z prowincji, hrabia z właściwym sobie czarnym humorem, który często wydawał się wręcz groźny, nadał mu honorowy tytuł szlachecki hrabiego Sennec i Horvenar. Od tego czasu często zwracał się do chłopca „hrabio Thastainie”. Nie miało to żadnego znaczenia, było tylko kolejnym przykładem kpiącego, sardonicznego poczucia humoru Mandraliski. Thastain nie czuł się tym obrażony. Mandralisca miał już taki styl, zimny, okrutny, zawsze kapryśny. Thastain szybko przyzwyczał się, że dla hrabiego chłód, okrucieństwo i kapryśność były po prostu dobrymi sposobami na podtrzymanie autorytetu. Nie mógł sprawić, żeby go kochano, lecz wywoływanie strachu swoją nieprzewidywalnością było równie efektywne.

Później Mandralisca zaczął nazywać Thastaina diukiem. Chłopak zastanawiał się, czy był to kolejny przejaw jego nieprzewidywalności, czy może coś innego? Może oznaczało to, że zaskarbia sobie u hrabiego większą łaskę. A może po prostu Mandralisca pamiętał tylko, że kiedyś dla zabawy nadał chłopcu z Sennec zmyślony tytuł, ale zapomniał, jaki dokładnie.

Thastain uznał, że bardziej prawdopodobne było drugie wytłumaczenie. Miał wprawdzie powody, by uważać się za jednego z bardziej zaufanych ludzi Mandraliski, ale wiedział, że głupio byłoby wierzyć, że znaczy dla hrabiego więcej niż skórzane buty albo sztuce, którymi jadł kolację. Thastain doskonale zdawał sobie sprawę, że jest tylko czymś, z czego Mandralisca korzysta. Jediną osobą naprawdę ważną dla hrabiego był sam hrabia.

– To Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp – oświadczył Thastain, z trudem wypowiadając skomplikowane imię, choć bardzo starał się przedłużyć podwójne głoski tak, jak czynił to obcy. – Z Uulisaan.

– Ach. Z Uulisaan – powtórzył Mandralisca, z prawdziwą przyjemnością wsłuchując się w to słowo. Przez moment zdawał się być pogrążony w zadumie. – Drogi diuku, czy

wiesz, gdzie znajduje się Uulisaan?

Thastain zachowywał kamienną twarz. Nazywanie diukiem zaczęło go irytować.

– Nie mam pojęcia, ekscelencjo.

Mandralisca spojrział na Vitheyspa Uuvitheyspa Aavitheyspa, który stał zgarbiony w progu łukowych drzwi w tej swojej dziwnej, zgarbionej, sztywnej pozycji.

– To w Piurifayne, prawda, przyjacielu? W południowo-zachodniej części prowincji, niedaleko Gongharów?

– Zgadza się, milordzie Mandralisco – odparł Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp.

Piurifayne?

To słowo uderzyło umysł Thastaina jak ognisty miecz. Piurifayne było prowincją Metamorfów, Zmiennokształtnych, rasy, która rządziła planetą przed przybyciem pierwszych ludzkich osadników. Tak, Piurifayne. Nikt się tam nie zapuszczał, ale wszyscy o niej słyszeli. Był to dziki, pierwotny las deszczowy w centralnym Zimroelu, leżący pomiędzy górami interioru i rzeką Steiche, miejsce, gdzie Zmiennokształtni zmuszeni byli żyć przez ostatnie siedem tysięcy lat. Lord Stiamot zamknął ich w rezerwacie, kiedy pokonał ich na Wielkiej Wojnie i tam pozostali, tajemniczy i obojętni. Żyli w zupełnej izolacji od innych ras, które skolonizowały planetę i budziły ich lęk.

Jakim cudem ten człowiek mógłby pochodzić z Piurifayne? Tam nie mieszkał nikt poza Zmiennokształtnymi, a im prądawne prawo zabraniało opuszczać rezerwat, choć powszechnie wiadomo było, że i tak to robili, pod postacią ludzi albo Ghayrogów i załatwiali swoje tajemne sprawy w miastach świata.

To mogło tylko oznaczać...

– Teraz rozumiesz, mój dobry diuku? – zapytał Mandralisca, uśmiechając się do Thastaina lodowato. Potem zwrócił się do Vitheyspa Uuvitheyspa Aavitheyspa: – Przyjacielu, może wygodniej ci będzie przyjąć inną formę...

– Jeśli tutaj będę bezpieczny... – powiedział Metamorf, rzucając szybkie spojrzenie Thastainowi, Jacominowi Halefice'owi i Khaymakowi Barjazidowi.

– To moi koledzy – oświadczył łaskawie Mandralisca. – Nie obawiaj się.

Po tym zapewnieniu Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp natychmiast zaczął porzucać ludzką formę.

Thastain nigdy nie wiedział nic podobnego. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek to zobaczy. Jak niemal wszyscy, których znał, bał się Zmiennokształtnych. To były przerażające, prądawne stwory, niepojęte, niepoznawalne, kryjące się w swojej dżungli, przepełnione trującą urazą do ludzi, którzy odebrali im ich świat i planujące kto wie jaką

ostateczną zemstę. Świadomość, że przebywa w jednym pokoju z czymś takim napawała go przerażeniem.

Pomimo to patrzył ze zdumieniem, nie mogąc odwrócić wzroku od Metamorfa, który wił się i drżał w swoim dziwacznym, niedopasowanym stroju jak gad próbujący zrzucić skórę. Jego dziwaczna twarz zrobiła się jakby miękka, rozmazana i pozbawiona rysów – rysów, które teraz dosłownie płynęły – a ramiona rozpoczęły swój własny, dziwaczny taniec, szarpanymi ruchami próbując ustawić się pod właściwym kątem do kręgosłupa.

Minęło parę chwil i transformacja była skończona. Mężczyzna, którego przyprowadził Thastain zniknął, zastąpiony przez zupełnie inną istotę. Była delikatna, kanciasta, o długich kończynach, ziemistej, zielonkawej skórze, skośnych oczach pozbawionych źrenic, ostrych kościach policzkowych, ustach jak szczelina i maleńkim, niemal niewidzialnym nosie.

Metamorf. Zmiennokształtny.

Thastain wciąż nie mógł w to uwierzyć. Stwór z zakazanego Piurifayne stał ledwo o kilka stóp od niego. Tutaj, w gabinecie hrabiego Mandraliski, na jego wyraźne życzenie.

Żyjący na północy pan na Vorthinar sprzymierzył się ze Zmiennokształtnymi. Thastain widział jednego z nich, patrolującego warownię, na własne oczy i był to jego jedyny wcześniejszy kontakt z Metamorfami. Myślał, że był to jeden z powodów, dla którego Pięciu Lordów chciało pozbawić go władzy. Ludzie nie spoufalali się ze Zmiennokształtnymi. To było niczym pakt z demonem. A teraz... sam Mandralisca... Zmiennokształtny w pałacu prokuratora...

Thastain spojrział na Jacomina Halefice'a i na Khaymaka Barjazida. Nie wyglądali na zdumionych ani zaniepokojonych. Albo opanowali sztukę ukrywania takich uczuć w obecności hrabiego, albo już wcześniej wiedzieli, kim był tajemniczy gość.

Mandralisca uniósł hełm Barjazida w złączonych dłoniach, tak jak można by unieść stosik monet i wyciągnął go przed siebie.

– Oto nasza mała broń – powiedział do Metamorfa. – Urządzenie, które uwolni nasz kontynent spod jarzma panów z Alhanroelu. Do tej pory nasze eksperymenty były bardzo owocne – skinął głową w kierunku Khaymaka Barjazida. – Jesteśmy dłużnikami tego oto człowieka, który nam ją udostępnił.

– Tym małym przyrządem – zapytał Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp – można sięgnąć do dowolnego umysłu na świecie? – teraz, kiedy Metamorf przyjął własną postać, zniknął jego dziwaczny akcent. Jego głos był gładki jak jedwab. – I mieć nad tym umysłem władzę?

– Na to wygląda.

– A umysł Koronala? Albo Pontifexa? – Metamorf zawahał się. – Albo Danipiur?

– Mieszanie w umysłach Koronala i Pontifexa uznałem za zbyt niebezpieczne, zbyt prowokacyjne – odpowiedział gładko Mandralisca. – Zapewniam cię, że jeśli zapragnę, mogę to zrobić, ale nie chcę. Mogę ci jednak wyznać, że udało mi się osiągnąć umysłów kilku członków rodziny Pontifexa: jego brata, matki, żony, dziecka. W ten sposób, że tak powiem, pokazuję mu nasze możliwości. Rozumiesz zapewne, że jest to informacja w najwyższym stopniu poufna, przeznaczona dla samej Danipiur. A co do niej... Nie, oczywiście, że nigdy nie spróbowałbym bawić się umysłem wielkiej królowej, której jesteś ambasadorem.

– Ale mógłbyś, gdybyś chciał?

– Zapewne tak. Ale po co? Tylko bym ją obraził i zniechęcił. Piurivarzy są naszymi przyjaciółmi. Jak wiecie, uważamy was za sprzymierzeńców w naszej wielkiej walce.

To spokojne stwierdzenie zszokowało Thastaina nie mniej, niż odkrycie tożsamości obcego. „Sprzymierzeńcy”? Co też Mandralisca miał na myśli? Ludzie i Metamorfowie, walczący ramię w ramię przeciwko Pontifexowi i Koronalowi?

Musi tak być, pomyślał Thastain. Co innego robiłby tutaj ten stwór? I po cóż innego Mandralisca wyrażałby się o królowej Zmiennokształtnych z takim szacunkiem, po co nazywał tę rasę jej własnym słowem?

– Chciałbyś zobaczyć małą demonstrację możliwości tego hełmu? – zapytał miło Mandralisca. Zamachał urzędzeniem w kierunku Thastaina. – Proszę, diuku Thastainie. Włóż to na głowę i pokaż naszemu przyjacielowi, jak działa.

– Ja?

– Czemu nie? Jesteś mądrym chłopcem. Prędyutko się nauczysz. No, już, już.

Thastain był w całkowitym szoku. Nigdy nawet nie dotknął hełmu. O ile mu było wiadomo, nikt, poza samym Mandraliscą i może Khaymakiem Barjazidem nie miał prawa się do niego zbliżać. Używanie go wymagało specjalnego treningu, poza tym było ponoć trudne i wyczerpujące, a także niebezpieczne dla kogoś niedoświadczonego. Uniósł obie ręce dłońmi na zewnątrz i przemówił w odrętwieniu:

– Wasza miłość, błagam, nie każ mi tego robić. Nie mam doświadczenia.

Mandralisca był uparty. Po raz kolejny wyciągnął rękę z hełmem w kierunku Thastaina. W jego oczach chłopiec dojrzał lodowatą determinację, którą widział nie raz, ale nigdy skierowaną do niego.

– No, już, mały diuku – powtórzył Mandralisca. – Już.

Założenie hełmu byłoby samobójstwem. Czy to właśnie próbował osiągnąć hrabia? A może była to tylko jedna z jego gier, w które tak uwielbiał się bawić?

Thastain wciąż myślał, jak poradzić sobie z tą sytuacją, kiedy Khaymak Barjazid pochylił się nad Mandraliscą i cicho, niemal szeptem, powiedział:

– Jeśli mogę się wtrącić, wasza miłość, chciałbym zauważyć, że użytkownik nie zaznajomiony z funkcjonowaniem hełmu może go uszkodzić, jeśli skorzysta z niego niepoprawnie.

Tego hrabia nie wiedział.

– Naprawdę tak jest? Cóż, nie chcielibyśmy chyba popsuć naszego hełmu, prawda? – poglądził małe urządzenie pieszczotliwie, z miłością, tak, jak zawsze się z nim obchodził. – Może więc zrezygnujemy z demonstracji, ja osobiście nie jestem w nastroju, by go używać. Chyba że ty, Barjazidzie... Nie, nieważne. Nie będzie demonstracji – zwrócił się do Metamorfa. – Zaspokoję twoją ciekawość na temat hełmu innym razem. Dzisiaj chciałem przedyskutować szczegóły sojuszu, który zaproponowałem Danipiur.

– Z niecierpliwością czekam na twoją propozycję – powiedział Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp.

Thastain słuchał ze zdumieniem, a nawet z niedowierzaniem, jak Mandralisca pospiesznie kreślił plany przejęcia władzy nad Zimroelem. Zamierzał wkrótce wystosować deklarację w imieniu jego lordowskiej mości Gavirala, na mocy której rozwiązywano by prastare więzy, łączące Zimroel z dominującym, zachodnim kontynentem. W tym samym czasie proklamuje się nową konstytucję, która uczyni z Zimroelu osobne państwo ze stolicą w Ni-moya, pod rządami spadkobierców prokuratora Dantiryi Sambaila. Jego lordowska mość Gaviral przyjmie tytuł Pontifexa Zimroelu, a jeden z braci, którego jeszcze nie wybrano, zostanie Koronalem tego kontynentu. W tym samym czasie, dodał Mandralisca, kontynent suvraelski także ogłosi niepodległość i stworzy odrębny rząd z Khaymakiem Barjazidem jako pierwszym królem.

Mandralisca powiedział, że jego lordowska mość Gaviral ma nadzieję, że rządy Zimroelu i Suvraelu zostaną szybko uznane przez władców Alhanroelu i że od tego czasu pomiędzy kontynentami na wieki zapanują pokojowe stosunki. Lecz jego lordowska mość Gaviral nie był tak naiwny, by spodziewać się, że ludzie tacy jak Prestimion czy Lord Dekkeret spokojnie przyjmą secesję. Przeciwnie: Mandralisca stwierdził, że jest o wiele bardziej prawdopodobne, że rząd Alhanroelu przeprowadzi zbrojną inwazję na Zimroel w celu przywrócenia swojej supremacji.

– To nie może się udać – oświadczył Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp. – Trzeba by organizować zbyt długie linie zaopatrzenia. Wysłanie tutaj odpowiednio dużej armii kosztowałoby ostatnią koronę z królewskiego skarbcza.

– Tak jest – zgodził się Mandralisca. – A gdyby mimo to spróbowali, taka armia napotkałaby ostry opór miliardów patriotycznych mieszkańców Zimroelu. Pozostają oni lojalni wobec rodziny Dantiryi Sambaila i niezmiennie wrodzy wykorzystującym ich rządów Pontifexa. Armia Prestimiona musiałaby walczyć o każdą piędź ziemi od momentu lądowania na naszym wybrzeżu.

– Aha – powiedział w zamyśleniu Metamorf. – A więc tradycyjna lojalność ludu Zimroelu wobec Pontifexa miałaby rozpląnąć się w jedną noc. Jesteś tego pewien, Mandralisco?

– Absolutnie.

– Może masz rację – ton Metamorfa sugerował, że lojalność mieszkańców Zimroelu była mu całkowicie obojętna. – Muszę jednak zapytać, jaki to ma związek z Danipiur i jej poddanymi?

– Następujący – powiedział Mandralisca, pochylając się i łącząc czubki palców. – Gdzie najprawdopodobniej wyląduje inwazja z Alhanroelu? Oczywiście w Piliploku, bo to główny port na wschodnim wybrzeżu. Wszyscy wiedzą, że stanowi bramę do całego Zimroelu. Dlatego też Prestimion i Dekkeret zdają sobie sprawę, że umocnimy ją, jak tylko się da. Z tego też powodu nie wylądują w Piliploku.

– Nie ma innego miejsca, w którym mogliby zejść na ląd – oświadczył Metamorf.

– Jest Gihorna.

W ton Vitheyspa Uuvitheyspa Aavitheyspa wkradło się, jak oceniał Thastain, zaskoczenie.

– Gihorna? Nigdzie wzdłuż jej brzegów nie ma porządnego portu.

– Ale są porty małe – odparł Mandralisca. – Prestimion nigdy nie wybierał ani prostego, ani przewidywalnego sposobu, by coś zrobić. Spodziewam się, że wyląduje naraz w pięciu lub sześciu punktach w Gihornie, a potem ruszy na Ni-moya. Będzie mógł wybrać dwie trasy. Jedna biegnie prosto wzdłuż wybrzeża, prowadzi przez Piliplok i wzdłuż Zimru do stolicy. To jednak zmusi ich do konfrontacji z armiami, które będą ustawione do obrony Piliploku. Druga trasa, jak na pewno wiesz, prowadzi wzdłuż rzeki Steiche i jej doliny. A to doprowadzi ich do granic prowincji Piurifayne.

Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp przyjął tę informację z niezmienną obojętnością. Wąskie oczy wyrażały coś, co mogło być wręcz znudzeniem.

– Pytam po raz kolejny, co to ma wspólnego z nami? – zapytał Zmiennokształtny. – Nawet Prestimion nie przejedzie przez Piurifayne, żeby zaatakować Ni-moya.

– Kto wie, co Prestimion zrobi, a czego nie? Wiem jedno: przeprawa przez dżunglę

Piurifayne, i tak ogromnie trudna nawet dla najlepiej wyposażonej armii, stanie się pięćdziesiąt razy trudniejsza, jeśli Piurivarzy prowadzić będą wojnę partyzancką, by trzymać wojska imperialne z dala od swoich wiosek. Linia piurivarskich wojowników, ustawiona po obu stronach Steiche, mogłaby całkowicie powstrzymać armię imperialną przed wkroczeniem do Piurifayne. To jak, przyjacielu? Co o tym myślisz?

Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp odpowiedział ciszą tak długą i intensywną, że Thastain, który z rosnącym zdumieniem słuchał słów hrabiego, teraz czuł, że dzwoni mu w uszach. Czy Mandralisca mówił poważnie? Czy naprawdę właśnie powiedział ambasadorowi Danipiur, że pragnie, by Metamorfowie ruszyli pod sztandarami Pięciu Lordów do walki przeciwko rządowi Alhanroelu? W głowie mu się kręciło. To przypominało bardzo dziwny sen.

Wreszcie Zmiennokształtny przemówił powoli.

– Jeśli Prestimion lub Dekkeret miałyby wysłać armię przez naszą prowincję, przyznaję, bardzo by mnie to zaniepokoiło. Ale powtarzam, nie sądzę, żeby się tego podjęli. Zaś z naszej strony, umocnienie się na brzegach Steiche w celu uniemożliwienia im przeprawy byłoby wypowiedzeniem wojny rządowi imperialnemu i mogłoby mieć dla mojego ludu poważne konsekwencje. Czemu mielibyśmy to ryzykować? Jaki mamy interes w zajmowaniu stanowiska w obliczu wojny Pontifexa Alhanroelu z Pontifexem Zimroelu? Tak samo gardzimy obydwoma. Niech sobie walczą do upojenia. My będziemy żyć w Piurifayne, które dawno temu Lord Stiamot łaskawie uczynił naszym sanktuarium.

– Przyjacielu, Piurifayne jest w Zimroelu. Niezależny rząd Zimroelu, wdzięczny za pomoc Piurivarów w wojnie o wyzwolenie, mógłby w ciekawy sposób wyrazić podziękowania.

– Na przykład?

– Pełne obywatelstwo dla twojego ludu? Prawo podróżowania gdzie chcecie, nabywania nieruchomości poza Piurifayne, swobodnej działalności handlowej...? Koniec wszelkiej dyskryminacji twojej rasy, to właśnie proponuję. Pełna równość na całym kontynencie. Czy to cię interesuje, Vitheyspie Uuvitheyspie Aavitheyspie? Czy to warte ustawienia wojsk wzdłuż Steiche?

– Byłoby, gdybyśmy mogli wierzyć ci na słowo, hrabio Mandralisco. Ale czy możemy? Czy możemy, hrabio Mandralisco?

– Przysięgam wam – powiedział patetycznie Mandralisca. – Jak mogą potwierdzić moi przyjaciele tu zgromadzeni, moja przysięga jest święta. Czy nie tak, Jacominie? Khaymaku? Diuku Thastainie? Przemówcie za mną. Jestem człowiekiem honoru. Czy nie jest tak,

przyjaciele?

10

Kesmakuran, niewielkie, schludne miasto z może pół milionem mieszkańców, położone pięćset mil dalej na zachód, składające się z rzędów budynków o kwadratowych dachach, zbudowanych z ładnego, różowo-złotego kamienia, stało się miejscem, w którym Dekkeret zatrzymał się, by oddać hołd przy grobie Dvorna, pierwszego Pontifexa. To był pomysł Zeldora Luudwida.

– W tej okolicy darzą Dvorna najwyższym szacunkiem – powiedział szambelan. – Jeśli nie położysz wieńca na jego grobie, mogą uznać to za świętokradztwo, a w najlepszym razie za poważną obrazę.

– Grób Dvorna – powtórzył zadziwiony Dekkeret. – Czy to naprawdę możliwe? Zawsze myślałem, że Dvorn był postacią czysto mitologiczną.

– *Ktoś* musiał być pierwszym Pontifexem – zauważyła Fulkari.

– To prawda. Może nawet miał na imię Dvorn. To wciąż nie znaczy, że cokolwiek, co sądzimy, że o nim wiemy, ma jakikolwiek związek z rzeczywistością. Minęło trzynaście tysięcy lat. Mówimy o kimś, kogo od czasów Stiamota dzieli prawie tyle samo, co Stiamota od nas.

Zeldor Luudwid potrafił być bardzo przekonujący na swój własny, cichy, niepozorny sposób, a Dekkeret nauczył się nie ignorować jego rad. Szambelan służył jeszcze Prestimionowi i lepiej niż ktokolwiek z otoczenia Koronala znał sprawy królestwa.

Z tego, co mówił, w tym rejonie, będącym rzekomym miejscem jego narodzin, Pontifex Dvorn był czczony niemal jak bóg. Kult Dvorna sięgał na tysiąc mil w każdą stronę. Mówiono, że to tutaj, w Kesmakuran, Dvorn rozpoczął swoje powstanie przeciwko chaotycznemu, przedpontyfikalnemu rządowi, który istniał w najwcześniejszych latach kolonizacji Majipooru przez ludzi i to tutaj został pochowany po prawie stu latach wspaniałych rządów. Zeldor Luudwid twierdził, że do jego grobu nieustannie przybywają pielgrzymi i klękają przed świętymi pojemnikami, w których znajduje się odrobina jego włosów i nawet jeden ząb. Błagają wielkiego Pontifexa o wstawiennictwo u Bogini, by mieszkańcy Majipooru cieszyli się ciągłym dobrobytem i bezpieczeństwem.

Dekkeret nigdy o tym nie słyszał, ale żaden Koronal nie mógł poznać niezliczonych kultów, które pojawiły się od czasu, gdy Prankipin rozpoczął swoją politykę poparcia dla wszelkich przesądów.

Dekkeret znał legendy. Wiedział o trudnym czasie pięćset czy sześćset lat po przybyciu na Majipoor pierwszych kolonistów, o prowincjonalnym przywódcy, Dvornie, który zebrał armię gdzieś na zachodzie i przemaszerował przez prowincje, opowiadając o zjednoczonym i stabilnym świecie. Zdobywał wsparcie tych, którzy zmęczeni się sporami pomiędzy okręgami i wreszcie został panem całego Alhanroelu. Nadał sobie tytuł Pontifexa, używając słowa, które w jednym z języków Starej Ziemi oznaczało „budowniczy mostów”. Wybrał Barholda, młodego oficera, by z nim współrządził i nadał mu tytuł Lorda Koronala. To Dvorn wydał dekret, mówiący, że po śmierci Pontifexa tytuł ten przejmuje Koronal, który wybiera sobie następcę. W ten sposób zadbał o to, by monarchia nie była dziedziczna: Pontifex miał wybierać swoim następcą najbardziej wykwalifikowanego członka swojej świąty, sprawiając, że świat przez pokolenia pozostawał w najlepszych rękach.

Wszystko to opisane było w trzeciej pieśni wielkiego poematu epickiego, koszmaru każdego ucznia, „Księgi Zmian” Aithina Furvaina. Ważne jednak było, że i dla Furvaina Dvorn był tylko imieniem. Nigdzie w trzeciej pieśni ani w całym dziele poeta nawet nie spróbował opisać go jako osoby. Nie ma nigdzie wzmianki o tym, jak Dvorn wyglądał, nie ma anegdotek na jego temat, nie ma wspomnienia o jego charakterze. Dvorn istnieje w poemacie tylko jako założyciel rządu i twórca pierwszych praw.

Z punktu widzenia Dekkereta Dvorn był mitem, uznanym przez tradycję herosem, postacią symboliczną, wymyśloną, by wyjaśnić pochodzenie systemu pontyfikalnego. Dekkeret podejrzewał, że średniowieczni historycy czuli potrzebę nadania imienia wojownikowi, który pomógł powołać ten system do życia, a którego życie i uczynki już dawno zaginęły w mgłach historii – i postanowili nadać mu imię Dvorn.

Fulkari słusznie powiedziała, że *ktoś* musiał być pierwszym Pontifexem. Niech więc nazywa się Dvorn. Nigdy nie przyszło Dekkeretowi do głowy, że gdzieś w zachodnim Alhanroelu może istnieć grób Dvorna, że znajdowały się w nim relikwie pierwszego Pontifexa (mówili, że to kilka zębów, kostka czy dwie palca, a nawet, mimo upływu trzynastu tysięcy lat, włosy!) i że mieszkańcy okolicy czcili go niemal jak boga.

A jednak – Koronal Lord Dekkeret był w Kesmakuran, stał przed rzekomym grobem Pontifexa Dvorna i szykował się do stanięcia przed posągiem pradawnego monarchy, by pokornie poprosić pierwszego Pontifexa o błogosławieństwo dla swoich rządów.

Czuł się potwornie głupio. Prestimion nigdy mu nie powiedział, że bycie królem

więzało się z podróżowaniem po świecie i klękaniem przed prowincjonalnymi bożkami, świętymi, wróżebnymi drzewami i innymi fantastycznymi idiotyzmami i błaganiem o litość przedmiotów. Był zły, że Zeldor Luudwid go do tego zmusił. Teraz jednak nie mógł się wycofać. Jako Koronal miał obowiązek uczestniczyć w wierzeniach i rytuałach swoich poddanych za każdym razem, gdy decydował się opuścić schronienie na Górze Zamkowej i wejść między nich. Nieważne, jak głupie zdawały mu się te wierzenia.

Grób był głęboką, sztuczną jaskinią, wyrzeźbioną nie wiadomo jak dawno temu w boku sporej góry z czarnego bazaltu, położonej tuż pod miastem. Po obu stronach wejścia do grobowca do ścian przymocowane były dziwne, drewniane konstrukcje, niepokojąco podobne do klatek. Znajdowały się wysoko nad ziemią i można było ich dosięgnąć tylko z pomocą drabinek z drewnianych prętów połączonych sznurem. W każdej z nich znajdowało się postawione pionowo, drewniane koło, podobne do młyńskiego.

Po łopatkach tych kół nieustannie wspinały się dwie młode kobiety, ubrane tylko w przepaski na biodrach, powodując ich nieustanne obroty. Ich smukłe, nagie ciała lśniły od potu, ale one szły nieustannie, utrzymując równe tempo, jakby stanowiły tylko część otaczającej je maszyny. Miały wyraz twarzy lunatyczek, patrzyły daleko, w inne światy.

Poniżej, obok sznurowych drabinek, stały dwie inne kobiety, równie skąpo ubrane i czujnie przyglądały się parze pracującej na kołach. Wcześniej powiedziano Dekkeretowi, że grupa konsekrowanych kobiet w liczbie ośmiu dzień i noc utrzymywały koła w ruchu. Każda z nich szła przez całą wielogodziną zmianę, bez przerwy na posiłek czy choćby łyk wody. Te pod drabinami były następne w kolejce, czekały w gotowości, by w porę wskoczyć na miejsce, gdyby kobiety w klatkach zmęczyły się i zawahały choć przez chwilę.

Dekkeret dowiedział się, że w Kesmakuran największym zaszczytem było służyć w kole. Każda młoda mieszkanka miasta pragnęła, by wybrano ją na rok do tego zadania. Rytuał ten był, jak mu powiedziano, nieustanną modlitwą do Pontifexa Dvorna, błaganiem, by zechciał zachować spokój we wspólnocie, którą stworzył. Najmniejsza przerwa w nieustannej wspinaczce tych kobiet mogła zagrozić losom całego świata.

Dekkeret nie zatrzymał się długo, by obserwować tę niesamowitą modlitwę. Przyszła pora, by wszedł do grobowca. Sześciu Strażników Grobu – nie nazywali się kapłanami – otoczyło go, trzech po lewej, trzech po prawej stronie. Byli dużymi mężczyznami, niemal tak dużymi, jak sam Dekkeret i nosili czarne szaty ze szkarłatną lamówką, koloru Pontyfikatu. Byli braćmi, mieli od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat. Łączyło ich takie podobieństwo, że Dekkeret miał trudności z zapamiętaniem, który z nich jest który. Odróżniał Głównego Strażnika od pozostałych, ponieważ niósł on ozdobny wieniec, który Dekkeret miał złożyć

przed posągiem Dvorna.

Sam na tę okazję założył oficjalne szaty Koronała i niewielki, złoty diadem, który służył mu w tej podróży zamiast prawdziwej korony rozbłysku gwiazd. Fulkari i Dinitak nie mogli pójść z nim do grobowca, spojrzął na nich, kiedy szykował się do wejścia i był im wdzięczny, że mieli twarze zastygłe w wyrazie całkowitej powagi. Jedno mrugnięcie Fulkari albo pełen sceptycyzmu grymas Dinitaka zniszczyłyby natychmiast powagę, którą Dekkeret z najwyższym trudem zachowywał.

Wszedł do grobowca przez imponującą, prostokątną bramę, wysoką na przynajmniej dwadzieścia stóp i szeroką na trzydzieści. Pod nogami leżał słodko pachnący dywan z czerwonych płatków. Nad ich głowami latały tuziny dryfujących żarników, zalewające wszystko łagodnym, zielonkawym światłem, które wydobywało ze ścian skomplikowane, ozdobne reliefy. Dekkeret zgadywał, że przedstawiają one sceny z życia Dvorna: jego wojskowe tryumfy, koronację na Pontifexa, wyniesienie Barholda do rangi Koronała. Wyglądały na dobrze wykonane i Dekkeret żałował, że nie może się im lepiej przyjrzeć, ale sześciu strażników maszerowało wokół niego i uznał, że najlepiej będzie zrobić to samo. Widział więc tylko tyle reliefów, ile udało mu się uchwycić kątem oka.

Wtedy właśnie sam Dvorn stanął przed nim w całym swoim majestacie i wielkości – kolosalna figura z kremowego marmuru, stojąca w wielkiej niszy z tyłu jaskini.

Podobizna siedzącego Pontifexa była wysoka na dziesięć stóp, może więcej. Siedział w szlachetnej pozie, z lewą ręką na kolanie, a prawą uniesioną i skierowaną w stronę wyjścia z jaskini. Jego twarz miała wyraz ogromnego spokoju i łagodności. Nie była zaledwie twarzą króla, lecz boga. Jej pogodne, uśmiechnięte rysy były idealne, spokojne, dające spokój i ukojenie.

Dekkeret pomyślał, że to absolutnie wspaniała rzeźba. Był zaskoczony, że poza tą okolicą tak niewiele się o niej mówiło.

W ten sposób można by przedstawić twarz Bogini, gdyby tylko jakiś artysta postanowił uznać ją za człowieka, a nie abstrakcyjnego i wszechwiedzącego ducha stworzenia. Nikt nigdy nie próbował tak dosłownie podejść do tego tematu. Czy nieznaną twórcą tej rzeźby miał właśnie to na myśli: czy chciał pokazać Dvorna jako boga? Niewątpliwie w boskim spokoju, który artysta nadał rysom Pontifexa Dvorna, było coś niemal świętokradczego.

Po obu stronach wielkiej rzeźby znajdowały się dwie nisze, umieszczone wysoko w ścianie jaskini i zawierające duże, okrągłe misy z jasnego jak lustro, polerowanego agatu. Dekkeret podejrzewał, że były to naczynia, w których przechowywano relikwie Pontifexa

Dvorna, włosy, zęby i kości palca. Postanowił o to nie pytać.

Główny Strażnik podał Dekkeretowi wieniec. Wykonany był z suchych trzcin w kilku kolorach i o różnych teksturach, splecionych razem tak, że tworzyły niesamowicie skomplikowany wzór, taki, którego stworzenie musiało trwać wiele godzin. Co cztery cale plecionka łączona była cienkimi, metalowymi obręczami ozdobionymi napisami w dawnym alfabecie, którego Dekkeret nie znał. Miał umieścić wieniec w płytkim otworze, wyrzeźbionym w podłożu jaskini przed samym posągiem i podpalić go pochodnią, którą poda mu Główny Strażnik. Później, kiedy wieniec płonął, miał klęknąć, wejść w stan kontemplacji i oddać swoją duszę w opiekę wielkiego założyciela Pontyfikatu.

To będzie dość dziwne, jak na kogoś, kto nie wierzy w rzeczy nadprzyrodzone. Ale w uszach Dekkereta rozbrzmiewały słowa Prestimiona, wypowiedziane, gdy stali w rozległej sali tronowej w głębi Labiryntu:

„W oczach piętnastu miliardów ludzi, którymi rządzą, jesteście uosobieniem wszystkiego, co święte. Sadzają nas na tych jarmarcznych tronach i kłaniają się nam, a kim my jesteście, żeby im odmówić, skoro tak nam to ułatwia rządzenie tą planetą? Pomyśl o nich, Dekkerecie, kiedy tylko będziesz odprawiał jakiś absurdalny rytuał albo wspinał się na przesadnie ozdobne siedzisko. Wiesz, że nie jesteśmy tylko prowincjonalnymi paniczykami. Jesteśmy podstawowymi trybami tego świata”.

Niech i tak będzie, pomyślał Dekkeret. To było dzisiejsze zadanie Koronała Lorda Majipooru. Nie będzie go kwestionował.

Położył wieniec w otworze, przyjął pochodnię z rąk Głównego Strażnika i czubkiem płomienia dotknął krawędzi trzcin.

Ukląkł. Pochylił głowę przed posągiem.

Strażnicy cofnęli się i zniknęli w cieniu za jego plecami. Dekkeret szybko przestał być świadom ich obecności. Nawet nieustanne stukanie modlitewnych kół przy wejściu do jaskini, które słyszał jeszcze przed chwilą, zniknęło z jego świadomości.

Był sam z Pontifexem Dvornem.

A teraz co? Ma się modlić do Dvorna? Jak mógł to zrobić? Dvorn był mitem, postacią z baśni, z wczesnych pieśni „Księgi Zmian”. Nawet we własnych myślach Dekkeret nie umiał się zmusić do modlenia się do mitu. W ogóle był nienawykły do modlitwy.

Tak, wierzył w Boginię. Jak mógłby nie wierzyć? Był synem swojej matki. Ale nie była to bardzo głęboka wiara. Jak wszyscy – może nawet Mandralisca – w rozmowach wspominał o Bogini i dziękował jej za łaski. Ale to była część sposobu mówienia. Dla Dekkereta Bogini była wielką siłą sprawczą kosmosu, potęgą odległą i niezrozumiałą, która

pewnie nie zwracała uwagi na drobne, indywidualne prośby jakichkolwiek stworzeń. Ani modlitwa Koronała Majipooru, ani przerażone wycie wystraszonego bilantoona, ściganego po lesie przez głodnego haigusa nie poruszały szczególnej łaski Bogini, która stworzyła wszystkie istoty w celu niezrozumiałym dla śmiertelników i pozostawiła je, by same znajdowały sobie drogi przez życie, póki nie nadeszła godzina, gdy były wezwane do Źródła.

Pomimo to... czuł, że coś tu się dzieje... coś dziwnego...

Wieniec palił się drżącymi, niebieskimi płomieniami i wydzielał skręcone wstęgi ciemnego dymu. Nozdrza Dekkereta wypełnił słodki zapach, przypominający mu aromat bladozłotego wina ze Stoienzar. Wdychał go głęboko. Sądził, że to powinien zrobić. Kiedy dym rozchodził się po jego płucach, Koronał poczuł gwałtowny zawrót głowy.

Przez wydawało się nieskończony, beczasowy moment patrzył w spokojną, kamienną twarz, która unosiła się nad nim. Patrzył w tę cudowną twarz, patrzył, patrzył, *patrzył*. I nagle poczuł, że musi zamknąć oczy.

Zdawało mu się, że słyszy w głowie głos, który nie przemawiał słowami, lecz wzorami odczuć. Dekkeret nie umiał przełożyć ich na zdania, ale wiedział, że mimo to kryje się w nich znaczenie i niewątpliwie przepowiednia. Ktokolwiek, *cokolwiek* do niego teraz przemawiało, rozpoznało w nim Dekkereta z Normork, Koronała Lorda Majipooru, który pewnego dnia zostanie Pontifexem, spadkobiercą Dvorna.

Opowiadało mu o wielkiej pracy, która go czeka. Mówiło, że na koniec tej pracy jest mu przeznaczone przekształcić świat, wprowadzić zmianę niemal tak wielką, jak ta, której dokonał Dvorn, kiedy ustanowił system Pontyfikatu. Szczegóły tej zmiany nie były jasne. Ale to on, nie kto inny, mówił głos, Dekkeret z Normork, wprowadzi tę wielką przemianę.

Przez umysł płynęło mu czyste objawienie. Jego moc była wszechogarniająca. Dekkeret pozostawał w bezruchu może przez tygodnie, może miesiące, a może lata, pochylony w ukłonie przed posągiem i pozwalając, by napełnił jego duszę.

Po pewnym czasie potęga głosu zaczęła słabnąć. Nie znajdował już sensu w swoich doznaniach. W jakiś sposób pozostawał w kontakcie z posągiem, ale emanowało z niego tylko odległe echo, które odbijało się w mózgu Dekkereta, *bum, bum, bum*. Był to emfaticzny, potężny, w jakiś sposób znaczący dźwięk, ale nie niósł znaczenia, które dałoby się odcyfrować. Pojawiał się coraz rzadziej, aż w końcu zaniknął.

Dekkeret otworzył oczy.

Wieniec spalił się prawie całkowicie. Wąskie, metalowe pierścienie, które go spajały, leżały teraz rozsypane wśród cienkich, kwaśno pachnących nici popiołu.

Bum. Jeszcze raz. I po chwili, znów, *bum*. Potem już nie. Ale Dekkeret pozostał tam,

gdzie był, klęczał przed posągiem Dvorna, nie mógł, a może nie chciał jeszcze wstawać.

To wszystko bardzo dziwne. Przyszedł tutaj, czując się jak idiota, który bierze udział w jakiejś farsie, a potem, w miarę rozwoju wydarzeń, poczuł się porwany przez uczucie, które bardzo przypominało religijną ekstazę.

W miarę jak rozjaśniało mu się w głowie, myślał, jak dziwna była ta podróż przez kontynent. O zachodzie słońca być może przemówiły do niego wróżebne drzewa z Shabikant. Astrolog z targu w Thilambaluc spojrzął Dinitakowi w oczy i uciekł, przerażony. A teraz to. Tajemnica na tajemnicy, cała procesja zdumiewających znaków i przepowiedni. To go przerastało. Nagle Dekkeret chciał się wydostać, ruszyć na wybrzeże i przyłączyć się do Prestimiona, dobrego, twardego, sceptycznego Prestimiona, który wyjaśni mu to wszystko racjonalnie. Ale... ale wciąż pozostawał pod wrażeniem tego, co właśnie doświadczył, czuł się przytłoczony zachwytem, wciąż myślał o dziwnym, bezgłośnym głosie, który rozbrzmiewał mu w mózgu.

Kiedy wyszedł z jaskini, jasne było, że Fulkari i Dinitak na pierwszy rzut oka dostrzegli, iż przydarzyło mu się coś dziwnego. Szybko podeszli do niego, tak jak podchodzi się do kogoś, kto może zaraz upaść. Fulkari była zmartwiona, spytała go, co wydarzyło się w jaskini, ale odpowiedział tylko wzruszeniem ramion. Nie chciał o tym rozmawiać, nie z nią, nie z nikim. Co mógł powiedzieć? Jak mógł wytłumaczyć coś, co sam ledwo rozumiał? Nawet to nie było do końca prawdziwe. W rzeczywistości tego, co mu się przydarzyło, nie rozumiał w ogóle.

– To w tym pokoju – powiedział ponuro Prestimion – była główna kwatera podczas kampanii przeciwko Dantiryi Sambailowi. Dekkeret, Dinitak, Maundigand-Klimd, moja matka i ja byliśmy tutaj z hełmem Barjazidów, a wy dwaj w dżungli podchodziliście pod jego obóz. Byliście wtedy jeszcze młodzi, co? Teraz jesteśmy wiele lat starsi i wygląda na to, że znowu musimy toczyć tę wojnę. Żebyście wiedzieli, jak moje serce buntuje się na tę myśl! Jak gotuje ze wściekłości na tych podstępnych, potwornych ludzi, którzy nie pozwalają światu żyć w pokoju!

Zza jego pleców dobiegł głos Gialaurysa z płaskim, szerokim akcentem z Piliploku.

– Mój lordzie, zniszczyliśmy pana, zniszczymy też jego sługusów.

– Jasne, że tak. Ale jakież to ohydne marnotrawstwo, że musimy toczyć kolejną wojnę! Jakie męczące! Jakie niepotrzebne! – Prestimion uśmiechnął się słabo. – A ty, Gialaurysie, naprawdę powinieneś przestać tytułować mnie lordem. Wiem, że to siła przyzwyczajenia, ale przypominam ci, że już nie jestem Koronalem. Jeśli już musisz, właściwy tytuł to „wasza wysokość”. Pozostali już się tego nauczyli. A kiedy rozmawiamy prywatnie, wystarczy, że będziesz nazywał mnie Prestimionem.

– Bardzo mi ciężko zapamiętać te wszystkie dworskie grzeczności – wymruczał Gialaurys kwaśno. Nigdy nie umiał udawać, więc na jego szerokiej, mięsistej twarzy wyraźnie malowała się irytacja. – Prestimionie, wiesz dobrze, że mój umysł nie jest już tak bystry, jak kiedyś – z drugiego kąta pokoju rozległ się złośliwy śmieszek Septacha Melayna.

Mijał tydzień odkąd świta Pontifexa przebyła ocean z Wyspy Snu do Alhanroelu, by Prestimion mógł spotkać się z Dekkeretem. Koronał znajdował się daleko na północy. Ostatnie wiadomości donosiły, że był w pobliżu Kikil albo Kimose, ale szybko przemieszczał się w kierunku Stoien. Za dzień lub dwa do nich dołączy.

Tego popołudnia cała trójka zebrała się w jednej z mniejszych komnat apartamentu Koronała na szczycie Kryształowego Pałacu, najwyższego budynku w Stoien, wznoszącego się wysoko ponad inne budynki tego ślicznego, tropikalnego portu. Długa na dwieście stóp ściana okien dawała fenomenalny widok z każdego pokoju. Z jednej strony rozciągało się

miasto z jego platformami i wieżami, z drugiej olbrzymia, błękitna i przezroczysta jak szkło Zatoka Stoien.

Znajdowali się w jednym z pokoi od strony zatoki. Prestimion spędził ostatnie dziesięć minut przy wielkim oknie, patrząc wściekle w morze, jakby chciał sięgnąć aż do Zimroelu i samym spojrzeniem zabić Mandraliskę i jego Pięciu Lordów. Zimroel jednak pozostawał daleko na zachodzie, poza zasięgiem najstraszniejszych nawet spojrzeń. Prestimion zastanawiał się, jak wysoki musiałby być budynek, który pozwoliłby widzieć na taką odległość. Podejrzewał, że co najmniej taki, jak Góra Zamkowa. Pewnie wyższy.

Z tego miejsca widział tylko wodę i wodę, wygiętą linię sięgającą w nieskończoność. Zastanawiał się, czy odległy, jasny punkt na horyzoncie mógł być Wyspą Pani, z której przybył tak niedawno. Pewnie nie. Pewnie nawet Wyspa była zbyt daleko, by dosięgnąć ją wzrokiem.

Kolejny raz myśl o rozmiarze Majipooru była dla niego ciężarem. Szaleństwem było myśleć, że tak wielką planetą może rządzić ze swoich wspaniałych tronów dwóch mężczyzn w wymyślnych strojach. Spoiwem świata była zgoda rządzonych, którzy dobrowolnie poddawali się władzy Pontifexa i Koronała. Teraz przynajmniej na Zimroelu zaczynało tej zgody brakować. Wyglądało na to, że trzeba będzie przywrócić ją siłą. Prestimion wątpił, czy coś takiego będzie można wciąż nazywać zgodą.

Od wielu dni Pontifex był w ponurym nastroju, który opuszczał go jedynie na krótkie chwile. Nie wiedział, na ile był on wywołany wysiłkiem ostatniej podróży, koniecznością przyznania się przed samym sobą, że nie jest już młody, a na ile rozpaczliwą pewnością, że nie da się uniknąć wojny.

Wybuchnie wojna.

To właśnie oświadczył swojej matce przed tygodniami na Wyspie Snu i w to wierzył każdą cząstką swojej istoty. Konieczne było wyeliminowanie Mandraliski i jego bandy, w przeciwnym razie świat się rozpadnie. Trzeba było stoczyć ostateczną bitwę ze złem, reprezentowanym przez tych ludzi i Prestimion był gotów choćby osobiście poprowadzić armię. Miał jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. „Dekkeret jest teraz moim mieczem” powiedział lady Therissie i taka była prawda. On sam marzył o spokoju w Labiryncie. Ta myśl zdumiała go, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w jego głowie. Ale taka była prawda, na Boginię, najprawdziwsza prawda.

Ktoś dotknął od tyłu jego ramienia, leciutko i niezwykle szybko.

– Prestimionie...?

– O co chodzi, Septachu Melaynie?

– Chciałbym zauważyć, że już czas, byś przestał gapić się w morze i odszedł od okna. Pora na wino. Może nawet na grę w kości?

Prestimion uśmiechnął się szeroko. Ileż to razy przez te wszystkie lata beztroska przyjaciela uratowała go przed wpadnięciem w przygnębienie!

– Tak, kości... Świetny pomysł. Pontifex Majipooru i jego Wysoki Rzecznik w królewskim apartamencie, na kolanach, jak chłopcy, próbujący wyrzucić potrójne oko albo rękę i widelec! Czy ktoś by w to uwierzył?

– Pamiętam – powiedział Gialaurys jakby do siebie – jak graliśmy z Septachem Melaynem w kości na barce, którą płynęliśmy w górę Glayge z Labiryntu po tym, jak Korsibar przejął tron. Wyrzuciłem właśnie podwójną dziesiątkę i spojrzałem w niebo, a tam płonęła nowa gwiazda, niebieskobiała, bardzo jasna, którą przez jakiś czas ludzie nazywali Gwiazdą Lorda Korsibara. Wtedy na pokład wyszedł diuk Svor – ależ z niego był numer! – zobaczył ją i powiedział: „Ta gwiazda jest naszym ocaleniem. Zwiastuje śmierć Korsibara i tryumf Prestimiona”. I, na Boginię, taka była prawda! Teraz ta sama gwiazda świeci jasno nad nami. Widziałem ją wczoraj wysoko w górze, pomiędzy Thourusem i Xavialem. Gwiazda Prestimiona! To gwiazda twojego tryumfu i wciąż świeci jasno. Wasza wysokość, poszukaj jej dzisiaj, a ona przemówi do ciebie i poprawi ci nastrój – teraz patrzył prosto na Pontifexa. – Proszę cię, Prestimionie, zapomnij o smutku. Twoja gwiazda wciąż świeci.

– Jesteś bardzo miły – powiedział Prestimion łagodnie.

Był bardziej wzruszony, niż potrafił to wyrazić. W ciągu trzydziestu lat ich przyjaźni wielki, powolny, małomówny Gialaurys nie dał nigdy podobnego popisu elokwencji.

Septach Melayn nie byłby sobą, gdyby nie zepsuł tej chwili.

– Ledwo chwilę temu powiedziałeś, Gialaurysie, że twój rozum coraz gorzej pracuje. A jednak pamiętasz grę w kości, która miała miejsce pół życia temu i przytaczasz nam słowa, które wypowiedział wtedy diuk Svor. Drogi Gialaurysie, czy to nie aby pewna niekonsekwencja?

– Pamiętam to, co jest dla mnie ważne, Septachu – odparował Gialaurys. – A rzeczy, które wydarzyły się pół życia temu pamiętam lepiej, niż co jadłem na wczorajszą kolację albo jakiego koloru miałem szatę.

Po tych słowach popatrzył na Septacha Melayna tak, jakby po tych wszystkich latach bycia ofiarą jego kpin miał ochotę złapać go i przelamać na pół swoimi wielkimi łapami. Od zawsze między tymi dwoma tak się układało.

Prestimion roześmiał się po raz pierwszy od długiego czasu.

– Septachu, wino to dobry pomysł. Ale kości chyba nie.

Przeszedł przez pokój w kierunku regału, na którym stały butelki wina i po krótkim zastanowieniu wybrał kremowe, młode, złote wino ze Stoien, które starzało się tak szybko, że nigdy go nie eksportowano. Napełnił trzy kielichy i przez chwilę siedzieli w milczeniu, powoli pijąc gęste, bogate, mocne wino.

– Jeśli ma być wojna – powiedział Septach Melayn po chwili, a w jego głosie słycać było dziwne napięcie – to chciałbym cię, Prestimionie, prosić o przysługę.

– Będzie wojna. Nie mamy wyboru, musimy zniszczyć tych... te stwory.

– Dobrze więc, kiedy wojna się zacznie, chcę, żebyś pozwolił mi wziąć w niej udział.

– Mnie też – dodał szybko Gialaurys.

Te prośby w ogóle nie zaskoczyły Prestimiona.

Oczywiście, nie zamierzał ich spełnić, ale podobał mu się ogień odwagi, który wciąż tak mocno płonął w tych dwóch. Czy nie rozumieli, że czas ich walki dobiegł końca?

Gialaurys, jak wielu potężnych mężczyzn obdarzonych olbrzymią siłą fizyczną, nigdy nie słycał z delikatności czy zręczności, choć nie przeszkadzało mu to być wielkim wojownikiem. Ale, jak też często bywa z mężczyznami jego budowy, z wiekiem przytył i teraz poruszał się okropnie wolno i ostrożnie.

Septach Melayn za to, chudy jak szczapa i wiecznie zwinny, zdawał się być równie szybki i zręczny jak przed laty, jakby upływ czasu wcale go nie zmienił. Co innego jednak mówiła siatka cienkich zmarszczek wokół jego przenikliwych, błękitnych oczu, a i wśród jego osławionych, złotych loków można było znaleźć niemało siwych włosów. Ciężko było wierzyć, że mógłby wciąż dysponować tym samym błyskawicznym refleksem, który kiedyś pozwalał mu być niezwyciężonym w walce wręcz.

Prestimion wiedział, że pole bitwy nie było miejscem dla żadnego z nich, włącznie z nim samym.

Przemówił delikatnie:

– Na pewno rozumiecie, że to będzie wojna Dekkereta, nie moja czy wasza. Ale na pewno będzie zaszczycony waszą chęcią pomocy. Z pewnością zechce skorzystać z waszego doświadczenia.

Gialaurys zachichotał ciężko.

– Już widzę, jak wkraczamy do Ni-moya, ścierając w proch wszystkich wrogów! Ależ to będzie dzień, kiedy szóstkami pomaszujemy Promenadą Rodamaunta! A ja z przyjemnością osobiście poprowadzę wojska na północ z Piliploku. Bo, oczywiście, nasza armia wylądzuje w Piliploku. Dobrze wiesz, Prestimionie, co my, twardzi mieszkańcy Piliploku, myślimy o mięczakach z Ni-moya i ich wiecznym poszukiwaniu przyjemności.

Jakąż radością będzie wyłamać ich mizerne bramy i wkroczyć do tego ślicznego miasta! – wstał i zaczął chodzić w kółko po pokoju, wykonując gesty tak zniewieściałe, że wywołał nimi potężny wybuch zachwyconego śmiechu Septacha Melayna. – „Moja droga, czyż udamy się dzisiaj do Galerii Gossamer, aby zakupić prześliczną szatę?” – powiedział Gialaurys groteskowo wysokim głosem. – „A potem udamy się na kolację na Wyspie Narabal. Ja po prostu uwielbiam pierś gammigammila w sosie thogni! I ostrygi z Pidruid! Och, moja droga!”

Teraz Prestimion także trzymał się za brzuch ze śmiechu. Nigdy nie spodziewałby się takiego popisu po szorstkim Gialaurysie.

Kiedy przeszła im wesołość, Septach Melayn zapytał poważnie:

– Jak sądzisz, Prestimionie? Czy Dekkeret naprawdę wylądował w Piliploku, tak, jak mówi Gialaurys? Może się z tym wiązać sporo trudności.

– Ze wszystkim, co zrobimy, mogą wiązać się trudności – odparł Prestimion i znowu spochmurniał, myśląc o wojnie, którą sam tak bardzo chciał rozpocząć.

Pięknie i odważnie było wołać, że zamieszanie powodowane przez Sambailidów i ich złowrogiego doradcę musi się skończyć. Prestimion nie miał jednak pojęcia, jak dużym poparciem cieszyli się w Zimroelu. A co, jeśli Mandralisca zdołał już zebrać milionową armię, która obroni zachodni kontynent przed atakiem Koronala? Albo i pięciomilionową? Jak Dekkeret zdoła zebrać wojsko, które będzie mogło równać się z taką siłą? Jak przetransportuje je do Zimroelu? Czy to w ogóle możliwe? A jeśli tak, to jakim kosztem? Broń, statki, zapasy...

I jeszcze sama inwazja... Choć kiedy Gialaurys mówił o silnych mężczyznach z Piliploku, którzy wyłamią mizerne bramy Ni-moya, oczy lśniły mu entuzjazmem, nie zaraził nim Prestimiona. Ni-moya było jednym z cudów świata. Czy warto było zburzyć to niezrównane miasto tylko po to, by utrzymać obecny system praw i władców?

Nie mógł pozwolić sobie na zwątpienie, że wojna była konieczna i nieunikniona. Mandralisca był niczym zaraza, która spada na świat i jeśli się jej nie wytepi, będzie się rozprzestrzeniać bez końca. Nie można go było tolerować, nie można go było obłąskawić, musiał więc zostać zniszczony.

Prestimion zastanawiał się ponuro, czy przyszłe pokolenia mu to wybaczą. Chciał, żeby jego panowanie było uznane za złoty wiek. Zrobił co mógł, by to osiągnąć. A mimo to lata jego władzy znaczyły kolejne katastrofy: wojna z Korsibarem, plaga szaleństwa, rewolta Dantiryi Sambaila... W tej chwili wyglądało na to, że ostatnią rzeczą, którą osiągnie za swoich rządów będzie albo zniszczenie Ni-moya, albo podział spokojnego do tej pory świata na dwa wrogie królestwa.

Jedno i drugie wydawało mu się równie ohydne, ale w owej chwili Prestimion przypomniał sobie o swoim bracie, Teotasie, tak przerażonym, że znalazł się na progu samobójstwa, w panice pelzającym po jednym z parapetów Zamku. O swojej córeczce, Tuanelys, skulonej ze strachu we własnym łóżku. I o nie wiedzieć ilu przypadkowych ludziach na całym Majjipoorze, niewinnych ofiarach podłości Mandraliski.

Nie. Trzeba było to zrobić, niezależnie od kosztów. Prestimion zmusił się, by otoczyć duszę twardą skorupą tej pewności.

Gialaurys i Septach Melayn już nie mogli doczekać się wspaniałej kampanii, która ukoronuje ich życia. I, jak zawsze, kłócili się. Prestimion usłyszał, jak Septach Melayn, z błyszczącymi oczami, mówi:

– Mój drogi przyjacielu, cały pomysł z lądowaniem w Piliploku jest idiotyczny. Wydaje ci się, że Mandralisca nie zgadnie, że właśnie tam się pojawimy? A Piliplik jest najłatwiejszym do obrony portem na świecie. Na nabrzeżu będzie na nas czekać pół miliona zbrojnych, a rzekę zablokuje tysiąc okrętów. Nie, mój słodki Gialaurysie, musimy wylądować daleko na południu. Ja mówię, że w Gihornie. Gihornie!

Gialaurys skrzywił się pogardliwie.

– Gihorna to pustkowie, ponure bagno, niezamieszkałe i ze wszech miar ohydne. Nawet Zmiennokształtni się do niego nie zbliżają. Mandralisca nie będzie go nawet musiał umacniać. Nasi ludzie utoną w błocie, kiedy tylko wysiądą z pojazdów.

– Wręcz przeciwnie, drogi Gialaurysie. Właśnie *dlatego*, że Gihorna jest tak nieprzyjemna, Mandralisca nie będzie podejrzewał, że tam wylądujemy. A możemy to zrobić i zrobimy. I wtedy...

– I wtedy będziemy maszerować na północ przez wiele tysięcy mil, aż do Piliploku, którego według twojej teorii powinniśmy unikać, bo to miasto łatwe do obrony i będzie tam na nas czekać armia Mandraliski. Możemy też ruszyć na zachód i próbować dotrzeć do Ni-moya przez mroczne dzungle rezerwatu Zmiennokształtnych. Naprawdę tego chcesz, Septachu Melaynie? Narazić całą armię na nieznaną niebezpieczeństwa Piurifayne? To szaleństwo! Wolę raczej po prostu wylądować w Piliploku i walczyć, jeśli to będzie konieczne. Jeśli ruszymy przez dzunglę, wyskoczą na nas ci plugawi Metamorfowie i...

– Natychmiast przestańcie, obydwaj! – szczechnął Prestimion tak ostro, że Septach Melayn i Gialaurys spojrzeli na niego ze zdumieniem. – Cała ta kłótnia nie ma żadnego sensu. Armia, która wyruszy na wojnę, dowodzi *Dekkeret*. Nie wy. Nie ja. To on będzie decydował o strategii.

Wciąż się na niego gapili. Obaj wyglądali na wstrząśniętych i to nie tylko z powodu

ostrego tonu, którym do nich przemówił. Sądził, że raczej zaszokowało ich, iż zrzekał się dowództwa. Przerwanie dyskusji stwierdzeniem, że tak istotna kwestia znajduje się poza jego jurysdykcją było niepodobne do Prestimiona, którego znali. Sam się sobie dziwił.

Ale teraz to Dekkeret, nie Prestimion, był Koronalem. To Dekkeret będzie musiał prowadzić tę wojnę, to on wymyśli, jak najlepiej to zrobić. Prestimion, jako zwierzchni monarcha mógł mu doradzać i zamierzał to robić. Ale to na Dekkerecie spoczywała ostateczna odpowiedzialność za powodzenie i dlatego to do niego należało ostatnie słowo w kwestii strategii.

Prestimion powtarzał sobie, że to go cieszy. Że tego wymagał od niego liczący stulecia system rządów, który tak doskonale sprawdzał się od ustalenia przez Pontifexa Dvorna. Póki Dekkeret, którego wybrał Koronalem, będzie toczył wojnę dzielnie i efektywnie, sam Prestimion, jako Pontifex, powinien pozostawać w cieniu. Nie było wątpliwości, że Dekkeret sobie poradzi.

– Wina, panowie? – zaproponował ciszej.

Ktoś zapukał do drzwi. Septach Melayn poszedł otworzyć.

To była lady Varaile, która wcześniej poszła zajmować się dziećmi. Tuanelys wciąż niepokoiły sny, a i sama Varaile wyglądała na zmartwioną i zmęczoną, jakby gwałtownie się postarzała. Sam jej widok wystarczył, by w Prestimionie na nowo wybuchł gniew. Gdyby tylko nadarzyła się okazja, zabiłby Mandraliskę gołymi rękoma.

Varaile trzymała kartkę papieru.

– Otrzymaliśmy wiadomość od Dekkereta – powiedziała. – Jest w Klai, to mniej niż dzień drogi stąd. Ma nadzieję dołączyć do nas jutro.

– Dobrze – odpowiedział Prestimion. – Znakomicie. Czy napisał coś więcej?

– Tylko że przesyła Pontifexowi wyrazy miłości i szacunku i nie może doczekać się spotkania.

– Ja również – powiedział Prestimion ciepło.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo wymęczyła go odpowiedzialność wynikająca z wielkiej władzy i jak bardzo zaczął polegać na młodzieńczym wigorze i sile Dekkereta. Tak, dobrze będzie go zobaczyć. A już zwłaszcza dobrze będzie odkryć, jak Dekkeret planuje poradzić sobie z kryzysem. To nie moje zadanie, a jego, pomyślał Prestimion, i jakże mnie to cieszy!

„Przyjdzie czas, kiedy będziesz pragnął zostać Pontifexem”, powiedział mu kiedyś Confalume w swoich pokojach w Labiryncie na kilka dni przed śmiercią. Tak. I ten czas właśnie nadszedł. Po raz pierwszy Prestimion do głębi duszy zrozumiał, co Confalume miał

wtedy na myśli.

Dekkeret po raz ostatni był w Stoiem w drugim czy trzecim roku rządów Prestimiona jako Koronala. Był wtedy młodym, entuzjastycznym chłopakiem, nowym w kręgach władzy Góry Zamkowej i nie spodziewał się ani przez chwilę, że sam zostanie Koronalem. Stoiem budziło w nim stare wspomnienia i nie były one najmiłsze.

Przez te wszystkie lata pamiętał dziwne, niezapomniane piękno miasta, położonego w cudownym punkcie Półwyspu Stoienzar, gdzie na setki mil rozciągały się wspaniałe, białe plaże. Stoiem wcale się nie zmieniło. Niebo nad nim pozostawało bezchmurne. Ciekawe budynki, wznoszące się z płaskiego półwyspu na sztucznych platformach, liczących sobie od dziesięciu do kilkuset stóp oszałamiały swoim pięknem jak kiedyś; bogata roślinność, wszechobecne gęstwiny krzewów, kwitnące indygiem, topazem i szafirem, kobaltem, burgundem i cynobrem wypełniały duszę zachwytem. Zniszczenia, spowodowane przez obłąkanych w chaosie plagi szaleństwa, zostały już dawno naprawione.

Ale to w Stoiem Dekkeret po raz ostatni widział swojego drogiego przyjaciela i mentora, Akbalika z Samivole, który był jego przewodnikiem od najwcześniejszych lat życia na Zamku. Akbalika, którego Dekkeret kochał bardziej, niż jakiegokolwiek innego mężczyznę na świecie, nawet Prestimiona. Który zapewne, gdyby żył, byłby teraz Koronalem. To właśnie tutaj, do Stoiem, Akbalik przybył kulejąc i cierpiąc z powodu ukąszenia błotnego kraba, którego doznał podczas polowania na Dantiryę Sambaila w parujących dżunglach na południe od miasta i które niedługo potem miało go zabić.

– Ta rana to nic wielkiego – powiedział Akbalik Dekkeretowi, gdy ten przybył do Stoiem po podróży na Wyspę, gdzie wiozł pilną wiadomość dla Lorda Prestimiona. – Zagoi się.

Być może Akbalik wiedział, że tak się nie stanie, bo wymusił na Dekkerecie przysięgę, żeby sprzeciwił się, jeśli Lord Prestimion zechce wystawić swoje życie na niebezpieczeństwo, na przykład ścigając Dantiryę Sambaila po dżungli, w której Akbalik odniósł ranę. „Nieważne, jak bardzo go rozgniewasz, nieważne, jak zagrozi to twojej karierze, musisz powstrzymać go przed tak pochopnym działaniem”. Dekkeret przysiągł, że to zrobi,

choć czuł, że mówienie takich rzeczy Koronalowi powinno być zadaniem Akbalika. Wtedy Akbalik wyruszył na wschód przez Alhanroel, eskortując lady Varaile – która podówczas była w ciąży z pierwszym synem, Taradathem – na Górę Zamkową. Zdażył dotrzeć tylko do Sisivondal w głębi ładu, potem zabiła go trucizna.

To wszystko wydarzyło się dawno temu. Teraz wiatr fortuny uczynił Koronalem Dekkereta. Księcia Akbalika pamiętali tylko ludzie w średnim wieku. Jedynym księciem Akbalikiem, o którego istnieniu wiedziała większość ludzi był drugi syn Prestimiona, nazwany tak, by uczcić pamięć zmarłego przyjaciela. Widok dziwnych, cudownych wież Stoiem przywoływał wspomnienia o pierwszym Akbaliku, spokojnym, szpakowatym mężu, który znaczył dla Dekkereta tak wiele. Koronał ogarnął wielki smutek.

Co gorsza, rodzina Prestimiona zajmowała te same kwatery, co poprzednim razem: królewski apartament w Kryształowym Pałacu i tam również umieszczono Dekkereta i jego towarzyszy. Nic nie mogło lepiej przypomnieć ostatnich, potwornie męczących chwil wojny przeciwko Dantiryi Sambailowi, kiedy to Prestimion z użyciem hełmu Barjazidów zaatakował prokuratora z tego właśnie budynku. Pomagali mu wtedy Dinitak, Maundigand-Klimd, lady Therissa i sam Dekkeret.

Właściwie nie było innego wyjścia. Kryształowy Pałac był najbardziej reprezentacyjnym budynkiem Stoiem, jedynym miejscem odpowiednim dla monarchy. W tym wypadku – dla pary monarchów, ponieważ i Koronał, i Pontifex znajdowali się w Stoiem w tej samej chwili. Nigdy wcześniej to się nie wydarzyło. Po dziesięciu minutach spędzonych w mieście Dekkeret odkrył, że ta sytuacja wzbudziła wśród urzędników taką panikę i chaos, że pewnie do końca życia będą je odchorowywać.

Dekkeret i jego świta przybyli dość późnym wieczorem. Koronał był nieco zaskoczony wiadomością, że Prestimion chce się z nim widzieć natychmiast. Podróż wzdłuż wybrzeża z Alaisor była męcząca, Dekkeret nie spodziewał się, że Prestimion tak szybko dotrze z Wyspy Snu na kontynent, dlatego też Koronał wybłagał sobie godzinę czy dwie przerwy, na to choćby, by przed spotkaniem z Pontifexem zmyć z siebie kurz drogi.

Fulkari zastanawiała się, czy natychmiastowa rozmowa faktycznie jest potrzebna.

– Czy to naprawdę takie pilne? Nie możemy najpierw zjeść kolacji i się przespać?

– Być może w Zimroelu stało się coś, o czym powinienem wiedzieć – powiedział Dekkeret. – Choć nie sądzę. Kochanie, Prestimion po prostu taki jest. Dla niego wszystko jest pilne. Jest najbardziej niecierpliwym człowiekiem na świecie.

Niechętnie przyjęła to wyjaśnienie. Dekkeret wykapał się i poszedł na górę, do pokoi Prestimiona. Czekali tam na niego także Septach Melayn i Gialaurys. Tego się nie

spodziewał.

Nie spodziewał się też tempa, z jakim Prestimion przeszedł do sedna ich spotkania. Pontifex objął go ciepło, tak jak ojciec mógłby obejmować dawno niewidzianego syna, ale prawie natychmiast weszli w dyskusję o sprawach w Zimroelu. Prestimion niemal nie słuchał o podróży Dekkereta przez kontynent, o jego dziwnych przygodach w Shabikant i Thilambaluc i innych przystankach po drodze na zachód. Zadał może ze trzy szybkie pytania, przerywał Dekkeretowi w połowie każdej odpowiedzi i już rozmawiali o Mandralisce i Pięciu Lordach, i o rozwiązaniu kryzysu.

Dekkeret szybko dowiedział się, że rozwiązaniem Prestimiona było wysłanie za morze olbrzymiej armii, dowodzonej osobiście przez Koronala Dekkereta i przywrócenie porządku choćby siłą.

– Musimy wreszcie złamać Mandraliskę, i to tak, żeby już nigdy się nie podniósł – oświadczył Prestimion. Kiedy to mówił, przeszedł niezwykłą przemianę. Jego zielone oczy lśniły teraz lodowatą furią, której Dekkeret nigdy w nich nie widział, wąskie usta wykrzywił paskudny grymas, nozdrza rozdymał mu zdumiewający, mściwy szal. – Nie chcę tutaj żadnych niedomówień. Mamy go zniszczyć za wszelką cenę, jego i wszystkich, którzy za nim pójdą. Póki ten człowiek oddycha, nie ma nadziei na pokój na świecie.

Prestimion przemawiał agresywnym, nie znoszącym sprzeciwu, strasznym tonem. Dekkeret był tym zszokowany, choć bardzo starał się ukryć te uczucia przed Pontifexem. Prestimion na pewno wiedział lepiej, niż ktokolwiek na Majipoorze, czym była wojna domowa. A mimo to drżał z ledwo powstrzymanego gniewu i polecał Koronalowi podpalić Zimroel, jeśli będzie to konieczne do zdławienia rebelii Sambailidów.

Może źle go zrozumiałem, łudził się Dekkeret.

Może w ogóle nie ma na myśli wojny, a tylko wielki pokaz imperialnej siły, a pod jego osłoną będzie można łatwo otoczyć i usunąć Mandraliskę.

To sam Dekkeret kilka miesięcy temu zasugerował, że powinien udać się do Zimroelu i położyć kres niepokojom, które miały tam miejsce. Prestimion zgodził się, że to dobry pomysł. Dekkeret rozumiał jednak, że obaj mieli na myśli coś w stylu Wielkiej Procesji: oficjalną wizytę Koronala na zachodnim kontynencie, wielkie widowisko, dzięki któremu przypomni mieszkańcom Zimroelu o starożytnym przymierzu, utrzymującym świat w pokoju. Podczas tej wizyty Dekkeret mógłby ocenić liczebność sił Mandraliski i podjąć – polityczne, dyplomatyczne – kroki, by bunt zakończyć, korzystając ze swojej potęgi i autorytetu.

Teraz jednak Prestimion mówił o wysłaniu armii – *wielkiej* armii – do Zimroelu, by rozprawić się z Mandraliską.

O ile Dekkeret pamiętał, nigdy wcześniej nie było mowy o desancie na Zimroel. Kiedy Prestimion przestał myśleć o pokojowym rozwiązaniu i postanowił wypowiedzieć rebeliantom otwartą wojnę? Dekkeret zastanawiał się, co tak gwałtownie zmieniło nastawienie Pontifexa. Nikt nie miał większych od niego powodów, by nienawidzić wojny, a mimo to... mimo to... jego spojrzenie... gniewny ton... czy można było wątpić, co ma na myśli? Prestimion wyraźnie mówił: „Będzie wojna. I to ty będziesz ją dla nas prowadził”. Brzmiało to jak rozkaz, bezpośrednie polecenie od zwierzchniego monarchy.

Dekkeret zastanawiał się, jak sobie z tym poradzi.

Nie było wątpliwości, że Mandraliskę trzeba było usunąć. Ale czy wojna była jedynym rozwiązaniem? Dekkeret poczuł, że w jego umyśle buzuje sprzeczności. Jak każdej rozsądnej istocie wojna jawiła mu się jako coś ohydneho. Nigdy nie przypuszczał, że jego rządy, jak Prestimiona, rozpoczną się na polu bitwy.

Szukał spojrzeniem pomocy Septacha Melayna i Gialaurysa, ale mięsista twarz tego drugiego była nieruchoma, jak wykuta w kamieniu maska lodowatej determinacji. Swobodny i wesoły Septach Melayn również wyglądał dziwnie poważnie. Dekkeret zrozumiał, że obaj nastawieni byli na wojnę. Może ci dwaj najdawniejsi przyjaciele Prestimiona sami go do niej namawiali.

Dekkeret przemówił ostrożnie, z nadzieją, że Prestimion nie wyłapie dwuznaczności w jego zdaniu:

– Przysięgam, wasza wysokość, że zrobię, co będzie konieczne, by przywrócić pokój i prawo w Zimroelu.

Prestimion skinął głową. Był teraz spokojniejszy, mniej zarumieniony, niż chwilę wcześniej, opuściła go część napięcia.

– Pewien jestem, że tak zrobisz, Dekkercie. A jaki dokładnie masz plan?

– Opracuję go najszybciej, jak się da, wasza wysokość – więcej dwuznaczności, ale Prestimion nie był nią zaniepokojony. – Niemądrze byłoby podejmować teraz pochopne decyzje. Śmierć twojego brata zostawiła mnie bez Wysokiego Doradcy, a nie miałem jeszcze ochoty wybrać nowego. Z tego względu, wasza wysokość...

– Traktujesz mnie dziś nader oficjalnie, Dekkercie.

– Tak, ponieważ omawiamy ważne sprawy, dotyczące wojny i pokoju. Przyjaźnimy się od wielu lat, ale jesteś też moim Pontifexem, Prestimionie. I – wskazał Septacha Melayna – znajdujemy się w towarzystwie twojego Wysokiego Rzecznika.

– Tak. Tak, oczywiście. To są poważne sprawy i poważny ton jest bardzo na miejscu. Dekkercie, przemyśl to przez kilka dni – po raz pierwszy w ciągu tego spotkania Prestimion

się uśmiechnął. – Ale niech droga, którą wybierzesz, pozwoli nam pozbyć się Mandraliski.

Kiedy Dekkeret wrócił do pokoju, położonego o piętro niżej niż apartamenty Prestimiona, Fulkari natychmiast zauważyła, jakie wrażenie zrobiło na nim spotkanie z Pontifexem. Prędko naląła mu wina i kiedy pił, czekała, co powie.

Wreszcie powiedziała:

– Kłopoty, prawda?

– Na to wygląda.

Ledwo zmuszał się do mówienia. Trochę kręciło mu się w głowie ze zmęczenia, z głodu, z wysiłku, który kosztowało go to dziwne, pełne napięcia spotkanie.

– W Zimroelu?

– W Zimroelu.

Fulkari patrzyła na niego dziwnie. Nigdy wcześniej nie widział w jej pięknych, szarych oczach tak głębokiego zaniepokojenia. Rozumiał, że musi wyglądać strasznie. Całe ciało miał napięte. Za oczami czuł bolesne łomotanie. Bolały go mięśnie szczęki, pewnie od nieszczerých uśmiechów. Wziął z jej rąk drugi kielich i wypił równie szybko, jak pierwszy.

– Czy w ogóle chcesz o tym rozmawiać? – spytała łagodnie po chwili ciszy.

– Nie. Nie mogę. Nie mogę, Fulkari. To sprawy wagi państwowej.

Dekkeret podszedł do okna i stanął plecami do niej, patrząc w noc. Przed nim leżało całe tajemnicze piękno Stoiën, smukłe budynki na ceglanych postumentach, w oddali wznoszące się sztuczne wzgórza, oszałamiające bogactwo tropikalnej roślinności. Fulkari milczała, stojąc gdzieś po drugiej stronie pokoju. Wiedział, że zranił ją ostrym słowem. W końcu była towarzyszką jego życia. Nie była jeszcze jego żoną, ale nią zostanie, kiedy tylko napięcie wynikające z tego niespodziewanego kryzysu ustąpi na wystarczająco długo, by dało się wyprawić królewskie wesele. Tymczasem on odezwał się do niej, jakby była tylko zabawką na jedną noc, z którą nie można było podzielić się choć słowem na temat tego, co działo się pomiędzy Pontifexem i Koronalem. Zrozumiał, że kazał jej dźwigać całe brzemie bycia małżonką Koronala, ale nie wtajemniczył jej w wyzwania, które to zadanie ze sobą niosło.

Pozwolił, by minęło parę chwil.

Potem powiedział:

– Dobrze. Nie ma sensu tego przed tobą ukrywać. Prestimion jest tak wściekły przez całą tę sprawę z Mandraliską, przez jego bunt, że chce go zakończyć siłą. Mówi, że wyśle na Zimroel armię, by go zdławić. O ile dobrze go zrozumiałem, nie zamierza nawet postawić

ultimatum, po prostu zaatakuje.

– A ty się nie zgadzasz, tak?

Dekkeret odwrócił się do niej.

– Oczywiście, że się nie zgadzam! Jak myślisz, kto miałby prowadzić tę armię? Kto byłby odpowiedzialny za wysłanie wojsk do Piliploku i w górę rzeki, do Ni-moya? Nie Prestimion, Fulkari. Nie Prestimion stanie pod bramami Ni-moya i zażąda ich otwarcia, nie on je wyważy, jeśli nie zostanie wysłuchany.

Patrzyła na niego spokojnie, nieruchomo. Kiedy przemówiła, głos miała spokojny.

– Oczywiście. Rozumiem, że to należy do Koronała.

– A myślisz, że mieszkańcy Zimroelu powitają najeźdźców z otwartymi ramionami, miłością i pocałunkami?

– Zgadzam się, Dekkerecie, to będzie paskudna sprawa. Ale jaki masz wybór? Wiem trochę z tego, co mówił ci Dinitak, wiem o hełmie, którego używa ten Mandralisca, wiem, co nim robi i jak podpuścił tych pięciu braci, by ogłosili niepodległość Zimroelu. Co innego może Pontifex zrobić w obliczu otwartego buntu, jeśli nie wysłać armię, by się z nim uporała? A jeśli będą ofiary... cóż, kto może temu zapobiec? Trzeba zachować wspólnotę.

Teraz to on gapił się na nią.

Widział Fulkari taką, jak nigdy wcześniej. Lady Fulkari z Sipermit, kobietę z arystokracji, której przodkowie pochodzili od Lorda Makhario. Oczywiście nie widziała nic złego w zdławieniu rebelii Sambailidów siłą. Dotarło do niego nagle, że po wszystkich latach na Zamku, po tym, jak został Koronałem, po raz pierwszy naprawdę widział największą różnicę pomiędzy arystokratami z Góry a prostaczkiem jak on sam.

Nie wspominał o tym jednak. Powiedział po prostu:

– Nie chcę wypowiadać wojny mieszkańcom Zimroelu. Nie chcę zabijać niewinnych, palić miast i wiosek, nie chcę burzyć murów Ni-moya.

– A Mandralisca?

– Trzeba go powstrzymać. „Zniszczyć”, jeśli mam użyć słów Prestimiona. Chcę jednak znaleźć inny sposób, by to osiągnąć, inny niż otwarta wojna z mieszkańcami Zimroelu

– Dekkeret spojrział na kredens, na wino, ale postanowił nie pić trzeciego kielicha. – Poślę po Dinitaka. Muszę z nim porozmawiać.

– Teraz? – zapytała Fulkari, patrząc na niego z udawanym przerażeniem.

– Udzieli mi bezcennych rad. Jest najbliższej bycia Wysokim Doradcą ze wszystkich, którzy mnie otaczają.

– Masz jeszcze mnie. A ja udzielę ci następującej wysokiej rady: przyjechaliśmy tu

dwie i pół godziny temu, może więcej, i nie mieliśmy nawet czasu, by coś zjeść. Jedzenie jest dobre, gdy jest się głodnym. Jedzenie jest ważne. Jedzenie jest przyjemne.

– W takim razie niech do nas dołączy.

– Nie, Dekkercie. Nie.

– Cóż to? Czyżbyś mi się otwarcie sprzeciwiała? – jej upór raczej go bawił, niż irytował.

W oczach Fulkari także błyszczało rozbawienie.

– Można to tak nazwać. Poza tym pokojem jesteś Koronalem, to prawda, ale tutaj... tutaj... och, Dekkercie, nie bądź głupi! Nie możesz być Koronalem w każdej sekundzie życia! Nawet Koronał musi wypocząć po całodziennej podróży. Jesteś teraz zbyt zmęczony, by myśleć z sensem albo dyskutować z Dinitakiem. Niech nam przyniosą kolację. A potem chodźmy do łóżka – teraz w jej oku był inny błysk. – Prześpij się z tym. Módl się o pożyteczny sen. Rano porozmawiasz z Dinitakiem.

– Ale Prestimion chce...

– Cicho – przykryła mu usta dłonią. Przytuliła się do niego, a on objął ją wbrew sobie i zatopił się w jej uścisku. Ich usta spotkały się. Jego ręce wędrowały po jej smukłych plecach.

Fulkari ma rację, pomyślał. Nie muszę być Koronalem w każdej sekundzie życia.

Dinitak może zaczekać. Prestimion może zaczekać. Mandralisca też poczeka.

Tej nocy, gdy Dekkeret spał, z głębokiej studni jego ducha wypłynęły na powierzchnię fragmenty wspomnień i zaczęły tańczyć w jego umyśle. Luźne strzępy niedawnej przeszłości próbowały połączyć się w sensowną całość.

Jest w Shabikant, klęczy przed dwoma wróżebnymi drzewami, pradawnymi drzewami Słońca i Księżycy. Dobiega z nich słabiutki dźwięk, odległy, szeleszczący odgłos, jakby po trwającej wiele wieków ciszy drzewa próbowały zebrać siły i przemówić do nowego króla, przekazać mu coś, co musi wiedzieć.

Jest w Kesmakuran, na grobie Dvorna, pierwszego Pontifexa. Klęczy przed wielkim pomnikiem pradawnego monarchy, słodki dym z ziół płonących w zagłębieniu przed nim wypełnia jego płuca i wdziera się do umysłu. Zamyka oczy i słyszy głos w głowie, przemawiający dziwnie, bez słów i zanim zamienia się w pozbawione znaczenia bum, bum, bum, mówi mu, że wprowadzi wielkie zmiany, niemal tak wielkie, jak te, których dokonał

Dvorn, tworząc Pontyfikat.

Jest na targu w Thilambaluc, z Dinitakiem. Jarmarczny astrolog przepowiada przyszłość Dinitaka za pięćdziesiąt wag, ale ledwo zaczyna, nagle wytrzeszcza oczy w szoku i przerażeniu, wciska monety Dinitaka z powrotem do jego rąk, mówi, że nie jest w stanie nic przepowiedzieć, że nie weźmie jego pieniędzy i ucieka.

– Nie rozumiem – mówi Dinitak. – Jestem aż taki straszny? Co on zobaczył?

Pierwszego dnia rządów chodzi samotnie po Zamku, stoi przed salą sądową, którą zbudował Prestimion, a mag Su-Suheris, Maundigand-Klimd, przychodzi i prosi go o prywatną audiencję. Mówi mu, że miał tajemnicze objawienie, w którym widział Potęgi Królestwa zebrane przed Tronem Confalume'a i odprawiające jakiś ważny rytuał. W wizji Su-Suherisa poza Pontifexem, Koronalem i Panią Wyspy obecna jest czwarta Potęga. Dekkeret tego nie rozumie, jak może istnieć czwarta Potęga Królestwa? Maundigand-Klimd mówi:

– Muszę dodać jeszcze jedno, mój panie.

Su-Suheris mówi, że nieznana, czwarta Potęga posiada wzorzec członka rodziny Barjazidów.

Te fragmenty wspomnień krążyły w kółko i w kółko w śniącej pamięci Dekkereta, aż wreszcie połączyły się w jedno i wzór stał się jasny... Tajemniczy, odległy dźwięk, dochodzący spomiędzy korzeni wróżebnych drzew, słowa bez słów posągu pierwszego Pontifexa, strach w oczach astrologa z targu, wizja Maundiganda-Klimda...

Tak.

Dekkeret usiadł, całkowicie obudzony, tak przytomny, jak nigdy wcześniej. Serce mu waliło, pot lał się z każdego pora skóry.

– Czwarta Potęga! – krzyknął. – Król Snów! Tak! Tak!

Leżąca obok niego Fulkari poruszyła się i otworzyła oczy.

– Dekkeret? – zapytała nieprzytomnie. – O co chodzi? Czy coś się stało?

– Wstawaj! Umyj się, ubierz, Fulkari! Muszę natychmiast porozmawiać z Dinitakiem.

– Jest środek nocy. Dekkerecie, obiecałeś...

– Obiecałem, że się z tym prześpię, że będę modlił się o pożyteczny sen. Tak zrobiłem i miałem sen. Przyniósł mi coś, co nie może czekać do rana – wyskoczył z łóżka i szukał szaty. Fulkari siedziała, mrugała, tarła oczy, mamrotała do siebie. Pocałował ją lekko w czubek nosa i wyszedł na korytarz, szukać nocnego ochmistrza.

– Wezwijcie do mnie Dinitaka Barjazida! – wołał. – Ma tu być zaraz!

Dinitak pojawił się niemal natychmiast. Był w pełni ubrany i całkowicie przytomny. Dekkeret zastanawiał się, czy przyjaciel w ogóle spał. Dinitak był ascetą, pewnie uważał sen za stratę czasu.

– Wezwałbym cię zaraz po spotkaniu z Prestimionem – zaczął Dekkeret – ale Fulkari namówiła mnie, żebym poczekał, aż trochę odpocznę. Dobrze zrobiłem.

Szybko streścił Dinitakowi rozmowę z Prestimionem. Dinitak w ogóle nie wyglądał na zdziwionego, nie zaskoczyła go ani nieskrywana nienawiść Pontifexa do Mandraliski, ani jego pragnienie, by zdławić powstanie Sambailidów siłą. Powiedział, że dokładnie tego można było się spodziewać po kimś, kto został przez ten klan tak doświadczony, jak Prestimion.

– Powiem wprost, pomysł wypowiedzenia wojny Zimroelowi napawa mnie obrzydzeniem – oświadczył Dekkeret. – Lady Taliesme na pewno też będzie przeciwna. Zdaje mi się, że w głębi duszy Prestimion uważa podobnie.

– Możesz mieć rację. Nie kocha wojny.

– Ale ataki na jego własną rodzinę tak nim wstrząsnęły, że zniszczenie Mandraliski stało się jego najwyższym priorytetem i nie obchodzi go, jak się to dokona. Powiedział mi „Płyn do Zimroelu, Dekkerecie. Weź ze sobą największą armię, jaką zdołasz zebrać. Doprowadź sytuację do porządku. Zniszcz Mandraliskę”. Chce wojny, Dinitaku. A ja mam nadzieję, że wpłynę na niego, by zmienił zdanie.

– Myślę, że nie przyjdzie ci to łatwo.

– Też tak sędzę. Pontifex nie słynie z cierpliwości. Czuje, że jego rządy jako Koronala zostały splamione knowaniami wrogów i podejrzewa, pewnie słusznie, że za większością problemów stał Mandralisca. Znowu zaczęły się kłopoty, więc chce pozbyć się Mandraliski raz na zawsze. Któżby nie chciał? Ale dla mnie wojna jest ostatecznym środkiem. To ja, nie Prestimion, będę musiał dowodzić wojskiem.

– To go nie interesuje. Ty jesteś Koronalem. Pontifex określa politykę, Koronala ją wykonuje. Zawsze tak było.

Dekkeret wzruszył ramionami.

– W każdym razie, Dinitaku, jeśli tylko będę mógł, nie dopuszczę do wojny. Tak, pojedę do Zimroelu. Dopilnuję, by Mandralisca nie sprawiał już więcej kłopotów, tak jak chce tego Prestimion. A teraz chcę z tobą porozmawiać o tym, co wydarzy się, kiedy Mandraliski już nie będzie.

Otworzyły się drzwi i wyszła Fulkari, ubrana w zieloną ranną szatę. Uśmiechnęła się

do Dinitaka przyjaźnie, jakby chciała podkreślić, że nie widzi nic złego w tym, że Dekkeret prowadzi ważne rozmowy o tej porze. Dekkeret mrugnął do niej z wdzięcznością. Usiadła cicho przy oknie. Na wschodzie widać było pierwsze fioletowe pasy świtu.

– Założmy – powiedział Dekkeret – że problem Mandraliski jest rozwiązany, nieważne, pokojowo czy nie. Stłumiliśmy powstanie pięciu Sambailidów, daliśmy im do zrozumienia, że nie warto znowu wpadać na podobne pomysły. Pewnie nie uda im się bez Mandraliski, który by za nich myślał. W porządku. Pozostaje pytanie: co może zapobiec pojawianiu się takich Mandralisk w przyszłości? On i jego pan, Dantirya Sambail, ściągnęli na świat całe pokolenie kłopotów. Nie możemy pozwolić, by coś takiego się powtórzyło. I właśnie... przyszedł mi do głowy pomysł, bardzo dziwny pomysł i w środku nocy...

13

– Jesteś diukiem? – zapytał Zmiennokształtny, gdy Thastain wyprowadził go z gabinetu Mandraliski. – Prawdziwym diukiem? Jesteś bardzo młody.

Thastain wyszczerzył zęby.

– Nazywa mnie tak dla żartu. Czasem też zdarza mu się tytułować mnie hrabią. W rzeczywistości nie jestem jednak ani tym, ani tym. Mój ojciec był rolnikiem w Senneć, na zachód stąd. Kiedy zmarł, nie mogliśmy spłacić długów, więc straciliśmy farmę i wstąpiłem na służbę u Pięciu Lordów.

– Ale on nazywa cię diukiem – nalegał Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp. – Jesteś synem rolnika, a on nazywa cię diukiem. Mówisz, że to tylko żart. Ja myślę, że to dziwny żart. Wygląda właściwie jak kpina. Nie rozumiem ludzkich żartów. Ale w sumie czemu miałbym? Czy jestem choć trochę podobny do człowieka?

– W tej chwili wyłącznie z wyglądu – odpowiedział Thastain. – A to oczywiście może się zmienić. Chodźmy tędy, panie. Tymi schodami.

Odbywam uprzejmą rozmowę z Metamorfem, pomyślał zdumiony. Właśnie nazwałem go „panem”. Wygląda na to, że życie to nieprzerwane pasmo niespodzianek.

Kiedy spotkanie z Mandraliską się skończyło, ambasador Danipiur – Thastain zrozumiał, że tamten tym właśnie był, wysłannikiem królowej Zmiennokształtnych – ponownie przyjął ludzką postać, by móc wrócić do swojej kwatery. Teraz więc znowu był dziwnie wyglądającym, długonogim człowiekiem, który chodził, jakby opanował tę sztukę ledwo tydzień temu i mówił z dziwnym akcentem, ledwo zrozumiałym dla Thastaina. Chłopak uważał, że jako człowiek Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp jest niemal równie dziwaczny, co w swojej naturalnej postaci.

Jak każdy chłopiec ze wsi w północnym Zimroelu, Thastain został tak wychowany, że bał się Zmiennokształtnych i nienawidził ich. Byli dla niego przerażającymi, obcymi stworami z Piurifayne, leżącego w dżunglach na południowym wschodzie, pałającymi wieczną nienawiścią do ludzkich najeźdźców, którzy odebrali im świat trzynaście tysięcy lat temu. Metamorfowie mieli nie spocząć, póki go nie odzyskają. Choć Lord Stiamot zamknął

ich w rezerwacie w lesie deszczowym, wszyscy wiedzieli, że umiejętność zmieniania postaci umożliwia im wymykanie się z Piurifayne i mieszanie się z ludźmi. Robili najstraszniejsze rzeczy: zatruli studnie, kradli wierzchowce i blawy, porywali dzieci, by uczynić z nich niewolników w swoich wioskach w dżungli... A przynajmniej w to kazano wierzyć Thastainowi.

Nigdy wcześniej nie rozmawiał z Metamorfem, w każdym razie nie świadomie. Nigdy nawet nie widział przedstawiciela tej rasy z tak bliska. A teraz... „Chodźmy tędy, panie. Tymi schodami”. Przedziwne. „Chodźmy tędy, panie”.

Wyszli z pałacu prokuratora w jasne światło kolejnego doskonałego dnia w Ni-moya. Kwatery, w których z polecenia Mandraliski zatrzymywali się jego goście spoza miasta, znajdowały się o dziesięć minut drogi od rzeki: należało wejść na wzgórze obok kwatery głównej Ruchu i apartamentowca, w którym mieszkał Thastain, skręcić w lewo i wejść w podziemne przejście, szybko zmieniające się w szerokie schody, które prowadziły na kolejny poziom. To właśnie tutaj znajdowały się kwatery, mieszczące się w wielkiej, białej wieży. Większość budynków Ni-moya było podobnymi wieżami. Stały w rzędach, tworząc niby falangę wzdłuż Prospektu Nissimorn. Czterech z Pięciu Lordów miało swoje rezydencje przy Prospekcie Nissimorn, w części, gdzie zamiast apartamentowców stały rezydencje najzamożniejszych. Wszyscy znali Prospekt Nissimorn. Ulica ta była tak znana, że gdy Thastain ujrzał ją po raz pierwszy, zastanawiał się, czy gdy stanie na chodniku nie zaczną go mrowić nogi.

– Jego hrabiowska mość Mandralisca żartuje z ciebie – ciągnął dalej Metamorf, gdy wchodzili po kamiennych schodach – ale mimo to jesteś jednym z jego najważniejszych ludzi. Nie mam racji?

– Tak, jestem jednym z jego najbliższych współpracowników. Widziałeś przed chwilą pozostałych dwóch. Jacomin Halefice, Khaymak Barjazid i ja: to wewnętrzny krąg ludzi, którym najbardziej ufa.

Thastain pomyślał, że taka mniej więcej była prawda. Hrabia był spokojniejszy w towarzystwie Halefice'a, Barjazida i jego własnym. Mówił im rzeczy, których nigdy w życiu nie opowiedział nikomu, o dzieciństwie, o ojcu, o służbie u Dantiryi Sambaila. To musiało być oznaką jakiejś bliskości.

A jednak Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp, przerażając Thastaina celnością wypowiedzi, stwierdził:

– Jesteście ludźmi, którym ufa najbardziej, tak, ale jak bardzo wam ufa? Albo komukolwiek? I jak bardzo wy mu ufacie?

– Nie umiem odpowiedzieć na te pytania, panie.

– Sądzę, że twój hrabia Mandralisca jest trudnym człowiekiem. Dumnym, podejrzliwym, niebezpiecznym. Proponuje nam sojusz. Składa nam obietnice.

Thastain zrozumiał, co się działo. Zachował niezręczne milczenie.

Zmiennokształtny powiedział:

– W przeszłości nie wychodziliśmy dobrze na obietnicach waszej rasy. Pontifeksi i Koronalowie obiecywali, że poprawią nasze życie, że przywrócą nam przywileje, odebrane przez Lorda Stiamota, pozwolą swobodnie się przemieszczać. A wiesz, jak teraz żyjemy.

– Hrabia Mandralisca nie jest ani Pontifexem, ani Koronalem. Pragnie uwolnić ludność tego kontynentu od władzy podobnych królów. I chodzi mu o *całą* ludność, także przedstawicieli waszej rasy.

– Może tak – mruknął Zmiennokształtny. – A czy powiedziałbyś, że hrabia Mandralisca jest prawym człowiekiem?

Prawym?

Thastain pomyślał, że nie było to pierwsze słowo, które przychodziło mu do głowy, gdy miał opisać Mandraliskę. O sercu z kamienia, tak. Okrutny, może. Przerazający. Zawzięty. Zdeterminowany. Bezwzględny. Ale prawy? Prawy? Za czasów, gdy mieszkał w Sennece, Thastain poznał kilku ludzi, których na pewno tak by określił; dobrych, silnych, nieskomplikowanych ludzi, których słowo było absolutnie wiążące. Na przykład Liaprand Strume, sklepikarz, który zawsze gotów był otworzyć kredyt dla potrzebującego. Safiar Syamilak, komornik ojca i oddany strażnik ich ziem. I wielki, rudobrody mężczyzna z farmy w górze rzeki, ten, który uszkodził kręgosłup, gdy podnosił wóz, przygniatający małego chłopca... nazywał się Ghehdr Maglisk. Trzech prawych ludzi, co do tego nie było wątpliwości. Ciężko było dostrzec cechy wspólne tych trzech i hrabiego Mandraliski.

Z drugiej strony, kim był, żeby krytykować hrabiego przed Metamorfem albo kimkolwiek innym? Służył Mandralisce, nie Zmiennokształtnym. Jeśli ten stwór chciał się dowiedzieć, na ile hrabia jest godzien zaufania, niech robi to sam.

– Hrabia jest niezwykłym człowiekiem – odpowiedział wreszcie Thastain. To nie było kłamstwo. – Kiedy nasza ziemia zostanie wreszcie uwolniona spod jarzma Pontifexów, zobaczycie, jak hrabia Mandralisca dotrzymuje obietnic – to też była prawda, mniejsza z tym, ile warta. – Patrzcie, panie – powiedział Thastain, rozpaczliwie próbując zmienić temat. – Patrzcie jak popołudniowe światło pada na Kryształowy Bulwar.

– Bardzo pięknie, to prawda – powiedział Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp, osłaniając oczy przed blaskiem wydobywanym przez pęki obrotowych reflektorów z lśniącego bruku

bulwaru. – Wasze Ni-moya jest największym z miast. Jestem wdzięczny hrabiemu, że pozwolił mi tu przyjechać. Mam nadzieję, że kiedyś pokażę je członkom mojego klanu, kiedy twój hrabia wygra wojnę z Pontifexem i Koronalem. Bo taka jest jego obietnica, że wolno nam będzie tu przebywać.

– Taka jest jego obietnica – potaknął Thastain.

Jacomin Halefice był w budynku kwatery głównej Ruchu, kiedy Thastain wrócił odprowadzwszy Zmiennokształtnego. Chłopak ucieszył się na jego widok. Ostatnio pomiędzy Thastainem i adiutantem zawiązała się jakby nieć przyjaźni, opartej w głównej mierze na fakcie, że Halefice obawiał się, iż Khaymak Barjazid powoli wygryza go z pozycji ulubieńca Mandraliski. Thastain wiedział, że Halefice był przy boku Mandraliski od dawna, od czasów, kiedy obaj służyli Dantiryi Sambailowi. Razem walczyli przeciwko Prestimionowi w rebelii prokuratora.

Ale to Barjazid, którego Mandralisca znał dopiero od niedawna, miał kontrolę nad hełmami. Obecnie hrabia często faworyzował Suvraelczyka, ignorując Halefice'a. Z tej przyczyny Halefice postanowił kultywować przyjaźń z młodym i szybko awansującym Thastainem, tworząc niepisany sojusz przeciwko dalszemu wzrostowi znaczenia Barjazida.

Choć Thastain był młody, wiedział, że Halefice zachowuje się głupio. Martwienie się „afektem”, jakim mógł kogoś obdarzać Mandralisca, nie miało żadnego sensu. Hrabia nie posiadał afektu, a jedynie plany, pragnienia i cele. Otaczał się ludźmi, którzy mogli mu pomóc je wykonać i osiągnąć, lecz widział w nich tylko narzędzia i pozbywał się ich, gdy tylko z nich skorzystał. Jeśli myślałeś, że jesteś przyjacielem Mandraliski albo on twoim, oszukiwałeś się tylko.

Pomimo tego Thastain przyjmował starania Halefice'a z przyjemnością. Praca dla hrabiego Mandraliski straszliwie szarpała nerwy. Nigdy nie wiadomo było, kiedy popełni się ten ostateczny błąd, czasem nawet drobny, który sprowadzi na ciebie potworny gniew pana. Gdy Thastain wstąpił na służbę Pięciu Lordów, nie spodziewał się, że znajdzie się tak blisko hrabiego. Jacomin Halefice sprawiał, że bliskość ta była bardziej znośna. Adiutant był sympatycznym człowiekiem, łatwo się z nim dogadywało i jego towarzystwo dawało miłą ulgę po godzinie czy dwóch w towarzystwie hrabiego. Prócz tego, Jacomin Halefice być może będzie w stanie ochronić Thastaina przed gniewem Mandraliski, jeśli kiedyś chłopak stałby się jego celem. Prędzej czy później spotykało to każdego.

– To jak, zabrałeś Zmiennokształtnego do domu? – zapytał Halefice. – Niezła niespodzianka, zobaczyć jednego z tych cudaków na audiencji u hrabiego, nie? Ale nasz

hrabia sprzymierzy się z każdym, jeśli tylko pomoże mu to osiągnąć swoje cele.

– A uważasz, że włączanie Zmiennokształtnych do walki z Alhanroelem posłuży jego celom? Jak może ufać tym stworom?

– Tak, to banda śliskich węży – przyznał Halefice, uśmiechając się i kiwając głową. – Nie kocham ich bardziej, niż ty, chłopcze. Ale mimo to rozumiem, dlaczego Mandralisca może chcieć się z nimi sprzymierzyć. Mają jeszcze mocniejsze powody, by nienawidzić pontyfikatu, niż on. A nie zapominaj, że wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem. Mandralisca wierzy, że kiedy przyjdzie co do czego, lud Piurifayne zrobi wszystko, by utrudnić życie Prestimionowi i Dekkeretowi.

– A więc teraz Metamorfowie są naszymi przyjaciółmi! – zachnął się Thastain. – Co dzień robi się dziwniej. Poza tym, Metamorf nie ufa zbyt wiele hrabiemu. Nie do końca wierzy, że dotrzyma obietnicy dotyczącej zrównania ich praw po wojnie.

– Powiedział ci to? To bardzo ufne z jego strony. Na twoim miejscu nie mówiłbym nic Mandralisce.

– Czemu?

– A co to da? Jeśli Mandralisca chce zdradzić Metamorfów, kiedy nie będą mu już potrzebni, to zrobi to niezależnie od ich podejrzeń. I tak nie sądzi, że ktokolwiek mu ufa. Jeśli mu powiesz, że Zmiennokształtny sączył ci w uszy to, co właśnie mi powiedziałaś, hrabia zacznie się martwić, czy aby nie za bardzo zakumplowałaś się z naszymi nowymi sojusznikami. Mówię ci, zachowaj to dla siebie. Nawet mi o tym nie mów. Nie powiedziałaś mi. Zrozumiano?

– Zrozumiano – przytaknął Thastain.

– A co powiesz na spacer na Prospekt, kielbaski i piwo?

Thastain z przyjemnością wyszedł znów na słońce. Kręciło mu się w głowie. Nie spodziewał się poważnej rozmowy ze Zmiennokształtnym i myślał, że Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp uczynił go swoim powiernikiem mocno go niepokoiła. Jeśli Metamorfowie nie wierzyli obietnicom Mandraliski, niech sami mu to powiedzą, a nie szepczą o tym do ucha jego najmłodszemu i najmniej pewnemu siebie człowiekowi.

Pomimo że krótki kontakt ze Zmiennokształtnym wcale nie okazał się tak przerażający i obrzydliwy, jak Thastain się spodziewał – właściwie po tej krótkiej rozmowie zaczął postrzegać Zmiennokształtnych jak normalne istoty ze zwyczajnymi problemami, a nie mityczne potwory – wciąż czuł się źle, Mandralisca tak beztrąsko zmusił go do tego kontaktu. Nie powinien był tego wymagać. Stare warunkowanie było wciąż silne. Thastain nie pragnął towarzystwa Metamorfów. I wcale nie był pewien, czy tak wspianale jest służyć człowiekowi,

który uznał za słuszne się z nimi sprzymierzać.

W rzeczywistości Thastain był zmęczony Mandraliską i jego lodowatymi metodami. Hrabia traktował go stosunkowo dobrze, zdawał się nawet uważać jego towarzystwo za zabawne, ale chłopak wiedział, ile to naprawdę znaczyło. Nawet Metamorf dostrzegł pogardę, skrytą za kpiącym tytułem diuka.

– Zauważyłeś – zapytał Jacomin Halefice, kiedy stali nad rzeką i jedli kielbaski – jak spięty jest ostatnio hrabia? Nigdy nie był otwarty i pogodny, ale teraz jest już jak za mocno napięta struna harfy.

– To prawda – powiedział Thastain obojętnie. Już dawno temu nauczył się, że kiedy tematem rozmowy był hrabia Mandralisca, najlepiej było słuchać, potakiwać i milczeć.

– Khaymak uważa, że zbyt intensywnie używa hełmu – ciągnął Halefice. – Co noc przemierza za jego pomocą świat, wchodzi ludziom w umysły i robi z nimi to, co robi. Barjazid twierdzi, że korzystanie z hełmu bardzo wyczerpuje. A któż zna się na tym lepiej?

– Właśnie, kto?

– Ale ja myślę, że chodzi o coś więcej, niż sam hełm. Pomysł wypowiedzenia wojny Koronalowi to nie błażostka. Sądzę, że hrabia czasem boi się, że przecenił swoje możliwości. Wiesz, planuje wszystko sam. Pięciu Lordów to bezużyteczne stworzenia. Teraz jeszcze ten pomysł z przeciągnięciem na naszą stronę Metamorfów... każdy kontakt z *nimi* jest niebezpieczny. Trzeba ciągle uważać. Hrabia o tym wie. I zapewne ambasador Danipiur zdaje sobie sprawę, że tak samo musi patrzeć na hrabiego. Cóż za doskonała para! No, Thastainie, może jeszcze po kielbasce?

– Świetny pomysł.

– Oczywiście – perorował Halefice – nie jest ważne, czy hrabia zamierza zdradzić Zmiennokształtnych, tylko czy oni nie zdradzą nas. Jeśli hrabia nie przekonał Metamorfa, że jego obietnice są szczerze, to jaka jest szansa, że pomogą nam w chwili próby? Co będzie, jeśli uznają, że obietnica równości praw nie zasługuje na większą uwagę, niż wszystko, co przez lata mówili im Niezmienni i zostawią nas samych z naszą walką?

– Niezmienni?

– Tak nas nazywają. Jeżeli hrabia zbyt zawierzy dobrej woli naszych Zmiennokształtnych przyjaciół, może popełnić wielki błąd. Ale, rzecz jasna, Thastainie, w ogóle o tym nie rozmawiamy. Po prostu stoimy sobie ijemy kielbaski.

– Oczywiście – powiedział Thastain.

I pomyślał, że Halefice też uważa, że Mandralisca i Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp sobie nie ufają. Na pewno ma rację. W pewnym sensie są do siebie podobni, bo obaj są

śliskimi, zdradliwymi wężami, tak jak mówi Halefice. Cóż, zasługują na siebie nawzajem.

Ale, pomyślał, czy ja naprawdę zasłużyłem na któregokolwiek z nich?

– Chce spotkania przy śniadaniu – powiedział Prestimion. – Twierdzi, że będzie to rozmowa najwyższej wagi tylko pomiędzy nami dwoma, Pontifexem i Koronalem. Bez Septacha Melayna, bez Gialaurysa, nawet bez ciebie, Varaile. Ledwo wczoraj wieczorem prosił o czas, by móc przygotować plan inwazji, bo działa bez Wysokiego Doradcy. Jak myślisz, co mogło go opętać w nocy?

Varaile uśmiechnęła się.

– Doskonale cię zna, Prestimionie. Wie, jak kiepsko znosisz wszelką zwłokę.

– Nie myślę, żeby o to chodziło. Może ja jestem niecierpliwy i impulsywny, ale Dekkeret z pewnością taki nie jest. I ten jeden raz bym go nie pospieszał. Wczoraj zgodziłem się, żeby poświęcił trzy czy cztery dni na przemyślenia. Zamiast tego wraca do mnie już następnego ranka. Musi mieć jakiś powód. Tyle że wcale nie jestem pewien, czy mi się spodoba.

Spotkanie miało miejsce w prywatnej jadalni, przyległej do komnat Pontifexa, leżącej po wschodniej stronie, więc dającej wspaniały widok na złotozielone światło poranka. Na rozkaz Prestimiona cały posiłek podano od razu: owoce, ryby gotowane na parze, stos słodkich, brązowych ciastek stajja i lekkie, śniadaniowe wino. Obydwaj ledwo spróbowali jedzenia. Dekkeret był w bardzo dziwnym nastroju, spięty, naprężony jak zwinięta sprężyna, a jednak w jego oczach był dziwny, egzaltowany blask, jakby w nocy doznał wyjątkowej wizji.

– Pozwól, że przedstawię ci mój plan – powiedział, kiedy zakończyli obowiązkowe grzeczności. – Wraz ze zmianami, które opracowałem dziś w nocy.

W sposobie, w jaki Dekkeret to powiedział było coś wręcz teatralnego. Prestimion był tym zdumiony.

– Słucham.

– Zamierzam – opowiadał Dekkeret – natychmiast rozpocząć pierwszą Wielką Procesję moich rządów. W ten sposób będę miał wygodny i zupełnie niekontrowersyjny pretekst, by odwiedzić Zimroel. Skoro już jestem tutaj, na zachodnim wybrzeżu, ogłoszę, że

Zimroel będzie moim pierwszym przystankiem. Wyruszę kiedy tylko się da. Pożegluję prosto do Piliploku, w górę Zimru do Ni-moya, dalej aż do zachodnich ziem, zatrzymam się w Dulorn, Pidruid, Narabalu, Til-omon, wszędzie tam, gdzie „Lord Dekkeret” to tylko dwa słowa.

Przerwał, jakby chciał dać Prestimionowi szansę na wyrażenie aprobaty.

Pontifex zaś, coraz bardziej zdezorientowany jego słowami, powiedział:

– Przypominam ci, Dekkercie, że tam trwa powstanie. Wczoraj mówiliśmy, żebyś najechał Zimroel z dużą armią, aby je stłumić. O kampanii przeciwko rebeliantom, którzy sprzeciwiają się naszej władzy. O *wojnie*. To coś trochę innego od Wielkiej Procesji.

– Prestimionie – odparł Dekkeret spokojnie – to ty mówiłeś o inwazji. Nie ja. Inwazja na Zimroel, podniesienie ręki na jego mieszkańców, na mieszkańców mojego świata... to nie jest pomysł, który pochwalam.

– Tak więc sprzeciwiasz się pomysłowi, by zdławić tę rewolucję siłą.

– Całym sercem, wasza wysokość.

Prestimion poczuł, jak krew zaczyna buzować mu w żyłach. Spokój i pewność Dekkereta zdumiewały go nie mniej, niż zawarta w jego słowach jawna niesubordynacja.

Opanował się nie bez wysiłku.

– Wydaje mi się, mój lordzie, że nie masz wyboru. Jak możesz myśleć o Wielkiej Procesji w tak niezwykłej chwili? Z tego co wiesz, możesz przybyć do Piliploku i odkryć, że przysięgli wierność jednemu z Sambailidów, może nawet obwołali go swoim prokuratorem albo Pontifexem, i nawet nie wpuszczą cię na ląd. Wyobraź to sobie: Korona Majipooru zawrócony z portu! Co wtedy zrobisz, Dekkercie? Albo udasz się do Ni-moya i odkryjesz, że rzekę blokuje wroga flota. I zostaniesz poinformowany, że to terytorium Sambailidów i nie jesteś tam mile widziany. Co wtedy? Nie uznasz tego za wypowiedzenie wojny?

– Niekoniecznie. Przypomnę im o umowie, która zmusza ich do lojalności.

Prestimion zagapił się na niego.

– A jeśli cię wyśmieją, jakie podejmiesz kroki?

– Przysięgłem ci, Prestimionie, że zrobię wszystko, co konieczne, by przywrócić rządy prawa w Zimroelu. Zamierzam dotrzymać tej przysięgi.

– Środkami, które nie obejmują wojny.

– Tego nie powiedziałem. Będę miał ze sobą wojsko. Jeśli będę musiał, użyję go. Ale nie sądzę, żeby wojna okazała się konieczna.

– A jeśli powiem ci, że w moich oczach jest ona jedynym rozwiązaniem, to znajdziemy się w stanie otwartego konfliktu, tak? – Prestimion mówił spokojnie, ale z każdą

chwilą narastał w nim gniew. Nie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń. Przez te wszystkie lata, odkąd Dekkeret stał się najbardziej oczywistym kandydatem na Koronala, Prestimion nigdy nie wyobrażał sobie, że mogliby mieć różne zdania w ważnej sprawie wagi państwowej. Sprzeciw jego własnego protegowanego jawił mu się jako ostateczny akt zdrady.

– Dekkercie, nalegam, przemyśl to, co właśnie powiedziałaś.

– Jesteś Pontifexem, wasza wysokość. Jestem ci posłuszny we wszystkim i zawsze tak będzie. Ale mówię ci, Prestimionie, z całej duszy sprzeciwiam się tej wojnie.

– Ach – powtórzył Prestimion – z całej duszy.

Prestimion nie był tak zbity z tropu od chwili, gdy patrzył, jak syn Confalume'a, Korsibar, własnoręcznie zakłada koronę gwiazd i ogłasza się królem. Co ma zrobić Pontifex, kiedy jego Koronał tak otwarcie sprzeciwia się rozkazowi? Confalume nie przygotował go na coś podobnego. Prestimion nagle zobaczył relację między sobą jako Pontifexem i Dekkeretem Koronalem tak, jak zapewne na swoją sytuację patrzył Confalume, starzejący się i coraz bardziej nieefektywny, kiedy przekazywał władzę młodemu i energicznemu Prestimionowi.

Z olbrzymim trudem powstrzymywał rosnącą wściekłość. Czuł, że za chwilę będzie krzyczeć i parskać. To się nie może wydarzyć. Żeby zyskać na czasie sięgnął po ciastko stajja, przełamał je, nadgryzł bez entuzjazmu i popił chłodnym, złotym winem.

– Znakomicie – powiedział w końcu Prestimion. – Myślisz, że uda ci się uniknąć wojny. Na pewno, skoro uparłeś się, by jej nie zacząć. Pozostaje jednak problem Mandraliski i jego powstania. Przysięgłeś, że to opanujesz. Jak zamierzasz to uczynić bez użycia siły?

– Tak samo, jak zrobiliśmy podczas kampanii przeciwko prokuratorowi. Mandralisca ma hełm. My też mamy hełm. Ma Barjazida, ja też mam Barjazida. Mój Barjazid pokona jego i wyłączy go z gry, a to pozostawi Mandraliskę na mojej łasce.

– To naiwne, Dekkercie.

Przez chwilę w oczach młodszego mężczyzny błysnął gniew.

– Ja natomiast uważam, że twoje pragnienie, by prowadzić wojnę przeciwko własnym poddanym nie pasuje do kogoś, kto ma się za wielkiego monarchę, Prestimionie. Szczególnie, że chcesz prowadzić tę wojnę przez pośrednika, wiele tysięcy mil od pola bitwy.

Prestimion nie mógł uwierzyć, że Dekkeret powiedział coś podobnego.

– No nie! – ryknął i uderzył ręką z stół z taką siłą, że sztućce podskoczyły, a butelka wina spadła. – niesprawiedliwe! niesprawiedliwe! niesłuszne i niesprawiedliwe!

– Prestimionie...

– Dekkercie, pozwól mi mówić. Muszę na to odpowiedzieć – Prestimion zdał sobie

sprawę, że dłonie ma zaciśnięte w pięści. Schował je pod stołem. – Nie pragnę wojny – powiedział tak spokojnie, jak tylko mógł. – Wiesz o tym. Ale uważam, że w tej sytuacji wojna jest nieunikniona. I, Dekkercie, jeśli nie masz dość odwagi, sam ją poprowadzę. Myślisz, że zapomniałem, jak się walczy? O nie, ty, mój lordzie, wracaj sobie na Zamek, a ja poprowadzę wojska do Zimroelu i dumnie zajmę miejsce w pierwszej linii, wraz z Septachem Melaynem i Gialaurysem, jak za dawnych lat – znowu podnosił głos. – Kto rozbił armię Korsibara pod Granią Thegomar, kiedy ty byłeś ledwie chłopcem? Kto w tym budynku założył hełm Barjazida, sięgnął i zniszczył Venghenara w dżungli Stoienzar? Kto...

Dekkeret błagalnie uniósł obie ręce.

– Spokojnie, wasza wysokość, spokojnie. Jeśli będzie wojna, niech nas Bogini broni, wiesz, że to ja ją poprowadzę i wygram. Ale błagam, zostawmy to na chwilę. Chcę ci powiedzieć więcej i ma to możliwe konsekwencje, sięgające daleko poza obecne problemy.

– Mów więc – powiedział Prestimion głucho. Był otepiały po wybuchu wściekłości. Żałował teraz, że wywrócił wino.

– Pamiętasz, Prestimionie – zapytał Dekkeret – jak rozmawialiśmy w sali degustacyjnej w Domu Muldemar. Byliśmy tylko we dwóch, jak teraz. Przypomniałeś mi o dziwnej przepowiedni Maundiganda-Klimda, że Barjazid zostanie czwartą Potęgą Królestwa. Żaden z nas wtedy tego nie rozumiał i uznaliśmy to za niemożliwe. Ale zeszłej nocy zrozumiałem znaczenie tej wizji. Potrzebna jest czwarta Potęga. Za twoją zgodą, uczynię nią Dinitaka Barjazida, kiedy tylko rozwiążemy kwestię Mandraliski i pięciu Sambailidów.

– Oszalałeś – powiedział Prestimion. Nie był już zły, tylko smutny.

– Proszę, wysłuchaj mnie. Ocenisz moje szaleństwo, kiedy skończę.

Prestimion odpowiedział zrezygnowanym wzruszeniem ramionami.

– Na Majjipoorze nigdy nie zaznano takiego dobrobytu, jak współcześnie – oświadczył Dekkeret. – Era Prankipina i Lorda Confalume'a, Confalume'a i Lorda Prestimiona, Prestimiona i Lorda Dekkereta. Zarazem jednak nigdy wcześniej nie zaznano podobnych problemów. Magowie i czarnoksiężnicy, powstawanie nowych, dziwnych kultów, kłopoty spowodowane przez Dantiryę Sambaila i Mandraliskę... To wszystko jest dla nas nowe. Być może jedno idzie w parze z drugim, dobrobyt i problemy, niepewność nowego bogactwa i tajemnice magii. A może po prostu mamy za dużą populację. Na świecie, wprawdzie ogromnym, żyje piętnaście miliardów ludzi, więc nie można uniknąć niezgody, a nawet konfliktów.

Prestimion siedział w milczeniu i zastanawiał się, do czego Dekkeret zmierza. Widać było, że Koronal przez pół nocy ćwiczył tę przemowę w głowie. Prestimionowi, szczególnie

po wybuchu złości sprzed paru chwil, wypadało posłuchać, zanim odrzuci szalony pomysł swego Koronala.

Dekkeret mówił dalej:

– W poprzednim trudnym okresie, który nazywamy czasami Dvorna, stworzono pierwsze dwie Potęgi, dzielące się władzą: Pontifexa, starszego, mądrzejszego monarchę, odpowiadającego za opracowywanie polityki, i Koronala, młodszego, bardziej energicznego, który ma tę politykę wykonywać i egzekwować. Później, kiedy umożliwił to nowy, cudowny wynalazek, pojawiła się trzecia Potęga, Pani Wyspy, która z pomocą swoich licznych współpracowników wchodzi co noc w umysły wielkiej rzeszy ludzi i daje im pociechę, pomoc i leczenie. Jednak urzędnicy, z których korzysta Pani, mają swoje ograniczenia. Może mówić do umysłów, ale nie może ich bezpośrednio kontrolować. Za to hełmy, które wynaleźli Barjazidowie...

– Chciałeś raczej powiedzieć, że ukradli. Wynalazł je jękliwy, zdradziecki Vroon, Thalnap Zelifor. Jednym z błędów, za które kiedyś będę musiał zapłacić, było oddanie tego Vroona i jego hełmów w ręce Venghenara Barjazida. Dotąd czujemy tego konsekwencje.

– Barjazidowie, szczególnie Khaymak Barjazid, korzystali z projektów Vroona, ale ogromnie zwiększyli możliwości jego maszyn. Jak pamiętasz, ja pierwszy poczułem moc tych hełmów dawno temu, kiedy podróżowałem po Suvraelu. Jednak to, co wtedy czułem, choć bardzo silne, nie może równać się z mocą, którą dawał późniejszy hełm, wykorzystany przez ciebie do pokonania Venghenara Barjazida w Stoienzar wiele lat temu. Zaś hełm, który doprowadził twojego brata do utraty zmysłów i skrzywdził tyle osób na całym świecie jest jeszcze potężniejszy. To naprawdę straszliwa broń.

Dekkeret pochylił się i świdrował Prestimiona wzrokiem.

– Świat – powiedział – potrzebuje bardziej surowego rządu, niż istniejący przez ostatnie lata. W przeciwnym wypadku wciąż będą pojawiać się Mandraliski. Proponuję, byśmy zajęli się hełmami, przekazali je Dinitakowi Barjazidowi i uczynimy go odpowiedzialnym za wyszukiwanie złoczyńców, za kontrolowanie ich i karanie przy użyciu potężnych przesłań, zsyłanych z pomocą hełmu. Będziemy monitorować umysły mieszkańców świata i zwalczać niegodziwych. W tym celu potrzebować będzie statusu i władzy Potęgi Królestwa. Nazwiemy go, powiedzmy, Królem Snów. Będzie równy nam. Dinitak jako pierwszy otrzyma ten tytuł, później będzie on przechodził dziedzicznie przez pokolenia. To wszystko, wasza wysokość.

Zdumiewające, pomyślał Prestimion. Niewiarygodne.

– Dinitak, jak rozumiem, nie ma obecnie spadkobierców – odpowiedział natychmiast.

– Ale to najmniejszy zarzut, jaki mam do twojego planu.

– A pozostałe?

– To tyrania, Dekkercie. W tej chwili rządzymy za zgodą ludzi, którzy pozwolili nam zostać królami. Jeśli jednak skorzystamy z broni, która pozwoli nam kontrolować ich umysły...

– Dawać im wskazówki. Tylko nikczemni muszą się tego obawiać. Ta broń już jest w użyciu. Lepiej będzie, jeśli przejmemy ją dla siebie, zabronimy korzystania z niej wszystkim innym, niż gdybyśmy mieli zostawić ją dla kolejnych buntowników. Nam przynajmniej można ufać. Tak w każdym razie wolę uważać.

– A twój Dinitak? Czy jemu można ufać? Przypominam ci, że jest Barjazidem.

– Z krwi – odparł Dekkeret – ale nie z natury. Widziałem to w Suvraelu, kiedy przekonywał Venghenara, swojego ojca, by pojechał ze mną na Zamek i pokazał ci pierwszy hełm. Potem, kiedy przyszedł do nas w Stoien, przynosząc urządzenie, które mogliśmy wykorzystać przeciw jego ojcu. Pamiętasz, że wtedy miałeś wobec niego podejrzenia? Pytałeś, jak możesz mu zaufać. Myślałeś, że może to być jakiś nowy plan Dantiryi Sambaila. Powiedziałem wtedy: „Zaufaj mu, panie. Zaufaj”. Zaufałeś. Myliłem się?

– Wtedy nie.

– Teraz też się nie mylę. Prestimionie, to mój najbliższy przyjaciel. Znam go jak nikogo innego. Prowadzą go tak mocne zasady, że przy nim wszyscy wyglądamy jak byle złodziejaszki. Co powiedziałeś w Muldemar, kiedy odpowiedział ci prawdziwie, lecz nieco za ostro? „Nigdy nie przejmowałeś się dyplomacją, Dinitaku? Ale jesteś uczciwym człowiekiem”, albo coś podobnego. Zauważyłeś, że przyjechał tu ze mną, ale Keltryn nie?

– Keltryn?

– Młodsza siostra Fulkari. Mają z Dinitakiem mały romans... ale skąd mógłbyś o tym wiedzieć, Prestimionie? Kiedy się zaczął, byłeś w Labiryncie. W każdym razie nie wziął Keltryn ze sobą. Powiedział, że podróżowanie z niezamężną kobietą jest niewłaściwe. *Niewłaściwe!* Kiedy ostatnio słyszałeś podobne słowo?

– Zgadza się, bardzo święty młody człowiek. Może zbyt święty.

– Lepiej tak niż odwrotnie. Prędzej czy później ożenimy go z Keltryn, oczywiście, o ile będzie go chciała, bo Fulkari mówi, że wściekła się, gdy zostawił ją na Zamku, i dadzą początek plemieniu świętych Barjazidków, którzy będą sukcesorami swego wielkiego przodka i Królami Snów na stulecia. Strach przed okrutnymi snami, które może zesłać Król Snów, mógłby na zawsze utrzymać pokój.

– Piękne marzenie, prawda? Ale bardzo mnie niepokoi, Dekkercie. Kiedyś

postanowiłem bawić się umysłami wszystkich na świecie, pod Granią Thegomar, kiedy moi magowie wymazali wszelkie wspomnienia o powstaniu Korsibara. Myślałem, że to dobry pomysł, ale myliłem się i przyszło mi za to słono zapłacić. Teraz ty proponujesz inny rodzaj grzebania w umysłach, nieustanne monitorowanie. Nie pozwolę na to, Dekkercie, i to zamyka tę kwestię. Do ustanowienia podobnego systemu potrzebujesz zgody Pontifexa, a ja ci jej nie udzielam. Wracając do sprawy Mandraliski...

– Skazujesz nas na chaos, Prestimionie.

– Doprawdy?

– Świat jest zbyt skomplikowany, by dało się nim rządzić tylko z Zamku i Labiryntu. Pod rządami Prankipina, Confalume'a i twoimi Zimroel stał się bogaty i niespokojny. Wiedzą, ile zajmuje wysłanie do nich wojsk z Alhanroelu, by zajęły się jakimkolwiek problemem. Dantirya Sambail stający się prokuratorem i niby królem był zapowiedzią tamtejszego ruchu separatystycznego. Teraz poczyniono kolejny krok. O ile nie będziemy mieli możliwości szybkiego interweniowania, między kontynentami już zawsze będzie istnieć zagrożenie podziałem i insurekcją. Cały mechanizm się rozsypie.

– Naprawdę uważasz, że użycie hełmu Barjazida jest jedynym sposobem na utrzymanie światowego rządu?

– Tak. Jedynym, poza zamienieniem Zimroelu w obóz wojskowy z garnizonem imperialnym w każdym mieście. Myślisz, że to lepsze rozwiązanie? Co, Prestimionie?

Prestimion gwałtownie wstał i podszedł do okna. O niczym innym nie marzył, jak tylko o zakończeniu tej szaleńczej dyskusji. Dlaczego Dekkeret nie poddaje się nawet mimo odmowy Pontifexa? Czemu nie widzi, że jego wielki plan jest niewykonalny?

A może, pomyślał Prestimion, to ja nie rozumiem?

Przez chwilę w milczeniu patrzył na ulice Stoien. Pamiętał, jak kiedyś z innego okna tego budynku oglądał słupy dymu z pożarów wzniecanych przez szaleńców w czasach plagi szaleństwa, plagi, którą – choć niechcący – sam sprowadził na świat.

Czy chciał znowu oglądać takie pożary w miastach Majjipooru? W Zimroelu: w cudownym Ni-moya, w magicznym, kryształowym Dulorn, w owiewanym słodką, morską bryzą Narabalu?

„Skazujesz nas na chaos, Prestimionie”...

Czwarta potęga Królestwa.

Król Snów.

Młody Barjazid z hełmem, wyruszający nocami, wyszukujący tych, którzy mogli

zburzyć pokój, surowo przestrzegający ich przed konsekwencjami i karzący ich, jeśli pozostawali nieposłuszni.

„Z krwi, ale nie z natury”.

To byłaby wielka przemiana. Czy się ośmieli? O ileż prościej byłoby skorzystać z pontyfikalnego prawa veta, wysłać Dekkereta na Zimroel, by stłumił to nowe powstanie i wreszcie posłał Mandraliskę do grobu. Prestimion wróciłby do Labiryntu i do końca żył w imperialnym przepychu, jak Confalume. Już nigdy nie musiałby się mierzyć z problemami rządów, miałby od tego Koronala.

„Między kontynentami już zawsze będzie istnieć zagrożenie podziałem i insurekcją. Cały mechanizm się rozsypie”.

Z oddali dobiegł go głos Dekkereta:

– Wasza wysokość, pragnę zauważyć, że musimy brać pod uwagę wizję Maundiganda-Klimda. Podczas mojej podróży przez Alhanroel przy kilku okazjach sam doświadczyłem wizji, które, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, wskazywały...

– Cicho – powiedział łagodnie Prestimion, nie odwracając się. – Wiesz, co myślę o wizjach, przepowiedniach, taumaturgii i podobnych. Bądź cicho i daj mi pomyśleć, Dekkerecie. Błagam, człowieku, po prostu daj mi pomyśleć.

Król Snów. Król Snów. Król Snów. Król Snów.

Wreszcie powiedział:

– Pierwszym krokiem powinna, jak sądzę, być rozmowa z Dinitakiem. Przyślij go do mnie, Dekkerecie. Zdajesz sobie sprawę, że władza, którą chcesz mu powierzyć, przewyższa nawet naszą własną? Mówisz, że możemy mu ufać i najpewniej masz rację, ale ja nie mogę oprzeć się na opinii z trzeciej ręki. Musimy chyba odkryć, jak święty jest twój przyjaciel. Co będzie, jeśli jest zbyt święty? Co jeśli myśli, że nawet my dwaj jesteśmy żalonymi grzesznikami, których trzeba naprostować? Co wtedy dalibyśmy światu? Przyślij go do mnie na rozmowę.

– Teraz? – zapytał Dekkeret.

– Teraz.

15

– Plan jest następujący – dwie godziny później mówił Dekkeret do Fulkari. – Nazwiemy to po prostu Wielką Procesją. Nie będzie to oficjalnie wyprawa wojskowa. Ale *de facto* będzie to Wielka Procesja ogromnie przypominająca wojenną wyprawę. Koronalowi towarzyszyć będzie nie tylko własna straż, ale również niemały kontyngent wojsk Pontyfikatu. Nada to całemu przedsięwzięciu aspekt jakby misji pokojowej, ponieważ normalnie w Wielkiej Procesji uczestniczą wyłącznie ludzie Koronala. Będziemy więc przekazywać następującą wiadomość: „Oto wasz nowy Koronał i powitajcie go jak króla. Jeśli zaś ktoś spośród was ma zdradzieckie myśli o secesji, ostrzegamy, że za Koronalem idzie wojsko, które przemówi rebeliantom do rozumu”.

– To pomysł Prestimiona, czy twój?

– Mój. Oparty na jego dawnej sugestii, że dobrym sposobem na zbadanie sytuacji w Zimroelu będzie udanie się tam pod płaszczykiem Wielkiej Procesji. Właśnie go przekonałem, że lepiej będzie uznać użycie sił zbrojnych za środek ostateczny, do którego można się zawsze odwołać, jeśli zostaną źle przyjęte.

– Zimroel! – powiedziała Fulkari, potrząsając głową ze zdumienia. – Nigdy nie marzyłam nawet, że tam pojedę – oczy lśniły jej z podekscytowania. Jakby w ogóle nie wspominał o możliwości wybuchu zbrojnego konfliktu. – Oczywiście pojedziemy do Nimoya, prawda? A Dulorn? Podobno Dulorn wygląda jak miasto z bajki, całe jest z białego kryształu. A Pidruid? Til-omon? Och, Dekkerecie, kiedy ruszamy?

– Obawiam się, że nieprędko.

– Ale jeśli to taka pilna sprawa...

– Nawet mimo to. Statki do Zimroelu wypływają z Alaisor, najpierw więc musimy udać się tam. Trzeba zebrać flotę i zgromadzić wojska imperialne. To zajmie sporo czasu, pewnie całe lato. W tym czasie trzeba sporządzić i wysłać do każdego miasta Zimroelu, które odwiedzę, oficjalne proklamacje Wielkiej Procesji, by mogli przyjąć mnie z odpowiednim splendorem – uśmiechnął się. – Jest jeszcze jedna sprawa: powinniśmy się pobrać. Najlepiej pod koniec tygodnia. Prestimion zgodził się osobiście odprawić...

– Pobrać? Och, Dekkercie! – jej ton był mieszanką zdumienia i zachwytu, ale dominowało zdumienie. Dolna warga lekko jej drżała. – Tutaj, w Stoien? Nie będziemy mieć ślubu na Zamku? Wiesz, że zrobię to, gdzie zechcesz. Ale żeby tak zaraz...

Wziął jej dłonie w swoje.

– O ile mi wiadomo, ludność Zimroelu jest bardzo konserwatywna. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby Koronał odwiedził ich w towarzystwie...

– Konkubiny? Tego słowa szukasz? – Fulkari zrobiła krok w tył i roześmiała się. – Dekkercie, mówisz zupełnie jak Dinitak! Niewłaściwe! Źle widziane! Haniebne!

– Powiedzmy, że niezręczne. Sytuacja w Zimroelu jest tak delikatna, że nie mogę ryzykować żadnego fałszywego kroku. Ale, Fulkari, jeśli twoja odpowiedź brzmi „nie”, powiedz mi to teraz.

– Odpowiedź brzmi „tak”, Dekkercie! – odpowiedziała bez wahania. – Tak, tak, tak! Wiedziałaś o tym – mimo to radosny blask zniknął z jej oczu i odwróciła wzrok. Dalej mówiła zupełnie innym tonem. – Ale... zawsze myślałam... wiesz, tak, jak robi się to na Zamku, w kaplicy Apsimara, gdzie żenią się Koronałowie, a potem wesele na Dziedzińcu Vildivara...

Dekkeret zrozumiał. Mówiła do niego potomkini Koronała Makhario, lady Fulkari z Sipermit, której drugą naturą była zamkowa etykieta. Bała się, że zostanie pozbawiona wielkiej i wspaniałej ceremonii zaślubin, której spodziewała się od zaręczyn.

– Później możemy pobrać się na Zamku – powiedział łagodnie. – Pełna ceremonia, obiecuję, Fulkari, całe wielkie wydarzenie, twoja siostra będzie druhną, Dinitak drużbą, cały dwór będzie na nas patrzeć i spędzimy drugi miesiąc miodowy w Morpin Wysokim w wakacyjnej rezydencji Koronała. Ale *pierwszy* miesiąc miodowy spędzamy w Ni-moya. Po ślubie odprawionym przez samego Pontifexa, tu i teraz, zanim wróci do Labiryntu. Co ty na to?

– Cóż, oczywiście, nie możemy dopuścić, żeby Koronał odbywał Wielką Procesję w towarzystwie jakiejś małej ladaczniczki, prawda? Zalegalizujmy nasz związek! Poślubię cię, gdzie i kiedy tylko zechcesz – w jej oczach znów płonęły uroczne ogniki zachwytu i psoty. – Ale potem, mój lordzie, kiedy już wrócimy na Zamek... Żądam satyny i aksamitu, kaplicy Lorda Apsimara i Dziedzińca Vildivara...

To była prosta, niemal pobieżna ceremonia, całkiem nieprzystająca do poważnej okazji, jaką jest ślub Koronała: odbyła się w apartamencie Prestimiona, przewodniczył jej Pontifex, świadkami byli Varaile i Dinitak, Septach Melayn i Gialaurys stanowili jedynych gości.

Całość zajęła nie więcej niż pięć minut. Prestimion owszem, miał na sobie szkarłatno-czarne, oficjalne szaty, a na skroni Dekkereta była korona rozbłysku gwiazd, ale prócz tego równie dobrze mógł to być ślub sklepikarza i ślicznej, młodej sprzedawczyni w biurze miejscowego justycjariusza. Wszyscy obecni znali przyczynę pośpiechu. W odpowiednim czasie będzie miało miejsce królewskie wesele z prawdziwego zdarzenia – kiedy tylko rozwiąże się problem Pięciu Lordów Zimroelu. Teraz jednak trzeba było działać dla przyzwoitości. Lord Dekkeret i Lady Fulkari udadzą się do Zimroelu z obrączkami na palcach i nikt na zachodnim kontynencie nie powie złego słowa o zamkowej moralności.

Przynajmniej uczta weselna była odpowiednio wystawna. Podano wino w pięciu kolorach, półmiski ostryg ze Stoienzar, wędzonych mięs i pachnących, marynowanych owoców charakterystycznych dla tych tropikalnych okolic. Septach Melayn odśpiewał prastary hymn weselny przyjemnym, choć nieco niepewnym tenorem, a Fulkari, lekko wstawiona, niespodziewanie pocałowała Pontifexa z takim uczuciem, że Prestimion wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a lady Varaile biła jej brawo w wyrazie kpiącego podziwu. We właściwym momencie Dekkeret zabrał żonę i zaniósł ją do leżącego piętro niżej apartamentu, a uczynił to z tak chłopięcym zapałem, że można było pomyśleć, że będzie to ich pierwsza wspólna noc.

W parę dni później świta Pontifexa wyruszyła z powrotem do Labiryntu: statkami przepłynęli z półwyspu Stoienzar do sławnego z domów na drzewach Treymone, potem łądem przez Dolinę Velalisier i Pustynię Labiryntu do imperialnej stolicy. Podczas krótkiego pożegnania Dekkeret stał z Prestimionem na królewskiej kei, podczas gdy dzieci jego i Varaile wsiadały na statek. Septach Melayn i Gialaurys taktownie trzymali się z boku. Na prośbę Dekkereta mieli mu towarzyszyć w Wielkiej Procesji po Zimroelu.

Dekkeret krótko oświadczył, że żałuje ostrych słów, które niedawno między nimi padły, lecz Prestimion uciął temat, mówiąc, że sam żałował gniewu przy śniadaniu przynajmniej równie mocno i że najlepiej będzie zapomnieć o całej tej sytuacji. Zauważył, że skutkiem tej rozmowy była zgoda w najpoważniejszej może kwestii, jaką kiedykolwiek omawiał Koronał z Pontifexem.

Prestimion nie musiał dodawać, że zostawia całkowicie w rękach Dekkereta wszelkie decyzje co do rozwiązania problemu Zimroelu. Obaj wiedzieli, że było to zadanie Koronała, nie Pontifexa.

Co się zaś tyczyło nadejścia nowej Potęgi Królestwa i mianowania Dinitaka Królem Snów, o tym także nie rozmawiali. Dekkeret wiedział, że Prestimionowi wciąż niezupełnie podoba się ten pomysł, ale że ostatecznie nie przeszkodzi w jego realizacji. Prestimion

rozmawiał z Dinitakiem, choć żaden z nich nie przekazał szczegółów Dekkeretowi. Ten stwierdził, że zapewne wszystko się udało. Najpierw jednak trzeba się było zająć kampanią przeciwko Mandralisce.

Na koniec uścisnęli się ciepło, choć jak zawsze różnica wzrostu sprawiła, że było to dość niezręczne. Prestimion pożegnał Dekkereta i kolejny raz pogratulował mu z okazji ślubu, życzył mu udanej Wielkiej Procesji i powiedział, że kiedy tylko skończy się ta sprawa, spotkają się na Zamku. Potem odwrócił się i z istic imperialną godnością wszedł na pokład statku, który miał go zawieźć do Treymone.

Dekkeret, jego małżonka i towarzysze, wraz z resztą królewskiej świty wyruszyli pięć dni później. Oni także zaczęli podróż statkiem, pożeglowali ze Stoien przez Zatokę do małego, cichego portu na zachodnim brzegu, Kimoise. Czekwały tam na nich śmigłe latacze, mające przewieźć ich do Alaisor przez Klai, Kikil i Steenorp, czyli dokładnie tą samą trasą, którą jechali na spotkanie Dekkereta z Pontifexem. Cekał ich długi okres oczekiwania w Alaisor, zanim zbierze się flota i wojsko.

Odbywała się prawdziwa mobilizacja. Dekkeret w to nie wątpił. Wiedział, że musi udać się do Zimroelu gotów do wojny, ale to, czy uda mu się jej uniknąć, będzie największym sprawdzianem jego rządów. Miał nadzieję, że tak będzie. Był Koronalem Lordem Zimroelu tak samo jak Alhanroelu, ale nie chciał zdobyć lojalności zachodnich poddanych mieczem.

To była czwarta wizyta Dekkereta w Alaisor, głównym mieście zachodniego wybrzeża. Podczas wcześniejszych trzech nie miał okazji, by porządnie je zwiedzić.

Podczas pierwszej wizyty, kiedy podróżował do Zimroelu z Akbalikiem z Samivole wiele lat temu, jeszcze jako młodziutki rycerz kandydat, zatrzymał się tylko na czas konieczny, by wsiąść na statek, płynący przez Morze Wewnętrzne. Kilka lat później znów jechał przez Alaisor, tym razem zabawił w nim jeszcze krócej, gdyż odbywał wówczas wariacką podróż przez cały świat na Wyspę Snu z informacją dla Prestimiona, że Venghenar Barjazid uciekł z więzienia na Zamku i zamierzał przekazać swoje kontrolujące myśli hełmy zbuntowanemu Dantiryi Sambailowi. Podczas ostatniej wizyty, ledwie kilka miesięcy wcześniej, Dekkeret był w Alaisor tylko przez parę dni, gdyż otrzymał wiadomość, że Prestimion dotarł do Stoien i pragnął jego natychmiastowej obecności. Ledwo miał okazję położyć wieniec na grobie Lorda Stiamota i już musiał ruszać.

Teraz miał więcej niż dość czasu na zwiedzanie Alaisor. Dekkeret wolałby bez zwłoki ruszyć do Zimroelu, ale trzeba było zebrać statki z odległych portów, wybudować nowe i zgromadzić żołnierzy z okolicznych prowincji. Czy mu się to podobało, czy nie, tym razem

czekał go długi pobyt w Alaisor.

Było to fenomenalnie położone miasto, idealny port morski. Tutaj do morza wpadała biegnąca na zachód przez Alhanroel rzeka Iyann. Wycinała szerokie przejście w czarnych, granitowych klifach, biegnących równoległe do morza, tworząc łącznik pomiędzy interiozem kontynentu i wielką zatoką w kształcie półksiężyca, leżącą u podnóża gór. Ta właśnie zatoka była portem Alaisor. Samo miasto wybudowano głównie wzdłuż wybrzeża, choć jego część sięgała położonych dalej wzgórz. Powstała tam spektakularnie położona dzielnica, zwana Wzgórzami Alaisor.

Dekkeret i Fulkari zatrzymali się w apartamencie na szczycie trzydziestopiętrowego budynku Alaisorskiej Wymiany Handlowej – zazwyczaj tutaj mieszkała rodzina królewska. Z okien widzieli ciemne szprychy wielkich bulwarów, biegnących nad wodę z każdego punktu miasta, a łączących się tuż pod nimi na okrągłym placu targowym, gdzie sześć olbrzymich, czarnych kamieni znaczyło grób Lorda Stiamota. Historia głosiła, że Stiamot, już w podeszłym wieku, był w drodze do Zimroelu, gdzie chciał prosić Danipiur Metamorfów o wybaczenie za wojnę, którą toczył z jej ludem i w Alaisor śmiertelnie zachorował. Prosił, by pochowano go twarzą w stronę morza. Tak przynajmniej głosiła legenda.

– Zastanawiam się, kto naprawdę tu leży – powiedział Dekkeret patrząc na pradawny grób. Kilku miejscowych kręciło się między obeliskami i przyozdabiało je kwiatami. Na grobie co dzień składano świeże kwiaty. – I czy Stiamot w ogóle istniał.

– A więc wątpisz w niego tak samo, jak wątpiłeś w Dvorna, gdy odwiedziłeś jego grób.

– Bo chodzi o to samo. Zgadza się, że człowiek imieniem Dvorn był pewnie dawno temu Pontifexem, ale czy to on założył Pontyfikat? Któż to wie? To było trzynaście tysięcy lat temu, czy po takim czasie potrafimy odróżnić historię od mitu? To samo z Lordem Stiamotem: żył tak dawno, że niczego nie możemy być pewni.

– Jak możesz tak mówić? Żył zaledwie siedem tysięcy lat temu. Siedem to co innego niż trzynaście. W porównaniu z Dvornem jest prawie nam współczesny!

– Ach tak? Siedem tysięcy lat... trzynaście... to są niesamowite liczby, Fulkari.

– Czyli Stiamot nigdy nie istniał?

Dekkeret uśmiechnął się.

– O, na pewno istniał. I albo on, albo ktoś inny o tym samym imieniu pewnie pokonał Metamorfów i zmusił ich do zamieszkania w Piurifayne. Ale czy to był człowiek, który leży pochowany pod tymi obeliskami? A może po prostu pogrzebano tam kogoś pięć czy sześć tysięcy lat temu, kogoś podówczas ważnego, i stopniowo przyjęło się, że to grób Lorda

Stiamota?

– Dekkercie, jesteś okropny!

– Jestem tylko realistą. Czy wierzysz, że prawdziwy Stiamot choć trochę przypominał tego, o którym opowiadają nam poeci? Tego bohatera o nadludzkich zdolnościach, który podróżował z końca świata na inny tak, jak my przechodzimy przez ulicę? Obstawiam, że Lord Stiamot z „Księgi Zmian” jest w dziewięćdziesięciu pięciu procentach wymysłem.

– I myślisz, że to samo przydarzy się tobie? Czy Lord Dekkeret z wierszy, które napiszą za pięć tysięcy lat też będzie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach wymysłem?

– Oczywiście. I Lord Dekkeret, i lady Fulkari. Gdzieś w „Księdze Zmian” sam Aithin Furvain opowiada, jak Stiamot usłyszał balladę o którymś ze swoich zwycięstw nad Metamorfami i zapłakał, bo nic z tego, co o nim śpiewali, się nie zgadzało. Choć i to pewnie jest wymysłem. Varaile kiedyś mi powiedziała, że na targu śpiewano piosenki o walce Prestimiona z Dantiryą Sambailem i że Prestimion, o którym opowiadały, w niczym nie przypominał Prestimiona, którego znała. Możesz mi wierzyć, Fulkari, to samo spotka i nas.

Oczy jej lśniły.

– Wyobraź to sobie: wiersze o nas, Dekkercie, pisane za pięć tysięcy lat! Heroiczna saga o twojej wielkiej kampanii przeciwko Mandralisce i Pięciu Lordom! Bardzo chciałabym to przeczytać! A ty?

– Chciałbym wiedzieć, co poeta ma nam do powiedzenia o losach Lorda Dekkereta – odparł, z powagą patrząc na pradawny grobowiec na placu. – Wiedzieć, czy saga kończy się dobrze dla walecznego Koronała. A może jest tragedią? – wzruszył ramionami. – Cóż, przynajmniej nie musimy czekać pięć tysięcy lat, żeby się przekonać.

Tym razem nie dało się uniknąć drugiej ceremonii przy grobowcu, wizyty w świątyni Pani na Wzgórzach Alaisor i oficjalnej kolacji w Sali Topazowej w pałacu burmistrza Alaisor, Manganana Esheriza. W kolejnych tygodniach odbywała się nieustająca procesja innych oficjalnych wydarzeń, bo Alaisor korzystało z niespodziewanej, przedłużającej się obecności Koronała.

Dekkeret poświęcał tyle czasu, ile tylko mógł, na planowanie wizyty w Zimroelu: lądowanie w Piliploku, podróż w górę Zimru, wjazd do Ni-moya. Uczył się imion miejscowych oficjeli, studiował mapy i starał się odkryć potencjalne źródła problemów. Główny polegał na tym, by przybyć na czele potężnej armii, a mimo to udawać, że to tylko pokojowa wizyta mająca na celu przedstawienie nowego Koronała zachodnim poddanym. Oczywiście, jeśli w Piliploku będzie na niego czekać armia buntowników, albo jeśli

Mandalisca posunie się do zablokowania przed nim portów, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko użyć siły. To jednak okaże się później.

Lato płynęło powoli. Dekkeret wiedział, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy zmienią się pory roku i nastaną przeciwne wiatry, wiejące z zachodu z taką siłą, że trzeba będzie odłożyć podróż na wiele miesięcy. Zastanawiał się, czy aby nie wybrał złej chwili, czy nie poświęcił za dużo czasu na zbieranie floty, że inwazja będzie musiała poczekać do wiosny, a to da jego wrogom mnóstwo czasu na przygotowanie obrony.

Wreszcie jednak wszystko przygotowano do wyjazdu, a wiatry wciąż były pomyślne.

Jego okręt admirałski nazywał się *Lord Stiamot*. Wiadomo: miejscowy bohater, Koronał, którego imię było synonimem tryumfu. Dekkeret podejrzewał, że okręt wcześniej nosił jakąś mniej szlachetną nazwę i został przemianowany specjalnie dla niego, ale nie przeszkadzało mu to.

– Niech ta nazwa będzie zwiastunem naszego powodzenia – powiedział Gialaurys z entuzjazmem, wskazując na złoty kadłub, gdy wchodzili na pokład. – Zdobywca! Największy wojownik!

– Fakt – odparł Dekkeret.

Gialaurys był też ogromnie podniecony – właściwie jako jedyny – kiedy wiele tygodni później w zasięgu wzroku pojawił się port Piliploku. Nastąpiło to po powolnym i niespokojnym przebyciu Morza Wewnętrznego, którego największym wydarzeniem było napotkanie wielkiego stada smoków morskich. Olbrzymie morskie stwory towarzyszyły flocie Dekkereta dzień po dniu, pluskając się wokół niej z niepokojącą uciechą. Cięły niebieskozieloną wodę ogromnymi płetwami ogonowymi, a od czasu do czasu unosiły się ponad powierzchnię, ukazując niemal całe swoje monstrualne cielska. Ich widok zarazem zachwycał i przerażał. Wreszcie smoki zniknęły, ruszając w kolejny etap tajemniczej podróży, którą odbywały, nieustannie okrążając świat.

Kolor morza zmienił się na błotnisty szary, gdyż podróżni dotarli do miejsca, gdzie widać już było pierwsze ślady mułu i śmieci, wymywanych przez Zimr. Olbrzymia rzeka przez siedem tysięcy mil podróży na wschód niosła tony różnych rzeczy. U jej gigantycznego, szerokiego na ponad sześćdziesiąt mil ujścia, cały ten ładunek wylewał się do morza. Widok tej plamy oznaczał, że do Piliploku nie było już daleko.

Wreszcie dostrzegli brzeg Zimroelu. Od horyzontu wyraźnie odcinała się kredowobiała skała, położona na północ od Piliploku, która znaczyła miejsce, gdzie Zimr wpadał do oceanu.

Gialaurys był pierwszym, który zobaczył samo miasto.

– Piliplok na horyzoncie! – zahuczał. – Piliplok! Piliplok!

Tak, Piliplok. Dekkeret zastanawiał się, czy czeka tam na niego wroga flota.

Nie wyglądało na to. W zasięgu wzroku znajdowały się tylko jednostki handlowe, które pływały każda w swoją stronę, jakby nic się nie działo. Najwyraźniej Mandralisca, o ile nie skrywał jakiejś niespodzianki, nie zamierzał odmówić Koronalowi Majipooru prawa do postawienia stopy na ziemi Zimroelu. Bądź co bądź obrona całego kontynentu byłaby olbrzymim przedsięwzięciem, prawdopodobnie pozostającym poza możliwościami buntowników. Dekkeret uznał, że Mandralisca zapewne poprowadzi linię obrony bliżej Nimoya.

Gialaurys z trudem powstrzymywał zachwyty na widok swojego rodzinnego miasta. Zaklaskał radośnie w dłonie.

– Och, Dekkercie, to miasto dla ciebie! Przyjrzyj się mu dobrze, mój panie! Przyznasz, że jest wspaniałe, prawda?

Cóż, miał powody, by cieszyć się na widok swojego miasta. Za to Dekkeret, który był w Piliploku przy okazji podróży z Akbalikiem, wiedział, czego się po nim spodziewać i nie podzielał błogostanu Wielkiego Admirała. Piliplok bynajmniej nie było piękne. Było to jedno z tych miast, które kochać mogą tylko jego rdzenni mieszkańcy.

Kiedy wpłynęli do portu, Fulkari westchnęła ze zdumienia.

– Wiedziałam, że nie jest piękne, ale mimo to... mimo to, Dekkercie... Czy to miasto zaprojektował jakiś szaleniec? Jakiś obłąkany matematyk, zakochany w swoim planie?

Dekkeret zareagował podobnie, gdy był tu po raz pierwszy, a przez te dwadzieścia lat miasto wcale nie wypiękniało. Z centralnego punktu wspaniałego portu rozchodziło się promieniście jedenaście prostych dróg, przecinanych z idealną precyzją przez biegnące łukiem ulice. Każdy pierścień ulic wyznaczał inną strefę – magazynów nabrzeżnych, dzielnicy handlowej, strefy lekkiego przemysłu, okolic mieszkalnych i tak dalej – a w obrębie każdej dzielnicy wszystkie budynki wzniesione były w charakterystycznym dla niej stylu. Wszystkie też były dokładnie takie same. Dominujący styl każdej dzielnicy miał tylko jedną cechę wspólną z sąsiednimi: wszystkie charakteryzowały się ciężkością i brakiem uroku, które kłuły w oczy i psuły humor.

– W Suvraelu, gdzie niemal żadna roślina z północnych kontynentów nie wytrzyma upału i palącego słońca – powiedział Dinitak – sadzimy co się da: palmy, twarde kaktusy, nawet biedne roślinki z pustyni, byle tylko przydać miastom odrobinę piękna. Za to tutaj, w łagodnym, nadmorskim klimacie, gdzie może rosnąć wszystko, dobrzy mieszkańcy Piliploku

postanowili nie hodować niczego! – Potrząsając głową, wskazał na brzeg. – Dekkerecie, widzisz gdziekolwiek choćby łądzkę, gałąź, liść, kwiat? Nic. Nic!

– Całe tak wygląda – powiedział Dekkeret. – Bruk, bruk, bruk. Budynki, budynki, budynki. Beton, beton, beton. Ostatnio widziałem chyba ze dwa krzaczki. Na pewno zdążyli je już usunąć.

– Cóż, nie przyjechaliśmy tutaj się osiedlić, prawda? – rzucił lekko Septach Melayn. – Udawajmy więc zachwyt, jeśli zapytają nas o zdanie i zabierzmy się stąd najszybciej jak się da.

– Jestem za – przytaknęła Fulkari.

– Patrzcie – powiedział Dekkeret. – Oto nasz komitet powitalny.

Z portu wypłynęło pół tuzina jednostek. Dekkeret, wciąż zdenerwowany, zauważył z ulgą, że nie wyglądały na okręty wojenne. Rozpoznał w nich charakterystyczne dla Piliploku, dziwne łodzie, zwane smoczymi, bogato zdobione straszными, zębatymi galionami i groźnie wyglądającymi, kolczastymi ogonami. Wzdłuż burt miały wymalowane białe zęby i szkarłatno-żółte oczy. Na skomplikowanym omasztowaniu postawiono czarno-karmazynowe żagle, lecz widać było też powitalne, zielono-żółte bandery, symbolizujące władzę i autorytet Koronala.

Oczywiście, to może być jakaś zdradliwa sztuczka Mandraliski, pomyślał Dekkeret. Ale wątpił w to. Poczul się jeszcze pewniej, kiedy nad wodą dobiegł do niego dudniący przez megafony głos, wykrzykujący tradycyjne powitanie: „Dekkeret! Dekkeret! Chwała Lordowi Dekkeretowi!”. Bez wątpienia krzyżącym był Skandar. W Piliploku było więcej czwororękich niż gdziekolwiek indziej na świecie. Dekkeret wiedział, że sam burmistrz tego miasta, Kelmag Volvol, był Skandarem.

To właśnie on stał na dziobie głównego statku: olbrzymia, kudłata postać, wysoka niemal na dziewięć stóp, ubrana w czerwone szaty burmistrza, wykonująca znaki rozbłysku gwiazd po cztery naraz, po czym pokazująca, że pragnie wejść na pokład *Lorda Stiamota*, by porozmawiać. Gdyby to była pułapka, pomyślał Dekkeret, to czy przynęta w niej byłby sam burmistrz?

Dwa statki stanęły burtami obok siebie. Kelmag Volvol wspiął się do wiklinowego kosza transportowego. Spuszczono grubą linę, zakończoną potężnym hakiem, zazwyczaj używanym przy ćwiartowaniu smoków morskich i zaczepiono na niej kosz. Potem, przy użyciu wielokrążków, podniesiono go i zaczęto przenosić na drugi statek. Kosz powoli i spokojnie unosił się nad szparą pomiędzy jednostkami – Kelmag Volvol cały czas stał w nim

prosto i nieruchomo – po czym postawiono go obok kabestanu na pokładzie *Lorda Stiamota*.

Dekkeret uniósł obie ręce w powitalnym geście. Wielki Skandar, wyższy od Koronała niemal półtora raza, ukląkł i jeszcze raz zasalutował.

– Mój lordzie, witamy w Piliploku. Nasze miasto raduje się z waszej obecności.

Zgodnie z protokołem, musiała teraz nastąpić wymiana drobnych podarunków. Skandar przyniósł zaskakująco delikatny naszyjnik z przeplatanych kości morskiego smoka, który Dekkeret założył na szyję Fulkari, Koronał zaś dał burmistrzowi bogaty, fioletowo-zielony brokatowy płaszcz z Makroposopos, ozdobiony symbolem rozbłysku gwiazd i monogramem.

Następnie odbył się ceremonialny posiłek w kajucie Koronała. Spowodował on drobne trudności techniczne, ponieważ *Lord Stiamot* nie został zaprojektowany z myślą o Skandarach i Kelmag Volvol ledwo zmieścił się w klapie prowadzącej pod pokład. Musiał się zgarbić, żeby wejść do królewskiej kajuty. Choć była ona dość duża dla Dekkereta i Fulkari, Kelmag Volvol wypełniał ją niemal całkowicie. Septach Melayn i Gialaurys musieli zostać pod drzwiami.

– Panie, muszę zacząć od dość niepokojącej wiadomości – powiedział Skandar, kiedy tylko skończył się powitalny ceremoniał.

– Dotyczącej Ni-moya, mam rację?

– Tak, dotyczącej Ni-moya – odparł Kelmag Volvol. Rzucił okiem w kierunku dwóch stojących na zewnątrz mężczyzn. – To bardzo delikatna sprawa, mój panie.

– Przed Wielkim Admiralem Gialauryse i Wysokim Rzecznikiem Septachem Melaynem nie mam nic do ukrycia – odpowiedział Dekkeret.

– W taki razie – Kelmag Volvol wyglądał, jakby naprawdę się męczył. – Kwestia wygląda następująco, i żałuję, że to ja przynoszę takie wieści. Jeśli chodzi o waszą podróż do Ni-moya, odradzam ją. Wokół miasta, na trzysta mil w każdym kierunku, został ustawiony kordon wojsk.

Dekkeret skinął głową. Tego się spodziewał: Mandralisca pohamował swoje wielkie plany zdobycia władzy od razu nad całym Zimroelem i ograniczył się do okolicy, której mógł łatwo bronić. Pomimo to bunt był wciąż buntem.

– Kordon – powtórzył Dekkeret z namysłem, jakby był to tylko dźwięk, który nie niósł ze sobą żadnego znaczenia. – A co to właściwie znaczy, że ustawiono kordon wojsk wokół Ni-moya?

W otoczonych czerwienią oczach Kelmaga Volvola pojawił się prawdziwy ból. W wielkim zakłopotaniu poruszał czterema ramionami.

– Istnieje strefa, chroniona przez wojsko, do której nie mają wstępu przedstawiciele rządu imperialnego, ponieważ znajduje się ona pod władzą jego lordowskiej mości Gavirala, Pontifexa Zimroelu.

Septach Melayn parsknął ze zdumieniem.

– No proszę, Pontifex! Zimroelu!

Gialaurys zaś krzyknął:

– Obatożę go i przybiję jego skórę do bramy jego własnego pałacu, mój panie! Będzie...

Dekkeret gestem nakazał im spokój.

– Pontifex – powtórzył tym samym, pełnym namysłu tonem. – Nie prokurator, choć jego stryj, Dantirya Sambail, zadowolili się tym tytułem, ale Pontifex. Pontifex! Och, znakomicie! Bardzo odważnie! Nie porywa się na tron Prestimiona, tak? Naszemu nowemu Pontifexowi wystarczy władza nad zachodnim kontynentem, a na razie nad okolicami Ni-moya? Cóż, w takim razie podziwiam jego powściągliwość!

Dekkeret za późno przypomniał sobie, że Skandarzy nie byli w stanie pojąć ironii. Kelmag Volvol zareagował na te lekko rzucone słowa wybuchem zdumienia i strapienia tak wielkim, że trzeba go było natychmiast gorąco zapewniać, iż w rzeczywistości Koronał traktuje wydarzenia w Ni-moya z największą powagą.

– Ten Gaviral to który z braci? – spytał Dekkeret Septacha Melayna, który ostatnio zajmował się zbieraniem informacji o bratankach Dantiryi Sambaila.

– Najstarszy. Mały, intrygancki człowieczek, dysponujący odrobiną prymitywnej inteligencji. Pozostała czwórka to niewiele więcej niż wiecznie pijane zwierzęta.

– Tak – powiedział Dekkeret. – Jak ich ojciec, Gaviundar, brat prokuratora. Kiedyś go poznałem, przyjechał na Zamek za panowania Prestimiona i płaszczył się, by uzyskać jakiś przywilej związany z ziemią. Był jak zwierzę. Wielkie, nieokrzesane, cuchnące, ohydne zwierzę.

– Zdradził nas w bitwie pod Stymphinor podczas wojny z Korsibarem – dodał szybko Gialaurys – kiedy Navigorn niemal nas zmiażdżył, a Gaviundar i jego brat, Gaviad, podówczas nasi sojusznicy, haniebnie wstrzymywali swoje wojska. A teraz jego nasienie sprawia nam kolejne problemy.

Dekkeret znowu zwrócił się do Skandara, który stał skołowany rozmową o bitwach, o których nigdy nie słyszał, ale starał się to ukryć.

– Opowiedz mi o wszystkim. Do jakiego dokładnie terytorium rości sobie prawa Gaviral? Tylko do Ni-moya, czy to dopiero początek?

– Z tego, co tutaj wiemy – odpowiedział Kelmag Volvol – jego lordowska mość Gaviral, bo tak się kazał tytułować, „jego lordowska mość Gaviral”, ogłosił, że cały kontynent jest niezależny od rządu imperialnego. Wygląda na to, że już kontroluje Ni-moya. Wysłał ambasadorów do okolicznych okręgów, wyjaśnia przez nich swoje plany i żąda przysięg wierności. Wkrótce proklamuje nową konstytucję. Jego lordowska mość Gaviral wkrótce wybierze pierwszego Koronała Zimroelu. Powszechnie uważa się, że będzie to jeden z jego braci.

– Czy wspomina się o niejakim Mandralisce? – spytał Dekkeret. – Czy on w jakiś sposób w tym uczestniczy?

– Jego podpis widniał na proklamacji, którą otrzymaliśmy – odparł Kelmag Volvol. – Tak, „hrabia Mandralisca z Zimroelu, doradca jego wysokości, lordowskiej mości Gavirala”.

– Hrabia, ni mniej, ni więcej – mruknął Septach Melayn. – Hrabia Mandralisca! Doradca jego wysokości Pontifexa Zimroelu! Doprawdy, daleko zaszedł od czasów, kiedy kosztował win prokuratora, sprawdzając, czy nie są zatrute!

16

– Chciałeś mnie widzieć, wasza miłość? – spytał Thastain.

Mandralisca skinął głową.

– Przeprowadź do mnie Zmiennokształtnego, jeśli łaska, mój dobry diuku.

– Ale, panie, on wyjechał.

– Wyjechał? *Wyjechał?*

Mandralisca poczuł, że wzbiera w nim furia i rozczarowanie tak potężne, że aż go to zdumiało. Trwało to tylko chwilę, ale przez tę chwilę miał wrażenie, że unosi go rozszalały huragan. To była straszliwie przesadna reakcja, w dodatku nie przytrafiało mu się to po raz pierwszy.

Ostatnio zdarzały mu się podobne ataki wybujałych emocji. Pogardzał sobą za uleganie im. Były oznaką słabości.

Chłopak na pewno też to widział. Gapił się teraz na niego.

Mandralisca zmusił się do mówienia spokojniej.

– Dokąd wyjechał?

– Myślę, panie, że wrócił do Piurifayne. Chyba wezwała go Danipiur, by złożył jej raport.

Zdumiewające wiadomości. Mandralisca poczuł, że w jego umyśle budzi się kolejny huragan.

Sięgnął po jeździecki pejcz, który zawsze leżał na biurku, złapał za jego rączkę tak mocno, że aż zbieleły mu kostki palców i rzucił go w kąt. Żeby się uspokoić, podszedł do okna i zapatrzył się przez nie, ale to tylko pogorszyło sprawy, bo okazało się, że na zewnątrz pada deszcz. Przez trzy ostatnie dni Ni-moya zlewały niespodziewane deszcze. Nikt nie spodziewał się takich ulew późnym latem, kiedy powinna raczej nadejść sucha pora jesienna i zimowa. Za oknem była tylko szara ściana wody. Nie było w ogóle widać rzeki, choć płynęła tuż obok budynku. Tylko szarość, szarość, szarość. Nieustanne bębnienie wody o wielkie kwarcowe okno gabinetu zaczęło go już doprowadzać do szału. Jeszcze dzień i zacznie krzyczeć.

Spokój. Uspokój się.

Ale jak? Dekkeret – właśnie się o tym dowiedział – wylądował bezpiecznie w Piliploku z dużym kontyngentem wojsk. Za to Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp wrócił do Piurifayne na pogaduszki z królową.

– Wyjechał – powiedział Mandralisca – i nikt mnie nie poinformował? Dlaczego nie? Mieliśmy na dzisiaj zaplanowane ważne spotkanie – znowu wzbierał w nim czerwony przypływ gniewu. – Ambasador Metamorfów niespodziewanie wyrusza do domu, nawet nie zadaje sobie trudu przejścia po drodze przez mój gabinet, żeby się pożegnać, ale nikt mnie o tym nawet nie poinformuje!

– Panie, nie miałem pojęcia... Nie pomyślałem...

– Nie pomyślałeś! Nie pomyślałeś! Właśnie o to chodzi, Thastainie: nie pomyślałeś.

Chciał, by jego słowa zabrzmiały lodowato, ale zamiast tego wyszedł mu zdławiony skrzek. Mandralisca czuł się tak, jakby zaraz miała mu wybuchnąć głowa. Khaymak Barjazid powiedział mu ostatnio, że korzystanie z hełmu tak często, jak on to robił, mogło być niebezpieczne. Może i tak było, może przez to zrobił się trochę niestabilny emocjonalnie. A może to wszystko przez napięcie, które czuł teraz, u progu długo wyczekiwanej wojny o niepodległość. Nigdy wcześniej jednak nie miał takich problemów z zachowaniem panowania nad sobą – a teraz nie była na to pora.

Nie, kiedy Dekkeret jest w Piliploku. I kiedy odszedł ambasador Metamorfów.

Po raz drugi w ciągu półtorej minuty Mandralisca opanował swoje rozszalałe emocje i zmusił się do spokojnego przemyślenia spraw.

Już dawno porzucił plan obrony całego wybrzeża przed Koronalem. Podjął tę decyzję, gdy uznał, że czym innym było zaprosić ludność Zimroelu do przyłączenia się do władców Ni-moya w proklamowaniu niepodległości, a czym innym, szczególnie na tak wczesnym etapie powstania, wymagać od nich, by podnieśli rękę na namaszczonego Koronala. Po wielotygodniowym namyśle uznał, że najlepiej będzie pozwolić głodnym zemsty Zmiennokształtnym, by zajęli się Dekkeretem. Nagle jednak okazało się, że ta decyzja mogła być poważnym błędem strategicznym, postawieniem na niewłaściwego konia. Bojówki Zmiennokształtnych, które Mandralisca chciał rozmieścić w lesie wzdłuż prawdopodobnej trasy przemarszu Dekkereta na północ jeszcze nawet nie istniały, a teraz zniknął ambasador Metamorfów. Jego główny sprzymierzeniec. Tajna broń w walce z rządem Alhanroelu.

Danipiur poznała już najważniejsze punkty propozycji Mandraliski: swobody obywatelskie dla jej ludu w zamian za pomoc wojskową w walce z Dekkeretem. Być może Vitheysp Uuvitheysp Aavitheysp po prostu wrócił do domu, by omówić z królową szczegóły

dotyczące rozstawienia wojsk, o które prosił Mandralisca.

Może.

Ale dlaczego Zmiennokształtny nie wspomniał mu o tym choćby słowem? Może działo się coś dużo bardziej niepokojącego: co, jeśli Zmiennokształtni zmienili zdanie co do całego przedsięwzięcia? To, co wcześniej wydawało się takie proste, zaczęło przedstawiać sobą nieoczekiwane wyzwania.

Wiedział jednak, że gniew nie jest właściwą reakcją. Strach, rozpacz, niepokój – same bezużyteczne uczucia. Było za wcześnie, by pozwolić sobie na panikę. Trzeba się przygotować na niespodzianki, utrudnienia, błędy.

Mandralisca odezwał się najłagodniejszym tonem, na jaki było go stać:

– Thastainie, powinienem zostać natychmiast poinformowany. Żałuję, że tak się nie stało. Ale teraz nic na to nie poradzimy, prawda?

– Nie, wasza miłość – wyszeptał cichutko Thastain.

Chłopak był blady, drżał. Nie potrafił spojrzeć Mandralisce w oczy. Czy spodziewał się, że zostanie pobity za zaniedbanie? Może pejczem? Mandralisca nie widział Thastaina tak przerażonym od najwcześniejszych dni na Pustyni Biczów.

W tej chwili terroryzowanie podwładnych w niczym nie pomoże. Nagły wyjazd Vitheyspa Uuvitheyspa Aavitheyspa mógł, ale nie musiał być poważnym wydarzeniem, choć istniało prawdopodobieństwo, że wywoła komplikacje i zamieszanie. Jednak Mandralisca pomyślał, że niezależnie od tego, co planował Zmiennokształtny, teraz nie należało zniechęcać do siebie swoich kluczowych ludzi. Ten chłopak był lojalny, przydatny i inteligentny.

Mandralisca powiedział:

– Thastainie, chcę, żebyś teraz poszedł na Wielki Bazar, porozmawiał z jednym ze sprzedawców i powiedział mu, że chcę, aby skontaktował mnie z jednym z ważnych członków Gildii Złodziei. Słyszałeś o Gildii Złodziei z Ni-moya, prawda, Thastainie? O tym, jak działają na bazarze we współpracy z kupcami, odbierając im określony procent dóbr w zamian za ochronę przed niezrzeszonymi złodziejami, którzy nie wiedzą, kogo mogą okraść?

– Tak, panie.

– Dobrze. Porozmawiaj więc ze złodziejami. Mają kontakty z miejscową społecznością Zmiennokształtnych. Wiesz, to miasto jest ich pełne. Jest ich tu więcej, niż mógłbyś uwierzyć, czają się wszędzie. Skontaktuj się z nimi. Powołuj się na mnie. Jeśli będziesz musiał komuś zapłacić, nie krepuj się. Powiedz im, że mam pilną potrzebę przesłania przez jednego z nich wiadomości do Danipiur... Thastainie, pilną potrzebę –

powtórzył z naciskiem. – Jeśli znajdziesz kogoś skłonnego, by ją zanieść, przyprowadź go tutaj. Czy to jasne, Thastainie?

Thastain skinął głową, ale miał dziwny wyraz twarzy.

– Nie kochasz zbyt wielu Zmiennokształtnych, prawda, chłopcze? – zapytał Mandralisca.
– Cóż, któż ich kocha? Ale ich potrzebujemy. Potrzebujemy ich, rozumiesz? Ich współpraca jest ważna dla naszej sprawy. Dlatego też zatkaj nos i ruszaj na bazar, nie trać czasu – uśmiechnął się. Wewnętrzna burza mijała, znowu czuł się prawie sobą. – A po drodze powiedz Khaymakowi Barjazidowi, że chcę go natychmiast zobaczyć.

Barjazid spojrział na spoczywającą w dłoni Mandraliski metalową plecionkę, która była hełmem do kontrolowania myśli, potem na samego Mandraliskę, potem znów na hełm. W ogóle nie odpowiedział na prośbę hrabiego.

– Khaymaku? Nic nie mówisz, czekam. Proszę, weź hełm. Bierz się do pracy.

– Bezpośredni atak na umysł Lorda Dekkereta? Ekscelencjo, czy to rozsądne?

– Czy prosiłbym cię o to, gdyby tak nie było?

– To poważna zmiana planów. Myślałem, że umówiliśmy się, iż nie zaatakujemy bezpośrednio samych Potęg.

– Ostatnio nastąpiło kilka istotnych zmian planów – powiedział Mandralisca. – Dopasowaliśmy się do okoliczności politycznych i finansowych. Nie zablokowaliśmy morza, by zapobiec lądowaniu floty Koronała, choć był czas, kiedy o tym myśleliśmy. Nie rozstawiliśmy posterunków wzdłuż wybrzeża. Liczyliśmy na cenną pomoc ze strony Zmiennokształtnych, ale obecnie i w to należy wątpić. Dekkeret jest w Piliploku i wkrótce ruszy w naszą stronę. Ma ze sobą armię.

– Chciałbym przypomnieć waszej miłości, że my również mamy armię.

– Ach tak, ale czy stanie do walki? To jest kluczowe pytanie: czy stanie do walki? Co będzie, jeśli Dekkeret podejdzie pod nasze granice i oświadczy „Oto ja, wasz Lord Koronał”, a ludzie padną na twarze i zaczną robić znaki rozbłysku gwiazd? To ryzyko, które bardzo niechętnie podejmę. Nie, póki mamy to – otworzył zaciśniętą dłoń i wyciągnął przed siebie hełm. – Korzystając z tego, wypchnąłem brata Prestimiona poza krawędź szaleństwa, podobnie jak wielu innych. Czas popracować nad Dekkeretem. Weź go, Khaymaku. Załóż go. Wyślij swój umysł do Piliploku i zjrzyj w Dekkereta. Zaczynaj go rozkładać na kawałki. To może być nasza jedyna nadzieja.

Khaymak Barjazid znowu spojrział na hełm w dłoni Mandraliski, ale nie sięgnął po niego. Powiedział łagodnie:

– Ekscelencjo, od długiego czasu wiadomo, że posługujesz się hełmem lepiej niż ja. Masz mocniejszego ducha... silniejszy charakter...

– Khaymaku, mówisz więc, że tego nie zrobisz?

– Jeśli trzeba zmierzyć się z energią tak potężną, jak umysł Lorda Dekkereta, może lepiej będzie, jeśli to ty...

Mandralisca znowu poczuł wzbierający w nim huragan. Nie mogę na to pozwolić, pomyślał, opanowując się. Spokojnie. Spokojnie. Spokój.

Przemówił zimno i ostro.

– Ledwie parę dni temu powiedziałaś mi, że być może za często korzystam z hełmu. Znajduję w sobie pewne oznaki zmęczenia, które mogą o tym świadczyć – przesunął rękę na pejcz. – Nie marnujmy więcej energii na dyskusje, Khaymaku. Weź hełm. Teraz. I zajmij się Dekkeretem.

– Tak, wasza miłość – powiedział Barjazid z bardzo nieszczęśliwą miną.

Ostrożnie założył hełm, zamknął oczy, wszedł w podobny do transu stan, w którym operowało się hełmem. Mandralisca patrzył, zafascynowany. Hełm Barjazidów wciąż jawił mu się jako coś cudownego. Taka delikatna pajęczyna ze złotych drutów, a jednak można było jej użyć do sięgania na odległość tysięcy mil, do dotykania innych umysłów, nawet Pontifexa albo Koronala, i narzucania swojej woli... przejmowania kontroli...

Minęło już kilka minut. Barjazid pocił się. Pod mocną, suwraelską opalenizną jego twarz była zaczerwieniona. Pochylił głowę i zgarbił się jakby pod wielkim ciężarem. Czy dosięgnął Dekkereta? Wysyłał promienie czerwonej furii prosto w bezbronny umysł Koronala?

Jeszcze minuta... I kolejna...

Barjazid podniósł głowę. Drżącymi dłońmi zdjął hełm ze skroni.

– No i? – zapytał ostro Mandralisca.

– Bardzo dziwna rzecz, wasza miłość. *Bardzo* – mówił szorstkim, urywanym głosem. – Dosięgnęłam Dekkereta. Jestem tego pewien. Umysł Koronala... nie da się go z niczym pomylić. Ale był... *broniony*. Tylko tak to mogę określić. Jak gdyby jakoś osłaniał się przed moimi atakami.

– Czy to możliwe z technicznego punktu widzenia?

– Tak, oczywiście... jeśli sam ma hełm i wie, jak się nim posługiwać. Rzecz jasna ma dostęp do hełmów, tych, które dawno temu skonfiskowano mojemu bratu i zamknięto na Zamku. To całkiem możliwe, że Dekkeret ma jeden z nich przy sobie. Ale że umie go używać tak wprawnie... że w ogóle wie, jak z niego korzystać...

– I że miał go na głowie akurat w chwili, kiedy postanowiłeś zaatakować – dodał Mandralisca. – Tak, zbieg okoliczności jest niemożliwy. Może miałeś rację, może po prostu nie masz dość wewnętrznej siły, potęgi umysłu czy czego tam, by pokonać Dekkereta. Niech ja spróbuję.

Barjazid z ulgą oddał mu hełm.

Mandralisca przez chwilę trzymał go w obu dłoniach i zastanawiał się, czy to faktycznie dobry pomysł. Przez cały dzień aż za wyraźnie widział, że napięcie związane z prowadzeniem kampanii poważnie nadszarpnęło jego zasoby energii. Korzystanie z hełmu wiązało się z dalszym jej wydatkiem, a to mogło być niebezpieczne.

Gorzej jednak będzie pozwolić Barjazidowi zobaczyć, jak bardzo jest zmęczony. A gdyby udało mu się potężnym uderzeniem psychicznej siły zdruzgotać umysł wroga, który w przeciwnym razie wkrótce nadciągnie z Piliploku...

Załóżył hełm. Zamknął oczy. Wszedł w trans.

Wysłał umysł na południe, potem na zachód, na Piliplok.

Dekkeret.

Na pewno tam był. Tam, na wybrzeżu, ognistoczerwoną kulą mocy, niczym drugie słońce.

Dekkeret. Dekkeret. Dekkeret.

A teraz... uderzyć...

Mandralisca zebrał wszystkie siły. Bezpośredni atak na największego wroga, gwałtowny szturm na tego człowieka był czymś, przed czym się od dawna powstrzymywał. Coś, czego nigdy sam nie umiał nazwać – ostrożność, strategia, może nawet lęk – powstrzymywało go od ataku na Prestimiona, gdy ten był Koronalem, a teraz na Dekkereta. Chciał osiągnąć swoje cele bardziej subtelnymi metodami, stopniowo, a nie za jednym, strasliwym zamachem. Taka już była jego natura: cenił ciszę, cierpliwość, przemyślność. Teraz jednak przestał się wahać. Przyszła pora, by osiągnąć Dekkereta i go zniszczyć...

Pora...

By... uderzyć...

Pora... pora...

Uderzał, ale nic się nie działo. Nie dało się dotknąć tej ognistej kuli czerwonego światła. Był pewien, że problemem nie była niedostateczna siła. Wściekle pioruny, którymi uderzał, odbijały się jak rzutki od kamienia. Uderzał znowu i znowu i znowu, ale za każdym razem nie przynosiło to żadnego efektu.

W końcu wyczerpały się zasoby energii. Zerwał hełm ze skroni i pochylił się nad

biurkiem, spięty, drżący, z głową w dłoniach.

Po chwili podniósł wzrok. Khaymak Barjazid miał przerażoną minę. Mały Suvraelczyk patrzył na niego oczyma szeroko otwartymi z szoku i strachu.

– Wasza miłość... wszystko w porządku, wasza miłość?

– Jest chroniony... tak jak mówiłeś. Nie da się do niego zbliżyć. Broniony z każdej strony – przycisnął palce do obolałych oczu. – Jak myślisz, czy on może być jakiegoś rodzaju nadczłowiekiem? Znam tego Dekkereta, tego Koronala, tylko ze słyszenia... Nigdy się nie spotkaliśmy... Ale nie słyszałem o nim niczego, co sugerowałoby, że ma jakieś szczególne moce umysłu. A jednak... to, jak mnie odepchnął... z jaką łatwością...

Khaymak Barjazid potrząsnął głową.

– Nie znam umysłu dość potężnego, by mógł odbić uderzenie zadane za pomocą hełmu. Bardziej prawdopodobne jest, że wymyślili nowy rodzaj tego urządzenia. Jak wiemy, jest z nim mój bratanek, Dinitak. Zna się na hełmach. Mógł zmodyfikować jeden z nich tak, by chronił jego pana.

– Oczywiście – powiedział Mandralisca. Wszystko było teraz jasne. – Dinitak, który sprzedał własnego ojca Prestimionowi, oddając mu hełmy, robi to samo po dwudziestu latach. Ten twój bratanek jest prawdziwym cierniem w moim boku. Wyrządził nam wielką szkodę, i równie wielkie będzie jego cierpienie, Khaymaku, kiedy wreszcie mi za to zapłaci!

Thastain powrócił o zmierzchu, zmęczony i brudny po całym dniu spędzonym w labiryncie tuneli, galerii i wąskich arkad Wielkiego Bazaru Ni-moya, a także przemoczony do szpiku kości przez nieustannie padający deszcz. Mandralisca od razu zauważył, że chłopak nie wykonał zadania, bo był zarazem ponury i wystraszony. Poza tym wrócił sam, nie przyprowadził ze sobą Zmiennokształtnego, jak rozkazał mu hrabia. Mimo to z ponurą rezygnacją słuchał długiej opowieści Thastaina o przemierzaniu rozległego labiryntu targowiska, o rozmowach z kupcami, a w końcu o namówieniu do współpracy niejakiego Gaziriego Venemma, sprzedawcy serów i oleju, który po długim wahaniu i namowach, popartych mieszkami pełnymi rojali, zgodził się zaprowadzić Thastaina do kupca, który ponoć był Zmiennokształtnym pod postacią przybysza z Narabalu.

Thastain opowiadał, że faktycznie, spotkał się z narabalczykiem, który, sądząc po sposobie poruszania i specyficznej wymowie, mógł być przebrany Metamorfem. Za żadną cenę nie chciał się jednak podjąć zanieśienia wiadomości do Danipiur.

– Wasza miłość, powołałem się na ciebie. Pozostał obojętny. Wspomniałem o Vitheyspie Uuvitheyspie Aavitheyspie. Udawał, że nigdy wcześniej nie słyszał tego imienia.

Pokazałem miszek pełen rojali. Nic z tego.

– To był jedyny Zmiennokształtny na Bazarze? – zapytał Mandralisca.

– W sumie rozmawiałem jeszcze z czterema – odpowiedział Thastain, a po jego zniesmaczonym wyrazie twarzy Mandralisca poznał, że mówi prawdę, a zadanie było niełatwe. – Nie zrobią tego. Dwóch z oburzeniem zaprzeczyło, że w ogóle są Metamorfami, choć widziałem, że kłamią, a oni wiedzieli, że ja wiem, ale ich to nie obchodziło. Trzeci wyłgał się słabym zdrowiem. Czwarty po prostu odmówił, zanim powiedziałem może sześć słów. Ekscelencjo, mogę wrócić na Bazar jutro, może wtedy...

– Nie – uciął Mandralisca. – To bez sensu. Coś się stało. Ambasador Danipiur postanowił nam nie pomagać i wrócił do Piurifayne, by jej o tym powiedzieć. Tego jestem pewien – zaskoczyło go jego własne opanowanie. Może już wyszedł ze strefy huraganów. – Zawołaj mi Halefice'a.

Kiedy tylko przyszedł adiutant, Mandralisca powiedział:

– Jacominie, mamy nowe problemy.

– Poza przybyciem Dekkereta i zniknięciem Metamorfa, ekscelencjo?

– Tak, poza nimi – Mandralisca szybko opowiedział o swoich nieudanych próbach osiągnięcia Dekkereta mocą hełmu i o Thastaina bezowocnych poszukiwaniach pomocnego Metomorfa. – Sądzę, że wkrótce Koronał ruszy w naszym kierunku. Pomoc Zmiennokształtnych, na którą liczyłem, najwyraźniej nie nadejdzie. Co się zaś tyczy naszych własnych wojsk, wystarczy ich do obrony Ni-moya, ale nie do wyjścia poza strefę, którą już obstawiliśmy.

Halefice wyglądał na zgnębionego.

– To co zrobimy, wasza miłość?

– Mam nowy plan – Mandralisca spojrzał na Halefice'a, z niego na Barjazida, potem na Thastaina. Zawiesił na chwilę spojrzenie na każdym z nich, uważnie ich oceniając, mierząc, na ile może im zaufać. – Usłyszycie o nim jako pierwsi i ostatni zarazem. Wygląda następująco: jego lordowska mość Gaviral zaprosi Dekkereta na rokowania gdzieś w połowie drogi między Piliplokiem i Ni-moya, powie mu, że chcemy położyć kres naszemu konfliktowi i wypracować kompromis, który rozwiąże problemy Zimroelu nie niszcząc struktur rządu imperialnego. Wiem, że mu się to spodoba. Siądziemy za stołem i spróbujemy znaleźć rozwiązanie. Zaproponujemy mu nasze warunki i wysłuchamy, co ma nam do powiedzenia.

– I co wtedy? – zapytał Halefice.

– Wtedy – odpowiedział Mandralisca – kiedy rozmowy będą szły tak gładko, jak tylko się da, Jacominie, zabijemy go.

– Rokowania – powiedział Dekkeret, zafascynowany tym przedziwnym pomysłem. – Zapraszają nas na rokowania!

– Najpierw próbuje zaatakować cię przy użyciu hełmu, a potem prosi o rokowania? – roześmiał się Septach Melayn. – Widzę, że schwyci się każdej deski ratunku. Oczywiście mu odmówisz.

– Nie sędzę – odparł Dekkeret. – Sprawdzał nas. Pokazaliśmy mu, że Dinitak potrafi odbić jego ataki, myślę, że wie, na co nas stać i chce zagrać nam słodsza melodię. Powinniśmy go wysłuchać, nie sędzicie?

– Ale rokowania? *Rokowania*? Mój panie, Koronał nie negocjuje warunków pokoju z ludźmi, którzy za nic mają jego świętą władzę – zaprotestował Gialaurys niskim, poważnym głosem. – Takich ludzi po prostu miażdży. Zgniatą ich jak komary Nie wchodzi w dyskusje o możliwych ustępstwach, o terytorium, które skłonny byłby im oddać, o niczym. Koronał w niczym nie może ustąpić takim... odmieńcom.

– Nie zamierzam – Dekkeret uśmiechnął się lekko, słysząc stanowczy ton Wielkiego Admirała. – Jednak odmowa wysłuchania propozycji dzielnego Mandraliski, czy może raczej wielkiego i potężnego Pontifexa Gavirala, bo to on zaprasza nas na spotkanie, byłaby niewłaściwa. Powinniśmy przynajmniej posłuchać. Te rokowania wyciągną ich z Ni-moya, więc nie będziemy musieli oblegać miasta. Porozmawiamy, a potem, jeśli zajdzie konieczność, będziemy walczyć. Przewaga jest po naszej stronie.

– Doprawdy? – zapytał Dinitak. – Tak, mamy armię. Ale przypominam ci, Dekkerecie, jesteśmy na ziemi nieprzyjaciela, daleko od domu. Jeśli Mandralisca zebrał siły w liczbie podobnej do naszych...

– Ziemia nieprzyjaciela? – zawołał Gialaurys. – Nie! Nie! Co też mówisz? Jesteśmy w Zimroelu, gdzie monety jego wysokości Pontifexa wciąż są legalnym środkiem płatniczym, i mam na myśli Pontifexa Prestimiona, nie tę głupią marionetkę Mandraliski. Prawa imperialne wciąż tu obowiązują, Dinitaku. Lord Dekkeret jest królem tych ziem. Ja się tutaj urodziłem, nie dalej jak pięćdziesiąt mil od tego miejsca, a ty nazywasz je wrogim terytorium. Jak

możesz nawet powiedzieć coś takiego? Jak...

– Spokojnie, mój dobry Gialaurysie – powiedział Dekkeret bliski śmiechu. – W słowach Dinitaka jest trochę prawdy. Może tutaj nie jesteśmy na ziemi nieprzyjaciela, ale nie wiadomo, jak daleko w górę rzeki dotrzemy, nim to się zmieni. Ni-moya ogłosiło niepodległość, na Panią! Wybrało własnego Pontifexa! Wszyscy wiemy, że bije monety z głupią twarzą Gavirala. Póki nie przywrócimy sprawom ich normalnego biegu, musimy myśleć o Ni-moya jako o wrogim mieście, a o otaczających je terenach, jak o wrogiej ziemi.

Stali obozem na północnym brzegu Zimru, nieopodal Piliploku, w przyjemnej, wiejskiej okolicy pełnej łagodnych wzgórz i zadbanych farm. Powietrze tu było ciepłe, z południa wiał suchy wiatr, a płowa roślinność wyraźnie wskazywała, że dawno skończyły się deszcze wiosny i wczesnego lata. W tej okolicy po obu stronach rzeki pobudowano szybko rozwijające się miasta i póki co w każdym z nich witano Dekkereta z przyjemnością i podnieceniem. Miejscowi oficjele niewiele wiedzieli na temat wydarzeń w Ni-moya i wspominali o nich ze wstydem. Ni-moya było oddalone o tysiące mil, leżało w innej prowincji. Dla tych rolników Ni-moya było miastem tak wyrafinowanym, że niemal dekadentckim i jeśli chciało bawić się w jakieś polityczne gry, wchodzić w konflikt z Koronalem, to na pewno władca podejmie kroki, by przywrócić sprawom ich naturalny bieg.

– Mój panie, czy możesz znów przeczytać warunki Sambailidów? – spytał Septach Melayn.

Dekkeret przerzucał zapisane eleganckim pismem karty pergaminu.

– Mmm... O, tu są. To niezupełnie warunki. Raczej propozycje. Jego lordowska mość Gaviral – ciekawy tytuł, kto niby mianował go lordem czegośkolwiek? – ubolewa, że istnieje możliwość zbrojnego konfliktu pomiędzy wojskami ludności Zimroelu i Koronala Alhanroelu, Lorda Dekkereta – zauważcie, że jestem tu Koronalem Alhanroelu, nie Majipooru – i proponuje pokojowe negocjacje celem rozwiązania konfliktu, w jaki wchodzi prawomyślna aspiracja ludu Zimroelu i równie prawomyślna władza imperialnego rządu Alhanroelu.

– Przynajmniej przyznaje, że to prawomyślny rząd – zauważył Septach Melayn. – Nawet jeśli nazywa go rządem Alhanroelu, nie Majipooru.

– Nieważne – wzruszył ramionami Dekkeret. – Przedstawia sprawy tak, jakby była to dyskusja między dwiema równorzędnymi siłami, a na to nie możemy oczywiście pozwolić. Ale dajcie mi kontynuować. Chce... ach... Przede wszystkim podczas naszego spotkania chce przywrócenia tytułu prokuratora Zimroelu, dziedzicznego w jego rodzinie. Wyraża nadzieję, że dojdziemy do porozumienia w kwestii zakresu władzy owego prokuratora. Sugeruje, że

obecny tytuł, Pontifex, jest tylko tymczasowy i że chętnie zrezygnuje z roszczeń dotyczących ustanowienia osobnego pontyfikatu w zamian za kompromis konstytucyjny, dający większą autonomię Zimroelowi w ogólności, a szczególnie prowincji Ni-moya. Wszystko to pod władzą sambailidzkiego prokuratora.

– Cóż – powiedział Septach Melayn – wygląda to lepiej niż w pierwszej chwili. Zdaje mi się, że chce tylko tytułu prokuratora i władzy nad Ni-moya i jego okolicami. To mniej więcej tyle, ile miał Dantirya Sambail.

– Ten tytuł został mu odebrany przez Prestimiona – przypomniał Gialaurys. – Przysiągł, że nie będzie więcej prokuratorów – mięsista twarz Wielkiego Admirała poczerwieniała, a z głębi jego gardła dobiegało jakby warczenie. Dekkeret pomyślał, że wygląda jak wielki wulkan przed erupcją. – A my chcemy oddać bezwartościowemu bratankowi to, co Prestimion odebrał wujowi, tylko dlatego, że bratanek sobie tego życzy? Przynajmniej Dantirya Sambail był na swój sposób wielki. Ten tutaj jest głupią świnią i niczym ponadto.

– Dantirya Sambail był wielkim człowiekiem? – zapytał zdumiony Dinitak. – Z tego co słyszałem, był po prostu potworem.

– To też prawda – powiedział Dekkeret. – Prócz tego był rzutkim, genialnym przywódcą. Odegrał niemałą rolę w doprowadzeniu Zimroelu do jego obecnego stanu, bo w czasach Prankipina i Confalume'a ten kontynent był podzielony na małe księstwa. Współpracował z Zamkiem i Labiryntem przez czterdzieści lat, zanim nie postanowił wybrać nowego Koronała, a potem nic już nie było takie samo – zwrócił się do Gialaurysa. – Wiesz dobrze, że nie przekazujemy władzy w ręce Gavirała, mój Admirale. Ten list został napisany przez Mandraliskę. To on będzie faktycznym prokuratorem, jeśli przywrócimy ten tytuł.

– A mimo to pragniesz rokowań, mój panie, choć wiesz, że w rzeczywistości będziesz rokował z tym wężem, Mandraliską, który już raz próbował cię zabić? – spytał Gialaurys.

Septach Melayn pogłaskał się po kręconej bródce i roześmiał się.

– Pamiętasz, Gialaurysie, jak zebraliśmy się wszyscy pod Granią Thegomar przed ostatnią bitwą w wojnie z Korsibarem, a od księcia Gonivaula, ówczesnego Wielkiego Admirała, przyjechał herold z białą flagą, mówiąc, że Lord Korsibar wciąż liczy na pokojowe rozwiązanie i proponuje rokowania?

– Tak. I zaproponował, żeby to diuk Svor był naszym wysłannikiem? – powiedział Gialaurys, uśmiechając się do wspomnienia.

Septach Melayn zwrócił się do Dinitaka.

– Svor najmniej z nas lubił wojnę, był też najbardziej przebiegły. Zanim podzieliliśmy

się na frakcje, był przyjacielem Korsibara. Nie widział sensu w rokowaniach, ale Prestimion powiedział, że „nie zaszkodzi posłuchać”, zupełnie jak Dekkeret dzisiaj. Svor wyjechał więc na środek pola na spotkanie z Gonivaulem, którego propozycja wyglądała następująco: chciał, by Svor poczekał do rozpoczęcia bitwy, a potem poszedł do kapitanów Prestimiona i powiedział im, że Lord Korsibar uczyni ich diukami i książętami, jeśli zdecydują się porzucić Prestimiona i przejść na stronę Korsibara. Za zdradę oferował też Svorowi swoją siostrę, piękną Thismet, za żonę. Tak wyglądały rokowania według Korsibara.

– I co zrobił Svor?

– Wrócił do obozu i opowiedział, co mu zaproponowano. Nieźle się uśmieśliśmy, a potem zaczęła się bitwa. Svor mężnie w niej poległ, walcząc po stronie Prestimiona, choć przed tym dniem nie słynął z odwagi.

– My też się nieźle uśmiejemy – powiedział Dinitak – kiedy odkryjemy, jak wyglądają rokowania według Mandraliski?

– Na to liczę – odparł Dekkeret.

– Zamierzasz więc to zrobić? – spytał Gialaurys.

– Właśnie tak. Gdzie jest posłaniec jego lordowskiej mości Gavirala? Powiedzcie mu, że przyjmuję zaproszenie. Natychmiast ruszamy w wyznaczone miejsce.

Wyznaczone miejsce znajdowało się trzy tysiące mil w górę Zimru, niedaleko miasteczka Salvamot, gdzie mieściła się dawna posiadłość wiejska Dantiryi Sambaila, zwana Dworem Mereminene. Po upadku prokuratora posiadłość ta pozostała w rodzinie i obecnie była, jak się okazało, własnością Sambailida, nazywającego się jego lordowską mością Gavahaudem.

– Który to? – spytał Septacha Melayna Dekkeret. – Dla mnie wszystkie ich imiona brzmią tak samo. Czy to ten wielki pijak?

– To Gavinius, mój panie. Gavahaud to strojniś, mający się za wzór stylu i smaku, prawdziwa Góra Zamkowa próżności i głupiej arogancji. Nie mogę się doczekać okazji, by wypytać go o rady na temat mody.

Dekkeret zachichotał.

– Myślę, że wszyscy możemy się od nich wiele nauczyć.

– A oni nauczą się czegoś od nas, mój panie – powiedział Gialaurys.

Zazwyczaj statki morskie nie podróżowały po rzekach, ale na transport wojsk Dekkereta nie starczyło łodzi rzecznych, a Zimr był dość głęboki i szeroki, by bez trudu mogły nim płynąć nawet największe okręty z morskiej floty Koronała. Jedynym problemem był zwyczajny ruch towarowy na Zimrze, który nie był gotów na zajęcie większości koryta

rzeki olbrzymią flotą statków morskich. W pośpiechu umykali z drogi, podczas gdy armada Lorda Dekkereta parła na północ.

Krajobraz tutaj praktycznie się nie zmieniał, otaczała ich szeroka, nadrzeczna równina. W oddali widać było pofalowane wzgórza, a wzdłuż obu brzegów leżały tętniące życiem rolnicze miasteczka. Dzień po dniu był bezchmurny i słoneczny. Podobno nad Ni-moya padały ulewne deszcze, ale Ni-moya było wciąż bardzo daleko, a niższa część doliny Zimru cieszyła się przyjemną, bezdeszczową pogodą.

W teorii była to pierwsza Wielka Procesja Dekkereta, ale nie zatrzymywał się w nadrzecznych miasteczkach, stał tylko na dziobie *Lorda Stiamota* i machał do zgromadzonej na nabrzeżach ludności. Nawet podczas Wielkiej Procesji Koronał nie mógł zatrzymywać się poza największymi miastami, w przeciwnym razie do końca życia podróżowałby z miejsca na miejsce, tył na bankietach i nigdy nie wrócił na Zamek. Problem z Mandraliską i Pięcioma Lordami był zbyt poważny, by można się teraz było zatrzymywać, nawet w miejscach tak stosunkowo istotnych jak Port Saikforge, Stenwamp czy Gablemorn.

Płynęli wciąż dalej i dalej przez łagodną dolinę Zimru, mijali miasto za miastem; Dambmuir, Orgeliuse, Impemond, Haunfort Większe, Cerinoe, Semirod, Molagat, Thibbildorn, Coranderk, Maccathar. Septach Melayn, który zajmował się mapami, wymieniał kolejne nazwy, kiedy tylko zbliżali się do miasta. Wszystkie wyglądały podobnie: promenada nad wodą, keje z tłumami pasażerów czekających na kolejną łódź, magazyny i bazy, palmy, alabandyny i tanigale. Kolejne miejsca przyjemnie zlewały się w jedno, a Dekkeret znowu rozmyślał nad ogromem Majipooru: mnóstwem prowincji, nieprzebraną liczbą miast, miliardami mieszkańców, rozciągającymi się na trzech kontynentach tak wielkich, że przemierzenie ich wszystkich zajęłoby całe życie i jeszcze wiele więcej. Czy tutaj, w tej gęsto zaludnionej dolinie, liczyło się Ni-moya albo Pięćdziesiąt Miast Góry Zamkowej? Dla tych ludzi ich część doliny Zimru była całym światem, małym uniwersum, pełnym życia i aktywności. A na świecie były tuziny, kopy, setki takich mikrokosmosów.

Dekkeret myślał, że to cud, iż planeta tak rozległa i gęsto zaludniona żyła w pokoju, przynajmniej do niespokojnej współczesności. Przysiągł sobie, że będzie tak znowu, kiedy tylko trujące zło reprezentowane przez Mandraliskę i jemu podobnych, zostanie pojmane i odizolowane.

– To Gourkaine – powiedział Septach Melayn pewnego jasnego, bezchmurnego poranka, kiedy w zasięgu wzroku pojawiło się kolejne miasteczko.

– A jakie znaczenie ma Gourkaine? – spytał Dekkeret, gdyż Septach Melayn wypowiedział tę nazwę ze szczególną emfazą.

– Absolutnie żadne, mój panie, prócz tego, że to ostatnie miasteczko przed Salvamot, a tam czekają na nas nasi przyjaciele, Pięciu Lordów Zimroelu. Jesteśmy prawie u celu.

Salvamot było podobne do pozostałych, poza faktem, że na nabrzeżu nie czekały tłumy, by powitać armadę Koronała, tak jak wszędzie indziej, nawet w pobliskim Gourkaine. Nigdzie nie powiewały flagi w królewskich kolorach i z podobizną Lorda Dekkereta. Na głównej kei stała tylko niewielka grupka lokalnych urzędników, zebranych w zbitą, niepewną grupkę.

– Wygląda to tak, jakbyśmy przekroczyli niewidzialną granicę – zauważył Dekkeret. – A od Ni-moya wciąż dzielą nas tysiące mil. Ciekawe, czy potęga Pięciu Lordów naprawdę sięga aż tutaj?

– Panie, pamiętaj, że Dantirya Sambail często odwiedzał te ziemie – powiedział Septach Melayn. – Jego krewni zapewne również. Ci ludzie muszą czuć szczególną lojalność wobec ich klanu. Poza tym, spójrz tam...

Wskazał na keję, leżącą w górę rzeki od miasta. Stał tam z tuzin albo więcej dużych łodzi, a na ich masztach powiewały długie, karmazynowe bandery klanu Sambailidów, ozdobione krwawoczerwonym półksiężycem. Wyglądało na to, że więcej podobnych statków stoi też wyżej, za zakrętem rzeki. Pięciu Lordów, przynajmniej kilku z nich, było już na miejscu, w Salvamot, z własną armadą. Nic dziwnego, że miejscowi witali Koronała z rezerwą.

Oddział straży Koronała wyszedł przed nim na brzeg. Wkrótce jego kapitan wrócił w towarzystwie niskiego człowieka w czarnych szatach i ze złotym łańcuchem na szyi. Gość przedstawił się jako Verolak Timaran, główny justycjariusz okręgu Salvamot – „gdzie indziej nosiłbym tytuł burmistrza, mój lordzie”, poinformował Dekkereta poważnie – i wyraził zachwyty i zadowolenie z faktu, że wybrano jego miasto na miejsce tego historycznego spotkania. Skłonił się przy tym tak ekstrawagancko lady Fulkari, że na grubej szyi wyszły mu żyły, a twarz poczerwieniała. Powiedział, że osobiście odprowadzi Koronała i jego towarzyszy do rezydencji jego lordowskiej mości Gavahauda. Jego lordowska mość przygotował latacze dla królewskiej świty, czekające opodal.

Były to trzy niewielkie pojazdy, mogące ponieść najwyżej po piętnaście osób, bez miejsc dla ochrony Koronała.

Dekkeret powiedział miło:

– Panie, mamy ze sobą własne latacze. Wolimy nimi podróżować. Byłoby mi miło, gdybyś pojechał ze mną.

Główny justycjariusz nie był na to przygotowany i zdawał się być zakłopotany może

nie tyle zaszczytem podróżowania osobistym lataczem Koronala, co raczej odkryciem, że już odchodzili od planowanego scenariusza. Nie mógł jednak sprzeciwić się życzeniom Koronala, patrzył więc z rosnącą konsternacją na ludzi Dekkereta, wyladowujących z pierwszego okrętu kilkadziesiąt lataczy, tyle samo z drugiego i nie mniej z trzeciego. Pojazdów wystarczyło do przetransportowania całej straży Koronala i sporej części wojsk imperialnych.

– Jeśli łaska, panie – powiedział Dekkeret, wskazując głównemu justycjariuszowi Verolakowi Timaranowi latacz ozdobiony symbolem rozbłysku gwiazd.

W miarę jak oddalali się od rzeki, zabudowania Salvamot się przerzedziły i wkrótce Dekkeret jechał lataczem po płaskiej, otwartej przestrzeni, rzadko nakrapianej wysokimi drzewami o rdzawych pniach i fioletowych liściach. Po jakimś czasie przez gęściej zalesiony teren wjechali na niewielki płaskowyż na wschodzie. Justycjariusz oświadczył, że to tam znajduje się posiadłość jego lordowskiej mości Gavahauda.

Fulkari jechała u boku Dekkereta, podobnie jak Dinitak. Koronal najchętniej zostawiłby ją w Piliploku, gdyż nie wiedział, z jakim niebezpieczeństwem przyjdzie mu się zmierzyć podczas rokowań i czy nie zakończą się one zbrojnym konfliktem. Ona jednak nie chciała o tym nawet słyszeć. Powiedziała, że Pięciu Lordów nie odważy się podnieść ręki na namaszczonego Koronala. A nawet gdyby spróbowali rozwiązań siłowych – widać było, że i ona liczy się z taką możliwością – to jaka by z niej była królewska małżonka, chowająca się w bezpiecznym kącie, gdy jej panu grozi niebezpieczeństwo? Wolą umrzeć z nim, jak mówiła, niż wrócić na Zamek tchórzliwą wdową.

– Na razie nie będzie żadnych wdów – uspokoił ją Dekkeret. – Tym ludziom brakuje odwagi, szybko padną przed nami na kolana.

W głębi duszy nie był tego taki pewien, ale nie robiło to żadnej różnicy. Fulkari nie dało się odmówić i uparła się, że będzie z nim aż do końca tych zdarzeń.

Septach Melayn jechał drugim lataczem, Gialaurys trzecim, a pozostali tuż za nimi. Była to znaczna siła, setki zbrojnych, a pozostali czekali na brzegu, gotowi ruszyć z pomocą na sygnał. Jeśli wjeżdżamy w pułapkę, pomyślał Dekkeret, słono zapłacą za zdradę.

Kiedy latacze wjechały do Dworu Mereminene przez wielką bramę, wszystko zdawało się być w porządku. Zewsząd powiewały chorągwie ze znakiem księżyca, kręcili się ludzie w zielonych liberiach Sambailidów, niektórzy uzbrojeni, ale wyglądali na zwykłych strażników posiadłości. Dekkeret nie dostrzegał przyczajonych oddziałów ani stosów gotowej do użycia broni.

Podzwaniając złotymi ostrogami podszedł do nich potężny, wysoki, uderzająco brzydki mężczyzna ubrany w powiewną kasztanową szatę i modne, żółte rajtuzy, dużo na

niego za ciasne. Wykonał przesadny ukłon przed Dekkeretem i Fulkari, a prostując się dołożył jeszcze pretensjonalny symbol rozbłysku gwiazd.

– Mój lordzie... pani... zaszczyt to dla nas. Jestem lordowska mość Gavahaud i przypaść mi w udziale zaszczyt pokazania wam komnat, które posłużą wam podczas pobytu we dworze. Moi bracia z przyjemnością powitają was, kiedy tylko się rozgościcie.

– Cóż to za akcent? – zapytała szeptem Fulkari – Wymawia każde słowo przez nos. Czy tak się mówi w Ni-moya? W życiu czegoś takiego nie słyszałam.

– Tutaj mówi się z pretensjami do wielkości – odparł Dekkeret. – Niezależnie od tego, jak nas sprowokują, musimy uważać, żeby nie chichotać.

Kwatery gościnne Dworu Mereminene miały lśniące podłogi, ściany z cynobrowych kafelków i okna ze skomplikowanych witraży spajanych ołowiem. Były to pomieszczenia godne Koronała. Dekkeret pomyślał, że główna część domu musi być jeszcze okazalsza. A to była tylko wiejska rezydencja. Dantirya Sambail z całą pewnością nie należał do ludzi powściągliwych, ale w sumie czemu miałby? W swoim czasie był praktycznie królem Zimroelu i chciał w ciągu jednego życia dorównać temu, co Koronałowie z Góry Zamkowej budowali przez tysiące lat.

Gavahaud też nie oszczędzał na gościach. Kwatera pełna była służących, gościom, chcącym odświeżyć się po przyjeździe, podawano obfitość rzadkich win i egzotycznych owoców, a pościel była najwyższej jakości, z lśniących jedwabi i satyny w ciepłych kolorach.

Po upływie godziny zjawił się szambelan z informacją, że wieczorem odbędzie się oficjalna kolacja i dodał, że życzeniem jego lordowskiej mości Gavirała jest, by omawianie wszelkich poważnych spraw odłożyć na następny dzień.

Jego lordowska mość Gaviral, tytułujący się Pontifexem Zimroelu, przyszedł do kwatery gościnnych godzinę później, ubrany w proste szaty i bez broni, pieszo. Dekkeret zdumiał się jego niskim wzrostem: nie był wyższy od Prestimiona i dużo lżej zbudowany, wręcz kruchy. Nieustannie strzelał oczami na boki, a usta krzywiły mu się w tiku charakterystycznym dla kogoś, kto nie potrafi się uspokoić. Dekkeret słyszał, że Sambailidzi byli masywni, potężni i brzydki podobnie jak prokurator i jego bracia. Gavahaud na pewno pasował do tego opisu, ale Gaviral nie – był może dość brzydki, ale za mały. Tylko wybujała grzywa pomarańczoworudych włosów i szeroki nos o dużych dziurkach wskazywał na jego pokrewieństwo z klanem Dantiryi Sambaila.

Zachowywał się dość dwornie, mówił dobrze i okazywał swemu gościowi należyty szacunek. Nie widać było po nim, że ogłosił się lordem i nawet Pontifexem wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy. Zapytał, czy Koronał zadowolony jest z kwatery i wyraził

nadzieję, że jego apetyt sprostą przygotowanej na wieczór uczcie.

– Żałuję, że dwaj z moich braci nie mogą nam towarzyszyć – powiedział Gaviral. – Jego lordowska mość Gavinius jest niedysponowany i nie wyjechał z Ni-moya. Jego lordowska mość Gavdat, który zajmuje się sztuką magiczną, również pozostał w mieście, gdyż prowadzi obliczenia prognostyczne, których nie mógł przerwać nawet z tak ważnego powodu.

– Ubolewam nad ich nieobecnością – powiedział dwornie Dekkeret, choć Septach Melayn poinformował go już, że Gavinius jest ohydny, wiecznie pijanym głupcem, a ten drugi, Gavdat, głupcem innego rodzaju, wiecznie pogrążonym w studiach geomantycznych. Uprzejmość jednak nic go nie kosztowała, poza tym aż za dobrze wiedział, że nieważne czy pozna jednego, czy pięciu Sambailidów, czy nawet pięciuset. To z Mandraliską trzeba było się liczyć. A o nim na razie nikt nie wspomniał.

Był wieczór. Pora na bankiet.

Dekkeret słusznie podejrzewał, że zmarły prokurator żył w isticie królewskim stylu. Główny budynek dworu był wielki, kamienny, miał siedem czy dziesięć sal o olbrzymich oknach, a najwspanialszą z nich była sala bankietowa, olbrzymia galeria w surowym, starodawnym stylu, z nagimi belkami z jasnoczerwonego drewna thembar i ciężkimi, szorstkimi ścianami z połączonych zaprawą kamieni, wznoszącymi się na zdumiewającą wysokość. A to była tylko wiejska rezydencja prowincjonalnego paniątka. Dekkeret zastanawiał się, jak może wyglądać pałac w Ni-moya, skoro taki jest wiejski dworek Dantiryi Sambaila?

Wielkie pomieszczenie było pełne. Zapewne zgromadził się tutaj cały dwór Pięciu Lordów. Kiedy przyszło do sadzania gości, nastąpiła drobna dysputa na temat protokołu. Dekkeret, jako Koronał, miał prawo do centralnego miejsca, z Fulkari u boku. Jednak jego lordowska mość Gaviral przynajmniej na razie twierdził, że jest Pontifexem tego kontynentu, cokolwiek to znaczyło, a jego brat, Gavahaud, był właścicielem Dworu Meremine, więc i przypuszczalnym gospodarzem tego spotkania. Który z nich usiądzie po prawej ręce Koronała? Po szeptanej wymianie zdań Gavahaud ustąpił Gaviralowi i pozwolił mu zająć honorowe miejsce u boku Koronała, ale nie obyło się bez dalszego zamieszania, wywołanego przez pojawienie się trzeciego brata, Gaviłomarina, mężczyzny o mokrych oczach, kretyńskim uśmiechu i aurze całkowitego nieskalania rozumem, który zajął bez pytania centralne miejsce, wybierając je chyba przypadkiem, i musiał być przesadzony w stronę brzegu podwyższenia, gdzie siedzieli Septach Melayn i Gialaurys. Dinitak został posadzony na drugim końcu.

Gdzie, zastanawiał się Dekkeret, jest Mandralisca?

Dotychczas nikt nawet nie wspomniał jego imienia. To było bardzo dziwne. W niezręcznych pierwszych chwilach, które nastąpiły po zajęciu miejsc, Dekkeret zapytał Gavirala, żeby mieć cokolwiek do powiedzenia:

– A wasz doradca, o którym tyle słyszałem? Na pewno jest tu dzisiaj, prawda?

– Nie lubi rozgłosu – odpowiedział Gaviral. – Znajdziecie go tam, po lewej, pod ścianą.

Dekkeret spojrział we wskazanym kierunku na stojący daleko zwyczajny stół pomiędzy wieloma innymi. Choć nigdy wcześniej nie widział Mandraliski, rozpoznał go natychmiast. Wyróżniał się spośród otaczających go ludzi niczym śmierć na weselu. Był blady, poważny, z surową twarzą, cienkimi ustami, ubrany w ciasno przylegający strój z lśniącej, czarnej skóry, pozbawiony ozdób, jeśli nie liczyć jasnego wisiora ze złota, niewątpliwie symbolu piastowanego stanowiska. Jego twarde, błyszczące oczy skierowane były wprost na Dekkereta i nie odwrócił wzroku, gdy ich spojrzenia się spotkały.

A więc to jest Mandralisca, pomyślał Dekkeret. Po tak długim czasie wreszcie dzieli nas nie więcej niż sto stóp.

Zafascynowała go lodowata, odpychająca twarz i złowroga aura tamtego. Miał w sobie jakiś magnetyzm, jakąś diaboliczną moc. W jego rysach widać było olbrzymią, demoniczną niemal siłę woli. Dekkeret rozumiał teraz, jak ten człowiek, uosobienie wszystkiego, co przez te lata prześladowało Prestimiona w jego rządach, mógł wywołać tyle problemów na całym świecie i to przez tyle lat. Miał prawdziwie ciemną duszę, jego istnienie sprawiało, że człowiek zastanawiał się, po co Bogini stworzyła kogoś takiego.

Po dłuższej chwili kontakt wzrokowy między Koronalem Majipooru i doradcą Lordów Zimroelu urwał się i to Mandralisca pierwszy odwrócił wzrok, żeby powiedzieć coś swoim towarzyszom przy stole. Było ich trzech: mężczyzna o okrągłej twarzy, wyglądający na kogoś z ludu, w średnim wieku albo trochę starszy, przystojny chłopak ze złotymi włosami i szczerą twarzą, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat i mały, ciemny człowiek o rozbieganych oczkach, który bez wątpienia był znienawidzonym wujem Dinitaka, Khaymakiem Barjazidem z Suvraelu.

Służba roznosiła wino i napełniła ich kielichy. Dekkeret pomyślał, że może zwyczaj Dantiryi Sambaila, by podróżować z praegustatorem, mógłby być tutaj na miejscu. Wydawało się to absurdalne, ale kiedy Fulkari sięgnęła po kielich, Dekkeret przykrył go dłonią i ją powstrzymał.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Musimy poczekać na toast – powiedział, nie znajdując lepszego powodu.

– Och. Oczywiście – powiedziała, wciąż nieco zaskoczona.

Jego lordowska mość Gavirał stał z kielichem w dłoni. W sali zapadł cisza.

– Za pokój – powiedział. – Za harmonię. Za zgodę. Za wieczną przyjaźń pomiędzy kontynentami.

Spojrzał na Dekkereta i wypił. Dekkeret zdał sobie sprawę, że ich wino nalewane było z tej samej butelki, wstał więc, wznosił toast równie miły i pusty i także wypił. Wino było znakomite. Cokolwiek wydarzy się dziś w Dworze Meremine, nie zostaną otruty, pomyślał.

W całym pomieszczeniu Sambailidzi wstawali – Dekkeret zauważył, że nie było wśród nich kobiet – trzymając kielichy i krzycząc:

– Za pokój! Za harmonię! Za zgodę!

Nawet Mandralisca przyłączył się do toastu, choć trzymał szklanek wody, nie kielich.

– Wasz doradca nie lubuje się w winach, prawda? – spytał Dekkeret Gavirała.

– Nie znosi go. Nawet go nie tknie. Pewnie musiał wypić za wiele, kiedy był praegustatorem mojego wuja, prokuratora.

– Rozumiem. Gdybym przypuszczał, że w każdym kielichu, który dostaję, może być trucizna, pewnie po roku czy dwóch nie piłbym tak chętnie – powiedział Dekkeret, zaśmiał się i pociągnął z kielicha.

Wciąż uważał, że to dziwne, iż Mandralisca nie został mu przedstawiony. Najlichszy, prowincjonalny burmistrz wychodził z siebie, żeby podać Koronałowi swoje imię i szczegóły pochodzenia, a oto znajdował się tu człowiek, który był doradcą osoby tytułującej się lordem i pretendował do zwierzchności nad całym Zimroelem, a jednak siedział ze swoimi towarzyszami przy odległym stole. Taki zapewne styl miał Mandralisca: wolał pozostawać w cieniu i pozwolić innym cieszyć się chwałą. Tak działał w czasach Dantiryi Sambaila, tak najwyraźniej było i teraz.

Podczas uczty Dekkeret wspomniał Gavirałowi o zdumiewającej nieśmiałości Mandraliski: powiedział, że to dziwne, iż doradca nie siedział przy głównym stole.

– Wiecie, jest człowiekiem bardzo skromnego pochodzenia – powiedział z namaszczeniem Gavirał. – Czuje, że byłby nie na miejscu wśród ludzi z tak wspaniałych rodzin. Ale poznacie go jutro, panie, kiedy spotkamy się na łące, by omawiać szczegóły paktu, który pragniemy zaproponować.

Kiedy zebrali się na rokowaniach było jasne i ciepłe południe. Miejsce spotkania było szeroką, trawiastą równiną, położoną daleko od dworu, z trzech stron otoczoną ciemnym lasem i przyjemnym strumieniem. Dekkeret zastał tam wielki stół z bali polerowanego, czarnego drewna, opartych na grubych, żółtawych wspornikach, stojący równolegle do strumienia. Leżały na nim równe stosy papieru i pergaminu pod przyciskami z kryształu, żeby nie porwał ich wiatr, a także kałamarze, pióra milufy i inne przybory piśmiennicze. Stały tam też butelki wina w sześciu różnych kolorach i rząd kielichów, czekających na napełnienie. Kiedy tylko warunki porozumienia zostaną przedstawione i – jak wyraźnie liczył Gaviral – przyjęte, obie strony będą świętować ten fakt na miejscu.

Jego lordowska mość Gaviral, ubrany w metaliczną kamizelkę, która wyglądała niemal jak zbroja, i bogate, szkarłatne legginsy wyszywane złotą nicią, był już na miejscu i stał przy stole. Obok niego stali Gavahaud i Gavilomarin w równie wspaniałych strojach.

Mandralisca stał tuż koło swojego pana, ubrany nie w obcisłą, czarną skórę, lecz bardziej elegancko: w długą do kolan czerwono-zieloną kurtkę z szerokim kołnierzem ozdobionym białym futrem stitmoja i długimi, rozciętymi rękawami, a pod nią miał ciemnoszare rajtuzy z najlepszego materiału i szeroki pas z plecionki, na którym wisiała ozdobna sakiewka. Był to strój, jaki mógłby założyć Septach Melayn, ale widok bladej, twardej, złowrogiej twarzy Mandraliski nad kołnierzem psuł ekstrawagancki efekt. Niedaleko Mandraliski znajdowało się jego trzech kompanów: pulchny, niski, krzywonogi adiutant, wysoki, jasnowłosy młodzian oraz kościsty Barjazid.

Dekkeret założył na to spotkanie zielono-złote oficjalne szaty i cienki, złoty diadem, którego używał zamiast korony gwiazd. Gialaurys był w pełnej zbroi, choć bez hełmu. Septach Melayn zadowolili się dubletem i jasnymi legginsami. Jego jedyną ozdobą był spiralny symbol Labiryntu. Dinitak ubrany był jak zawsze w prostą tunikę, Fulkari także wybrała prostą suknię. Za nimi stał rząd strażników, dobranych własnoręcznie przez Dekkereta. Gaviral także miał straż honorową, stojącą w pewnym oddaleniu.

– Pomyślny dzień, mój panie! – zawołał Gaviral na widok Dekkereta. – Dzień, w

którym osiągniemy harmonię!

Głos miał radosny, ale jakby wymuszony i wysilony, i w ogóle wyglądał niepewnie, usta wykrzywiał mu tik, strzelał na boki oczami. Cóż, pomyślał Dekkeret, gra szła o wielką stawkę: sprowadził Lorda Koronala na obce terytorium i żąda od niego niezwykłych przywilejów, władca zaś dał swoim zachowaniem do zrozumienia, że poważnie wysłucha żądań Sambailidów i być może nawet na nie przystanie, choć nie wiadomo było, co Koronal dokładnie zamierza. A ja nie wiem tego o nim, pomyślał Dekkeret. Obaj musimy bardzo uważnie rozgrywać karty.

– Tak, harmonię. Miejmy nadzieję, że ją dziś wypracujemy – powiedział Dekkeret, uśmiechając się do Gavirala ciepło.

Kiedy mówił, spojrzał tamtemu głęboko w oczy, które były przekrwione i pełne niepokoju, ale Sambailida szybko odwrócił wzrok i zajął się leżącymi na stole papierami i przyborami do pisania, jakby był skrybą, a nie Pontifexem Zimroelu. Wzrok Dekkereta spoczął na Mandralisce, który zareagował zupełnie inaczej, rzucając mu zimne, twarde spojrzenie, pełne groźby i nienawiści. Dekkeret przyjął je z podziwem dla jego absolutnej szczerości.

– Panie, czy zanim odczytamy nasze propozycje i wysłuchamy waszej odpowiedzi, możemy wypić za powodzenie naszych negocjacji? – spytał Gaviral.

– Czemu nie – powiedział Dekkeret i napełniono kielichy. Po raz kolejny Dekkeret uważnie obserwował, czy jego i Gavirala wino pochodzi z jednej butelki i po raz kolejny tak właśnie było. Kielichy napełniano tak często i bez skrępowania, że nie mogło być mowy o truciznie, chyba że Gaviral chciałby zabić nie tylko gości, ale i swoich ludzi.

Gaviral wznosił ten sam toast za pokój i zgodę, co poprzednio i wszyscy symbolicznie umoczyli usta w kielichach. Mandralisca nie pił jak poprzednio.

Potem Gaviral powiedział:

– Panie, przygotowaliśmy dla ciebie ten dokument. To, jak wiesz, nasz doradca, hrabia Mandralisca. Pokaże ci tekst, którego jest autorem, i wspólnie rozwiążecie wszelkie możliwe wątpliwości, punkt po punkcie.

Dekkeret skinął głową. Mandralisca, jak zawsze z trzema podwładnymi tuż za plecami, ostentacyjnie przeszedł wokół dłuższej krawędzi stołu do Dekkereta. Ujrzał, że adiutant niósł pod pachą zwój pergaminu, który podał Mandralisce. Ten rozwinął go i obejrzał uważnie, jakby chciał się upewnić, że przyniesiono mu właściwy dokument i w końcu, wyraźnie usatysfakcjonowany, pochylił się i położył go na stole przed Dekkeretem.

– Za pozwoleniem, panie – powiedział Mandralisca tonem, który według Dekkereta

łączył w sobie służalczość i ledwo hamowaną wściekłość.

Kiedy Dekkeret zaczął czytać dokument, zapanowała absolutna cisza.

Studiowanie tego zwoju nie było proste. Tekst był gęsty i rozwlekły, napisany ozdobnym pismem w dawnym stylu, pełnym irytujących ogonków i zakrętasów. Wymagał olbrzymiej koncentracji, trzeba go było niemal odkodowywać. Dekkeret szybko odkrył, że tekst zaczyna się od długiej i zagmatwanej preambuły, która być może sugerowała, że Sambailidzi nie chcieli niczego poza przywróceniem tytułu prokuratora. Kolejne punkty zaprzeczały jej jednak, ponieważ wynikało z nich, że pragną o wiele więcej: zakończenia rządów imperialnych na całym Zimroelu, całkowitej niepodległości, pełnego wycofania się obecnych władców.

– Panie, czy jest jakiś problem? – zapytał Mandralisca, przysuwając się do ramienia Dekkereta i pochylając się z nim nad tekstem.

– Problem? Nie. Ale odkryłem pewne niejasności we wstępie. Przejrzę go ponownie.

Zmarszczył brwi i wrócił do początku, starając się oddzielić od siebie zdania i rozłączyć każde stwierdzenie z jego ukrytą negacją. To zadanie wymagało najgłębszego skupienia i Dekkeret zamierzał mu je poświęcić.

Jednak nie tak głębokiego, by nie zauważył kątem oka błysku ostrza, które Mandralisca gwałtownie wyciągnął z sakwy u pasa ani nie usłyszał nagłego, przerażonego westchnienia Fulkari. Wszystko działo się tak szybko, że mógł tylko odsunąć się, unikając zadawanego od tyłu ciosu.

Właśnie w tej chwili długowłosy chłopiec, pomocnik Mandraliski, sięgnął, złapał stojący przy łokciu Dekkereta kielich i chlusnął jego zawartością w oczy swego pana. Równocześnie drugą ręką chwycił opadające ramię Mandraliski. Ten jednak szarpnął, zawirował i zadał sztyletem wściekły cios przez gardło chłopca. Trysnęła krew. Chłopak padł i zniknął. W tej samej chwili, w powszechnym zamieszaniu, u boku Dekkereta pojawił się Septach Melayn z rapierem w dłoni i straszliwym krzykiem nakazał Mandralisce odsunąć się od Koronala.

Mandralisca, na wpół oślepiony, z twarzą ociekającą winem, cofnął się, ale tylko do miejsca, gdzie jego lordowska mość Gavahaud stał z ustami rozdziawionymi ze zdumienia i przerażenia. Doradca wyrwał bogato zdobiony miecz galowy z pochwy przy pasie Gavahauda i machnął nim na próbę, mrugając od wina, szykując się na atak Septacha Melayna.

– Masz – powiedział Septach Melayn zatrzymując się i rzucając mu chustkę, którą trzymał w rękawie. – Wytrzymaj twarz. Nie zabiję kogoś, kto nie widzi.

Dał zaskoczonemu Mandralisce chwilę na otarcie twarzy, po czym zaatakował

błyskawicznymi ruchami rapiera.

Dekkeret był wciąż zszokowany tym, co się wydarzyło i podniósł się ze swego miejsca przy stole. Nie było jednak jak interweniować. Septach Melayn i Mandralisca już ostro walczyli, przemieszczając się przy tym po łące. Dekkeret nigdy nie widział dwóch tak szybko poruszających się mieczy. Septach Melayn był najszybszym fechmistrem świata, ale Mandralisca odpowiadał pchnięciem na pchnięcie, zasłoną na zasłonę. Był to wielki popis stuki szermierczej, zwody, piruety, każdy ruch z prędkością błyskawicy. Septach Melayn odbijał wszystkie ciosy przeciwnika, ale... Widok tego szermierza w sytuacji zupełnie patowej, nie potrafiącego przebić się przez zastawy oponenta...

Nagle Mandralisca gwałtownie odwrócił się od Septacha Melayna, schwycił garść ziemi i cisnął mu ją w oczy. Wyraźnie nie miał wyrzutów sumienia, że walczy z oślepionym przeciwnikiem. Garść ziemi rozbiła się na twarzy Septacha Melayna, wpadając mu do nosa i ust i kiedy przez chwilę stał wybity z rytmu, Mandralisca zadał wściekły cios prosto na środek klatki piersiowej przeciwnika.

Dekkeret patrzył na to z przerażeniem. Obie bronie były rozmyte od błyskawicznych ruchów, przez chwilę w ogóle nie wiadomo było, co się dzieje. Potem Dekkeret zobaczył, jak Septach Melayn paruje cios Mandraliski, odbija jego ostrze w górę i ciosem z wypadu przebija mu gardło.

Przez chwilę dwaj mężczyźni stali bez ruchu.

Na twarzy Mandraliski, gdy umierał, malował się przedziwny wyraz, niemal triumfu. Septach Melayn wyciągnął z niego miecz i odwrócił się do stołu i Dekkereta. Wtedy Koronał zrozumiał, że w ostatniej wymianie ciosów wielki fechmistrz także odniósł ranę. Po jego dublecie spływała krew, najpierw ledwo kapiąc, potem obficie, aż złoty symbol Labiryntu całkowicie zniknął pod jej strumieniem.

Cała łąka pogrążyła się w chaosie. Ukryte wojska Sambailidów wyskakiwały z lasu, strażnicy Dekkereta ruszyli, by go bronić, pozostali żołnierze Koronała, którzy czekali na obrzeżu pola na sygnał od króla, dołączyli do walki, gdy Dekkeret wykrzyczał komendę. Koronał podbiegł do Septacha Melayna, który chwiał się, ale wciąż jakimś cudem utrzymywał się na nogach.

– Mój lordzie – powiedział Septach Melayn i przerwał, wyraźnie cierpiąc, ale po chwili uśmiechnął się leciutko i kontynuował. – Ten potwór nie żyje, prawda? Jakże mnie to cieszy.

– Och, Septachu Melaynie...

Dekkeret rzucił się, aby go złapać, bo wyglądało, że Septach Melayn pada.

Powstrzymał go jednak gestem.

– Weź to, panie – powiedział, dając Dekkeretowi swój rapier. – Użyj go do obrony przed tymi barbarzyńcami. Ja go już nie będę potrzebował – spojrzał na ciało Mandraliski i dodał: – Osiągnąłem to, po co przyszedłem na świat.

Septach Melayn osłabł i zaczął upadać. Dekkeret złapał go za ramiona i podtrzymał w łagodnym uścisku. Zdawało mu się, że Septach Melayn, choć tak wysoki, prawie nic nie waży. Dekkeret obejmował go, aż usłyszał leciutkie westchnienie, a potem charkot umierającego. Wtedy położył go delikatnie na ziemi.

Dekkeret odwrócił się i ogarnął wzrokiem chaos, który panował wszędzie wokół. Koło strażników otaczało Fulkari, była bezpieczna. Druga taka grupa zebrała się wokół niego. Gialaurys stał niczym góra przy stole konferencyjnym, jedną wielką ręką ściskając za gardło Gavirala, a drugą Gavahauda. Dinitak znalazł gdzieś puginał i trzymał go przy piersi wuja, a Khaymak Barjazid unosił ręce w geście poddania bratankowi. Wszędzie wokół żołnierze sambailidzcy, widząc, że pojmano ich przywódców, rzucali broń i podnosili ręce. Wtedy to Dekkeret spojrzał w dół i zobaczył chłopca, który chlusnął Mandralisce winem w twarz. Leżał prawie u jego stóp, a nad nim klęczał pulchny adiutant. Krew wciąż lała mu się z potwornej rany na gardle.

– Żyje? – spytał Dekkeret.

– Ledwo, mój panie. Zostało mu tylko kilka chwil.

– Uratował mi życie – powiedział Dekkeret i poczuł w umyśle dziwne zimno, kiedy przypomniał sobie dzień sprzed wielu lat, w Normork, kiedy inny Koronał stanął naprzeciw ostrza mordercy, który przypadkowym niemal ciosem pozbawił życia jego kuzynkę, Sithelle, i zarazem postawił go na drodze prowadzącej do tronu. To stało się znowu – poświęcono życie, by uratować Koronała. Dekkeret spojrzał w stronę Fulkari, ale zobaczył zamiast niej ducha Sithelle. Zadrżał i prawie zapłakał.

Chłopak wciąż żył. Oczy miał otwarte i wpatrywał się w Dekkereta. Dlaczego nagle zwrócił się przeciwko swemu panu w decydującym momencie? Natychmiast, jakby zadał to pytanie na głos, usłyszał odpowiedź. Chłopiec powiedział:

– Nie mogłem już tego znieść, mój lordzie. Świadomość, że zamierza cię tu dzisiaj zabić... zabić króla świata...

– Cicho, chłopcze – powiedział Dekkeret. – Nie próbuj mówić. Musisz odpoczywać.

Ale on chyba nie słyszał.

– Wiedziałem też, że dokonałem w życiu złego wyboru, że głupio oddałem się najgorszemu panu...

Dekkeret ukląkł przy nim i powiedział znów, by odpoczywał, ale to już nie miało sensu. Słaby głos zmienił się w ciszę, otwarte oczy nie widziały. Dekkeret spytał adiutanta:

– Jak się nazywał?

– Thastain, panie. Pochodził w miasteczka Sennecc.

– Thastain z Sennecc. A ty?

– Jacomin Halefice, panie.

– Zabierz go do kwater i niech przyszykują jego ciało do pochówku. Thastain z Sennecc będzie miał pogrzeb jak bohater. Taki, jaki wyprawia się diukowi albo księciu, który poległ, broniąc swego pana. I przysięgam, że w Ni-moya wzniesiemy na jego cześć wielki pomnik.

Podszedł do miejsca, gdzie leżał Septach Melayn. Był tam też Gialaurys, ciągnący za sobą dwóch Sambailidów, jakby byli worami zboża. Stał i patrzył na ciało przyjaciela. Płakał w ciszy, wielkie łzy spływały po jego szerokiej twarzy.

Dekkeret przemówił cicho:

– Zabierzemy go z tego okropnego miejsca, Gialaurysie, i przeniesiemy na Zamek, gdzie jego miejsce. Ty weźmiesz jego ciało i dopilnujesz, by jego grobowiec dorównał grobom Dvorna i Lorda Stiamota. Będzie na nim inskrypcja ze słowami: „Tu spoczywa Septach Melayn, który szlachetnością dorównywał królom”.

– Tak uczynię, panie – powiedział Gialaurys głosem jak zza grobu.

– Znajdziesz też na dworze jakiegoś barda, daję ci takie zadanie, by napisał epicką opowieść o jego życiu, taką, której dzieci będą się uczyć na pamięć i za dziesięć tysięcy lat.

Gialaurys skinął głową. Poleciał dwóm strażnikom, by zajęli się więźniami, upadł na kolana, podniósł Septacha Melayna i powoli niósł go przez łąkę.

Następnie Dekkeret wskazał ciało Mandraliski, leżące twarzą w dół w trawie.

– Zabierzcie to – powiedział kapitanowi straży. – Spalcie tam, gdzie pali się śmieci z kuchni i rozsypcie prochy w lesie, by nikt ich nie znalazł.

– Tak jest, panie.

Wreszcie Dekkeret podszedł do Fulkari, która błada i oszołomiona stała przy stole.

– Moja pani, nie mamy tu już nic do zrobienia – powiedział cicho. – To był smutny dzień, ale nie zaznamy smutniejszego, póki nie nadejdzie kres naszych dni.

Objął ją. Drżała jak ktoś, kto stoi na lodowatym wietrze. Tulił ją, póki drzenie nie zaczęło ustępować, po czym powiedział:

– Chodź, kochana. Tutaj wszystko jest skończone, a my musimy wysłać Prestimionowi ważne wiadomości.

19

Keltryn stała w swym pokoju z wieloma oknami, leżącym na szczycie budynku Wymiany Handlowej Alaisor i patrzyła w morze, obserwując jak do portu wchodzi wielki statek o czerwonych żaglach. Na jego pokładzie znajdował się Dinitak. Odbyła szaleńczo pośpieszną podróż najszybszym lataczem przez cały Alhanroel, by znaleźć się w Alaisor przed jego przyjazdem. Umieszczono ją w królewsko wspaniałym apartamencie, który zazwyczaj zarezerwowany był dla Potęg Królestwa. Tak się tu znalazła, a teraz *on też* tu był, na tym majestatycznym statku właśnie przybijającym do kei. Zbliżał się do niej z każdą chwilą.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że w ogóle tu jest.

Nie chodziło o osławione Alaisor, leżące tak daleko od Góry Zamkowej, o niesamowite, czarne klify za jej plecami i gigantyczny pomnik Lorda Stiamota na placu tuż pod jej pokojem. Spodziewała się, że prędzej czy później będzie miała powód, żeby zwiedzić świat i że w swoich podróżach może przyjechać i tutaj.

Dziwiło ją, że pędziła tutaj na prośbę Dinitaka po wszystkim, co między nimi zaszło.

Pamiętała, co powiedziała do Fulkari, kiedy dowiedziała się, że on wyrusza do Zimroelu bez niej:

„Nie chcę go nigdy więcej widzieć!”

Pamiętała też spokojną odpowiedź Fulkari:

„Zmienisz zdanie”.

Myślała, że Fulkari się myli, zwyczajnie myli. Nie mogła znieść tego upokorzenia. A jednak – czas płynął, mijały dni, tygodnie, miesiące, a ona miała możliwość spokojnie wspominać spacery ramię w ramię po korytarzach Zamku, kolacje przy świecach, noce pełne zdumiewającej namiętności. Miała też czas, by zastanowić się nad szczególną naturą Dinitaka, nad jego dziwnie mocnym poczuciem dobra i zła. Miała czas dojść do wniosku, że właściwie rozumie, dlaczego postanowił jechać do Zimroelu bez niej.

A potem przybył specjalny kurier z dwiema wiadomościami zza morza.

Od Dinitaka Barjazida do Keltryn z Sipermit, napisana jego dziwaczny, formalnym stylem:

„Wracam przez Alaisor i najgoręcej błagam Cię, byś tam była, gdy przyjadę, najdroższa, ponieważ musimy omówić sprawy najwyższej wagi i najlepiej zrobić to właśnie tam”.

„Błagam najgoręcej”! To nie było podobne do Dinitaka, on nie błagał, a już szczególnie nie gorąco. „Najdroższa”. Tak.

Druga wiadomość, w tej samej sakwie, była od Fulkari, która pisała: „Poprosi Cię o spotkanie w Alaisor. Przyjedź tam do niego, siostrzyczko. Kocha Cię. Kocha Cię bardziej, niż mogłabyś uwierzyć”.

Nie potrafiła powstrzymać wybuchu gniewu, który był jej pierwszą, odruchową reakcją. Jak on śmie! Jak *ona* śmie? Czemu znowu wpadać w tę samą pułapkę? Jechać aż do Alaisor, na jego życzenie, dla jego wygody? Czemu? Czemu? Czemu?

„Kocha Cię”.

„Kocha Cię bardziej, niż mogłabyś uwierzyć”.

A Dinitak:

„Błagam Cię najgoręcej”.

„Najdroższa”. „Najdroższa”. „Najdroższa”.

Pukanie do drzwi.

– Pani? – to był Ekkamoor, szambelan z Zamku, który opiekował się nią podczas tej wariackiej podróży na granicę kontynentu. – Pani, statek właśnie cumuje. Pragniesz być na nabrzeżu, kiedy przybije?

– Tak – odpowiedziała. – Tak, oczywiście!

Płynął pod złoto-zieloną banderą Koronala, a na jego dziobie widniał symbol rozbłysku gwiazd. Prócz tego z masztu zwisała też żółta flaga żałobna. Keltryn z poczekalni patrzyła z uwagą i zmarszczonym czołem, jak montowano trap i jak schodziła po nim poważna gwardia honorowa, niosąca trumnę, wyglądającą na bardzo kosztowną. Za trumną szedł mocno zbudowany mężczyzna o szerokich ramionach, w którym po chwili rozpoznała Wielkiego Admirała Gialaurysa, przyjaciela i dawnego towarzysza broni Septacha Melayna. Wyglądał jakby od czasu, gdy widziała go na koronacji Lorda Dekkereta, minęło sto lat. Szedł z pochyloną głową i ponurym wyrazem twarzy. Kiedy procesja z trumną ją mijiała, chyba w ogóle jej nie zauważył. Ale czemu miałby? Jeśli w ogóle ją kojarzył, była dla niego tylko jedną z niezliczonych panienek na dworze. Najwyraźniej był wciąż tak pochłonięty żalem, że nie zwracał uwagi na mijanych ludzi.

Ale kto zmarł? Zastanawiała się nad tym, spoglądając na odchodzącą procesję.

W tej samej chwili usłyszała znajomy głos.

– Keltryn! Keltryn!

– Dinitak!

Zaszła w nim jakaś zmiana. Był tym samym szczupłym, niewielkim mężczyzną, miał tę samą opaloną twarz i tę samą aurę napiętej, utajonej siły. Ale coś się zmieniło. Co? Było w nim teraz coś królewskiego, otaczała go aura wielkich osiągnięć i jasnego celu. Keltryn natychmiast to dostrzegła. Podbiegła do niego, a on otworzył ramiona. Wtuliła się w niego, a dotyk przywołał ciepłe, dobre wspomnienia, choć nawet teraz miała dziwne poczucie zmian, które w nim zaszły.

Oczywiście. Był w Zimroelu z Koronalem. Brał udział w potwornej walce z wrogami monarchii.

Po chwili odsunęła się od niego i powiedziała:

– Cóż, Dinitaku, oto jestem.

– Jesteś, jesteś, tak. To cudowne.

– A Zimroel... opowiesz mi o nim?

– W swoim czasie. To długa historia. Poza tym jest bardzo dużo do opowiadania – po jego ciemnych rysach niczym migoczący płomień przesunął się uśmiech. – Keltryn, zostanę jedną z Potęg Królestwa. A ty, jeśli zechcesz, możesz jak twoja siostra zostać małżonką Potęgi.

Jego słowa nie miały dla niej żadnego sensu. Stała przed nim i powtarzała je w myślach, w żaden sposób nie potrafiąc ich zrozumieć.

– Dekkeret, Prestimion i Pani już postanowili – powiedział. – Będę nosił hełm i wchodził w umysły, jak robi to Pani, będę szukał tych, którzy krzywdzą innych. Za pomocą hełmu będę ostrzegać ich o konsekwencjach ich czynów, a jeśli pomimo to się nie poprawią, będę ich karać. Będę nazywać się Królem Snów i tytuł ten przejdzie na moje dzieci, i na dzieci moich dzieci, na zawsze. Będą szkolić się w korzystaniu z hełmu. Widzisz, Keltryn, będę Potęgą. A czy ty zechcesz być żoną Potęgi?

– Pytasz mnie, czy za ciebie wyjdę?

– Król Snów ma mieć dzieci, które odziedziczą po nim jego zadanie, musi więc mieć królową, prawda? Będziemy żyć w Suvraelu. To decyzja Prestimiona, nie moja, że nowa Potęga musi zamieszkać z dala od pozostałych trzech. Ale to nie najgorsze miejsce, myślę, że przyzwyczaisz się do niego prędzej, niż sądzisz. Jeśli chcesz, możemy wrócić na Zamek i tam wziąć ślub, albo pojechać do Labiryntu, żeby ceremonii przewodniczył Prestimion. Choć zgadzam się z Dekkeretem, że najlepiej będzie, jeśli udam się na Suvrael jak najprędzej, żeby móc...

Ledwo go słuchała, prawie nic nie rozumiała. Potęga Królestwa? Król Snów? Suvrael? Wszystko to wirowało w jej umyśle.

– Keltryn? – spytał Dinitak.

– Bardzo dużo... To wszystko takie dziwne...

– Powiedz mi chociaż tyle: wyjdiesz za mnie?

Na tym była się w stanie skupić. Później będzie miała czas, by pojąć resztę, Króla Snów, Suvrael, co się stało, kiedy Dekkeret z pozostałymi był w Zimroelu, czyje ciało odprowadzał ze statku Gialaurys...

– Tak – powiedziała, rozumiejąc chociaż tyle. „Kocha Cię. Kocha Cię bardziej, niż mogłabyś uwierzyć”. – Tak, Dinitaku, tak, tak, tak, tak!

– Gialaurys przybył z ciałem z Alaisor do Sisivondal – powiedział Prestimion, patrząc na wiadomość, którą mu właśnie przyniesiono. – Wyrusza na Górę. Musimy ruszyć za dzień lub dwa, Varaile.

Uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że znajdziesz jakąś wymówkę, by ruszyć się z Labiryntu, Prestimionie. Chyba nigdy nie spędziliśmy tylu miesięcy w jednym miejscu, odkąd wróciliśmy ze Stoien.

– Prawdę mówiąc, całkiem przyzwyczailem się do życia w Labiryncie, kochana. Confalume powiedział, że prędzej czy później tak się stanie i miał rację, jak i w wielu innych kwestiach. Kiedy jesteś Koronalem, nosi cię po świecie. Krew w tobie wtedy buzuje. Pontifex woli spokojniejsze życie, a Labirynt je zapewnia, nie sądzisz? – wykonał szeroki gest jedną, potem drugą dłonią, wskazując na wszystkie rodzinne przedmioty z mieszkania na Zamku, ustawione teraz wygodnie w pomieszczeniach, które kiedyś należały do Confalume'a, a teraz były ich. Wyglądały, jakby stały tu od wielu dekad, nie miesięcy. – W każdym razie to nie ja postanowiłem, że Septach Melayn zostanie pochowany na Zamku. To Dekkeret. Ja się tylko zgodziłem.

– Był twoim przyjacielem, Prestimionie. I Wysokim Rzecznikiem. Czy nie właściwiej byłoby pochować go w Labiryncie?

– Septach Melayn nigdy nie był człowiekiem Labiryntu. Przyjechał tu tylko z lojalności wobec mnie. Jego miejscem była Góra Zamkowa i tam spocznie. Nie będę na ten temat dyskutował z Dekkeretem. Zginął broniąc jego życia, samo to daje Dekkeretowi prawo decydowania.

Złapał się na tym, że mówi o szczegółach pogrzebu Septacha Melayna całkiem spokojnie, jakby była to zwyczajna sprawa królestwa i przez moment przeszło mu przez myśl,

że leczy się z bólu po stracie przyjaciela. Potem jednak to znów do niego dotarło, skrzywił się więc i odwrócił. Piekły go oczy. Że też ze wszystkich ludzi musieli w walce z Mandraliską stracić akurat Septacha Melayna! Że też poświęcił swoje życie, by uwolnić świat od tego... tego...

– Prestimionie – powiedziała Varaile, wyciągając do niego rękę.

Postarał się odzyskać panowanie nad sobą i udało mu się.

– Nie ma o czym rozmawiać, Varaile. Nie powinniśmy wręcz. Dekkeret zadeklarował pogrzeb na Zamku, Gialaurys tam go wiezie, już budują mu pomnik, a ja poprowadzę ceremonię, więc powinnaś już zacząć się pakować. Tyle.

– Ciekawe, jaki pogrzeb Dekkeret urządził Mandralisce.

– Zapytam go, jeśli będę o tym pamiętał, gdy wróci z Procesji. Ja rzuciłbym ciało Mandraliski na pożarcie stadu głodnych jakkaboli. Dekkeret jest łaskawszy ode mnie, ale sądzę, że zrobił to samo.

– Dekkeret jest prawdziwie królewski.

– Tak, to prawda – powiedział Prestimion. – Król pośród królów. Sądzę, że zostawiłem świat w dobrych rękach. Powiedział, że zniszczy Mandraliskę nie idąc na wojnę i zrobił to. Wepchnął tych pięciu strasznych braci z powrotem do pudełka, z którego wyskoczyli i teraz cały Zimroel wychwala Dekkereta pod niebiosa – Prestimion roześmiał się. Myśl o tym, czego Dekkeret dokonał w Zimroelu, ogromnie poprawiała mu humor. – Wiesz, Varaile, z czego będę znany za wiele lat? Co będzie największym czynem, za jaki będą mnie pamiętać? Będzie nim fakt, że pewnego dnia w Normork spotkałem chłopca, który miał zostać Lordem Dekkeretem i miałem dość rozumu, by zabrać go ze sobą i uczynić moim Koronalem. Będą mówili, że to ja byłem królem, który dał światu Lorda Dekkereta. A teraz, Kochana, przygotujmy się do podróży na Zamek. Musimy przeżyć jedno smutne wydarzenie i wejdziemy w szczęśliwe czasy naszego panowania.

Podróżowali w górę Zimru tygodniami, mijali miasto za miastem, Flegit i Clarischnaz, Belkę, Larnimiculus i Verf, aż wreszcie dotarli do Ni-moya. Dekkeret i Fulkari zamieszkali we wspaniałym pałacu, który kiedyś należał do Dantiryi Sambaila. W zdumieniu przemierzali mnóstwo pokoiów, zachwycając się wspaniałością projektu.

– Naprawdę żył jak król – mruknęła Fulkari. Dotarli do sięgającego najdalej na zachód skrzydła budynku. Gigantyczne okno o szybie z jednej tafli dawało widok od nabrzeża po lewej do białych wież na wzgórzach Ni-moya po prawej, a przed nimi roztaczała się wielka rzeka, płynąca w jakieś odległe rejony kontynentu. – Co teraz zrobisz z tym miejscem,

Dekkeret? Nie każesz go zburzyć, prawda?

– Nie, nigdy. Ten budynek nie jest winien zbrodni Dantiryi Sambaila i jego pięciu żalonych bratanków. Prędzej czy później wszyscy o nich zapomną, ale zniszczenie pałacu prokuratora byłoby zbyt poważną zbrodnią przeciwko pięknu.

– Dokładnie tak.

– Wybiorę diuka, który będzie rządził Ni-moya. Nie wiem, kto nim zostanie, na pewno ktoś bez kropli krwi sambailidzkiej. On i jego potomkowie będą tu mogli mieszkać ze świadomością, że zawdzięczają to łaskowości Koronała.

– Diuk. Nie prokurator.

– Nie będzie tu więcej prokuratorów, Fulkari. To był dekret Prestimiona, a ja go podtrzymam. Zreformujemy rząd Zimroelu tak, by ponownie go zdecentralizować: jednowładztwo tutaj jest zbyt niebezpieczne, zagraża władzy imperialnej. Diukowie na prowincjach, lojalność wobec korony, częste Wielkie Procesje, podbudowujące lojalność Zimroelu i przestrzeganie konstytucji... Tak teraz będzie.

– A Pięciu Lordów? – zapytała.

– Na pewno nie będą już lordami, ale uśmiercenie takich głupców byłoby grzechem. Kiedy odpokutują za bunt, mogą wrócić do swoich pałaców na pustyni i tam zostaną na zawsze. Nie sądzę, żeby sprawiali więcej problemów. A jeśli choć przyjdzie im to do głowy, zajmie się nimi Król Snów.

– Król Snów – powtórzyła Fulkari z uśmiechem. – Nasz brat, Dinitak. To był genialny plan, choć kosztował mnie siostrę, którą wysłałeś do Suvraelu.

– Mnie kosztował przyjaciela – powiedział Dekkeret. – Nic na to nie poradzę. Prestimion nalegał, że Król Snów musi tam założyć kwaterę. Nie możemy pozwolić, by trzy z czterech potęg gnieździły się na Alhanroelu. Sądzę, że dobrze wykona swoje zadanie. Urodził się do tego. Myślałaś kiedykolwiek, Fulkari, że twoja mała siostrzyczka wyjdzie za Potęgę Królestwa?

– A czy kiedykolwiek myślałam, że ja wyjdę? – zapytała i roześmiali się. Przynęli się do siebie przy wielkim oknie. Dekkeret patrzył w dal. Powoli zapadała noc. Gdzieś na zachodzie był cudowny świat, który jeszcze przyjdzie im odwiedzić: Khyntor z jego wielkimi, parującymi gejzerami, kryształowe Dulorn, gdzie Nieustający Cyrk dzień i noc zapewniał najlepszą rozrywkę, prastare, brukowane Pidruid daleko na wybrzeżu, i Narabal, Til-omon, Tjangalagala, Cibairil, Beunir, Banduk Marika, osławione miasta dalekiego zachodu.

Odwiedzą je wszystkie. Dekkeret pragnął dotrzeć wszędzie, stawać przed ludźmi i mówić: „Oto ja, Dekkeret, wasz Lord Koronał, który poświęca swoje życie, by wam służyć”.

– Jaki piękny zachód słońca – wyszeptała Fulkari. – Tyle kolorów, złoty, fioletowy, czerwony, zielony, wszystkie wymieszane...

– Tak, to bardzo piękne.

– Za to w Khyntorze wciąż jest środek dnia, prawda? W Dulorn jest poranek, a w Pidruid środek zeszłej nocy. Och, Dekkercie, jaki świat jest ogromny! Zamek zdaje się być tak odległy...

– Zamek naprawdę jest bardzo daleko, najdroższa.

– Jak długo będziemy na tej procesji?

Dekkeret wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pięć lat? Dziesięć? Na zawsze?

– Poważnie, Dekkercie.

– Mówię poważnie: nie wiem. Tak długo, jak będzie trzeba. Zamek poradzi sobie bez nas. Jestem Lordem Koronalem gdziekolwiek na całym Majipoorze się znajdę. A my mamy cały świat do obejrzenia.

Niebo zmieniało kolory, a oni patrzyli, jak czerwień staje się brązem, a fiolet zamienia się w ciemny granat. Wkrótce tutaj zapadnie noc, a na zachodzie zmierzch. Wyszły gwiazdy. Wstał jeden z mniejszych księżyców i rzucał srebrne promienie światła w wody rzeki. Dekkeret objął Fulkari za ramiona i przez chwilę stali w milczeniu.

– Spójrz – powiedział, kiedy wszystkie kolory zastąpiła czerń. – Przed nami rozciąga się cały Majipoor, a noc jest równie piękna, jak dzień.

KONIEC